ROCZNIK

TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO

W PARYŻU

ROK 1868

PARYŻ, DRUKARNIA BRACI ROUGE, DUNON I FRESNÉ,

UL. DU FOUR-SAINT-GERMAIN, 43.

ROCZNIK

TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO

W PARYŻU

-∞-

ROK 1868



PARYŻ
KSIĘGARNIA LUXEMBURGSKA
16, ULICA DE TOURNON, 16

1869.

X

ZAKŁADY POLSKIE

ZAKŁADY POLSKIE

NA WYCHODZTWIE (1).

I.

TOWARZYSTWO HISTORYCZNO-LITERACKIE

W PARYŻU.

Przyznane Towarzystwu przez rząd francuzki prawne stanowisko, w roku bieżącym nie uległo zmianie; nagromadzone dawniej zbiory, nieco powiększone zostały, a biblioteka przez rok cały na dawnych warunkach dla publiczności otwarta, liczniej niż lat uprzednich odwiedzaną była.

Ale już na początku roku Towarzystwo poniosło najboleśniejszą stratę przez zgon ś. p jenerała hr. Władysława Zamoyskiego, który był członkiem zasłużonym Rady Towarzystwa, i niezmordowanym tego zakładu od jego założenia, opiekunem i dobroczyńcą. Wkrótce potém, opuścił Radę Towarzystwa p. Waleryan Kalinka, były jej członek i konserwator biblioteki, który wstępując do Zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców, prosił o uwolnienie go od tych obowiązków. W skutek tego, Prezes Towarzystwa, stosownie do obowiązującej

(1) Zobacz : Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, za rok 1866. str. I-XL i za rok 1867, str. I-LXII.

Ustawy, na członka Zasłużonego Rady, na jej przedstawienie, zaprosił jednego z pierwszych założycieli Towarzystwa, znanego w świecie naukowym, członka Instytutu paryzkiego, p. Ludwika Wołowskiego; Rada zaś postanowiła mianować dyrektora biblioteki, i jemu straż zbiorów swoich powierzyć. Stanowi on łącznie z konserwatorami Radę biblioteczną.

Zwyczajne posiedzenia Towarzystwa odbywały się w ciągu roku, stosownie do Ustawy d. 5go każdego miesiąca; na tych posiedzeniach, po wyczerpaniu zapisanych na porządku dziennym przedmiotów, Członkowie Towarzystwa czytali przygotowane przez siebie prace. Na posiedzeniu publiczném, d. 3 maja p. Julian Klaczko, w wymownych wyrazach oddał w imieniu Towarzystwa cześć ś. p. jenerałowi Zamoyskiemu i żywot jego w krótkości opowiedział. Na doroczném nabożeństwie żałobném w Montmorency d. 21 maja, kazanie miał Ojciec Millon Dominikanin.

Oprócz ś. p. jenerała Zamoyskiego, Towarzystwo w ubiegłym roku straciło dwóch członków honorowych : J. E. biskupa Łętowskiego, i włoskiego poetę Poerio, znanego z gorącej dla Polski miłości, który się był języka naszego wyuczył, chcąc tłumaczyć *Księgi pielgrzymstwa* Mickiewicza; także czterech członków zwyczajnych : Józefa Kaszyca, Ludwika Ozeasza Lublinera, Feliksa Szulczewskiego i Mieczysława Waligórskiego. Pomimo tych strat, Towarzystwo obecnie liczy : członków dobroczyńców 32, zwyczajnych 86, honorowych 8 i korespondentów 14; wszystkich razem 140.

Towarzystwo utrzymując dawne z *Muzeum czeskiém* stosunki, zawarło jeszcze w tym roku nowe, z *południowo-słowiańską akademią* w Zagrzebiu; w skutek zaś odezwy *Czytelni akademickiej* w Krakowie, i zatwierdzonego przez rząd austryacki Stowarzyszenia uczącej się młodzieży naszej w Wiedniu, pod nazwaniem *Ognisko*, pośpieszyło przesłać im część wydań swoich i duplikatów jakie w bibliotece posiadało.

Całkowity przyrost zbiorów Towarzystwa w ciągu roku, tak w skutek darów jako też wymiany duplikatów i dzieł nabytych, wynosi : dzieł 326, tomów 435, zeszytów 821; mapp 44, rycin 5, monet 3. Do

działu rękopismów przybyły: Papiery i korespondencye ze stepów kirgizkich Adolfa Januszkiewicza, kopia dwóch pierwszych tomów Pamiętników Stanisława Augusta, pisanych po francuzku, i Obrona Stanisława Augusta przez Mikołaja Wolskiego, z własnoręcznemi poprawkami Króla.

Radę Towarzystwa składają: *prezes*, Książe Władysław Czartoryski, *vice-prezes*, Teodor Morawski; *członkowie zasłużeni*: Stanisław Barzykowski i Ludwik Wołowski; *podskarbi*: jenerał Ludwik hr. Bystrzonowski; *konserwator*, Eustachy Januszkiewicz; *sekretarz i dyrektor biblioteki*, Bronisław Zaleski; *podsekretarz*, Lubomir Gadon.

II.

SZKOŁA POLSKA NA BATIGNOLLES

(BOULEVARD DES BATIGNOLLES, 56).

Ubiegły rok szkolny był dwudziestym szóstym rokiem istnienia zakładu. Szkoła liczyła w nim uczniów: miejscowych (internów) 253, przychodnich (externów) 56; razem 309. Po skończeniu rocznych examenów odebrała od ministra oświecenia p. Duruy pochwalne uznanie, że i w tym roku jak lat uprzednich, umiała się utrzymać zaszczytnie na stanowisku wielkiego naukowego zakładu; trzydziestu dwóch jej uczniów uczęszczających do liceum *Bonaparte* otrzymało w témże Liceum i w Sorbonie na ogólnym konkursie siedmdziesiąt cztery rozmaitych nagród i nominacyj.

Z końcem roku opuściło szkołę 39 uczniów miejscowych i 6 przychodnich, razem 45; z tych 11 otrzymało stopnie: *bachelier ès sciences*, lub *bachelier ès lettres*.

Szkoła, przy wskazanej wyżej liczbie uczniów, miała jak w zeszłym

roku nauczycieli i dozorców w niej mieszkających 17, przychodnich 14, osób należących do zarządu i administracyi 10, służby 20, rzemieślników 7; razem więc z młodzieżą liczyła 377 osób. Wydatki jej roczne wynosiły : 228,601 fr. licząc w tém i 13,732 fr. rocznej opłaty od zaciągniętej na budowę domu szkolnego pożyczki w Towarzystwie kredytowém ziemskiém.

Ofiary dobroczyńców, w części zapisane w testamentach, wynosiły 25,186 fr. 46 c. (1); opłaty na uczniów, przez rodziców lub dobroczyńców składane, 19,306 fr. 10 c.; z lat upłynionych zaległe 6,292 fr. 42 c. Rząd francuzki wypłacił, (łącznie z awansem 17,000 fr. na rok przyszły) 187,275 fr. Dochód cały, policzywszy sprzedaż zużytych sprzętów, czynsz z wydzierżawienia, procenta od akcyj własnością Szkoły będących, wynosił 250,300 fr. 42 c. Pozostaje dłużną, oprócz summy 214. 296 fr. 87 c. na dom szkolny z Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego pożyczonej, zaległości z lat upłynionych, 67,967 fr. 30 c. i 309 fr. 28 c. różnym wierzycielom, którzy po odebranie swej należności dotąd się nie zgłosili.

Z końcem roku szkolnego, z powodu zmniejszenia budżetu przeznaczonego na wychodźtwo we Francyi, zapowiedziano Szkole, że dodatkowej od rządu pomocy 60,000 fr. na dal pozbawioną będzie. Rada wobec tego, ujrzała się zmuszoną odmówić przyjęcia licznym kandydatom, chociaż się znalazły opróżnione w niej po wyjściu dawnych uczniów miejsca, a groziła jej konieczność ratowania Szkoły zaprowadzeniem większych jeszcze ścieśnień. Prezes Szkoły postanowił wtenczas udać się osobiście do współobywateli w kraju z prośbą o pomoc dla zakładu : dzięki patryotycznej ofiarności z jaką na jego wezwanie pośpieszyli, składając przeszło 50,000 fr. i obietnicom dalszego od nich zasiłku, Szkoła spodziewa się przez rok następny utrzymać się na dawnym stopniu, i przy pomocy Bożej dziatwie tułaczej, a przez nią i społeczności polskiej, oddawać też same co dotąd usługi.

Radę Administracyjną Szkoły składają : *prezes* Dr. Seweryn Gałęzow-

(1) Od hr. Ksawerego Branickiego 10,000 fr. od pani Mańkowskiej 1,000 fr.; od hr. Laury Czapskiej 200 talarów; od K. I. J. Kz. 3,000 fr.; od hr. Moszczeńskiego 300 fr.;z księztwa poznańskiego przez hr. Sewerynową Mielżyńskę 1358 fr. 90 c.; z zapisu testamentowego ś. p. A. W. 150 fr. renty rocznej włoskiej.

ski; *vice-prezes*, Ludwik Wołowski; *podskarbi*, Teofil Januszewicz; *członkowie*: hr. Ksawery Branicki, Aleksander Chodźko, Eustachy Januszkiewicz, Julian Klaczko, Józef Ordęga, Władysław Ordęga, Artur Sienkiewicz, Bohdan Zaleski i Bronisław Zaleski; *członkowie honorowi*: hr. August Cieszkowski, Adolf Łączyński, Adam Sienkiewicz i Feliks Wrotnowski; *dyrektor szkoły*, Stanisław Malinowski.

III.

SZKOŁA WYŻSZA POLSKA

(68. BOULEVART MONTPARNASSE.)

Z ubiegłym rokiem szkolnym, zakład skończył dwudziesty rok istnienia; kształciło się w nim przez ten czas 548 uczniów. Z tej liczby, 186 skończyło nauki w najwyższych szkołach specyalnych w Paryżu; 64 w zakładach francuzkich po za stolicą, w Belgii i Szwajcaryi; 38 zostawało jeszcze dalej pod opieką szkoły; reszta uczniów wyszła z niej po otrzymaniu wykształcenia odpowiedniego praktycznym zawodom jakim się poświęcić miała, jako to: pomiarom, pracom przy kolejach żelaznych, buchalteryi, handlowi i t. d.

Uczniów w tym roku Szkoła liczyła 81; z tych: miejscowych czyli *internów* 63, przychodzących czyli *externów* 9, i wolnych słuchaczy 9. Do wyższych zakładów specyalnych uczęszczało uczniów 30; to jest: do Szkoły dróg i mostów 14, do górniczej 9, do centralnej sztuk i rękodzieł 3, do centralnej architektury 4. Reszta pobierała nauki w Szkole.

Z końcem roku szkolnego ukończyło całkowity kurs nauk w zakładach specyalnych i otrzymało dyplomy wykwalifikowanych techników 9; wstąpiło do tychże zakładów 10.

Rozkład nauk i podział na kursa *niższy* i *wyższy*, pozostały takie jak w latach uprzednich. Szkoła otwartą jest dla młodzieży przybywającej z kraju, która może w niej kształcić się opłacając 100 fr. miesięcznie za całkowite utrzymanie i naukę. Żądający mieć pokój osobny, dopłacają fr. 15 na miesiąc.

Przychód kassy szkolnej w roku ubiegłym wynosił	fr. 71,995	c. 45
Wydatki	fr. 70,255	c. 85
Pozostawało w kassie z końcem roku szkolnego	fr. 1,739	c. 56

Przez zgon jenerała hr. Władysława Zamoyskiego, szkoła straciła jednego z najstalszych i najgorliwszych swych opiekunów, a Rada jej jednego z najdawniejszych swych członków. P. Edward Habich z końcem roku szkolnego, złożył pełnione przez siebie obowiązki *Dyrektora Szkoły* w ręce Dra Kazimierza Szulca, b. profesora gimnazyum katolickiego i szkoły realnej w Poznaniu.

Radę szkolną obecnie składają: *prezydujący* ks. Władysław Czartoryski; *członkowie honorowi*: Stanisław Barzykowski, jenerał Tadeusz Konarski i Teodor Morawski; *członkowie czynni*: Karol Chobrzyński, Gustaw Dombrowski, hr. Jan Działyński, Eustachy Januszkiewicz, Ludwik Nabielak, Karol Ostrowski, Karol Sulikowski, Franciszek Szemioth, Ksawery Szlenker, Amancyusz Żarczyński i Kazimierz Szulc, pełniący zarazem obowiązki dyrektora szkoły.

IV.

INSTYTUT PANIEN POLSKICH

W HOTELU LAMBERT.

Liczba uczennic w ubiegłym roku wynosiła około czterdziestu. Panny: Józefina Karwowska, Marya Leszczyńska, Marya Obalska, Leonia Ostrowska, Laura Wilczyńska i Antonina Wróblewska, skończywszy nau-

ki w Instytucie po zdanych świetnie examenach w *Hôtel-de-ville*, otrzymały patenta na nauczycielki.

Dyrektorką Instytutu, po usunięciu się z powodu zdrowia panny Rouquayroll, została panna Marya Letellier; język polski, historyą i literaturę wykłada p. Józef Rustejko.

Wydatki zakładu wynosiły 39,121 fr.

Radę Instytutu składają jak dawniej : *prezydująca*, hrabina Izabella z książąt Czartoryskich Działyńska; członkowie : hrabina Władysławowa Zamoyska, ks. Władysław Czartoryski, jenerał hr. Bystrzonowski, Teodor Morawski i Ludwik Wołowski; *sekretarz* i *kassyer*, Józef Rusteyko.

V.

DOM SWIĘTEGO KAZIMIERZA

(RUE DU CHEVALERET 40, GARE D'IVRY).

W tym roku zakład miłosierny rozszerzył się jeszcze; dom ś. Kazimierza mieści dwódziestu dwóch weteranów naszych jak dawniej, ale w Juvisy w domu ś. Stanisława należącym do zakładu, znalazły się pokoiki dla ośmnastu; wszystkich więc weteranów mamy w zakładach czterdziestu.

Dzięki złożonym na ten cel funduszom, w przygotowaném zeszłego roku pomieszkaniu, mieści się i utrzymuje w Juvisy dziesięciu zrodzonych na wychodztwie chłopczyków naszych, od czterech do ośmiu lat wieku.

Liczba dziewczynek wychowywanych w zakładzie, dochodzi znowu siedmdziesięciu, jak w latach poprzedzających. Takim sposobem, zakład w tym roku opiekował się ośmdziesięciu sierotami naszemi płci obojej.

Przełożona Sióstr Miłosierdzia Mikułowska, kieruje zakładem jak

dawniej, przy pomocy piętnastu sióstr, obsługujących obadwa domy.

Komitet opiekuńczy nad zakładem składają: *prezydentka*, hrabina de la Redorte, pani de Corcelles, księżna Marcelina z Radziwiłłów Czartoryska, hr. Izabella z Czartoryskich Działyńska, pani Leonowa z Wołowskich Faucher, i *kassyerka*, hrabina de Montessuy.

Prócz tego w tym roku ustanowiono jeszcze Radę opiekuńczą, tę składają: *prezes honorowy*, O. Etienne, przełożony Zgromadzenia OO. Missyonarzy (Lazarystów); *prezes*, ks. Władysław Czartoryski; *członkowie*: p. August Cochin, Horacy Delaroche, dr. Gałęzowski, O. Aleksander Jełowicki, margrabia de Melun, hr. de Montessuy, hr. de Riant, i *sekretarz*, Lubomir Gadon.

VI.

INSTYTUCYA CZCI I CHLEBA

W przeciągu 1868 roku przybyło Stowarzyszeniu podatkowemu członków 102; liczba ich obecnie wynosi 1484.

Fundusz żelazny Instytucyi powiększono kupieniem dziewiętnastu obligacyj, przynoszących dochodu 285 fr.

Za pozostałą w remanencie gotowiznę kupiono 20 obligacyj, przeznaczając je na kapitał rezerwowy; nie przestając być uważanym jako remanent, fundusz ten ma służyć za gwarancyą akuratnej wypłaty przyznanych dożywotnich pensyj emerytalnych, i w razie nieprzewidzianej potrzeby, będzie mógł być użytym na takowe wypłaty.

Skapitalizowany w tym roku przez Członków Stowarzyszenia podatek ich roczny, przynosi dochodu 258 fr. (1). Tym sposobem kapitał

(1) Skapitalizowali podatek w tym roku: pani L. z Galicyi, na fr. 4; Antoni Olszewski major fr. 100; W. A. fr, 150; Zgromadzenie Zmartwychwstania Pańskiego, fr. 25; Błociszewski Kazimierz, na rzecz przyjaciela swego, ś. p. Ksawerego Bolewskiego, fr. 20; pani Tekla Wołowska fr. 210; do dawnych jako dodatek dołożyli: Feliks Bliziński fr. 5; Ignacy Domejko fr. 6; pani B. S. fr. 5; pani A. C. fr. 3. Razem rocznego dochodu fr. 528.

emerytalny w tym roku podniósł się o 22,260 fr., wynosi więc razem z legatami fr. 125,080.

Albin Januszkiewicz na rzecz zapewnionego dawniej skapitalizowania, złożył 3,000 fr. za które kupiono dwadzieścia obligacyi, Adam Sperczyński dwie obligacye, realizujące 30 fr. podatku; jenerałowa hr. Zamoyska po śmierci męża, wypłaciła Stowarzyszeniu 4,000 fr. zapewnionych mu przez ś. p. Jenerała.

Komisya Weteranów przyznała w ciągu roku pensye emerytalne trzem nowym weteranom naszym; dwóm zaś dawniejszym emerytom Stowarzyszenia, zadatek emerytalny na całą pensyjkę zamieniła.

Przyznano dotąd pensyjki emerytalne 55ciu weteranom, i utrzymywano w Szkole Batignolskiej chłopczyków 6, a w domu ś. Kazimierza dziewczynek 5.

W Radzie nadzorczej majątku Stowarzyszenia, miejsce prezesa, po śmierci jenerała Zamoyskiego, pozostaje jeszcze nie zajętém : Radę składają więc *członkowie* : Dr. Seweryn Gałęzowski, Kazimierz Wołowski i Karol Chobrzyński; *sekretarz*, Eustachy Januszkiewicz.

Komisyę weteranów : *prezes*, Teofil Januszewicz; *członkowie* : Seweryn Elżanowski, pułkownik Adam Kozłowski i Sylwester Staniewicz; *sekretarz*, Bronisław Zaleski.

Wydział administracyjny : *prezes*, Bohdan Zaleski; *kassyer* Władysław Laskowicz; *kontrolerowie* : Józef Dybowski i Artur Sienkiewicz; *sekretarz*, Karol Królikowski.

P. S. Już po wydrukowaniu tego sprawozdania nadesłano nam jeszcze jedno skapitalizowanie podatku, Prezesa wydziału Instytucyi. List jego tu załączamy :

Do Kassyera Stowarzyszenia Podatkowego.

Paryż dnia 30 grudnia 1868 r.

Kochany Bracie,

Blizko siedm lat kolegujemy już z sobą na służbie około przedsięwzięcia które wytworzyło z siebie Instytucyę Czci i Chleba, Instytucyę niewątpliwie ważną i poważną, i rozwijającą się, dzięki Bogu, dość pomyślnie. Pamiętacie razem z kochanym naszym sekretarzem, jak od chwili zawiązania się Stowarzyszenia podatkowe-

go, ś. p. Józef Zaleski major i prezes Komisyi Weteranów, tudzież ś. p. Zofia, żona moja, brali wespół z nami gorliwy udział w tych zabiegach patryotycznych. Obowiązek pogrobowego uczczenia tych spółpracowników naszych, ciążył mi zawsze.

Piękny pomysł utrwalenia naszej Instytucyi, pomysł *kapitalizowania podatku*, który urzeczywistnił się i rozpowszechnia się pomału ale pewnie, podawał i mnie pożądaną sposobność ku zadosyć uczynieniu serdecznej trosce. Niestety, w położeniu mojém ojca rodziny, długi czas nie byłem w możności naśladowania szczęśliwszej braci. Toż niewymownie raduję się, że dzisiaj za łaską Bożą jestem i ja już w stanie uiścić się z długu, z długu najpierwej obowiązkowego — to jest, że mogę nareszcie wpisać na listę wieczystych fundatorów Instytucyi brata i żonę — tyle mi ongi drogich na ziemi, a których i wy obadwaj otaczaliście za życia waszą bliższą przyjaźnią i poważaniem.

Kochani! Rodacy nasi co zmarli na emigracyi w dobrych usposobieniach dla Instytucyi polskiej Czci i Chleba, rodacy ci zaprawdę, są niejako opiekunami jej w niebie, to po chrześciańsku godzi się mieć otuchę że wyjednają błogosławieństwo dla niej Boże na *żywotność*, i czasową tutaj na tułactwie, i niepożytą w Ojczyznie tam wolnej i niepodległej.

Załączam cztery obligacye pożyczki egipskiej przynoszące ogółem 140 franków rocznie, z których raczcie zapisać 60 fr. na imię ś. p. Józefa, 20 fr. na imię ś. p. Zofii, i 60 fr. na własne moje imię.

Przyjmijcie koledzy upewnienie statecznej mojej przyjaźni.

Bohdan Zaleski.

VII.

TOWARZYSTWO DOBROCZYNNOŚCI

DAM POLSKICH.

Towarzystwo w tym roku też same co lat uprzednich oddawało usługi wychodztwu naszemu, zajmując się przedewszystkiém chorymi, udzielając pieniężnych zasiłków pozbawionym chwilowo zarobku, rozdając chleb ubogim rodzinom, i t. p.

Dochody Towarzystwa wyniosły w tym roku, 45,081 fr. 75 cent.;

powstały one z dobrowolnych ofiar (12,410 fr.), z kwesty w kościołach francuzkich (8,661 fr.) ze sprzedaży na rzecz Towarzystwa rozmaitych fantów, która w tym roku równie jak lat uprzednich urządzona w hotelu Lambert, przyniosła 24,010 fr. 75 cent.

Wydano : na chleb około 10,000 fr. — na lekarstwa około 7,000 — na bieliznę około 2,000 — na żywność 4,000 — na kuracyą (w pieniądzach) 2,700 — na mieszkania przeszło 2,000 — na odzież i obuwie, 468 — na pogrzeby 320 fr. i t. d.

Pomoc udzielana uczącej się młodzieży, wyniosła w ciągu roku 1,800 fr., korzystało z niej ośmiu uczniów, z których siedmiu pobierało po 20 fr. a jeden 10 fr. miesięcznie.

Towarzystwo składają : hrabina Izabella Działyńska *prezydująca*; hrabina Władysławowa Zamoyska, pani Leonowa Faucher, pułkownikowa Kamieńska, hrabianka Bystrzonowska, pani Delaroche, pani Leonowa Kaplińska, pani Żarczyńska, przełożona sióstr polskich ś. Kazimierza, Mikułowska; *dystrybutorowie* : ks. Władysław Czartoryski, jenerał hr. Bystrzonowski, Julian Marylski, Henryk Nowakowski, Włodzimierz Radowicki i Franciszek Szemioth; *lekarze* : Ksawery Gałęzowski, Korabiewicz, Raciborski i Stański; *aptekarze* : Faucher Laboureur, Mentel; *sekretarz* : kapitan Jan Sawicki.

VIII.

WIZYTKI POLSKIE W WERSALU

(127. BOULEVARD DE LA REINE).

Wizytki Polskie, pomimo braku środków materyalnych i niezliczonych trudności, z któremi wciąż walczyć im wypada, trwają zawsze

w postanowieniu pracowania dla dobra rodaków, jakkolwiek zdala od ojczystej ziemi. Lecz pomimo wielkich usiłowań i najtroskliwszych zabiegów, zakład ich naukowy dla dzieci polskich, w roku przeszłym otworzony, nie liczy więcej nad piętnaście uczennic, a i w tej małej liczbie, ze smutkiem wyznać należy, iż pięć miejsc przeznaczonych dla Polek, zajęły dzieci francuzkie, rodzin znaczniejszych zamieszkałych w Wersalu. Innym już kilku odmówiły Wizytki, bo pomieszkanie ich szczupłe stosunkowo do potrzeb, ku rozprzestrzenieniu domu na środkach im zbywa, a pragną mieć zawsze wolne miejsce w razie przybycia jakiej Polki. Jeżeli dotąd nie potrafiły one pozyskać zaufania rodzin polskich zamieszkałych we Francyi, to przecie mają nadzieję, iż z czasem uprzedzenia ustąpią i Polacy dadzą im pierwszeństwo przed francuzkiemi zakładami, którym pod względem naukowym zakład ich bynajmniej nie ustępuje, a dla dzieci polskich, pominąwszy o wiele niższą opłatę, tę jeszcze korzyść przedstawia, iż niezapominają tam narodowości swojej, nie zostają obce temu wszystkiemu, co po rzeczach tyczących się wiary, najżywiej je obchodzić, najlepiej im znane być winno. Smutno zaiste, spotykać Polki obce znajomości języka, historyi, literatury ojczystej, obojętne sercem na dawną chwałę swego narodu, nieświadome zupełnie owych bogatych zasobów, jakie Opatrzność złożyła na samejże polskiej ziemi, nierozumiejące nawet tego co dziś nieszczęście Polski stanowi, gdzie są jej nadzieje, co jest siłą jej życia? Niewiadomość wszakże tego rodzaju, musi być koniecznêm następstwem wychowania wśród obcych.

Kształcenie duszy i serca jest podstawą wychowania, podstawą stanowiącą o całém życiu kobiéty a tém bardziej kobiéty Polki, któréj zadaniem jest *zapomnienie siebie*, *a poświęcenie się*, hasłem!

By odpowiedzieć powołaniu swemu, by nabrać siły i hartu ducha do poświęceń, musi ona koniecznie kochać wiarę, musi kraj swój ukochać. Lecz trudno pokochać to czego się dobrze nie zna, a następnie niepodobna w potrzebie rozbudzić tejże miłości w sercach innych, tam szczególnie, gdzie jak w kraju naszym, systematycznie wpajane jest zepsucie, tam gdzie wszystko usiłuje wydrzeć młodzieży najświętsze uczucia i zabić je w samym zarodzie.

Pojęcie tych prawd niezaprzeczonych, pobudza Wizytki Polskie do zwrócenia głównej uwagi i pracy na usposobienie moralne, na skłonności i wady uczennic. Jednomyślném działaniem, wyłącznie zastosowaném do każdej z dzieci, wszystkie mistrzynie zwolna i nieznacznie starają się wyrabiać w nich te charaktery mężne, co wcześnie umieją panować nad sobą rządząc się obowiązkiem; te pojęcia zdrowe i czyste, co z całym zapałem młodzieńczym, chwytają się tego co dobre, szlachetne i piękne, pozbywając się samolubstwa, owej najszkodliwszej plagi społeczeństwa. Ten cel główny wykształcenia duszy, wyrobienia w uczennicach gruntownej cnoty, zdolnej wytrzymać wszelkie próby, jest myślą towarzyszącą wszystkim godzinom naukowego wykładu. Myśl ta nie bywa spuszczoną z oka nawet wśród zabaw dziecinnych, by i tam korzystać z wszelkiej nastręczającej się sposobności. Bóg temu usiłowaniu widocznie zdaje się błogosławić. Stowarzyszenia pobożne między dziećmi zaprowadzone, nagrody, zachęty, wszystko służy do posuwania tej pracy, a choć zbyt ciasny zakres jej działania, z równą gorliwością dokonywa się przecie, jak gdyby do największej ściągała się liczby.

Przychodzi tu pożałować, że nie mamy mocy wskrzesić zacnego, kochanego Witwickiego. On zapewne jako miłośnik narodowej chrześciańskiej godności, słowem prawdy rzeczoném do Matek Polek, potrafiłby je przekonać, że w sprawie wychowania, nie zwyczaj, nie rozgłos, ale uwaga na istotny pożytek dzieci przeważać powinna.

Zakończmy powtórzeniem, że Wizytki proszą o dzieci polskie i śmiemy twierdzić, iż nie zawiodą zaufania Rodziców, którzy zechcą powierzyć im dzieci ku ukształceniu, bo jeśli dalekim jest od nich wszelki duch współzawodnictwa z cudzoziemskiemi zakładami, to miłość ojczyzny prowadzi do rozważnego rozpatrzenia się w potrzebach tegoczesnego życia kobiety Polki, by do niego zastosować naukowy rozwój jej umysłu.

Program Zakładu Wizytek stanowią naprzód:

Wspólne wszystkim wyższym zakładom nauki klasyczne; przydają do nich historyą, literaturę i obszerniejszą jeografiję ojczystego kraju.

Z nauk przyrodzonych wykładają: botanikę, fizykę i kosmografiję.

Uczą śpiewu, muzyki, rysunku i robót tak pożytecznych, jak i do przyjemności służących.

Języków uczą : francuzkiego, angielskiego, niemieckiego. Nad polskim pracują w sposób wyłączny.

* * *

AKTA MĘCZEŃSKIE UNII.

II.

Sub altare Dei audivi voces occisorum dicentium: « Quare non vindicas sanguinem nostrum? » Et acceperunt divinum responsum : « Adhuc sustinete modicum tempus, donec impleatur numerus fratrum vestrorum. »

PONTIF. ROM. EX APOC. VI. 9.

Lat temu dwa ogłosiliśmy pierwszy poczet Aktów męczeńskich Unii. Łaskawie przez czytelników przyjęte, przez pisma polskie wielokrotnie zalecone, doczekały się niedawno w obcym języku wydania (1). Życzliwe przyjęcie pierwszej publikacyi stało się dla nas do dalszych zachętą : mniemaliśmy, że uwaga publiczna obudzona jest na ten przedmiot i że wracając do niego dzisiaj, odpowiemy usposobieniu czytelników.

Wszakże, na teraz, nie dalszy ciąg poprzednich Aktów męczeńskich, jak raczej sam początek ich ogłaszamy. Są to dokumenta dotyczące życia, śmierci i chwały pogrobowej tego, który był pierwszym męczennikiem Unii i właściwym jej sprawcą, którego pamięć drogą jest narodowi od półtrzecia wieku, którego dobrodziejstwa, lat temu dwieście, sejm dwukrotną uchwałą wyznał publicznie, którego wreszcie, na prośby Polaków, Stolica Apostolska świeżo w poczet świętych zaliczyła. Mówimy o Józafacie Kuncewiczu, arcybiskupie połockim.

(1) *Les Martyrs Uniates en Pologne, récits des dernières persécutions russes, publiées d'après des documents originaux par le R. P. Dom Théophile Bérengier, moine Bénédictin de la Congrégation de France.* Poitiers *chez* Oudin, Paris *chez* Palmé, 1868. — Piękna i ze znajomością rzeczy napisana przedmowa opowiada pokrótce historyą Unii i jej wywrócenie w prowincyach wschodnich, pod panowaniem Katarzyny i Mikołaja.

Na pierwszém miejscu podajemy *Protokół Komissyi Apostolskiej* zesłanej do Połocka, w r. 1637, z powodu procesu beatyfikacyi, który na ponowne prośby królów polskich, Zygmunta III i Władysława IV, oraz wielu biskupów i senatorów, papież Urban VIII rozpoczął. Dokument ten zawiera zeznania świadków naocznych którzy osobiście znali arcybiskupa i szczegóły o jego życiu i śmierci sobie wiadome pod przysięgą, Komisarzom opowiedzieli. Na spółczesném tle życia miejskiego i religijnego na Rusi, postać Józafata odmalowana w ten sposób doskonale, z całą prawdą i kolorytem wieku, tém więcej dzisiaj zdumiewa im bliżej się jej przypatrujemy. Otoczony zewsząd nieprzyjaciołmi a przez swoich bardzo ozięble wspierany, owszem wstrzymywany najczęściej, Józafat chwałę Kościoła i dobro wiernych mając jedynie w sercu i umyśle, szedł naprzód tak spokojnym i równym krokiem i z taką ścisłością wypełniał zawsze wszystkie obowiązki kapłana i biskupa, jakby go żadne i z nikąd nie dochodziły niebezpieczeństwa. Czytając te zeznania świadków, pełne uczucia, wdzięku i prostoty, trudno zaprawdę nie być uderzonym, jak opatrzném zrządzeniem Stolica Apostolska stawiła nam przed oczy ów heroiczny typ Biskupa, dziś właśnie, kiedy w większej części ziem polskich nie można, bez heroizmu, dochować swemu sumieniu wierności!

Drugim dokumentem jest *Relacya metropolity Rutskiego*, napisana w pięć lat po śmierci Męczennika i złożona do akt wspomnianej Komissyi. Towarzysz jego trudów i przez lat piętnaście zwierzchnik bezpośredni, Rutski znał najlepiej Józafata, i wszystko co o nim mówi, ma niepoślednią wagę, bądź dla szczegółów biograficznych, którychbyśmy gdzieindziej napróżno szukali, bądź dla ścisłości i dokładności, z jaką rzecz jest opowiedziana. Lecz jak w poprzednim dokumencie, tak i w relacyi Rutskiego zastanawia najbardziej to, co czytamy o skutkach Józafatowego męczeństwa. Była to chwila (1623), w której Unia zdawała się być skazaną na zatratę bez ratunku. Prócz utworzonej świeżo całej hierarchii schyzmatyckiej, głównego wroga unitów, prócz ludności ruskiej po miastach ogólnie niechętnej, powstała świeżo nad Dnieprem najnieprzyjaźniejsza Unii potęga, wojsko zaporożskie. Wzbici w dumę usługami oddanemi pod Chocimem i w przekonaniu, że przy niepewnym z Turkami pokoju Rzeczpospolita nie może obejść się bez ich pomocy, Zaporożcy kładli na sejmach żądanie zniesienia Unii a nawet o oderwaniu się od Polski i o utworzeniu osobnego państwa przebąkiwali w Warszawie : żądania zaś swoje tém popierali, że każdego czasu byli w możności wyprowadzić w pole 60, 80 do 100,000 zbrojnego ludu. Aby tę burzę straszliwą odwrócić i Kozaków jakożkolwiek przebłagać, wszyscy ludzie polityczni w kraju a nawet biskupi łacińscy gotowi już byli jeśli nie zupełnie Unią poświęcić, to przynajmniej ścieśnić ją jak najwięcej a schyzmie jak najbardziej folgować. Z wyjątkiem króla, w nikim, jak wyżej wspomnieliśmy, Unia nie znajdowała podówczas naprawdę obrońcy. Sam metropolita Rutski, tak dalece był zwątpił o możności jej utrzymania, że przemyśli-

wał tylko jak dusze wiernych ocalić i przypuszczał że wszystkich unitów trzeba będzie na łaciński obrządek przeprowadzić. Jeden Józafat nie zachwiał się, nie stracił odwagi; z zupełną świadomością tego co go czeka, szedł na śmierć męczeńską. Jak zwykle w takich razach bywa, nie omieszkiwano przestrzegać go, że się niepotrzebnie naraża, że powinien zachować się na lepsze czasy, że upierając się, jeszcze bardziej nieprzyjaciół rozdraźni i nowe na Unią sprowadzi ciosy : Józafat niezmiennie odpowiadał,że i życiem i śmiercią chce świadczyć prawdzie...Dziwnaż to moc ofiary! Ledwo wylała się krew Józafatowa, zaraz wszystko na lepsze poczęło się odmieniać. Schyzma, która pozbywszy się najcelniejszego antagonisty, powinna była zhardzieć, niespodzianie osłabła, zwolniała w swych napaściach, zapragnęła zbliżenia się do Unii.Ludność ruska, którą los Józafata powinien był odstraszyć, poczuła silniejszy niż kiedykolwiek do katolicyzmu pociąg i naprzód nieśmiało, potém coraz jawniej i coraz tłumniej przyjmowała Unią. *Mirabilis Deus in sanctis suis*, woła Rutski. « Nikt lepiej odemnie wiedzieć tego nie może, że nie na-
« szą tu nauką, nie przemyślnością, nie pracą ani pilnością naszą, dzieje się teraz
« to, co się dawniej nie działo. Bo choć i dawniej nie zbywało na naszej pracy i
« sam sługa Boży (Józafat) więcej niż ktokolwiek pracował, to jednak nie potrafi-
« liśmy nigdy zmiękczyć twardego kamienia schyzmy. Krew to jego zdziałała : jej
« to było pozostawione. » Bo i owa potęga kozacka wbrew wszelkiemu spodziewaniu, nagle zmalała; pobici na głowę, zmuszeni zostali przyjąć warunki, jakie rząd polski uważał za konieczne im nałożyć. « A kto to wszystko rozważy i jedno przy
« drugiém zestawi, mówi Rutski, ten przyzna, że była to sprawa — nie ludzka lecz
« Boga! »

Trzecim nareszcie dokumentem, który ogłaszamy, jest *Prośba o kanonizacyą błogosławionego Józafata* zaniesiona, temu lat cztery, do papieża Piusa IX przez pewną liczbę Polaków, zamieszkałych w kraju i za granicą. Wyliczając poprzednie w tym celu czynione starania, proszący opowiadają pośmiertną, dwuwiekową chwałę Józafata. Zaraz po dokonaném męczeństwie, mnóstwo niewątpliwych cudów, które się przy grobie jego objawiły, rozgłosiło po całej polskiej krainie świętość i sławę Męczennika. Uznany przez Urbana VIII w 1643, *Błogosławionym*, ścigany był od schyzmy z niemniejszą po śmierci jak za życia zaciętością. Gdy Moskwa za Jana Kazimierza zajęła Białoruś, a następnie większą część Litwy, wodzowie jej dopytywali się starannie o relikwie Józafata. Uprowadzone szczęśliwie przez lat dwanaście chowano w Zamościu; i dopiero gdy nieprzyjaciel został wygnany a kraj uspokojony, wróciły one z tryumfem naprzód do stolicy Litwy, a następnie na miejsce dawnej swej siedziby, do Połocka. W czterdzieści lat później, gdy Moskwa znowu wkroczyła do Polski, car Piotr, choć wówczas sprzymierzeńcem był króla polskiego, stanąwszy w Połocku, kazał więzić i męczyć Bazylianów, by mu relikwie Józafata wydali. I tą razą uprowadzone dość wcześnie, wśród burzy

która trzęsła całym krajem, nie znajdowały nigdzie bezpiecznego schronienia. Przewożono je przez lat kilkanaście z miejsca na miejsce, w końcu złożone cichaczem w Radziwiłłowskiém miasteczku Białej, dla tém większej pewności zostały zamurowane w zamku książęcym. Dopiero w drugiej połowie XVIII wieku wydobyto je z ukrycia i czci publicznej powrócono. Tak te święte relikwie żywym, można powiedzieć, były obrazem owej Unii ciągłą kołatanej burzą, ciągłemi wywracanej przeciwnościami, od wewnętrznych i od postronnych tępionej wrogów, a zawsze — gdy cisza nastaje — dźwigającej się na nowo, z większą niż kiedykołwiek świetnością!... Przez lat sto zostawały te relikwie na Podlasiu, i kiedy, w tej epoce, pod panowaniem Moskwy wszystkie dyecezye unickie z kolei runęły, ta jedna tylko do dziś dnia dotrwała, której jakby swą obecnością strzegł święty Męczennik. Dziś i ztamtąd porwała go schyzma, nie pierwej jednak, aż z wysokości tronu Piotrowego Józafat ogłoszony został Świętym i Patronem unickiego Kościoła!

Ta nienawiść instynktowa, jaką schyzma od dwóch wieków przejęta była do Józafata, rosła, rzecby można, w miarę dobrodziejstw, których naród polski od niego doznawał i w miarę miłości, którą jemu okazywał. W epoce, kiedy kraj cały zalany był nieprzyjaciół powodzią, za Jana Kazimierza, wszyscy w prowincyach wschodnich uciekali się po ratunek do Józafata i nikt nie wątpił podówczas, że główne nad Moskwą pod Cudnowem zwycięztwo, za jego przyczyną było odniesione. Król więc, wraz z senatorami, stając się tłumaczem wdzięczności narodu, wysłał do Rzymu biskupa chełmskiego Suszę z prośbą o dekret kanonizacyi Józafata. Ale nie stało się zadość powszechnemu narodu życzeniu; papież Aleksander VII nic w tej mierze nie postanowił. « Snać danèm było Stolicy Apostolskiej przewi« dzieć (słowa są dokumentu) że w dalszym czasie Polska i Unia więcej jeszcze « owej nadziemskiej ś. Męczennika pomocy, potrzebować będą. » Zaczém co w Rzymie nie dało się zrobić, to naród, o ile to było w jego możności, chciał z siebie uzupełnić i za króla Michała, konstytucyami na dwóch sejmach zapadłemi uznał Józafata Patronem państwa i Unii, a grób jego i miejsce męczeństwa hojną fundacyą opatrzył.

Nie było już później czasu do odnowienia starań dawniejszych o kanonizacyą; powiedzmy, nie było i ochoty! Pod koniec wieku XVIII, naród zarówno o obowiązkach dla ojczyzny jak o czci dla swoich świętych zapominał. Trwały wprawdzie, i w naszém stuleciu, pielgrzymki prostego ludu do Białej, ale nikt w klassach wyższych nie zwrócił się do Józafata, choć od wieków wyprobowanym był on patronem i chociaż na Rusi i Litwie lała się krew męczenników—unitów!... Dopiero (jak mówi dokument) pierwsze początki budzącej się na Wschodzie Unii, a bardziej jeszcze grożące narodowi ostateczne już niebezpieczeństwo, odżywiły choć po trochu dawną dla Józafata cześć i miłość. Akt wylicza kilka znaków tego odradzającego się nabożeństwa w różnych częściach kraju, i z nich czerpie nadzieję, że przyszedł

nareszcie czas oddania zupełnej na tym świecie chwały tak głośnemu niegdyś Męczennikowi. Idąc przeto za tradycyjném naszych dziadów i pradziadów uczuciem, pewna liczba Polaków zaniosła znów prośbę o ogłoszenie Józafata Świętym. A zaniosła ją do Papieża, który (wedle słów dokumentu) sam jeden, śród monarchów dzisiejszych, niezmienną dla Polski okazywał życzliwość i nigdy jej bronić nie przestał, i który też w istocie, w chwili gdy żadna ziemska potęga nie mogła i już nie chciała nas ratować, pragnął, ogłaszając w rok później, dekret kanonizacyjny, « dać nam w niebie możnego opiekuna, pragnął ludy Polski związać między sobą « silniejszym węzłem wiary i katolickiej jedności, i w zbolałe serca polskie rad był « wlać otuchę i pokrzepienie. »

Drukując po raz pierwszy rzeczone dokumenta, mamy na celu przynieść usługę, nie samym tylko miłośnikom historyi Kościoła. Nie posiadamy dotąd dokładnej biografii Józafata (1). Życie jego, jak wszystkich wogóle świętych polskich; ściśle jest związane z najważniejszemi wypadkami epoki w której żył i koniecznie musi być znajome każdemu, kto chce zdać sobie jasną sprawę ze stanu Polski XVII wieku,

(1) Najważniejszą z ogłoszonych dotąd o Józafacie prac, jest książka biskupa Suszy : *Cursus vitæ et certamen B. Josaphati etc*, służąca za główne źródło, z którego wszyscy późniejsi pisarze czerpali; napisana wprawdzie ze znajomością przedmiotu, ale stylem tak napuszonym i w sposób tak ogólny, że dzisiejszy czytelnik nie wiele z niej pożytku wyniesie. Susza układając swoje dzieło w Rzymie, gdzie się znajdowały wszystkie rękopiśmienne materyały, któremi się posługiwał, nie pomyślał o usprawiedliwieniu swych twierdzeń : nie było też to zwyczajem owej epoki; zaczém poszło że u pisarzy innowierczych nie ma on dosyć historycznej powagi i uchodzi raczej za panegirystę Józafata. Między krótszemi pracami, które w języku polskim o tym męczenniku ogłoszono, najpierwsze zajmuje miejsce *Mowa pochwalna* powiedziana w Rzymie przez O. Hieronima Kaysiewicza, podczas *triduum* zaraz po kanonizacyi odprawionego (Poznań 1868). Mówca, o ile rozmiary kazania na to pozwalały, nie pominął żadnego z ważniejszych szczegółów tego pełnego żywota: co większa starał się związać je z całością spółczesnych dziejów Unii i narodu. Wszakże najważniejszą częścią tej pracy, jest nie sama biogrefia świętego jak raczej pełne głębokości i trafności uwagi o obecnym stosunku Polaków i Rusinów. Każdy kto nad Unią i nad Rusią chce się zastanowić sumiennie, znajdzie w tych kilkudziesięciu stronicach bogaty przedmiot do studyów i rozmyślania. W języku rossyjskim, godnym jest wspomnienia rozdział o Józafacie w książce Kojałowicza *Cerkownaja litowskaja Unia*, tomów 2. Napisana wprawdzie z schyzmatycką do świętego nienawiścią, przytém z małą znajomością historyi Polski, a żadną ogólnych dziejów Kościoła, książka ta świadczy przecież, że autor unickie dokumenta pilnie studyował; pod tym względem wielce się on wyróżnia od swych poprzedników w Rossyi lub na Małorusi, których systematyczna niechęć stoi na równi z płytkością ich poglądu. Dzienniki paryzkie ogłosiły wstępy z obszernego o Józafacie dzieła Benedyktyna francuzkiego, Dom Alfonsa Guépin. O ile nam wiadomo, książka ta nad którą autor od lat pięciu pracuje, ma przedstawić żywot Świętego w ramach współczesnej historyi Unii i Rusi i będzie pod tym względem nader interesującą próbą historycznej Świętego monografii, których Francuzi mają tak wiele a my dotąd żadnej.

w jej wschodniej połowie. W dokumentach, których treść dopiero co podaliśmy, jakkolwiek szczupła jest ich liczba, znajduje się niejeden rys ważny nie tylko do historyi wielkiego obrońcy Kościoła ale i do obrazu tych na wschodzie naszego państwa ludów i prowincyj, na które dziejopisowie polscy przelotne i zazwyczaj roztargnione rzucali dotąd spojrzenie.

I.

KOMISSYA APOSTOLSKA

W SPRAWIE BEATYFIKACYI SŁUGI BOŻEGO

JÓZAFATA KUNCEWICZA

arcybiskupa połockiego.

Prokurator sprawy przewielebny RAFAŁ KORSAK biskup piński, koadjutor metropolii kijowskiej przełożony jeneralny zakonu bazyliańskiego (1).

(*) *Działo się w pałacu arcybiskupim połockim, r. p.* 1637 *d.* 3 *sierpnia, w obecności sędziów poddelegowanych, przewiel. i wiel. panów* Adama Szczyta *proboszcza trawieńskiego i* Wojciecha Sielawy *kanoników wileńskich*, Stefana Dyszkowskiego *subpromotora fidei i* Jerzego Paszkiewicza *notaryusza apostolskiego.*

Zeznawali przed Komissyą świadkowie przysięgli:

Wiel. Ojciec Gennady Chmielnicki, *ihumen połocki, zakonu Ś. Bazylego;*
Wiel. Ojciec Stanisław Kosiński *Soc. Jesu*
Wiel. Ojciec Doroteusz Lecikowicz *zakonu Ś. Bazylego,*
Wiel. imć pan Michał Tyszkiewicz, *podsędek połocki*;
Jmć pan Emanuel Kantakuzen;
Doroteusz Achremowicz, *burmistrz połocki*;
Jan Jakowlewicz Chodyga, *rajca połocki*;
Jan Dziahilewicz, *pisarz połocki.*

Świadek pierwszy.

W. O. GENNADY CHMIELNICKI przeor połocki zakonników Śgo Bazylego, spowiednik Sługi Bożego Józafata gdy był arcybiskupem, zeznał:

* 1° « Wiem z naocznego widzenia jako znajomy Józafata, jeszcze z czasów życia świeckiego nas obu: bo gdy tenże służył u Jacka Popowicza, burmistrza wileńskiego, ja uczyłem się w seminaryum ruskiém

(1) Zeznanie biskupa Korsaka opuszczamy, gdyż jest tylko streszczeniem tego co świadkowie naoczni nierównie dokładniej opowiedzieli.

(*) Ustępy oznaczone * tłumaczone są z łacińskiego.

wileńskiém które zostawało pod zarządem ś. p. Piotra Arkadyusza, obaj zaś chodziliśmy do kościoła Ś. Trójcy, i tak w najściślejszą wszedłem z nim zażyłość. Wiem przeto jako świadek naoczny, że Jozafat w młodzieńczym wieku wzorowe prowadził życie, ćwicząc się w cnotach, unikał ludzi lekkich i płochego obyczaju a przestawał z katolikami uczonymi i cnotliwymi a zwłaszcza z rzeczonym ś. p. Piotrem Arkadyuszem, mężem wielkiej powagi i nauki, ze zmarłym Józefem, metropolitą kijowskim gdy tenże był jeszcze człowiekiem świeckim, z O. Walentym Fabrycym *Soc, Jesu*, późniejszym kaznodzieją ś. p. Zygmunta III króla polskiego. O swoim wstręcie do zbożyszcz schyzmatyckich, tak mawiał Józafat: «że gdy Wileńczycy przystali do schyzmy, prosiłem Boga (rzecze) aby mi ukazał sprawiedliwą drogę, i zaraz taki wstręt poczułem do schyzmy, że nieraz z Prorokiem powtarzać musiałem: *Nienawistne mi są zbożyszcza złośników*,» A chociaż mało było naówczas unitów, nic to jednak nie odstręczało Józafata, który zawsze do kościoła unickiego chadzał, tamże w dzwony dzwonił, przy obrzędach świętych sługiwał i księgi duchowne czytywał wciąż w domu, za domem i w sklepie.

2° «Józafat urodził się w r. 1580 w Włodzimierzu Wołyńskim. Rodzice jego Gabryel Kunczyc radzca włodzimiérski i Maryanna córka innego radzcy tego miasta byli prawowierni; nic tam wówczas nie wiedziano o schyzmie. Ochrzczony w kościele włodzimiérskim S. Parascewy otrzymał imię Jana; po katolicku w religii prawowiernej wychowany. To wszystko wiem, ponieważ czytałem świadectwo miasta Włodzimierza, przechowywane dawniej w archiwum monasteru wileńskiego S. Trójcy mnichów unickich bazyliańskich, teraz zaś na żądanie przewielebnego imć. księdza Arcybiskupa połockiego przysłane do Połocka. A także wiem z opowiadania i z własnych ust Sługi Bożego Józafata, który często przy mnie i przy wielu świadkach o swoim ojcu, matce i o swém wychowaniu wspominał. Mówił tedy, że chłopięciem będąc z ojcem swoim chadzał do wspomnionego kościoła. Razu pewnego wpatrzywszy się w ukrzyżowanego Zbawiciela, zapytał co ten krucyfiks znaczy? Na co mu ojciec odpowiedział: że to jest wyobrażenie P. N. Jezusa Chrystusa Boga-Człowieka, który dla zbawienia naszego z niebios zstąpił i wziąwszy na się ciało ludzkie, w niém śmierć poniósł za grzechy nasze i dla zbawienia nas wszystkich.

« W tej samej chwili, rzecze Jozafat, uczułem jakby iskrę płomien-
« ną która wpadła we mnie i taką zapaliła miłość do nabożeństwa koś-
« cielnego, że się mu zupełnie poświęciłem i nie pamiętam bym przez
« lat trzydzieści kiedykolwiek je opuścił. »

3° « Wiem że w r. 1604. w Wilnie, Sługa Boży mając lat około 24 wszedł do zakonu Ś. Bazylego a przyjmował go i w habit przyodział Hipacy, metropolita. Ponieważ jest zwyczajem zakonu naszego razem

z odzieniem świeckiém składać i imię swoje chrzestne, przeto w miejsce Jana Józafatem został nazwany i tegoż dnia, w którym suknię wdział, złożył także śluby zakonne, jak to u nas zdawna się czyniło aż do czasów reformy przez Józefa i Józafata wprowadzonej. Tenże Hipacy Pociej, metropolita, dał mu święcenia mniejsze i większe, nie wyjmując kapłańskiego; został jednak księdzem dopiero w cztery lata po otrzymaniu dyakonatu. Cóż mam powiedzieć o życiu jego samotném i tak doskonale zakonném? Chyba to że Pan Bóg dał go nam jako zwierciadło i przykład życia kontemplacyjnego i czynnego zarazem; biada nam, którzyśmy znali Józafata a naśladować go nie umieliśmy! Unikając gwaru ludzkiego, obrał sobie za mieszkanie kaplicę Ś. Łukasza w monasterze wileńskim Ś. Trójcy i tam bez najmniejszej przerwy oddawał się modlitwie i czytaniu ksiąg duchownych.

4° «Jako rówiennik jego i towarzysz prawie codzienny, wiem z naocznego widzenia, że od wejścia swego do zakonu aż do śmierci żył jak najświętobliwiej, pełniąc ściśle różne urzędy zakonne, słuchając spowiedzi, każąc, zarządzając domem, wywiązując się najsumienniej z swego obowiązku tak dobrze śpiewaka jak prokuratora, szafarza, dozorcy chorych i t. p. Zostawał Józafat w monasterze wileńskim do chwili w której na stolicę arcybiskupią został powołany, a tak dobrze w zakonie jak na świecie taka o jego świętości rozchodziła się sława, że ten tylko go nie czcił, kto go nie znał. Dla tego różni, najpoważniejsi mężowie usilnie się o niego dobijali, i tak: ś. p. Hieronim Chodkiewicz, kasztelan wileński, będąc kollatorem monasteru supraślskiego, pragnął gorąco widzieć go u siebie archimandrytą; podobnież Jan Mieleszko, kasztelan smoleński, doprászał się o niego dla monasteru żyrowickiego, niemniej jak ś. p. Grzegorz Tryzna dla monasteru byteńskiego; krótko mówiąc, jak już się rzekło, ten tylko Józafata nie miłował, kto go nie znał.

5° « Wiem ze spólnego z nim pobytu w monasterze i przez cały czas jego arcybiskupstwa, jak pościł, czuwał, włosiennicą się odziewał, sypiał na ziemi, przez pięć lat pił tylko czystą wodę, nosił pasy kolczaste, biczował się codziennie jeśli nie co godzina, i nieledwie co dnia w domu jak za domem, wstawał wśród nocy dla chwalenia Imienia Pańskiego, a okładając się przez ten czas dyscypliną raz po raz powtarzał: « *Panie Jezu, znieś schyzmę, daj Jedność!* » Opowiadał mi O. Teodozy Borónik, dzisiejszy ihumen zbarażski, jako sam widywał go wychodzącego w nocy w zimie na cmentarz klasztorny, gdzie bosemi nogami stawał na kamieniu na przeciw ołtarza w kościele Ś. Trójcy i modląc się czas długi okrutnie się biczował. Z tego powodu nabawił się bolu w nogach, tak że do kościoła chodzić nie mógł. Zostawszy arcybiskupem, w niczém życia swego nie odmienił. W Połocku będąc jego spowiednikiem a zarazem ekonomem arcybiskupstwa

jako taki klucze od kościoła i domu miałem przy sobie; nieraz więc Arcybiskup przychodził do mnie w łóżku leżącego i zabierał klucze, bramy otwierał i w dzwony kościelne dzwonił, jakby tylko jemu jednemu Pan Bóg tę pracę poruczył.

6° « Wiem że ś. p. Józef (Rutski) mianowany w r. 1614 metropolitą oddał Józafatowi archimandryą monasteru wileńskiego. Tego zaś monasteru taki był naówczas stan, że tylko w nim sama młodzież się znajdowała nie mająca ani nauki dostatecznej ani doświadczenia; przytém uposażenie nader skromne, dochody szczupłe; i z tych powodów musiał Józafat wszystko prawie brać na siebie, tak że w tym samym czasie był i archimandrytą, i namiestnikiem, i kaznodzieją, i spowiednikiem, i prokuratorem i śpiewakiem. W istocie sam na wstawanie i na matutinum dzwonił, i tego tylko nie robił, czego nie mógł lub co mu na myśl nie przyszło! Sam chodził z jałmużną na utrzymanie monasteru, a było wówczas do żywienia sześćdziesięciu z górą mnichów, nie licząc ubogich którym codziennie znaczne dawał pomoce. A w tém wszystkiém anielską prawdziwie zachowywał wesołość, służyć braciom nie idąc ale lecąc prawie, skąpy w śnie, jeszcze skąpszy w jedzeniu, w ubraniu ubożuchny, w włosiennicy i dyscyplinie zakochany, z wielkim rygorem i sumiennością wszystkich ćwiczeń zakonnych przestrzegający.

7° « Cóż mam rzec o przedziwnej Sługi Bożego miłości dusz i gorliwości o ich zbawienie? Przez całe życie, jako dobry pasterz oddawał on duszę swoję za owieczki swoje, wszystkich do pokuty wzywał i w mojej obecności, uboższym rozdawał pomoc aby się u niego spowiadali. Robił zaś to w tym celu aby o nim i o jego pomocnikach nie myślano że są robotnikami przedajnymi jako owi pseudo-kapłani schyzmatyccy którzy od penitentów domagają się pieniędzy za wysłuchaną spowiedź. A nie tylko po kilka godzin słuchaniu spowiedzi poświęcał, ale dnie całe w mojej obecności temu świętemu dziełu oddawał. Rozmowy jego, kazania, dysputy z schyzmatykami i heretykami odbyte najwięcej przyczyniły się do nawrócenia całego prawie Wilna i Połocka. Słyszałem też z ust schyzmatyków jak go zwali *Duszochwatem* czyli dusz porywaczem i widziałem w roku jeśli się nie mylę, 1609, malowidło schyzmatyckie trzy osoby z postaci i imienia przedstawiające, to jest Hipacego metropolitę, Józefa wówczas archimandrytę, później metropolitę, dziś już w Panu spoczywającego i Józafata najgorliwszego Unii Ś. przepowiadacza, pod napisem *Duszochwat;* był on ubrany w suknię diabelską, w prawém ręku trzymał hak którym dusze ludzkie z przeciwnej strony do siebie przyciągał.

8. « Wiem że Józafat mianowany był koadjutorem arcybiskupa połockiego, a wkrótce potém, po śmierci Gedeona, samymże arcybiskupem, a obu tych godności dostąpił za sprawą ś. p. Józefa metropolity

i za przywilejem Najjaśniejszego Króla Polskiego Zygmunta III.

9. « W mojej obecności i gdy już byłem spowiednikiem Józafata, w r. 1617 został on koadjutorem ośmdziesięcioletniego Gedeona, gdy zaś ten w r. 1618 umarł, wstąpił na stolicę arcybiskupią, po czternastu latach życia zakonnego, z wielką radością Połoczczanów. Nim został poświęcony, nie sądząc się godnym tak wielkiej dostojności, chciał uciec na pustynią, i byłby to uczynił, gdyby go prośbami swemi nie zatrzymali pobożni zakonnicy a zwłaszcza Walenty Fabrycy *Soc. Jesu*. Jak zaś postępował będąc arcybiskupem, świadczą wyraźnie owoce Unii na całej Białej Rusi. I nauką i przykładem stan kapłański do pierwotnej godności przywracał. Bywałem obecny na synodach dyecezyalnych co rok przez niego zwoływanych od początku jego arcybiskupstwa aż do śmierci, słyszałem jego gorące upominania do duchowieństwa czytałem i odczytywałem przepisy dla kapłanów przez niego ułożone, które jak sądzę, i dzisiaj w archiwum arcybiskupiém znajdują się. Walącą się katedrę połocką staraniem swém i nakładem naprawił i ozdobił, jak ją dziś widzimy; wiedząc doskonale jak szczupłe są arcybiskupstwa dochody, pojąć nie mogę jak mógł nastarczyć takiemu wydatkowi. Dobra kościelne powydobywał z rąk świeckich i monaster połocki odebrał drogą prawną rodzinie Korsaków, w większej części heretyckiej lub schyzmatyckiej, która sobie prawo do niego przywłaszczyła.

10. « Widziałem sam że przez cały czas swego arcybiskupstwa najświątobliwszym był pasterzem, oddany całkiem zyskiwaniu dusz, przyciągał kogo mógł do Ś. Unii. Z schyzmatykami w tym tylko celu rozmawiał aby ich do Unii zachęcić, ścigając zresztą schyzmę jakby psa lub węża; dla tego i na kazaniach przeciw niej piorunował, i krnąbrnych swych dyecezyanów prawem królewskiém dochodził, edyktami sądowemi karał i tylko dla Unii uwalniał.

11. « Żadnej on nie miał osobistej niechęci do schyzmatyków, prócz tej jedynie że byli schyzmatykami, przeciwnymi prawowiernej i apostolskiej religii, nie uznającymi najwyższego pasterza Papieża rzymskiego. Znając doskonale wszystko co się działo koło Józafata, wiedziałbym przecież gdyby inna tego była przyczyna. Słyszałem zaś od samych schyzmatyków, że gdyby Jôzafat do nich chciał należeć u stóp jego wodęby pili. (1)

12. « Wiem od wielu osób wiary godnych a i z ogłoszonych królewskich dekretów, że niejaki Teofan pseudo-patryarcha jerozolimski przybywszy z Moskwy do Kijowa i ku wielkiemu Unii Ś. pokrzywdzeniu poświęciwszy fałszywych biskupów, wzniósł wszędzie katedrę na-

(1) Oryginał łaciński mówi tak: « si Josaphat esset a partibus illorum, pedibus illius lotis aquam biberent. »

przeciw katedrze i prawdziwych biskupów ucisnął. W szczególności zaś Melecy Smotrycki, pseudo-arcybiskup połocki wydrukowawszy okólne listy rozesłał je po całej archidyecezyi i w tych odradzając Ś. Unii a do schyzmy namawiając, Józafata heretykiem i papistą mianował, siebie zaś udawał za prawdziwego pasterza. Takowe listy posłałem Józafatowi wracającemu z Warszawy i doniosłem mu o wszczętych w Połocku rozruchach. Co gdy Mąż święty odebrał, zaraz do Połocka pośpieszył i tam usilnie pracując, jednych publicznie, drugich prywatnie starał się przekonać i w końcu większą część Połoczczanów do owczarni Chrystusowej zawrócił. Ale Witebszczanie bardziej rozzuchwaleni odtrącili prawego pasterza, zbudowali sobie zbożyszcza, i popów od Melecyusza przysłanych, tamże nastawili z wielką Józafata boleścią.

13. « Wiem że aby do Unii schyzmatyków nawrócić, nigdy Józafat im nie groził, źle z nimi się nie obchodził, nie krzywdził ich, nie prześladował, ale starał się dojść do celu łagodnemi słowy, upomnieniem, przedstawieniem, a tak był w tym względzie szczęśliwy, że rzadko którego schyzmatyka nie przejednał. W szczególności zaś wiem, że za jego sprawą z schyzmy przeszli do Unii Ś. wielkiego znaczenia senatorowie Królestwa : ś. p. Teodor Skumin wojewoda nowogródzki, Jan Mieleszko kasztelan smoleński, Michał Sokoliński wojewoda połocki, ten ostatni z herezyi kalwińskiej. Między szlachtą, wiem o jednym zwanym Soroka, którego Mąż święty w ciągu godziny z trzema córkami nawrócił z herezyi kalwińskiej i zaraz wszystkich wyspowiadał. Byłem także obecny kiedy już konającego szlachcica heretyka nawrócił, niedaleko Nowogródka, ale nazwiska jego nie pomnę. Umyślnie do niego pojechał, gdy się o jego chorobie dowiedział, do wiary katolickiej nakłonił, wyspowiadał i te od umierającego usłyszał słowa : «teraz wiem, że Bóg przysłał do mnie swojego Anioła ! » Znałem także i widziałem pozyskanych dla Kościoła przez Józafata dawniej schyzmatyków lub heretyków: Jana Bochańskiego, Jana Lateckiego, Filona Kosarowskiego ; a między mieszczanami połockimi, celniejszych : Łukasza Jurgiewicza, Terlikowskiego burmistrzów, Jerzego Guttkein chirurga i wielu innych, których nazwiska wie tylko jeden Bóg wszechmocny.

14. « Słyszałem nieraz, że schyzmatycy zawsze jak najgorzej dla Józafata byli usposobieni, zwłaszcza Witebszczanie. Wszakże i w Połocku gdy Józafat na ratusz miejski przyszedłszy kazał odczytać swój przywilej na arcybiskupstwo, w którym wyraźnie położone było, *że ma w Unii świętej trwać*, zaraz między ludem wszczął się rozruch wielki, tak że już wtedy o mało nie zginął za Unią. Byłem zaś obecny w Witebsku, kiedy schyzmatycy widząc że on kościół zupełnie przerabia i przyozdabia, powiedzieli mu : « jeżeli cerkwi nie zostawisz jak da-

wniej była, zginiesz, » i chcieli go przy mnie zrzucić z mostu; domowników zaś jego nienawidzili, lżyli, prześladowali, nawet razami okładali. Ojca Maxyma Turczynowicza, bazylianina, dziś zmarłego, kijem uderzyli gdy ofiarę świętą czynił, podczas poświęcania Józafata, co się także kilkakrotnie zdarzyło O. Doroteuszowi Lecikowskiemu, naonczas archidyakonowi Józafata. To wszystko wiem, ponieważ albo sam na to patrzałem, albo słyszałem od osób, które na sobie doświadczyły nienawiści schyzmatyckiej. Nadto, kiedy wizytując swoję dyecezyą, sługa Boży przyjechał objąć w posiadanie Mohylew, w takiém był niebezpieczeństwie, że gdy całe miasto naprzeciw niemu zbrojnie się rzuciło, trzeba było na razie odstąpić. A tego oporu nic innego nie było powodem, jedno Unia święta. I to także wiem że schyzmatycy mohylewscy wiele tysięcy złotych przywieźli do Połocka, ofiarując mu je z prośbą, by Józafat przysiągł posłuszeństwo Patryarsze konstantynopolskiemu, a w takim razie i oni z całego serca jego zwierzchnictwu się poddadzą.

15. « Wiem niewątpliwie że Połoczczanie i Witebszczanie zmawiali się na zabicie Sługi Bożego; z ust ich słyszałem groźby przeciw Józafatowi. Kiedy razu jednego Sługa Boży rzekę Dźwinę przepływał, rybak pewien witebski był nasadzony by go zgładzić strzelbą, ale wstrzymał się od tej zbrodni, z obawy by go nie wydał mały synek którego miał wówczas przy sobie.

16. « Często słyszałem jak Sługa Boży wyrażał chęć oddania życia za wiarę świętego Kościoła rzymskiego i za Unię świętą, czytałem listy które wszystkie do tego zmierzały, by umrzeć za Chrystusa; jedném słowem, więcej on niż za życiem, tęsknił za śmiercią. Dla tego i przy stole ciągła była o śmierci mowa, o niej w kazaniach ciągłe wspominanie, dla tego wszystkiego zaniedbywał, co służyć mogło ku jego obronie, a przy tém byłem i patrzałem na to. Jakoż gdy mu przedstawiano że zbyt często i niedyskretnie (ile że przy jedzeniu) o śmierci wspomina, odpowiedział Józafat: *Nikt tobie nie przeszkadza jeść, jak mnie nikt nie przeszkodzi umrzeć za Boga mojego i za jego świętą wiarę katolicką!*

17. « Nie byłem w Witebsku 12 listopada 1623 r., bo mi polecił Sługa Boży Józafat abym doglądał robót w kościele katedralnym połockim ś. Zofii, i przyspieszał dla Sługi Bożego grób, który on proroczym jakoby duchem kazał przygotować w ścianie kościoła katedralnego, i mówił: « wtedy dopiero będę szczęśliwy, kiedy posłyszę że mój grób skończony. » I gdy w istocie go skończono, napisał do mnie Sługa Boży Józafat, abym posłał murarza do Witebska dla naprawienia murów kolegiaty, a ten list doszedł mnie 13go listopada, to jest nazajutrz po śmierci Józafata.

18. « Przyjechałem do Witebska aby przewieźć Sługę Bożego do

Połocka w piętnaście dni po szczęśliwém męczeństwie, i znalazłem ciało w kościele zamkowym ś. Michała już złożone, po wyciągnięciu go z wody. Było dziwnie piękne, nierównie piękniejsze niż za życia. Należałem do orszaku który ciało Sługi Bożego przewiózł Dźwiną do Połocka, wobec wielkiego tłumu ludu: jęczała schyzma, unici głośno wysławiali męczennika, i słyszałem jak niemal wszyscy domagali się pomsty nieba na ojcobójców. Wielu ze łzami i szlochaniem modlitwom męczennika się polecało; nawet ojcobójcy zbrodnię swoję wyznawali i opłakiwali. Co większa, pastor kalwiński w Witebsku, odprowadzając ze łzami ciało Sługi Bożego do statku, chciał także ze swymi sekciarzami dźwigać mary i zawołał: « *nieszczęśliwi, niewinnego człowieka zabili.* » Przybywszy nareszcie do Połocka w towarzystwie Doroteusza burmistrza połockiego, Dziahilewicza pisarza tegoż miasta i wielu innych tak duchownych jak świeckich osób, złożyliśmy święte zwłoki w kościele katedralnym i przez kilka miesięcy wystawiliśmy je na widok publiczny, dopóki rządzący obecnie arcybiskup uroczystego nie sprawił pogrzebu. Przez cały ten czas, w którym ciało było wystawione, najmniejszej zmiany, żadnego skażenia nie było widać. Przypominam sobie że gdy ś. p. Adryan Sokoliński pisarz wielki litewski ciało oglądał, z wielkiém zadziwieniem zawołał: « *piękniejszy on jest po śmierci, niżli był za życia*! »

19. « Zabili schyzmatycy Sługę Bożego jedynie z nienawiści do wiary katolickiej, która w Józafacie błyszczała, do unii z ś. Kościołem, i do zwierzchnictwa Stolicy Apostolskiej, których Józafat gorąco bronił, o nich kazał i wszelkiemi sposobami je rozszerzał. Sami ojcobójcy to wyznawali, że żadnej innej przyczyny nie mieli, i gdyby była, wiedziałbym o niej doskonale, świadom wszystkiego co przeciw Józafatowi knowano. Ale posłuszeństwo jego dla Papieża, samo jedno wystarczało że był im obmierzły. Podczas restauracyi katedry połockiej, kazał Józafat zburzyć cztery wieżyczki wcale kościoła nie zdobiące, a zostawić piątą pośrodku. Wnet krzyknęli schyzmatycy: « Znać oto papistę, Józafata; czterech patryarchów wygonił, a uczcił papieża! »

20. « Wiem że z rozkazu N. Króla Zygmunta III, surowe w Witebsku nastąpiło karanie, gdyż przeszło dwudziestu ścięto, wielu ogłoszono za bannitów i infamisów. Zdarzyło się też coś szczególnego w czasie tej exekucyi. Piotr Wasilewicz burmistrz połocki, ojcobójca w Witebsku schwytany, skazany był na śmierć przez komisarzy królewskich. Temu gdy kat kilkakrotnym zamachem naprzód rękę, potém uszy, w końcu głowę uciął, wnet krzyknęli wszyscy, « że to była kara przez Boga dopuszczona na świętokradzcę, » bo świętokradzko, będąc świeckim, schyzmatyków spowiadał i chrzcił. Wiem o tém, bom i dekret witebski czytał, i Piotra Wasilewicza, będąc ihumenem połockim doskonale znałem, a od nikogo nie słyszałem, aby schyzmatycy od Józa-

fata jakiejkolwiek krzywdy słowem lub czynem doznali; to zaś jako jego ojciec duchowny zeznaję, że nawet nie pomyślał nic złego o schyzmatykach, i owszem, chciał by się nawrócili i żyli. Z ust samego Józafata słyszałem te słowa: « gdyby Smotrycki, ów pseudo-arcybiskup połocki, chciał uznać władzę rzymskiego papieża, zarazbym mu odstąpił arcybiskupstwa a sam wróciłbym do mojej celi! » Ta rezygnacya wielce nas budowała i do życia zakonnego pobudzała i ducha ambicyi tłumiła.

21. « Jako śmierć męczenników zasiewem jest chrześcian, tak i śmierć Józafata była ziarnem wrzuconém w ziemię, które umarłszy, stokrotny owoc wydało; i dlatego to ojcobójcy, przez komisyę królewską katowi oddani, przed śmiercią wszyscy księżom unickim spowiadali się. Co się tyczy Melecego Smotryckiego, którego J. Ś. Papież Urban VIII arcybiskupem hieropolitańskim (w miejscu fałszywego arcybiskupstwa połockiego) mianował, sumiennie przekonany jestem, że Józafat tém był dla Melecego, czém Stefan dla Szawła; tego zaś Melecyusza chwalebne nawrócenie, sam Pan Bóg chciał stwierdzić cudownie, jak to opowiada kazanie pogrzebowe, miane przez jednego z OO. Jezuitów w Dermaniu na Wołyniu, 29 stycznia 1634 r. (1).

22. « Ponieważ w Witebsku nie byłem obecny, nie mogę przeto jako naoczny świadek mówić o cudach, które tam się zdarzyły, ale niech mi wolno będzie wspomnieć, co od innych słyszałem. Wszyscy to mówili że od dnia zabicia Sługi Bożego, aż do dnia w którym ciało jego z Dźwiny było wyciągnięte, ciemna chmura zawisła nad Witebskiem, i ludziom jakoby rozum odejmowała. Ciało Sługi Bożego zeszpecone różnego rodzaju ranami, wyciągnięte z wody pełne było życia a twarz miała wyraz anielski, co na własne oczy widziałem. A nietylko gdy było w Witebsku, lecz gdy je złożono w Połocku, też same miało znaki, usta bardziej jeszcze niż u żyjącego różowe i blaskiem niezwykłym świecące. Słyszałem także od wszystkich w Witebsku, że w tém miejscu, gdzie w rzece Dźwinie ciało Sługi Bożego było zatopione, światło nakształt pochodni z wody dobywało się, co szukającym zwłok, do ich znalezienia pomogło. Wielu ludzi, których dzisiaj już się nie spotyka, opowiadało mi, że gdy niesiono skrzynkę z przyborami które do mszy świętej męczennikowi służyły, taż z rąk niosących wyrwała się, i kielich który z niej wyskoczył, z wielkiém podziwieniem wszystkich obecnych, stanął na miejscu gdzie lała się była krew Józafata.

23. « Wiem doskonale i na sobie tego doświadczyłem, że ilekroć w naszych potrzebach lub chorobach, uciekaliśmy się do przyczyny Sługi Bożego, doznawaliśmy zawsze wielkich dobrodziejstw za łaską Wszechmocnego, który przez sługę swego działał. W szczególności zaś

(1) Kazanie O. Kortyckiego, rektora kolegium ostrogskiego.

widziałem na własne oczy, (co też od osoby o której mowa słyszałem), że Piotr Dankowski burmistrz połocki, wzrok już prawie zagasły, odzyskał przy przeniesieniu zwłok Józafata. Przy tej sposobności muszę tu wyznać grzech mój, że chociaż nie ze złej woli, jednak bardzo głupio postąpiłem, iż przywiozłszy z Witebska do Połocka włosienicę Józafata pokrwawioną, rozumiejąc że to było szpetnie, dałem ją do wyprania mniszkom naszym, tak jednak, że obecnie cała dochowuje się w Wilnie, w monasterze ś. Trójcy. Co się tyczy paraliżu, tego sam na sobie doświadczyłem w roku 1626, w miesiącu wrześniu, a to tak dotkliwie, że przez trzy lata nie mogłem zajść pieszo z monasteru połockiego do katedry ś. Zofii, nareszcie uczyniwszy ślub do Sługi Bożego, tak raźnie za pomocą Boską i Józafata przyszedłem do siebie, że zaraz nazajutrz byłem w katedrze odmówić mszę śtą, uszedłszy pierwej blizko pół mili polskiej, i do dziś dnia, przy łasce Bożej, mam się doskonale i chodzę gdzie chcę. Słyszałem od pani Anny Podbereskiej, wdowy po Danielu Szczycie podsędku połockim, od dwóch lat zmarłym, że gdy mąż jej w Warszawie dostał zaraźliwych śmiertelnych wrzodów, ona poleciła go panu Bogu, i w tej intencyi grób Sługi Bożego odwiedziła; poczém wspomniany p. Podsędek, oddalony 120 przeszło mil od Połocka, zaraz do zdrowia przyszedł, do grobu Sługi Bożego przybywszy, ślub żony swojej wypełnił. Widziałem wreszcie niewiastę pewną, mieszczankę połocką, Maryannę, obrządku łacińskiego, która przez czternaście lat na nogach i rękach po ziemi pełzała, a zrobiwszy ślub do Sługi Bożego i grób jego nawiedziwszy wyzdrowiała i następnie za mąż poszła. Byłem także świadkiem, jak w roku 1626, w wilią rocznicy śmierci Sługi Bożego, gwałtowny pożar zagroził kolegium jezuickiemu w Połocku. Obudzony wrzawą która w mieście nastała, z pałacu arcybiskupiego, gdzie wówczas mając nazajutrz kazać i spowiadać nocowałem, przybiegam do kościoła OO. Jezuitów i słyszę w środku kościoła głośno modlących się: *Sancte Josaphat ora pro nobis*! I w istocie, według mego sumiennego przekonania, Panu Bogu tylko i Józafatowi przypisać trzeba, że kolegium wraz z kościołem nie spłonęło, oba bowiem gmachy były drewniane, a zaledwo o dziesięć kroków od domów palących się oddalone. »

Świadek drugi.

EMANUEL KANTAKUZEN.

1. « Wiem że był zakonnikiem zakonu ś. Bazylego, bom go tak znał około roku 1613, ale którego roku i jak wiele lat mając wstąpił do zakonu, nie wiem, i z czyich rąk wziął habit zakonny, i jeżeli imię odmienił, to wiem że go zawsze w zakonie Józafatem zwano. Wiem też że professyą uczynił w zakonie, tylko nie wiem kiedy. Wiem że kapła-

nem był, bom mu się spowiadał jeszcze gdy był zakonnikiem prostym, i że dobrze, pobożnie i cnotliwie żył, w bogomyślności się kochał, i we wszystkich cnotach był znamienitym z wielkiém nas wszystkich zbudowaniem, bom na to sam patrzył; więcej on bywał w cerkwi aniżeli w monasterze, sam kaznodzieją bywał, sam kantorem, sam zakrystianem, sam dzwonnikiem, sam excitatorem, sam furtyanem, a to wszystko zawsze wesoło odprawował z wielką ochotą.

2. « Słyszałem od wszystkich którzy go w monasterze znali, że od wstąpienia do zakonu, żeby się więcej Panu Bogu podobał, wszystek się był udał na utrapienie ciała swego przez posty, niespanie, włosienice i dyscypliny. Pościel jego ubogiego człowieka niegodna była, a częstokroć na ziemi samej leżał. Od wstąpienia do zakonu, aż do samej śmierci koszuli nie zażywał, jedno włosienicy, paski żelazne kolące nosił pod włosienicą. Od wstąpienia do zakonu przez lat pięć nie pił nic prócz wody, aż mu starsi zakazali, bo był zepsuł żołądek tym napojem. Dyscypliny we dnie i w nocy czynił. Co wszystko (wyjąwszy wodę) aż do śmierci statecznie zachował, co dzień od cnoty w cnotę postępując. To wszystko wiem, bo kiedy był archiepiskopem połockim, na to wszystko oczyma mojemi patrzałem, i uszyma mojemi ciężkiem dyscypliny słyszał.

3. « Z doświadczenia samego wiem, co się działo w Połocku i Witebsku tak z ś. męczennikiem Józafatem, jako i z nami samemi domowymi jego przez wszystek czas archi-episkopstwa jego. Śmiercią mu zawsze grozili i nam, częstokroć w uszy prawie moje łajali nas, zwady wszczynali, i rzucali za nami kamieńmi chcąc tylko dać okazyą do zwady, a potém i do śmierci naszej, a zasadzki nam zawsze czynili w bramach. W cerkwi, ojca Maxyma Turczynowicza zakonnika, położywszy na ambonie, pośród cerkwi kijami bili, mało nie zabili. Ojca Dorofieja, wtenczas archidyakona archi-episkopa, toż potkało i mnie z nim mało nie zabito, kiedyśmy chcieli iść do cerkwi. Na ratuszu w Połocku mało nas nie pozabijano jakom już powiedział i w Witebsku. To wszystko wiem, bom to na sobie doznał, widział, słyszał.

4. « Nic więcej nie życzył sobie Józafat, jako umrzeć za wiarę świętą katolicką, i za prawdę Kościoła świętego i za Stolicę Apostolską i Papieża rzymskiego, ztąd arcydobrze wmpanowie poznać możecie, że mi raz mówił: panie Emanuelu! jedźmy do Kijowa, i będziem wiarę ś. katolicką, i unię ś. z kościołem rzymskim opowiadać, — a kiedym rzekł, prawdziwie mci panie nie chcę umrzeć, odpowiedział: Miły bracie! prędzej będziemy w niebie. Na kazaniach swoich często mawiał, a zwłaszcza w Witebsku, że wy mnie, prawi, chcecie zabić, a o mnie wiedzieć macie, że ja nie pragnę nic, jako umrzeć za wiarę jedności świętej. Toż obcując z szlachtą, z mieszczany, i z nami samymi rozmawiając o tém, za okazyą podczas i ze łzami oświadczał pragnie-

nie swoje, że nic sobie nie życzył, jako umrzeć za wiarę katolicką rzymską, i posłuszeństwo Papieżowi rzymskiemu; owszem, gdy mu chcieli dopomódz kompanii, gdy jechał do Witebska, aby tém bezpieczniej mógł tam swym świętym uczynić zamysłom, nie chciał żadnej ludzkiej przyjąć pomocy i obrony, i to oświadczając, że nic wdzięczniejszego Pan Bóg nie mógł mu uczynić na tym świecie, jako gdy męczennikiem mógł być za Unią z świętym Kościołem rzymskim, jakoż mu i dał Pan Bóg wypełnić żądze serca jego.

5. « Byłem przytomny ja w Witebsku 1623 roku 12 listopada, w dzień prawie niedzielny, kiedy święte męczeństwo Józafat podjął. Taką tedy sprawę daję o wszystkiém. W sobotę, to jest 11 listopada był ś. p. Józafat na rozjeździe z sąsiadem swoim dla dóbr cerkiewnych z szlachcicem na imię Krupieniczem, zkąd pospieszał się, sprawę z nim skończywszy, żeby mógł na nieszpór przybyć. Byłem ja sam na ten czas przy nim, gdyśmy przyjechali nad Dźwinę rzekę, i już ludzie po nieszporze z cerkwi wychodzili. A trzeba wiedzieć, że schyzmatycy w Witebsku, swoją bożnicę za Dźwiną przeciwko dworowi archi-episkopskiemu na drugiej stronie rzeki stojącą wystawili albo mają. Na brzegu spotkawszy mużyków naszych archi-episkopskich, którzy na spotkanie pana swego byli wyszli, poczęli do nich schyzmatycy mówić: « niedługo tu wam być z panem waszym archi-episkopem w Witebsku. » I skoro się ś. p. Józafat do miasta przewiózł, to śpiewacy nam powiedzieli, a przed tém przez dwie niedziele mieszkając w Witebsku, tedy rozmaitych środków zażywali schyzmatycy nam odpowiadając, *bij zabij* wołając, tylko żeby mogli mieć okazyą do zwady. Przyjechawszy ś. Józafat do dworu swego archi-episkopskiego, gdy po wieczerzy było, zawoła mnie i O. Dorofieja wtenczas archidyakona swego, i wziąwszy informacyą od niego, że pop schyzmatycki jakby na despekt archi-episkopa często się przed dworem przez Dźwinę do synagogi przewoził, zatém radził Słudze Bożemu, aby go porwać kazał jako nieposłusznego. Jam wprawdzie odradzał, ale moje zdanie na stronę uchyliwszy, determinował męczennik święty, żeby nazajutrz, to jest w niedzielę rano, gdy na jutrznię pop miał się przewozić, onego porwano i do więzienia dano. W niedzielę tedy rano przed jutrznią, przyjdzie O. Dorofiej do gospody mojej, gdzie też był i p. Łozowski, towarzysz mój, i mówił mi abyśmy wstali, bo już czas był. Wstaliśmy i wszystką czeladź do kupy zgromadziwszy, szliśmy na spotkanie popa, którego spotkawszy wzięliśmy go i do dworu zaprowadziwszy, kazaliśmy go zamknąć w kuchennej izbie. A ojciec ś. Józafat, już był w cerkwi na jutrzni, i skorośmy byli popa wzięli, chłop jeden tam przytomny gwałtu począł wołać, i we dzwony na gwałt bić, jakoż zaraz tak pospólstwo gotowe było na zabijanie nas, że do kilku tysięcy tejże godziny z różnym orężem i armatą nas goniło, i strzelali do nas

jak do zwierza, a myśmy się też bronili jak mogąc tak długo, aż Józafat mąż Boży przyszedł z cerkwi, i skoro do dworu przyszedł, zawoławszy mnie, rozkazał żebyśmy tego popa schyzmatyka wypuścili, jakożeśmy i wypuścili zaraz. Obaczywszy schyzmatycy popa wypuszczonego, trochę się byli cofnęli nazad, ale potém znowu ośmieliwszy się, ostrog albo parkan około dworu archi-episkopskiego zamkniony wysiekiwać siekierami poczęli, i przerąbawszy parkan, mocno, gwałtem, na podwórze się wysypali, strzelając na nas, którzyśmy z podwórza do sieni wstępowali, i niektórych z naszych postrzelili. Jednakże okrutnikom krzywda się żadna nie stała, bo ś. Ojciec zakazał był nam, abyśmy onych nie obrażali. Zawarliśmy się tedy nas kilku w sieni, ale prędko drudzy z naszych, gdzie kto mógł, pokryli się. Jam tylko z O. Dorofiejem i z p. Uszackim w sieniach pozostał, gdzie do nas gwałtownie szturmowawszy drzwi wybili, tamże mnie naprzód ran tak wiele zadano w głowę, jako sami wmć. widzicie, których na głowie i na innych członkach pokazuję trzynaście. Oprócz tego że mnie tak kijmi zbili, że też za cud Boży rozumiem żywot mój, a zwłaszcza iż po takich raziech, z łaski Bożej już to żyję lat czternaście, a żadnego bolu ani w głowie, ani w członkach nie czuję; a nie dziw że mię tak bito, bo mię też *duchem archi-episkopskim* zwano, i zabitoby mnie pewnie wtenczas, by mię cyrulik na imię Bartosza, heretyk, tamże nie był odratował, i do domu swego zaprowadził. Tamże przed oczyma memi ojca Dorofieja archidyakona kijmi zbito, i srodze poraniono, jednak żem już więcej przytomny nie był, co się we dworze potém stało, i choćbym był, pamiętaćbym nie mógł dla srogich bolów. Tom tylko słyszał z ust dobrego człowieka i katolika sędziwego, już niemal siedmdziesiąt lat mającego, szlachetnego Hrehorego Uszackiego, który tam był po nas przy tém, i wszystko widział, że ś. Ojciec wyszedł do zabójców do sieni, i przeżegnawszy ich, mówił: « Dziatki, co za krzywdę macie? co wam czeladka moja winna? Jeśli co do mnie macie, owo ja jestem, a czeladce mojej dajcie pokój, a nie zabijajcie jej! » Na które słowa zabójce się cofnęli, i jakby ich wiatr potężny jaki odepchnął, aż znowu zaraz zawołali: « *bij, zabij papistę tego, łacinnika*! » Zaczém kto mógł tedy tak długo bili, aż też okrutnie zabili. Jakiemi zaś ranami, jakim orężem, na jakich członkach ciała, i jak wiele ran zadano, i co Józafat mówił będąc raniony, samemu tylko Panu Bogu jawno, tym, którzy potém ciało zamordowane tak srodze widzieli, a ci są albo heretycy, albo żydzi, albo schyzmatycy. Od żadnegom też człowieka nie słyszał, aby Józafat miał utyskiwać na swoich zabójców, albo im jakie przykre słóweczko mówić. To tylko wiem, że z tych ran umarł — gdzie? czy na podwórzu, czy w sieniach? nie wiem, i to wiem od stróża archiepiskopskiego jako natenczas obecnego, że z sieni Józafata wywlekli, i psa który po zabiciu pana swego bronił, na ciele ś. męża rozsiekali.

Tamże go na podwórzu bili, kłóli, i to czynili co im samo piekło kazało. To wiem, że wszyscy też twierdzili i teraz twierdzą, od kogomkolwiek słyszał, a mianowicie p. Uszacki i stróż dworu archi-episkopskiego na imię Andrzej, którzy przytomni będąc na to patrzali.

6° « Po zabiciu sługę Bożego naprzód z sieni wyciągnęli, i tamże na wschodach nad ciałem Męczennika psa rozsiekali, potém obnażywszy go, ciągnęli do wierzchu góry nad Dźwiną będącej, i ztamtąd go na brzeg zrzucili wołając : *Dzierżysia Władyka, dzierżysia !* a potém w czółno go włożywszy, i uwiązawszy u nóg kamień, a u szyi włosienicę, kamieniami ją napełniwszy, i utopili go ćwierć mili od miasta Witebska w jedném najgłębszém miejscu, ażeby go nie mogli znaleźć katolicy, i ztamtąd wyciągnąć. To wszystko wiem, bom wtenczas był w Witebsku, słyszałem od katolików, schyzmatyków, heretyków i żydów.

7° « Prawda że p. Uszeniecki podwojewodzy, i p. Filip Osipowski sędzia grodzki, witebscy, rozkazali rybakom, aby ciała ś. Męczennika szukali, jakoż w piątkowy dzień, szóstego dnia ono po zabiciu z wody wyciągnęli i naleźli, że na pojrzenie bardzo piękne było, z wielkiém zawstydzeniem schyzmatyków, z uciechą katolików, com z ust słyszał, na łóżku na pół umarły leżąc w Witebsku, samego p. Podwojewodzego witebskiego, i p. Sędziego pomienionych. Wyjąwszy ciało z wody zaprowadzono uczciwie do Witebska i postawiono w cerkwi ś. Michała, tom też słyszał z ust wszystkich Witebszczan z którymi zdarzyło mi się o tém mówić, sam też widziałem przez okno, gdy ciało Męczennika Bożego prowadzono od wody do cerkwi. Potém przyjechali duchowni i świeccy z Połocka, i jako to : W. O. Gennady, Chmielnicki, igumen połocki, O. Jakow Dziekanicki protopop, burmistrze i rada połocka, i inni, którzy mię chorego, w Witebsku leżącego nawiedzili, i ci z wielką uczciwością prowadzili wodą ciało święte aż do Połocka w wielkiej gromadzie ludzi płaczących i narzekających na taki grzech, i jam tę processyą widział przez okno. Na ostatek i sam widziałem we dwie lecie ciało święte nic nieodmienione, leżące w cerkwi w katedrze połockiej, tylko było znać na niém rany i bicia. Słyszałem od czeladnika mego, imieniem Jana Jedlińskiego, dobrego katolika i szlachcica, rodem Polaka, który też tego dnia ze mną przy nieszczęsném zamordowaniu Józafata był bity, i od pomienionego Uszackiego, także od żydów tamecznych, i od wielu innych ludzi wiary godnych, że kiedy już zabito Męczennika Bożego i przed cerkiew Najświętszej Panny przed dworem archi-episkopskim stojącą, już go wywleczono, i z sukien obnażono, obaczyli iż nie miał koszuli na sobie, tylko włosienicę, nie wierzyli iż to był archi-episkop, ale prosty jaki zakonnik, rozumiejąc że archi-episkopowie w miękkich chodzą koszulach a nie w włosienicach, a potém i czeladnika mego pomienionego Jana Jedlińskiego i p. Uszackiego do ciała przyprowadziwszy bili wy-

pytując się, jeżeliby to Józafata arcybiskupa połockiego ciało było? Nawet samych żydów dla poznania przyprowadzono, którzy wszyscy zgodnie dawszy świadectwo o Józafacie zabitym przyznali to, że on nigdy koszuli na sobie nie nosił. Zatém tém więcej schyzmatycy uweseleni takie mu despekta wyrządzali, jakie nieprzyjaciel duszny mógł im do serca podać. Despekta mu wyrządzając, także baby i dzieci nad świętém ciałem się pastwiły.

8° « Pan Jan Uszeniecki podwojewodzy i p. Filip Osipowski, sędzia grodzki witebski, i inszych nie mało, p. Jerzy Bniewicz, podpisek grodzki witebski, którzy do nas zranionych przychodzili, to jest do O. Dorofieja, do p. Uszackiego, do mnie, i do p. Okulowa, i powiedzieli że ciało Męczennika Bożego z wody wywleczone śliczne było tak, jakoby żywego, i chociaż go przez sześć dni w wodzie zatopionego szukano, i hakami dobywano, jednakże żadnych razów, ani ran nie pokazywało, które mogły one haki żelazne w wodzie zadać. To ciało święte nie widziałem, aż niemal we dwa lecie w Połocku leżące, tak srodze zmęczone, jednakże takem go poznał wtenczas, jakem przedtém za żywota znał, w niczém nieodmienionego, jedno w tém, że czoło poczerniało, znać podobno że od bicia okrutnego, i to z tego tylko boku, z którego bite ciało, a nie z tego na którym leżało. Nie mogło to być ciało żadnego z naszych domowych, bom wszystkich znał dobrze jako starszy choć niegodny sługa dworu jego, a wszyscy zostali żywi, i widziałem ich potém żywych. Nie mogło też być ciało żadnej inszej osoby, bo takiem go poznał po śmierci, jak i za żywota.

9° « Ja ze wszystkim ludem katolickim tak rozumiem, że Melecyusz Smotrycki przedtém pseudo-archiepiskop połocki, potém archi-episkop hieropolitański od O. Ś. Urbana VIII uczyniony, przez krew Męczennika Ś. Józafata jest nawrócony. Bo co Ś. Paweł będąc Saulem uczynił Stefanowi, to Melecyusz uczynił Józafatowi, a Józafat Melecyuszowi.

10° « Wiem, bo codziennie słyszę, że każdy z obywateli tutejszych w swej potrzebie i biedach do Męczennika Ś. uciekając się, i łaski wielkiej od Pana Boga za przyczyną jego otrzymywa, i wiele cudów przez niego Pan Bóg uczyni. Znałem niewiastę w szpitalu OO. Jezuitów połockich, leżącą na ręce i na nogi ułomną, która do grobu Ś. Męczennika ofiarowawszy się, gdy ją prawie przyniesiono, od grobu sama zdrowa odeszła i za mąż poszła. Córkę moję, lat cztéry mającą na imie Annę na gorączkę srodze chorującą, którejby człowiek we trzydzieści lat wytrzymać nie mógł, przez osobliwszą łaskę i przyczynę ś. męczennika Józafata ofiarowałem : zaraz ozdrowiała. Pan Piotr Dankowski, burmistrz połocki, na oczy bardzo upadły, za przyczyną Ś. Męczennika ozdrowiał, i tego znałem. JW. Filianna Wołowiczówna Kossakowska, starościna łomżyńska, siostra rodzona ś. p. jm. ks. Eustachego Woł-

łowicza, biskupa wileńskiego na podagrę ciężko chorując, przyłożyła relikwie Błogosławionego Józafata do tego miejsca gdzie ból największy czuła, zaraz ozdrowiała, i tę znałem.

Świadek trzeci.

Pan Jan DZIAHILEWICZ, pisarz miejski połocki :

1° « Imie mi Jan Dziahilewicz, urodziłem się w Połocku, mam lat pięćdziesiąt trzy, jestem pisarzem przysięgłym miejskim połockim, przedtém byłem podpiskiem ziemskim i grodzkim.

2° « Kiedy do zakonu wstąpił, nie wiem, jam go dopiero znał r. 1611, bo przyjechawszy z Połocka do Wilna w pewnych sprawach, do cerkwi Ś. Trójcy wszedłem na dzień ś. Piotra, i obaczyliśmy że kazanie powiadał Józafat, i wywodził na kazaniu starszeństwo ś. Piotra i przodkowanie Stolicy Apostolskiej. My będąc schyzmatycy wtenczas (a ze mną był p. Eliasz Tukowicz, p. Paweł Pożyczki, p. Andrzej Maciuszewicz, p. Eliasz Osoka, burmistrz Dziesieński, wszyscy schyzmatycy), usłyszawszy takie kazanie mówiliśmy, że to *Duszochwat* powiada kazanie, i obrzydziwszy go sobie poszliśmy precz z cerkwi.

3° « Wiem co ś. Józafat czynił, kiedy był archi-episkopem doskonale, jako będąc schyzmatykiem, nie bardzom się pytał o tém : lubo to wszyscy schyzmatycy i ja z mymi *Duszochwatemeśmy* nazywali go, a to dla tego, że wszystkich do Unii, do spowiedzi, na kazaniach, na dysputacyach z heretykami i schyzmatykami, na rozmowach i do zakonu, wszystkich powabiał, o co samo schyzmatycy nań narzekali kiedym jeszcze był schyzmatykiem.

4° « Byłemci na processyi w Połocku wtenczas kiedy Józafat, jako koadjutor Gedeona archi-episkopa wjeżdżał do Połocka z wielkim tryumfem wszystkiego województwa i miasta Połocka, a potém wrychle został archi-episkopem po śmierci Gedeona, którego on sam pogrzebał i ja sam byłem na jego pogrzebie. Jednakże to wiem dobrze, że Józafat nie pragnął tej godności, i owszem często przed nami narzekał na ciężar archi-episkopski z tém się oświadczając, że pragnął i wzdychał do życia zakonnego i prywatnego. Onci wprawdzie o sobie rozumiał, że nie był godzien być pasterzem, ale Pan Bóg dla jego pokory uczynił arcy-pasterzem. A któryżby kapłan nie chciał się poczuwać w swym urzędzie, kiedy na takiego patrzał arcykapłana, i nauką i przykładem świecącego, synodami corocznemi, regułami i katechizmami dusze kapłańskie ratującego! A o nas świeckich co rzeką? Pojrzawszy na twarz jego ś. musiał się człowiek grzeszny wzdrygać na zły żywot i poprawiać, i ten tylko przeklęty człowiek był, który z nim obcować nie chciał. O cerkwi katedralnej połockiej ś. Zofii nazwanej nie mówię, bo ją sami Wmci. widzicie, jako ją wystawił Józafat, że

miło nie tylko nam ale i obcym patrzeć i przyjść do niej. Ale to może się przydać, czegoście Wmć. nie wiedzieli, a my sami oczywistemi jesteśmy świadkami, na cośmy patrzyli. Przed przyjazdem ś. Józafata bali się ludzie do cerkwi chodzić, bojąc się, żeby cegły ich, powoli upadając z sklepów (ze sklepień) nie pozabijały, jakoż niejednemu dały w łeb, a drudzy na tych miejscach, gdzie stawali, z deszczek dach nad sobą dawali w cerkwi, zaczém w cerkwi tak ciemno było, jak w jakiém więzieniu. Przyjechał Józafat do Połocka, znalazł ruiny cerkwi wspaniałej, od sześciuset lat zbudowanej, na szesnastu słupach wspierającej się, rzucił się wszystkim ducha zapałem na tak wielkiej machiny odnowienie, nie mając nic w mieszku, i za Bożą pomocą tak ją odnowił, że raczej się przyjdzie zdziwić, aniżeli wypowiedzieć, co i jako się stało na cześć i na chwałę p. Boga wszechmocnego i męczennika jego Józafata. Dobra cerkiewne albo odzyskał, albo fundamenta założył do odzyskania. Temu się wydziwować nie mogę, że sam przyszedłszy do ksiąg ziemskich połockich wartował, że od poranku aż do wieczora, szukając dokumentów na dobra archi-episkopskie bardzo spustoszałe i od ludzi świeckich pozabierane. I spotykały go despekta różne od tych, którzy nienależnie dobra duchowne trzymali. Mało go panowie Korsakowie nie zabili, gdy z rąk ich własnych jako niesłusznie dzierżących monaster połocki odzyskał.

5º« Byłem sam przytomny natenczas w Połocku i byłem osobą moją na processyi, kiedy Józafat zostawszy koadjutorem archi-episkopstwa połockiego przy bytności niemal wszystkiego województwa połockiego, podczas roków trzykrólskich, *die* 9 *Januarii* 1618 wjeżdżał do Połocka; wprowadzał go j. w. im. p. Janusz Skumin Tyszkiewicz, wojewoda trocki teraźniejszy, a wówczas był jeszcze pisarzem W. K. L. i starostą bracławskim. Potém gdy Gedeon archi-episkop połocki umarł, on nastąpił na archi-episkopa. Taką zaś godność otrzymał za przywilejem króla jmci Zygmunta III a za promocyą i poświęceniem sługi pańskiego O. Józefa metropolity.

6º « Wiem to z doświadczenia jako plenipotent przeciwko schyzmatyków od niego postawiony, że jeżeli kiedy prawnie z schyzmatykami postępował, i ich dekretami przykrywał albo listami królewskiemi, nie dla tego tak ostro z nimi postępował, że jaką krzywdę od nich uczuł, ale tylko dla tego, że się przeciwili wierze ś. katolickiej apostolskiej, i Ojca Ś. Papieża za głowę przyznawać nie chcieli. I mnie samego to do męża Bożego wielce powabiało, że cokolwiek jedno miał, na chwałę Bożą obracał, a sam nie szukał inszego, jeno żebyśmy byli katolikami i do jedności świętej przystąpili. Zaczém sam wielu unitów, a wyraźnie mnie samego tak był zapalił, że to moja największa uciecha była wdawać się w niebezpieczeństwo zdrowia dla Unii świętej. Nawrócenia się zaś mego do Unii była okazyą książka : *Obrona Jedności Świę-*

tej (1), którą mi zostawszy archi-episkopem Józafat darował, i teraz mam, i wielce ją szanuję.

7° « Świadomym bardzo dobrze, jako wiadomy, oczywisty, codzienny świadek, jakich sposobów zażywał Józafat, aby niewiernych do wiary świętej i jedności Kościoła Bożego przywiódł. Bo naprzód, kto dość wysłowi i wysławi gorące kazania, które on sam niemal zawsze miewał, tak że też lud miłością słuchania słowa Bożego zdjęty, cerkiew ś. Zofii dość wielką tak napełniał, iż też miejsca nie było w cerkwi, i gdy na kazaniu Mąż Boży podczas mawiał chcąc audyencyą sobie zjednać; że was dziatki nie będę bawił na kazaniu, tedy lud pospolity mówił : « baw Ojcze choćby i cały dzień, miło cię słuchać. » Kto bez wdzięcznej pamiątki przypomnieć może mądre jego z heretykami, schyzmatykami dysputacye, i z nami unitami mądre jego dyskursy? Zaiste biczem Bożym był na heretyki i schyzmatyki; a jedyną uciechą nas katolików. Książki katolickie między nas rozdawał, które potém sam nam tłumaczył miluchno, łagodniuchno i jako ojciec miły z nami postępując. Z ksiąg słowiańskich starych, pobutwiałych, które w cerkwi znalazł, one przeczytawszy schyzmatyków konfundował, że sami i czytali w nich o starszeństwie ś. Piotra, i sami nie wiedzieli co czytali. Kogo zaś nawrócił, ma co mówić, i ja sam i wszystko miasto Połock do jedności świętej byliśmy nawróceni, i w tej teraz wszyscyby trwali, kiedyby król jmć. teraźniejszy nie dozwolił schyzmatykom mieć cerkwi swojej w Połocku, bo przedtém za Gedeona i inszych władyków wszyscyśmy schyzmatykami byli.

8° « Samem był po większej części uczęstnikiem tumultu i prześladowania, i krzywd które potykały ś. Józafata w Połocku. Byłem sam przy tém na ratuszu, kiedy go mało nie zabito, i mnie przy nim, że unitem być ozywałem się, i listym królewskie wyniósł przeciwko Smotryckiemu pseudo-archiepiskopowi, żeby go Połoczczanie nie słuchali i owszem go za impostora mieli. Wtenczas po przeczytaniu tych listów taki się tumult stał, że mało nas wszystkich unitów nie pozabijano wespół z ś. Józafatem. I inszemi razy częstokroć na ratuszu, i po domach śmiercią mi grozili, żem przestawał z Mężem Bożym. A co większa krewni i przyjaciele moi nie chcieli się witać, widywać i obcować ze mną, zadając mi to żem ja unit, i pasterza mego należnego słuchał. To więc przydawali, że małoby było po Unii w Połocku, gdybym ja i pan

(1) Książka ta wydaną została w Wilnie w r. 1617 pod imieniem Leona Kreuzy (Rzewuskiego) który po Józafacie na archimandryą monasteru Świętej Trójcy postąpił. Mówimy *pod imieniem* a nie *przez Kreuzę*, bo ktokolwiek uważnie tę książkę przeczytał a ze sposobem pisania i dyskutowania świętego Józafata był oznajomiony, ten przyszedł zapewne do przekonania, że jej głównym autorem jest święty Józafat, co też wreszcie jeden z jego biografów, biskup chełmski Susza, utrzymuje. Być może że to była praca zbiorowa całego monasteru przez Jozafata prowadzona, po jego odjeździe ukończona i dla tego wydana pod imieniem następcy. Co jeszcze ten domysł zdaje się potwierdzać, że późniejszy następca Dubowicz wydał ją znowu pod swojém imieniem z małemi zmianam a pod tytułem : *Hierarchia Duchowna* etc. *Przyp. Wydawcy.*

Dorofiej burmistrz odstąpił Józafata. Głupi ludzie, sprawę Bożą na tak błahym fundamencie zakładali!

9° « Słówkam zgoła przykrego nie słyszał od Józafata, któreby mogło obrazić schyzmatyków, i w taką ich nienawiść wprawić, i owszem choć miał wielki przystęp do buntowników, i prawem je mógł pokonać, i o karanie słuszne przyprawić, nie chciał żadnych ostrych zażywać sposobów, tylko jawnie zawsze mawiał, że tylko po nich chciał, aby byli unitami. To tu przypomnę, że gdy ci hersztowie schyzmatyków, którzy się byli na śmierć Józafata sprzysięgli, obaczywszy się potém, unitami pozostawali, i przyszli do dworu archi-episkopskiego tu w Połocku, Józafat obaczywszy ich na podwórzu, zabiegł sam im drogę, i obłapiał ich z płaczem, dziatkami swemi miłemi nazywał i zaraz do cerkwi z nimi wszedłszy, Panu Bogu z śpiewaniem za pozyskanie dusz zginęłych dziękował.

10° « Wiem że wszystkiego złego był początkiem Smotrycki niegdy pseudo archi-episkop połocki. Ten i listami i zakonnikami swymi wszystkie archi-episkopstwo pobuntował, za któremi buntami i Józafata mało nie zabito, i nas przy nim, jakom już wyżej powiedział, tak, że mi tu już i słów do rozszerzania nie staje. Prawda że Mąż Boży po większej części te bunty był uskromił w Połocku, ale w Witebsku bynajmniej, gdzie swoje synagogi sobie budowali schyzmatycy, chowając przy nich pseudo-presbiterów dla potwierdzenia ich w schyzmie. Jako też poczęli byli w Połocku, ale się to im nie powiodło, bo czuły pasterz staraniem swojém one znosił.

11° « Było to aż nader, że i uszy niemal i grzbiety nasze czuły dobrze krzywdy, które ś. Józafat ponosił od nieprzyjaciół Kościoła Bożego. Nas bili, nas złorzeczyli, nas prześladowali, a na nas wołali w Połocku na ratuszu, i przy Józafacie i bez Józafata mało nie zabili, o czemem już powiedział. A lubom nie był w Witebsku, przecież słyszałem, że go i tam na ratuszu mało nie zabili, współprzysiągłszy się, i czapki w kupę na znak konjuracyi zrzuciwszy, mało go nie zabito, w cerkwi bito kapłanów i dyakonów, i sługi. Tom widział i w Połocku, i słyszał od ludzi wiary godnych, owszem od samych schyzmatyków witebskich, którzy mówili przedemną : « O! nabrał się strachu od nas « archiepiskop wasz Józafat! »

12° « Słyszałem nieraz z ust schyzmatyków, że mu wszystek koszt ofiarowali na drogę, żeby jechał do Patryarchy konstantynopolskiego obiecując się mu być posłusznym. A Józafat schyzmatykom odpowiedział : « Dobrze, pojadę prawi, ale żebym go do do unii Kościoła Bo« żego powabił, ale nie dla tego, żebym mu posłuszeństwo oddał. » Te rzeczy wiem jako przysięgły niewinności Józafata świadek.

13° « Słyszałem z ust sługi Bożego, że na kazaniu oświadczywszy artykuł wiary ś. o pochodzeniu Ducha ś. od Ojca i od Syna, o przodko-

waniu ś. Piotra i następników jego papieżów rzymskich, łzami się zalawszy protestował, że za taką wiarę umrzeć był gotów, a w prywatnych rozmowach z schyzmatykami mawiał przy nas samych : « Pano« wie, wiem ja, że mnie chcecie zabić, ale to wiedzcie, że ja rad duszę « moję za prawdę wiary świętej katolickiej rzymskiej położę, a na « wasze plotki nie pozwolę ! » I to w oczach moich się działo, kiedy ostatni raz jechał do Witebska, obywatele województwa połockiego chcieli z nim jechać dla ozdoby i obrony jego od schyzmatyków, ale on żadnej pomocy nie potrzebując, mówił : « nic nie potrzebuję, i bo« dajbym tak szczęśliwym był, żebym za wiarę świętą katolicką rzym« ską poległ. »

14. « Nie byłem w Witebsku *anno* 1723 *die* 12 *novembris*, kiedy zabito męża Bożego, alem przyjechał po śmierci we dwie niedziele z wielką obywateli połockich gromadą, na odzyskanie ciała Męża Bożego, i tam przyjechawszy naleźliśmy go w cerkwi Ś. Michała bez trumny leżącego w ubiorze episkopskim, i oczyma memi widziałem i ze mną urząd grodzki miejski połocki, twarz Józafata jakby anielską, milszą i wdzięczniejszą niż była za żywota, lubo zawsze był miły i wdzięczny. Jakby właśnie z serca jego wynikała radość z męczeńskiej jego korony podjętej, do patrzenia nas wszystkich na się powabiająca, tak żeśmy z sobą mówili : «czy nie śpi ! czy nie chce z nami rozmawiać ! » Kazaliśmy tam trumnę oprawić i samiśmy ją obijali suknem zielonėm falendyszowėm, i samiśmy swemi rękoma wkładali ciało sługi i Męczennika Bożego, ranyśmy w głowie widzieli i całowali, i krew z niej ciekącą ocierali. W kilka dni z wielką uczciwością przy bytności wszystkich nieszczęsnych mieszczan Witebszczan płaczących, i na taki grzech narzekających i zań pokutujących. Samiśmy z cerkwi wynieśli ciało na sobie do Dźwiny rzeki. Aliści lud pospolity Witebszczanie sami zabójcy nas odtrąciwszy, sami trumnę nieśli. Za szczęśliwego być się rozumiał, ktoby się palcem trumny dotknąć mógł. Nie słyszeć było nic, jedno płacz i narzekanie, i za grzech ojcobójstwa pokutowanie, i na zabicie niewinnego od nich samych narzekanie. I wstawiwszy ją w barkę zaprowadziliśmy do Połocka, gdzie nam w drodze zachodzili zacni ludzie i senatorowie chcąc widzieć ciało ś. z wielkiém nabożeństwem. A skorośmy przyjechali, wszystkie miasto wysypało się na tak niesłychany widok od najmniejszego niemal aż do największego. Nie było tam nic słychać, jeno krzyk i narzekanie serdeczne. Jedni zabójcom złorzeczyli, drudzy o święte modlitwy Męża Bożego prosili, inni grzech schyzmy wyznawali i na Unią wiecznie przysięgali. Tamże w cerkwi katedralnej połockiej wszystkim do widzenia ciało Świętego ukazaliśmy, jakoż i przez kilka miesięcy wszyscyśmy nań patrzali jak na Anioła Bożego bez żadnej skazy i odmiany.

15. « Słyszeliśmy od schyzmatyków, którzy go albo zabili, albo na

śmierć zezwolili, że papieska i łacińska wiara (jako oni katolików nazywają) żywota pozbawiła Józafata. To wasz. mm. i z żalem i z weselem powiem, że kiedy Król jegomość teraźniejszy szczęśliwie nam panujący jechał do Moskwy jako car obrany, przyszli schyzmatycy połoccy przy mnie, i mówili do Ś. Józafata: Mości panie, nie bądź Unitem, jedź do Moskwy z J. K. Mością wszystką Moskwę nawrócisz swemi świętemi postępkami.» A on na to: «Ja, prawi, przy Unii gardło moje i duszę kładę. Dajcie mi pokój z tą pokusą.»

16. «Połock i Witebsk to oświadczy, że po śmierci jego tak gorąca była Unia, i tu i tam, że zdała się być jedna owczarnia i jeden pasterz, aż do śmierci ś. p. Zygmunta III; aż kiedy hersztowie schyzmy na elekcyi wymogli na Rzeczypospolitej wolność sumienia, cerkwie sobie pobudowawszy, tryumfem niecnotliwych dobrych popsowali. A Smotryckiego nikt inny nie nawrócił do wiary świętej jeno krew męczeńska i Święty.

17, «Patrzałem sam na to, gdyśmy nad trumną i nad suknem kielich krwawy Męczennika Bożego przyprawili, tak, że się i ruszyć nie mógł i nie ruszył, chociaśmy z wysokiej góry ciało nieśli, gdy nam przyszło iść mimo bożnicę heretyków Kalwinów, sam kielich na równinie, nic jedwabiu nie ruszywszy, obrócił się.

18. «My sami biedni w chorobach, nędzach naszych pospolicie się do Męża Bożego uciekamy? O sobie to powiadam, iż szczególnej łasce Bożej przypisać muszę, co się w oczach i w domu moim stało *anno* 1620. Synaczek mój na imię Stefan w półtorze leciech będący, na kamień tak ciężko zachorzał, że i on sam dla bolu, i żona moja a matka jego dla żalu prawie się od śmierci wracali. Skorośmy go Panu Bogu i Ś. Męczennikowi polecili, kamień z siebie wyrzucił, jak go sam przed WMść. pokładam a był jak grochowe ziarno, przyszedł do siebie i żyje zdrów.

«Nie śmiem tu twierdzić czego ze łzami mojemi przypomnieć nie mogę (a płakał gdy to mówił) że gdy po śmierci pasterza mego Józafata w Połocku we wszystkie dzwony rano i w wieczór dzwoniono przez kilkanaście dni, tedy ilem razy spójrzał na cerkiew katedralną podczas dzwonienia, zawszem go widział w osobie jego własnej stojącego.

Znam bardzo dobrze sł. panię Sitnianinową, jednego pana radnego żonę połocką, która na paraliż ciężko chorzała, a gorszą chorobę schyzmy cierpiała, za namową syna swego własnego Gabryela Sitnianinowicza, dobrego unity, do grobu Męża Bożego ofiarowała się, ozdrowiała, unitką została i teraz żyje. Przypominam wnuczka mego lat dwa mającego, Jana, który po sobie wielkie znaki pokazywał epilepsyi. Ofiarowaliśmy go do grobu Męża Bożego z małżonką moją, ozdrowiał i żyje.

Imć p. Michał Tyszkiewicz, podsędek połocki na nogi dla podagry

ciężko upadłszy, że o kulach ledwie mógł chodzić, bywszy *ex voto* u grobu, prosto zaraz o swej mocy do domu się wrócił i kule porzucił u grobu. Rany śmiertelne i febry jednem westchnieniem do Męża Bożego u nas tu pospolicie leczy każdy katolik i znosi.

» Miasto nasze nieszczęsne Połock ogniem i mieczem moskiewskim z gruntu prawie wywrócone przed laty czterma i 50 człowieka w zamku do obrony nie miało; tylko ciało Ś. Józafata w cerkwi katedralnej leżące tak zamek obroniło (gdzie jmć. O.archi-epp.teraźniejszy u grobu Ś.Męczennika pod sam czas ognia miasta pałającego, o pomoc Ś. Ojca wzywał) i jak mówię zamek obronił, że nie śmiał nieprzyjaciel doń przystąpić, i precz odstąpił.

Świadek czwarty.

DOROTEUSZ ACHREMOWICZ, burmistrz połocki.

1. « Służyłem jednemu kupcowi w Wilnie, imieniem p. Łukaszowi Satamiczowi, rajcy wileńskiemu około roku 1604 w młodych leciech moich, którego roku Ś. Józafat wstąpił do zakonu trochę przed przyjazdem moim do Wilna; słyszałem od kupczyków, którzy w tamtychże kramach ratusznych siadali na tak zwanych *ciemne kramy*, że trochę przed przyjazdem moim wstąpił do zakonu Bazylianów unitów kramnik p. Jacka Popowicza, rajcy natenczas wileńskiego, nazwany Jan Kuncewicz, o którego pobożnem życiu wiele mi powiadali. A to wyraźnie, kiedy siedział w kramie, nic nie czynił, jedno książki pobożne czytał. I gdy pan jego do kramu przychodził, najdował go przy książkach, i z gniewem mawiał, i pięścią mu podczas dawał, « nie dla tego « cię chowam, żebyś czytał, ale żebyś targował, » Aż też nabożny młodzieniec rzekł panu swemu : « proszę cię panie mój, uwolnij mię od siebie bo ja zgoła chcę być zakonnikiem. » I tak nic się nie bawiąc i wolnym będąc, wstąpił do zakonu.

2. « Przy mnie, w oczach moich było, że godnej pamięci Józef metropolita zdał archimandryctwo wileńskie ś. Józafatowi około r. 1614 zdawszy mu monaster wtenczas właśnie w porządku swym poczynający, kilkadziesiąt już młodych zakonników poleciwszy. A to dla tego uczynił Józef Metropolita, że wielki statek i pobożność widział w Józafacie ; albowiem kilka lat pospołu z sobą żyjąc w monasterze jako zakonnicy, gdy protopop wileński Bartłomiej Zaszczyński z inszymi prezbiterami wileńskimi i Samuel Szenciłło archimandryta, schyzmatykami zostali, i na śmierć Józafata i Józefa sprzysięgli się, tak mocno Józafat przy Józefie stawał, a oba przy metropolicie Hipacyuszu, że też swym statkiem, i młodszych zakonników pokrzepili, i Unię świętą w mieście wileńskiem dwóch ich tylko prawie na sobie zatrzymali,

będąc ustawicznie od schyzmatyków w prześladowaniu i niebezpieczeństwie.

3. « Wszystkie Wilno pełne tych głosów było, że nie było zakonnika doskonalszego wtenczas w Wilnie jako Józafat, zakonnik ś. Bazylego. On postnik, on nieusypiający, on koszuli nigdy nie znał, tylko włosienicę, on łóżka nie zażywał, tylko nędzny materacyk skórzany, a częstokroć na ziemi sypiał, wodę tylko pijał przez kilka lat, a pospolicie mówiąc przez pięć, dyscypliny w dzień i w nocy czynił, aż do śmierci swojej dla żadnego respektu ludzkiego tych świętych zabaw nie opuszczał, lubo od oczu ludzkich uciekał w takich exercycyach.

4. « Był wielkim jałmużnikiem, lubo sam z szczerej jałmużny i opatrzności Boskiej żył, bardzo błahe mając dochody monasterskie. Przy mnie to było, kiedym mieszkał w Wilnie, archimandrytą będąc Józafat mało miał w domu albo nic dla pożywienia braci swej zakonnej, tak wielkiej gromadki; aliści nie wiem, zkąd pięć wozów przywieziono legumin, nie wiedzieć od kogo. I gdy się pytał wielebny archimandryta Józafat od kogoby ta była jałmużna, nie chcieli imienia powiedzieć przywoźnicy i tylko rzeczy oddawszy sami odjechali, jakby od samego Pana Boga posłani byli.

5. « O mnie się wszystko oparło co się działo w Połocku przez nie dobre Melecyusza zamysły. Jużeśmy wszyscy za łaską Bożą w pokoju byli, i tejeśmy byli opinii, że jedność święta już w Połocku doskonale stanęła. Aliści na nas Pan Bóg przepuścił Malecyusza Smotryckiego, który poświęciwszy się od jakiegoś Patryarchy greckiego na archi-episkopstwo połockie, pisał listy do wszystkiego archi-episkopstwa połockiego, a przy listach i zakonników swych bezecnych przysłał, udawając, że Józafat nie był prawdziwym pasterzem, i owszem papieżnikiem i heretykiem, a zatém, aby jego Malecyusza, słuchali jako pasterza własnego. Tak bardzo wszystek Połock tém się buntował, a najbardziej Witebsk, że gdy przyjechał O. Ś. Józafat, większą część Połocka znalazł od siebie oderwaną i schyzmatykami pozostałą. Padał i biegał niemal po domach wszystkich chcąc pozyskać, i na ulicy spotkawszy schyzmatyków obłapiał, ciągnął i do jedności powabiał. Zyskałci wprawdzie w Połocku cokolwiek, ale w Witebsku bynajmniej.

6. « Sposoby których zażywał prowadząc do Unii świętej te są: książki duchowne i o artykułach wiary materyą mające, między nas i schyzmatyków rozdawał, na obiady schyzmatyków prosił i sam się do schyzmatyków zapraszał, tym tylko końcem, żeby o wierze świętej z nimi dyskurował, a drugich i nie puszczał od siebie, aż się w kilka dni jemu spowiadali, na Unią przysiągłszy. A to wszystko czynił, mile i łagodnie radząc i upominając. A chociaż pewnie mogę mówić, że wszystek Połock on sam był nawrócił do jedności świętej, jednakże znaczniejszych od niego nawróconych lub heretyków, lub schyzmatyków

przypomnę: Lutecki, Bochański, Kosorowski, Terlikowski, Codyka Gutkien Łukasz burmistrz i innych bardzo wiele.

7. «Dnia 13 *novembris*, to jest w poniedziałek po zabiciu Męża Bożego, nazajutrz rano przyszedłszy do nas jako ojca i matki, dziecię synaczek mój, imieniem Symon jeszcze dwu lat zupełnie nie mający, i będąc niemowlątkiem mówił: *Ojcze zabito nam Boga*. I gdym się pytał, co to za Bóg był? odpowiedział: *ten, który cerkiew białą zrobił*, z wielkiém nas rodziców podziwieniem, a z większém potém, gdy aż nazajutrz to jest 14 novembra znać dano o śmierci B. Józafata.

8. «Słyszałem o tém z ust ludzi wiary godnych, że i sami mężobójcy, których jpp. kommisarze za rozkazaniem Króla jmości na śmierć zdali w Witebsku, tedy się przy śmierci nawrócili. Jedni się spowiadali naszym Ojcom, drudzy O.O. Jezuitom. A cóż to innego nawróciło, jedno krew męczeńska? O Smotryckim żaden nie wątpił nigdy, że taż krew była mu pożyteczna, że został Unitą i świątobliwie umarł.

Świadek piąty.

JAN JAKOWLEWICZ CHODYGA, rajca połocki.

1. «Przy mnie na ratuszu w Połocku, był w wielkim strachu Józafat i p.Sokoliński wojewoda połocki, i pp. urzędnicy ziemscy i druga szlachta, która natenczas była z Józafatem, i unici tutejsi połoccy wielkiego strachu nabrali, kiedy wszystko pospólstwo okrzyknęło: «*bij, zabij unitów*!» A to ztąd poszło, że Józafat jawnie opowiedział wszystkim, że jest unitą; ztąd poszło, że schyzmatycy na krew Józafatową byli się sprzysięgli, naprawili białogłowy, aby albo nożami zabiły Józafata idącego do zamku, albo kamieńmi, co one nosiły w koszałkach swoich. Nienawiść tedy wielka była przeciwko niemu.

2. «Uchowaj Boże, żebym co mógł mówić przeciwko niemu, o srogim jakim postępku Józafatowym z nami jako schyzmatykami, albo o krzywdach jakich nam uczynionych, albo żeby jaką przyczynę miał dać do nienawiści przeciwko sobie. I owszem, byłem przy tém i samem na to patrzał, kiedy podczas buntu połockiego pomienionego na ratuszu połockim, p. Sokoliński, wojewoda połocki, porwał się do herszta natenczas naszego, schyzmatyka, Jana Terlikowskiego, burmistrza połockiego, i chciał go kosturem swym żelaznym uderzyć; Ś. Józafat porwał go za rękę i nie dopuścił nic takowego nieprzyjacielowi swemu czynić, lubo dobrze wiedział, że jeśli kto, tedy on był w głowach jemu nieprzyjacielem. To czynił Józafat, bo miał do wszystkich serce przyjacielskie i ojcowskie, i Pan Bóg pocieszył go, że tego Terlikowskiego widział dobrym unitą, który też i umarł w Unii świętej.

3. «Nie byłem w Witebsku, kiedy zabito B. Józafata, ale jam najpierwszy z Połoczan widział ciało Męczennika Bożego, a to tym sposobem. Tegoż dnia niedzielnego, to jest dnia 12 novembra, według nowego kalendarza 1623, w potrzebach moich, jako kupiec jechałem do Witebska z Połocka; w poniedziałek w nocy, to jest 13 novembra przyjadę do Bieszenkowicz miasteczka. Miasteczko to mil 12 od Połocka, i od Witebska także 12 leży; a było przedtém godnej pamięci jp. Sokolińskiego, pisarza W. Ks. Litewskiego, a teraz trzyma je jwimp. Kazimierz Sapieha marszałek ndw. lit. —inszém imieniem zowią je Adryanową. Tam we wtorek rano przyjdę do karczmy i z mieszczan witebskich najdę Nauma Wołka burmistrza, Niesza burmistrza, (tych potém na kommisyi ścięto, bo się pokazało, że lubo nie byli przytomni sami, ale umyślnie wyjechali z Witebska, żeby na nich suspicya nie padła a oni sami przyczyną byli śmierci); Bohdana Ostapowa rajcę, Jachna Hutorowicza ławnika, Hrehorego Bonicza pisarza miejskiego witebskiego. Z tymi skorom się jeno przywitał, zaraz mi powiedzą, że w niedzielę, jako to ongi, zabito Józafata, archi-episkopa naszego. Jam to z mej strony nie pochwalił, i sami oni nie bardzo sobie dobrze zaraz tuszyli. A wtém jechaliśmy do Witebska, gdzieśmy przyjechali we środę rano. We czwartek z rozkazania zamkowego po ulicach wołano, sto złotych obiecując dać, ktoby znalazł ciało w wodzie Józafatowe. Rzucili się rybacy do szukania, jakoż i znaleźli, a powiadali, że w takiej go głębokości utopili mężobójce że mało nie na 20 łokci głębiny było. W piątek rano, jakoby o ósmej przed południem dano znać, że ciało znaleziono. Szedłem zaraz za miasto do Dźwiny, jakoby w ćwierć milę i najdę dwa czółna stojące przy brzegu, a Męczennika Bożego jeszcze w wodzie leżącego nogami do brzegu. U szyi powrozem uwiązana była włosienica jego, kamieńmi napełniona, a u nogi jednej (nie pomnę tam czy u prawej czy lewej), kamień wielki, także powrozem uwiązany. W czółnie jedném był kobierzec i węzgłowie, z jednej strony suknem zielonén pokryte, a z drugiej strony półaksamitem czarnym wzorzystym. Wtém przyszedł p. Chrapowicki, szlachcic i obywatel witebski, z wielkim gminem mieszczan witebskich; tamże u brzegu dał mi trzymać kobierzec i od ludu zakryć, bo był nagusieńki, jak go matka urodziła, a sam biczem odpędzał lud od brzegu, żeby na nagość nie patrzali. A Nikita, poddany archi-episkopski witebski, z innymi drugimi w oczach moich w czółno ciało włożyli i kobiercem przykryli, a w drugie czółno włożyli kamienie, które tak wielkie były, że ledwie dwóch chłopów mogło je unieść. Jechano tedy z ciałem wniz ku zamkowi wodą; jam brzegiem szedł aż do zamku płacząc. Skoro przyprowadzono ciało pod zamek, przyniesiono mary, i na te włożywszy ciało, także kobiercem przykryli i nieśli do zamku; z jednej strony kapłan nasz jeden, a z drugiej strony nie wiem praw-

dziwie kto. Tam skoro przyprowadzono ciało, postawiono pośród cerkwi ś. Michała. Tu już przypatrzyłem się arcydobrze ciału świętemu, bom pierwej nie mógł dobrze widzieć w wodzie leżące i prędko do czółna włożone, a potém nakryte. Przypatrzyłem się mówię, że miał ranę w głowie wielką, znać od berdysza, i krew z niej ciekącą. Twarz jego tak wesoła była, jako nigdy u żywego, bo sam był czarniawy i greckiej kompleksyi z natury, a wtenczas był biały, wargi jego były rumiane jak koral, oczy zamknione, jakby je umyślnie kto zamknął, a gdziekolwiek go kijami bito, nie było siności żadnej, ale znaki tylko czerwone. Głowa nie była ucięta, bo jakem powiedział, że u szyi kamienie były uwiązane. To widzenie oczywiste ś. pasterza ten skutek we mnie niegodnym miało, żem zaraz takowego zamordowania żałował, i schyzmym się zrzekł, i przyjechawszy do Połocka w tydzień po tém widzeniu spowiadałem się, komunikowałem w cerkwi katedralnej Ś. Zofii i teraz, z łaski Bożej, gardłem mojém gotowem jedności świętej zapieczętować, a zbawienie swoje przypisuję niewinnej krwi Ś. Józafata. My zaś biedni i nędzni Połoczczanie nie czyniliśmy nic pozbywszy prawie ojca, jeno płakali i jęczeli nad nieszczęsnym Witebskiem, upatrując blizką kaźń Bożą, tuż już nad miastem tamtém wiszącą. Jakoż i słusznie P. Bóg pomścił się krwie Józafatowej nad nimi; kilkadziesiąt zabójców ścięto, kilkudziesiąt dobra skonfiskowano, którzy pouciekali, wszystkiemu miastu przywileje dawne wzięte, domy bogate wniwecz zniszczyli, prędko potém od P. Boga wprzód głodem, a potém powietrzem nawiedzeni i spustoszeni; o czém przedtém w tamtych krajach nie słychać było.

4. «Doznałem na sobie dobrodziejstwo Boże za przyczyną Ś. Józafata. Roku przeszłego 1636 augusta 26, gdym jechał z Witebska z towarem moim już rzeką Dźwiną, napadnie mnie znienacka zły człowiek schyzmatyk, wierutny szlachcic, imieniem Stanisław Gliński i z synem swoim Jerzym. Tam mi zadał 12 ran; ja już widzę, że nie przelewki, zawołałem: *Ś. Józafacie ratuj mię* ! i zarazem się rzucił w Dźwinę, lubo ręce miałem podcięte, i takem z łaski Bożej przepłynął Dźwinę, co ja przypisuję modlitwie ś. patrona mego i pasterza.

Item. « Przy bytności wwmości, to się stało w domu moim własnym z żoną moją Maryną Trudnianką, która twarz mając tak opuchłą, że warg otworzyć nie mogła dla pokarmu, jakoż go i cały tydzień nie zażywała, ofiarowała się do grobu Męża Bożego teraz świeżo ósmego augusta, i teraz z łaski Najwyższego tak ozdrowiała, że przyszedłszy do grobu 9 augusta ze mną jadła i żadnego znaku na twarzy nie miała, jakby nigdy nie chorzała.

5. « Wyznać to na się muszę, żem był między tymi, którzy Józafatowi nie sprzyjali, a zatém byłem wtenczas w Połocku, i wiem bardzo dobrze, że Smotrycki, jako schyzmatyk i fałszywy pasterz, pisał list

do nas Połoczan, jako do schyzmatyków i fałszywych owiec i książek tych listów siedm przezemnie z Wilna przysłał, a jam je dał Janowi Giedrojciowi, szlachcicowi także, schyzmatykowi, który rozesłał na różne miejsca te zarazy, za co teraz przed P. Bogiem, ze wnętrzności duszy mej żałuję.

6. « Szczęśliwy Gedeon, choć nie do końca był unitą, że miał dobrego koadjutora Ś. Józafata! Przy mnie najechał na koadjutoryą, jakom wyżej powiedział, tak ozdobnie jak nigdy senator lepiej. Ręce do P. Boga wznosili wszyscy za dar takiego pasterza, jedna schyzma płakała, jęczała nad swoim upadkiem, i gdym ja rodzicowi memu, dobremu unitowi przeciwił się jako schyzmatyk, mawiał mi zawsze: « Obaczycie dziatki, że będziecie takimi jako i ja, i pokłonicie się Józafatowi. » I chwała P. Bogu, że się tak stało, że i po śmierci grobowi się jego kłaniamy.

Świadek szósty.

W. O. DOROTEUSZ LECIKOWICZ zakonu Ś. B. *ann.* 43.

1. « Znałem Józafata od roku 1609, bom służył wtenczas za śpiewaczka u sław. pamięci jmości O. Hipacyusza, metropolity kijowskiego, i wtenczas z nim przyjechałem do Wilna, gdziem znalazł Ś. Józafata, że był namiestnikiem w monasterze Ś. Trójcy i oraz spowiednikiem panien zakonnych naszych, także ojców i braci naszych. Rodził się w Włodzimierzu, a tom słyszał od różnych zakonników wiary godnych. Rodziców jego jak zwano, nie wiem. Byli jednak prawosławni, bo wtenczas w prostocie żyli, nie znając nic, coby to była schyzma. Tamże we Włodzimierzu był ochrzczony podług zwyczaju cerkiewnego, bo tak starzy ludzie we Włodzimierzu dali świadectwo, że niektórzy z nich i na chrzcinach byli, jakom to czytał w liście sław. pam. jmci Ojca Joachima Morochowskiego episkopa włodzimiérskiego, do ś. p. Ojca Józefa, metropolity, tego roku zmarłego; ale w której cerkwi jest ochrzczony, nie wiem. Zwano go Janem.

2. « Wiem o pożyciu jego w zakonie od r. 1612, którego roku wstąpiłem do zakonu; to tylko powiem, Ś. Józafat pospolicie mieszkał w monasterze wileńskim Ś. Trójcy, lubo to podczas gdzie indziej wyjeżdżał. Przez prace jego monaster nasz teraźniejszy Byteński i Żyrowicki w ręce zakonu naszego przyszedł. Zawsze ta była o Józafacie opinia, że człowiek był zacny i na wielkie rzeczy się urodził. Kaznodzieja był wyśmienity, dusz ludzkich niewymowny miłośnik, o nim wszyscy ludzie duchowni i świeccy trzymali zawsze.

3. « To już za mojej pamięci i w oczach moich działo się w r. 1614, gdy sław. pam. jmci O. metropolita Józef z archimandryctwa wileń-

skiego postąpił na metropolią, Józafata po sobie na archimandryctwo zostawiwszy; a że wtenczas zakonnicy młodzi byli, musiał Józafat oraz być i archimandrytą i namiestnikiem i kaznodzieją i gospodarzem i spowiednikiem, i wszystek ciężar dzienny i nocny na się objąć. Że też monaster bardzo był ubogi, a liczba zakonników wielka, Józafat w jałmużnę sam chodził, i tak bracią swą zakonną żywił i odziewał, i z jałmużny, jałmużny hojne czynił ubogim do niego przychodzącym. Wszystek się udał w dzień na pracy, w nocy na modlitwy, tak, że nie wiem kiedy sypiał, bo ostatni szedł spać, a pierwszy wstawał, i sam przez dzwonek bracią budził, sam pierwej do cerkwi szedł, sam dzwonił na jutrznią, sam począł jutrznią, sam psałterz, sam śpiewał, a wszystkie zabawy wesoło i mile odprawował. Służby Boże codzień służył, a codzień się spowiadał, dyscypliny srogie codzień czynił. Widziany był zimą w jedném *cilicium*, boso i bez czapki na jednym kamieniu za ołtarzem cerkwi Ś. Trójcy, a on srogą, długą, niemal krwawą czynił dyscyplinę. Paski w codzienném były u niego używaniu.

4. «Ja przy Ś. Józafacie będąc archidyakonem, to tylko powiem, od roku 1621 czegom doznał przez te półtrzecia roku. Wszystek się puścił na pozyskanie dusz ludzkich, i przykład dobry świętobliwego życia dając, i gorąco każąc, i mądrze się dysputując i za schyzmatyków się modląc, za nich biczując się, krzyżując się. Znalazł archi-episkopstwo połockie tak nędzne, że tylko wszystkich dostatków pięć beczek żyta zastał, a kilka beczek słodu, owsa sześć beczek. Zaraz jednak wszystkie żyto w jałmużnę rozdał, a sam na swe wyżywienie pożyczył żyta u nieboszczyka księdza Rektora jezuickiego, natenczas będącego, a przecie pożyczywszy sam jałmużnę dawał. Żadnego nie było dnia, któregoby u stołu nie miał ubogiego podle siebie siedzącego, a inszym ubogim albo w izbie jakiej, albo w kuchni jeść kazał dawać, a potém swą ręką pieniężną jałmużnę każdemu dawał. Skoro mu dano znać, że kto zachorzał w Połocku z unitów zaraz sam, nie patrząc na powagę archi-episkopską szedł do chorego i spowiedzi wysłuchał. Ten też zwyczaj miał Józafat, że niemal codzień na pokoju i na innych miejscach prywatnych po kilka razy ciężkie czynił dyscypliny. Będąc raz z nim pod Witebskiem roku 1623 miesiąca januaryi w majętności archi-episkopskiej Uślatynie nazwanej, a wtenczas ciężkie mrozy panowały, wyszedłem w las, tuż pod dworem będący, z przypadku znalazłem go, alić on rózgami się siecze, przez kilka razy odpoczywając i krzyżem leżąc, za każdym razem na śniegu padając. Ja nie mogąc więcej znieść żalu mego serdecznego, przypadnę do niego i zawołam: «Mości panie! czemuż to na zdrowie twoje nie masz względu, które cerkwi Bożej tak bardzo iest potrzebne!» On na to tylko to odpowiedział. — «Mój bracie pójdź sobie precz, a nikomu nie powiadaj!» Jam odszedł, a on został w lesie. Pan Bóg że wie, co się tam działo.

5. » Z młodych lat z ludźmi uczonymi bardzo rad obcował, a mianowicie z ks. Walentym Fabrycyuszem, z ks. Janem Gniszewskim, Jezuitami, którzy potém jeden po drugim byli kaznodziejami królewskimi, z ks. Piotrem Arkadym.

6. » To się w oczach moich działo, gdy przyjechali czerncy do Połocka, imieniem Sylwester i drugi, których posłano z listami od Melecyusza Smotryckiego, który się był poświęcił na archi-episkopstwo połockie, od bieguna Greka jakiegoś władyki nazwanego *Theophanes*, w których pisał do Połoczan i Witebszczan, i do wszystkiej dyecezyi Połockiej, aby Józafata, jako apostaty, heretyka, papisty nie słuchali, ale jego, Melecyusza za prawdziwego archi-episkopa mieli, któremi tak lud pospolity poturbowali, że ci którzy posłuszni byli, jak owce Józafatowi, stali się potém brzydkiemi kozłami w niebytności sługi Bożego, bo był wtenczas w Warszawie na sejmie. Zkąd przyjechawszy i takie zamięszanie w domu znalazłszy, od domu do domu chodził, swoich do siebie powabiając na obiady do siebie prosił, i tam chlebem ich do siebie i do wiary katolickiej pociągał. Przecie to złym ludziom nie pomogło. Szopy sobie za miastem porobili i tam naprowadziwszy sobie swych popów, za Malecyusza archi-episkopa modlili się, nie za Józafata. Za czém Mąż Boży musiał aż listy wynosić od Króla jmości do Połoczan i Witebszczan, i wyniósł. Pomogłoć to wprawdzie w Połocku, ale w Witebsku bynajmniej, gdzie także schyzmatycy szopy sobie pobudowali, i tam bezbożeństwo swoje odprawowali.

7. « Byłem z Józafatem w Witebsku, i co się z nim stało, mnie się zaprawdę zdało, że dobrze wiadome było mnie wszystko. Novembra 11go, na dzień Ś. Marcina, nie było Józafata w Witebsku. Jam był. Pop schyzmatycki Heliasz imieniem, różne nam despekty wyrządzał, a gdy przyjechał, powiedziałem mu o wszystkiém, i na tém rzecz stanęła, że go Józafat kazał przyzwać nazajutrz, to jest w niedzielę rano, kiedy ten pop miał iść do budki schyzmatyckiej. A tegoż dnia przyszedł do Ojca ś. dobry, cnotliwy unita, imieniem Iwanowicz, burmistrz witebski, powiadając, że tego tygodnia schyzmatycy na ratuszu konkludowali coś o śmierci jego blizko przyszłej. « Rada miejska, schyzmatycy, rozjechali się po różnych miejscach, żeby po sobie znaku żadnego nie dali; ale pospólstwo zgoła buntowało się i na krew twoję zajuszyło się. » Z których słów pochop wziąwszy Józafat na wieczerzy wszystko o śmierci mówił, i kiedym ja mówił « Mości panie! wszystko o śmierci mówisz? dopuść nam kiedy spokojnie zjeść! » A on odpowiedział: « Miły bracie! cóż ci krzywda, że ja chcę umrzeć za Chrystusa i wiarę ś. katolicką? »

8. » Nazajutrz, w dzień niedzielny, to jest 12 novembra, wyznawam to na się, żem szedł do czeladzi, i pobudziłem ich, przypominając im o czémeśmy mówili wczora, żeby popa wzięli, kiedy miał iść na

jutrznią. Samem potém poszedł służyć do jutrzni, jakożem i służył według urzędu mego, a czeladź popa wzięła i do izby kuchennej zaprowadziła. Jutrznią odprawiwszy, idziemy z cerkwi z Ś. Józafatem do dworu, naprzeciwko stojącego, aliści najdziemy na cmentarzu do kilku tysięcy ludzi, którzy do dworu archi-episkopa szturmowali, a na gwałt po wszystkich cerkwiach i na ratuszu w dzwony bito; *bij, zabij!* po wszystkiém niemal mieście wołali, a osobliwie koło dworu archi-episkopa, wszystkiém prawie miastem na zdrowie Józafatowe nastąpili z różnym orężem, z czém kto mógł. Rozstąpiwszy się jednak zabójcy, wolno nas puścili do dworu, ale wrota zaraześmy za sobą mocno zatarasowali, i poczęliśmy się bronić. Ale Ś. Józafat zakazał nam, abyśmy nie strzelali i żadnego nie obrazili. Rozerwali zatém zabójcy parkan i wrota wysadzili, nas z podwórza do sieni wparli, a potém i do sieni się dobywszy przez izbę stołową, tamże nas z p. Emmanuelem Kantakuzenem, który był natenczas starszym sługą Ś. Józafata, tak bili, że też cud jeden, że nas nie zabili, żeby się snadź ziściło proroctwo Józafatowe, który nam mówił, że, prawi, nie bójcie się dziatki, bo z was żadnego nie zabiją. Cudem nazywam zdrowie moje, bo wziąwszy 18 ran w głowę, które tu pokazuję, 28 kości z nich wyjęto, do tego wszystkie członki tak mi kijmi zbito, że także cudem Bożym na sztuczki mię niemal nie pogruchotano. Snadźby mię zabili do końca, by mię już obumarłego nie widzieli, a potém żydzi z góry zrzuconego, do domu mię swego nie wzięli. Jużeż tam nie wiem co się stało, z Ś. Józafatem, przy którym nie został nikt więcej jeno p. Grzegórz Uszacki, który aż do śmierci był przytomny. To tylko powiadam, com widział, ostatek sam Pan Bóg niech wmościom objawi. Atoli nam zabito pasterza nam miłego. Pastwili się nad nimjak chcieli schyzmatycy, naostatek i utopili go; na com ja wprawdzie nie patrzał, ale wszystek Witebsk pełny był i oczyma swemi na to patrzał. Skoro ciało wywleczono z wody, szóstego dnia po zabiciu, prędko potém zaniesiono mię do cerkwi Ś. Michała, i tamem sam ubrał ciało święte we wszystek ubiór archi-episkopski. Głowę miał od ciała nie uciętą, ale pobitą i przeciętą. Śliczny był jak Anioł Boży i przyjemny, przeciwko zwyczajom wszystkich umarłych, a zwłaszcza utopionych. Kiedy ciało prowadzono z Witebska do Połocka, płaczem i jęczeniem wszystkie ulice napełnione były, za taki grzech płaczących, a żadnego nie było, któryby wątpił, że to ciało nie było Józafatowe.

9. *Super addidit.* «Na dzień Zwiastowania N. Panny, gdym służył z Ś. Józafatem służbę Bożą w Witebsku, także podczas offertorium, gdym według zwyczaju naszego cerkiewnego hostyą niósł do ołtarza, dał mi jeden schyzmatyk tak w gębę, że i patena z rąk moich wypadła z chlebem ofiarowanym. Do tego, tegoż dnia, kiedym z p. Emmanuelem Kantakuzenem, starszym natenczas sługą Józafatowym szedł do

cerkwi Panny N. dla sporządzenia rzeczy cerkiewnych, jako archidyakon, tamże nas na ulicy tak częstowano różnemi za nami pomiotami, żeśmy ledwie do dworu uciekli.

Jeżeli schyzmatycy za żywota to tylko ganili w Józafacie, że był unitą, cóż wmoście rozumiecie, dla czego go inszego zabili, a nie z nienawiści Kościoła rzymskiego i jedności cerkwi greckiej i ruskiej, z matką wszystkich cerkwi rzymską i primatu Stolice Apostolskiej, czego Józafat aż do gardła bronił; co i sami zabójcy wyznawali, że żadnego przystępu do niego nie mieli; bo ani złym przykładem, ani ostrością jaką najmniejszą, nie dał im przyczyny do zabitej śmierci, tylko tém przeklęty był, że był Unitą. Ja matkę mając arcyschyzmatyczkę i schyzmatyków drugich skróś ich znając rady, ich złości, ich pragnienie krwie Józafatowej zgoła przeniknąwszy, wiedziałbym bardzo dobrze, jeśliby z jakiej innej przyczyny tak ostro na Józafata nastąpili. A żem tu matkę moję wspomniał, to mi przyszło na pamięć, że po zburzeniu Połocka jmość. O. Archi-Episkop dzisiejszy widząc, żeśmy nie mieli gdzie mieszkać, dał mi mieszkanie w zamku przy sobie. Matka mi rzekła: — « Już ci ja będę mieszkała w zamku, ale i noga moja nie postanie u grobu Józafata. » Aliści wkrótce z przypadku nie chcąc żołnierz jeden postrzelił ją w nogę, i tak pogotowiu już nie może iść do grobu!

Świadek śiódmy.

Wielmożny MICHAŁ TYSZKIEWICZ podsędek połocki :

*« Nieboszczka moja żona, z domu Katarzyna Świderska w ciężką popadła chorobę tak że wszelkie lekarstwo z siebie wyrzucała. Uczyniwszy ślub odwiedzenia grobu Sługi Bożego, wyzdrowiała; złożyliśmy przeto srebrną tabliczkę jako wotum nasze.

« Pewna niewiasta, z mojej służby, imieniem Zofia, żona mojego strycharza Adama, zachorowała niebezpiecznie i już była konającą i od dwudziestu czterech godzin mówić przestała. Poszedłem z żoną odwiedzić ją i widziałem że ją na ziemi złożyli jako umierającą. Użaliwszy się biednej, i na myśl że zostawia po sobie sieroty trzech chłopczyków, rzekłem do mojej żony Katarzyny : « Uczyńmy ślub że ją przy-« stawimy do grobu męczennika, jeśli za przyczyną Sługi Bożego « Józafata życie i zdrowie odzyska. » Przystała moja żona i wotum zrobiła; ja zaś cząsteczkę odzieży Sługi Bożego, którą przy sobie miałem, dałem mężowi aby zawiesił u szyi konającej. Ledwo to się stało, kiedy w mojej obecności zaraz oczy otworzyła i rzekła do męża swego, Adama : « Proszę cię, nie zgub tego co Pan kazał zawiesić mi « u szyi. » I zaraz przyszła do siebie i do dziś dnia w najlepszém zdrowiu, żyje z swym mężem.

« Widzieliśmy wszyscy, kiedy ciało Sługi Bożego było wystawione, jak na powiekach i na czole pot występował. Prosiłem zaraz obecnego tam bratanka mojego, przewielebnego ks. Jerzego Tyszkiewicza biskupa metoneńskiego, dzisiaj zaś żmudzkiego, aby chustką moją ten pot otarł. Uczynił on to, ja zaś chustkę z wszelką czcią chowając, między wieloma ludźmi a zwłaszcza pomiędzy służbą ją rozdzieliłem ; codziennie się tą relikwią posługują, i kiedy kto z nich cierpi mocny ból głowy, a cząsteczkę owej chustki przyłoży, zaraz cierpieć przestaje. Ja sam nader dotkliwie podagrą trapiony, tak że na dwóch spierając się kijach, ledwo zaszedłem do grobu Sługi Bożego, skoro tamże jemu się poleciłem, zaraz mogłem kije w kościele zostawić i zdrów do domu wróciłem.

« Powszechna wieść głosi, że kiedy Moskale, temu cztery lata, miasto Połock ogniem i mieczem spustoszyli i do zamku gdzie było złożone ciało Sługi Bożego Józafata już przybierali się, ujrzeli na okopach zamkowych ustawione przeciw sobie wojsko, choć więcej nad 60 człeka w zamku nie było. »

Na pytanie o przyczynach śmierci Sługi Bożego, pomieniony świadek odpowiedział :

« Wiem i doskonale wiem, jako wszystkiego co się działo koło Józafata dobrze świadomy, że Sługa Boży żadnej schyzmatykom którzy go owszem zwali *świętym*, nie dawał przyczyny dla której go tak nienawidzili, obelgami, groźbami, zmowami i zasadzkami trapili, tę jednę wyjąwszy, że i sam Papieżowi oddawał posłuszeństwo i wszystkich ciągnął do jego zwierzchności i do unii z kościołem rzymskim, schyzmę zaś całkiem znieść starał się. Dziwię się na prawdę, że mnie waszmość przewielebni panowie po tylekroć o to zapytujecie, na co tyle razy już odpowiedziałem. Ponieważ jednak Stolica Apostolska tak chce, powiem tedy, że jakżebym mógł, ja przysięgły urzędnik królewski a i teraz na nowo przysięgły świadek, jakżebym mógł zamilczeć, gdybym wiedział, że mieli schyzmatycy jakiś powód do gniewu, wyjąwszy obronę zwierzchnictwa papiezkiego? Znałem na wskroś życie, obyczaj i zachowanie się Józafata jak niemniej usposobienia schyzmatyków względem niego ; jednak nie do samego siebie tutaj odwołuję się ale do wszystkich moich rodaków, do całego Królestwa Polskiego, gdzie tak silna i powszechna była wiara w męczeństwo Józafata że nikt dotychczas z tak wytartém nie znalazł się czołem, coby przeciwną rzecz ośmielił się twierdzić, wyjąwszy schyzmatyków i heretyków nienawistnych wierze nie zaś obyczajom Józafatowym. »

Dodatek Ojca DOROTEUSZA LECIKIEWICZA. « Na tydzień przed śmiercią, w Witebsku, w mojej obecności w dniu Śgo Demetryusza męczennika, miał Sługa Boży kazanie na one słowa z Ewangelii Śgo Jana : « Przyjdzie czas, że każdy który was zabije, będzie rozumiał że ofiarę « Panu Bogu przyniósł » i tak mówił : » Wy, Witebszczanie mnie na « śmierć szukacie, zasadzki mi czynicie po rzekach i po mostach, po « drogach i w mieście, a ja oto sam do was przyjechałem i widzicie « żem jest pasterz wasz i daj Boże żebym duszę moję położył za was, « za Unję świętą, za przodkowanie Ś. Piotra i następców jego, Papieżów « rzymskich.»

Świadek ósmy

W. O. STANISŁAW KOSIŃSKI *Soc. Jes.* po dwakroć rektor, następnie spowiednik Wojewody smoleńskiego.

*1° «Znałem wybornie Józafata męczennika, pełniłem bowiem w Połocku z rozkazu moich przełożonych urząd prefekta szkolnego, kiedy on jeszcze jako koadjutor arcybiskupa Gedeona tę katedrę uroczyście brał w posiadanie. Razem z mnóstwem przedniej szlachty i pospolitegc ludu i ze wszystkiemi uczniami szkół połockich przyjmowałem go w processyi i urządziłem na następne dnie bądź dyalogi bądź mowy z powitaniem i powinszowaniem dla uczczenia tak znakomitego gościa i pasterza. Byłem wielce zbudowany i inszych widziałem zbudowanych wielką prostotą, pokorą, towarzyską uprzejmością i pobożnością a zwłaszcza też kiedy do ołtarza przystępował i z największém przejęciem się modlił. Tam bowiem w samej zewnętrznej postaci ciała mógł odgadnąć każdy wewnętrzne ducha usposobienie, skupienie umysłu i gorącość modlitwy. Toż samo i przez następne lata spostrzegałem, ilekroć przy jego modlitwie lub przy mszy przez niego odprawianej byłem obecny.

2° « Słyszałem od ludzi wiarogodnych a zwłaszcza od domowników sługi Bożego Józafata tak duchownych jak świeckich, że różnych sposobów trapienia swego ciała nad miarę używał, prawie codziennie a szczególniej też w wilią uroczystych świąt do których się jak najpilniej przygotowywał. Toż samo mówili mi niektórzy mieszkańcy Unii i Pasterzowi oddani, a i sam po śmierci jego widziałem pas włosiany z kilkoma rzędami kolców żelaznych i jeden taki kolec zachowałem sobie jako relikwię ; tego zaś pasa włosianego ciągle używał, szczególniej zaś w czasie święcenia pontyfikalnego. Ile razy zdarzyło mi się, być z nim razem zaproszony na obiad lub jakąś ucztę od szlachty lub mieszczan, uważałem i inni uważali osobliwszą Sługi Bożego wstrzemięźliwość, skromność i umartwienie, tak że nietylko podniebieniu w niczém nie schlebiał ale istotnej potrzebie zdawał się nie czynić zadość. Posty tak

zwyczajne jak i nadzwyczajne, wiem to od jego domowników, najściślej zachowywał, a i posłanie przechodzące swą skromnością ubóstwo zakonne a tém bardziej godność biskupią.

3° « Wiem że Józafat jak najlepiej sprawował rządy arcybiskupie, że życie jego, świątobliwość i pasterska czujność zupełnie podobne były do życia i cnót innych świętych biskupów, męczenników i wyznawców, doskonałych pustelników i zakonników, a wszystkie jego czynności i mowy najwierniej z wolą Bożą zgadzały się. Sądzę że doszedł on do najwyższego stopnia tak kontemplacyjnego jak czynnego; według mojego i innych rozumienia tyloma, za życia swego, był on łaskami, darami i heroicznemi cnotami od Boga obdarzony, że wszelkiego rodzaju i stanu ludziom a zwłaszcza zakonnikom i biskupom może służyć za obraz wszelkich cnót i wzór jak życie przepędzić należy. Co się tyczy nienawiści schyzmy, postępował najzupełniej wedle ducha i gorliwości Eliasza; dla tego w kazaniach swych, dysputach i rozmowach jak najsilniej na nią nastawał. Praw i wolności Unii śtej na sądach królewskich dochodził. Starał się o tłumaczenie na język rodzinny ksiąg łacińskich, które do zbudowania posłużyć mogły; na jego to żądanie wielmożny imći pan Aleksander Tyszkiewicz sędzia województwa połockiego przetłumaczył z łacińskiego na polski księgi Zonary.

« Będąc rektorem w Dorpacie zapadłem niebezpiecznie na oczy; poleciwszy się modlitwom Józafata, przyłożyłem do oczu cząstkę jego włosienicy i zaraz ozdrowiałem. Wiem że O. Celestyn, prowincyał Dominikanów i pan Podsędek połocki obaj dotkliwie na podagrę cierpiący, wyzdrowieli za przyłożeniem włosiennicy skrwawionej. Podobnejże łaski od Sługi Bożego doświadczył jw. książe Zasławski boleściami podagry męczony. Widziałem jw. księcia Sanguszkę, którego żona śmiertelnie chorego do grobu Sługi Bożego przywiozła, tamże ozdrowionego. JW. wojewoda smoleński Aleksander Korwin Gąsiewski wraz z dostojną swą małżonką, którzy w wielu potrzebach pomocy Józefata przyzywali i grób jego *ex voto* w roku 1627 odwiedzili, gdzie też przyrzekli że przyślą srebrną tablicę na podziękowanie za dobrodziejstwa otrzymane za jego przyczyną od Boga. Opowiadał mi W. Gedeon Tryzna starosta brzeski i grodzieński, miecznik W. Ks. Litewskiego, że małżonka jego ciężko i niebezpiecznie na zdrowiu zapadłszy, przyszła do sił natychmiast, skoro jej przyłożono cząsteczkę sukni Józafata krwią nasiąkłej.

« W roku 1627, gdy Szwedzi opanowawszy całe prawie Inflanty i Kurlandyą, zapuścili się aż tutaj, wszystko bezkarnie pustosząc, i już groziło niebezpieczeństwo Połockowi, że oblężenia a zatém i zniszczenia nie uniknie, wszyscy łacińscy i uniccy katolicy uciekli się w skutek mojego kazania do opieki Sługi Bożego, wiedząc jak wiele on cudów sprawuje, w ilu potrzebach i niebezpieczeństwach przy-

zywany najskuteczniej dopomógł i znając to dowodnie że zkąd inąd żadnego już ratunku dla Połocka być nie mogło, aż oto, ani wątpić za wstawieniem się Sługi Bożego, Połock cudownym sposobem od najazdu nieprzyjacielskiego, zatém i od oblężenia oswobodzony został.

«Za życia swego Józafat tak zręcznym był i skutecznym w godzeniu różnowierców, że prawie wszyscy których między sobą zwaśnionych pogodził, zawiązywali znowu najszczerszą przyjaźń. Żydzi także mówili o nim że to był ich ojciec i dobrodziej. Filozofii i teologii tak scholastycznej jak moralnej, słuchał u OO. Jezuitów, w języku polskim.»

ŚWIADECTWA

przez pierwszą Komissyą Apostolską (w r. 1628) zebrane od różnych ludzi znacznych, obecnie już zmarłych.

*JAN CHARMIŃSKI, podstarości połocki, blizko ośmdziesięcioletni, obrządku łacińskiego, mąż z prawości swojej znany, takie, złożywszy przysięgę, dał świadectwo o Słudze Bożym :

«W r. 1622, w miesiącu kwietniu, Sługa Boży Józafat, będąc arcybiskupem połockim, naradziwszy się ze mną, przyszedł na ratusz i zwoławszy dzwonem miejskim mieszczan połockich, dał do odczytania dyplom JKMości dany mu na arcybiskupstwo połockie, w obecności jw. Michała Sokolińskiego, niegdyś wojewody połockiego i znacznej liczby szlachty. Po odczytaniu onego, oznajmił że stosownie do brzmienia tego dyplomu, jest on i do śmierci zostanie w jedności ze Ś. Kościołem rzymskim i zapytał wszystkich czy w tej jedności także chcą być? To zaś nie w inszym uczynił celu, jak tylko aby nikt nie przypuszczał, że on takich jest przekonań jak byli jego poprzednicy, owszem aby jawnie było wiadomém że on z imienia i w istocie unickim jest arcybiskupem. Po takiém oświadczeniu wszyscy jednomyślnie i jednozgodnie wykrzyknęli że nie są unitami ani go za swego pasterza nie uznają, z wyjątkiem około dziesięciu unitów i tych którzy do łacińskiego obrządku należeli. Zaraz w ludzie wszczął się rozruch wielki; wszystkim którzyśmy tam byli groziła pewna śmierć, aż przyzwawszy z magistratu celniejszych między schyzmatykami, kazaliśmy im pod odpowiedzialnością własnej głowy, rozruch ten uciszyć, sami zaś gotowaliśmy się społem z katolickimi rajcami magistratu życie oddać w obronie Sługi Bożego. Aliści żadnemu z nas włos z głowy nie spadł,

chociaż dwie niewiasty z nożami rzeźniczemi już czaiły się na Sługę Bożego, gdy miał schodzić z ratusza, a na drobną garstkę unitów najbliżsi z rodziny schyzmatycy zasadzili się. Tymczasem Sługa Boży zeszedłszy z ratusza, wracał spokojnie do domu środkiem rynku w towarzystwie dwóch tylko swoich domowników, i każdego z swych nieprzyjaciół którego spotkał, uprzejmie witał, całował, do Unji świętej łagodnie namawiał, niektórych zapraszał do siebie na obiad. Było w tym rozruchu kilka tysięcy ludzi, których wyliczywszy i rzecz całą i złość schyzmatyków opisawszy szeroko, relacyą tego wszystkiego posłałem N. Królowi. Pobudką powyższej konspiracyi było wyniesienie Smotryckiego na arcybiskupstwo połockie przez patryarchę jerozolimskiego dokonane. Ten bowiem gdy swe mniemane prawo pozyskał, rozesłał listy do wszystkich miast arcybiskupstwa połockiego i do całej dyecezyi, żądając by wypowiedziawszy Józafatowi posłuszeństwo, jego za prawego przyjęli pasterza. Po odebraniu takowych listów, schyzmatycy w Połocku urządzili księgę, w której nazwiska swoje, buntując się przeciw Józafatowi wpisywali, a każdy kto je wpisał, dawał trzy grosze polskie, gotując za własne pieniądze piekło dla siebie. I gdy ta zmowa stanęła, zbudowali sobie szałasc na wzór cerkwi i tam wszyscy się zbierali, tak że w tém wielkiém morzu schyzmatyckiém, unici byli wielce nieliczni. Lecz jakże to wszystko odmieniła prawica Pańska! Gdy Sługa Boży padł ofiarą, nie licznymi stali się schyzmatycy, żadnej niezostało cerkwi schyzmatyckiej a kościoły przepełnione unitami.

Tenże zeznał, że gdy swą chrześciańską słodyczą Sługa Boży uspokoił w Połocku rozruchy, tak sobie wszystkich zjednał serca, że pospolicie za szczególną łaskę to sobie poczytywali i szczęście swoje w tém widzieli, jeżeli Sługa Boży od kogo zaproszony na obiad, zaproszenie przyjął i dom jego nawiedził.

Tenże zeznał, że był obecny gdy ciało Sługi Bożego z Witebska do Połocka przywieziono i wielu takich którzy go za życia prześladowali, szło za ciałem z płaczem i szlochaniem, przeklinając zabójców i wołając pomsty za krew niewinną.

Tenże zeznał, że gdy w roku 1627, przechodził ściętą lodem rzekę Dźwinę (w której sługa Boży był zatopiony) lód począł pękać i całkiem się rozpadł, już się bowiem wiosna zbliżała. Groziło tedy wielkie niebezpieczeństwo panu Podstarościemu i w tej ostateczności, rzecze, przyzwałem na pomoc Sługę Bożego, poczém zdrów i bezpieczny bez niczyjej pomocy, na brzeg się dostałem.

Tenże zeznał, co słyszał od żydów witebskich, że widzieli jak Sługę Bożego po śmierci z bardzo wysokiej góry strącono; ani jedna kość niepowinna była w nim zostać cała a jednak tysiące ludzi zeznać może iż widzieli, długo potém, ciało Józafata jakoby nietknięte.

*Sławetny PIOTR DANKOWSKI sumiennie zeznaje, że życie Sługi Bożego Józafata było prawdziwie święte. « W roku 1623 częste miewałem z nim spotkania, przywoływany przezeń do narady w prawie magdeburgskiém przeciw Witebszczanom nieprzyjaznym Unii. Z tej okazyi nieraz spostrzedz mogłem jak srogie były Sługi Bożego umartwienia, posty, jakie ubóstwo i modlitwy. Gdy w Połocku podczas świąt obrządku rzymskiego się znajdował, zawsze chodził do kościołów łacińskich, chcąc przez to dać nam przykład. Nieraz mu mówiłem : « Przewielebność wasza wielu ma w Połocku nieprzyjaciół, którzy się zmówili na jego życie, a jak słyszę i w Witebsku grożą śmiercią Waszej Przewielebności. » A on mi na to wraz z ś. Pawłem : « Chciałbym skończyć, rzecze, i z Chrystusem się połączyć; gotów jestem umrzeć za wiarę katolicką i Unię świętą. » Gorzko zabolałem, kiedym się o śmierci jego dowiedział; w tym zaś czasie chorowałem na oczy tak ciężko, że już ludzi i twarzy poznawać nie mogłem. Kiedy prowadzono do Połocka ciało zabitego Sługi Bożego, kazałem się doń zawieść; gdzie słyszałem wyrzekania i żale obojej płci ludzi i wśród łez i łkania odzywających się : « Najzacniejszy był to człowiek, świętobliwego życia, nikogo nie skrzywdził! Przeklęci niech będą jego mordercy! » Gdy więc w katedrze połockiej złożone było ciało razem z kamieniami i włosienicą, jakoby narzędziami jego męczeństwa, kazałem się zaprowadzić do jednej z kolumn na prawo, gdzie była wspomniana włosienica i kamienie. Ledwom się przecisnął przez tłum. Ukląknąwszy prosiłem Pana Boga i polecałem się modlitwom Sługi Bożego. Zaraz we mnie wstąpiła nadzieja, więc zawezwawszy jego pomocy abym wzrok odzyskał, rzeczoną włosienicą przecierałem oczy. Gdym po raz pierwszy przecierał, mruczeli schyzmatycy, mężczyzni i niewiasty : « Oszalałeś rzekną, kamieniom cześć oddajesz; cóż ci one pomogą? » Ja zaś jeszcze bardziej na duchu wzmocniony, po raz drugi i trzeci oczy me przetarłem, i oto wzrok mi wrócił i zaraz mogłem ludzi z twarzy rozpoznać i wobec nieprzyjaciół Kościoła Bożego wyszedłem sam bez przewodnika z świątyni. Nazajutrz gdym poszedł ślubu mego dokończyć, jeszcze lepiej wzrok odzyskałem i począłem czytać, jako dzisiaj czytam. » (W tém miejscu opowiedział rzeczony świadek podobny cud, który się w tym samym czasie zdarzył i dobrowolnie stwierdził go przysięgą) « Pewna niewiasta, małżonka mieszczanina połockiego, cierpiąca gwałtownie na oczy, widząc ten cud Sługi Bożego i wzrok mi przywrócony, z wiarą, ufnością i czystém sumieniem poszła oczy swoje przetrzeć włosienicą i jak ja od ślepoty uleczoną została. »

*Ur. GRZEGORZ USZACKI, niegdyś domownik Sługi Bożego, mąż sześćdziesięcioletni, nieposzlakowanej prawości, obrządku grecko-ka-

tolickiego, po złożeniu przysięgi, mówił płacząc, że od roku 1590 służył wciąż arcybiskupom połockim, ale że Sługa Boży wszystkich cnotami o wiele przewyższył i że widział w nim wiele rzeczy dowodzących gorliwości o chwałę Bożą i o dusz zbawienie. « Towarzyszyłem, rzecze, Słudze Bożemu kiedy jechał do Mohylowa, aby objąć w posiadanie tę część swej dyecezyi. Ale nie wpuszczono go do miasta, owszem miasto całe wyruszyło do oporu, zbrojnie i już, już strzelać miano. A Sługa Boży nie zważając na to szedł swobodnie w sam środek tego pożaru. Widząc taką jego stałość, schyzmatycy mohylewscy ofiarowali mu znaczną summę pieniędzy, byle im, wbrew dyplomowi królewskiemu, nie odbierał cerkwi. Sługa Boży odrzucił podarek, mówiąc że Ducha świętego nie przedaje. Następnie Mścisławskie pojechał wizytować; aż oto pewien szlachcic schyzmatycki, nazwiskiem Massalski, przybył także do Mścisławia by zabić Arcybiskupa i z tém głośno się odezwał. Lecz zapobiegł Bóg zamysłom złośnika, gdyż tegoż samego dnia Massalski sam od jednego z swych nieprzyjaciół śmiertelnie kulą ugodzony został. O czém gdy Sługa Boży posłyszał i widząc w jakiém niebezpieczeństwie jest jego dusza, poszedł do niego, do Unii namawiał a tak skutecznie, iż Massalski choć w schyzmie zacięty, jednak w końcu się jej wyrzekł, spowiadał się u Sługi Bożego, najświętszy Sakrament Ołtarza pańskiego przyjął z rąk unickiego kapłana i zszedł z tego świata w wierze świętej, katolickiej, rzymskiej, apostolskiej.

« O rozruchach witebskich powtarzał świadek toż samo prawie co inni, z dodatkiem, że rybacy witebscy wyrobili sobie przez Sługę Bożego przywilej na wybudowanie w Witebsku własnej cerkwi i na utworzenie bractwa, z tém zastrzeżeniem, że ma zostawać pod pasterzem unickim. Niejaki Grzegorz Boniecki bardzo na ten warunek narzekał, tłumacząc prostakom że ich cerkiew na łacińską będzie przemieniona (jak to opowiadał Uszackiemu schyzmatyk pewien Rościwa, za morderstwo już ścięty), i w skutek takiego podżegania zbuntowali się rybacy i do rozruchu najwięcej się przyczynili. Gdy ur. Uszacki z Połocka przyjechał do Witebska, Sługa Boży o nic go tak pilnie nie wypytywał jak o to czy grób jego skończony; często bowiem zwykł był mówić, że nie mógłby lepiej ponieść śmierci jak za zwierzchnictwo Papieża; « życzyłbym sobie, rzecze, aby i domownicy moi tak skończyli. » Na tydzień przed śmiercią, w dzień świętego Dymitrego według obrządku greckiego, miał w Witebsku bardzo piękne kazanie na te słowa Ewangelii : « *Omnes qui vos occident etc.* » i rzekł : « Wy mi śmiercią grozi-
« cie a ja wam powiadam, że byłbym najszczęśliwszy, gdybym z rąk
« waszych za wiarę katolicką i apostolską śmierć odniósł; wiedzcież
« o tém, żem gotowy umrzeć za prawdę! » Pop schyzmatycki nazwiskiem Eliasz (który w końcu przez sługi arcybiskupa przytrzymany został) codziennie urągając się Pasterzowi, tuż prawie pod jego dworem

i w oczach wszystkich sług przeprawiał się przez Dźwinę, jakby chciał mówić : « I cóż mi zrobi wasz arcybiskup ? » Choć go przestrzeżono aby się nie wałęsał, zaciął się w swym uporze. Sługi arcybiskupie widząc takie zuchwalstwo, ujęli go i zamknęli w kuchni, lecz gdy rozruch powstał, kazał go Sługa Boży puścić wolno. Nie mieli przeto żadnego pozoru do spełnienia tak szkaradnego ojcobójstwa.

W ostatniej godzinie życia swego, widząc Sługa Boży że domownicy jego chcą do wdzierających się napastników strzelać z rusznic, zakazał im tego, lub co najwięcej, na kule papierowe zezwolił, aby straszyć a nie zabijać. Tém pobłażaniem Pasterza rozzuchwaleni poranili ciężko całą służbę a szczególnie też Ojca Doroteusza, archidyakona i ur. Kantakuzena Emanuela, greczyna. « A i do mnie, rzecze ur. Uszacki, gdym później leżał ranny w sieni, odezwał się jeden z ojcobójców znany mi osobiście : *Należało się to i tobie, bo z nimi przestawałeś, aczkolwiek oddawna i dobrze wiedziałeś, że to na was spadnie* ! » Tymczasem schyzmatycy zająwszy gwałtem cały dwór i poraniwszy sługi, rozbijali sprzęty, gdy Arcybiskup hałasem przestrzeżony wychodzi z izby i zamknąwszy drzwi czyni znak krzyża świętego; a miał mnie po lewej stronie. Jak zwykle słodko się do nich odezwie : « Dzieci moje, dla czego mi sługi moje zabijacie; jeśli przeciw mnie coś macie, otóż jestem ! » Nikt z tych co te słowa słyszeli nie śmiał podnieść ręki, gdy oto z przeciwnej izby wpadają dwaj i widząc Arcybiskupa stojącego ze złożonemi na krzyż na piersiach rękoma,jeden go drągiem w głowę uderza, drugi siekierą ugadza. Zaczém padł a wtedy wszyscy, ilu ich było w sieni, wszelkiego rodzaju razami poczęli go dobijać. Jeszcze Sługa Boży wpośród tego bicia podniósł rękę i zawołał : « *o Boże mój*... ! » chcąc dodać zapewne, » nie poczytaj im tego za grzech.. » , kiedy posłyszawszy to mordercy wyciągnęli go na podwórze i tam dwóma kulami świętą głowę przestrzeliwają i znowu walą kijami. Nareszcie zdjąwszy zeń odzienie, spostrzegli że miał na sobie włosienicę. Przychodzi im na myśl że nie Arcybiskupa zabili (bo on w ich mniemaniu lepszej i miększej powinien był używać bielizny) ; cały więc dom przewracają szukając Arcybiskupa i jego (Grzegorza Uszackiego) wloką do ciała zapytując : czy to Arcybiskup leży zabity ; aż gdy im pod przysięgą zatwierdził, ucieszyli się bardzo. »

Opowiadał obszernie o częstych dyscyplinach, ktorych używał Sługa Boży, o jego troskliwości o dusze, o słuchaniu spowiedzi w podróży, o miłości nieprzyjaciół i szukaniu z nimi zgody. Po domach zajezdnych, gdziekolwiek Sługa Boży się zatrzymał czy na noc czy w południe, o to się głównie starał aby prostaczków do spowiedzi nakłonić i zaraz ich słuchał i nie pierwej wyjechał, choćby też najpilniejszy miał interes, aż wszystkich wysłuchał. Kiedy po śmierci Sługi Bożego, ur. Grzegorz Uszacki leczył się z ran swych u chirurga, słyszał on tam o cudownych

płomiennych kolumnach i o chmurach pokazujących się na różnych miejscach zaraz po męczeństwie, jak niemniej o tém, że jego ciało z wody wydobyte, przedziwnej było piękności.

II.

RELACYA

JÓZEFA WELAMINA RUTSKIEGO

ARCYBISKUPA METROPOLITY KIJOWSKIEGO I CAŁEJ RUSI, O ŻYCIU, ŚMIERCI I CUDACH SŁUGI BOŻEGO JÓZAFATA KUNCEWICZA, ARCYBISKUPA POŁOCKIEGO (1).

«To tylko powiem o Słudze Bożym Józafacie arcybiskupie połockim, czego Komissya Apostolska od inszych nie słyszała. Lecz i tego powtarzać nie będę com napisał w pierwszej mojej relacyi, zaraz po śmierci Sługi Bożego i do Kongregacyi świętej *de Propaganda Fide* posłał. Którą to relacyę Biskup włodzimierski wydrukował i J. S. obecnie rządzącemu Papieżowi dedykował; a ja pragnę aby ona do tych aktów dołączona i pod rozbiór była wzięta.

« O dwa lata ten mąż Boży wyprzedził mnie w zakonie O. N. Ś. Bazylego i przyciągał mnie do niego usilnie ale z wielką pokorą i zręcznością. Będąc bowiem młodszym odemnie nie śmiał tego czynić sam przez się ale raczej przez inne osoby, co wypływało z jego pokory. Nie mając od samego początku żadnego dyrektora życia zakonnego i przez Ducha ś. kierowany, sam wkrótce tak daleko w tém życiu postąpił, że mógł być innych magistrem. To w nim szczególnie uważałem, że w swojej celi zdawał się być zagrzebany, tak że z niej na krużganek nie wyszedł, choćby nawet jacyś znaczni ludzie, senatorowie Królestwa przyszli do monasteru. Kiedy celniejsi mieszczanie z magistratu wileńskiego, wychodząc z kościoła nawiedzali go w celi aby korzystać z jego rozmowy, a nawet w tym celu prosto z domów swoich przychodzili, on aby uniknąć tych wizyt, przeniósł się do kapliczki ś. Łukasza, która była u wejścia kościoła świętej Trójcy i tam dnie całe na czytaniu, pisaniu i modlitwie przepędzał. Ja wtedy jeszcze świeckim byłem i gdy do niego przychodziłem (mieszkałem dość długi czas w domu przytykającym do monasteru, aby się do życia zakonnego przysposobić), zawsze mnie duchownemi rozmowami zabawiał, pytając o wyjaśnienie

(1) Relacya ta złożona była pierwszej Komissyi Apostolskiej w 1628 r. Przy powtórnej, przez którą zebrane świadectwa powyżej podaliśmy, Rutski już nie żył.

jakiegoś artykułu wiary, albo jakiego ustępu z Pisma. Nie przypominam sobie, abym choć jedno nieużyteczne słowo słyszał naówczas od niego; tak cały był zajęty Bogiem i rzeczami Bożemi, a prawie codziennie go odwiedzałem. Miał on nadzieję że razem ze mną będzie mógł żyć po zakonnemu, lecz gdy ja odkładałem moje postanowienie, zamierzał iść na pustynią gdzieby Bogu mógł się oddać bez żadnego rozerwania, co ztąd pochodziło, że nie miał ani przewodnika, ani towarzysza w życiu zakonném. Podówczas przybył do Wilna, mnich pewien, nazwiskiem Warsenowicz, wyćwiczony w rzeczach kościelnych ale w liturgii tylko, nie zaś w dogmatach. Cierpiał on czasami pomięszanie zmysłów, lecz zdawał się być zdrowym kiedy rozmawiał o rzeczach Bożych. Przylgnął do Józafata, który o jego świętości wielkie powziął wyobrażenie i sam chciał go naśladować, udając szalonego dla Chrystusa i pokazując się w tym stanie po wsiach i miasteczkach, w czém jako przykład niektórych świętych przytaczał. Taka to w nim była prostota serca, czystość i miłość Boga; nie wiedząc czém napełnić duszę łaknącą doskonałości, chwytał się tego, co mu się nastręczało; jednak zamiaru owego nie wykonał, bo mu go odradzili mężowie z innego zakonu, biegli w życiu duchowém.

« W czasie gdy archipresbiter wileński, wraz ze wszystkimi kapłanami z cerkwi grecko-unickich, zamyślał odstąpić metropolity Hipacego i przejść na schyzmę, połączył się z nim archimandryta monasteru świętej Trójcy i mnie (który już wówczas byłem zakonnikiem) podstępnie doradził, abym wyjechał na wieś o dwadzieścia mil od Wilna. Uczynił to zaś dla tego, że chcieli Józafata odemnie oderwać; choć bowiem wówczas był zaledwo dyakonem, lecz za tak wielkiego był już miany sługę Bożego, iż koniecznie pragnęli go mieć po sobie. Odpowiadał im, że ja im zawsze będę przeciwny i że ich zamiary zniweczę, a oni na to : « byleś ty był z nami, mniejsza o niego; znajdziemy spo« sób pozbycia się go z Wilna, » Gdy w tém Józafat nie ustępował, dostał w twarz pięścią od archimandryty, lecz nikomu o tém nie wspomniał. Tymczasem archimandryta wyjechał na folwark do monasteru należący, zostawiwszy rozkaz Józafatowi aby nowicyuszów, którzy zaledwo co suknię zakonną wdziali, a których ja byłem magistrem, odesłać tam gdzie ja byłem. W trudném położeniu znalazł się Sługa Boży ; z jednej bowiem strony jako prawdziwy mąż zakonny, czuł się obowiązany do wykonania rozkazu przełożonego, z drugiej podejrzywał, że schyzmatycy opanują monaster i że on w najcięższe rzucony będzie kłopoty. Szukając rady, poszedł do O. Walentego Fabrycego, *Soc. Jesu* profesora teologii w akademii wileńskiej, nader gorliwego rodzącej się wówczas Unii fundatora i opiekuna, męża prawdziwie apostolskiego, którego pamięć przez nas i następców naszych błogosławioną być winna. Gdy Józafat opowiedział mu stan rzeczy, Ojciec ów uznał za konie-

czne wysłać natychmiast do mnie umyślnego, sam list napisał i Józafatowi napisać kazał, nie wchodząc w szczegóły ale z uwiadomieniem, że jeżeli natychmiast nie przybędę, to już będzie po nich. Otrzymawszy takie pisma wyruszyłem natychmiast. Byłem wprawdzie chory, tego dnia miałem febrę, przyjaciel do którego wstąpiłem po drodze, doradzał abym wracał na wieś, ruszyłem jednak dalej za wolą Bożą; gdym do Wilna dojeżdżał, miałem trzeci paroxyzm febry, zaśpiewałem jednak *Te Deum laudamus* i zaraz mnie febra opuściła, a tak chociaż osłabiony, zdrów jednak do monasteru przybyłem. Uwiadomiono mnie o wszystkiém. Tegoż samego dnia powraca archimandryta, nie wiedząc nic o moim przyjeździe, gromi Sługę Bożego, że braci, jak był rozkazał, nie wyprawił. « Nie było potrzeby, odrzecze tenże, skoro Ojciec « Józef (to było imię) przyjechał. » Przestał go zatém nagabywać archimandryta, ale i on archimandrytę opuścił i do mnie z innymi mnichami się przyłączył. Po wspólnej naradzie, zaskarżyłem archimandrytę do Metropolity, który o siedmdziesiąt mil od nas przebywał. Potępiony, ale jeszcze dostojności nie pozbawiony, gdyż nie można było dowieść mu zdrady, dopóki na wierzch nie wyszła. Że jednak były dostateczne poszlaki zamierzonego odstępstwa, metropolita zamianował mnie swoim wikarym jeneralnym i polecił abym miał baczność nad archimandrytą; archiprezbitera zaś upomniał. Po takim dekrecie, obaj najżywszym zdjęci gniewem, zawiązują przeciw nam spisek z bractwem schyzmatyckiém; że zaś z Sługą Bożym żaden z nich nie mógł trafić do końca, polecili tę sprawę trzem celniejszym mieszczanom wileńskim, schyzmatykom. Zszedłszy się z nim, ci ostatni namawiają Sługę Bożego, ażeby odstąpił swego brata i towarzysza, i słodziuchno, w sposób ile podobna do serca trafiający, mówią mu iż wiedzą dobrze jak gorąco kocha on Pana Boga i chwałę jego, a zarazem naród swój i obrządek. » Teraz czas (były ich słowa) ażeby Kościół ruski tak zdeptany podniósł wreszcie głowę : to zaś od ciebie zależy, od ciebie jednego; całe już duchowieństwo do nich przystało, ale ciebie nam brakuje : zmiłuj się, życie nasze w twojém ręku, przywróć nam życie ! » To rzekłszy, rzucają się na ziemię i chcą stopy jego całować. Zdumiony, Sługa Boży ledwo się od tego obronił i znalazł słowo w odpowiedzi; rzekł jednak że nie sam jeden jest i wymienił mnie. Trwała ta rozmowa czas dłuższy, lecz gdy spostrzegłszy że męża Bożego łagodnemi słowy zmiękczyć nie mogą, inaczej się brać zaczynają; grożą przelewem krwi i już się mają rzucić na niego. Jeden z nich stanął we drzwiach nie chcąc go puścić. Odrzekł mąż Boży : « W tak ważnej sprawie, muszę u Pana « Boga poszukać rady, jutro odpowiem, » Na co oni przystając rzekli : « Jeżeli zaraz z nami się nie zwiążesz, wynoś się z Wilna, aby cię tu « nie było w tym tygodniu! » Wróciwszy do monasteru, zastał nas przy naradzie, już bowiem doszła nas wieść o spisku. Zaczém opowia-

dał, że przychodzi z piekła i że słyszał słowa szatańskie namawiające go do zdrady. Nie poszedł do nich nazajutrz; piszą więc do niego, że go wzywają i oczekują, na co odpisał: « Prosiłem Boga o światło, jak « przyrzekłem. Tak rzekł Bóg o was: *Zamierzyli rady, których utwier-* « *dzić nie potrafią.* A mnie upominał: *Olejem grzesznika głowy twojej* « *nie pomażesz.* » Po raz wtóry przysłali do niego ale już z groźbą, jednak zapraszali do siebie.

« Tymczasem dowiedział się jeden z członków magistratu przez sługę pewnego malarza obrządku ruskiego, że schyzmatycy mają zejść się następnej niedzieli na jutrznią, do kościoła unickiego ś. Trójcy, i tam kiedy księża i mnichy w szaty kościelne przybrani wyjdą na środek kościoła według obrządku greckiego śpiewać *Gloria*, miał lud rzucić się na niektórych wyznaczonych kapłanów, i wyrzucić ich z kościoła (1). Dali znać kolegom swoim radzcom magistratu, ci posłali wiadomość do urzędu grodzkiego, i do podwojewodzego wileńskiego, to jest p. Dymitra Karpia, ten zaś do wojewody Mikołaja Radziwiłła, który z Wilna dopiero co wyjechawszy, był w drodze. Odpisał Wojewoda aby pan Karp' nas o tych spiskach zawiadomił, aby poszedł do Archimandryty i Archiprezbytera, i upomniał ich, żeby nic przeciw monasterowi ś. Trójcy pod gardłem poczynać nie ważyli się, Archimandryta zaś aby tam więcej już nie celebrował; w końcu aby Podwojewodzy przestrzegł magistrat, który powinien czuwać aby od pospólstwa pod jego władzą zostającego, żadna krzywda unitom się nie działa. Zaczém przysłano do nas z ratusza dwie osoby, dla wypytania nas co wiedzieliśmy i dla udzielenia nam co oni wiedzieli. Opowiedzieliśmy im szczególnie rozmowę Sługi Bożego z trzema mieszczanami, których zaraz na ratusz wezwano. Żołnierze rozstawieni po ulicach, monaster opatrzony strażą, reszta wojska w pogotowiu na podwórzu ratuszowém, na ratuszu zaś przez całą noc z soboty na niedzielę, magistrat czuwał. Urząd grodzki zciągnął także swoję straż i kiedy wielki dzwon śtej Trójcy dał się słyszeć, pierwsza straż grodzka do kościoła przybyła. A tak, dzięki Bogu, przeszedł ten dzień spokojnie. Ale później, dniem i nocą schyzmatycy się naradzali, aż nareszcie wystąpili jawnie. Naprzód w kościele pewnym, w szaty kościelne przyodziani, księża składali przysięgę, w słowach naprzód ułożonych, którą później w kształcie protestacyi do akt zapisywano, że wyłączają się z pod władzy metropolity dla tego, że ten Papieżowi rzymskiemu się poddał; następnie

(1) Shyzmatykom chodziło o pozbycie się Rutskiego, który nauką, licznemi stosunkami, doświadczeniem a wreszcie świeżo otrzymaną godnością wikarego metropolitalnego najwięcej znaczył; przytém raził ich swém łacińskiém wychowaniem a poniekąd usposobieniem. Rozumieli nieprzyjaciele Unii, że byleby Rutskiego wyrzucili z Wilna, Unia zaraz tam upadnie, bo Józafat księdzem jeszcze nie będący, przytém w wyższych sferach wcale nie mający znajomości, nie mógłby był wówczas obronić monasteru Świętej Trójcy, tej jedynej jak ją zwano *twierdzy Unii*. Rutski przez skromność zamilcza, że to przeciwniemu głównie zawiązane było owo sprzysiężenie. (*Przyp. Wyd.*)

opanowali wszystkie kościoły wileńskie, nie wyjmując katedry i dworca metropolitowego; dalej rozesłali swoich z wielkim pośpiechem po wszystkich miastach i miasteczkach W. Ks. Litewskiego, skłaniając je podobnież do odstąpienia metropolity; w końcu gdy sejm walny się zebrał (1609 r.,) wyrobili na nim (w naszej nieobecności i skutkiem nieuwagi katolików) konstytucję ogłaszającą pokój między Rusinami ale taki, aby każdy na przyszłość to posiadał, co obecnie posiada, a gdyby jedna strona drugą z tego powodu turbowała, zaskarżona przed najwyższy sąd królestwa, ma stronie pokrzywdzonej zapłacić 10,000 zł. A tak Króla i całe Królestwo oszukali, nas zaś z gruntu wywrócili. Dopatrzył się podstępu Biskup wileński, uwiadomiony że unitom w Wilnie i po całej prawie Litwie, zabrano wszystko do czego w dobrej wierze przez uchwałę sejmową mieli przyznane prawo posiadania, a teraz nie wolno im było tego dochodzić pod karą dziesięciu tysięcy złotych. Dodane więc zostało z rozkazu królewskiego, do konstytucyi wyjaśnienie, przez które zuchwalstwo schyzmatyków, u trybunału duchownego dałoby się jakoś powściągnąć. Wróciwszy z sejmu, zaskarżyliśmy schyzmatyków do trybunału duchownego, lecz i oni Metropolitę i mnie, będącego naówczas archimandrytą, powołują przed trybunał świecki, który im przyznaje moc nad nami. Te wypadki skłoniły Metropolitę iż przyjechał do Wilna. Wkrótce później przybył także Najjaśniejszy Król; z jego przybyciem sprawa unitów weszła na lepszą drogę. Przywołał ją Król przed swój sąd, przeciwko czemu członkowie trybunału świeckiego wiele nie protestowali; ich wyrok uchylony, wszystkie kościoły wileńskie i ich kapłani, metropolicie jako prawemu pasterzowi, monaster zaś mnie jako archimandrycie, zostały oddane (1).

«Wtedy namawiają schyzmatycy jednego Rusina, który w milicyi piechotnej u pewnego senatora wówczas nieobecnego służył, aby zabił Metropolitę. W miesiącu lipcu 1609 r. kiedy metropolita Hipacy, lat siedmdziesiąt liczący, przechodził rynek wileński w licznćm otoczeniu domowników swoich, tak duchownych jak świeckich, zaszedł mu z przodu drogę ów złoczyńca i mieczem, który chował pod odzieniem, tak potężnie w szyję ciął, że za jednym zamachem odrąbał metropolicie bez mała trzy palce wraz z kijem którym się tenże chciał zasłonić, pierścień z szafirem, na szyi łańcuch złoty podwójny dość gruby u którego wisiał krzyż arcybiskupi, zwierzchnie odzienie i koszulę, ale

(1) Schyzmatycy zaskarżyli unitów przed Trybunał świecki (*judicium mixtum*), który w większej części z protestantów złożony, opierając się na tém, że w chwili gdy sejm wydawał swą uchwałę, kościoły wileńskie były w ręku schyzmatyków, tymże je przyznał. Unici wytoczyli sprawę przed sąd duchowny (*judicium compositum*), który ostateczne załatwienie sporu oddał Królowi, właśnie do Wilna nadjeżdżającemu (1609). Król rozpoznanie sprawy i wydanie wyroku zlecił kanclerzowi litewskiemu, Lwowi Sapieże, co przez tegoż w obecności Króla uskutecznione zostało. Mszcząc się swej przegranej schyzmatycy, chcieli zabić metropolitę Pocieja. (*Przyp. Wyd.*)

ciała nie skaleczył, tylko ślad czerwony na niém zostawił. Padł Metropolita na ziemię kamieniami brukowaną, zaniesiono go do domu sąsiedniego, gdzie go natychmiast odwiedził pierwszy senator Litwy i wszyscy senatorowie którzy naówczas znajdowali się w Wilnie. Złoczyńca pochwycony przez służbę metropolity i świadków tego opłakanego wypadku, zbity aż do ran i do więzienia na ratusz zaprowadzony został. Nie wstrzymała sługi Bożego Józafata, tak okropna zbrodnia, ani nie uląkł się tłumu piechoty, której 700 żołnierzy stało przed ratuszem więziennym, ale posłyszawszy że ojcobójca nocy tej z ciężkich ran które odebrał, nie przeżyje, natychmiast przybiegł na ratusz, prosił o wolność widzenia go, otrzymał ją i dopóty go nie opuścił, dopóki tenże nie uznał wielkości swojej zbrodni, nie wyraził swego żalu, nie wyspowiadał się i nie otrzymał rozgrzeszenia. Nazajutrz znowu do niego przyszedł i aż do ostatniego dnia nie zaniedbał odwiedzać. Nie wstydził się bynajmniej odprowadzić na rusztowanie, gdzie zbrodniarza miano ćwiertować, co spostrzegłszy schyzmatycy, rozpowiadali że to unita odciął palce metropolicie. Podobnež oddawał usługi skazanym na śmierć, jeśli nikogo innego nie było coby się tą pracą mógł zająć, i wyspowiadawszy ich, odprowadzał na miejsce stracenia. I nie widziano nigdy aby odmówił albo najmniejszą niechęć okazał, kiedy go bądź w nocy, bądź w zimie wołano do spowiedzi; szedł ochotnie jakby go na ucztę proszono.

« Do tego co insi o jego miłości ubóstwa opowiedzieli, ja jedno dodam. Wzywany on był w różne strony przez ludzi potrzebujących jego pomocy duchownej; między innymi zwykł był zapraszać go do siebie jeden z przedniejszej szlachty, w którego majątku był klasztor mniszek. Ztamtąd gdy Sługa Boży po wielu oddanych usługach do Wilna raz powracał, przygotował mu ów szlachcic płaszcz podbity lisami, lecz że się obawiał iż go Józafat nie przyjmie, zawinąwszy w płótno oddał mu go wraz z listem do mnie. W tym liście zawiadamiał mnie, że futro posyła dla O. Józafata, a mnie prosi aby mu pozwolić go nosić. Ale Sługa Boży różne wynajdywał przyczyny dla których tego futra nosić nie powinien. Zdarzyło się, że nic ostatecznie nie zdecydowawszy musiałem wyjechać, z czego on skorzystał, futro kazał wyjąć, i niém czapki braci podbić. Gdym powrócił, przedstawiał mi nader żywo potrzebę w jakiej się bracia znajdowali, i że nie było innego futra aby ich czapki podbić na zimę. Widziałem ja dobrze że mógł inaczej potrzebie klasztornej zaradzić, ale że miłość ubóstwa ten środek mu wskazała.

« Chociaż jedna dyecezya powierzona była jego pasterskiej czujności, wszystkie jednak ruskie dyecezye go obchodziły, a przed innemi moja, metropolitalna; za co mu prawdziwie byłem wdzięczny, i dałem mu obszerną władzę w mojej dyecezyi widząc, że to będzie z pożyt-

kiem i cerkwi i duchowieństwa. Wiedzieli to dobrze i księża, że Sługa Boży nie czynił tego dla żadnego popisu, ale przez chęć by jak najwięcej dobrego zrobić; dlatego ci co odemnie dalej a od niego bliżej byli zamieszkali, ochotnie się udawali do niego i mnie za to dziękowali. Kiedym raz dla rekolekcyj chciał się skryć w zakącie mniej od ludzi znanym i tam zostać przez rok cały, uwiadomiwszy o tém przełożonych wielu monasterów podczas walnej kongregacyi, jego zamianowałem moim zastępcą, co wszyscy bardzo chętnie przyjęli. A Sługa Boży widząc taką konieczność, choć sam w swojej dyecezyi nad miarę był obciążony, jednak mojego zastępstwa się podjął i już do Wilna na ten rok miał zjechać, kiedy go śmierć chwalebna do nieba jak ufamy zabrała.

« Bywa to zazwyczaj, że kiedy ktoś znajdzie się zdolný do jednej rzeczy, niezdolnym jest do drugiej a przynajmniej nie tyle zdolnym; nie wszystko bowiem wszyscy potrafimy, tém bardziej że są zdolności które nawzajem zdają się wykluczać. I tak ci co są lepiej usposobieni do życia kontemplacyjnego, w czynném nie dadzą sobie rady i odwrotnie; ci co mają szczęśliwą pamięć, mniej mają sądu, ci co piszą z łatwością, z łatwością nie mówią i nawzajem; ci wreszcie których i natura i nawyknienia od spraw tego świata odwodziły, niesposobni są do prawa i sądowych procederów, i choć się wezmą do tego, nie uda im się to wcale. Otóż, rzecz doprawdy szczególna, że ten mąż Boży we wszystkiém był prawdziwie godnym, i do czego nie uzdolniła go natura, zdolnym czyniła łaska. W rozpamiętywaniu i kontemplacyach zagłębiony, czytaniu dzieł oddany, miłośnik swojej celi tém samém życia samotnego, był przytém najzdolniejszy do stosunków z ludźmi, tak iż się zdawało, że go Bóg do tego jedynie był stworzył. Wszyscy biegli do niego a on wszystkich po ojcowsku przyjmował i każdy odchodził pocieszony; innych on sam odwiedzał, bądź katolików bądź schyzmatyków, bądź heretyków, i wszystkich on czémś nadludzkiém uderzał. Nikt co go znał, nie przypuszczał, aby on miał jakąkolwiek zdolność do prawnictwa i prowadzenia sądowych procesów; a przecież tak pilnym się okazał i takiej biegłości w prawie nabył w krótkim czasie, iż tym dawał rady jak mają w procesie postąpić, od których pierwej sam ich żądał, tym on sposobem tak wiele dóbr zabranych Kościołowi odzyskał. Kaznodzieja, lektor i śpiewak w chórze wyśmienity, robił wszystko z upodobaniem i smakiem; był też z upodobaniem i smakiem przez ludzi słuchany, czy kazał, czy czytał, czy też śpiewał w chórze. Zaprawdę, w nikim jeszcze tyle różnych zdolności naraz nie widziałem.

« Bez jego wiedzy postarałem się dla niego o nominacyę królewską, czyli jak u nas mówią o przywilej na koadyutora przy arcybiskupie połockim, starcu dziewięćdziesięcioletnim, i prawie już od zmysłów

odchodzącym. Odemnie po raz pierwszy o tej koadyutoryi *cum sp successionis* posłyszał i zasmucił się bardzo, bo w swej pokorze mniemał się być najmniej zdolnym do godności biskupiej; lecz z drugiej strony posłuszeństwo którego bardzo przestrzegał, przemawiało za tém aby zdać się na wolę przełożonego. Milczał zatém, ale widziano jaka w nim toczyła się walka wewnętrzna. Przedstawiałem mu że kościół połocki jest bez mała pozbawiony pasterza, że ztąd dzieje się tam wiele rzeczy niewłaściwych, przeciwnych prawom Bożym i niedorzecznych; że zarząd biskupi ustał zupełnie i Unia prawie wygasła; bowiem zaledwo kto pozostał z powierzchownych unitów, a z prawdziwych nikt zgoła; że niezmierne mnóstwo dusz ludzkich tam ginie i że Bożą jest wolą aby on przyjął na siebie tę godność. Gdy tych słów wysłuchał, złożywszy ręce i upadłszy na kolana, prosił i zaklinał abym go od tego dostojeństwa uwolnił; bowiem mógłby i w obecnym swym stanie służyć owej archidyecezyi gdyby go tam posłano; do godności zaś biskupiej wcale się nie czuje sposobny. I nie łatwo ten spór bylibyśmy skończyli, gdybym nie był oświadczył, że inaczej być nie może; że jest obowiązany słuchać tego, którego wola ma być dla niego wolą Bożą. Ustąpił, lecz jak się później dowiedziałem, zapytywał kilku ojców duchownych, czyli bez naruszenia ślubu posłuszeństwa mógłby uciec, i tak zamyślał on cichaczem się usunąć. Aż jeden z ojców uspokoił jego ducha skołatanego. Gdyśmy się zebrali na kongregacyę zakonną, ja głos mój zwróciwszy do niego mianowałem go koadyutorem arcybiskupstwa połockiego i wręczyłem mu przywilej królewski. On zaś odebrawszy przywilej, upadł na kolana i płacząc prosił, aby go od tego uwolnić. Nakoniec kiedy wyrzekłem że to jest potrzebne dla chwały Bożej i odmienić się nie da, zamilkł, przywilej schował, my zaś podziękowaliśmy Panu Bogu.

« Rozweseliła się ziemia ruska. Gdy pierwej spiekła była i bezpłodna, zrosiła ją krew którą schyzmatycy przez nienawiść Unii świętej i wiary katolickiej kilkakrotnie wytoczyli. Pierwszy zaś (po owym świętobliwym starcu, twórcy odnowionej na Rusi Unii, metropolicie Hipacyuszu) dał swoję krew Antoni Grekowicz, mnich z zakonu ś. Bazylego, mój oficyał kijowski. W roku 1618 znajdował się on w monasterze wydubickim, zwykłej swojej rezydencyi, o milę od Kijowa; jednej nocy napadają na niego kozacy, wyciągają z łóżka, wiążą, wloką do Dniepru i wyrąbawszy siekierami lód, wrzucają go do wody, gdzie Dniepr był najgłębszy. « Brzydkiej sprawie służył on, (mówili) bo unita jest i wiarę « naszę wywraca. » Rzeczy do ubrania służące oraz sprzęty i konie, a także dotacye i insze papiery publiczne u niego jako u oficyała się znajdujące, rozszarpane poginęły.

« W roku 1620, O. Butowicki, bazylianin, wizytator naszego biskupa przemyślskiego, przybywszy do pewnego miasta, gdzie się znajdował

kościół ruski, chciał w nim odśpiewać jutrznią, był to bowiem dzień wielkanocny. Miejscowy ksiądz nie dozwalał mieć nabożeństwa, ale że wizytatora odprawić z niczém nie mógł, podbudzony przez szatana, rzucił się na niego, pochwycił za ręce, brat zaś jego dwa razy siekierą ugodził w głowę i tak wizytatora trupem, w ręku kapłana, w dniu tak uroczystym, zostawił.

« Dziekan szarogrodzki, nazwiskiem Mateusz, kapłan wielkiej pobożności i nader gorliwy o rozszerzanie Unii, mieszkał w tym odległym kącie, na pograniczu Mołdawii, wśród zaciętych schyzmatyków; miał zaś przy sobie, w Szarogrodzie, czterech innych kapłanów. W r. 1626, kozacy gdy tamtędy przechodzili w czasie wojny tureckiej, schwycili go i jego towarzyszy. Ponieważ Dziekan przyznał że byli unitami, ucięto mu głowę, lecz że głowa wisiała mu jeszcze u szyi i mniemali że był żywy, wrzucili go do wody. Resztę księży związanych zachowano do dnia następnego; lecz gdy się o tém rozeszła wieść po mieście, uwolniła ich miejscowa załoga. A nie byliby ich bezwątpienia wolnych oddali kozacy gdyby nie wiedzieli że załoga równie silna jak oni.

« Pseudo-metropolita (Job Borecki) opanował był Kijów i pod swą władzę zagarnął wszystko, z wyjątkiem kościoła metropolitalnego świętej Zofii, czyli Przedwiecznej Mądrości. Świątynia ta niegdyś wielce wspaniała i bogata, wewnątrz wyłożona marmurem, dachem ołowianym pokryta, dziś spustoszona, jedna tylko wolna była od schyzmatyków. Aby więc służba Boża i msza święta tam się odprawiała, posłałem tamże w r. 1622 czterech zakonników ś. Bazylego. W dzień Narodzenia N. Panny, ci zakonnicy odśpiewawszy mszą, szli do katedry dla odprawienia mszy świętej, kiedy ich kozacy chwytają, wiążą, na nogi kładą kajdany, wrzucają na łodzie i odwożą Dnieprem do Trechtymirowa, gdzie jest kozacka forteca i gdzie przechowują oni swoje kosztowności. Tam w więzieniu zamkniętych trzymali przez sześć tygodni, aż ich odesłali do swego wodza, na miejsce jego rezydencyi, spuściwszy ich podobnież Dnieprem. Po odbytej naradzie, wyprowadzono ich wolnych z więzienia ale z zastrzeżeniem, aby ani oni, ani żaden unita nie poważył się przebywać w Kijowie i swej religii jawnie wyznawać.

« Wszystkie te wiadomości biegnącemu po drodze pańskiej Słudze Bożemu, dodawały ostrogi do szybszego jeszcze biegu. Zaczém rosła w nim chęć męczeństwa, gdy raz po raz się dowiadywał jakie prześladowania, bicia a i śmierć zadawali naszym kozacy pobudzeni wściekłą swych pseudo-biskupów nienawiścią Unii. Jakoż, coraz śmielszymi się stawając, schyzmatycy kijowscy, kozacy, uwięzili samego burmistrza miasta Kijowa i kilku rajców magistratu. Burmistrz miał lat około sześćdziesięciu; zapytany czy uznaje metropolitę rezydującego podówczas w Kijowie, odpowiedział że nie uznaje, że zna innego który jest prawdziwym metropolitą; został więc przez nich ścięty. Był tamże

przy kościele ś. Bazylego kapłan, który podobnież śmierć od nich poniósł za to, że w przywileju królewskim, na mocy którego kościół ów otrzymał, było powiedziane iż ma trwać w Unii. Ufamy że miłosierdzie Boże poruszyło kapłana owego równie jak burmistrza, że nie umarli w schyzmie. Choć bowiem ksiądz ten nie był ze mną w duchownym związku, jednak przez kilka osób, które ztamtąd do nas przybyły, kazał mnie prosić, abym miał pamięć o nim, gdyż mu przykrzyło się żyć w tym nieporządku, i to nam daje ufność w jego zbawienie. Prócz tego, trzykrotnie od kozaków zapytywany : *czy jest unitą*, nie wyparł się Unii, co gdyby był uczynił, ocaliłby swe życie. I choć dwuznacznie odpowiadał (gdy go bowiem pytano : czy należy do Unii, on rzekł że dusza jego jest w unii z Bogiem), to jednak nie zaprzeczył, i dla tego dobrze tak o nim jak o Burmistrzu tuszymy. Wszystko to, powtarzam, płonące miłością Boga serce, jeszcze bardziej podżegało, i dla tego to jadąc do Witebska, wiedział że go niewątpliwie spotka śmierć, od schyzmatyków przygotowana.

CUDA. «Co do cudów, to dokładnie spostrzegłem, że po śmierci Sługi Bożego, schyzma poczęła widocznie słabnąć, a to ztąd poszło, iż kozacy najzajadlejsi obrońcy i szerzyciele schyzmy, których potęga straszną się stała dla całego królestwa, zbici i do porządku przywiedzeni zostali. Wielkiej dzielności wymagała ta sprawa i bez szczególnej pomocy Bożej, nigdyby nie mogła być dokonaną. Było wówczas zapisanego Kozactwa sto tysięcy ; uzbrojeni w strzelby, łuki i inną broń, mając armaty i wszelki przyrząd wojenny w pogotowiu, mogli zawsze kiedy zechcieli wojnę rozpoczynać. Cały ten tłum nienawidził wiary katolickiej, bynajmniej zaś herezyi, i w tej prowincyi która się zowie Ukrainą jak i sąsiednich jej, postanowił ogniem i mieczem szerzyć schyzmę, i jeśli trzeba, na Króla i Rzeczpospolitę uderzyć. Unitę a żyda za jedno mieli, owszem żydów cierpieli, unity nigdy. Chcieli oni aby ich pseudo-episkopi, a przedewszystkiém metropolita, sprawowali rządy biskupie, z wyłączeniem każdego innego, w tej to prowincyi, a raczej w prowincyach, gdzie przeszło tysiąc parafij liczono. Utworzyli w Kijowie i po innych miejscach bractwa obradujące nieustannie, złożone z duchownych i świeckich, do nich i kozacy wpisani byli ; a co na radzie tej nowej Rzeczypospolitej zapadło, to kozakom do wykonania przekazywano. Do tej zaś rady przypuszczali metropolitę i duchownych przysłanych przez niego ; ztąd to więzienia, bicia i śmierć tylu księży. We wszystkich miastach celniejszych w tych stronach, mieli kozacy swe sądy, od których apelacya szła do koszowego, ich wodza. Jeśli ktoś

zaskarżył szlachcica, że skrzywdził kozaka, choćby skarżącym był zbiegły z dóbr oskarżonego poddany, posyłano do szlachcica rozkaz aby zapłacił summę jaką naznaczyli sędziowie kozaccy; jeśli nie chciał, exekwowali sami, a nikt się im opierać nie mógł. Inną szlachtę a nawet urzędników królewskich w domach własnych zabijali; zaczém taki na wszystkich padł od nich strach, że nawet pisnąć nie śmiał żaden ze szlachty. Zawsze mawiali : *Bóg na niebie, wojsko zaporożskie na ziemi*! To nazwisko pochodziło od katarakt dnieprowych, czyli *porohów* po za któremi trzymali oni nieustającą straż od Tatarów. W takie oni wzbili się zuchwalstwo, że zamierzali wyłamać się z pod władzy Króla, prowincye te oderwać, utworzyć sobie własną rzeczpospolitę i podług własnych żyć praw; posłów swoich wyprawiali na sejm walny Królestwa, którzy o tém dość wyraźnie napomykali. Żądali bowiem, aby wszyscy prawi biskupi ruscy wraz z metropolitą zostali skasowani, a ich dyecezye oddane pseudo-biskupom; żądali aby w dobrach królewskich i szlacheckich dozwolone było im polowanie i połów ryb, i ażeby załogi zamków i miast w tych stronach z Kozaków się składały.

« Dla zrozumienia w jakiém niebezpieczeństwie zostawało wówczas Królestwo Polskie od Kozaków, zważyć wypada : że znosić ich zupełnie, szkodliwém było dla Królestwa i dla całego chrześciaństwa, zowią ich bowiem nieustającą od Tatarów obroną; zmniejszyć ich liczbę, było zbawiennie ale niepodobna, wymagało to bowiem takiego przeciw nim wojska, ile liczono Kozactwa. Nie wiedziano jaką siłą, jakiemi sposoby, to złe poskromić. Aż dopiéro gdy schyzmatycy krew arcybiskupa Józafata przelali, dał Bóg zastępów środki i sposobność na owe wojsko olbrzymów, i kiedy Kozacy najmniej się spodziewali, a część ich puściła się na morze, znalazło wojsko królewskie, jakkolwiek szczupłe, chwilę dogodną by uderzyć na ich pułki i porazić na głowę, tak że w tém spotkaniu dziesięć tysięcy Kozaków, jak mówią, poległo. Zastraszeni poddali się, prosili o przebaczenie i otrzymali je, warunki od zwycięzców podane zwyciężeni przyjęli i stwierdzili przysięgą, według których w takiej liczbie jaka przez komisarzy królewskich naznaczona i pod takim wodzem jaki teraz im dany, Kozacy zostawać powinni. Wielu ludzi pobożnych przypisywało i dotąd jeszcze przypisuje owe tak wielkie powodzenie cennej śmierci wielkiego Rusinów biskupa. Wówczas wprawdzie nie przychodziło to na myśl, raczej dziś dopiéro, gdy się jedno z drugiém zestawi i rozważy. Nie wielką była potęga naszych, a choćby i wielką była, nie wydawało się roztropném jątrzyć Kozaków w chwili, kiedy bardziej wojny niż pokoju od Turków wyglądano. Otóż chociaż Kozacy, ów szaniec jak mówiono Królestwa, zgromieni zostali, nic jednak złego nie zdarzyło się od Turków i Tatarów; i owszem, szczupłe nasze wojsko zadało Tatarom klęskę a tak wielką, że ludzie większej nie pamiętają. I tak pokój w tych stronach

po dziś dzień panuje, wbrew wszelkiej nadziei, jakiego oddawna nie było, gdyż pierwej rzadki rok był wolny od najazdów tatarskich i tysiące chrześcian uwodzili Tatarzy w ciężką niewolę. Otóż to wszystko zważywszy, mówię że była to sprawa nie ludzka lecz Boga, *qui mirabilis est in sanctis suis*, a to powiedzą i insi, kiedy rozważą. Nie mniejszego zastanowienia godném jest to, że po śmierci Sługi Bożego wszelkiego rodzaju niepowodzenia spadały na Kozaków, bo kilka razy od Turków na morzu bardzo pobici, i ani razu nie zabłysnęła im fortuna, chociaż z niezmiernemi i większemi niż kiedykolwiek zasobami, przygotowywali morską wyprawę.

« Są i inne oznaki osłabienia schyzmy. Opuścili wiele z dawnej pychy swojej, która była prawie szatańska, ustały gwałtowne ich przeciw nam pisma. Gdzie w jednem mieście z nimi mieszkamy, odwiedzają nas i zapraszają do siebie. Nastała cisza w dysputach o artykułach wiary wyjąwszy o zwierzchnictwo Papieża, ale i o tém skromniej niż kiedykolwiek przemawiają. Jest jakieś sprzykrzenie dyzunii a pragnienie jedności, którą nie tylko sami na swych zebraniach proponują, ale i publicznie za tém mówią, aby się z nami połączyć jakimkolwiek sposobem. Wreszcie, owe pożytki któreśmy w roku zeszłym na Rusi odnieśli a i w tym one się powtarzają (o czém pisałem do świętej Kongregacyi *de Propaganda fide*), ja, któremu te rzeczy dobrze są znane, bez wahania i stanowczo przypisuję wylanej krwi Sługi Bożego. Wiem o tém (a nikt lepiej odemnie wiedzieć tego nie może), że nie nauką to naszą, nie przemyślnością, nie pracą albo pilnością naszą dzieje się teraz to, co się dawniej nie działo; bo choć i dawniej nie zbywało na pracy naszej, i sam Sługa Boży, więcej niż ktokolwiek pracował, to jednak nie potrafiliśmy nigdy zmiękczyć twardego kamienia schyzmy. Krew to jego zdziałała, jej to było pozostawione. Świadkiem Połock i Witebsk, które tak pragnęły śmierci jego i wkońcu go zabiły, a dziś jakby powszechną zdjęte skruchą, winę swą przyznają i proszą o rozgrzeszenie.

« I ja także nędzny, w duchownych i niektórych doczesnych moich potrzebach doznałem i wciąż doznaję jego pomocy; dlatego wziąłem go sobie za patrona i codziennie zwykłem go przyzywać wraz z innymi patronami. W r. 1627, drugiego dnia w oktawie Bożego Ciała, wielki pożar wszczął się w mieście Zamościu, rezydencyi w większej części murowanej, JW. Zamoyskiego, wówczas wojewody kijowskiego, dziś kanclerza wielkiego koronnego. Kiedyśmy dym gęsty spostrzegli, byłem o pół mili od miasta; przyjechałem zaraz, zostawiwszy powozy pod murami i poszedłem do kościoła w obawie żeby całe miasto nie spłonęło. Tam, gdym zakonnikom którzy ze mną byli kazał się modlić, mniej więcej w pół godziny przypomniałem sobie, że niebezpieczny pożar który wybuchł w kolegium połockiém, zgasł w skutek wezwania sługi Bożego. Kazałem przynieść z powozu cząsteczkę odzieży krwią

Sługi Bożego skropionej; gdy przyniesiono, wystawiłem na ołtarz, świece ile ich było kazałem zapalić, i do p. Wojewody posłałem aby miasto swoje polecił temuż Słudze Bożemu, uwiadomiwszy, że relikwie wystawiłem na ołtarz i że ufam iż pożar więcej się nie rozszerzy. Tymczasem modliliśmy się, lecz od czasu do czasu kazałem spojrzeć co się dzieje w mieście; otóż pożar gdzie doszedł w owej chwili zatrzymał się i dalej już się nie pomknął. Poczém, za łaską Bożą, lunął deszcz nawalny zmięszany z gradem (choć dzień był pogodny) tak że woda strumieniami lała się po mieście, co nie mało przyczyniło się do ugaszenia tego co płonęło.

Powiedziano przy badaniu świadków, że JW, ks. Zasławski, podobnież skutkiem przyzwania Sługi Bożego, wyleczył się z swej podagry; ja dodam tylko co od niego samego słyszałem. W jednej nodze jego muszkuły tak się skurczyły, że nawet wtedy, gdy wolen bywał od podagry, nie mógł stąpać, chyba oparłszy się na dwóch kijach; teraz zaś żadnego nie używa, stoi prosto i chodzi o własnych siłach. Temu miesiąc byłem u niego przez cały tydzień, i rzadko go siedzącego widziałem, ale wciąż chodził, oprócz gdy był przy stole. I strój i obuwie zmienił, nietylko co do koloru, ale co do formy; bo gdy pierwej przestronnego odzienia i szerokich używał papuci, teraz wszystko nosi obcisłe, przytém czerwonej barwy. A gdy go kto zapyta co było powodem takowej zmiany, odpowiada wszystkim, że za łaską Bożą uleczył go ś. Józafat ruski; więc książe tak się teraz ubiera aby dobrodziejstwo którego doznał, było widoczne.

«Jaką łaskę wyświadczył Bóg Wszechmocny za sprawą tegoż sługi Bożego JW. ks. Czartoryskiemu, gdy już konający spojrzał na jego obraz na ścianie wiszący, świadczy własnoręczne jego pismo, podpisem jego i pieczęcią opatrzone, które przetłumaczywszy z łacińskiego na polskie, do mojej relacyi załączam.

« Ja Jerzy książe Czartoryski, wiadomo czynię że mnie Pan Bóg swą łaską przenajświętszą nawiedził tak ciężką chorobą, że przez trzynaście tygodni z ciepłego pokoju wyjść nie mogłem. W ciągu tej choroby dręczyła mnie raz po raz gorączka, z paleniem niesłychaném, boleściami głowy, piersi, śledziony, serca i wszystkich członków; do czego przydać trzeba kamień i strangurya. Zwątpiwszy o mojém zdrowiu, przyjąłem sakramenta z rąk O. Waleryusza z zakonu ś. Dominika. Gdy już się miałem ku końcowi, cierpiąc straszne duszenie w piersiach, kazałem się przewrócić na drugą stronę, gdzie nad głową moją wisiał obraz błogosławionego Józafata Kuncewicza, arcybiskupa połockiego. Ja tedy przypomniawszy sobie, ilu to ludzi wspomogła jego święta modlitwa i do zdrowia powróciła, poleciłem się jemu i w duchu ślubowałem, że jeśli żyć będę, odwiedzę jego grób i ciało. I zaraz poczułem znaczną ulgę w mych cierpieniach, a wierzę że to skutkiem jego modlitwy. Dziękując tedy Bogu i temu świętemu, dziś już do dawnego przywrócony

zdrowia, ślubu mego chcę dopełnić, jeśli Pan Bóg i nadal użyczy mi sił. Co dla lepszej wiary i wagi, własną moją ręką spisuję i podpisuję, a że prawdę samą piszę, tak mi Boże dopomóż. »

Dan w Dubnie, 2 maja 1628.

(podpisano) Jerzy *książe* Czartoryski *ręką własną*.

« Wszyscy nakoniec jednomyślnie zeznają, że Sługa Boży zabity został za wiarę katolicką, za Kościół śty i za wyraźne, stałe i otwarte wyznawanie zwierzchnictwa Papieża rzymskiego nad całym Kościołem chrystusowym. »

(podpisano) Józef Welamin Rutski, *metropolita kijowski, ręką własną.*

III.

PROŚBA

O WYROK KANONIZACYI W SPRAWIE BŁOGOSŁAWIONEGO JÓZAFATA, ARCYBISKUPA POŁOCKIEGO MĘCZENNIKA DO J. Ś. PAPIEŻA, PIUSA IX PODANA R. P. MDCCCLXIV.

Ojcze Święty!

Ojcowska pieczołowitość, którą przez tyle wieków Stolica Ś. nieustannie okazywała narodowi polskiemu, zarówno w złej jak dobrej godzinie, szczególnym zajaśniała blaskiem, odkąd Wasza Świętobliwość na tronie zasiadła Piotrowym. Strzegąc trzody swojej od napaści nieprzyjaciela, nie omieszkałeś Ojcze Ś. jako pasterz czujny, w chwili największego dla Polski niebezpieczeństwa, wspomniawszy na jej dawne dla Kościoła usługi, nakazać uroczystych za nią modlitw i serca nasze ku rozpaczy już nachylone, dźwignąłeś w ten sposób na nowo. Później w obec zbrodni straszliwych, których się na nas dopuszczano, wszyscy milczeli lub wzrok swój w insze odwracali strony, Ty jeden, Ojcze Ś. podniosłeś głos, i światu który popadł w obojętność i zwątpienie, przypomniałeś odwieczne zasady sprawiedliwości, a prześladowców przed tron Boży zawezwałeś. Podając rękę życzliwą tym co niegdyś potężni, teraz są w upadku, nowém z Stolicą Apostolską ogniwem związałeś wszystkie ludy Polski, i dodałeś im siły i odwagi na te czasy

(1) Tłumczona z łacińskiego.

twardej pokuty, którą Bóg, w sądach swych niezbadany, dzisiaj na nas zsyła.

Pomni na tak liczne i wielkie dobrodziejstwa Twoje Ojcze Śty, i u stóp twoich składając słowa naszej wdzięczności, przychodzimy z synowską ufnością prosić Ciebie o nową łaskę, abyś do pocztu świętych wpisać raczył błogosławionego Józafata arcybiskupa połockiego, umęczonego od schyzmatyków za wierność swą dla Stolicy Apostolskiej.

Do tej prośby znagla nas przedewszystkiém ostateczna niedola naszego Kościoła, tak zachodniego jak wschodniego obrządku. W takim on dzisiaj pogrążon ucisku, że już tylko pomoc Boga obronić go może; tę zaś pomoc najpewniej nam błogosławiony Józafat wyjedna, skoro go świat cały będzie czcił i przyzywał jako świętego. Albowiem owa Unia twierdzona niegdyś trudem i krwią ś. Biskupa, prawie już całkiem zaginęła teraz, a gdzie jeszcze dotrwała, tam ją burzą nieustannie przemocą lub od przemocy zgubniejszym podstępem. Udając bowiem jakoby chcieli zwrócić unitów do dawnego zwyczaju, do wierniejszego zachowywania starych tradycyj, schyzmatycy podbudzają duchowieństwo i wiernych obrządku greckiego do nienawiści ku łacinnikom i do wyłamywania się z pod prawej zwierzchności pasterzów. Lecz gdy należna świętym cześć oddana będzie z całą uroczystością błogosławionemu Józafatowi, niepodobna aby jedni nie spostrzegli, jak słodką jest i chwalebną rzeczą ponieść prześladowanie a choćby śmierć samą za Kościół święty, dla drugich zaś stanie się rzeczą niewątpliwą, że nie można służyć kościołowi ruskiemu w dobrej wierze oddalając się choćby na krok od Stolicy Apostolskiej.

Zakon ś. Bazylego, którego synem był błogosłowiony Józafat w samych początkach jego odrodzenia, obecnie już prawie dogorywa, wywrócony wściekłą schyzmatyków napaścią. Ale i on, z pomocą Bożą i Waszej Świętobliwości wróci do życia, skoro chwalebny jego męczennik między świętych będzie policzon. I stanie się może, że po raz wtóry odrodzony, zakon ten wyda z siebie surowych pokutników, niestrudzonych kaznodziei, niezłomnych wiary obrońców, uczonych pisarzy, biskupów świętobliwych i co nad wszystko ważniejsza, świetny hufiec męczenników.

Atoli i nas, obrządku łacińskiego wyznawców, nie mniej żywo jak naszych braci zachowujących grecką liturgią obchodzi chwała Józafata; od ocalenia bowiem Unii, zależy bezpieczeństwo a nawet istnienie łacińskich dyecezyj. Jeśli Unia zniknie do reszty, z większém jeszcze zuchwalstwem rzucą się na nas prześladowcy, w prowincyach zwłaszcza wschodnich i południowych Polski, gdzie obrządek grecki przeważa. I nam przeto przybędzie sił do walki, a wyprosi je nam błogosławiony Józafat, gdy świat chrześciański, z polecenia Waszej Świętobliwości, przyzywać go będzie.

Składamy wreszcie tę pokorną prośbę naszą u stóp Waszej Świętobliwości w imieniu tylu tysięcy braci naszych, którzy w Polsce i w Moskwie jęczą w więzieniach lub na wygnaniu w zimnych krajach Sybiru. Wróconoby ich pewno w ojczyste progi, gdyby przystali na schyzmę lub tylko do niej dali się zapisać; pozwolonoby im nawet pozostać Polakami, byleby wyparli się wiary katolickiej. Tym więc otuchy doda w cierpieniu, ich wytrwałości ukaże nagrodę, chwała błogosławionego Józafata z wysokości tronu Piotrowego ogłoszona.

W tej prośbie naszej, Ojcze Święty, idziemy torem ojców naszych; zawsze bowiem błogosławiony Arcybiskup i Męczennik, cześć ufną i pobożną odbierał od Królów polskich i od Stanów Rzeczy-Pospolitej.

Jakoż, ledwo Józafat w roku MDCXXIII poniósł męczeństwo od schyzmatyków, tyle na raz pokazało się cudów i tak powszechne i gorące obudziło się do niego nabożeństwo, że słynny poprzednik Waszej Świątobliwości, Urban VIII, zniewolony prośbami królów naszych ś. p. Zygmunta III i Władysława IV, niemniej jak metropolity i biskupów ruskich i wielkiej liczby senatorów Królestwa, choć ledwo dwadzieścia lat od śmierci Męczennika upłynęło, ogłosił go błogosławionym i rozkazał by święto jego w dniu 12 listopada, we wszystkich dyecezyach ruskich, było obchodzone. Skutkiem czego, uznany za Patrona Polski i Unii, Józafat wśród ciężkich nieszczęść które nas dotknęły w drugiej połowie XVII wieku, pobożnie i z wiarą wzywany by przez wszystkich.

W tym to czasie, wojska obce, protestanckie i schyzmatyckie, całą Polskę zalały. Kraj był tak srodze zagrożony i od tylu naraz nieprzyjaciół, że bez Bożej pomocy, widocznie nie było można go ocalić. Naprzód trzeba było rozprawiać się ze Szwedem, Brandeburgczykiem, Siedmiogrodzianinem a następnie z Moskwą. W roku MDCLX, gdy przyszło do walnej Polaków z Moskalami bitwy, wodzowie polscy Czarniecki i Sapieha dali wojskom swoim za hasło do boju imię ś.Józafata, i gdy nieprzyjaciel na głowę został pobity i z kraju wypędzony, nikt wówczas nie powątpiewał, że temu świętemu winni byliśmy zwycięztwo. Król Jan Kazimierz kazał tę sprawę wziąść pod rozbiór gruntowny, poczém wraz z senatem, metropolitą i biskupami, zaniósł prośbę do papieża Alexandra VII, aby błogosławiony Józafat, « *który* (słowa są listu królewskiego) *słynie w państwach naszych wieloma cudami, wliczon został pomiędzy świętych.* » Wszakże, Stolica Apostolska nic naówczas w tej mierze nie postanowiła; snadź danêm jej było przewidzieć, że w późniejszej epoce Królestwo Polskie i Unia, więcej jeszcze owej nadziemskiej pomocy potrzebować będą. Jednak nie wszystkie wiernych życzenia wtedy pominięto. Z rozkazu Stolicy Apostolskiej święto błogosławionego z dnia 12 listopada, przeniesione na dzień 26 września, aby lepiej dogodzić tłumom pielgrzymów, którzy grób

jego coraz to liczniej zwiedzając, doznawali w podróży wielu przykrości i niebezpieczeństw pory zimowej.

« W tym stanie rzeczy, najchwalebniejszy dowód swojej czci i wdzięczności dla świętego męczennika, złożyła samaż Rzeczpospolita. Konstytucyą na sejmie roku MDCLXXII zapadłą, uposażyła ona grób ś. Józafata znacznemi dobrami, « *gdyż ten męczennik* (jak mówi wspomniona uchwała) *wieloma cudami słynny obu narodom*, (to jest polskiemu i litewskiemu) *osobliwsze świadczy łaski.* » Późniejszy sejm z roku MDCLXXVII, potwierdzając tę konstytucyą, uznał Józafata : « *Patronem Królestwa Polskiego i Unii.* » Wreszcie gdy na miejscu gdzie błogosławiony Józafat poniósł był śmierć męczeńską, stanął monaster bazyliański nakładem jednego z znaczniejszych w królestwie mężów, Król i zgromadzone na sejmie Stany, osobnym przywilejem tę fundacyą pochwalili i umocnili, pragnąc jak najbardziej uczcić zasługi tak wielkiego męczennika.

Wiadomo wszystkim jak ciężkie wojny z początkiem następnego wieku spadły na Polskę; wśród tych zawichrzeń musiano nadal odłożyć wszelkie starania o kanonizacyą Błogosławionego. Same zwłoki jego szczególnym były celem poszukiwań wrogów. Chciał je spalić car Piotr; podobnie i późniejsi wodzowie moskiewscy pragnęli pozbawić Polskę tego świętego zadatku : nieraz przeto wypadało je ukrywać. Szacowne relikwie zostawały pod opieką mnichów ś. Bazylego, którzy je w różnych miejscach trzymali, bo nawet w obozach wojennych, aż po różnych przygodach złożyli je w Białej na Podlasiu, miasteczku książąt Radziwiłłów. Jeszcze przez jakiś czas chowano je tam w tajemnicy; dopiéro w drugiej połowie XVIII wieku odkryte, na widok publiczny wystawione zostały. I znowu mnogie tłumy ściągać poczęły, po dawnemu łask i cudów wielorakich doświadczając. Pod wezwaniem Józafata poczęto zawiązywać bractwa religijne, utworzyło się nawet zgromadzenie mniszek mające na celu wychowanie dziewcząt; a tym stowarzyszeniom pobożnym, jak niemniej kościołowi gdzie znajdowały się zwłoki Józafata, papieże Klemens XIV i Pius VI, nadawali hojne odpusty w dzień święta Błogosławionego dostępne.

Atoli te wszystkie zbawienne zakłady pochłonęła owa straszliwa powódź, w której sama Polska zginęła. Odtąd coraz bardziej rość poczęła obojętność religijna, zwłaszcza też względem unitów. Kościół polski, pod panowaniem schyzmatyków, stracił wszystkie dyecezye unickie jednę tylko wyjąwszy, tę właśnie w której chowano ciało Błogosławionego, jakby ów święty męczennik, który za życia krew swą oddał za Unią, strzegł jej po śmierci, i jakby relikwie jego miały być symbolem tego wiernego paktu między Unią a jej obrońcą.

Obecnie, ledwo na wschodzie zabłysła znów Unia, wnet w Polakach odżyła dla Józafata dawna miłość i cześć. Pielgrzymi pobożni liczniej

i z większą niż wprzódy gorliwością nawiedzać poczęli miasto Białę; zjawiły się nowe pisma o męczenniku i jego zasługach dla Unii, i te chętnych znajdowały czytelników; utworzyło się też jak dawniej bractwo pod wezwaniem błogosławionego Józafata, przed dwoma laty obdarzone przez Waszą Świętobliwość łaskami duchownemi.

Wszystko więc teraz zdaje się ku temu zmierzać i prowadzić, iżby ów głośny Męczennik, arcybiskup połocki, a nasz ukochany i przez dwa wieki wyprobowany patron, błogosławiony Józafat, otrzymał zupełną chwałę kanonizacyi. A jak niegdyś wydany przez Urbana VIII dekret beatyfikacyi przyczynił się znacznie do wielkiego i szybkiego rozszerzenia w Polsce czci dla Józafata, jak temu dekretowi przypisać należy samo uratowanie Unii w owych trudnych czasach, tak można się dziś spodziewać, że skoro Wasza Świętobliwość ogłosi Józafata świętym, Kościół unicki teraz maleńki i ledwo wracający do życia, wkrótce nabierze męzkich sił, i rozpocznie się dla niego nowa epoka wzrostu i tryumfu.

W końcu, gdy przeciw nieprzyjaciołom Kościoła z największą zaciętością walczącym, żadna ziemska potęga nie może przyjść na ratunek w dzisiejszych narodu polskiego potrzebach, Wasza Świętobliwość owym dekretem kanonizacyjnym dasz nam w niebie możnego opiekuna, ludy polskie zwiążesz tém silniej węzłem wiary i katolickiej jedności, i w zbolałe serca polskie wlejesz otuchę i pokrzepienie.

Upadając do stóp Twoich Ojcze Święty, z miłością i pokorą i prosząc Cię o błogosławieństwo apostolskie, wyznajemy się Waszej Świątobliwości przywiązanymi i posłusznymi synami.

(podpisani) Leon *książe* Sapieha, Władysław *książe* Czartoryski Dezydery Chłapowski *jenerał*, Stanisław Barzykowski, Władysław Zamoyski *jenerał*, Teodor Morawski, Andrzej Plichta, Ludwik Bystrzonowski *jenerał*, Breanski *jenerał*, Bohdan Zaleski, Leoncyusz hr. Rzewuski, i t. d. i t. d.

SZERZENIE SIĘ ROSSYI

W AZYI ŚRODKOWEJ.

I.

Część ziemi do której zamierzamy wprowadzić czytelnika tak jest rozległą, a tak od znanej nam Europy różną, że zanim do dzisiejszego przystąpimy opowiadania musimy pierwej chociażby pobieżne rzucić spójrzenie na ten świat nam nieznajomy. Posłuży to może do lepszego zrozumienia samych wypadków i ich związku między sobą.

Olbrzymie pasmo Himalaja oddziela tę część azyatyckiego lądu od południowej jego połowy; jakby dla wzmocnienia jeszcze tej nieprzebytej zapory, w niedalekiej od niego odległości wznosi się drugie pasmo Hindukosz albo Kuen-lun, za którém ku północy roztacza się już przestrzeń szeroka, z jednej strony kąpiąca się w Spokojnym oceanie, z drugiej połączona z Europą, a której ostatnie przylądki dobiegają wiekuistych lodów północnego morza. Zstępując z wyżyn stopniowo, aż do tych niegościnnych wybrzeży, jako pierwszy spadek napotykamy o 4000 stóp nad powierzchnią morza wzniesione obszerne płaskowzgórze, w języku krajowców znane pod imieniem pustyni lub rzeki piasczystej (Sza-mo albo Sza-ho); nieliczne tam strumienie wewnętrzne szukają ujścia w słonych najczęściej jeziorkach, albo giną w piaskach; w nadbrzeżnych trzcinach i sitowiu lęgną się dziki i tygrysy, na rzadkich pastwiskach trawy i rośliny olbrzymiej dorastają wysokości, a znojne niebo ciężkiemi w bezleśnej przestrzeni dojmuje upałami. Wyniosłość tę z jednej strony okala wulkaniczny łańcuch gór Niebieskich Tianszan, bogaty w kruszce, a na wielu szczytach wiecznemi pokryty śniegami, od Chin odgranicza ją mur długi, a na północy jeszcze, wznosi się nowy łańcuch Ałtajski, od niepamiętnych czasów Złotemi górami nazywany. Za nim już, jakby drugi niższy spadek, roztaczają się stepy największe w świecie; w lekkie wzgórza gdzieniegdzie pofałdowane, zupełnie prawie bezleśne, źwierciedlą się one szybami rozsianych gęsto jeziorek i słonych moczarów błyszczących pod promieniami słońca. Tabuny dzikich koni i stepowych antylop przebiegają te przestrzenie,



Paris Imp. Lemercier et Cie rue de Seine Nº 57

DŁUGOŚĆ geograficzna na Wschód od południka Paryzkiego.

wielbłądy długie wyciągają tam szyje, huragan często ruchome zamiata piaski, a zimą śnieżne zamiecie przesłaniają niebo. Bezmierne te równiny, skręcając się ku stronom południowym staczają się w wielką wklęsłość kaspijską, na której morze Aralskie i rozsiadłe za niém w kierunku północy słone jeziorka, świadczą o istniejącej tam przed historycznemi czasami odnodze lodowatego oceanu; dalej na zachód te stepy przechodzą w wielkie europejskie równiny, od których oddziela je tylko rzeka i pasmo uralskie. Za stepami znowu na północ, spotykamy jako trzeci już w wędrówce naszej spadek, również szeroki, od oceanu po morze białe sięgający, niższy jeszcze pas ziemi, wieczystą puszczą zaczerniony. Mała tam drzew rozmaitość : sosna, modrzew', cedr północny i jodła, z najwytrzymalszą ze wszystkich brzeziną, stanowią całe niemal bogactwo; wzrost drzew powolny, ale obszar cały, jak jedno wielkie ciemnej zieloności morze, przecięte tylko wstęgami szerokich rzek płynących ku oceanowi północnemu. Zimy tam srogie, wichry północne straszliwe, nieraz na znacznych przestrzeniach kładną puszcze pomostem, z błotnistego gruntu rwąc z korzeniem całe drzew szeregi; rzeki przez większą część roku lodem pokryte, z wiosną, smutnemi wodami bezmierne zalewają obszary, ale w błotnistych rozłogach gęsto rozsiane samorodki złota, wody ryb pełne, a puszcze w zwierza obfite; najkosztowniejszém futrem odziane lisów gatunki, sobole, naresztę ogromne łosie i niedźwiedzie zamieszkują te groźne przestrzenie. Za tą odwieczną lasów krainą, już jako spadek ostatni, ciągną się jeszcze na całém wybrzeżu lodowatego oceanu szeroko rozpostarte tundry; drzewa już tam rosnąć nie mogą, niezdolne walki z mroźnym wichrem wytrzymać, jeden mech niski pokrywa puste obszary; dzięki grubej śniegów skorupie chroniącej ziemię od straszliwych mrozów, w krótkiej wiośnie gdzieniegdzie drobne pokazują się kwiatki; renifer i pies, jedyni już tam towarzysze człowieka; białe niedźwiedzie wędrują po odwiecznych lodach, przez kilka miesięcy słońce nie ukazuje się na niebie, a w ciemnych nocach pali się na niém tylko zorza północna.

Taką jest ogólna postać tych stron; ale musimy jeszcze zdać sobie sprawę z ich wewnętrznego rozkładu, i narysować jakby szkielet tej ziemi, oznaczając kierunek jej gór i rzek znaczniejszych, bo łatwiej po takiém z nią zapoznaniu się przyjdzie nam mówić o samych mieszkańcach. Najwyższą, u stóp łańcucha Kuen-lun rozściełającą się wyniosłość, okalają prawie zewsząd łańcuchy gór: ze strony zachodniej, wybiega daleko na północ pasmo Bolor czyli gór Chmurnych, jak je nazywają miejscowi mieszkańcy, to przecinając obydwa pasma, Himalaja i Hindu-kosz, oddziela tę wyniosłość od szerokiej równiny, zlewającej się z wielką kaspijską wklęsłością. Zachodnia ta krawędź płaskowzgórza, w połowie swego biegu przecięta najdłuższém ze wszy-

stkich pasmem gór Niebieskich, niknących w wielkiej pustyni Sza-mo albo Gobi, dalej za pośrednictwem pomniejszych łańcuchów, Mingbułak i Dżengistau, łączy się prawie z obszerném pasmem Ałtajskiém. Tamto znowu rozdzielone na kilka równoległych gałęzi gór Sajańskich, Tangnu i Ulugum ciągnie z zachodu na wschód a tworząc południową skalistą ścianę Bajkału, wyrasta dalej w wyższy węzeł Kętei, który od siebie nowe Jabłonne pasmo, dalej łańcuchem Stanowoj przezwane, do oceanu Spokojnego wysyła. Prostopadle prawie z północy na południe ciągnące się chińskie pasmo Kin-gan-or tworzy wschodnią krawędź pustyni, dobiegając aż do wielkiego chińskiego muru. Na południe tego pasma wymyka się ze stepu Hoango albo wielka Żółta rzeka, na północ Szyłka z Argunią tworzące w połączeniu swém Amur; obydwa szukają ujścia w Spokojnym oceanie. Inne strumienie i rzeczki giną jak powiedzieliśmy w jeziorach wewnętrznych i to jest jedną z charakterystycznych cech stepów. U stóp prawie gór Niebieskich rozściełające się jezioro Issyk-kul, zasilają górne strumienie; dalej nieco na północ położony, w półkole rozlewający się Bałkasz, otoczony ruchomemi piaskami i równiną noszącą dotychczas charakter dawnego dna morskiego, wszystkie wody tych stron nadające krainie miano Siedmiorzecza, przyjmuje w swe łono; rzeka Czu ginie w niewielkiém jeziorze, w górze, Selenga bieży do Bajkału, a na południo-zachodzie, dwie największe tych stron arterye, Syr i Amu-Darya (dawniejszy Jaxartes i Oxus starożytnych) wpadają do Aralskiego morza, będącego właściwie wewnętrzném tylko jeziorem. Jedna strona północna, po wyraźnej pochyłości swojej, wysyła wody dalej ku morzu lodowatemu. Najgłówniejsze z tych rzek rodzą się w pasmach Ałtajskich; naprzód Irtysz, w kierunku zachodnio-północnym płynący, wymijając liczne po drodze jeziora zabiera z sobą powstały w stepach Iszym i Toboł, ze zbiegającemi do niego uralskiemi rzekami; dalej, Ob, wśród błot i nizin określiwszy półkole, smutne swe wody łączy z Irtyszem i z nim spleciony w prostym już na północ kierunku powoli dąży do ujścia; w pobliżu niego źródło swe w łańcuchu Tangnu mający Jenissej w tęż samą zmierza stronę, a łączą się z nim po drodze, przepływająca przez Bajkał Angara, jedna i druga Tunguzka, i wiele mniejszych strumieni; nareszcie z górzystych okolic Bajkału wypływająca majestatyczna Lena, pędząc wśród skał wyniosłych, skręca na wschód, zabiera z sobą Wiim, w dalszym biegu zwracając się ku północy, wśród płaskich wybrzeży w tymże lodowatym oceanie bieg swój kończy. Na południu wydmy piaszczyste, na północy bagna i trzęsawiska otaczają w wielu miejscach wszystkie te rzeki; dwie z nich zaledwo jak widzieliśmy, wymykają się do Spokojnego oceanu, najpotężniejsze giną w lodach północnego bieguna, wewnętrzne zatracają się w piaskach lub toną w miejscowych jeziorach. Ląd cały, zupełnie od południa odcięty,

chociaż na północy wielkiemi puszcz obszarami z Europą połączony, prawdziwie otwarty i przystępny do niej gościniec miał tylko w równinach okalających na północ Kaspijskie morze; z Persyą i Azyą południową mógł się komunikować jedynie przez wklęsłość kaspijską, zwaną Turańską równiną.

II.

Na powierzchni tego lądu wyrosły plemiona odrębnej jak on sam natury. Pasmo Ałtajskie uważają dzisiaj za wspólną ich kolebkę; w łańcuchu Tangnu podania wschodnie upatrywały nawet swój Ararat, z którego po potopie pierwsi tych plemion praojce mieli zstąpić na równiny, a ostatnie poszukiwania uczonych, pierwotne ich siedliska wskazują w pobliżu niedalekich od siebie źródeł Jenisseja, Irtyszu i Obu. Na wschód po za skalistym Bajkałem żyli od niepamiętnych czasów Tunguzy, na południe od niego, aż po właściwe Chin granice, plemiona dziś Mongołami nazywane, a dalej w górach Ałtajskich turecko-tatarskie szczepy: północne stoki gór Sajańskich zajmowali Samojedy, a w ich pobliżu roiły się fińskie plemiona. Zacny Castren, niezmordowany badacz ich przeszłości, z języków, pieśni i obyczajów wyprowadza niezaprzeczone między wszystkimi pobratymstwo. Samojedy, Turki, czyli jak pospolicie nazywają Tatarzy i Finny, to jedno wspólne dla niego plemię, stanowiące pośrednie ogniwa między mongolską a kaukazką rassą.

Jakkolwiekbądź, z biegiem czasu opuszczając pierwotne swoje siedliska, różnym te plemiona uległy kolejom i nieraz bardzo daleko od siebie odbiegły. Samojed napierany przez swych południowych sąsiadów, pociągnął na północ brzegami Jenisseja i Obu, zaczął w lasach z kory drzew budować szałase, oddał się w części rybołowstwu, a dostawszy się do wybrzeży lodowatego oceanu, szerokie tundry objął w posiadanie, na nich stada reniferów rozprowadził, ale wobec grozy otaczającego go przyrodzenia stał się jeszcze bardziej ponurym, uwierzył że tylko Bóg śmierci panuje nad ziemią, a żywot błogosławiony na pogodnych gdzieś we wnętrzu jej obszarach, pędzą inne szczęśliwsze narody. Niżej od Samojedów, po leśnej przestrzeni całego północnego lądu, aż do Botnickiej zatoki i Atlantyckiego nawet oceanu, rozeszły się pieszych Finnów plemiona i ciche, wytrzymałe, ponure, łowiectwu oddane, z uralskich okolic, gdzie była największa ich waga, posunęły się daleko w głąb po za Wołgę. Od stóp Ałtaju i skalistych ścian Bajkału po krańce południowego płaskowzgórza, rozlały się z trzodami swojemi konne hordy. Tam ciągle kipiała walka i od niepamiętnych wieków rozległe powstawały państwa. Od czasu do czasu zjawiał się jaki duch

potężny, który plemię swoję porywał za sobą i panowanie nad okolicznemi rodami obejmował. Raz władzcą takim bywał Tunguz, to znowu Turek czy Tatar, którego szczep panujący, napowrót tunguzkiemu zdobywcy ustępował i tak dalej bez końca. Nie tylko mąż każdy był tam żołnierzem, kobieta nieraz walczyła na koniu, i całe hordy przez otwarte na północ Kaspijskiego morza równiny, jakby peryodyczne krwi potoki wylewały się na zachód między sielskie, rolnicze plemiona, południe zamieszkujące, a w dalszym pochodzie dobiegały do samego serca Europy. Takimi byli : Hunny, Awary, Utigury, Chazary, wszystkie *bicze Boże* owych czasów. Przestraszona wyobraźnia kronikarzy pierwszych wieków chrześciaństwa krainę tamtą nazwała : *Officina gentium*. Hordy turecko-tatarskie, mięszające się z uralskiemi szczepami Finnów, wyprowadzały je na dalekie wędrówki i tworzyły pośrednie fińsko- tatarskie plemiona, które tłukąc się długo po Słowiańszczyznie, wywoływały w niej dla obrony chwilowo istniejące państwa. Po długiej tam zawierusze, kiedy wędrowne hordy w wielu miejscach jak śniegi stopniały, a na zmężniałej w duchu Słowiańszczyznie, narodowe utrwalały się jedności, największą fińsko-tatarską potęgą nad Wołgą, było chaństwo Bułgarskie. Obcy Finnom i Tatarom przybysze zaczynali wtenczas w północnej Biarmii pewien zaprowadzać porządek, a słowiański Nowogród ze swej strony handlowe i cywilizacyjne zakładał osady.

Tymczasem w końcu XII wieku, na piasczystych stepach Azyi strasznejsza od dotychczasowych zebrała się burza. W podległém tunguzkiej dynastyi plemieniu powstał Dżengischan (1), najpotężniejszy ze wszystkich zdobywców. Pełen we własnym duchu przekonania o wielkiém posłannictwie swojém, wiarą w wyłączną nad nim opiekę Najwyższego umiał natchnąć swój ród, i w krótkim przeciągu czasu zawładnął wszystkiemi okolicznemi hordami. Pokolenie jego zwało się *Bede*. Po długich walkach od których rozpoczął swój zawód, chcąc je za stałą wynagrodzić wierność, i sprawić aby podobne według słów jego do szlachetnego kryształu, wyższém było nad wszystko co rusza się na ziemi, kazał mu się nazywać *Mongołami* (2). Powiedział że imie to otrzymał w objawieniu; i zostało mu odtąd, przyjęte jako zaszczyt przez tamte plemiona, powtarzane jako przekleństwo w Europie, bo, dla jej mieszkańców skupiało w sobie całą grozę tatarskich najazdów i barbarzyństwa strasznego. Opanowawszy całą przestrzeń azyatycką, od puszcz północnych aż po pasmo Kuen-lun, Dżengischan, jak twierdzi

(1) Istotne imie jego jest Temuczyn. Dżengis właściwie jest przydatkiem, znaczy *Niewzruszony*; że jednak nie piszemy tu jego historyi, wolimy użyć imienia pod jakiém się prawdziwie zapisał w ludzkich dziejach i pamięci. Mieszkańcy zresztą Azyi środkowej dziś jeszcze pod tém imieniem go znają.

(2) Castren *Ethnologische Vorlesungen*, St-Petersburg, 1857. str. 40.

rozpowszechnione na Wschodzie podanie, zamknął się w swojej stepowej stolicy Karakorum, w pobliżu pustyni Sza-mo, i dawszy wytchnąć duchowi i ciału, dziewiętnaście lat urządzeniu ogromnego państwa poświęcił. Na rozkaz jego ztamtąd wydany, hordy tymczasem posuwały się dalej, zdobywać i karać świat. Za jego życia zburzyły Pekin i posunęły się po Dniepr. Pod jego synami, dziwna, nieprzeparta, jakby tajemnicza siła pędziła je na zachód i południe; przez kaspijską równinę wylały się one na Iran, podbiły Kalifat bagdadski, a z drugiej strony dostawszy się nad Wołgę, zniszczyły państwo Bułgarskie, spaliły dalej przed wiekiem niespełna założoną Moskwę, a przez pogorzeliska Sandomierza i Krakowa dostały się do Szląska, Węgier i brzegów Adryatyku. Niesłychane powodzenie podniosło w nich jeszcze poczucie posłannictwa Bożego; uwierzyli, że są przeznaczeni panować nad światem. Chan mongolski pisał do głowy Rzymskiego Kościoła, że jest powołany zniszczyć świat cały, od wschodu do zachodu, gdyż powiedziano jest, że jeden ma być tylko Bóg na niebie i jeden Chan na ziemi (1).

Na polach Lignicy napotkały hordy mongolskie niezwykły dla siebie opór; wystąpił tam z niemi do walki duch chrześciański, oparty o wielką jedność katolicką. Poczuły tę potęgę jaka stała po za hufcami lignickich rycerzy, i wróciły nazad. Odtąd przestały się kusić o ziemie nad Wisłą, ale uległa im Ruś bliższa, a więc bardziej na ciosy wystawiona i przez swój związek z Kościołem wschodnim od jedności katolickiej odcięta, a więc mocy jaką tamta dawała, pozbawiona; uległy tém bardziej na fińskich ziemiach przez następców Ruryka zakładane księstwa. Uległy jednak nie całkiem; przechowały węzeł religijny i polityczny, a dzięki temu same z czasem wystąpić miały do walki.

III.

Ze śmiercią Oktaja, syna Dżengischanowego, państwo mongolskie rosnąć przestało. Rządził niém zawsze, już z głębi Chin, wielki chan, mający podwładnych z tegoż rodu pochodzących chanów, ale w XIII już wieku, za Kubłaja, wielu z nich oderwało się od jedności, tworząc niepodległe państwa, w Persyi, Turkestanie, nad Wołgą i Kamą. Przez ten czas, w ciągu dwuwiekowej niewoli, potomkowie Ruryka, «jeżdżąc z haraczem do hordy, znosząc najwyższe upokorzenia i nieraz męczarnie, uczyli się polityki mongolskiej i przyswajali ją sobie.» Powoli wielkie księstwo Moskiewskie pochłonęło wszystkie drobniejsze dzielnice, doszło do pewnej siły i stało się samo ogniskiem stałego już oporu, który rósł ciągle.

(1) Plano Carpino.

Raz jeszcze, w końcu XIV wieku wielkie tym początkom zagroziło niebezpieczeństwo. Powstał na nowo duch potężniejszy w plemieniu mongolskiém. Zrodzony już w Turkestanie Tamerlan (Timur-Leng, to jest chromy) wskrzesił tradycyę Dżengischana i rozpadłe cząstki jego państwa w jeden kolos spoił. Persya, Azya mniejsza, nadwołżańskie hordy i cała znowu Azya środkowa uległy przed wielkim Chanem. Moskwa została raz jeszcze spaloną (1381); idea wszechpanowania znowu objęła umysły. Na ten raz Samarkanda miała zostać stolicą świata, i nowa trwoga przejęła chrześciaństwo. Ale to trwało nie długo. Tamerlan na wyprawie do Chin, które niedawno oderwały się były umarł (1405), a następcy nie odziedziczyli jego ducha i znowu olbrzymie państwo na pomniejsze ciała rozłożyć się miało.

Pomogło to do wzrostu wielkiego księstwa Moskiewskiego. Powstałe ze zlewku słowiańskich, fińskich i tatarskich plemion, plemię moskiewskie miało już wiele cech obcych Słowiańszczyznie, a świadczących o żywiołach które je złożyły. Ale zaraz objawił się w niém duch nowy, jakby poczucie także posłannictwa, pchnące je w odwet za tatarskie zagony ciągle na wschód i na północ. Nie wystąpił tam jak w Azyi żaden wielki zdobywca, który porwawszy za sobą massy całe, poszedłby odrazu do serca mongolskich pustyni i znamię krzyża na nich zatknął, albo przynajmniej ogromne osnuł państwo, na kształt Tamerlanowego; wielcy książęta i później carowie, działali ostrożnie, powoli, ale myśl panowania nad światem wcześnie już zaświtała w ich duszy, przez dwa wieki niewoli wdrożeni do podziemnego działania, skrycie ale z niespożytą wytrwałością dążyli do jej urzeczywistnienia, a wysilenia i prace jednostek instynktowie wspierały ich zawsze.

Rozpoczęta ze wschodem mongolskim walka, prowadzona zrazu na własnej ziemi, przenoszona później coraz dalej, doprowadziła Moskwę stopniowo do opanowania połowy Azyi, a koniec tej walki widzi ona dopiero w zaborze całego dżengischanowego i tamerlanowego państwa, bo w duchu czuje się ich dziedziczką. Ostatnie wypadki w Turkestanie które zwróciły uwagę Europy, są tylko jednym epizodem tej wiekowej swojego rodzaju epopei, a koniec jej w ręku Bożém.

IV.

W ciągu kilku wieków, walka ta nieraz zmieniała charakter. Moskwa w miarę wzrostu swojego stawała się coraz inną, przemieniała oblicze; ale już w samych jej początkach, wielkie między obu stronami zachodziły różnice. Mickiewicz z dziwną trafnością scharakteryzował plemiona mongolskie mówiąc, « że dzieje ich całe są tylko ciągłą wojną

i chwilowém zjednaczaniem się (1). Nie związane żadną religijną ideą ani pojęciem ojczyzny, plemiona te dawały się zawsze porwać i skupić na chwilę jakiemu potężnemu z pośrodka siebie duchowi, » ale z dziwną łatwością rozpadały się na atomy, skoro ta kierująca niemi wola ustała. Powstające tam państwa, jakkolwiek nieraz materyalną cywilizacyą świecące, i silnie napozór uorganizowane, zawsze były tylko hordami. Niektóre z nich utrzymały się dłużej, dla tego jedynie, że je wsparły obce, u plemion irańskich zaczerpnięte żywioły. Moskwa wciągu dwóch wieków nasączyła w siebie wiele mongolskiego ducha, jego siłę, przebiegłość, okrucieństwo nieraz, ślepe uleganie władzy, ale miała i węzeł religijny, i inne jeszcze właściwe sobie strony, które jej rozpaść się nie dały. Dla objaśnienia tego przytoczymy fakt następujący.

Wysłannik Innocentego IV, Plano Carpino tak opisuje obiór nowego chana, którego naocznym był świadkiem (1246 r.) Przedniejsi z Mongołów zebrali się wszyscy, i patrząc ku południowej stronie, długo modlili się do Najwyższego, poczém posadzili Gajuka na złotym tronie, i padli przed nim na kolana razem z całym tłumem. Książęta i panowie odezwali się wtenczas do nowego władzcy : « Chcemy i domagamy się żebyś panował nad nami ! » — « Gajuk zapytał : « Chcąc mieć mnie za pana, czyście gotowi spełniać moję wolę? przychodzić kiedy was zawołam, iść kędy każę? zabić każdego kogo wymienię? » — « Gotowiśmy ! » odkrzyknęli wszyscy. — « A więc, zawołał Gajuk, niech słowo moje będzie odtąd mieczem ! » — Przedniejsi wtenczas wzięli go pod ręce, i sprowadziwszy ze stopni tronu, posadzili na rozesłanym na ziemi wojłoku, mówiąc : « Nad tobą niebo i Najwyższy, pod tobą ziemia i wojłok. Jeżeli miłować będziesz dobro nasze, sprawiedliwość i prawdę, jeżeli szanować będziesz książąt i panów naszych, stosownie do ich stanu, wtenczas i państwo Gajuka rozsłynie po świecie, ziemia będzie ci poddana, a Bóg spełni wszystkie pragnienia twego serca. Ale jeżeli zawiedziesz nadzieje poddanych, wtedy zostaniesz wzgardzony i tak biedny, że nawet wojłok na którym siedzisz, odjętym ci będzie. » Po tej przemowie wznieśli Gajuka do góry i okrzyknęli go chanem. Złożono także przed nim mnóstwo złota, srebra, drogich kamieni i cały skarbiec zmarłego chana. Gajuk część tych bogactw rozdał natychmiast przytomnym, na znak swej szczodrobliwości i łaski. Tymczasem przygotowano ucztę dla książąt i ludzi; pito do samej nocy i rozwożono wozami mięso gotowane bez soli. Wszystko to do tego stopnia było w obyczajach, że bezmała powtarza się i teraz; panujący dzisiaj emir bucharski z takim samym ceremoniałem podniesiony był na wojłoku. Rozpowszechnione zaś na całym tamecznym

(1) Pierwsze wieki historyi polskiej. *Pism wszystkich* wydania paryzkiego 1868 roku. Tom IV, str. 229.

Wschodzie prawo, zwane kodexem Dżengischana(Jazao-Dżengis), przytaczane i dzisiaj, wyraźnie powiada, że wodzem, naczelnikiem, panem życia i śmierci, jedném słowem, chanem, jest ten, kogo *zwycięzka* horda z pomiędzy siebie wybierze, okrzyknie. Takie pojęcie samo przez się przypuszczało ustawne zmiany, dawało się przystosować, i w istocie stosowane było do każdego szczęśliwego śmiałka. Ono jedno tłumaczy już nam stan hord i państw mongolskich. Chan był w nich bezwarunkowo słuchanym, ale w każdej chwili mógł być zastąpiony przez innego, któryby jaką hordę za sobą pociągnąć potrafił i — zwyciężył. Zwycięztwo jedno już uprawniało jego władzę. Było też ono w ich oczach świadectwem opieki niebieskiej. W wielkich zdobywcach swoich widzieli oni zawsze istoty nadzwyczajne, a każde powodzenie rozżarzało ich wiarę, ale właśnie dla tej samej przyczyny, wszelka klęska z łatwością przerzucała ich na inną stronę, bo nowe powodzenie, w nowym też szczęśliwcu wskazywało im ulubieńca losu, i nieubłaganego przeznaczenia.

W Moskwie działo się inaczej. Panujący przyoblekał tam jeszcze pewien religijny charakter, a ten w najmniej rozwiniętej nawet społeczności chrześciańskiej, nie potrzebował sankcyi powodzenia. Z mongolską ułegłością dla jego rozkazów, łączyła się jeszcze w duszach pewna świętość; nietylko targnąć się na jego osobę, ale pokusić się o jego władzę, nikt się w sumieniu swojém nie odważał. Z czasem, cześć dla niego wrosła tak głęboko w dusze, że stała się dogmatem narodowym, a w walce ze światem mongolskim, dawało to Moskwie ogromną przewagę. Posiadając całą siłę jego ducha, miała ona jeszcze moc własną jemu nieznaną.

Przy braku ogólnego politycznego węzła, hordy mongolskie miały niezmiernie silny węzeł plemienny; każda horda, każden szczep oddzielny i ród nawet pojedyńczy, stanowił osobną, ściśle połączoną całość. Do dziś dnia, każde z oddzielnych plemion przechowało wszystkie, od niepamiętnych czasów istniejące w niém pokolenia i rody; każden z nich najczęściej z innemi skłócony, nieraz zaciętą prowadzący wojnę, stanowi osobną całość, mającą swoje podania, swoje odrębne cechy, które człowiek zachodu z trudnością nieraz dostrzega, ale które dla nich są wyraźne, i każdemu od najmniejszego dziecka wiadome. To jeszcze ułatwia niesłychanie rozpadanie się państw wszelkich i większych zbiorowisk. Gdyby takiego porównania użyć było można, powiedzielibyśmy, że plemiona te były zbiorem twardych atomów, które chemicznie połączyć się, przeniknąć siebie wzajemnie aby nowe jednolite ciało utworzyć, nie mogły, dla tego łączyły się tylko *mechanicznie*, i przy lada zdarzeniu, przy lada nowej z zewnątrz sile, rozpadały się napowrót, albo nowe, również mechaniczne tworzyły związki. Moskwa i w tém miała przewagę; była właśnie takiém jedno-

litém ciałem, łatwo łączącém się z innemi, chłonącém je w sobie i samo przetwarzającém się stopniowo, w miarę przyswajanych sobie żywiołów.

V.

Nie można ściśle oznaczyć chwili w której wielkie księstwo Moskiewskie do stanowczej wystąpiło walki i wyraźnie na czele całego ruchu stanęło. Początki wszelkie zazwyczaj mgła tajemnicza pokrywa. Nie chodzi nam też dziś o to. W połowie XV wieku było już ono takiém ogniskiem. Właśnie około tego czasu państwo Tamerlana wielkim uległo zmianom. Po jego śmierci nastąpiły lata wewnętrznych kłótni; w rozmaitych hordach powstawali pretendenci, często zwyczajem mongolskim (do czego wielożeństwo przyczyniało się także) bracia walczyli z braćmi, mordowali się wzajemnie, a po kilkudziesięciu takich latach, ta właśnie część zachodnia państwa, która najbardziej ciężyła na Europę, rozpadła się na kilka części; miejsce jednego pana którego rozkaz niedawno jeszcze z Samarkandu wydany, rozsyłał posłuszne hordy na wszystkie strony świata, zajęli mniejsi władzcy. W początkach następującego wieku (1519) miał jeden z Timurydów, Babur założyć w Indostanie państwo wielkiego Mongoła, a ugruntowany w dzisiejszym Turkestanie islamizm, wyrobić tam sobie jakby warownię i święte miasto w Bucharze, ale Kipczak od którego zależało wielkie księstwo Moskiewskie upadł. Ułu-Mohammed odnowił Kazań; potworzyły się jakby mniejsze ogniska potęgi, oddzielne chaństwa: kazańskie, astrachańskie, sybirskie, krymskie. W 1480 r. jeden z chanów tiumeńskiej czyli syberyjskiej hordy, Iwak, zburzył dawną kipczacką stolicę, leżącą nad odnogą Wołgi, Achtubą. Groźne zawsze półkole, najeżone rozbójniczemi hordami, od Kazania aż po za Don, wsparte jeszcze o coraz bardziej rosnącą ottomańską potęgę, otaczało chrześciańskie ziemie, ale nie było już w niém dawnej jedności; owszem, coraz więcej roiło się drobnych carzyków i władzców, coraz bardziej rozpadało się wszystko na szczepy, pokolenia, rody, zazwyczaj chwilowym tylko kierujące się interesem i walka z niemi stawała się łatwiejszą. Granice każdego z chaństw wspomnianych, nie dałyby się ściśle określić; przy koczowniczém życiu większej części hord, zmieniały się one ustawnie; jedne i też same plemiona w przeciągu lat kilkudziesięciu na rozmaitych spotykają się miejscach, i było to jakby wielkie, gwarne, ciągle ruszające się mrowisko.

Zanim wielcy książęta czynnie przeciw niemu wystąpili, na całém pobrzeżu, zwłaszcza w południowej stronie, od Donu po Wołgę pra-

wie i Jaik, utworzyła się zbrojna milicya, z najróżnorodniejszych żywiołów złożona, zasilana ciągle ludźmi wojennego rzemiosła, żyjącymi najczęściej grabieżą i rozbojem, a których wielkie mnóstwo liczyły te dzikie jeszcze i burzliwe czasy. Na wyspie, niedaleko ujścia Donu, o mil kilka od dzisiejszego Azowa, powstała pierwsza ich stanica, Czerkaskiem zwana, jeszcze w XV podobno wieku. Jak u nas na Zaporoże, tak tam zbiegało się wszystko co życia awanturniczego szukało, a wielkiej pragnęło swobody. Z tatarska gromady te przezwały się Kozakami (1), a w czasach o których mówimy, urosły już do wielkiej liczby i w walce z Tatarszczyzną stanowiły wyłączną siłę. W nich mocném tętnem odzywał się ten duch, który parł naród moskiewski na zdobycie północy i wschodu; były one jedną z form jemu najwłaściwszych, w jakich się objawiał, jaką wyrobił sobie. Odtąd widzieć je będziemy na wszystkich wschodnich pobrzeżach rosnącego państwa, wszędzie w pierwszej linii bojowej. Różne od naszej zaporożskiej Kozaczyzny, bo nie miały w sobie ani żywiołów szlacheckich które rycerskość tamtej podnosiły, ani rzewności ukraińskiego ludu, z natury dziksze, w awanturniczości przedsięwzięć i wypraw swoich, w wytrwałości i żelaznym prawdziwie harcie, jej nie ustępowały.

Między Moskwą i Kazaniem, na ziemiach szerokiemi jeszcze wtenczas porosłych lasami, żyły wówczas liczne plemiona fińskie, wchodzące niegdyś w skład bułgarskiego państwa, związkiem z Mongołami w naturze swej mocno zmienione; byli to Czeremissy, Mordwini i najbardziej ze wszystkich statarszczeni Czuwasze. Oddani łowiectwu, doskonali łucznicy, hołdowali teraz chanom kazańskim. Dalej za nimi na północ, po nad zwykłym gościńcem wędrówek narodów, w głębszych coraz puszczach koczował Finnów szczep permski, nad Wyczehdą, Waszką, Zylmą i nawet północną Peczorą; składali go Permiaki, Wotiaki, nareszcie Woguły i Zyryanie. Ci oddawna handel futrami z zauralską prowadzili Jugryą, przez Soswę i Wogułkę; mało z Tatarami zmięszani, na brzegach rzek i jeziór trudnili się rybołówstwem, w lasach za mniejszym uganiali się zwierzem, w grubym szamanizmie swoim, groźnego puszcz tamecznych mieszkańca niedźwiedzia, czcili jako wcielenie potężnego ducha, plemiennych, rodowych i osobistych mieli bożków, a za granice swych lasów nie wyjrzeli nigdy. Wielki Nowo-

(1) Imie to do dnia dzisiejszego nosi jedno z pokoleń kirgizkich, koczujących w stepach Azyi środkowej. *Kozak* albo *Kazak* właściwie oznacza człowieka nieosiadłego, wolnego, nie poddanego nikomu, szukającego zarobku i przygód. W pierwiastkowém znaczeniu, Kozak, był zarazem człowiekiem nieżonatym. I rzecz dziwna! podanie kirgizkie rozpowszechnione w stepie, za protoplastów czterdziestu rodów kozackich naznacza czterdziestu ludzi trudniących się w stepie rozbojem, a długi czas związanych ślubem bezżeństwa. Wiadomo że w Siczy naszej nie znoszono kobiét, a pierwsi Kozacy osiedli w okolicach Uralu, z początku żon także nie mieli. Język tatarski wyrazem *Kazak wilajeti* oznacza wszelką Ukrainę.

gród miał tam handlowe stosunki, wyprawy nieraz w te strony posyłał, i dań nawet od nich pobierał. Istniała tam jeszcze, założona w XII wieku nad rzeką Wiatką nowogrodzka osada Chłynów, rządząca się według obyczajów starego słowiańskiego grodu. Wszystkie te plemiona, z upodobania i obyczaju przenoszące się z miejsca na miejsce, ale do dalekich niepochopne wypraw, porównywane przez kronikarzy i poetów do myszy wędrownych, kiedy godłem powszechnie przyjętém dla Tatarów była szarańcza, dzieliły się na mnóstwo drobnych pokoleń i rodów. W każdej tak zwanej ziemi, w każdym zakątku przez oddzielny ród zamieszkałym, był osobny wódz, carzyk. Graniczący z tatarskiemi chaństwami, ulegali kolejno kazańskim, astrachańskim, nogajskim i sybirskim hordom, ale stosownie do chwilowych swych potrzeb albo interesów zmieniali panów, wiązali się nieraz przymierzem ze wczorajszymi wrogami, aby nazajutrz, przy zmianie okoliczności porzucić ich znowu.

Moskwa wystąpiła jednocześnie przeciw słowiańskim rzeczompospolitym w Nowogrodzie i Pskowie, i przeciw Tatarszczyznie. Z tą, naprzód zaciętą prowadziła walkę o podległe jej fińskie plemiona, tamte zrazu osłabić i ziemie północne odebrać im starała się; okoliwszy tym sposobem od północy Tatarszczyznę łatwiej ją spodziewała się przemódz. Między nadwołżańskiemi plemionamiFinnów, najbardziej dzikością odznaczali się Czeremissy. Wojna o nich i Mordwę z Kazaniem, toczyła się prawie ustawnie, pełna pożogi, rabunków i mordów, bezlitośna, krwawa . Nie tylko wielcy książęta moskiewsy i kazańscy chanowie, ale nieraz pojedyńczy ludzie, ochotnicy, podejmowali zbrojne wyprawy; wybrawszy z pomiędzy siebie wojewodów zapuszczali się w ziemie nieprzyjacielskie, uprowadzali jeńców, albo obronne budowali gródki, około których potém skupiała się znowu walka. W zagonach takich, obu stronom na przemian towarzyszyły nieraz gromady samychże Finnów, obowiązujących się płacić daninę to jednym, to drugim. Ale Moskwa powoli rosła. Waśnie domowe między Tatarami ułatwiały jej zwycięztwo. Wierna zawsze raz powziętej polityce, skoro gdzie domowa wybuchła kłótnia, oświadczała się za jedną stroną i wspierając ją, nabywała wpływu, a w końcu sama stawała się panią. Wyprawom prywatnych ludzi nie przeszkadzała nigdy, tylko każden taki wojewoda , często herszt zbrojnej bandy, musiał uznać jej zwierzchność; żaden się też z nich od tego nie uchylał.

Trzymając się tej polityki Iwan III już chanów w Kazaniu osadzał, skargi na nich od poddanych przyjmował, jednego nawet przez posłańca swego kniazia Nozdrowatego, przywieźć do Moskwy kazał i do Biełozeru na wygnanie posłał; z drugiej strony kilka razy odbieraną Wiatkę, dawniejszy Chłynow, ostatecznie przy sobie zatrzymał, a wy-

syłając wyprawy na północ, w najodleglejsze już prawie dzielnice Finnów, okolił niejako Tatarszczyznę, i pierwsze nasiona moskiewskiej na północy potęgi zasiał. W ostatnim roku XV wieku, cała ziemia Wogułów przyjęła moskiewskie poddaństwo a kniaź Kurbski założywszy obronny gródek nad Peczorą, przeszedł jeszcze na drugą stronę Urału, już w bezbrzeżne sybirskie przestrzenie. W kilka lat później, osadzony został w Permie pierwszy z ręki moskiewskiej rządca; był nim Bazyli Kowra.

VI.

Chwilą stanowczego w walce Moskwy z Tatarszczyzną przełomu było panowanie Iwana Groźnego i połowa XVI wieku. Jakkolwiek państwo Tamerlana na wiele chaństw się rozpadło, istniała jeszcze pamięć jego potęgi. Wszystkie drobne od siebie niezależne chanaty uważały się jakby za jego prowincye, za cząstki tego państwa, któremu w pojęciu Mongołów przeznaczoném było ogarnąć świat cały. Pojedyńczy władcy hord czuli się obowiązanymi do posłuszeństwa najwyższemu chanowi, prawdziwemu spadkobiercy Dżengisa i Tamerlana. Za takiego moralnego spadkobiercę uważali oni między sobą, cara krymskiego. Pojęcie to nie było też obcém władcom moskiewskim i ich poddanym. Iwan III który w stosunkach swoich z Zachodem domagał się zupełnego porównania z cesarzem rzymskim i sułtanem tureckim, uznawał nad sobą wyższość cara krymskiego, i we wszystkich do niego odezwach, pisał według przyjętego w owym czasie w podobnych razach wyrażenia «*bijąc przed nim czołem.*» Wnuk jego Iwan IV Groźny, otrząsł się z tego, a po koronacyi przyjąwszy uroczyście tytuł *Cara i Samodzierżcy* (1547) ogłosił się za najpierwszego z panujących; wkrótce potém otrzymał od konstantynopolitańskiego patryarchy Joasafa hramotę potwierdzającą go w tej godności. Od chwili koronacyi i przyjęcia tego tytułu, wystąpił w obec hord tatarskich jako najwyższa władza, a w pojęciach swoich poddanych uzyskał moralną podstawę, której najohydniejsze później życie, najstraszniejsze okrucieństwa zniszczyć nie zdołały. Pod ręką tego strasznego człowieka, Moskwa przekształcała się już całkiem i dojrzewała na to państwo zaborcze z duchem prawdziwie mongolskim, jakiém jest odtąd. Dobywszy Nowgorodu i Pskowa Iwan niszczy wewnątrz żywioły słowiańskie, wytępia bojarów, przesiedla jak Mongołowie mieszkańców miast całych, ale w wielkiém zadaniu moskiewskiego plemienia, odparcia Tatarszczyzny, występuje jako zwycięzca i pod tym względem staje się prawdziwie wyrazem dążności swego narodu. Zręczny i przebiegły polityk, zapewnia sobie silne stronnictwo w Kazaniu, osadza tam na chaństwie

oddanego mu Szig-Aleja, ale ziemie Czeremisów, Czuwaszów i Mordwy wciela już całkiem do swego państwa; w parę lat później ze 150,000 wojska oblega sam Kazań i dobywa miasta, w którém wyrznięto całą ludność prócz kobiét i małych dzieci (1552 r.). Wrażenie było ogromne; Moskwa w Iwanie uznała wybawiciela, pogromcę niewiernych, hordy tatarskie przyjęły to jako wyrok przeznaczenia, jako zapowiedź ostatecznej zagłady. « Zawojowane tatarskie państwo » rozległ się okrzyk po wszystkich koczowiskach; odtąd sam opór stawał się coraz słabszym; ze wschodnią wiarą w fatalizm, nie śmiano się już nań porywać. Każdy z pojedyńczych carzyków i chanów szukał tylko pomocy wielkiego cara przeciw własnym chwilowym wrogom. We dwa lata po wzięciu Kazania, już Astrachaniem rządził chan z ramienia Iwana. W rok później, jeden z chanów hordy nogajskiej, niedawno jeszcze tak strasznej, prosił Cara aby zniósł chaństwo astrachańskie zająwszy miasto jak niedawno Kazań. Stało się zadość prośbie, i osadzony w astrachańskim kremlu dowódzca strelców moskiewskich doglądał z góry stepowców; wkrótce już nad Irgizem stanęła moskiewska forteczka. Popłoch był ogólny; drobne carzyki z Kaukazu przysyłali posłów *bić czołem* przed carem, przyjmowali poddaństwo, prosząc o pomoc przeciw swym wrogom. Podobneż poselstwo przybyło z dzisiejszej Tobolskiej gubernii, od chana sybirskiego Edigera, będącego wówczas w wojnie z kirgizkiém pokoleniem Kozaków; obowiązywał się do płacenia daniny czyli jasaku skórami soboli i wiewiórek. Iwan wszystkich w poddaństwo przyjmował, dla wybierania daniny posyłał w te odległe strony swych ludzi, gdy jasak nie był zupełny, posła sybirskiego Bojandę do więzienia wtrącił. Kto raz do jasaku się obowiązał, uważany był za poddanego; jego nieprzyjaciel był nieprzyjacielem Moskwy, pobudki do coraz dalszych zaborów znajdowano na każdym kroku. Nigdy jeszcze dotąd w tak krótkim przeciągu czasu Moskwa tak wielkich nie uczyniła zdobyczy.

Z pokonaniem Kazania, obszerne rozłogi ciągnące się dalej na wschód i północ, stanęły niejako dla moskiewskiego plemienia otworem. Wspominaliśmy wyżej o dalekich aż na brzegi Peczory wyprawach, i o przejściu nawet uralskiego pasma. Ruch w tym kierunku wzmógł się teraz ogromnie. Plemię moskiewskie dotychczas ma skłonność do wędrówek i kolonizacyi, pociągają je zawsze wielkie przestrzenie i niezaludnione jeszcze obszary. Wtenczas popęd ten był daleko silniejszy. Dziewiczość ziemi i sam jej bezmiar, miał urok dla dusz przedsiębierczych, a praktycznych i przemysłowych umysłów; groza wewnętrznych domowych stosunków doradzała mnogim wędrówkę, kraina drogich soboli i jeszcze kosztowniejszych lisów, rozpalała chciwość nadzieją ogromnych zysków, a wreszcie i bezkarność zupełna na bezludnych przestrzeniach, nęciła burzliwsze dusze, mające już nieraz

ciężkie ze sprawiedliwością ludzką rachunki do załatwienia. Gromady wędrownych osadników mnożą się i zapuszczają coraz dalej w puszcze i pustynie północne. Zjawiają się postacie zdumiewające prawdziwie niespożytą energią i przedsiębierczością swoją. Takimi naprzykład są bracia Strogonowy. W 1558 r. otrzymują przywilej (hramotę) na zakładanie gródków i osiadanie nad Kamą i po kilku latach mają już tam warzelnie soli, i stałe osady: prowadzą handel z okolicznemi plemionami, zmuszają je do płacenia carowi jasaku. Niezadługo już im to nie wystarcza; proszą o nową hramotę, bo chcą się przenieść na brzegi Tobolu. Car w pojęciu powszechném uważany był za przyrodzonego zwierzchniego pana nad wszystkiém, musiano więc mieć jego upoważnienie; on naturalnie udzielał go chętnie. Strogonowy obowiązywali się własnym kosztem gródki obronne stawić, żołnierza w nich utrzymywać, od plemion okolicznych bronić się, i te do poddaństwa carowi zniewalać; udzielano im za to prawa swobodnego handlu, i utrzymywania zbrojnych na swoim żołdzie komend, byli także najwyższymi u siebie sędziami. Znajdowali zawsze całe drużyny które im towarzyszyły. Podobni pod wielu względami do pionierów nowego świata, z siekierą w jednej, a rusznicą w drugiej ręce, ludzie ci zapuszczają się w puszcze odwieczne; zrąbane sosny i modrzewie tworzą ściany grodków obronnych, około nich zaraz karczują się pola, zakładają wioski, gdzie można warzelnie soli, albo nad brzegiem której z rzek większych, przystanie rybackie; nic ich odstraszyć i wstrzymać nie może, ani groźna natura północna, ani trudy wędrówek po puszczach bez drogi, ani częste koczujących dokoła plemion napady. Odstrzeliwają się z za ścian swoich, i posuwają się dalej. Iwan Groźny Strogonowych użył do ukarania wiarołomnych jak wyrażano się wtenczas Wogułów, Ostjaków i Czeremissów, którzy jasak płacić byli przestali, a po rozgromieniu tych plemion, na nową prośbę, udzielił im jeszcze hramoty upoważniającej do osiadania nad Irtyszem i rzeką Ob, z prawem prowadzenia nietylko obronnej ale i *zaczepnej* już wojny, ku czemu mieli gromadzić i najmować ludzi.

Kozak z nad Donu Timofej Jermak, nabroiwszy dużo na Wołdze, gdzie przez lat kilka trudnił się rozbojem, tułał się wtenczas z drużyną swoją w niedalekich od Kamy okolicach; zmusiły go do tego wojska wysłane przez Iwana dla poskromienia wołżańskich swawolników. Strogonowy przyjęli go na służbę z całą jego watagą, złożoną z pięciu do sześciuset ludzi, i wysłali przeciw sybirskiemu chanowi, którym był naówczas Kuczum (1581)*, dodawszy mu jeszcze Tatarów, a nawet Niemców z Inflant i Litwinów na wojnach przez Iwana do niewoli zabranych i zesłanych w te strony. Oddział cały składał się z 840 ludzi. Plemiona inne napadłszy wówczas właśnie na ziemie permskie, niszczyły tam moskiewskie osady, i car gniewał się za odda-

lenie w tym czasie Jermaka; ale wyprawa jego poszła jak najszczęśliwiej; pobiwszy kilka razy Tatarów, zajął miasto Sybir, stolicę Kuczuma; krewnego jego, dowodzącego wojskiem Mametkuła, wziął w niewolę, wszystkie ułusy i gródki tatarskie nad Irtyszem i Obem poskromił, i zajął ostjackie miasto Nazim. Trzecie z kolei większe chaństwo tatarskie upadło, bo chociaż w kilka lat potém Jermak utonął i kozacy nie jedną klęskę odnieśli, a Kuczum jeszcze na chwilę do stolicy swej wrócił, powstać już ono nie mogło. Warunki upadku były wszędzie; książęta tatarscy rznęli się między sobą, niezgoda torowała drogę Moskwie, i wkrótce Mansurowi poddały się znowu wszystkie te kraje. (1585). Ostiacki carzyk Ługuj panujący nad kilku gródkami na wybrzeżach Obu, pojechał do Moskwy prosząc o przyjęcie go w poddaństwo. Powstawały coraz nowe tam miasta : w 1587 r. Sukin założył Tiumeń a Czułkow Tobolsk; za cara Teodora syna Iwanowego, zbudowano Pełym, Tarę, Berezow, Narym i t. d. w okolicach Kazania Cywilsk, Urżum, Kokszag i inne. Wszystko to z razu były warownie, utrzymywały ludność w poddaństwie, a zarazem szerzyły tam rolnictwo i jakiekolwiek uobyczajenie. Dany raz popęd nie ustawał; w ogromnej liczbie nadsyłane sobole i inne drogie futra zwiększały ilość ochotników, podjęta przez naród praca ściągała coraz nowe zastępy : wyludniały się wprawdzie właściwe moskiewskie prowincye, ale tym sposobem pozbywały się tylko burzliwszych wewnątrz żywiołów, a granice państwa rozszerzały się ciągle. Wiek XVII nie dobiegł kresu, a już Moskale dotarli do Spokojnego oceanu.

VII.

Wrócimy jeszcze do tych stron; tymczasem rzućmy okiem na morze Kaspijskie, z powodu geograficznego położenia swego niezmiernie ważne w stosunkach Moskwy z Tatarszczyzną. W czasach o których mówimy, powstała tam nowa społeczność kozacza. Mówiliśmy o kozakach z nad Donu; urośli oni do znacznej siły, i uzuchwaleni niejedną szczęśliwą na Tatarszczyznę wyprawą, przestali być posłuszni samemu carowi, niwecząc nawet czasem jego projekta. Rozgniewany Iwan wysłał na poskromienie ich wojsko; pobici rozeszli się poczęści w różne strony; niejedna gromada oparła się jak widzieliśmy aż w Syberyi, i tam zdobywając nowe przestrzenie dla Moskwy, zgładzała dawne przewinienia swoje, jak wyrażały się listy carskie; część rzuciła się na Jaik, (tak wówczas dzisiejszą rzekę Urał nazywano), i na Nogajskich Tatarach, ówczesnych panach tych stron, zdobyła miasto Sarajczyk z okolicą. To był początek ich wzrostu. Wojskowa drużyna, zwykłym u wędrownych kozaków obyczajem, z samych mężczyzn złożona, osiadłszy, zaczęła żon dla siebie szukać między sąsiadami; najbliższymi

naturalnie byli Tatarzy, i w dodatku Kałmycy, niedawno z głębi Mongolii w te strony przybyli. Nie znajdując między nimi kobiét ochoczych do tych z niewiernymi związków, na wzór założycieli Rzymu, gwałtem je porywali. Moskiewskie kroniki świadczą o tém wyraźnie, wspominając o całych wyprawach, hurmem w tym celu podejmowanych, a kończących się najczęściej szczęśliwie; wojna wprawdzie nie ustawała, ale ona była właściwie rzemiosłem kozaków i hartowała ich tylko, bez niej żyć oni nie mogli. Od napadających dla odebrania kobiét Kałmyków i Tatarów, bronili się kozacy z armatek drewnianych, z których w braku kul strzelali kamieniami, a nie wiemy nawet, czy przyszło naduralskim Sabinkom rozbrajać kiedy walczących. To tylko pewna, że prędko rozradzać się zaczęli, a kiedy w pierwszych latach XVII wieku przybyły do nich nowe z nad Donu gromady, wybiegali aż daleko za morze. Wtenczas to po raz pierwszy w dzisiejszym Turkestanie rozległy się wystrzały nadkaspijskich kozaków. Jeden z ich wodzów Neczaj, w 500 ochotnika przeszedł step cały i miasta Urgencz dobył, a chociaż obciążonego łupami chan chiwiński dopędził, i wszyscy po zaciętej walce zginęli, prócz trzech tylko, z wieścią o klęsce powróconych na Jaik, nie odebrało to innym ochoty do wycieczek w te strony. Zaledwo lat kilka po tej klęsce upłynęło, aliści inny ataman Szamaj ruszył znowu przez stepy ku Aralskiemu morzu. I ten szczęśliwszym nie był; zaskoczony zimą pierwej nim do Urgencza się dostał, musiał zatrzymać się ze swoją drużyną na jednej z wysepek morza Aralskiego, i później ze wszystkimi towarzyszami dobrowolnie oddać się w ręce Chiwińcom, dla uniknienia głodnej śmierci. Pamięć wszakże o nich została, i podania te dotychczas żyjące między kozakami, nieraz ich pewno zagrzały do dalszych wypraw. Urosły nowe miasteczka: Guryew u samego ujścia Jaiku, Sakmarsk daleko wyżej, nad wpadającą do niego Sakmarą; cały pas ziemi zaludnił się tym sposobem zbrojną wojenną milicyą. Ziemia nieurodzajna, zwłaszcza w niższej części Jaiku, była powodem, że się oddano wyłącznie rybołowstwu, wycieczkom w stepy i morskim grabieżom. Podobne do czajek zaporożskich *budarki* uwijały się po wodach kaspijskich, dopadały nieraz do turkmeńskich wybrzeży, czasem aż do Baku nawet. Dońscy kozacy nieraz łączyli się z nimi dla wspólnych wypraw, palili floty perskie, niszczyli całe nadbrzeżne prowincye.

W owych czasach wewnętrznego przerabiania się państwa i wielkiego w niém jeszcze chaosu, ludność kozacza utrzymywała właściwie straż pograniczną; od nikogo prawie niezależna, rządziła się sama, według dawnych, do wojennego tylko bytu przystosowanych obyczajów. Wybierano i zmieniano według upodobania atamanów i całą starszyznę, winnych karano śmiercią, a wszystkie w ogólności sprawy rozstrzygano na zgromadzeniach ogólnych, czyli wiecach, zwanych na

miejscu *krugi*, na które odgłos dzwonu całą męzką zwoływał ludność. Kozacy byli wtenczas niejako osobną społecznością w narodzie. Gródki przez nich posiadane wyróżniały się od tych, któremi carscy władali wojewodowie. Kozak, przez cały jeszcze wiek XVII, był najpoetyczniejszą postacią dla mieszkańców moskiewskiego państwa, skupiał w sobie wszystko co najsilniej działało na wyobraźnię owych czasów. Wolny, z pogardą pewną patrzył na przywiązany do ziemi lud rolniczy, a sam był dla niego pod tym względem ideałem; odważny, prowadził wojnę z bisurmanami, a żył rozbojem i grabieżą, co tak nęciło wyobraźnię ówczesnych ludzi, że kupcy przybyli z towarami, dowiedziawszy się o gotującej się wyprawie, często dla tego rzucali wszystko i szli z kozakami. Wycieczki wojenne odpowiadały zupełnie skłonnościom kozaka, siadając na koń albo do łodzi, mawiał zwykle że jedzie *pohulać*; zebrane na wyprawie bogactwa, trwonił w zabawach, rozdarowywał, rozrzucał; całe też życie jego zdawało się jedną, nieprzerwaną hulanką. Niełatwo nam dzisiaj przenieść się w owe czasy i pojąć nawet ich uczucia. Było w duszach coś podobnego w zaraniu średnich wieków w Europie; nie znały tylko te strony feudalizmu zachodniego, nie miały instytucyj rzymskich i organizacyjnego ducha kościoła katolickiego, i dla tego wyższych moralnych uczuć dla narodu wyrobić nie mogły. Jak zwykle bywa w młodzieńczych społeczeństwach, najwyżej ceniono siłę; wszelki większy jej objaw wzbudzał podziwienie. Poszanowanie dla porządku i miary we wszystkiém jest owocem cywilizacyi, wewnętrznego wyrobu. Rossya dziś jeszcze do tego nie doszła. Wtenczas massy całe uderzały najbardziej rzeczy nadzwyczajne; nie pojmowano prawa, upadano przed ślepą bezwzględną siłą; im bardziej monstrualne były nawet jej objawy, tém przeważniej działały na wyobraźnię (1). Kozacy z wypraw na Kaspijskie morze i na wybrzeża turkmeńskie i perskie, wracali często obładowani łupem; żagle ich łodzi świeciły kosztownemi materyami wschodu, powrozy były z jedwabiu, sznury pereł zdobiły kołpaki, córki chańskie miewali za branki, na rynkach gródków swoich roztaczali przepych oryentalny, i wszystko to zdobyte mieczem, okupione krwią własną, rozdawali, trwonili. Kozak w pojęciu owego czasu prawdziwie używał żywota, sam sobie był panem, a kiedy dużo nabroił, brał kij wędrowny i ruszał nad Białe morze pielgrzymką do Sołowieckiego monasteru zmywać grzechy swoje, poczém znowu do dawnego życia powracał. Kiedy mu się zdarzyło doczekać starości, nieraz cela zakonna

(1) Jeden z takich atamanów kozaczych, sławny Steńka Razin, pływając raz dla uciechy w bogato-przyozdobionej łodzi po Wołdze, z branką sułtańskiego rodu, zdobytą podczas wyprawy do perskich wybrzeży, wśród śpiewów i hucznej wesołości, schwycił raptem strojną w jedwabie i perły towarzyszkę swoją i rzucił ją do rzeki, wołając : «Matko Wołgo! obdzieliłaś mnie szczodrze złotem i srebrem, czcią i sławą i wszelkiém bogactwem; jam ci się niczém nie odwdzięczył dotąd : weź ten oto odemnie podarek! » i dalej również wesoły popłynął. (*Sołowiew* tom XI.)

przyjmowała pragnącego już spokoju pokutnika. Lud uciśniony, przykuty do ziemi, widział w tém życiu raj istotny dla siebie; sławniejsi wodzowie kozaccy, wyrastali w jego wyobraźni na prawdziwych bohaterów, tworzyły się o nich legendy i obiegały tłumy; zwano ich czarodziejami, wieszczymi mężami; zapominano o trudach i niebezpieczeństwach tego życia, o jassyrze tatarskim jaki się nieraz w nieszczęśliwych wyprawach spotykał, o śmierci okrutnej z rąk niewiernych; co było żywszego a bardziej uciśnionego w narodzie, to przy pierwszej sposobności biegło na pogranicza i zapełniało nanowo przerzedzone w wyprawach szeregi. Nieraz burzliwe te żywioły, gdy wylać się na południe albo wschód nie mogły, rzucały się wewnątrz, i zakłócały państwo, jak było naprzykład w drugiej połowie XVII wieku ze sławnym Steńką Razinem, który na chwilę zatrząsł kilku prowincyami, tępiąc wszędzie panów i wojewodów; ale była tam na dnie ogromna siła. Do końca XVII wieku ona to walczyła ze Wschodem, i sama najczęściej, bez udziału najwyższej władzy, rozszerzała granice państwa. Chanaty tatarskie pokonać jej nie mogły, tém bardziej, słabsze daleko sybirskie plemiona.

VIII.

Tymczasem na północy Azyi posuwano się coraz dalej, napotykając koleją za Ostiakami Jakutów i rozmaite gałęzie samojedzkich, fińskich i tureckich szczepów, tam w leśnej przestrzeni rozsianych. Zetknięto się wkrótce i z Mongołami. Wysłany z Jenissejska Koleśnikow dla zebrania wiadomości o Bajkale i srebrnej i złotej w okolicach jego rudzie, założył gródek nad Angarą (1635) i przez lat kilka toczył wojnę z mongolskiém plemieniem Buryatów. Wkrótce zawarł stosunki z najbardziej oddalonym azyatyckim szczepem Tunguzów. Przodkowie ich niegdyś, jak powiedzieliśmy wyżej, kilku nawrotami ogromne tam zakładali państwa; panująca wtenczas nad Chinami dynastya była tunguzką, ale pozostałe na północy pnia tego gałęzie, nie miały już z nią związku. Rozdzieleni na mnóstwo drobnych pokoleń, stosownie do miejsca jakie zamieszkiwali, Tunguzi trudnili się łowiectwem, hodowlą koni lub reniferów, albo też rybołowstwem. Rozmiłowani nadewszystko w wędrówkach, więcej nad innych stron tych mieszkańców zahartowani, dwóch dni nie pozostając na miejscu, często najsroższe zimy bez namiotów spędzali w puszczach. Prócz tego śpiew i taniec lubiący namiętnie, wesołością swoją i wykwintniejszym strojem wyróżniali się od innych mieszkańców tych stron. W tej samej prawie chwili kiedy jedna szczepu tego gałąź osadzała na pekińskim tronie panującą tam do dnia dzisiejszego dynastyę, do drugiej, między te twarde a wesołe

na północy plemiona, dostało się siedmnastu wędrownych kozaków, którzy pierwszy tam gródek postawiwszy, na zawsze także panami tych stron pozostać mieli. Zrazu domagali się tylko uznania zwierzchności carskiej i jasaku, sobolich i lisich skórek, ale bardzo prędko wzmocniwszy swój gródek zaczęli nękać i grabić ludność miejscową, a zdzierstwami swemi wywoławszy opór, nie tylko wszystkie tych plemion napady odparli, ale jeszcze straszne im nieraz zadając klęski utrzymali się na miejscu.

W tymże prawie czasie jakucki wojewoda Gołowin wysłał oddziały nad rzekę Szyłkę, dla zbierania jasaku. Dowódzca jednego z tych oddziałów, niejaki Pojarkow, dostał się wtenczas po Amurze aż do oceanu Spokojnego, a przezimowawszy tam, na wiosnę, po rzece Ulii, dalej zaś lądem wrócił na Lenę, zkąd znowu do Jakucka. Każden rok niemal widział tam nową wyprawę; drobne oddziały kozaków przebiegały dzikie, nieznane zupełnie przestrzenie; groza jaka otaczała ich imie ułatwiała podboje. W 1649 Chabarow z siedmdziesięcioma kozakami puścił się znowu ku Amurowi i nad tą rzeką spotkał z kolei pięć pustych zupełnie gródków należących do Oroczanów (tak Tunguzi nazywają rody swoje trudniące się hodowlą reniferów); kniazik ich, Ługaj z całą ludnością schronił się był daleko, na samą wieść o zbliżających się kozakach. Następnego roku stawili oni już opór, ale pokonani i gródki wzięto szturmem. Przyszło wojsko mandżurskie, i to zostało zwyciężone. Zaczęła się wojna z Chinami, prowadzona przez drobne sybirskie oddziały. Drogą Chabarowa popłynął znowu Stepanow, ale po kilku latach zginął w bitwie z wojskami niebieskiego państwa. Tymczasem założony został Irkuck, Nerczyńsk, Ałbazin; zajęte ostatecznie brzegi Szyłki.

Tunguzi i Jakuci na wschodzie, Samojedy na północy, rozdzieleni na mnóstwo drobnych rodów, najczęściej z sobą skłóconych, wzywając zwykle pomocy osadników moskiewskich przeciw chwilowym nieprzyjaciołom swoim, zobowiązywali się za to do płacenia jasaku; tępieni niemiłosiernie przez nowych opiekunów i zwierzchników swoich topnieli wyraźnie przy zetknięciu z europejską rassą, ta zaś powiększała się przypływem coraz nowych awanturników z Europy. Podziwiać zaiste należy ich energię i wytrwałość, ale niepodobna przemilczeć i dzikości jaką się odznaczyli, jaka wkrótce przestrachem otaczała samo ich imię. Znane okrucieństwa Korteza i jego towarzyszy, bledną obok tego co wiemy o tych zdobywcach wschodniej Syberyi. Wspomniany wyżej Pojarkow, z własnym oddziałem obchodził się najokrutniej; dręczył ludzi swych głodem, zmuszając aby się trupami Tunguzów żywili; jakoż w powrocie z nad oceanu Spokojnego, przeszło pięćdziesiąt ciał takich zjedli. Stepanow żywcem płatał i dyssekował Buryatów. Znanym był powszechnie pod nazwaniem Nagiby, dla tego że często drzewa naginać kazał

i do ich wierzchołków przywiązywał tych nieszczęśliwych, których drzewa wracając do naturalnego położenia rozrywały na szmaty. Chciwość była najczęściej powodem takich okrucieństw, ale łączyło się z nią jeszcze w zdobywcach uczucie pogardy dla biednych plemion które te mroźne zamieszkiwały krainy i było nieraz przyczyną podobnego z niemi obejścia. Kiedy przyszła kolej na wyspy Aleutskie, niejaki Sołowjew bawił się takim sposobem, że stawiał tamecznych mieszkańców w rząd, jednego przy drugim, i przyłożywszy gwintówkę pierwszemu z nich do ucha, probował jak ostro bije jego strzelba, licząc ilość głów, jakie za jednym wystrzałem przeszywał (1). Gdy zbudowany w Kamczatce przez kozaków gródek plemiona tameczne, oburzone zdzierstwami, obległy, kozacy pokonanych i wziętych do niewoli smarowali tranem rybim i rzucali psóm zgłodniałym na pastwę.

Wszystkie te podboje nic prawie nie kosztowały państwo; przysyłani z Moskwy wojewodowie, utrzymywali tam jego powagę, ale wszystko robiło się własnemi, miejscowemi środkami, z pomocą ochotników, przemysłowców, dzięki temu wewnętrznemu parciu narodu, o którém nieraz mówiliśmy.

Wspomnieliśmy wyżej o starciu się z Chinami; lękając się narazić tak świeżych posiadłości swoich na wojnę z tą monarchią, Moskwa wysłała w 1676 r. pierwszego od siebie posła do Pekinu. Był nim Spafari, Grek rodem. Ale ten sporu załatwić nie mógł. Ałbazin drażnił niebieskie państwo; zburzyli go Chińczycy, a chociaż w rok później na nowo odbudowanym został, ujrzano drugą przeciw niemu wyprawę poddanych Bogdychana. Nareszcie w 1689 r. przysłano z Moskwy Gołowina, dla zawarcia traktatu. Narady odbywały się około Nerczyńska, a ciekawą jest rzeczą, że namioty przytém rozbijał były niedawno hetman Zaporoża, Mnogohreszny, posłami zaś ze strony Chińczyków, byli dwaj OO. Jezuici: hiszpan Perejra i francuz Gerbillon (2). Po długich sporach, Gołowin zagrożony ogólném powstaniem Tunguzów, podpisał traktat mocą którego Ałbazin zburzony na nowo odbudowywanym być nie miał, rzekę zaś Arguń uznano za *tymczasową* między obu państwami granicę. Kwestyi tej biegły dyplomata moskiewski ostatecznie rozstrzygnąć nie chciał, zostawiając tym sposobem możność wznowienia później pretensyj do Amuru; złożył się brakiem instrukcyi.

(1) Faktów podobnych dałoby się przytoczyć mnóstwo, te o których wspomnieliśmy, wyjęte z obszernej *Hostoryi Rassyi* Sołowjewa, i z *Listów kaukazkich* Fadiejewa, drukowanych w gazecie Katkowa: *Moskowskia Wiedomosti*. Autor je widać umyślnie opuścił wraz z całym o Amu-Daryi ustępem, wydając te listy, bardzo z wielu względów ciekawe, w osobnej książce, w Petersburgu. 1865 roku

(2) Sołowjew.

IX.

Z Piotrem I zaczyna się nowa epoka w historyi Moskwy a więc i jej stosunków ze Wschodem. Widzieliśmy, jak w przeciągu półtora zaledwo wieku, państwo to wzrosło niesłychanie; od Kazania dobiegło krańców Syberyi, zajęło część zachodnich wybrzeży Kaspijskiego morza, rozszerzyło wpływ swój i stosunki do Azowa i Persyi. Główne parcie sił jego wywierało się na wschód, w te właśnie strony, a bardzo wiele działo się tam z własnego popędu narodu samego; rząd jeszcze go był całkiem w kluby nie ujął i inicyatywy mu nie odebrał; w życiu jego na zewnątrz nawet grały pewną rolę siły indywidualne i narodowe popędy. Potężna dłoń Piotra miała mu nową, jednolitą nadać formę. Z niespożytą energią, ale też z mongolskiém prawdziwie okrucieństwem dokonana przez niego reforma, zmieniła tam wszystko; indywidualna inicyatywa ucichła, rząd stał się jedyną sprężyną, jedynem wszelkiego działania ogniskiem. Odtąd państwo zaczyna mięszać się czynnie do spraw europejskich i na to głównie swe siły obraca. Azya staje się niejako sprawą drugorzędną. Za to, coraz silniej organizując się samo wewnątrz, dąży ono nieubłaganie do zupełnego przyswojenia sobie i złamania wcielonych już żywiołów.

Piotr jednak nie zaniedbał całkiem i Wschodu; bystry jego umysł odgadł wielkie dla jego państwa znaczenie morza Kaspijskiego i konieczność zawładania niém w widokach handlu i przyszłego kiedyś panowania nad światem, a niezmordowana czynność starczyła na zajęcie się wszystkiém. Indye nieraz zaprzątały myśl jego; kazał starannie zbierać wiadomości o drogach prowadzić tam mogących, a także o tych bogactwach, które według podań odwiecznych, w Azyi środkowej znajdować się miały. Skoro mu doniesiono cokolwiek, zaraz urządzał wyprawy, chcąc i to posiąść. W 1714 r. w skutek raportu sybirskiego jenerał-gubernatora, ks. Gagarina, o piasku złotym mającym się znajdować w rzekach małej Bucharyi, około miasta Jerken, będącego wtenczas w posiadaniu Kałmyków, kazał natychmiast zbudować twierdzę nad Jamyszewskiém jeziorem, i wysłać po Irtyszu dwutysięczny oddział, dla wzięcia wspomnionego miasta i wyszukania zarazem wodnej komunikacyi z morzem Kaspijskiém. Na dowódzcę oddziału przeznaczył Buchholtza, rozkazawszy mu wziąść z pomiędzy szwedzkich jeńców wojennych ludzi znających się na górnictwie. Liczba ich jednak, (zastrzegał sobie ostrożny car), nie miała przewyższać trzeciej części oddziału. Za tą wyprawą poszły zaraz inne. Znajdujący się w Petersburgu poseł chiwiński powiedział, że i Amu-Darya posiada także piasek złoty. Polecono księciu Bekowiczowi Czerkaskiemu wywiedzieć

się o tém dokładnie, i posłano go w tym celu do Chiwy, niby winszować chanowi wstąpienia na tron. Tymczasem zbierano dokładne o morzu Kaspijskiém wiadomości i robiono pierwszą w Europie jego mappę (1). Bekowicz wrócił i przywiózł z sobą Chodzi-Nefesa, rodem Turkmena, który utrzymywał, że Amu-Darya dawniej wpadała do morza Kaspijskiego, i że tylko Uzbegi usypawszy groblę, zwrócili ją ku morzu Aralskiemu; że więc przekopawszy tę groblę można napowrót zwrócić ją w dawne łożysko, do czego i inni Turkmeni pomogą. On sam przyrzekał opanowanie chaństw turkestańskich. Książe Samonow potwierdzał jego świadectwa o dawném korycie rzeki i w ogólności o tamtych stronach. Piotr zaraz nową obmyślił wyprawę. Własnoręczna jego dla Bekowicza instrukcya, niezmiernie jest ciekawą (2). Według niej, ma Bekowicz przy dawném ujściu Amu-Daryi zbudować twierdzę na tysiąc ludzi, poznać najdokładniej całe tej rzeki koryto, jeżeli można zwrócić ją nazad do Kaspijskiego morza, przegrodziwszy wszystkie ujścia do Arału; tajemnie upatrzyć miejsce na drugą jeszcze twierdzę; nakłonić chana chiwińskiego do przyjęcia poddaństwa, przyrzekając mu władzę dziedziczną w chaństwie; ofiarować mu gdyby tego potrzebował, przyboczną gwardyę moskiewską, jeżeli Piotrowi wiernym będzie, i tę nawet u niego zostawić, opłacając w ostatecznym razie i roczne koszta jej utrzymania; podobnym sposobem starać się zjednać sobie chana bucharskiego, a tymczasem po Amu-Daryi wysłać pod postacią kupca, porucznika Aleksandra Kożyna, który w towarzystwie dwóch innych ludzi handlowych z Astrachania ma dostać się do Indyi, wodą póki można, dalej zaś lądem, i nazad wrócić z najdokładniejszą wiadomością o całej drodze, spotykanych na niej jeziorach, rzekach, górach i t. d. Kożynowi znowu rozkazywał car wracać tąż samą albo inną drogą, gdyby się na miejscu znalazła dogodniejsza. W kilka miesięcy później, pisał Piotr do Bekowicza, już do Chiwy, żeby doświadczonego i znającego miejscowe języki człowieka wysłał przez Persyę do Indyi, i kazał mu przez Chiny wracać do Bucharyi, a wszystko po drodze uważać i spisywać. Tak myśl jego obejmowała już całą Azyę.

Bekowiczowi miał być dodany, niby straż bezpieczeństwa, czterotysięczny oddział, który po drodze twierdze budować i załogi w nich tworzyć był przeznaczony. Listy polecające od Piotra do obu chanów i nawet do wielkiego Mogoła w Indyach mieli mieć obaj wysłańcy.

W skutek tego rozkazu, książe Bekowicz Czerkaski, z oddziałem złożonym z trzech pułków piechoty, i ze szwadronu szwedzkich ocho-

(1) Kapitan Karol Verden i Sojmonów z ośmdziesiąt dziewięciu ludźmi robili tę mappę, którą Piotr Wielki, przyjęty jak wiadomo na członka paryzkiej Akademii nauk, tejże Akademii poźniej przesłał. Skończoną została 1720 r.

(2) Przytacza ją dosłownie Golikow w dziele : *Diejanja Petra Welikaho, mudraho preobrazitela Rassii*. Moskwa, 1838, t. VI, str. 86 i dalsze.

tników zebranych między wojennymi jeńcami w Kazaniu, pod dowództwem szwedzkiego także majora Frankenberga, wypłynął z Astrachania (1716), i przebywszy morze Kaspijskie, na półwyspie Mangiszłak zbudował pierwszą twierdzę, w Aleksander-baj drugą, a trzecią i największą u dawnego łożyska Amu-Daryi, w miejscu zwaném Krasnowodsk; wszędzie zostawił załogi i puścił się dalej w kierunku rzecznego koryta, prosto ku Chiwie. Droga istotnie była najbliższą; ale zaledwo wiorst kilkanaście uszedł, znikły wszelkie ślady łożyska; wrócono więc nazad, znowu do Astrachania, zostawiwszy tylko pułki we wskazanych twierdzach, na wschodniém wybrzeżu Kaspijskiego morza. Następnego roku, w czerwcu ruszono znowu, ale już inną drogą. Prócz wspomnianych Szwedów, miał z sobą Bekowicz 1,500 jaickich kozaków, pięć sotni grebeńskich, tyluż nogajskich Tatarów, i dwustu kupców z towarami. Wysłał kilku posłańców do chana chiwińskiego, uwiadamiając go o swojém jakoby poselstwie. Posłańcy nie wracali, co obudzało podejrzenie, wszakże oddział posuwał się dalej. Niedaleko Chiwy, której mieszkańcy tymczasem w największym popłochu zaczynali wynosić się z miasta, spotkał Bekowicza sam chan, na czele 24,000 wojska. Walka trwała dni trzy; poczém chan przysłał posłów, tłumacząc się, że nie wiedział w jakim zamiarze wojsko moskiewskie weszło na jego ziemię, ale że teraz, otrzymawszy o tém wiadomość od kałmyckiego chana Ajuki, zaprasza Bekowicza do siebie. Ten dał się uwieść, i z pięciuset ludźmi pojechał. Zaledwo wszedł do chiwińskiego obozu, otoczony do koła, część ludzi stracił, reszta z nim razem dostała się do niewoli. Chiwińcy wymogli na Bekowiczu, że posłał do Frankenberga kilka rozkazów, aby pozostałe wojsko rozdzielił, i częściami dla zajęcia kwater do miasta przysyłał; tym sposobem wszyscy wpadli w matnię. Bekowicz sam w mękach życie zakończył, cały oddział albo wymordowanym został, albo w ciężki poszedł jassyr. Niektórzy z tych niewolników po wielu latach zaledwo ujść zdoławszy, szczegóły klęski do domów przynieśli. Tak się skończyła pierwsza do Chiwy wyprawa. We sto dwadzieścia lat potém, kuszono się o zdobycie jej znowu, także niefortunnie, i zdaje się, że z chaństw turkestańskich, to właśnie państwa rossyjskiego najbliższe, przeznaczoném jest dostać mu się na końcu.

Jednocześnie z tą do Chiwy wyprawą wysłał Piotr Artemiusza Wołyńskiego w poselstwie do Persyi dla zawarcia handlowego traktatu; w istocie z podobnąż jak Bekowicza missyą; miał on namówić niedołężnego szacha Hussejna, przeciw któremu powstawali Afgani, Kurdy i Uzbegi, aby pomoc carską dla pokonania ich przyjął, tymczasem zaś powinien był zebrać jak najdokładniejsze o tamtych krajach wiadomości. Tatarzyn Tewtelew (późniejszy jenerał-major w służbie rossyjskiej) otrzymał zlecenie dostania się przez Persyę do Indyi i wrócenia

ztamtąd przez Chiny. Szach słodkim obietnicom nie uwierzył; miał przed oczami przykład podwładnego mu niedawno cara Gruzyi, który przyjąwszy raz carską opiekę, wkrótce nie tylko syna do służby moskiewskiej oddał, ale nawet Piotra dziedzicem swojej korony uznać musiał; lecz traktat handlowy korzystny dla Moskwy zawarto, a Wołyński wywiedział się o wszystkiém i przywiózł z sobą plany nie tylko kaspijskich wybrzeży od Derbentu do Astrabadu, ale jeszcze całego Gilanu i Mazanderanu. Naznaczony jenerał-gubernatorem Astrachania, przygotował przewozową flotę, z pomocą której Piotr sam w 1722 r. przedsięwziął wyprawę ku granicom Persyi. Derbent, ta brama Kaukazu jak go nazywali starożytni, prawdziwy klucz Persyi z tej strony, dostał się w jego ręce. Miał zamiar Piotr dojść aż do Baku, a ztamtąd przez dzisiejszy Tyflis wrócić do Terki i przy ujściu Kuru zbudować miasto, któreby się stało środkowym punktem wschodniego handlu. W tym roku jednak, wyprawa dalej prowadzoną być nie mogła, powrócił do Astrachania, a inne sprawy nie dały mu zamiaru dokonać przed śmiercią. Zostało to na później.

W tym samym prawie czasie z najodleglejszych krańców Syberyi przychodziły wieści. Jewrejnow przywoził mappę wysp kurylskich; nowi posłowie w Pekinie handlowe traktaty z Bogdychanem zawierali, a drobne plemiona mongolskie i tunguskie przyjmowały poddaństwo. W bliższych znowu stronach, groźni niedawno Kałmycy, plemie czysto mongolskie, wyznające religię Buddy, które w połowie XVIII wieku zawładnęło ostatkami sybirskiego chaństwa, nie mogąc tam oprzeć się Moskwie, przeniosło się było w stepy między Embą, Orem, Jaikiem i Wołgą. Za rządów Piotra, panował nad nimi, największy z władzców kałmyckich, Ajuka. Przybywali mu ciągle nowi z Dżungaryi współplemieńcy. Piérwej jeszcze, ciotka Ajuki przyprowadziła ztamtąd 3,000 kibitek (1). W 1686 r. przybyli tak zwani *czarni* Kałmycy. Zrazu, nie obeszło się bez najazdów; okolice Penzy i nawet Tambowa widziały mieszkańców swoich uprowadzonych w jassyr i sprzedawanych później w niewolę, do Buchary, Chiwy, Persyi i w okolice Kubania, ale prędko uznali oni zwierzchnictwo cara moskiewskiego; całe gromady ich walczyły już w wojskach Piotra na zachodzie, w 1710 r. dostarczyli 10,000 ludzi na wojnę przeciw Turcyi. Część ich osadzono w okolicach Donu, wcielając do tamecznego wojska, a po śmierci Ajuki, następców jego już zatwierdzała Moskwa.

(1) *Kibitkami* koczujące tych stron plemiona nazywają swoje namioty z wojłoku.

X.

Po śmierci Piotra, wewnętrzne w stolicy zmiany, wpływy rozmaitych cudzoziemskich faworytów, starających się przedewszystkiém wprowadzić państwo moskiewskie na teatr europejskich wypadków, odwróciły na czas jakiś jego uwagę od azyatyckiego wschodu. Zanim nić opowiadania naszego nawiążemy na nowo, przypatrzmy się na chwilę assymilacyjnym usiłowaniom rządu, i losowi podbitych już plemion. Obraz to pełen boleści, ale zarazem nie pozbawiony nauki.

Najlepszy do tego przykład dostarczą nam Baszkiry. Zaledwieśmy o nich w opowiadaniu naszém wspomnieli, ale z pomiędzy wielu tam plemion, oni może najwytrwalszy stawili opór, i ich historya najdokładniejszy przedstawi nam obraz doli zgotowanej dla wszystkich. Właściwą ich ojczyzną, a przynajmniej krainą od wieków zamieszkiwaną przez nich, jest ta część Urału która trzema pasmami ciągnie się ku północy, i zachodnie jej stoki rozścielające się aż ku wybrzeżom Wołgi. Historycy dają im wspólne z Hunnami pochodzenie, a znakomity Castren do ałtajskich zaliczając szczepów, widzi w nich zlewek fińskich i tureckich plemion. Od IX do XI wieku, podlegali oni Bulgarom. Pierwsze piśmienne o nich świadectwo z X wieku, znajduje się w relacyi Achmeda-Ibn-Fołtana przysłanego wtenczas przez chana Muktedira z Chiwy w poselstwie do cara bulgarskiego nad Wołgą. Nazywa on ich *Baszgurdami*, pisze że są bałwochwalcy, a zastanowiło go najbardziej to, że robactwo znajdowane w odzieży gryźli zębami. W XIII wieku, Plano Carpino opisując ziemię Połowców, powiada, że ta graniczy na północ z Baszkiryą (*pays des Bastarques*), ojczyzną Węgrów jak mniemano wtenczas. Ruysbruck nazywa ich *Piscatir* i osiedla między Wołgą i Uralem, twierdząc także, że mówią językiem węgierskim. Jakkolwiek bądź, to już wiadomo z pewnością, że za mongolskiego panowania, należeli do tak zwanej *złotej hordy*. Zapewne nie jeden z nich wtenczas nietylko Moskwę, ale może nawet Kraków i Węgry nawiedził, tylko że dla narodów zachodu cała ta powódź jedno wspólne posiadała miano, i wyraźnego składowych cząstek śladu nawet w łzach i krwi ludzkiej nie zostało. W kronikarzach moskiewskich pierwszą o nich wzmiankę napotykamy w połowie XV wieku. Po rozpadnięciu się kipczackiego państwa, składali oni część to kaukazkiego, to sybirskiego chaństwa, albo też z nogajską łączyli się hordą; stałe jednak siedliska zajmowali zawsze w górach, i to na rozwinięcie pewnych rysów charakteru wpłynąć musiało. Pierwsze ich z Moskwą stosunki zaczynają się po zdobyciu Kazania. Musieli wtenczas zajmować szerokie z tej strony pasma uralskiego równiny, bo zaraz potém, już w 1556 r.

wysłali od siebie posłów do cara, prosząc o przyjęcie ich w poddaństwo. Iwan Groźny, poselstwo dobrze przyjął, a na dowód swej łaski, ziemie od wieków przez nich posiadane na własność im nadał. Po zdobyciu miasta Sybiru, Baszkiry mieszkający w górach i na wschodnich stokach Urału, poszli za przykładem zachodnich swych rodów, i także poddaństwo przyjęli. Obłożono ich wszystkich lekkim tylko podatkiem (jasak) wypłacanym futrami, pozwolono rządzić się według dawnych zwyczajów przez własne sułtańskie rody, poprzestając na samém tylko zwierzchnictwie.

Po kilku już latach, zaczęły wpośród nich wznosić się miasta rossyjskie. Założono Ufę nad główną rzeką baszkirską, Białą (1586), a zaraz potém i inne, dziś powiatowe miasteczka: Birsk, Mendzelińsk, Bugulmę, Czelabę, i t. d. Osiadała w nich ludność moskiewska, z całą urzędową hierarchią swoją; rząd dla każdej z nowych tych osad pewien obwód ziemi wydzielał; nie brakło także nadań dla wyższych dygnitarzy. Jednocześnie, napływ ludności rólniczej ze środka Moskwy do podbitych niedawno kazańskich prowincyj, wypierał ztamtąd nie stale jeszcze osiadłe fińskie i tatarskie plemiona; uchodziły one ku północy szukać spokojniejszych siedlisk, i zaczęły gromadzić się na baszkirskiej ziemi. Było jej jeszcze podostatkiem; każdy więc dla siebie kątek znalazł, a że duch wojowniczy przygasał, zaczęto brać się do chowu pszczół zrazu, koleją powoli do rolnictwa nawet. Wtenczas to w rozmaitych stronach Baszkiryi rozsiadły się liczne osady Czeremisów, Wotiaków, Mordwy, Czuwaszów, obok mnogich przybyszów nogajskich; byli między nimi Meszczeraki, i niejeden także Mirza tatarski. Fińskie plemiona w ogólności daleko prędzej jęły się rolnictwa; z natury sielskie, nigdzie miast sobie nie budowały, wstręt nawet wywyraźny mając do nich, ale z łatwością kupiły się w maleńkich wioskach. Baszkirom z wielką to przyszło trudnością; pszczelnictwo, a obok niego polowanie i hodowla koni, stanowiły długo wyłączne ich zajęcie; to też radzi byli podatek służbą wojskową na koniu zastąpić. Rząd przyjmował to chętnie, a ochotników takich, zwanych *Tarchanami*, zaczęło zgromadzać się wielu; w XVII wieku, nieraz w liczbie kilku i kilkunastu nawet tysięcy, brali oni udział w wojnach Moskwy z Polską, Szwecyą, nawet z Turcyą, a chociaż wyznawali Islamizm, nie przeszkadzało to im walczyć zacięcie z Osmanami. Wszystko więc jeszcze mogło pójść dobrze. Gdyby plemię wielko-rossyjskie posiadało istotnie żywioł cywilizacyjny, gdyby obok niezaprzeczonej przedsiębierczości, energii, bystrości objęcia jakiém się odznaczało, nie miało instynktów drapieżnych, skłonności do zdzierstw i gwałtów, gdyby rząd mógł podnieść się do idei chrześciańskiej, i tak missyę swoją na Wschodzie pojął, mógł wszystkie te plemiona uobyczaić, oświecić i podnieść, ogromne zasoby dla państwa przygotować, i prawdziwą

oddać ludzkości usługę. Materyał był powolny i dobry; nie miano nawet naprawdę do walczenia z mahometanizmem, który dziś jeszcze wszędzie na głębokim Wschodzie tak wpływ oświaty zachodniej utrudnia. Plemiona uralskie w ogólności niesklonne są do fanatyzmu religijnego, a im bardziej oddalone od ogniska Islamizmu jakiém w tamtych stronach była Buchara, tém powierzchowniej tylko przyjęły jego naukę. Wszystko tam było do zrobienia. Ale na to potrzeba było narodu ze starą, już wyrobioną cywilizacyą chrześciańską. Moskwa sama była jeszcze na pół barbarzyńską, jakże kogo *wychować* mogła? — chodziło jej o to tylko, aby się rozrość, a zarazem *używać*. Skutki tego okazały się zaraz.

Z powiększeniem się moskiewskiej w tych stronach ludności, liczba urzędników po miastach i miasteczkach rosła, a z ciągłém wzmaganiem się państwa i stopniowém coraz większém pognębieniem tatarskiego żywiołu, obchodzenie się ich z muzułmanami srożało; mnożyły się nadużycia, zdzierstwa. Ustanowieni w Ufie wielkorządcy całej naduralskiej krainy, dopełnili miary, i nastała dla Baszkiryi epoka tak zwanych w oficyalnym języku buntów; epoka, jeżeli nie usiłowań odzyskania niezależności politycznej, bo o tej pewno mieszkańcy leśnego Uralu nie marzyli, to przynajmniej otrząśnienia się z przewagi chrześcian, która dla nadużyć stała się nienawistną, i uwolnienia się od zdzierstw i krzyczących niesprawiedliwości. Przez kilkadziesiąt lat z rzędu powtarzały się te próby, zawsze daremne, zawsze pokonane siłą; po każdej z nich Baszkirya zapadała głębiej w niedolę, aż nareszcie cała krwią zalana, doszła do ostatecznego wycieńczenia. Pierwsze ogólne powstanie Baszkirów wybuchło w 1676 r, pod wodzą niejakiego Seita; objęło ono wszystkie zakątki tego kraju i trwało całych lat trzy. Niesprawiedliwości jakich się nad biedném plemieniem dopuszczano, musiały być istotnie okropne, kiedy ówczesny rządca kraju donosząc o tém carowi, w ucisku tym główną powstania upatrywał przyczynę. Musiano sprowadzić pułki strelców z Moskwy, kozaków z nad Donu i z Ukrainy aby mu koniec położyć; dowódzcy wyginęli lub ukarani zostali, dla ogółu powstańców ogłoszono przebaczenie: to rozbroiło resztę i na pewien przeciąg czasu uspokoiło wszystko.

Znowu nastała chwila, w której środki łagodne, ludzkie, mogły rany zabliźnić, a biedną ludność w końcu zniewolić. Władza sama wskazywała rządowi przyczyny złego. Ale Moskwa jedynie grozą umie i chce panować; postanowiono nie tylko utrzymać dawny systemat, ale go nawet zaostrzyć, a przypisując główny opór przewodniczącym w plemieniu rodzinom, tak zwanym rodom sułtańskim, przyjęto za zasadę, uchylać je od rządów, o ile można wytępiać, a zastępować ludźmi nowymi, którzyby wszystko rządowi jedynie zawdzięczali. Podzielona na włości Baszkirya, miała dotychczas na czele każdej z nich wybiera-

nego przez plemię sułtana; należeli oni zazwyczaj do miejscowej arystokracyi rodu, oznaczonej nawet tatarskim wyrazem, *ak-sujuk* (biała kość) co oznaczało w wyobrażeniu koczujących plemion, wyższe pochodzenie. W plemionach wędrownych wogólności wielkie jest poszanowanie dla rodu; Wschód cały przejęty jest tém uczuciem; znajdujemy je bardzo rozwiniętém u Arabów; księgi starego Testamentu dowodzą, jak dalece szanowaném było u Hebreów; turecko-tatarskie plemiona dziś jeszcze je przechowały, jak świadczą wszyscy którzy się bliżej z niemi zapoznać mogli; tkwiło ono głęboko i w duszy Baszkirów. Postanowiono dotknąć ich właśnie w tém silném narodowém uczuciu, a nowy rządzca kraju, razem z tą instrukcyą odebrał rozkaz nie pobłażania w niczém, i utrzymania strachu jaki z upadkiem powstania przejął był dusze baszkirskie. Był nim niejaki Sergiejew, człowiek zdaje się stworzony do wypełniania tego rodzaju poleceń. Nie zabrakło wprawdzie nigdy w Moskwie na wykonawcach podobnych; jest to jedną z cech plemienia które w siebie wiele mongolskich nasiąkło żywiołów, ale Sergiejew prześcignął nie jednego. Pomimo półtora wieku jakie nas od tej epoki przedziela, imię tego człowieka żyje dotychczas w pamięci baszkirskiego plemienia, jako imię srogiego okrutnika. Bardzo rozpowszechnione w orenburgskim kraju podanie, mówi o pałacu zbudowanym z lodu podczas zimy, na zamarzłej rzece Białej, pod samą Ufą, do którego na wielką ucztę, obyczajem wschodnim miał sprosić Sergiejew całą *kość-białą* baszkirską; napojonych i nakarmionych gości miała tam czekać przygotowana pod zasłoną ścian pałacowych przerębla w lodzie, do której kolejąwrzucani, już naturalnie nie wrócili więcej. W urzędowych świadectwach zostały niezaprzeczone dowody, iż wielkorządzca, najznakomitszych Baszkirów pojedyńczo zapraszając do siebie, zwykł był poić aż do śmierci, a to wystarcza, aby i owemu podaniu nie odmawiać wiary; jeżeli nie zupełnie ściśle prawdziwe, jest ono niezawodnie możebne, prawdopodobne nawet. Takim sposobem pozbywano się ludzi którzy opór organizować mogli. Ale nie poprzestano na tém, rozmaite rozporządzenia administracyjne miały jeszcze byt materyalny Baszkirów podkopać, bo chciano ich złamać do szczętu. Jedno z nich mianowicie stało się klęską ogólną. Rzeki i rzeczki zraszające Baszkiryę, a wypływające wszystkie z gór uralskich, o dnie zazwyczaj kamienistém, dla wielu gatunków ryb ulubioném, posiadają ich w ogólności bardzo wiele; dotychczas najsławniejsze u łakomców sterlety tam się poławiają; dla Baszkirów, nieznających wtenczas zupełnie rolnictwa, rybołowstwo było nietylko środkiem nieraz do życia, ale jeszcze gałęzią handlu, źródłem prawdziwego dochodu; stada, pszczoły i rzeki żywiły ich, i stanowiły całe bogactwo. Raptem (1707 r.) ogłoszono wszystkie rzeki i prawo łowienia w nich ryb, za własność rządową. Było to kroplą, która kielich prze-

pełnić już miała; wszystko co przecierpiano, wszystkie krzywdy, obelgi, zbrodnie władz moskiewskich, przypomniano sobie, uczucie zemsty opanowało dusze i Baszkirya powstając znowu, w strasznym odwecie śmierć i pożogę poniosła osadom chrześciańskim, wszystkiemu co na ich ziemi było moskiewskie. Wiele wiosek w ostatnich latach pozakładanych spalono, ludność ich w pień wycięto, a tchnące zemstą tłumy posunęły się aż pod Kazań. Niebezpieczeństwo zdawało się zagrażać nietylko temu miastu, ale w ogólności panowaniu moskiewskiemu w tych stronach; fińskie i tatarskie plemiona z pierwszego znaczniejszego zwycięztwa nie zaniedbałyby skorzystać żeby się z powstańcami połączyć, a gdyby pomiędzy niemi znalazł się jaki duch przedsiębierczy i szerszy, na jakich nie zbywało współplemieńcom Dżengis-chana, kto wie gdzie pożar mógłby się zatrzymać ? Przytomność ówczesnego wielkorządzcy Kazania, jenerała Kudriawcowa wybawiła miasto; wpadł on na myśl pełną okrutnej energii, która tylko w moskiewskim umyśle powstać mogła. Nie mając dostatecznego wojska pod ręką, zebrał on Tatarów kazańskich, zapowiedział im, że żony ich i dzieci zamyka do więzienia jako zakładników, a ich przeciw Baszkirom wysyła; powinni zwyciężyć, bo inaczej rodziny ich poginą. Szczególniejszym tym sposobem zagrzani nowi obrońcy, w istocie zwyciężyli. Sprowadzono z Moskwy ośm pułków regularnego żołnierza, a te naresztę całkiem powstanie pokonały. Ogłoszona amnestya rozbroiła pozostałe niedobitki. Wszystko wróciło do dawnego stanu, Baszkiry tylko słabsi niż byli przed walką, rząd daleko silniejszy.

Objawiła się wtenczas w samém plemieniu reakcya. Kilkakrotne daremne usiłowania, tyle krwi przelanej, ruina mienia, widocznie nie dająca się pokonać siła Moskwy i urok jej zwycięztwa wywierający zawsze wpływ wielki na dusze wschodnie, do fatalizmu skłonne, wszystko to niejednego z celniejszych Baszkirów zwróciło na przeciwną dotychczasowej drogę. Zaczęli współubiegać się w oddawaniu usług władzom miejscowym. Głośny w owym czasie między swoimi Tajmar, w pieśniach i opowiadaniach zaszczycany mianem *batyra*, odznaczał się między innymi. Dowiedziawszy się że Kirgizi po drugiej stronie Jaiku koczujący, zbierali się tłumnie chcąc pograniczne powiaty splądrować, zgromadził swoich, i na ich czele spotkał dziesięciotysięczny tłum Kirgizów i zmusił ich do odwrotu, ocalając tym sposobem całą prowincyę. W rozpoczętém wkrótce traktowaniu z sułtanami kirgizkimi o poddaństwo, Tajmar okazał się znowu czynnym niezmiernie i wpływ jego przyłożył się bardzo do skłonienia naduralskich sułtanów iż to poddaństwo istotnie przyjęli. W oddawaniu wszystkich tych posług, nie był on jeden; pomagało mu jeszcze wielu innych Baszkirów. Wielkorządca ufimski, wynagradzając to niby, pozwolił im wysłać od siebie deputacyę do stolicy. Przybyłą tam ona 1732 roku. Przyjęci

przez carowę Annę łaskawie, rozpłynęli się deputowani w skargach na zdzierstwa i nadużycia urzędników, na samowolne rozporządzenia, prosili o wymiar spawiedliwości, o powrót do dawnych praw i urządzeń. Przyrzeczono im wszystko, i obdarowawszy pąsowemi sukiennemi chałatami ze złotym galonem, odprawiono do domów. Obietnice innego skutku nie miały. Nie chodziło też bynajmniej rządowi o sprawiedliwość, ani mniej jeszcze o zapewnienie jakiejkolwiek możności rozwoju żywiołowi baszkirskiemu, ale tylko o załagodzenie ich chwilowe, bo dalsze projekta tymczasem dojrzewały a te miały nadal i panowanie nad Baszkiryą ułatwić.

Właściwie tutaj należałoby nam wrócić do przerwanego wyżej opowiadania, i dalej stopniowe szerzenie się Moskwy prowadzić; wolimy jednak, dla większej wygody czytelnika, dokończyć już od razu dziejów baszkirskich, bez czego obrazek nie byłby zupełnym, a potém gdy będzie potrzeba, kilka faktów o które teraz potrącić będziemy musieli, w krótkości powtórzyć.

Po przyjęciu poddaństwa przez najbliższych Jaiku Kirgizów, potęga moskiewska miała nowy krok w tych stronach uczynić. Znaleziono że Ufa która dotychczas była stolicą władz miejscowych, nadto już od granicy znalazła się oddaloną i postanowiono nowe miasto zbudować, gdziekolwiek na teraźniejszém pograniczu, zkąd i nowych poddanych łatwiejby przyszło doglądać i wpływ swój w stepach rozszerzać. Punkt taki nie mógł być odosobniony, musiał się łączyć z dawnemi już posiadłościami całym szeregiem miejsc obronnych. Utworzono więc tak zwaną *zakamską linię*, która najeżona gródkami miała odtąd tymczasową wschodnią granicę państwa stanowić, a okalając z jednej strony Baszkiryą, zamienić ją niejako na wewnętrzną państwa prowincyę. Na miejsce dla nowej twierdzy mającej stać się mieszkaniem jenerał-gubernatora, wybrano zrazu ujście Oru do Jaiku, gdzie teraz stoi Orsk, później dzisiejszy Orenburg. Linia była wytknięta, ale do zbudowania twierdzy i forteczek mieli dopomódz Baszkiry. Nowy jenerał-gubernator Kiryłow zażądał od nich ludzi. Bezpłatnie, sami pracować mieli nad ukuciem ostatecznych dla siebie kajdan.

Taki skutek niedawnych obietnic samej Carowej, oburzył Baszkirów. Jak wszystkie tych stron plemiona, nie odznaczające się wyłącznem w otwartém polu męztwem, ale broniące się wytrwale z po za murów, doświadczali oni silnego wrażenia na widok każdej nowej twierdzy. Doświadczenie zresztą już przeszło całowieczne przekonywało ich, że gdzie raz moskiewska stanęła forteczka, tam wszystko jej dokoła ulegać musiało. Wieść o całym szeregu miejsc obronnych mających stanąć niejako po za ich plecami, uderzyła silnie wyobraźnię nieszczęśliwego plemienia. Oszukiwanemu tyle razy, daremnie władze miejscowe starały się wytłumaczyć, że przeciw Kirgizom były prze-

znaczone; nie wierzyli, upatrując w nich własną przedewszystkiém zagładę. Kiedy im rękę do tego przyłożyć kazano, pękła cierpliwość i znowu chwycili za oręż. Tym razem, walka trwała lat pięć, od 1735 do 1740 roku. Położenie miejsca w wąwozach i wysokich górach, nieprzebytemi jeszcze wtenczas pokrytych lasami, pomogło do przeciągnięcia walki; posyłane wojska topniały, ale nareszcie taktyka przemogła, i biedne bandy Baszkirów uledz musiały. Rząd postanowił ukarać bunt srogo i samém okrucieństwem kary przeraziwszy umysły, wszelką nadal chęć powstania w duszach wytępić. Naoczny świadek wszystkich tych wypadków, ówczesny sekretarz orenburgskiego pogranicznego zarządu Ryczkow, zostawił dokładną o wszystkiém wiadomość, spisaną ze scisłością i zimną krwią bezdusznego biuralisty. Dowiadujemy się z niej, że nie tylko rozdarowano wtenczas rozmaitym panom moskiewskim 9,0000 żon i dzieci baszkirskich dla osiedlenia ich w głębi Rossyi, 3,000 osób posłano do ciężkich robót w kopalniach syberyjskich, gdzie naturalnie wymarły, spalono ze szczętem 700 aułów baszkirskich, w ciągu walki zabito w boju albo ukarano śmiercią 16,000, ale jeszcze po ostatecznem uśmierzeniu powstania zarządzono ogromne śledztwo, w celu wykrycia głównych sprawców buntu. Rządził wówczas krajem książe Urusow. Same odezwy jego nakazujące to śledztwo, tak były srogie, że dreszczem przejmowały Baszkirów. Z uczuciem właściwém plemionom mongolskim, stając przed miejscowemi władzami, wielu z nich przynosiło zarazem petle na szyje i na własne głowy topory. Komissya ukończywszy śledztwo, pomimo tylu już egzekucyj i trupów, znalazła jeszcze 600 winnych. Dnia 25 sierpnia i 17 września 1740 r. spełniono nad nimi wyrok *sądowy*: sześciu z nich wbito na pal, jedenastu powieszono za żebra na hakach, 135 za gardła na zwykłych szubienicach, 140 ścięto toporem, a mniej winnym 300 obciąwszy uszy i nosy puszczono ich tak do domów, aby kalectwem swojém przerażali całe pokolenia. Wzgórek niedaleko miasta Buzułuku leżący, na którym urzędowi oprawcy wyrok ten spełnili, okrył się posoką, a dotąd jeszcze Baszkiry pokazują ślady krwawego strumienia którym, jak powiadają, strugi jej płynęły.

Był to epilog nieszczęśliwego powstania, a prolog do rozmaitych postanowień administracyjnych, które ostateczne przeistoczenie Baszkiryi miały na celu. Wspomnieliśmy wyżej, że ustępujące przed napływem moskiewskiej ludności fińskie i tatarskie plemiona, przenosiły się do Baszkiryi i tam osiadały. Byli to dzierżawcy, którzy Baszkirom jako odwiecznym posiadaczom gruntu, mającym nawet świeże na to od carów moskiewskich nadania, czynsz płacili. Jednem z takich plemion byli Meszczeraki, ztatarszczeni potomkowie Nestorowej Meszczery, w równinach na zachodnich stokach pasma uralskiego szeroko rozsiadli. Podczas baszkirskiego powstania zachowali się oni spokojnie,

a kiedy to upadać stanowczo zaczęło, pomogli jeszcze grabić i dobijać nieszczęśliwych. Rząd zaczął od darowania im na własność ziem które od Baszkirów dzierżawą trzymali. Sól w jeziorach dotychczas należała do dziedziców ziemi Baszkirów; ogłoszono ją za własność rządu i kazano w jego magazynach kupować; zabroniono dotychczasowych po włościach zgromadzeń, zniesiono miejscowych naczelników gmin, i na ich miejsce przysłano urzędników moskiewskiego pochodzenia; każda wioska dostała osobnego dozorcę, który nic wspólnego z mieszkańcami nie miał; nareszcę usunięto trwający dotychczas zakaz kupowania ziemi baszkirskiej. Ziemia ta, według ówczesnych pojęć uważała się za własność całego plemienia, a każdy ród miał sobie zapewnione używanie pewnej części, jakiegoś obwodu, w nim koczował, albo też stałe dla siebie obierał siedlisko. Sprzedawać obcym nie było wolno, jak we wszystkich później wojskach kozaczych. Teraz po najokropniejszej klęsce, znosząc raptem ten zakaz, otworzono od razu tę zbiednioną, krwią oblaną, ze światlejszych swych ludzi wyzutą krainę, na łup chciwości przybyszów rozmaitego rodzaju, zwabianych tam ze wszystkich stron.

Biédne plemię nie miało dotychczas wyobrażenia o istotném bogactwie swojej ziemi. Cóż mogli wiedzieć koczujący ludzie o żyłach miedzi i żelaza, o złocie tak szczodrze rozsypaném nietylko w piaskach każdej rzeki płynącej z Urału na wschód, ale nieraz nawet wśród błot i trzęsawisk ich ojczyzny? Krwawniki i inne kamienie w które tak Urał obfituje, zdobiły wprawdzie pasy baszkirskie i ich rzędy na konie, ale i to nawet nie stanowiło wyłącznej gałęzi przemysłu, do wnętrza zaś ziemi kto z nich mógł zajrzeć? Przybyli z Moskwy kupcy i rozmaitego rodzaju przedsiębiercy, pod opieką rządu nowy ten kraj zwiedzili, odgadli część jego bogactw i z prostoty, z upośledzenia dzisiejszego, z grozy wiszącej jeszcze nad Baszkirami korzystać nie omieszkali. Powołanie plemienia wyższego, bardziej rozwiniętego, do zużytkowania spoczywających w ziemi zasobów i skarbów, których dotychczasowi dziedzice w przeciągu wieków całych wydobyć nie umieli, było naturalne i słuszne, ale sposób w jaki to się dokonało, wybrana nawet umyślnie ku temu chwila, wszelkie pojęcie uczciwości obraża, i bądź co bądź pozostanie plamą. W przeciągu kilkunastu lat które nastąpiły po krwawej exekucyi 1740 r. powstała, a przynajmniej była założoną większa część głośnych dziś w całej Rossyi hut żelaza i miedzi; żeby zaś czytelnikom dać wyobrażenie o ile wtenczas nadużywano położenia Baszkiryi rozmyślnie na łup oddanej, ciągnąc ztąd korzyści, przytoczymy tu kilka autentycznych z owej epoki kontraktów. Tak naprzykład 300,000 dziesięcin (1) lasu pod hutę żelazną Biełoreck, kupiono na własność za

(1) Używamy tej miary, bo jest miejscową. Dziesięcina moskiewska wynosi półtora naszego morga.

300 rubli assygnacyjnych, co na srébro, zaledwo czwartą część tej summy wynosi; 100,000 dziesięcin pod hutę Preobrażeńską, za 100 rubli; 10,000 dziesięcin za kilka funtów herbaty i 50 rubli assygnacyjnych; 180,000 gdzie teraz ogromna fabryka Awziano-Piotrowska i Kutajska, wzięto w wieczystą arendę za 20 rubli na rok; inną znowu nabyto za 40 rubli z obowiązkiem zapłacenia po dziesięciu latach raz jeszcze takiej summy. Najczynniejszymi w tém byli protegowani przez władze miejscowe dwaj kupcy: Twerdiłow i Miaśnikow. Rozpajano lud ciemny i znękany, i z pomocą urzędników zawierano kontrakta. Ale i inni prywatni ludzie nie wzdrygali się podobnych spekulacyj. Dziad naprzykład teraźniejszego ministra spraw wewnętrznych, Timaszew, za ucztę wydaną Baszkirom i kilka kawałków pąsowego na chałaty sukna, kupił tyle ziemi, ile jej konno obiedz potrafi od wschodu do zachodu słońca; nabyta tym sposobem majętność Taszła, o wiorst sześćdziesiąt od Orenburga, zawiera 300,000 dziesięcin ziemi i bogate kopalnie. Możnaby mnożyć przykłady bez końca prawie. Rząd nietylko patrzył na to przez szpary, ale zachęcał nawet i pomagał, bo mu w tej chwili chodziło o wprowadzenie tam nowego żywiołu, który wcisnąwszy się pomiędzy Baszkirów, górowałby nad nimi i utrzymał ich w ubóstwie i zależności zupełnej. Po czterdziestu niespełna latach, cofnięto znowu ówczesne prawo; tworząc wojsko baszkirskie rozciągnięto do jego ziemi przywilej wszystkim ziemiom kozaczym służący, że tylko przez kozaków posiadane być mogą; pozwolono nawet dawnym właścicielom pozywać ówczesnych nabywców o nadużycie ufności i t. p. ale tymczasem znaczna część ziem baszkirskich przeszła w obce ręce, na kupionych za bezcen gruntach wzniosły się wielkie grónicze zakłady, pobudowono całe sioła, prawdziwe miasteczka z cerkwiami i wielu gmachami murowanemi; znalazło się inne prawo, nie pozwalające ruszać ludności która cerkiew posiada, procesa skończyły się na niczém, a cel główny osiągniętym został.

Wśród przytoczonych wyżej rozporządzeń, nieograniczeni wówczas panowie Baszkiryi, urzędnicy tak zwanej ziemskiej policyi którym literalnie na pastwę oddaną była, znęcali się nad ofiarą, nie przypuszczając, żeby siły w sobie do zerwania się raz jeszcze do walki, znaleźć mogła. Po uśmierzonym buncie rozbrojono ją zupełnie, i pilnowano ściśle aby broni znowu nie dostała. Tymczasem, zaledwo młode pokolenie które pacholęcemi oczami patrzyło na krwawą katastrofę 1740 r. zmężnieć zdołało, bo już w piętnaście lat po niej, powstanie wybuchło znowu. Na ten raz, duszą jego był mułła Batyr-sza, imieniem Islamu wzywający wiernych aby się pozbyli nienawistnego jarzma chrześcian. Dzień 18 maja 1755 r. był dniem sycylijskich w Baszkiryi nieszporów. W jednej nocy wyrznięto na całej prawie przestrzeni bezbronną ludność chrześciańską spokojnie już tam mieszkającą. Odezwy mułły

rozleciały się do stepu kirgizkiego i do bardziej mahometańskich plemion w okolicy. Powstanie przybrało odrazu szerokie i groźne rozmiary. Rządził wtenczas krajem tamecznym Neplujew. Położenie jego stawało się krytycznem. Kirgizi z za Uralu istotnie zaczęli już zagrażać nowej orenburgskiej linii, a sama jej rozciągłość wynosząca przeszło wiorst tysiąc, utrudniała niezmiernie obronę; wojsko jakie miał pod ręką, było nieliczne, gdyby zaś wszystkie tych stron plemiona zdołały się istotnie połączyć, owoce lat kilkudziesięciu mogły być tam dla Moskwy stracone. W takiém położeniu rozwinął on zadziwiającą czynność i energię, dowiódł głębokiej znajomości plemion któremi rządził, we własnym zaś duchu i w tradycyjnej swego rządu polityce, znalazł środki, przy całej piekielnej ich stronie, nadzwyczajnej na ten raz trafności. Chodziło przedewszystkiém o powaśnienie plemion między sobą i niedopuszczenie sojuszu Baszkirów z Kirgizami. Neplujew wysłał gońców do Ufy, Kazania i Moskwy żądając posiłków, a tymczasem za pomocą rozesłanych agentów, starał się wmówić niedawno obdarowanym przez rząd Meszczerakom, że gdyby się powstańcom powiodło, oni im ziemie nadane, jako swoją własność odbiorą; propaganda otrzymała skutek. Podobnież względy popchnęły na jego stronę inne jeszcze plemię tatarskie Teptiarów, którym za okazaną pomoc wyłączne obiecano przywileje. Pewien ich udziału, Neplujew zebrawszy jeszcze wojsko jakie się w kraju znalazło, wszedł do Baszkiryi, a mając plan ułożony z góry, starał się jaką znaczniejszą część zbuntowanych wpędzić do kirgizkiego stepu. Nie było u nich żadnej organizacyi, a tém mniej wykształcenia wojskowego; wspólność plemienna i pamięć krzywd doznanych były jedynym węzłem. Napierani zewsząd, nie mogąc wytrzymać nacisku, nieszczęśliwi, po długiej walce, z żonami, dziećmi i całym dobytkiem rzucili się w otwartą umyślnie przed nimi stronę; 50,000 rodzin przeszło Jaik, i stanęło na ziemi kirgizkiej. Wtenczas Neplujew do chana i pogranicznych sułtanów rozesłał umyślnie już przygotowane, a z całą tatarską sztuką ułożone odezwy, oświadczając najuroczyściej, w imieniu carowej Elżbiety, iż na wieczne czasy darowuje Kirgizom żony i dzieci Baszkirów którzy się do nich schronili, pod warunkiem iż ojców ich i mężów jemu wydadzą, a przynajmniej z hordy wypędzą. Skutek przewyższył oczekiwanie. Kirgizi natychmiast zawładali baszkirskiemi kobietami; część Baszkirów w obronie swoich rodzin wyginęła, daleko większą ich liczbę skrępowawszy wydano moskiewskiej pogranicznej straży, niektórzy wśród tego rozgromu sami wrócili stawiąc się przed miejscowemi władzami, w nadziei że dobrowolny powrót wyjedna im przebaczenie. Rząd postąpił z nimi stosownie do chwilowej potrzeby miejscowości każdej, ale główny cel jego, zwrócenia namiętności w inną stronę, został osiągnięty, a związek między Baszkirami i Kirgizami stał się już niemożebnym; pozosta-

wało teraz rozszerzyć tylko i rozognić ranę. Tłumiono powoli powstanie, które bez broni, pozbawione pomocy plemion sąsiednich, samo utrzymać się długo nie mogło, a rozniecano cichaczem nienawiść ku Kirgizom za ich świeżą zdradę. Patrzano przez szpary na tworzące się bandy w celu mściwych do stepu wycieczek, zachęcano je nawet. W górach zbierały się gromady, które nocami przekradając się za Jaik, rznęły Kirgizów w sąsiednich aułach, w niedostatku ludzi mszcząc się na bydle i trzodach. Każda tego rodzaju wycieczka Baszkirów wywoływała zaraz podobnyż na nich napad Kirgizów, bo prawo odwetu jest jakby prawem zwyczajowém tych stron, uważaném za święty niemal obowiązek. Takim sposobem, ci których wspólny interes powinien był przeciw Moskwie połączyć, mordowali się teraz wzajemnie, a każda nowa zadana jednej stronie klęska, stawała się źródłem powtarzanych wypraw, szkód wyrządzanych w trójnasób, i wzmagała nienawiść. Neplujew spokojnie przypatrywał się swemu dziełu; po dwu czy trzech latach, oceniając że zawziętość doszła już takich rozmiarów iż przebłagać się nie da, zakazał dalszych wypraw, straże na granicy obu plemion postawił i wszystko znowu uciszył. We sto lat po tych wypadkach, nienawiść Baszkirów do Kirgizów była jeszcze nieubłaganą; szereg krzywd wtenczas doznanych zatrzeć się nie potrafił, a to uczucie stało się spuścizną całych pokoleń.

Powstanie które opowiedzieliśmy, było już właściwie ostatniém; wycieńczyło ono Baszkiryę do reszty i wpadła w niemoc zupełną. Za czasów Pugaczewa były jeszcze bandy baszkirskie, które miały udział w tym krwawym ruchu niższych warstw orenburgskiego kraju, ukazał się wprawdzie dawny ich wódz Julaj z synem Saławatem, ale nic w tém ogólnego nie było; w okolicach Simska, (już w pasmie uralskiém) pokonani zostali. Plemie całe pozbawione dawnych znakomitszych swych rodów, zubożałe, zeszło na najniższą warstwę społeczną w dawnej ojczyznie swojej. Przy coraz silniejszej wewnątrz organizacyi państwa, nastąpiły nowe administracyjne podziały; utworzono Permską i Wiatską gubernię, które objęły części dawnego baszkirskiego kraju. Nie mając najmniejszego administracyjnego nawet organu, któryby jakkolwiek o odrębności ich świadczył, oddani pod zarząd ziemskiej policyi, która wyższe dla siebie władze miała w trzech różnych punktach, Permie, Wiatce i Ufie, w drobnych codziennego życia interesach zmuszeni w rozmaite zwracać się strony, stracili Baszkiry dawniejszą swą spójnię; porozdzielane członki przestały wiedzieć o sobie, a z czasem i troszczyć się o siebie. Płacili podatek i dawali rekruta, który szedł do pułków regularnych i w nich rodzime swe cechy jeszcze bardziej zatracał; z przeszłości całej pozostał im tylko przechowywany jeszcze dawniejszy obyczaj, nawyknienie do koczowniczego życia które powoli gasło także, i nic więcej. Tymczasem wioski górnicze rozrosły

się i poprzegradzały nieprzepartym już murem dawne posiadłości baszkirskie. Żyjące w równinach cząstki tego plemienia najpierwej wzięły się do rolnictwa, a wśród cichych zatrudnień straciły nawet dawniejsze wojownicze instynkta; włości osiadłe w górach przechowały jeszcze ślady dzielności dawniejszej, ale już niebezpiecznemi być nie mogły, powziąść myśli stalszego oporu, a nawet wznieść się do pojęcia jakichkolwiek plemiennych potrzeb i interesów nie były w stanie, a w takiém moralném i umysłowém położeniu, ta nawet ich dzielność miała dostarczyć nowej już tylko siły szerzącemu się zawsze państwu.

Nastała wtenczas pora ostatniej przemiany w stopniowém przeobrażaniu się całego plemienia, którą jeszcze tutaj, wyprzedzając bieg wypadków, dla pełności obrazu opowiemy. Po wstąpieniu na tron cesarza Pawła, 1798 r., organizując rozmaite kozacze wojska na wschodnich pograniczach, zwrócono uwagę w skutek przedstawienia niedawno wszechwładnego w Warszawie barona Igelstroma, i na zapomnianych już prawie Baszkirów. Uznano i słusznie, że do przetopienia tam wszystkiego na nowy zupełnie metal, skinieniom rządu najzupełniej posłuszny, najodpowiedniejszą była organizacya kozacza; za jej pośrednictwem można też było zużytkować w celach rządowych resztę dawnego wojennego ducha jaki mógł jeszcze pozostać. Złączono więc ich znowu pod jeden wspólny zarząd, rozrzucone w trzech guberniach ziemie podzielono na ośmnaście kantonów, spisano ludność, i na czele całej machiny postawiono jenerała mieszkającego w Orenburgu, ze sztabem i kancelaryą wojskową. Obdarowani przed kilkudziesięciu laty Meszczeraki, teraz do pełnienia wspólnych obowiązków wezwani, utworzyli osobnych pięć kantonów i imię swoje nadali temu wojsku, które nazywało się *baszkirsko-meszczerackiém kozaczém wojskiem*; prawa ich jednak i pozostałych trzynastu kantonów, dzisiaj zupełnie były równe. Kanton każdy uważał się za pułk, albo raczej za brygadę i miał naczelnika, w którym skupiała się administracyjna i sądowa władza; cała urzędowa hierarchia była zupełnie wojskową, z tą tylko różnicą, że od chorążego aż do kapitana istniało dla Baszkira dwa razy więcej stopni niż dla wszystkich innych, a to takim sposobem: Baszkir posuwany był zrazu na nominalnego oficera i jako nominalny (*zauriad chorunżyj* i t. d. jak ich nazywano) przechodzić musiał wszystkie stopnie aż do essauła to jest kapitana, a dopiéro wtenczas zostawał prawdziwym chorążym i mógł już iść dalej. Przyczyniało się to do utrzymania w samém plemieniu poczucia jego niższości, które długie upośledzenie wyrobiło, i do przekonywania go na każdym kroku o wyższości panującej rasy. Sułtańskich rodów jak powiedzieliśmy, od dawna już nie było; prerogatyw dorabiali się biedacy taką długą mozolną służbą, a bardziej zasłużeni wychodzili z czasem na naczelników kantonu. Nad dwoma, trzema, a czasem czterma kantonami postawiony był wyższy oficer rossyjski,

z nazwaniem opiekuna (*popieczytiela*) i ten był pośrednikiem między władzą kantonalną a naczelnym w Orenburgu zarządem. Od chwili utworzenia tego wojska, Baszkir każdy uważał się *eo ipso* za kozaka i nic go od tego uwolnić nie mogło; jako taki, obowiązanym był do służby przez całe życie, zarząd swój sam utrzymywał i opłacał, ale żadnych więcej podatków nie składał i powinności nie spełniał. Służba kozacza odbywała się konno; koń i rynsztunek wojenny musiał on mieć własny; w razie wojny albo pochodu, rząd dawał mu żywność i furaż na konia. Ziemia, jak powiedzieliśmy już wyżej, uważała się za własność całego wojska i tylko przez kozaków posiadaną być mogła. Wszystkie sprawy cywilnego ich życia podlegały odtąd nieograniczonej kontroli władz wojskowych, a tym polecono pilnować ściśle, aby Baszkiry koczownicze życie na osiadłe przemieniali, i zarzucano je z góry rozporządzeniami bez końca, to o kształcie domów jakie budować mieli, to o zaprowadzeniu prościutkich ulic we wszystkich wioskach, to o sadzeniu kartofli, uprawie takiego a takiego zboża i t. p. Spisana ludność wyniosła 500,000 osób; do tak małej liczby nieszczęśliwe plemię zmniejszoném zostało. Ludzi zdolnych do broni, a więc regestrowych, jak powiedzianoby dawniej u nas, kozaków, naliczono 102,000. Mogła to być w każdym razie choć massą poważna nieregularna jazda. Na doskonałych łąkach w górach Uralskich, porosłych bujnemi niezmiernie trawami, wypasały się stada koni, wyłącznej, miejscowej rassy, niewielkie, ale rącze i wytrzymałe niesłychanie; lud zaś sam, od dzieciństwa do władania koniem wdrożony, a na niewygody wytrwały, zahartowany w biedzie, mógł łatwo na dobrego wyrobić się żołnierza. Był to więc prawdziwy dla państwa nabytek, niekosztowny zgoła.

Ale Rossya tak znacznych sił tam nie potrzebowała, mając jeszcze inne w Orenburgskim kraju kozacze wojska, jak zobaczymy niżej; może nawet większej mahometańskiej massy widzieć pod bronią nie życzyła sobie. Celem organizacyi kozaczej, było przedewszystkiém nałamanie plemienia do porządku i posłuszeństwa, zaassymilowanie go ostateczne. Nie myślano także rozwijać wcale wojennego ducha, przeciwnie, resztki tylko jego zużytkować i powoli zgasić. Dostrzeżono prędko wielkiej różnicy w usposobieniu mieszkańców rozmaitych kantonów. Zamieszkali w równinach, oddani rolnictwu, więcej z innemi plemionami zmięszani, nie mieli już w sobie nic z dawnego ducha i zatracali do reszty wybitne cechy rasowe; włości góralskie, polowaniu i hodowli trzód oddane, miłujące zawsze koczownicze życie, zdradzały jeszcze w sobie potomków Złotej hordy. Pierwszym, zamieniono obowiązki służby wojskowej na pieniężny podatek — z drugich tworzono pułki; organizacya wojskowa pomimo to pozostała obowiązującą dla wszystkich, i zawarowano, że w razie potrzeby żaden z regestrowych, nawet

płacących podatek, nie będzie się mógł od służby wymówić. Tym sposobem pełniących służbę wojskową zostało 30 tysięcy.

Miały zrazu te pułki narodowe swoje ubranie : ogromne, dziwnego kroju wilcze czapki i chałaty, przy kołczanach i łukach. W takiej postaci, niektóre z nich przeszły całą Europę w 1813 i 1814 r. i oparły się aż o Paryż. Wracający z wojny do aułów swoich Baszkiry, ozdobieni medalami za tę kampanię, przynieśli z sobą nieraz bogate łupy, ale nic zgoła z zachodnich idei, mniej daleko niż cała moskiewska armia. Dla tych dzieci innego zupełnie świata, nie umiejących żadnego języka, z całej tej wędrówki zostało tylko pojęcie o wszechmocy cara, który świat cały przeszedł i zawojował. Po tych olbrzymich wojnach, z uciszeniem całej Europy, nastała i dla baszkirskiego wojska epoka używania go tylko do zwykłej, domowej, wewnątrz państwa służby. Przy ostateczném urządzaniu Orenburgskiego kraju, oddali oni wielkie usługi, nie dzielnością swoją, bo tej od nich nie żądano nawet, ale cierpliwą i posłuszną pracą; nie potrzebując ich krwi, szeroko skorzystano z ich potu. Popisowi Baszkiry, obowiązani do służby konno, na rozkaz rządu musieli stawić się z furmankami. Używano ich zrazu do budowania małych forteczek, później do sypania gościńców i dróg publicznych, nareszcie do pilnowania granicy od nienawidzianych zawsze Kirgizów; część ich posyłano co roku w czasie wielkich jarmarków w Niższym Nowgorodzie, dla strzeżenia tam porządku. Jedném słowem, posługiwano się nimi wszędzie. Powoli, stali się najkarniejszém wojskiem, najbardziej posłuszném w rękach władzy narzędziem.

Kiedy po latach przyszło do stanowczego opanowania i samego stepu, do budowania tam nowych forteczek, Baszkiry też samą służbę i tam pełnić musieli. W pustych tych miejscach, latem wypalanych przez słońce, zimą nawiedzanych przez straszne śnieżne zamiecie, wszystko co tylko dla załóg potrzebném było do życia, przyszło sprowadzać z Orenburga. Ogromne transporta szły tam co rok, a stało się to zwykłą służbą Baszkirów. Tysiące ich podwód wyprawiano każdej wiosny w tę daleką drogę. Konie baszkirskie, na bujnej trawie w górach wyrosłe, nie mogły długo na stepowym karmie wytrzymać, i zazwyczaj nie wracał z nich prawie żaden. Biedna kraina ubożała, ale póki istniały jeszcze resztki stadnin baszkirskich, nie zważano na to, bo tym sposobem utrzymanie forteczek kosztowało bardzo mało. Po latach weszło to w zwyczaj, stało się jakby corocznym podatkiem, czy też kontrybucyą, która już nie zadziwiała nikogo. Z dawniejszych niegdyś panów nadnuralskich okolic, z późniejszych niekarnych i buntujących się poddanych, Baszkiry zeszli na powolne zupełnie, pociągowe bydlęta. Wschodnie wybrzeże Kaspijskiego morza, brzegi Arału i obszerne nad Syr-Daryą rozłogi widziały wszystkie to biédne plemię, w postaci sług pracowitych, posłusznych i karnych, nie śmiejących nawet pomyśleć żeby

się im jaka lepsza dola należeć mogła.

Kilka pułków tymczasem przestrojono trochę z europejska; dawne chałaty ustąpiły miejsca kurtkom kozaczym z białego sukna, a wilcze kołpaki czapkom wojsk kaukazkich. Co było jeszcze dzielniejszego i żołnierskiego w niektórych kantonach, to weszło do tych szeregów i podczas wojny krymskiej strzegło nadbaltyckich prowincyj. Dzieci oficerów przyjmowano do kadeckiego w Orenburgu korpusu, a wojsko własnym kosztem wysyłało zdolniejszych synów urzędników swoich na naukę medycyny do Kazania. Co tylko jakikolwiek przybrało polor, wyuczyło się czegokolwiek, traciło ostatecznie wszelkie właściwości baszkirskie, czuło się zupełnie moskiewskiém i takiém też w istocie było.

Rząd uznał, że assymilacya była już dostateczną, i jak jednėm pociągnięciem pióra w 1798 r. zrobił Baszkirów kozakami, tak w końcu 1865 roku, za rządow jenerała Bezaka, zniósł całą tę organizacyą i dotychczasowych kozaków ogłosił za włościan rządowych. Zwinięto pułki i wszystkie wojskowe władze; oficerowie i urzędnicy pozostali przy prawach i przywilejach jakie w państwie Rossyjskiém stopnie wojskowe i cywilne zapewniają; massa cała poszła pod zarząd ministerstwa dóbr państwa; odtąd podatki na równi ze wszystkiemi innemi płaci i rekruta daje. Nie ma już Baszkirów, są tylko w oficyalnym języku: *rossyjscy mieszkańcy Orenburgskiej, Wiackiej i Permskiej gubernii.*

Taką jest historya Baszkiryi; jakiemi są dzisiaj jej dzieci, posłuży może do dania wyobrażenia, przyłączony tu wizerunek. Ktokolwiek dłużej będąc między nimi miał zręczność przypatrzyć się im zblizka, ten przyzna, że w tym obrazku nie masz nic przesadzonego, i że takich zupełnie twarzy spotykał tam tysiącami; noszą one ślady i wiekowego już upośledzenia i strasznych przecierpianych boleści, dają zaś wymowne świadectwo tego czém jest moskiewska dla wszystkich tam plemion opieka. To owoc blizko czterowiecznego już jej panowania. Czy plemię to nic więcej wydać z siebie nie było w stanie? niech na to odpowie pobratymczy mu naród Węgierski, który pod wpływem cywilizacyi zachodniej tak się rozwinąć potrafił. Wielką niezawodnie przeszkodą w Baszkiryi był Islamizm, ale przy odrobinie prawdziwej żarliwości chrześciańskiej, łatwoby on ustąpił, bo nie był tam silnie rozwinięty jak we wszystkich dalszych od samego ogniska plemionach, na północnym Wschodzie. Na biedę, rząd moskiewski tej żarliwości nigdy nie miał; religia była zawsze dla niego tylko narzędziem polityki, na co najlepszym dowodem są liczne jeszcze do dziś dnia osady pogańskie, od dawna w Orenburgskim kraju między wielko-rossyjską ludnością żyjące, które dla islamizmu zjednywali czasem mułłowie baszkirscy, ale o nawrócenie których Kościół urzędowy, zajęty niby walką z unitami na zachodzie, nie troszczył się zgoła. Co do islamizmu w Baszkiryi,



Baszkir.

rząd sam przyczynił się do zakorzenienia go głębiej, bo postrzegłszy wpływ mułły w czasie jednego z ostatnich powstań, uląkł się aby duch ten nie urosł, a wtenczas nie oddał całej krainy pod wpływ takiego mahometańskiego po za granicami państwa ogniska, jakiém była Buchara; starał się więc osobne niejako ognisko u siebie stworzyć; osadził w Ufie muftego, jako duchowną głowę iślamizmu w państwie, udzielił pewnych przywilejów duchowieństwu i budowania wszędzie meczetów doglądał. Tym sposobem, jeżeliby z tej strony przeszkody w szerzeniu idei chrześciańskiej napotkał, sam byłby je sobie stworzył. Ale nie chodziło mu o to bynajmniej, jakeśmy już widzieli.

Że plemię, w skalistej ojczyznie swojej tchnęło większą od wielu sąsiednich dzielnością, to niezawodna. Przed kilkunastu jeszcze laty, wędrując po tamtych stronach, zdarzyło mi się słyszeć od starych Baszkirów, w Burziańskiej włości, jednej z najwyżej położonych w paśmie uralskiém, opisy dawnego ich życia, którym towarzyszył najczęściej tęskny zwrót do zmienionych na zawsze stosunków. Jeżeli kto z nas, mawiali, budował dom, pradziadowie nie pozwalali stawić go na mchu,

ale tak, żeby wiatr wszędzie przechodził, bo wtenczas nie miało być robactwa; dachu robić nie było wolno, tylko sufit z ziemi ubity, na którym zasiewano trawę; tej, gospodyni snop przynajmniej użąć co roku musiała. Jeżeli kto siał żyto, to nie więcej nad kosz jeden, jaki się na koniu unieść dawał, bo Baszkir jadąc konno przez pola rozsypywał to zboże na obie strony, a uwiązana do ogona brzezina zastępowała miejsce brony. Nigdy dwóch chałup obok nie było; przestronno wszędzie. Wóz baszkirski musiał cztery koleiny robić i nigdy nie był smarowany, żeby się nie nudziło w drodze. Za to swoboda wielka, nikomu rachunku z niczego, polowania z sokołami na ptaszki, z dzidą na ogromne uralskie niedźwiedzie, czasem wyprawy na Kirgizów, z których wracaliśmy z całemi stadninami koni, i t. d. i t. d. Obok tych rysów szorstkich, barbarzyńskich jeszcze, ale nie pozbawionych pewnej fantazyi i siły, które skierowane inaczej, mogłyby coś więcej nad stan dzisiejszy zrodzić, niepodobna jeszcze mówiąc już o nich, przepomnieć dziecięcej prostoty charakteryzującej często to plemię, i jakiejś dziwnej pogody, co to wszystko przenosi, wszystko spełnia ochotnie, wesoło, i twarde bardzo życie pędzi jak ptaszek. To usposobienie spotyka się najczęściej w górach, tam, gdzie się najmniej wpływu moskiewskiego dostało. Były więc bogactwa w tej naturze, a co z nich zrobiono?

Podobny do baszkirskiego był los i innych plemion zamieszkujących raz zagarnięte ziemie; wszystkie musiały wyrzec się własnego, odrębnością nacechowanego życia, albo sprowadzić je w sobie do stanu zupełnego odrętwienia, w którém żadnejby nie obudzało obawy, do marzeń nawet nie będąc już zdolne. Taką była dola wielu szczepów fińskich. Te które nadwołżańskiemi nazwano, Mordwy, Czeremissów, Czuwaszów, bardziej skupione, mające tradycyę dłuższej i zaciętszej walki, mniej prędko ostatecznie uległy; krew niedawnych rabusiów odzywała się w świeżych jeszcze rolnikach i pobudzała do zemsty za doznawane nieraz krzywdy i upokorzenia; za czasów jeszcze Pugaczewa zapisały się one krwawo w ogólnej tamtych stron zawierusze, chociaż i wtenczas bez żadnych odrębnych widoków plemiennych, bez żadnej myśli politycznej niezależności. Poskromione, weszły pod prawa ogólne, i nie uznano nawet potrzeby przeprowadzać je przez organizacyę kozaczą, wojskową: pozostawiono czasowi dokonanie zupełnej ich assymilacyi. Różnią się dziś jeszcze od innych mieszkańców państwa językiem i strojem, nieco obyczajem domowym; chociaż w znaczniejszej daleko części należą do wschodniego Kościoła, zachowują jeszcze pamięć pogańskich świąt swoich, i w cieniu lasów odprawiają niejednę z zabobonnych praktyk dawniejszych; ale żadnego z zabytków przeszłości duch już dziś nie ożywia; mowa ustępuje coraz bar-

dziej miejsca językowi rządowemu, dawny strój częściami, jak zżółkłe liście w jesieni czas z sobą zabiera, w stosunkach z innego plemienia sąsiadami obyczaj się przekształca, i tylko religijnemu zobojętnieniu tych w pośród których żyją, przypisać należy, że część Czeremissów i Czuwaszów dotychczas nie została ochrzczoną. Osiedli na żyżnych ziemiach i oddani rolnictwu, z natury zapobiegliwi i nadewszystko skrzętni, nie cierpią w ogóle niedostatku; podatki płacą i dają rekruta który powiększa armię; w hierarchii społecznej pozostawieni na najniższym szczeblu, do wyższych warstw się nie cisną, jeżeli żadnej wyłącznej siły nie przynoszą państwu, to nie przyczyniają mu pewno najmniejszego kłopotu i żadną do dalszego szerzenia się nie mogą być przeszkodą.

Łatwiej jeszcze daleko ulegały temuż losowi gałęzie permskiego szczepu, zamieszkujące dawną Biarmię : Permiaki, Wotiaki, nareszcie Zyryanie. Część ostatnich przeniosła się była za Urał do Syberyi, przed żarliwością nawracającego na chrystyanizm permskiego biskupa Stefana, i potomkowie ich dziś jeszcze wśród tamecznych plemion wyróżniają się jasnym włosem, bielszą twarzą i siwém swém okiem; ale pozostali pozornie przynajmniej przyjęli nową naukę, a wszyscy przeszli dzisiaj na cichych, spokojnych, posłusznych poddanych. O bardziej na północ posuniętych plemionach Wogułów, Ostiaków, jak i o wszystkich których wymienieliśmy mówiąc o Syberyi, zaledwo mowa byćby tu mogła. Większa ich część widocznie skazana na zatracenie, wymiera powoli. Co rok prawie zmniejsza się ich liczba. Ludność cieplejszej i bogatszej Kamczatki dziś o dwadzieścia razy jest mniejszą niż była w dniu, kiedy pierwszy kozak postawił tam nogę, a takiż sam bodaj stosunek zachodzi w całym pasie północnym. Kozak budując gródki tępił mieszkańców domagając się od nich posłuszeństwa i jasaku; w późniejszych czasach zastąpił go urzędnik i kupiec moskiewski, który im przywiózł wódkę. Przychodnie nie mieli na celu uobyczajać, podnosić; nie przyszli wcale z tą missyą, chcieli przedewszystkiém wzbogacać się. Wiadome jest powszechnie odezwanie się wysłańców od Samojedów, na zwołaném dla Europy przez Katarzynę II zebraniu przedstawicieli wszystkich narodów obszerne jej państwo składających. (1767.) Powiedzieli oni, że nie potrzebują praw żadnych, bo mają swoje dawne zwyczaje, które są dobre i im wystarczają, a oni krzywdy nikomu nie robią, ale proszą o prawa dla sąsiadów swoich Moskali i dla władz rządowych, aby te mniej dopuszczały się krzyczących gwałtów i niesprawiedliwości (1). Toż samo naturalnie działo się wszędzie. Rossya nie podjęła tutaj właściwego, chrześciańskiego posłannictwa swego, przyczyniła się tylko do zagłady. Inaczej prowadzone północne plemiona, znalazłyby w duchu swoim nie jedną zapewne siłę,

(1) Hermann. *Geschichte des russichen Staats.* Hamburg 1853, tom V, str. 661 i 662.

która na korzyść państwa wyjśćby mogła; sama energia z jaką od wieków walczyły z groźném przyrodzeniem, i hart w tej walce zdobyty, już były pewną dla tego rękojmią, dziś, albo wiekową niesprawiedliwością zniechęcone, albo zaszczepionym nałogiem i chorobą w energii swojej złamane, zdaje się że ostatnich dni już dożywają. Życie samo staje się dla nich coraz trudniejszém. Stada reniferów widocznie się zmniejszają, ognie rozkładane przez szukających złota przemysłowców często ogromne szerzą spustoszenia w lasach i zwierz w nich staje się rzadszym; mieszkańcy coraz liczniej w rybołowstwie jedném znajdują środki wyżywienia, nikną powoli, i wkrótce ich całkiem nie stanie. Dziś płacą podatek futrami i służą do wzbogacenia niejednego jeszcze kupca i urzędnika.

Wiele drobnych plemion na północy zupełnie wygasło; zaledwo imiona pozostały Szelagów, Omoków, Anjuilów i tylu innych; Itelmeny w Kamczatce zeszli do zupełnie nieznaczącej liczby. Jakutów i Tunguzów zachodzących w strefę łagodniejszą, ze środkową Azyą graniczącą, rząd dzisiaj przez kozaczą przeprowadza organizacyę, i prawdziwie dla państwa siły ich zużytkowuje.

XI.

Wracamy teraz do przerwanego opowiadania naszego, które już prosto do dzisiejszych w Azyi środkowej wypadków doprowadzić nas powinno.

Mówiąc o powstaniach baszkirskich wspomnieliśmy o nowej orenburgskiej linii, którą przeprowadzono. Szła ona od Ileckiej twierdzy (*gorodka*) nad Jaikiem, niedaleko dzisiejszego Orenburga, przez Orsk, Magnitnę do Zwiernigołowskiej kozaczej stanicy nad Tobolem, gdzie łączyła się z linią syberyjską, ciągnącą się przez Petropawłowsk, Omsk, do ziem podległych Chinom, i stanowiła nową granicę państwa, którą coraz dalej posuwać miano. Przez nią zetknęła się Moskwa z plemieniem kirgizkiém. Cały kraj taką linią objęty uważał się już za składową część państwa i jako taki był administrowany. Jednocześnie z budowaniem forteczek, z których niektóre na miasta rozrość się miały, sprowadzano tam i osiedlano żywiół moskiewski, i póki ta wewnętrzna robota dokonaną nie była, wpływ na stepowców pozostał prawie bierny, bardziej bowiem uwagę zaprzątało i więcej pochłaniało sił zupełne przyswojenie i uporządkowanie nowego kraju.

Widzieliśmy że Kozacy nad Uralem (ówczesnym Jaikiem) mieszkający, stanowili jeszcze jakby udzielną społeczność; rządzili się według dawnych zwyczajów i wybierali sobie atamana. Car Piotr nie cierpiał żadnej wyłącznej w swém państwie organizacyi, i dla tego, pomimo

usług jakie mu ciągle oddawali ci kozacy, biorąc udział we wszystkich jego wojnach, ze Szwecyą, Polską i Turcyą, zniósł ich przywileje, oddając pod zarząd wojskowego kolegium w Petersburgu, ludność całą spisać kazał, podzielił ją na siedm pułków, Merkułowa atamanem naznaczył, i nowych przybyszów przyjmować surowo zabronił (1720). Dawne życie miało więc tam ustać, a bitne i gwarne kozacze gromady przemienić się w ciche, posłuszne, rządowe, nieregularne wojsko. Przemiana taka łatwo dopełnić się nie mogła, a opór jaki wywoływała, nieraz jeszcze zakrwawił tutejsze strony, i musimy dotknąć tego przedmiotu zanim do opowiadania stosunków z Kirgizami przystąpimy, gdyż zaledwie po zupełném uspokojeniu kraju, mógł rząd całą swą siłą na dalszych już stronach zaważyć.

Naznaczony przez Piotra ataman Merkułow zdzierstwami i okrucieństwem swojém rozżarzał tylko niechęć jaką rozporządzenia cara wywołały w wojsku. Doprowadzeni do ostateczności kozacy postanowili otrząść się z władzy atamana i zemścić się nad nim, nic zaś nie maluje lepiej stanu umysłów i ich dzikości w owym czasie, jak obrany w tym celu przez nich środek. Podpalili oni własne swe miasto, a sami gromadnie przenosili się za rzekę, w sąsiednie stepy kirgizkie. Pożar wprawdzie stłumiono, zbiegłych w znacznej części zwrócono nazad i gwałtem już osadzono w domach własnych, przywódzców ukarano gardłem, ale to stanu rzeczy właściwie nie zmieniło. Merkułow pastwił się i obdzierał, aż do śmierci carowej Anny i niechęć dawniejsza nie ustępowała. Za Elżbiety wprowadzono do Uralska wojskową kancelaryę z całą biuralistyką petersburgską, a nadużycia i zdzierstwa rosły z dniem każdym. Daremnie kozacy zanosili skargi; kilku za Katarzyny II przysyłanych z rzędu jenerałów dla wykrycia prawdy, między innymi Potapow, Czerenow, Czebyszew, nie tylko złemu nie zaradzili, ale jeszcze wielu niewinnych na ciężkie osądzili kary. Tego już kozacy znieść spokojnie nie mogli i w dzień spełnienia niesprawiedliwych wyroków schwycili za broń i pomimo użytych przeciw nim kartaczy, wojsko regularne z miasta wypędzili, zabiwszy narzuconego sobie atamana Traubenberga i jednego z prowadzących śledztwo jenerałów. Zawrzała walka, ale po dwuletnim oporze kozacy musieli uledz przemagającej sile; pokonani ujrzeli resztki swych przywilejów zniesione, i stałą w swojém mieście załogę, której dowódzca był zarazem ich atamanem (1772).

Nie skończyło się jednak na tém i pamięć krzywd zadanych jeszcze raz w groźny bardzo sposób objawić się miała, bo zaledwo rok jeden upłynął, a już doński kozak Pugaczew ogłosiwszy się za Piotra III znalazł tam najsilniejsze poparcie. Całe prawie wojsko jaickie, wyjąwszy pułkownika Borodina i czterechset ludzi, oświadczyło się za nim, a płomień rozlał się szeroko i nie tylko cały kraj orenburgski ale nawet są-

siednie objął prowincye. Wszystkie różnorodne żywioły zgromadzone na tych przestrzeniach skupiły się, dzicz jeszcze nieokiełzana podniosła głowę, zawrzały najstraszniejsze namiętności, niosąc wszędzie mord i pożogę. Musiano znaczne siły z wnętrza państwa sprawadzać i samego nawet w końcu Suworowa. Ale bezmyślny dowódzca Pugaczew pomimo pewnych wojskowych zdolności, nie był w stanie nic uorganizować; kilka razy pobity tracił coraz więcej stronników, i sam ich ku sobie zrażać zaczął. Gdy mała już tylko została przy nim garstka, kozacy dla przebłagania imperatorowej sami Pugaczewa wydali. Wiadomy jest jego koniec; massom całym przebaczono, a dla zjednania kozaczego wojska, potwierdzono nawet dawny jego przywilej wyłącznego w Jaiku rybołówstwa, zabrano mu tylko harmaty, wojsko regularne na stałe leże do miasta wprowadzono i dawne ich wiece skasowano na zawsze. Dla zagładzenia pamięci tego buntu, kozacy prosili sami o zmianę ich nazwiska i odtąd już rzeka ich *Uralem* a oni *wojskiem uralskiém* przezwani zostali. Ruch cały za Pugaczewa nie był pragnieniem wolności, a tém mniej niezależności politycznej; wywołany był uczuciem zemsty za nadużycia, niechęcią do praw nowych i stepowemi instynktami żyjącemi jeszcze w massach. Po uśmierzeniu go, już się nic podobnego nie powtórzyło w tych stronach, a wojsko uralskie w posuwaniu się dalej na wschód, wielkie rządowi oddało usługi.

XII.

Stanąwszy mocną nogą nad Urałem i całą wskazaną wyżej linią, aż do granic chińskich, opanowawszy pas leśny, posunięto się w stepy kirgizkie. Tak nazywano stopniowo podnoszącą się wyniosłość, od krawędzi puszcz syberyjskich po pasmo Tian-szan i sąsiadujące z niém jeziora Bałkasz, Ałatau i inne, a nazywano od imienia jakie sobie dawali tameczni mieszkańcy. Samo to imię, *Kirgiz*, z którem oni łączą jeszcze drugie, *Kazak* albo *Kajsak*, oznacza w turecko-tatarskich językach ludzi wędrownych (1); cały zaś sposób ich życia zupełnie temu odpowiada. Do dnia dzisiejszego stanowią oni największą na kuli ziemskiej koczującą massę, nie cierpią życia osiadłego, powtarzając, że Pan Bóg wszystko przeznaczył do ruchu, od słońca i księżyca do zwierząt, ryb i ptaków i że oni koczują, bo jedna tylko ziemia i umarli nie ruszają się z miejsca. Oddani hodowli trzód, pasterze i wojownicy, przenosząc z miejsca na miejsce swój namiot z wojłoku, umieli pozo-

(1) Vambery między innymi, w ciekawém ze wszech miar dziele swojém: *Reise in Mittelasien* Lipsk 1865, str. 293, wyprowadza je od wyrazów: *Kir* (pole) i *giz* albo *gez*, źródłosłów słowa *gezmek* (wędrować, tułać się). Ztąd wyraz *Kirgiz* oznacza właściwie człowieka wędrującego po polu, koczującego, i służy w ogólności wszystkim koczowniczym plemionom.

stać tém czém byli ich przodkowie przed tysiącem lat. Turecko-tatarskiego pochodzenia, w wiekowych tych stron przeobrażeniach i wewnętrznych walkach, z mongolskiemi plemionami zmięszani, stanowią dzisiaj jakby pośrednie między obu temi szczepami ogniwo i mają właściwe im skłonności, upodobania, przymioty i wady. Kirgiz od najdawniejszych pokoleń przywykły do konia i zrosły z nim niejako, uważa go za koronę stworzenia i chełpi się ze swych wydatnych kości policzkowych, bo te w jego mniemaniu zbliżają go właśnie do konia, najdoskonalszego z utworów Pana Boga; żyjąc mlekiem i mięsem, namiętnie lubiąc wycieczki i gonitwy, w stadach baranów i tabunach koni, znajduje on zaspokojenie wszystkich swych potrzeb; to też zachowanie albo zdobycie tych trzód i stadnin stanowi główną troskę jego życia. Wyborny pasterz, znający się doskonale na hodowli, jej znaczną część dni swoich poświęca; z tém łączy się cała patryarchalna strona jego życia i charakteru: wielka gościnność, prostota nieraz dziecięca, troskliwe przechowywanie podań i obyczaju swojego, znajomość natury i ścisły prawdziwie z nią związek. Ale to w stepach pasterstwo zmusza do ustawnych wędrówek, a nieliczne w wielu miejscach pastwiska prowadzą do częstych nieraz o nie utarczek. Kirgiz nietylko pasterzem, ale jest jeszcze wojownikiem, zbójcą stepowym, a przynajmniej rabusiem. Zna wszystkie wzgórza i wądoły, piaski i pustynie, źródła i rzeczki, całą zewnętrzną fizognomię szerokiej swojej ojczyzny; w dalekich dla uprowadzenia obcych trzód i stadnin wyprawach, noc trawi na zasadzkach, dzień później na ucieczce, a gdy go pogoń zbyt blisko dociśnie, broni się dzidą i szablą, czasem nawet długą z pomocą lontu strzelającą rusznicą; a jeśli czuje się słabszym, wtenczas rzuca iskrę w otaczające go trawy i pasem ognia oddziela się od ścigających. W ustawnych tego rodzaju wycieczkach i zapasach, hartują się ciała; to też Kirgiz, herkulesowej nieraz dochodzący siły, wytrzymałym jest na najcięższe trudy; wielkie w stepach upały i straszne nieraz zamiecie, głód i pragnienie z łatwością przenosi, nie tracąc zupełnie ducha. Bardziej jednak jest wytrzymałym niżeli odważnym, często bywa okrutnym, a po swojemu przebiegłym jest zawsze. Za domem, to jest za aułem swoim, w podróży i wyprawie, a również na wyścigach i zabawach, we wszelkiego rodzaju szermierstwie niezmordowany, codziennej około domu pracy nie cierpi i tę zwala całkowicie na kobiéty, stojące w hierarchii stworzenia, według jego przekonań niżej od konia. Ztąd powszechne między nimi jak na całym Wschodzie upośledzenie niewiasty, wielożeństwo i wszystkie z niego wypływające skutki. Pasterz i rabuś, Kirgiz jest zabobonny a odznacza się jeszcze bujną niezmiernie wyobraźnią, zkąd wypływa dziwne rozmiłowanie się jego w poezyi, w opowiadaniach i powieściach rozmaitych. Wędrowni pieśniarze (*ułanczi*) napełniający step są wszędzie w poszanowaniu, i

bardzo łatwo u słuchaczów swoich najzapalczywsze wywołują oklaski i znaczne nieraz zbierają upominki; dziewczęta nawet występują czasem z improwizacyami, i wtenczas słuchane bywają z uwagą i uwielbieniem. Od właściwego ogniska Islamizmu oddaleni, Kirgizi przyjęli go zaledwie powierzchownie, i może dzięki temu nie ulegli jego wpływowi wycieńczającemu ducha. Mułłów mahometańskich prawie nie spotkać między nimi; meczetu nigdzie żadnego, nawet zwyczajne w Islamizmie umywania i modlitwy nie są prawie nigdy przestrzegane. Z natury mongolskich plemion mniej wpływowi religijnych idei przystępni, nie podnieśli się do żadnej wspólnej im a wyższej teozofii, poprzestali na odwiecznych, pierwszego objawienia sięgających podaniach, wykrzywionych przez Szamanizm, do których przybyło nieco mahometańskich wyobrażeń, ale zachowali wszystkie siły ducha sobie właściwe, i przy dobrym a oświeconym kierunku, łatwiej zapewne od żarliwych wyznawców Koranu mogliby stać się chrześcianami. Dziś wielką między nimi rolę grają tak zwani *baksy*, właściwie czarownicy, albo jak lud nasz na Rusi powiedziałby, *znachory*, którzy rozmaite zabobonne odprawiają praktyki, choroby leczyć mają, przepowiadają przyszłość i t. p. Obszerna ziemia Kirgizów ogołocona z wszelkich pomników, pełną jest wielkich cmentarzy; gdzie pochowany człowiek uważany za świętego, albo znany w stepie ze swoich wypraw, odwagi i siły *batyr*, czy też znakomity sułtan, tam mnóstwo ich grzebać się każe. Niektóre z tych cmentarzy tysiące mogił liczą, a do każdego z nich przywiązane jakieś podanie, legenda, powieść, żyjąca w pamięci tego plemienia (1), nic właściwie nad to o swojej historyi nie

(1) Jedna z nich naprzykład, tycząca się ogromnego cmentarza nad Syr-Daryą jest następująca: Będąc świętym człowiekiem, Chor-Chut miał we śnie objawienie, że za czterdzieści lat umrze. Nie chciało mu się rozstawać z życiem, uciekł więc aż na sam koniec ziemi, myśląc że tym sposobem wyroku uniknie; zaledwo jednak tam stanął, a znużony położył się i usnął, zaraz go sen proroczy nawiedził; zbudziwszy się, puścił się więc w przeciwną stronę, ale tam znowu toż samo go spotkało; takim sposobem zwiedził kolejno wszystkie cztery końce świata, ale wszędzie prześladowali go we śnie grabarze z łopatami, powtarzający że mogiłę dla Chor-Chuta kopią. Przekonawszy się, że na okręgu ziemi mogiły nie minie, przyszedł wtenczas święty do samego jej środka, i żeby nie być na lądzie gdzie mu grób przygotowano, zbudował z sitowia tratwę *(sal)* na jakich i dziś jeszcze Kirgizi po Syr-Daryi pływają, i mieszkał na niej wpośród rzeki, śpiewając pieśni na chwałę Najwyższego. Przeznaczenia jednak ominąć nie mógł i gdy zapowiedziany dzień nadszedł, na tratwie swojej Bogu ducha oddał. Ciało złożono w samym środku ziemi, a od imienia świętego, cmentarz ten Chor-Chut nazwano. Nad mogiłą zbudowany został z palonej cegły grobowiec dziś już na poły rozwalony, z maleńką kopułą do kirgizkich namiotów z wojłoku podobną. Stał się on przedmiotem pobożnych pielgrzymek. Tysiące mogił, ze zwykłemi w stepach grobowemi kamieniami, widzieć dziś można do koła; na wielu z nich, powszechnym tam zwyczajem, wyżłobione u góry małe wydrążenie, aby ptaszki znajdując w niém wodę deszczową, śpiewały umarłym i chwaliły Najwyższego; ogromne rogi skalnych baranów, *archarami* tam zwanych, składane zwykle na czczonych grobowcach, na niejednej z okolicznych mogił spotykać się dają, wielki pień suchy świadczy, że kiedyś były tam drzewa, dziś bujna tylko trawa i piękne gdzieniegdzie krzaki szumią na przestronnym mogilniku. Podczas wyprawy Perowskiego, wszyscy w oddziale jego znajdujący się Kirgizi, pobożnie modlili się nad grobem Chor-Chuta.

wiedzącego, ale zachowującego nietknięty stary obyczaj i dawnych lat instynkta.

Całe to plemię dzieli się właściwie na dwie odrębne grupy: Burutów, czyli prawdziwych Kirgizów i Kozaków, najczęściej Kirgiz-Kozakami albo nawet po prostu Kirgizami nazywanych. Pierwszym dają jeszcze miano *skalnych* Kirgizów (*dikokamennych*) od ich skalistej ojczyzny, w okolicach jeziora Issyk-kul i pasma Ałatau położonej. Mają oni typ bardziej mongolski, do kałmyckiego niezmiernie zbliżony i są ze wszystkich tych plemion najdzielniejsi, nawet najdziksi; pozostali, więcej z innemi plemionami zmięszani, nieco pierwotnego typu utracili, i w większej części nie odznaczają się męztwem. Z powodu samego położenia miejsca, Burutom później daleko zetknąć się z Moskwą przyszło; w ostatnich zaledwo latach ulegli jej, kiedy inni, oddawna byli już z nią w stosunkach.

O sobie samych rozmaite Kirgizi opowiadają rzeczy. Bardzo upowszechniona między nimi legenda, którą z odmianami w rozmaitych stronach stepu słyszałem, i którą jeszcze niedawno najmłodszy syn Abłaj-chana, dziewięćdziesięcioletni starzec opowiadał, wywodzi ich początek od stu rozbójników, którzy łotrując w stepie, związani byli ślubem bezżeństwa i słuchali wybranego z pomiędzy siebie herszta (*baszi*). Gdy ten umarł, bujne natury nie mogły się zgodzić na wybór jego następcy: po długich więc kłótniach postanowili wyborów zaniechać, spuścić się na los, i udawszy się w step, piérwszego kogo napotkają, wodzem swym okrzyknąć. Traf zdarzył, że piérwszym podróżnym którego przed sobą ujrzeli, był żebrak (*bajgusz*); ten więc został ich władcą, a że to był człowiek rozumny, więc ich powoli namówił, żeby żon sobie poszukali i żyli jak ludzie. Usłuchawszy go, gwałtem porywali dla siebie kobiéty u rozmaitych plemion i wkrótce rozmnożyli się bardzo; wtenczas rozdzielili się na trzy hordy (*dżu*, co dosłownie znaczy setkę) a z tych każda składała się z pewnej liczby rodów, wywodzących swój początek od owych pierwszych praojców. Podział ten na wieczną rzeczy pamiątkę miał być wyryty na skale, nad rzeką Czu. Jakkolwiek bądź, podanie to co do swojego ducha jest prawdziwe. Każdy Kirgiz i dzisiaj jest z natury rabusiem; skłonność do napaści i gwałtów, jakby spuścizna po tych rozbójniczych ojcach, tkwi dotąd w duszach; kradzież koni, uprowadzanie całych stadnin, rabunki, uważane są za czyny chwalebne; z drugiej znowu strony, rozmaitość typów napotyka się u nich nieraz, a nie tylko podziały na hordy, (które jako późniejsze, czasowe są i od krwi samej niezależne) ale przedewszystkiém na rozmaite rody i ich drobne nawet gałęzie, trwają do dziś dnia w całej swej sile, niezatarte zgoła. One to nawet stanowią właściwą w plemionach tych spójnię. Obce wszelkiej środkowej władzy i szerszej organizacyi społecznej, plemiona te dzięki właśnie temu

rodowemu węzłowi nie rozpadły się na atomy, i przechowały obyczajowe prawo, stanowiące ich życie moralne. Jest to tak głęboko we krwi tych plemion, że pierwsza rzecz jakiej Kirgiz przy spotkaniu wymaga od drugiego, jest wyliczenie siedmiu pokoleń swych przodków (1) a każden z nich, od ośmioletniego dziecka umie na to pytanie odpowiedzieć. Rody kłócą się, często zaciętą prowadzą walkę, ale członkowie ich między sobą uważają się zawsze za spokrewnionych, mają wspólne tradycye, i jednę całość stanowią. Obok tego uczucia łączącego całe szczepy, są jeszcze pewne, po europejsku powiedzielibyśmy arystokratyczne pojęcia, niezmiernie rozpowszechnione i zakorzenione głęboko, które wyłączném poważaniem otaczają pewne rodziny, albo raczej, że w niedostatku innego wyrazu i tu tegoż samego użyjemy nazwania, niektóre rody tak zwane *sułtańskie*. Są one dzisiaj dosyć już liczne w stepie, a stanowią to, co w tych stronach zarówno jak u Baszkirów nazywają *białą kością* (*ak-sujuk*). O wyłączném ich pochodzeniu rozmaite legendy krążą w stepie. Jedne wyprowadzają ich ród od zapłodnionej promieniami słońca dziewczyny, którą ojciec własny zamknąwszy do złotej skrzyni puścił na rzekę, jak niegdyś matka Mojżesza na Nil; inne, od również tajemniczo w okrytym zewsząd domku płynącej po Syr-Daryi kobiety, którą turkmeński wróżbit o jedném jak Cyklop oku odgadł, a która za nic pochodzenia swego wyjawić nie chciała (2); inne znowu od Jakóba proroka, i. t. d. najpowszechniej jednak za protoplastę ich wszystkich uważają Dżengischana, największe imię tamtych stron, o którém niezliczone mnóstwo legend i powieści żyje dotychczas. Sułtani nieraz mają swoje rodowe wywody sięgające Adama i patryarchów, a które obejmując Mahometa, i kalifów dochodzą zawsze do Dżengischana. Niektórzy z nich mają się tym sposobem za spokrewnionych z bogdychanem, emirem bucharskim, sułtanem tureckim i nareszcę rossyjskim cesarzem, bo według nich, ostatnia córka Dżengischana miała wyjść za ówczesnego cara moskiewskiego. Tłum kirgizki wszystkim tym bredniom wierzy, a każden szczep chełpi się swojemi sułtańskiemi rodami.

Dokładną ich dawniejszą historyę chyba wschodni i chińscy pisarze kiedyś wyjaśnią; nie chodzi nam też dziś o nią. Uważaliśmy za potrzebne podać tu kilka rysów, dla pokazania czytelnikowi moralnej niejako fizognomii plemienia które Moskwa teraz na drodze swojej spotkała. Wchodzili oni niezaprzeczenie w skład wielkich państw Dżengischana i Tamerlana; po rozpadnięciu się tego ostatniego, wiemy że długo walczyli z Kałmykami, którzy przenosząc się z miejsca na

(1 Vambery.

(2) Adolf Januszkiewicz z dziwnym wdziękiem opisał to w listach swoich. Patrz: *Żywot Adolfa Januszkiewicza i jego listy ze stepów kirgizkich*. Berlin i Poznań 1861 r.

miejsce, jak oni, różne koleją zajmowali strony. Walka musiała być nieraz zaciętą. W okolicach Karkaralińska dziś jeszcze istnieją znaczne ślady długiego na 120 wiorst muru którym się Kałmycy wówczas opasali, broniąc się od tych napaści; widzieliśmy później Kirgizów w okolicach Iszymu, potém nad Jaikiem i Wołgą, ślad w ślad idących za Kałmykami. Był czas, kiedy oni sami chwilowo znaczną stanowili potęgę. Po upadku kipczackiego chaństwa, kirgizki chan Arslan mógł jeden 400,000 ludzi wystawić do boju, co zresztą zadziwiać nie powinno, bo w konnych hordach każden mężczyzna jest właściwie takim stepowym żołnierzem. Że w połowie XVI wieku przytykali do ówczesnych posiadłości moskiewskich, tego dowodzi, że Iwan Groźny udzielając Strogonowym przywileju na zakładanie gródków nad Tobolem, pozwalał im zarazem bez opłaty cła żadnego prowadzić handel z Kirgizami. Rozdzieleni na rozmaite szczepy i pokolenia, w ciągłych walkach, panowali nieraz w chanatach Turkestanu, to znowu przez inne plemiona tam pokonywani, uznawali nad sobą ich zwierzchnictwo i tymże samym bucharskim emirom i chanom chiwińskim opłacali daniny; toż samo spotykało pograniczne Chinom i Moskwie szczepy, ale pomimo to wszystko, nikomu jeszcze całkiem owładnąć sobą nie dali. Jak w walkach ze swoimi, po każdej przegranej ulegali zwyciężcy składając mu wymagany okup, ale pomimo to, zawsze z pierwszej korzystali sposobności aby się otrząść z tego zwierzchnictwa i oddać mu wet za wet, tak i z obcemi narodami, poddając się na chwilę silniejszemu i korząc się przed nim, płacąc haracz i znosząc cierpliwie najsroższe nawet jego obejście, jako prawo wojny, wszelkie jego panowanie uważali w duszach za czasowy tylko najazd i z największą łatwością przy pierwszej sposobności zmieniali pana, znajdując w sobie i w rodowej swej spójni zawsze toż samo nietknięte życie. Jak kamień na brzegu morza leżący, który przypływy i odpływy fali wytrzymuje, sam bierny i w nieruchomości swojej jednaki.

W początku XVIII wieku nie stanowili już oni nawet czasowej zewnętrznej jedności; dzielili się niby na trzy hordy, *wielką* (ułu), *średnią* (urta) i *małą* (kszy) które miały jeszcze swoich chanów, pewném moralném że tak powiem poważaniem otoczonych, ale z nich każdy liczył mnóstwo podrzędnych, a często go wcale nie słuchających sułtanów, którzy znowu własnym, chwilowym zwykle rządzili się interesem. Wielka horda koczowała w sąsiedztwie Burutów i granic chińskich i tam ustawne prowadziła utarczki. Średnia dotykała syberyjskiej linii zajmując okolice Oru i Uja; Mała tułała się po orenburgskich i astrachańskich stepach, a niektóre jej szczepy koczowały jeszcze na ziemiach chiwińskiego i bucharskiego albo kokańskiego chaństwa, raz jako zwycięzkie, drugi raz jako podległe plemiona. Abduł-Chair-chan był jakby głową małej hordy. Ten pierwszy udał się pod opiekę Moskwy.

Carowa Anna Iwanowna wysłała Tewkelewa aby od niego przysięgę na wierność odebrał (1732 r.). Wykonało ją kilku drobnych, nad Uralem koczujących sułtanów, i to było początkiem dalszego wpływu i pretensyj Rossyi. Znała ona doskonale te plemiona, wiedziała czém była ta przysięga przez sułtanów kilku drobnych pokoleń wykonana, ale uparła się uważać wszystkie kirgizkie plemiona za jeden *naród*, cząstkową tę przysięgę za prawomocny objaw ogólnej jego woli, i wszystko co imię Kirgiza nosiło miała odtąd za swoję własność. Posłużyło to nieraz do osłonięcia potém pretensyj jej nawet do Kokanu i Chiwy.

XIII.

W pierwszych latach to przyjęcie poddaństwa było tylko nominalne; ułatwiało rządowi mięszanie się do spraw wewnętrznych tych plemion i tworzenie sobie stronnictwa między niemi, ale długo jeszcze strzedz granic od tych świeżych poddanych i doglądać ich pilnie potrzeba było. Właśnie w tych latach urządzano ową orenburgską linię, o której mówiliśmy. W 1735 r. założony przy ujściu Oru do Urału Orenburg, w kilka lat potém na dzisiejsze swe miejsce przeniesionym został, zostawiając tam tylko małą forteczkę, Orskiem odtąd nazywaną. Na całej nowej linii powstały punkta obronne. Nazywano je twierdzami (*kriepost*) ale właściwie składały się one z kilku domów otoczonych wałem, ze strzelnicami po rogach, z wysoką obok strażnicą, jak gołębnik na czterech słupach wzniesioną, z której dzień i noc patrzano w step szeroki. W razie jakiegokolwiek napadu zapalano stos przygotowany, i rozniecane kolejno na linii ognie ściągały gotowych wszędzie kozaków na punkt zagrożony. Nie zawsze udawało się jednak. Rabusie znali wszystkie brody, i pod zasłoną ciemnej nocy nieraz czujność strażników omylić potrafili, a raz przerwawszy się za linię, roznosili spustoszenie między tworzące się pod zasłoną tych twierdz osady, uprowadzali z sobą nietylko konie i bydło, ale ludzi nawet, którzy szli potém w jassyr, i przedawani byli na rynkach Buchary i Chiwy. Czasem tak wielka zgromadzała się ich liczba, że nawet w dzień jasny napadali, wywracając spotykające ich zbrojne garstki, a później na rączych swych koniach bezkarnie powracali nazad. Zdarzało się, że i pojedyńczy Kirgiz przekradł się gdzie przez rzekę, a upatrzywszy swobodną chwilę, złapał na arkan pracującego w polu człowieka i z sobą uprowadził, Kozacy znowu podobnež do ich aułów robili wycieczki, tak że niepokój był ciągły. W chwili groźniejszych katastrof, jak bunt baszkirski na przykład, wszystko zdawało się zawieszone na włosku. Widzieliśmy jak szczęśliwie z podobnych zawikłań wyszła Moskwa. Ujęci przez Neplujewa Kirgizi, zwrócili się na chwilę przeciw nieszczęśliwym Basz-

kirom, a tymczasem wzmocniła się linia, podwoiły się na niej straże, a większa siła, większe też w stepowcach poszanowanie budzić zaczęła.

Gdy to się działo, gotował się nad Wołgą i Uralem wypadek, który jeszcze w tych stronach wpływ Moskwy miał wzmocnić, nowym urokiem siły otaczając ją w oczach koczujących plemion. Mówiliśmy dawniej o Kałmykach którzy tam osiedli, a raczej koczowiska swe mieli. Uważani dotychczas za sprzymierzeńców doznających opieki Moskwy, mieli własnego, wybieranego z pomiędzy siebie chana, i radę ośmiu sajsanów; rządzili się według zwyczajowych praw swoich, a w każdej potrzebie dostarczali zbrojnych z pomiędzy siebie gromad. Widziały ich nawet Niemcy w czasie siedmioletniej wojny. Tymczasem rząd, dążący wszędzie do zastąpienia władz miejscowych swoją własną i do podkopania tym sposobem narodowych żywiołów, ujął chana obietnicą naznaczenia następcą po nim jego syna, i tym sposobem wymógł na nim prośbę aby ten następca z ramienia rządu za życia jeszcze jego był mianowany. Dotychczasowa niezależność Kałmyków podkopaną została. Po śmierci chana (1761) trzynastoletni chłopiec został chanem, z dodaną sobie najwyższą, z ręki rządu Radą, której we wszystkiém słuchać musiał. Nieukontentowanie zaczęło się szerzyć; sąsiedni wielkorządzcy moskiewscy jak wszędzie, zdzierstwami i nadużyciami swemi jeszcze je bardziej rozżarzali. Jednocześnie, z głębi Mongolii niejaki Seryn przyprowadził nowe zastępy Kałmyków, 10,000 kibitek wynoszące, pełne jeszcze żywych rodzinnej ziemi pamiątek. Wobec grożącej ich niezależności plemiennej zagładzie, w której duchowni kałmyccy i bliskie wytępienie swej wiary upatrywali, powstała myśl powrotu do dawnych siedlisk. Poruszyło się całe plemię, i ujrzano ze zdziwieniem w 1771 r. pochód, dający wyobrażenie owych bajecznych prawie, jak się zdawało, wędrówek narodów; 30, a według niektórych 80,000 kibitek (od 120 do 320,000 ludzi) z kobietami i dziećmi, z bydłem i końmi, unosząc z sobą calutki swój dobytek, z nad brzegów Wołgi ruszyło w głąb Azyi środkowej. Tajemnica tak doskonale była zachowaną, że się władze rządowe dowiedziały o wszystkiém zaledwie po wyjściu plemienia; sił przygotowanych dla zatrzymania go w granicach państwa nie było. Udano się znowu do Kirgizów, odwiecznych wrogów Kałmyka; darowano im z góry wszystkie stadniny uchodzących, jeżeli ich tylko wstrzymać i samych nazad zawrócić potrafią; kozacy z nad Jaiku i wysłane za nimi wojsko, miało dopomódz. Wracający do ojczyzny wędrowcy, przeprawiwszy się przez Urał, zagłębili się w stepy. Tu otoczyły ich tłumy chciwych grabieży Kirgizów, nadbiegli kozacy i zaczęła się walka. Zginęło wielu; część jednak ujść aż do Chin potrafiła; część zwrócono nazad i osadzono już gwałtem nad brzegami Jaiku, wpośród stanic kozaczych. Pozbyła się Moskwa obcego we wnętrzu swojém żywiołu, resztki miały uledz assymilacyjnemu jej wpływowi.

Kirgizi przekonali się, że związek z nią przynosi pewne korzyści, łatwą zdobycz już drugi raz w krótkim przeciągu czasu, a że kto raz oddał się pod jej opiekę, ten jej bezkarnie wyrzec się nie może.

W rok później Pugaczew ogłosiwszy się za cesarza Piotra III, zaraz wysłał posłańca do kirgizkiego sułtana Nurali, domagając się aby mu przysłał syna swego jako zakładnika i stu ludzi posiłkowych na znak uznania go za pana. Nurali list jego przesłał orenburskiemu gubernatorowi, zapytując go co miał trzymać o tym człowieku, a sam pozostał na miejscu, i kiedy cały kraj tameczny był w ogniu, zwykłe straże pograniczne wystarczyły dla zabezpieczenia go od udziału stepowców w tej krwawej katastrofie.

Na końcu wieku (1797 r.) sułtan Bukiej, 12,000 kibitek kirgizkich przyprowadził z sobą za Urał, prosząc o pozwolenie zajęcia dawnych siedlisk kałmyckich. Przyjęto go naturalnie z radością; zbudowano tak zwaną *chańską stawkę*, gdzie wkrótce wybieranego przez plemię naczelnika miał zastąpić zarząd zupełnie rossyjski. Hordę nazwano odtąd *wewnetrzną Bukiejewską hordą* (1). Odcięta od całej massy koczujących plemion, zamknięta w ciasnym obrębie, zajęła się jedynie hodowlą koni i stosunkowo dość szczęśliwy żywot pędziła, który tylko nadużycia i zdzierstwa zwyczajne urzędników zakłócały, ale już najmniejszej obawy rodzić, ani nawet kłopotu przyczynić nie mogła.

Po wyjściu Kałmyków tytuł ich chana zniesionym też został, część do dawnych siedlisk zwrócona, stała się najposłuszniejszą, część osadzona jak powiedzieliśmy wśród stanic kozaczych i w kluby wojskowej organizacyi ujęta, wyrobiła się na wybornego żołnierza. Pozostało w nich dotąd dawniejsze do życia koczowniczego usposobienie. Wioski które dzisiaj wśród naduralskiej zajmują ludności, zwracają na siebie uwagę rozstawionemi w pobliżu domów namiotami z wojłoku, podobnemi zupełnie do kirgizkich kibitek, bo w nich z upodobaniem przesiadują. Przechowali dawny buddaizm, duchowni ich odprawiają swoje nabożeństwa i obrządki, kobiety nie zmieniły narodowego stroju, ale jako kozacy nie ustępują oni żadnemu z uralskich swych współtowarzyszy, owszem, prześcigają ich nieraz, i powszechném jest w tém wojsku mniemanie, które się stało przysłowiem, że na Kałmyku polegać można bezwarunkowo, że gotów zginąć w niebezpieczeństwie a nie zdradzi. Mają oni wiele przymiotów plemion azyatyckich: są wytrwali, cisi, przedewszystkiém posłuszni, jako bierne narzędzia najdoskonalsi — dzięki zaś przechowanym ściślej zasadom religijnym, w codziennych stosunkach od wszystkich innych uczciwsi.

(1) Składa się ona dzisiaj z 200,000 prawie ludności.

XIV.

Kiedy tak w południowej części Uralu wszystko w coraz ściślejsze wchodząc karby dalsze działanie rządu ułatwiało, postanowiono zabezpieczyć się jeszcze ostatecznie od możebnego kiedyś, chociażby w dalekiej przyszłości, połączenia się Kirgizów z Baszkirami, i kawał ziemi na pograniczu obu plemion położony, zacząwszy od górnego Ileku, na północ od Orska a wzdłuż uralskiego pasma, aż po Zwernigołowską prawie stanicę i linię syberyjską rozciągający się, przeznaczono na ziemię nowego kozaczego wojska, które *Orenburgskiém* nazwano. Powstało ono z najrozmaitszego pochodzenia ludzi; z Baszkirów, Kałmyków, Finnów, Tatarów, z przybyszów z głębi Moskwy i to z najróżnorodniejszych gubernij, osiadających tam kolejno, jako w kraju nowym i przestronnym. Jedném pociągnięciem pióra zamieniona na kozaków, ludność ta cała, nie mająca wspólnego narodowego węzła, z większą od innych łatwością w kadry mechaniczne wojskowe ująć się dała, a chociaż dla braku właśnie tego wspólnego ducha który ożywiał np. Uralców, dzielnością dorównać im nie mogła, dla wewnętrznej służby jednak w kraju, a potém i dalej w stepie, zupełnie była wystarczającą; a już nowym, prawdziwie nieprzepartym murem, bo żywym organizmem przedzieliła plemiona w przeszłości swojej i nawet w pochodzeniu mające wiele wspólnego. W 1803 r. zaprowadzono jednę, wspólną dla wszystkich wojsk kozaczych organizacyę; orenburgscy kozacy podzieleni wtenczas zostali na dwa okręgi wojskowe i dziesięć pułków, z władzą zwierzchniego nad sobą atamana, rezydującego w Orenburgu, przy dowódzcy tamecznego korpusu, którego część stanowili. Ludność ich wynosiła 150,000 osób płci obojej. Takim sposobem cała już linia orenburgska kozaczemi pikietami najeżoną została; toż samo miało miejsce i w Syberyi.

Kiedy wielkie europejskie wojny za Napoleona w inną stronę zwróciły oczy rządu rossyjskiego, tu na tych wschodnich pobrzeżach dokonywał się zwolna proces assymilacyjny, który nieznacznie naprzód moralny wpływ państwa rozszerzył, a potém granice jego głęboko w stepy pomknął. Przy ostateczném urządzeniu państwa, gubernialnych i pogranicznych w niém zarządów, wszystkie kirgizkie plemiona, nie znając jeszcze dobrze rozległości zajmowanych przez nie obszarów, rozdzielono na zależne od orenburgskich i syberyjskich wielkorządzców, i ich wyłącznej pieczy powierzono. Każden z nich był zarazem dowódzcą wszystkich wojsk miejscowych, osobne stanowiących korpusa; dla załatwiania spraw tyczących się stepowców miał pod ręką tak zwany pograniczny zarząd. W Orenburgu zajmowano się jeszcze niedalekiemi chaństwami

Turkestanu i prowadzono niejako zagraniczną poljtykę; w zachodniej Syberyi, bardziej oddalonej, myślano zrazu głównie o zniewoleniu i przyciągnięciu Kirgizów, a potém o rozszerzeniu się w stepie. Podarunkami, postrachem, handlowemi stosunkami, zresztą wszystkiemi możliwemi sposobami jakie dokładna znajomość ducha tych plemion podyktować mogła, doprowadzono niektórych sułtanów średniej hordy, że na wzór braci swych z hordy małej, prosili o opiekę rządu i w końcu poddaństwo jego przyjęli. Skorzystano z tego, żeby zaraz rękę swą na step nałożyć. Podzielono go na kilka części, tak w Orenburgu jak w Omsku; na rządzcę każdej z nich wybrano pomiędzy najprzychylniejszymi Moskwie głównego sułtana (*prawitela*, po tatarsku *ułu-sułtan* to jest wielkiego sułtana), nie tknięto podziału na pokolenia i rody, na czele każdego z nich zostawiono osobnych, niższych sułtanów, ludność popisać kazano, naznaczono niewielki podatek. Sułtani ten podatek wybierać i spory wszystkie między Kirgizami według własnego zwyczajowego prawa rozsądzać byli obowiązani; w ostatecznej instancyi rozstrzygał je pograniczny zarząd, w którym dla pozoru właściwie zasiadali także, w małej rozumie się liczbie, Kirgizi. Każdy sułtan *prawitel* miał przy sobie oddział kozaków, niby straż honorową, która spełnienie jego rozkazów zapewniać miała a była przeznaczoną do utrzymania spokojności w stepie; ale dowodzący temi oddziałami oficerowie mieli jeszcze wyłączne swoje instrukcye i właściwie samych też sułtanów doglądali. Byli prócz tego urzędnicy przez zarząd naznaczani, którzy bawiąc przy tych sułtanach interesa prowadzili a nie jednej w stepie zapobiegli zmowie. Z przeciągiem lat, step widocznie przycichał; gasło w nim bujne dawniejsze życie. Nie tylko częste niedawno na pogranicza chrześciańskie napady, które karano srogo, stawały się coraz rzadszemi, ale nawet wewnętrzne między pokoleniami walki, owe zbójeckie na auły wyprawy (*baranty*), które stanowiły zajęcie i całą prawie kirgizkiego życia poezyę, mniej często step zakłócały, przynajmniej w sąsiednich linii rossyjskiej okolicach. Tymczasem posuwano się dalej.

XV.

Zanim głębiej zapuścimy się w stepy, zatrzymajmy się jeszcze na chwilę, aby przypatrzyć się tej organizacyi jaką rząd za najwłaściwszą uznał, i jaką stale posługiwał się w tych stronach.

Opowiadając dawniejsze dzieje, widzieliśmy jak się tworzyły wszędzie na pograniczach, gdzie walka z Tatarszczyzną kipiała, kozacze drużyny. Były one wypływem koniecznej potrzeby, a prawdziwém dzieckiem miejscowego w owych czasach ducha. Rząd ujął je w swoje kluby i wszystko w państwie organizując, nadał też im pewną,

stałą formę; ale przekonawszy się jak ona była korzystną i potrzebom miejscowym odpowiednią, wszędzie odtąd na nowych pograniczach swoich wojska kozacze tworzył. Powstały one na sybirskiej linii o której mówiliśmy; utworzono je później na całej, aż do Spokojnego oceanu przestrzeni, w ostatniej wojnie exterminacyjnej na Kaukazie urządzano je w każdej prawie opustoszonej z dawnych mieszkańców okolicy; jeżeli się nie mylimy bardzo, to je wkrótce jeszcze w Turkestanie ujrzymy. Trzeba przyznać, że nic też nad to praktyczniejszego wymyślićby nie można. Oficerowie francuzcy posyłani za rządów jeszcze cesarza Mikołaja dla przypatrzenia się tej organizacyi, przyznawali jej dziwną stosowność, uznając zarazem, że tylko w Moskwie, gdzie wola carska jedném pociągnieciem pióra całe społeczeństwa przemienia w zbrojne milicye i napowrót je rozwiązuje, była ona możebną. Ale nie to jedno stanęłoby na przeszkodzie w zaprowadzeniu jej u narodów zachodnich. Dobrzy w tej mierze znawcy utrzymują, że tylko wielko-rossyjskie plemię wydaje dzisiaj takich jakich rząd potrzebuje kozaków. Polacy nawet, postawieni w tych samych warunkach, gwałtem do tych szeregów wpisani, chociaż łatwiej i prędzej daleko od Moskali dostarczają wybornego żołnierza, nie mogą z siebie wydobyć sił i przymiotów tam wymaganych i potrzebnych. Plemię moskiewskie ma dzisiaj jeszcze w sobie tyle instynktów koczowniczych, tak skłonne jest do wędrówek, tak potrzebuje przestrzeni i lubi zupełne rozpasanie, że znalazłszy się gdziekolwiek wobec nowych przestworów, zaraz przeradza się w kozaczyznę. «Wielkorus, mówi Fadiejew(1) nie idzie pojedyńczo trzebić lasów i uprawiać pustyni jak Anglik albo Francuz; on zawsze potrzebuje towarzystwa, żyje rojami, i działając wspólnie, wnosi od razu cały swój żywioł w najbardziej obcą mu stronę.» Jest w tém wiele prawdy. Moskale tém się chełpią, wskazując na niezmierzone przestrzenie jakie już zajęli, i łącząc z tém uczuciem a raczej instynktem wewnętrznym, właściwe sobie pojęcia o wspólności ziemi i gminie solidarnej, co według nich ma świat na nowo odrodzić. Nie widzą, że jakiekolwiek w widokach Opatrznych może być posłannictwo tego plemienia w ludzkości, wszystkie te właśnie instynkta zdradzają jego najbliższe z hordami Azyi środkowej powinowactwo i robią zeń wroga tej cywilizacyi zachodniej, która rozwijając osobistość człowieka, przyswoiła sobie wszystkie skarby moralne stanowiące najświętszą i niespożytą ludzkości spuściznę.

O ile ta forma odpowiada duchowi plemienia moskiewskiego, o tyle przyznać to potrzeba, doskonałą jest dla plemion w stanie pierwiastkowych hord jeszcze żyjących. Dla nich staje się ona środkiem cywilizacyjnym, ułatwia niezmiernie ich assymilacyę, i jest potężnem

(1) *Piśma s Kawkaza.* Petersburg, 1865.

w rękach rządu narzędziem. Za jej pomocą, z dniem niemal każdym, wtłacza się coraz głębiej w dusze porządek moskiewski, mnożą się zastępy bezwarunkowo posłusznych, według jednego typu wykutych, ślepych narzędzi idei rządowej. Wojska regularne posuwając się w głąb nowego kraju, zakładały najczęściej twierdze; kozacy tworzą zaraz stanice. Nieszczęśliwi mieszkańcy Kaukazu w obrazowym języku swoim zwykli byli mawiać, że twierdza, to kamień rzucony na pole, deszcz i wiatr go zniesie albo zaleje i zasypie; stanica, to roślina, która zapuszcza korzenie, rozrasta się i powoli pokrywa całe pole. I mieli słuszność; czuli, że z powstawaniem stanic umykała się im z pod stóp ojczyzna. Toż samo działo się i dzieje się do dziś dnia na całej przestrzeni granic azyatyckich. Przemieniona w kozaków ludność miejscowa szła zwolna coraz dalej; z początku wał usypano i postawiono strażnicę, powoli budowała się wioska, a choć ją czasem zniszczono, odbudowywała się znowu i wrastała w ziemię na zawsze. Rząd według potrzeby zmieniający spokojnych osadników swoich na kozaków, tém mniej zadawał sobie ceremonii z napół dzikiemi plemionami które pod władzę swoję zabierał; raz przez takie pikiety i stanice okrążeni, dowiadywali się oni nagle że są kozakami, wkładali kurtki kozacze, stosownie do rozkazu władz swoich budowali domy, orali grunta, uczyli się musztry i powoli sami stawali się jak owi naduralscy Kałmycy, kozakami. Swieżutkie tego przykłady widziano na Buryatach, Tunguzach, i innych drobnych mandżurskich plemionach wcielonych do *zabajkalskiego* i *amurskiego* kozaczego wojska. Zrazu nie tylko oficerowie, ale podoficerowie, instruktorowie wszyscy i część nawet prostych kozaków jest moskiewska; po niejakim czasie, massa miejscowa zaczyna dostarczać wyrobionych już indywiduów, a w końcu cała staje się zupełnie moskiewską. Jest to stały, niezmienny sposób postępowania rządu w tych stronach.

Z Kirgizami ostrożniejszej trzymano się taktyki. Nadto wielką w porównaniu z drobnemi plemionami które wymieniliśmy, tworzyli oni massę, w razie silnego oporu zbyt wiele przyczyniliby kłopotu, więc ich drażnić nie chciano. Poprzestano na oswojeniu ich tylko, ugłaskaniu, jeżeli tak wyrazić się można, zanimby się zaprządz już bez oporu dali. Nie wcielano ich do wojsk kozaczych, ale forpoczty a za niemi stałe osady posuwano coraz głębiej w step. Przy wstąpieniu na tron Mikołaja, linia rossyjska w tak zwanych stepach sybirskich już była posuniętą do źródeł Iszymu i Nury i do pasm środkowych. Stanęły tam twierdze: Karkaralisk, Akmolisk, Atbasar, połączone z dawną linią, szeregiem małych pikiet, albo też osad. Ze strony Orenburga, nie zrobiono tak wielkiego w tym czasie postępu. O kilkadziesiąt wiorst od niego położona Ilecka Zaszczyta, dawniej miejsce wygnania i przymusowej pracy dla zbrodniarzy, leżąca już za Urałem, zmieniła się na małe miasteczko, dzięki niewyczerpanemu bogactwu tamecznych po-

kładów soli, zaledwie cieniutką warstwą ziemi przysłoniętych, ale dalej nie posuwały się osady. Step tameczny nie sprzyjał rolnictwu i dla tego nie nęcił. Dopiéro za panowania Mikołaja miało tam państwo znacznych dokonać zdobyczy. Za Aleksandra I rozszerzał się tylko i utrwalał wśród stepowców moralny wpływ Moskwy. Handel przyczyniał się do tego ze swej strony.

XVI.

Od bardzo dawnych czasów istniały w tych stronach handlowe ze Wschodem stosunki. Jeszcze przed Iwanem Groźnym znano północne drogi kupieckie, na których Ostiaki i Zyryanie służyli Nowogrodzianom. Inna droga, przez Wołgę, Kamę, Dźwinę i Peczorę miała główne swe punkta w Bulgarach nad Wołgą, Czerdyniu nad Kołwą wpadającą do Kamy, i Chołmogórach leżących nad Dźwiną północną. Później, zdobywca Sybiru Jermak w Tobolsku spotykał kupców bucharskich; w XVII jeszcze wieku odwiedzali oni Tarę, Tomsk i Tobolsk, zamieniając jedwabne i wełniane wyroby na futra i żelazo, przechodzili więc stepy całe, pomimo napół dzikich wędrownych tam plemion. Wysłany przez angielską handlową kompanię z Moskwy nad morze Kaspijskie Jenkinson (1558 r.) znalazł że handel tam z Bucharą był już wtenczas znacznie rozwinięty, a pomimo wewnętrznych w Rossyi zaburzeń nigdy on całkiem nie ustał. Plemiona Azyi środkowej, przy pasterskiém i rozbójniczém swém życiu przyzwyczajone są do swego rodzaju handlu i zamian ustawnych. Jest to nawet całemu Wschodowi właściwe i jedną z charakterystycznych cech jego stanowi, że każdy tam prawie handluje. Miasta są przedewszystkiém rynkami, karawany niosące towary, pomimo niezliczonych na drodze przeszkód od stepowych rabusiów i zdzierających niemiłosiernie urzędowych celników, snują się wszędzie, a nawet pobożni do grobu proroka pielgrzymi nie wracają ztamtąd, bez zapasu rozmaitych świętości, które w ich rękach są prawdziwym handlu przedmiotem. Przy pierwszém więc z Kirgizami zetknięciu rozpoczęły się takie z nimi stosunki; handel prowadził się zamienny, baran stepowy służył za jedność, według której obliczała się wartość przedmiotów i zastępował monetę. Koczującym niedaleko Uralu Kirgizom dogodniej było dostawać tam potrzebne w ich życiu przedmioty, niż szukać ich na odległych stosunkowo rynkach Buchary lub Chiwy, zwolna więc przywykali do tego. Kupcy orenburgscy z językiem i obyczajami stepowémi dokładnie oznajomieni, sami nieraz zapuszczali się w step głęboki, zawiązywali znajomość z odleglejszemi rodami, zakupywali hurtem barany i konie, robili interesa. Ale nie długo poprze-

stawano na tém; myśl o najodleglejszym Wschodzie, o tej krainie tajemniczej, w której wyobraźnia narodu widziała siedlisko największych bogactw, zkąd najdelikatniejsze i najdroższe przychodziły tkaniny, najkosztowniejsze kamienie, nie przestawała zaprzątać umysłów. Sięgnąć aż tam, było marzeniem handlarzy; mężowie stanu ze swej strony myśleli o wznowieniu dawnego handlowego gościńca z Indyi do morza Baltyckiego, przez Bucharę i Moskwę. W tych to widokach Piotr I przedsięwziął był opowiedzianą już przez nas wyprawę Bekowicza, a nieszczęśliwy jej skutek myśli tej nie zatarł. Rządzący orenburgskim krajem Neplujew w 1749 r. wysłał przez koczowiska chana Nurali towarów do Chiwy na 3,000 rubli. Karawana doszła szczęśliwie, i ze sprzedaży, około trzysta funtów srébra do Orenburga przywiozła; trzy tylko do Buchary wysłane wielblądy zaginęły i nie wiedziano co się z niemi stało. Próba więc była dobrą i zachęcała do jej powtórzenia. Neplujew myślał zrazu o utworzeniu w tym celu handlowej w Orenburgu kompanii, ale gdy na to żywiołów jeszcze nie było, pozostało wszystko w rękach pojedyńczych przedsiębierców i kupców. Wychodziły nowe do Chiwy i Buchary karawany, napady jednak i grabieże Kirgizów, potém zrabowanie znacznej bardzo ilości towarów w samej Chiwie (1753) zniechęciło kupców moskiewskich i woleli czekać aż handlarze z Turkestanu sami do nich przyjadą. Powoli przyszło do tego, handel się ustalił, a karawany nie tylko z Chiwy, ale przedewszystkiém z bogatszej i handlowniejszej daleko Buchary przybywać do orenburgskiego kraju zaczęły. Powstały trzy celne komory: w Orenburgu, Troicku i Petropawłowsku, a do tych punktów zbiegały się wszystkie karawanowe drogi Azyi środkowej.

XVII.

Przez cały ten czas, zbieranie wiadomości o całym Turkestanie nie ustawało też wcale; władze miejscowe ciągle tém były zajęte. Nie opuszczono żadnej zręczności dowiedzenia się jak można najdrobniejszych nawet szczegółów. Wracającego z jassyru niewolnika, który był wykupiony, albo uciec zdołał, wypytywano, a opowiadania jego zapisywane były troskliwie; kupcy zdawali sprawę ze swoich spostrzeżeń i doświadczeń, główną zaś instrukcyą każdego kogo tylko rząd w tamte strony wysyłał, było przypatrywanie się wszystkiemu i przywiezienie dokładnych wiadomości. Od wyprawy Bekowicza nie posyłano z Petersburga posłów do Chiwy, aby to nie wyglądało na zapomnienie i darowanie urazy, ale wielkorządzcy orenburgscy ze swojego niby ramienia nieraz tam wyprawiali urzędników w rozmaitych interesach, a ci wywiadywali się o wszystkiém. Tak naprzykład jeometra Murawin wysłany w 1741 roku,

opisał część morza Aralskiego i drogę z Orska do Chiwy, dodawszy do tego mapę; towarzyszący mu inżynier Nazimow zdjął plan samego miasta Chiwy. Murawina tego, ówczesny chan chiwiński Abdułchair posyłał w poselstwie do idącego właśnie na Chiwę Nadir-szacha, chcąc go przebłagać, i tym sposobem dał jeometrze sposobność poznania całego prawie chaństwa. Podobnież podoficer niżegrodzkiego pułku, niejaki Efremow, w 1774 r. porwany przez Kirgizów i do Buchary w niewolę sprzedany, służył tam w wojsku i zostawszy po kilku latach juspaszą, robił z wojskiem emira wyprawy na Chiwę i Merw; uciekłszy do Kokanu, ztamtąd przez Kaszgar, Jarkend i Tybet dostał się do Kalkutty i na angielskim okręcie wróciwszy w 1782 roku przez Londyn do Petersburga, przywiózł tam szczegółowe o całym Turkestanie wiadomości. W 1793 przybyło do Orenburga znaczne z Chiwy poselstwo, jak się pokazało z prośbą o lekarza dla chorego na oczy chana, Mohamed-Fazil-Bija. Katarzyna II wysłała tam w skutek tego okulistę Blankennagla, dodawszy mu liczną świtę, złożoną z ludzi specyalnych, z których każdy osobno miał robić postrzeżenia. Blankennagel bawił dwa lata, nie wiemy ile pomógł wzrokowi chiwińskiego chana, ale przywiezionemi wiadomościami ułatwił pewno Rossyi zajrzenie w głąb tego kraju. Dopełnili ich jeszcze wysyłani przez orenburgskiego wojennego gubernatora Essena w 1818 i 1820 roku posłańcy, Subchankułow i Bekczuryn, obydwa tatarskiego pochodzenia. Jednocześnie (1819) z drugiej strony, bo z Gruzyi wychodziła wyprawa z trzydziestu żołnierzy i kilku oficerów złożona, w celu dokładnego obejrzenia wschodnich wybrzeży Kaspijskiego morza, od Astrabadu po dawne ujście Amu-Daryi; między oficerami znajdował się kapitan jeneralnego sztabu Murawjew, mający polecenie dostania się do Chiwy i wręczenia tamecznemu chanowi listu i podarunków od jenerała Jermołowa, ówczesnego wielkorządzcy Gruzyi. Murawjew wywiązał się z zadania z całą przytomnością umysłu i zręcznością jaką odznaczają się zazwyczaj pełnomocnicy moskiewscy. Dostawszy się do Chiwy drogą która niegdyś Bekowiczowi zalecaną była, wtrącony tam do więzienia, potrafił pomimo to otrzymać posłuchanie u chana, a wtenczas tak go ujął, że nie tylko z honorami nazad go odprowadzić rozkazał, ale jeszcze wysłał z nim razem poselstwo od siebie do Jermołowa. Wymieniliśmy tych kilku podróżników dla tego jedynie, aby czytelnikowi polskiemu dać wyobrażenie o ciągłém i niezmordowaném dążeniu Rossyi do zapoznania się z temi stronami, które od bardzo dawna za przyszłą zdobycz swoję uważała. Nie chcemy ich nużyć dalszém wyliczaniem, ale tego wystarczy, aby dać wyobrażenie o wielkiej liczbie faktów i wiadomości jakie w archiwach władz orenburgskich zebrały się w przeciągu lat kilkudziesięciu, i wytłumaczyć jakim sposobem Rossya, kiedy już chwilę za stosowną do działania uznała, wystąpiła w tych stronach z dokładną

ich znajomością, jak gdyby od dawna były jej dziedzictwem. Niepodobna też, nam szczególniej, nie zwrócić uwagi na tę moralną, że tak powiemy, karność, jakiej my nigdy nie mieliśmy. Każden pojedyńczy człowiek, przypadkiem nawet w te strony rzucony, albo najnieszczęśliwszym zagnany losem, służył idei państwowej, czuł się obowiązanym złożyć rządowi owoc swoich doświadczeń i spostrzeżeń; z własnego popędu pomagał mu i zadanie jego ułatwiał. Ta możność rachowania bezwarunkowo na wszystkich, dawała mu ogromną siłę.

Z Bucharą szło równie dobrze jak z Chiwą; owszem, stosunek z nią był zawsze przyjaźniejszy nawet. Po zamordowaniu Bekowicza, głowy jego z Chiwy sobie przysłanej, chan bucharski przyjąć nie chciał. Kiedy stu jego żołnierzy ocalonych od rzezi, dostało się do Buchary, przyjął ich dobrze, i ci tam przez czas jakiś, pozyskawszy ufność chana, przyboczną straż jego stanowili; jednego z nich mianowanego topczi-paszą, czyli pułkownikiem, nazwał chan *kaplanem*, to jest lwem, dla jego odwagi i nie przestał lubić do końca. Posłów potém do Petersburga stale posyłał. Gdy Pugaczew karawanę bucharską w okolicach Orenburga zrabował, nowe poselstwo w kilka lat potém do stolicy przybyło, a w 1820 r. obecny tam od lat kilku wysłannik emira, nalegał sam, aby rząd rossyjski posła od siebie do Buchary posłał. Szczęśliwy powrót Murawjewa zachęcił do przychylenia się ku tej prośbie. Wyznaczono całe poselstwo, pod zwierzchnictwem p. Negri, złożone z kilku osób, między któremi był baron Meyendorff i Dr. Eversmann. Dodano mu dla bezpieczeństwa i powagi eskortę złożoną z dwustu żołnierzy piechoty, tyluż kozaków, dwudziestu pięciu baszkirów i nawet dwóch harmatek. Żywność dla oddziału niosło czterysta sześćdziesiąt wielbłądów, koni w uprzęży i pod siodłem liczono czterysta. Oddawna tak poważna karawana rządowa nie ukazała się w stepie, dla większego jednak na umysły Kirgizów wpływu, przeprowadzał ją jeszcze z Orenburga aż do brzegów Syr-Daryi sułtan kirgizki, Harun-gazi Abuł-gazi, jeden z najwięcej mających wówczas wpływu pomiędzy swoimi. Po dniach siedmiudziesięciu podróży, stanęło poselstwo w Bucharze, i w czasie długiego tam pobytu nie traciło naturalnie czasu; baron Meyendorff wróciwszy wydał książkę przeznaczoną dla uczonych (1), ale niezawodnie mnóstwo zebrano jeszcze postrzeżeń i wiadomości potrzebnych jedynie rządowi do dalszych jego planów, a tych ogłaszać naturalnie nie spieszono się wcale.

Na czele orenburgskiego pogranicznego zarządu stanął wkrótce Niemiec, jenerał Genz, człowiek bardzo światły, znający te strony doskonale, zajęty wyłącznie rozszerzeniem rossyjskiego tam wpływu i pod-

(1) Voyage d'Orenbourg à Boukhara fait en 1820, à travers les steppes qui s'étendent à l'est de la mer d'Aral et au-delà de l'ancien Jaxartes; rédigé par le baron Georges de Meyendorff et revu par le chevalier Amédée Jaubert. Paris, 1826.

niesieniem handlu. Zbieraniu wiadomości o stepie i przyległych mu chanatach nowy nadano popęd; nic nie uszło jego baczności. Wypracowywane przez jenerała memoryały: o możności zaprowadzenia lasów w stepach, o korzyściach zbudowania twierdzy nad morzem Aralskiém, o chwili sprzyjającej rozszerzeniu moskiewskiego panowania w Turkestanie, z powodu wewnętrznych tam rozruchów i t. d. świadczyć będą zawsze o rozległym jego umyśle i niezmordowanej czynności.

XVIII.

Nadeszła chwila zużytkowania zebranych wiadomosci i sił przygotowanych. W 1830 r. wielkorządzcą kraju naznaczonym został jenerał Perowski. Natura bogato uposażona, ambitna ale wysoce szlachetna, czego mnóstwo wygnańców naszych doświadczyło na sobie. Osobisty przyjaciel Mikołaja, bo razem z nim wychowywany, był istotnie wszechwładnym w tym kraju. Instynkta mass rossyjskich tyczące się dalekiego wschodu, uszlachetnione i cywilizacyjną opromienione ideą, żyły w jego duszy. Dostanie się do Indyi, a przynajmniej posunięcie się na tej drodze i przywiązanie swego imienia do jakiej głośnej w tych stronach wyprawy, było ciągłém jego marzeniem. Dawniejsza już, z czasów Piotra I tradycya, wskazywała Chiwę, jako najbliższy punkt na tej drodze; w niej też upatrywano największą przeszkodę w rozszerzaniu handlu, bo napady panujących tam często Kirgizów i samych mieszkańców chanatu najbardziej zrażały właścicieli karawan; tam też najpierwej zwrócić się postanowiono. Powodów do rozpoczęcia kroków zaczepnych nie brakowało nigdy. Od śmierci Bekowicza, rząd jak mówiliśmy przymierza z Chiwą nie zawierał i poselstwa tam nie miał, wszelkie interesa załatwiali przez swoich wysłańców, tylko pograniczni wielkorządzcy, napady zaś na handlowe karawany powtarzały się często, a wiedziano dokładnie, że znaczna nawet liczba poddanych carskich, najczęściej pojedyńczo porywanych przez Turkmenów i Kirgizów, i sprzedawanych później, znajdowała się tam w niewoli. Wszystko to w potrzebie mogło wytłumaczyć wypowiedzenie wojny. Zresztą, z chaństwami Azyi środkowej nie zachowywano nigdy form powszechnie przyjętych w stosunkach międzynarodowych na Zachodzie. Wyprawa została postanowioną. Przygotowania do niej zdawały się zapewniać najpomyślniejszy skutek. Jeżeli garstki kozaków mogły z Uralska dochodzić aż do okolic Chiwy, to gdzieżby się oprzeć było powinno wojsko regularne opatrzone we wszystko? Nasuwała się tylko trudność pochodu dla większego oddziału przez step bezwodny, i rozdzielającą Aralskie i Kaspijskie morze wyniosłość, Ust-Urt. Dla zapobieżenia brakowi wody, obrano porę zimową, w któ-

rej spodziewano się iż śniegi niedostatek wody zaztąpią, oddział sam zmniejszono nawet do 2750 żołnierzy piechoty i 1500 jazdy i artyleryi, nie licząc rozumie się Baszkirów i Kirgizów; ubrano go w umyślnie dla tej wyprawy obmyśloną odzież, złożoną z ciepłych butów, kożucha i wysokiego kołpaka pokrywającego głowę i uszy, z klapą sukienną osłaniającą twarz i dwoma tylko otworami na oczy, które jeszcze siatką z włosa końskiego bronić miała od połysku śniegów szkodliwego dla wzroku. Jedenaście tysięcy wielbłądów wiozło żywność i amunicyę, ogromna ilość baszkirskich furmanek ciągnęła też za oddziałem. Namioty żołnierz miał z wojłoku, jak koczujące w tamtych stronach plemiona. Wszystko do najdrobniejszych rzeczy zdawało się być obmyślonėm, tak że nawet dla samego dowódzcy i jego sztabu wypisane były w ogromnej ilości konserwy rozmaitych potraw z Londynu, których znaczna część później chorym w szpitalach rozdaną została. Lato było znojne, nad Ilekiem w połowiė Sierpnia miano 46° Reaumura ciepła, spodziewano się nie bardzo też ostrej zimy. Dnia 29 Listopada 1839 r. wyruszono z Orenburga w kierunku ku rzece Embie, gdzie twierdzę małą zbudowano; Perowski na czele, ówczesny dowódzca Baszkirów Ciołkowski towarzyszył mu także. Ale prędko nastały niezwyczajne w tych stronach zimna, śniegi spadły ogromne, co się zaledwo raz w kilka lat zdarza, i pochód stał się niesłychanie uciążliwym. Wielbłądy większego zimna nie znoszą, pomimo to, że przy każdym noclegu rozgrzebywać śnieg dla nich i wojłoki rozściełać musiano, ginęło ich bardzo wiele; konie z pod zasp głębokich nędznego nawet pożywienia wygrzebać dla siebie nie mogły, mróz dochodził 47°,7 Reaumura a przez dni dziewięć, od 17 do 26 Grudnia średnia temperatura (1) wynosiła 30°, 9. Reaumura. Nie zdołano jeszcze dójść do samego Ust-Urtu, a już nie miano czém prowadzić dalej zapasów, znużenie i zimno rozwinęło w wojsku choroby, musiano wrócić nazad, nie spotkawszy nawet nieprzyjaciela. Miano zrazu zamiar doczekać wiosny nad Embą, gdzie były zostawione zapasy, i potém ruszyć dalej, ale nim przestrzeń przebytą przejść napowrót zdołano, reszta wielbłądów wyginęła, stosy kości po latach jeszcze kilkunastu znaczyły w stepie ówczesną drogę oddziału, skorbut dziesiątkował żołnierzy, i zmusił do zaniechania całego przedsięwzięcia; chociaż w Czerwcu wracające kolumny nad brzegami Ileku znowu 28° ciepła znalazły, nic to już nie pomogło. Większa daleko część żołnierzy wymarła. Klęska była straszliwą, zupełną (2).

(1) Według wyliczeń Czychaczewa należącego do wyprawy, który ciągle robił postrzeżenia.

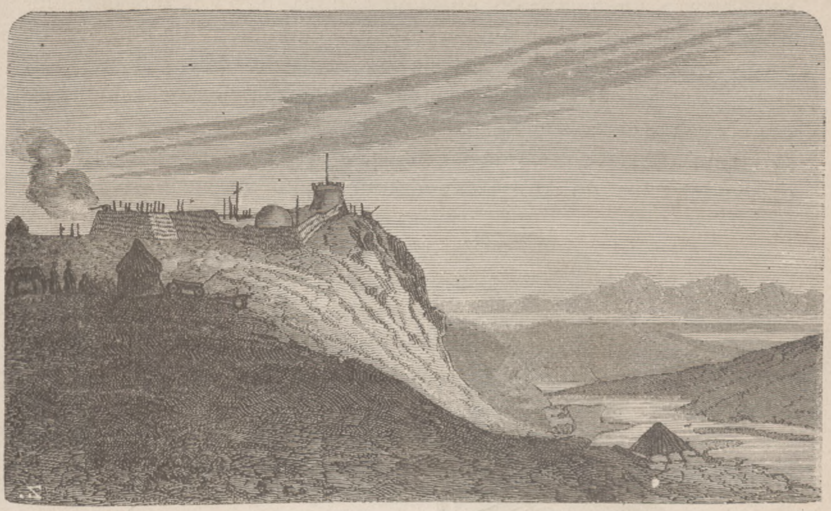
(2) Myli się Vambery utrzymując że Chiwińcy wracającym Moskalom wielkich strat przyczynili. Podczas całej wyprawy oddział Perowskiego nie widział ani jednego Chiwińca, i jedyną klęski przyczyną były śniegi, mrozy i rozwinięte w skutek trudów pochodu choroby.

Wyprawa ta jednak nastraszyła Chiwińców i obudziła uwagę rządu angielskiego. Powziął on wtenczas obawę, aby Rossya stałą postawiwszy nogę na Amu-Daryi, w następstwie posiadłościom jego w Indyach nie zagroziła. Wysłańcy jego w Chiwie starali się skłonić chana aby niewolników rossyjskich oddał, znaczne nawet podobno zapłacili za nich pieniądze. Z powrotem ich do Rossyi upadał na chwilę pretekst wojny, że zaś sama powaga państwa cierpiałaby na przyznaniu się do nieszczęśliwej wyprawy, której zaniechać postanowiono, niechcący więc natenczas zatargu z Anglią, gabinet petersburgski od całej tej wyprawy ręce umył, przypisując ją osobistej, przez rząd nieupoważnionej jenerała Perowskiego inicyatywie; odwołał go z Orenburga, tym sposobem potwierdzając niejako tłumaczenie się swoje i na lat kilka znowu tam wszystko ucichło.

XIX.

Użyto tego czasu na zupełne już opanowanie stepu, leżącego między Uralem a morzem Aralskiém. Następca Perowskiego, jenerał Obruczew, nie mający takiego w Petersburgu znaczenia jak jego poprzednik, ani tak rozległych pojęć i pragnień, ograniczył się rolą na pozór podrzędną; a jednak, taką już wagę miała Moskwa w tych stronach, że w przeciągu dziesięcioletnich jego rządów, panowanie jej tutaj ogromne uczyniło postępy. Wysyłane co roku oddziały eskortujące wojskowych jeometrów, pozwoliły im zdjąć mappę rozległych tych przestrzeni, a po dokładném ich poznaniu, wytknięto nową linię, na której postanowiono pobudować forteczki. Od 1846 do 1849 powstały: Kara-Butak nad małym tego imienia strumykiem, twierdza Uralska nad Irgizem, i Orenburgska nad Turgajem. Dwie pierwsze prowadziły ku morzu Aralskiemu, ostatnia łączyła niejako nową tę linię z dawniejszą. Projekta Perowskiego miały zawsze w sobie coś rozległego; zewnętrzna nawet ich strona uderzała wyobraźnię; same przygotowania do chiwińskiej wyprawy przechodziły o wiele rozmiary konieczności; pamiętał on także o ludziach którymi się posługiwał, chciał żeby im było dobrze, żeby ochotnie i z własnego nawet popędu służyć mu mogli. Obruczew przeciwnie, troszczył się głównie o to, żeby niczego od państwa samego nie żądać a nawet o ile podobna, środki jakich sam kraj dostarczał, oszczędzać; co do ludzi, był przekonany, że wszystkie swe siły, raz będąc w służbie, oddawać byli *powinni*. Przy budowaniu forteczek nie myślano zgoła o ludzkiej wygodzie, obchodzono się tém jedynie co najkonieczniej było potrzebném, i widząc te z gliny sklecone domki, pokryte rosnącą w stepie trzciną, zaledwie prostym otoczone wałem, nikt z ludzi z miejscowemi stosunkami dokładnie nie

obeznanych, nie pomyśliłby pewno, że one do stanowczego opanowania stepu wystarczą. Tak stało się jednak. W Karabutaku zaledwo 150 ludzi piechoty i trochę kozaków umieścić było można; postrzeżono nawet wkrótce że miejsca w nim na domek dla komendanta nie było, i zbudować go po za wałami musiano; nad Irgizem załoga z 250 żołnierzy się składała, a nie potrzeba było nic więcej. Transporta co roku wychodziły z Orska i przywoziły tam wszystko co dla załogi koniecznie było potrzebne; powoli utorowały one w stepie gościniec którego już i trawa zarość i piaski zasypać nie mogły; wojsko samo dokony-



KARABUTAK.

wało niezbędnych w fortecach robót, uprawiało warzywne około nich ogrody; kilka na wałach armatek wystarczało dla postrachu Kirgizów, i komendanci tych glinianych forteczek panowali nad bujnym niedawno stepem. W zwyczajnej porze corocznych transportów, auły kirgizkie oddalały się od gościńca, ale kiedy ten czas minął, przybliżały się nieraz do forteczek dla prowadzenia zamiennego handlu, oswajały się z nowym rzeczy porządkiem i coraz bardziej posłusznemi i potulnemi się stawały. W 1848 r. posunięto się aż do morza Aralskiego, obszedłszy zachodni brzeg jego, w miejscu gdzie się znajdowała mogiła głośnego niegdyś w stepie *batyra* Raima, założono jeszcze jedną twierdzę Raimem albo Aralskiem nazwaną, większą od poprzednich, ale tak samo jak tamte i takim samym kosztem zbudowaną. Wspomniany gościniec pociągnął się aż tam, przez sypkie piaski Kara-Kum, a niezadługo na całej tej linii urządzono pocztę, która dwa razy na

miesiąc rozkazy dowódzcy korpusu z Orenburga aż do ujścia Syr-Daryi zanosiła, o 1,000 wiorst. Przewozili ją prości Kirgizi, według przyjętego w stepie zwyczaju z dwoma końmi, na które przesiadali się kolejno, odbywając tę podróż. Forteczki służyły im za miejsca wytchnienia, a zahartowanych synów stepu ani piasczyste ani śnieżne huragany, ani skwar letni ani ciężkie mrozy zimowe nie wstrzymywały. Raz, drugi, stepowcy ograbili tę pocztę, ale ich srogo za to ukarano i odtąd nie było z ich strony żadnego pokuszenia nawet; komunikacya odbywała się najbezpieczniej i najregularniej.

W miarę dalszego posuwania się w głąb stepu zbrojnych oddziałów i zdejmowania mappy kraju, coraz odleglejsze rody kirgizkie przyjmowały poddaństwo; miały sobie wydzielone do koczowania przestrzenie i wchodziły w karby. Starano się jak wszędzie, dawnych sułtanów zastępować ludźmi nowymi, znanymi z oddanych rządowi usług; znaczniejszych jednano sobie podarunkami na które stepowcy niezmiernie są łakomi. Chałat z czerwonego sukna, gęsto galonem szamerowany, czasem strzelba do której nie dawano ładunków, jednała znanego



Baj-Mohammed.

w stepie batyra; medal złoty z portretem carskim zawieszony na szyi, wojskowa ranga, wystarczała dla ujęcia wpływ mającego sułtana. Niektórzy z nich po latach zastawali aż jenerałami jak naprzykład Baj-Mohamed, i stawali się zupełnie oddanemi sługami.

Posuwanie się Moskwy ku morzu Aralskiemu niepokoiło Chiwińców; wysyłali czasem zbrojne w step gromady dla napastowania snujących się po stepie oddziałów mierniczych, ale te zawsze z niczém wracały, a znany dobrze w tych stronach wypadek, najlepiej zaświadczyć może o ich dzielności. Oddziały podobne wiozły zazwyczaj z sobą obite blachą koryta dla pojenia koni swych w stepie; wataga Chiwińców zamyślająca raz napaść na taki oddział, wziąwszy zdaleka błyszczące od słońca koryto za harmatę, nietylko uderzyć nie śmiała, ale krzycząc *zimberak*, *zimberak!* (co po tatarsku znaczy harmatę) co tchu uciekła. Nie chcąca wszakże zadzierać z Chiwińcami Moskwa, wolała przeciw nim używać samych Kirgizów. Tak naprzykład, przy zakładaniu Aralska, naczelnik małego Czyrklińskiego rodu, Dżanguzia, słynny w stepie ze swoich wypraw i bohatérstwa, za daną mu solennie obietnicę uwolnienia jego rodu od podatku, napadł ze swoimi na oddział Chiwińców kuszący się zniszczyć rozpoczęte roboty, pokonał ich, dowódzcę wziął do niewoli i ściąwszy mu głowę, pił jego krew; mianowano go za to essaułem. Podobnego rodzaju wypadki zdarzały się nieraz. Umiano korzystać ze wszystkich waśni wewnętrznych, zużytkować wszystkie namiętności; rozżarzano je nieraz, żeby w tych starciach zużywały się siły, zjednywano zawsze dla siebie jakie stronnictwo, i władzę swą utrwalano coraz bardziej.

Oparłszy się o morze Aralskie, jenerał Obruczew zwrócił uwagę na wschodni brzeg morza Kaspijskiego. Już Perowski był tam założył Nowo-Aleksandrowską twierdzę, ale miejsce źle było wybrane; zatokę nad którą leżała, zwaną Martwym Kułtukiem napełniało na wiosnę mnóstwo nieżywych ryb; musiano ją opuścić. Wybrano teraz inne miejsce, około przylądka Tiup-Karagan, i zbudowano tam (1849 r. nową forteczkę zwaną Nowo-Piotrowsk. Gruby pokład muszlowca stanowi wierzchnią warstwę półwyspu Mangiszłak; materyał więc do budowy znalazł się pod ręką, i ta forteczka ozdobnością i porządkiem budowli swoich prześcignęła wszystkie twierdze stepowe. Odległa o wiorst cztéry od morza, mająca w około panujące nad nią wzgórza, nigdzie indziej obronném miejscem nazwaćby się nie mogła; tam, wystarczała zupełnie. Koczujące w tych stronach plemiona, uważały się za niepodległe, i podatku nie płaciły; podczas budowania twierdzy, nie można było bez eskorty oddalić się na wiorst kilka w głąb półwyspu; w parę lat potém już cały półwysep był przed twierdzą na kolanach, bez żadnych walk nawet. Forteczka za morzem, przez całą zimę, kiedy brzegi jego pokrywały się lodem, odcięta zupełnie od zachodniego wybrze-

ża, z którém komunikowała się latem za pomocą statków parowych przychodzących tam z Guryewa i Astrachania, musiała w tej porze roku sama sobie wystarczyć; ale taki już był urok moskiewskiej w tych stronach potęgi, że nigdy najmniejszemu nie uległa niebezpieczeństwu; nie kuszono się nawet o jej zniszczenie, chociaż niedaleko na południe koczowały zupełnie jeszcze niepodległe i bardzo dzielne plemiona Turkmenów. Granicy żadnej z tej strony nie było; gdzie sięgał wpływ twierdzy, tam była granica, a ten rozszerzał się coraz dalej. Ministerstwo spraw zagranicznych, urzędownie wtenczas przez zarząd pograniczny zapytane, jakie w tych stronach plemiona uważać ma za poddane, odpowiedziało: « że Rossya na wschodzie granic nie ma. » — W domu, u siebie, było ono szczere, Europie odpowiedziałoby inaczej.

Jenerał Obruczew nie poprzestał na tém; daném mu było przygotować wszystko do stanowczego kroku naprzód. Stanąwszy raz nad morzem Aralskiém musiano pomyśleć o jego zawładnięciu. Wpadały tam dwie największe rzeki Azyi środkowej, dwie naturalne arterye, które mogły doprowadzić z czasem do serca Turkestanu. Nie miano dokładnej jego mappy w Europie, nie znano brzegów. Kapitan marynarki Butakow, który już raz podróż około świata odbył, wezwanym został dla dokładnego opisania tego morza i zrobienia jego mappy. Zbudowano w Oren-



Kos-Arał.

burgu pod jego nadzorem dwie szkuny, rozebrawszy je potém na kawałki, przewieziono do Aralska, niedaleko ztamtąd nad jedną z zatok morskich sklecono forteczkę Kos-Arał, równie niekosztowną jak inne, złożono statki napowrót i puszczono się na morze. Po dwóletniej wędrówce, wytrzymawszy straszne burze, Butakow całego morza mappę zrobił, wysepkom na niém nazwania rossyjskie ponadawał, i objął je niejako w posiadanie. Kos-Arał został tymczasowym portem. Budowano w nim później żelazne statki parowe o płaskiém dnie, umyślnie na ten cel

obstalowane w Szwecyi, i które częściami także przewieziono przez stepy. W podróży swojej po morzu, Butakow niby wypadkiem posunął się nawet o wiorst kilkanaście w górę po Amu-Daryi; spotkany tam przez Chiwińców którzy mu bronili posuwania się dalej, gdy pora nie była do zaczepek, wytłumaczył się burzą która go tam zanieść mimowoli miała, i nazad powrócił. Odłożoném to zostało na później.

XX.

Podczas takich postępów ze strony Orenburga, nie pozostano w bezczynności i w sybirskiém jenerał-gubernatorstwie. Pograniczne forteczki o których wspominaliśmy, stały się tymczasem kwaterami kozaczych pułkowych sztabów, i jakby stolicami oddzielnych okręgów. Przy sztabach utworzono tak zwane *Prikazy*, łączące w sobie sądową i wykonawczą władzę, prowadzącą śledztwa w stepie i rozstrzygającą wszystkie między Kirgizami sprawy. Na pięciu urzędników składających taki prykaz, dwóch było zawsze Kirgizów, już rządowi znanych, przez władze miejscowe wyznaczonych, a trzech Moskali; wszystko się więc rozstrzygało w sposób polityce rządowej najodpowiedniejszy, a przewaga jego i wpływ ciągle wzrastał. W 1826 r. Siuk syn sułtana Abłaja, prosił o przyjęcie w poddaństwo Jusunów, części Kirgizów, którzy koczując między zależnemi od Moskwy i Chin plemionami, nikomu dotąd podatku nie płacili i uważali się za niepodległych. Posłano podpułkownika Szubina z oddziałem wojska, dla rozpatrzenia się w tej części stepu; a chociaż w skutek protestacyi Chin, nie przyjęto wtenczas tych plemion za poddanych i zgodzono się rzekę Lepsę uważać za granicę między Moskwą i państwem bogdychana, po dwudziestu jednak latach wysłano tam jenerała Wiszniewskiego, dla zadość uczynienia powtórnej prośbie Jusunów i naznaczono już rzekę Ili za tymczasową granicę. Jusuny wykonali przysięgę na wierność; popisano całą ludność, zrobiono inwentarz jej trzód i mienia, i rozciągnięto na nich, stosownie do ich prośby, urządzenia średniej hordy. W tychże prawie latach Wrangel założył Kopałę, w pięknėm miejscu, znaném z bujnej roślinności i wybornego klimatu. Sprowadzono tam jak do każdej z podobnych forteczek, ludność kozaczą. Przedsiębierczy i energiczny pułkownik był jej duszą, stosunki handlowe zawiązywał, ogrody zakładał, zabawy nawet urządzał, na których kozacy bywać i koniecznie tańcować musieli; w końcu, nie mając na ogromnej przestrzeni żadnego w około księdza, sam prowizorycznie nowe pary łączył, i małżeństwa tworzył, które zapisane w księgach, miały być po latach, za przyjazdem duchownego, pobłogosławione przez Kościół. Wkrótce i

Kara-Kirgizi, czyli Buruci przeszli pod zwierzchnictwo Moskwy. Oparła się już tam ona o śnieżne szczyty Ała-tau i Tian-Szan.

XXI.

W przeciągu lat kilkudziesięciu które przebiegliśmy, step tak sybirski jako też i orenburgski, zmienił się zupełnie, przycichł, jak gdyby zmienił swoją naturę. Mieszkańcy którzy tak niedawno jeszcze napełniali go hałaśliwemi i rozhukanemi gromadami, dla których podjazdowa między sobą wojna była stałém prawie zajęciem i jakby wrodzoną po rozbójniczych ojcach spuścizną, karani za każdy podobny wybryk hulaszczego ducha, zaprzestali prawie zupełnie dawnych napadów (barant) swoich; pozabierane najlepsze pastwiska, zubożyły wielu. Biedniejsi, na pograniczu Urału szli już często w służbę do Uralskich kozaków, paśli ich trzody, doglądali koni a nawet pracowali w polu; w głębi stepu, około jezior z których sól wydobywano, najmowali się za najlichszą zapłatę do ciężkiej po całych dniach roboty, z wielbłądami i końmi, co najlepiej świadczyło o złamanej ich naturze, bo zawsze Kirgizowi nic wstrętniejszém nie było nad pracę. Z usunięciem znaczniejszych rodów od zarządu, władza jaka jeszcze Kirgizom zostawioną była w stepie, dostawała się najczęściej w ręce ludzi nowych, za wszystko rządowi obowiązanych. Starszych sułtanów (*prawiteli*) wzywano często do Petersburga, zkąd wracając obdarowani, przywozili oni z sobą wyobrażenie o wszechpotędze cesarza; każden z nich drżał potém przed jenerał-gubernatorem, ale swoim wydawał się wielkim dygnitarzem, obsypanym łaskami, i obudzał w nich ochotę dobijania się podobnych zaszczytów. Jedyną do tego drogą było posłuszeństwo i oddanie się rządowi. Urządzane kosztem jego wyścigi i zabawy (*bajgi*) zadowalniały tłum; dla synów sułtańskich otwarte były kadeckie w Omsku i Orenburgu korpusy, z których wychodzili przyszli oficerowie, a przeznaczeni do pułków wewnątrz państwa stojących, zapominali tam do reszty koczowniczego życia. Niektórzy z nich, za większe ojców zasługi, przyjmowani do gwardyi, wychodzili później na adjutantów przy jenerał-gubernatorze, a w każdym razie stawali się szlachtą rossyjską, i wszystkich jej przywilejów używali. Są już rodziny książęce w Moskwie, świeżo z tamtych stron pochodzące, ta zaś warstwa szlachty która oficerów i urzędników dostarczając przedewszystkiém, jest najpowolniejszém rządu narzędziem, nie mało podobnego elementu w siebie wsiąkła, i coraz więcej nabierać go będzie.

Jeżeli kiedy zdarzył się jeszcze opór, ten pochodził najczęściej od jakiego potomka dawnych chanów. Tak naprzykład Kenesary, albo

Kensary, wywodzący siebie od Abłajchana, nie chciał zrazu płacić podatku i zwierzchności rządu uznać; ścigany przez posyłane dla ukarania go oddziały, długo wywijać się od nich umiał; z orenburgskich przeszedł do sybirskich stepów, a ciągle nosząc się z myślą zawładnięcia chociażby kilku plemionami, i utworzenia z nich udzielnego dla siebie chaństwa, gdy mu się to bliżej granic i wpływu moskiewskiego nie udawało, przeszedł ze stronnikami swoimi rzekę Ili (1846 r.) po lodzie, i wkroczył do Siedmiorzecza, starając się aby go tam okrzyknięto chanem. Ale i tu nie powiodło mu się lepiej; napadnięty przez mieszkańców Ałatau, stracił do 1,000 ludzi, a było to właśnie w porze kiedy przed Wiszniewskim Jusuny składali przysięgę na wierność. Przez chwilę zajął był wyobraźnię stepowców i gadano o nim szeroko; przyczynił pewnego kłopotu pogranicznym władzom i zmordował nie jeden oddział na ściganie jego wysłany, ale nic trwalszego utworzyć już nie mógł, ani większych mass nawet porwać; czasy te już przeszły, dawny duch dogorywał, a potęga moskiewska nadto wszędzie czuć się dawała, żeby się na nią łatwo targnąć ośmielono. Kensary nie wiele później zginął w walce ze skalnymi Kirgizami, między którymi rząd miał już stronników. Ze wszystkich sułtanów i naczelników rodów którzy się opierali, on był najdzielniejszym; inni poprzestawali zazwyczaj na szukaniu stosunków w Chiwie i wywoływaniu ztamtąd napadów na wznoszące się forteczki rossyjskie, a przy większej osobistej dzielności, na uprowadzeniu kilkudziesiąciu rządowych koni z pod twierdzy i wałęsaniu się potém z niemi po stepie. Rząd ich najczęściej nużył pogonią albo zjednywał sobie podarunkami, lub też rangą jaką. Tak naprzykład Elikej, potomek chanów i krewny Kensarego, a przez to samo mający wpływ w stepie, przez lat kilka podburzając Chiwę, starał się wywoływać zawikłania; naznaczony przez rząd sułtanem z rangą majora, stał się najwierniejszym Moskwy stronnikiem i sługą, i z całym rodem swoim należał potém do wypraw stepowych, przez rząd podejmowanych. Wysłany na ukaranie jakiegoś stepowego rozbojnika pułkownik Kuźmiński, nie mogąc go dopędzić, kilka aułów do jego rodu należących, choć najzupełniej niewinnych, z niesłychaném okrucieństwem do szczętu zniszczył, tém umysły przeraził, i ochotę należenia do wszelkich, chociażby najmniejszych przeciw władzom rządowym pokuszeń odjął. Wszystko tak się widocznie uspokoiło, że coraz mniejsze eskorty dawano oddziałom mierniczym, w najodleglejsze już stepu zakątki zapuszczającym się; wyprawy zaś kapitana górniczego Antipowa, do gór Mugodżarskich i na półwysep Mangiszłak, w celu wyszukania kamiennego węgla, nigdzie najmniejszego cienia oporu albo nawet nieprzyjaźni nie napotkały. Karawany bucharskie spokojnie step przebywały, przynosząc do Orenburga towary, a dochodziły one nieraz ilości trzech i czterech tysięcy wielbłądów. Poseł

bucharskiego emira, raz słonia w podarunku dla cesarza przyprowadził, i czekał w Orenburgu na pozwolenie udania się do stolicy. Słusznie kraj teraz cały za owładnięty zupełnie uważać było można, i dla tego w 1850 r. kiedy obchodząc dwudziestą piątą rocznicę wstąpienia na tron Mikołaja, układano wszędzie obraz tego, co pod jego rządami dokonaném zastało, orenburgski wielkorządzca mógł z dumą zaświadczyć, że przez ten czas, Rossya zyskała w tych stronach obszary, równające się powierzchni Francyi i Iberyjskiego półwyspu.

XXII.

Pomyślano wreszcie o posunięciu się dalej. Miejsce Obruczewa zajął jenerał Perowski, a ten bezczynnym pozostać nie mógł. Do wszystkich pragnień podniosłej i namiętnej duszy przybyła jeszcze chęć zatarcia pamięci strasznej klęski chiwińskiej. Zabranie tego chaństwa było już wtenczas niezmiernie łatwém; przy dokładnej znajomości stepów, ze środkami jakie miano pod ręką, zależało to już wyłącznie od woli rządu; byle zechciał udać się musiało. Ale plan był zmieniony. Nie życzono sobie budzić obawy Anglii, ani wywoływać europejskich w tej chwili zawikłań; postanowiono posuwać się z innej strony, i okoliwszy morze Aralskie przybliżyć dotychczasową orenburgską linię do sybirskiej. Tam, rzeka Czu stanowiła granicę; tu, nad Syr-Daryą stałej jeszcze nie miano. Wzdłuż prawego jej wybrzeża koczowały plemiona kirgizkie, zarówno w chiwińskiém i kokańskiém chaństwie rozpostarte; rzeka uważała się za granicę Chiwy, ale gdzie właściwie kończył się Kokan, oznaczyć było trudno. Strony te zresztą stałych granic nigdy nie znały; wszystko od wieków było tam zmienne i od chilowych okoliczności zależne. W tym czasie kilka glinianych forteczek kokańskich nad Syr-Daryą utrzymywało tam zwierzchnictwo chana, a załogi ich często grabiły i obdzierały do szczętu auły kirgizkie, które w żyżniejszych tych stronach zajmując się czasem nawet uprawą prosa, bardziej od innych na te napady wystawione były. Widzieliśmy że Rossya wszystkich Kirgizów za poddanych swoich uważała; wystąpić w obronie tych których krzywdziły załogi kokańskie było najwygodniej i dla tego chwycono się tego środka.

Zaczęto od niszczenia małych forteczek. W 1849 r. Bohdanowicz dobył Kos-kurhanu, zapowiadając okolicznym Kirgizom, że należą do Rossyi, i że ta ich od zdzierstwa Kokańców bronić będzie. We trzy lata później, 1852 r. wysłany w te strony jenerał Blaramberg wysadził drobną tę twierdzę w powietrze, i jeszcze parę podobnych zniszczywszy po drodze, dotarł aż do Akmeczetu, o 500 wiorst od Aralska położonego. Forteczka ta większą była od innych; podczas wewnętrz-

nych w Kokanie wojen oblegana nieraz, wytrzymała już dwanaście jak powiadano oblężeń i mianą była za niezdobytą. Oprócz samej twierdzy, z murem wysokim na pięć sążni, otaczało ją jeszcze obszerne targowisko ścianą z twardej gliny także opasane. Blaramberg nie mając dostatecznej artyleryi, szturm przypuścił, mur pierwszy zdobył, ale od twierdzy ze stratą odpartym został i nazad wrócić musiał. Wrażenie na koczujących plemionach było niedobre, musiano je więc zatrzeć i postanowiono zrobić w tym kierunku wyprawę.

W następującym 1853 r. jenerał Perowski sam objął dowództwo. Mniejsze niż w 1839 r. były przygotowania, bo droga była doskonale znajoma, i wiedziano że raz doszedłszy do Syr-Daryi nie tylko wody, ale i karmu dla koni nie zabraknie. W końcu kwietnia wyruszono z Orenburga drobnemi oddziałami, które połączyły się w Aralsku, — a przeszedłszy 1500 wiorst wśród upałów dochodzących czasem czterdziestu stopni Reaumura, 2go lipca, stanęły pod Akmeczetem. Składały się z 750 ludzi piechoty, 400 kozaków uralskich, 200 orenburgskich, tyluż Baszkirów i dwudziestu trzech dział różnego kalibru; wielbłądów było 1200, podwód baszkirskich 400. Elikiej z kilkuset Kirgizami stanowił jakby posiłkowy oddział, który właściwie dla pokazania tylko, że w ich interesie podjęto wyprawę znajdował się w obozie, bo żadnej nie pełnił służby i do niczego używanym nie był. Że pewność zwycięztwa miano zupełną i wychodząc z Orenburga nie myślano opuścić już Syr-Daryi, dowodzi tego najlepiej, że jeszcze tam idąc, poruczono Antoniewiczowi budować nową przy ujściu Kara-Uziaku do Syr-Daryi forteczkę i potrzebną do tego ilość ludzi jemu zostawiono. Parowe statki jednocześnie posuwały się po rzece, mierząc wszędzie jej głębokość i robiąc żeglarską jej mappę. Kokańcy bronili się dobrze, oblężenie trwało trzy tygodnie, musiano pod grube ściany podłożyć prochy i zaledwo po wysadzeniu części muru, zdobyto forteczkę. Wewnętrzne w Kokanie walki nie pozwoliły przysłać odsieczy. Wysadzono jeszcze w powietrze odległą o wiorst pięćdziesiąt dalej malutką twierdzę Dżiulek, i stano się panami całej tej części Syr-Daryi.

Wrażenie było ogromne. Okoliczni Kirgizi, którzy zaufani w moc twierdzy, stronili od idącego tam oddziału, myśląc że i ten odpartym będzie, po szturmie, przychodzili winszować zwycięztwa; wracającego do Orenburga jenerała, spotykały całe auły, z okrzykiem *Kokan ulgan*! (umarł Kokan). Zdobywcy, wszedłszy do forteczki, obejrzawszy nędzne gliniane lepianki jakie ją zapełniały, przekonali się jakiego rodzaju opór w tych stronach znaleźć mogą. Sławna tam, niezdobyta jak głoszono twierdza, była poprostu garnkiem glinianym, a na całej przestrzeni Turkestanu były wprawdzie ludne i obszerne miasta, jakby wielkie wschodnie bazary, ale warownie takiego tylko rodzaju napotykać już mieli.



Wnętrze Akmeczetu.

Po zdobyciu twierdzy pomyślano zaraz o zużytkowaniu zwycięztwa. Powstała nowa, tak zwana *Syr-daryjska linia*. Akmeczet przezwany fortem Perowskiego, stał się na chwilę główną twierdzą graniczną. Zostawiono w nim dawny mur kokański, ale otoczono go nowemi fortyfikacyami, wzniesiono wewnątrz koszary dla wojska i inne budowy. Glina miejscowa używana przez Kokańców, bardzo lepka, a pod promieniami słońca wysychająca na kamień, służyła za materyał; wypalano z niej nawet cegłę, a w braku wapna, jej także używano za cement; dachy, a nawet kopułę w cerkwi robiono z pęków trzciny rosnącej nad rzeką, które pokrywano ziemią. Wszystko robiło się w szerszych teraz rozmiarach, niż za Obruczewa. Jenerał Burnaud, rodem Sabaudczyk, dawny saper z pod Waterloo, był głównym inżynierem i architektem. Opuszczono Aralsk i Kos-Arał; na ich miejsce, między morzem a nową twierdzą, zbudowano dwa forty : N° 1. w miejscu zwaném Kazała, i N° 2. o wiorst 180 od fortu Perowskiego. Przy pierwszym z nich utworzono port, i cała tak zwana flotylla aralska, tam przeniesioną została. Działa użyte do wyprawy pozostały nad Syr-Daryą. Fort Perowski liczył załogi 750 ludzi piechoty, 500 kozaków, i 125 artylerzystów; fort 1szy, razem z majtkami, ludzi 800; 2gi, zaledwo 50 żołnierza i tyluż kozaków z jedną harmatką, ale to wystarczało. Kilkaset podwód baszkirskich przychodziło co rok na roboty.

W grudniu 1853 roku Kokańcy doczekawszy się chwilowego końca domowych zamięszek, kusili się odebrać stracony Akmeczet; przybyło ich pod twierdzę 12 jak liczono tysięcy, z ogromnym według wschodniego zwyczaju obozem. Jedna wycieczka załogi w pięćset ludzi, pod dowództwem dawnego niegdyś wojennego jeńca z 1831 roku Szkupa, rozbiła całe to wojsko; 17 dział z angielskiemi przy niektórych lawetami, 5,000 funtów prochu, mnóstwo wielbłądów i obóz cały dostały się zwyciężcom. Wrażenie znowu w całym stepie i okolicznych stronach było niezmierne. Uwierzono że nikt Moskali ztamtąd nie wyruguje. Dokończono budowy fortów spokojnie i zaczęto zwolna sprowadzać kolonistów. Statki parowe przechadzały się po rzece, budząc podziw stepowców. Węgiel tych statków sprowadzano wprawdzie z nad Donu i dla tego dużo kosztował, ale sam widok tych statków już wpływał na usposobienie plemion okolicznych. Kirgizi z podziwieniem nazywali je *szajtan-kaik*, myśląc że zły duch musi widocznie pomagać potężnym ich panom.

Bardzo prędko step okoliczny już nad Syr-Daryą uspokoił się zupełnie. Do fortu N 1. przeniesiono celną komorę i karawany z Bucharyi, liczące nieraz od 4 do 5 tysięcy wielbłądów, zaczęły tam przynosić towary a handel zamienny prowadził się na znaczną skalę. Kirgizi na szerokiej rzece urządzali pływające mosty, nie mając żadnych do tego materyałów prócz nadbrzeżnej trzciny. Kręcono z niej naprzód powrozy, na

nich kładziono pęki tejże trzciny, przykrywano je ziemią i parę warstw takich wystarczało dla utrzymania wielbłądów z ich ogromnemi jukami. Takim zapewne sposobem przeprawiały się przed wiekami hordy które tamtędy wylewały się na Europę.

Brzegi Syr-Daryi dla łagodnego klimatu pełne bażantów, w trzcinach swych kryjące ogromnych tygrysów, porosłe w wielu miejscach pięknemi krzakami, otoczone gdzie nie gdzie polami uprawnemi, bo je sprowadzona z rzeki kanałami woda użyźnia, nęciły kozaków uralskich, tak że tam chcieli osiadać. Rząd wszelkiej wtenczas niechętny inicyatywie, na to nie pozwolił, i sam około forteczek, pod własnym dozorem, zaczął drobne urządzać osady. Nie szły one dobrze, ale to było czasowe; ze zmianą systematu, mógł ten kraj świéżo zdobyty w prędkim czasie zakwitnąć, bo wszystkie do tego posiadał warunki. Syr-Darya między fortem Perowskiego a dawną Kazałą dzieląc się na kilka drobnych gałęzi, tworzy prawdziwą deltę; zalewana przez nią co roku dolina Aj-Gerik, około fortu N 1. żyżnością przechodzi stepy Ukrainy. Toż samo powiedziećby zapewne można o wyśpie jaką tworzą dwa jej ramiona, Dżaman-Darya i Kara-Uzjak, na przeciw fortu N 2. a wyspa ta, ma 140 wiorst długości, szeroką zaś jest na wiorst 40; trzeba ją tylko osuszyć. Bogate pole dla rąk pracowitych i przedsiębierczych umysłów. Dziś wszystko to nie zużytkowane jeszcze, ale kraj ten ma niezawodnie wielką handlową a nawet i rolniczą przyszłość.

Gdy to się dokonywało ze strony Orenburga, sybirskie wielkorządztwo posuwało się też dalej i krainę nad rzeką Ili całkiem objęło w posiadanie. Przeszedłszy takim sposobem step cały, dotykały już posiadłości państwa rossyjskiego granic właściwego Turkestanu, i tej zakaspijskiej równiny, która środkową Azyę Dżyngischana łączyła z Persyą i południowemi krajami. Nie mogło ono tam się zatrzymać; musiało koniecznie, gdyby nawet zaborczych nie miało instynktów, samą siłą ciężkości własnej stoczyć się dalej, i starać się o zupełne zawładnięcie morzem Kaspijskiém, którego brzeg zachodni już posiadało. Wierny odwiecznej polityce swojej, dążącej wytrwale ale zwolna, cierpliwie i ostrożnie, do raz obranego celu, rząd i teraz jej się nie sprzeniewierzył. Ustanowiony w Petersburgu dla rozpatrzenia tej kwestyi komitet, w którym zasiadali jenerał gubernatorowie: orenburgski hr. Bazyli Perowski i sybirski jenerał Hasfort, uznał, że w tej chwili poprzestać należy na połączeniu tylko linii syr-daryjskiej z sybirską, to jest fortu Perowskiego z twierdzą nad rzeką Ili. Cesarz Mikołaj w 1854 r. myśl tę potwierdził i wykonać rozkazał. Miano tym sposobem uzyskać stałą do dalszych wypraw podstawę, na której wojska orenburgskie i sybirskie połączyć się mogły, i gdzie w żyżnej okolicy, spodziewano się z czasem miejscowe posiadać środki do ich wyżywienia. Powoli, bez najmniejszego hałasu, nie obudzając zgoła uwagi Zachodu, przygoto-

wanoby się tam do stanowczego w danej chwili wystąpienia, dla zagarnięcia już Turkestanu.

Wypadki na Wschodzie i wojna krymska opóźniły trochę wykonanie planów, które już za Aleksandra II uskutecznić się miały. Zawiesiwszy je na chwilę, rząd zwrócił całą uwagę na przyswojenie sobie stepowych mieszkańców. Następca Perowskiego, jenerał Katenin, podał projekt wysyłania corok do Petersburga, kosztem rządu, po kilku znakomitych, to jest więcej wpływu między swoimi mających Kirgizów, dla oswojenia ich z wielkością i potęgą państwa. Myśl tę niezmiernie trafną przyjęto i wprowadzono zaraz w wykonanie. Wybieranych przez jenerał-gubernatora gości, umyślnie na to wyznaczony urzędnik woził przez Samarę, Niższy Nowogrod i Moskwę, zatrzymując się wszędzie, aż do samej stolicy, gdzie kazano im przypatrywać się przeglądom wojska, pokazywano arsenały, floty w Kronsztadzie i wszystko co wyobraźnię wschodnich ludzi uderzyć mogło. Wracali zawsze z takiej podróży najwierniejszemi sługami rządu, a jako nowy wyższej cywilizacyi nabytek, przywozili najczęściej do swoich stepowych namiotów zapas stołów lub krzeseł składanych, podróżne naczynia stołowe, bogatsi kart kilka talii i zazwyczaj wielkie jeszcze upodobanie do szampańskiego wina, którém chętnie dawniejszy *kumys* zastępowali. Między takimi gośćmi znalazł się w 1859 r. i Iset Kutebarew, (1) któremu po powrocie pozwolono utrzymywać nawet pod swemi rozkazami sto

(1) Imię to dostało się nawet do Zachodu, jako imię bohatéra walczącego za niepodległość Kirgizów. Francuzka *Revue des deux Mondes*, w artykule poświęconym tym stronom, wielkie mu przyznawała znaczenie, najtrafniej nawet o tém wszystkiém sądzący Vambery, widocznie go przecenia; dla tego powiemy tu o nim słów kilka. Jset nie tylko nie był żadnym politycznym w stepach człowiekiem, ale nawet istotnym wodzem kirgizkim a tém mniej bohatérem; nie urosł nigdy do rozmiarów Kensarego o którym wspominaliśmy wyżej, cały zaś opór władzom miejscowym przez niego stawiany, ograniczał się do bardzo drobnych rzeczy. Trochę dzielności a raczej zręczność stepowego rabusia, przy pewnym dostatku, nadawały mu w rodzie jego znaczenie; zatargi swe z władzami rządowemi rozpoczął od uprowadzenia czterdziestu dziewięciu koni z pod twierdzy Uralskiej nad Irgizem, umiał potém wywijać się przed ścigającym go oddziałem, i to rozniosło imię jego po stepie. Ale i tego przypisywać nie można osobistej jego dzielności, a tylko warunkom miejscowym i niezmiernym przestrzeniom znanym mu doskonale, w których pogoń naturalnie utrudnioną była. Mucha w wielkim pokoju długo uniknąć może polującego na nią z miotłą człowieka, nie będąc ani odważną, ani genialną bynajmniej. Przed wzięciem Akmeczetu zarzucano mu wprawdzie związki z Chiwą, ale któryż z sułtanów kirgizkich nie miał ich, i dla drobniutkiej nie wyrzekł się nagrody? Z Isetem było toż samo. Kilka razy godził się z władzami, a jeśli znowu chwilowy interes lub namiętność rzuciły go w jaką malutkich rozmiarów zwadę, wracał na powrót do posłuszeństwa. Od zbudowania fortu Perowskiego, nie dał najmniejszego nawet pozoru do skargi. Posłany do Petersburga, przypomniał sobie dawniejsze stepowe swawole, i gdy ujrzał Cesarza, upadł mu plackiem do nóg, nie chcąc wierzyć aby pan tak potężny mógł mu w istocie przebaczyć; przez cały miesiąc pobytu w stolicy nosił się z myślą, że będzie publicznie stracony podczas jakiego przeglądu. Dla tego, kiedy wracającego już zapytano co myśli o Cesarzu, w radości że uszedł cało, zapomniał się i zawołał: «Głupi jest! bo gdybym ja miał w ręku człowieka co mnie psoty wyrządzał jak ja jemu, tobym go zarznąć kazał, a on mnie jeszcze srebrny imbryk darował.» Dziś Moskwa ma w nim najwierniejszego sługę. Zebrawszy za pozwoleniem władz miejscowych najdzielniejszych w stepie rabusiów pilnuje Turkmenów, nie raz sam na ich auły w stepach chiwińskich napada, grabi i obdziera, ale zawsze jako stróż pogranicza i wierny białego Cara poddany.



ISET KUTEBAREW.

pięćdziesiąt uzbrojonych Kirgizów, dla zasłaniania stepowej nad Syr-Daryą granicy od napaści Turkmenów. Prędko, przekonanie o potędze Moskwy tak massy całe stepowców przenikło, że już dla każdego tam urzędnika, dla pojedyńczego nawet żołnierza, stało się ono prawdziwą tarczą bezpieczeństwa. Korpusa kadetów w Orenburgu i Omsku, dostarczając oficerów z miejscowemi językami oznajomionych, oddały w tém jeszcze usługę i władzom miejscowym zadanie ułatwiły. Po kilku latach spędzonych tam w pozornej na zewnątrz nieczynności, wszystko do uskutecznienia dawniejszych planów w tych stronach dojrzało i niejedna w dalszém posuwaniu się przewidywana trudność, sama przez się upadła.

Zanim do dalszego przystąpimy opowiadania, rzućmy na chwilę okiem na teatr następnych wypadków i przypatrzmy się samemu Tur-

kestanowi. Ułatwi nam to niezmiernie p. Herman Vambery, zajmujący dziś katedrę wschodnich języków i literatury przy uniwersytecie w Peszcie. W 1863 roku przedsięwziął on podróż do Turkestanu, i przebrany za derwisza, wyszedłszy z Teheranu, zwiedził kolejno Chiwę, Kungrat, Bucharę i Samarkandę, wszystkiemu się przypatrzył, a wróciwszy do Europy, w dwóch kolejno wydanych książkach (1) postrzeżenia swe ogłosił. Wszechstronnie ze Wschodem oznajmiony, korzystał on jeszcze z wiadomości przez innych podróżnych i uczonych badaczy zebranych, i dla tego ciekawa ze wszech miar praca jego jest może najdokładniejszym dzisiaj obrazem tych stron.

XXIII.

Przestrzeń zwana dziś Turkestanem zajmuje całą Turańską równinę o której nieraz już wspominaliśmy; granicząc na południe z Persyą i Afganistanem, na wschód dotyka ona górzystej krawędzi wyniosłego płaskowzgórza Azyi środkowej, a obejmując na północy niewielkie pasmo Karatau, przez Syr-Daryą (Jaxartes) łączy się z morzem Aralskiém, którego wschodnie wybrzeże, i morze Kaspijskie, wraz z rozdzielającą je wyniosłością Ust-Urtu stanowi zachodnią jej granicę. Amu-Darya (Oxus) tworzy w niej jakby przekątną; równolegle do niej na północy płynie dawny Jaxartes, malutkie zaledwo gór łańcuchy wznoszą się gdzie niegdzie między obu rzekami, a rozsiane około tych rzek nadzwyczajnej żyżności oazy zewsząd prawie piaszczysta okala pustynia. W poetycznym języku Wschodu, nazywają tę krainę oprawnym w piasek brylantem. Rosnące tam owoce rzadkiej dochodzą doskonałości, brzoskwinie i śliwki Bucharyi wysoko są cenione w całej Azyi, winogron jest kilka gatunków, a nigdzie na świecie nie masz równych chiwińskim melonów. Nie tylko kilka gatunków pszenicy i jęczmienia, ale w wielkiej ilości bawełna uprawia się tam wybornie; olbrzymia dżygura (*holcus sorghum*) dostarcza ludziom i zwierzętom pokarmu, liczne olejne i farbierskie rośliny są ciągłym handlu przedmiotem, a odznaczające się wielkością swych jagód morwy żywią ogromną ilość jedwabników, których przędza wszystkie europejskie jedwabiu gatunki delikatnością przewyższa. Z królestwa kopalnego, o ile dziś wiadomo, posiada Turkestan srebro i złoto, węgiel kamienny, mnóstwo krwawników i turkusów, sławne na wschodzie rubiny i dużo lapis-lazuli. Hodowane z wielką troskliwością konie, liczą tam kilka ras oddzielnych; turkmeńskie argamaki w znacznej ilości wyprowadzane do Persyi, Indyi i Afganistanu, przymiotami swemi nie wiele ustępują arabskim, inne mniej

(1) Oprócz przytoczonej wyżej podróży jego po Azyi środkowej, wyszły jeszcze: *Skizzen aus Mittelasien, Ergænzungen zu meiner Reise in Mittelasien*, von H. Vambery, Lipsk 1868.

od nich piękne, celują wytrwałością i siłą; osły bucharskie najczęściej białe, drobne ale wytrwałe i silne, sławne są w całej Azyi; wielbłądów hodują tam wielką ilość, a ogromne stada baranów, obdarzonych tłustemi ogonami, karmią mieszkańców i znakomity przedmiot handlu stanowią. Nad brzegiem rzek i strumieni lęgną się w trzcinach wielkie dzików stada, ptastwo wodne jest liczne, a bażanty w północnej zwłaszcza stronie napotykają się wszędzie. Na małej stosunkowo przestrzeni różnica temperatury bywa dość znaczną; żniwa na południu rozpoczynane w początku czerwca, około Syr-Daryi zaledwo w sierpniu się odbywają. Kraj piaskami zasiany, w miejscach uprawnych żyzność swą rzekom zawdzięcza; to też Amu-Darya prawdziwym jest dla stron tych Nilem. Wszystkie na tej przestrzeni oazy, poprzecinane są kanałami, a mieszkańcy pod względem rolnictwa i przemysłu na nizkim jeszcze znajdujący się stopniu, w umiejętności przeprowadzania na pola swoje wody, i urządzania nawodnień, wysokiego doścignęli już rozwinięcia i wprawy. Przy spokoju i innych społecznego życia warunkach, kraina ta prędko zakwitnąćby mogła, bo w położeniu swém i wewnętrznych bogactwach mnóstwo do tego posiada warunków.

Co do mieszkańców swoich, jest ona dla etnografa jednym z najciekawszych na ziemi zakątków, jak mówi Vambery. I nie dziw; bo jeżeli wszędzie dopatrzyć się dają rozmaite plemienne pierwiastki, szeregiem podbojów jak warstwy na sobie nagromadzone, to rzadko gdzie zapewne tyle ich razem napotkać się zdarza co tutaj. Kiedy w całej Azyi środkowej walczyły i mięszały się z sobą pokrewne, fińskie, tureckie i mongolskie plemiona, w Turkestanie ścierały się wielkie rasy rodu ludzkiego i sprzeczne sobie zupełnie żywioły. Od niepamiętnych czasów mieszkały tu plemiona irańskie, do wielkiego perskiego należące świata, panowała nauka Zoroastra; wpływ potém cywilizacyi greckiej był przeważny, dziś jeszcze wyraźne są ślady murów przez żołnierzy Aleksandra macedońskiego wzniesionych; kwitnęła tu później Baktryana, Sogdiana; ale bardzo wcześnie, zapewne jeszcze podczas pierwszych na zachód wylewów, koczownicze hordy turańskie wkraczać tu musiały i powoli osiadać. Założenie Buchary przypisują jednemu z wodzów tureckich Efrasiabowi, a postać to gubiąca się w mgle wieków. Aż do czasów wszakże Mahometa wszystkie większe miasta tameczne uważały się za irańskie. Za trzeciego z kalifów, Arabowie pod wodzą Kutejby dostali się tu, i cały kraj, Chorasanem wtenczas zwany podbili, wprowadzając z sobą alkoran. Nie łatwo to przyszło, dawne tradycye i dawna wiara wracała i coraz nowych wypraw i powtarzającej się grozy trzeba było, żeby Islamizm stanowczo wprowadzić. W początku XIII wieku z Dżengischanem wylały się tu hordy mongolskie i objęły rządy, a po przyjęciu mahometanizmu, za Tamerlana doczekały się przeważnego na świat wpływu. Wszystkie te wypadki zosta-

wiły ślady, widoczne jeszcze do dnia dzisiejszego. Daremnie czas w kolei wieków tłukł i ścierał na jeden piasek sprzeczne sobie żywioły, zupełnego ich połączenia sprowadzić nie zdołał, wywołał tylko stan pełen rozmaitości, ale też zaciekłych, bo wiekowych niechęci. Turańskie i irańskie szczepy tępiąc siebie naprzemian, przenikały się też wzajemnie, rozkładały się, mięszały, tworząc tym sposobem nowe, pośrednie warstwy, ale odrębności plemienne tak były silne, jakby w tajemniczej różnicy duchowego ich pierwiastku złożone, że się całkiem połączyć nie dały; pomimo wszystko, widzimy je najczęściej stojące dziś jeszcze obok siebie z niezatraconemi cechami swojemi, a nieraz zdarza się nawet, wśród warstw pośrednich, ze zlania się już obcych sobie żywiołów powstałych, spotykać ród jaki, pokolenie całe, żadnej nie uległe zmianie, noszące pierwotne cechy pochodzenia swego, jakby samorodek metalu w napływowych pokładach ziemi zabłąkany.

Nie mogąc tutaj zaciekać się w szczegóły, musimy na główniejszych poprzestać rysach, któreby jednak czytelnikowi dały wyobrażenie stosunków tamecznych. Sama natura kraju, złożonego z oaz urodzajnych i z piasczystych pustyni, odpowiadała niejako rolniczym i wędrownym skłonnościom ras obu, i do dnia dzisiejszego mieszkańcy całego Turkestanu dzielą się na osiadłych i koczujących. Do pierwszych należą przedewszystkiém plemiona irańskie, przeważnie rolnicze, dziś Tadżikami albo Sartami zwane, które chociaż spodnią stanowią warstwę, tworzą jednak główną ludność miast i okolic osiadłych; obok nich, oddawna tu panujący, tureckiego pochodzenia Uzbegi, także w miatach zamieszkali. Z hord wędrownych, w stepach na północ koczują Kirgizi, w pobliżu gór wschodnich z Burutami spokrewnieni, dalej na zachód z resztkami kipczackich i nogajskich Tatarów i z Karakałpakami przemięszani; w piaszczystym pasie otaczającym ze wschodu morze Kaspijskie, i dalej na południe aż ku Amu-Daryi, żyją turecko-mongolskiego pochodzenia Turkmeni. Granic stałych tam nie ma, prócz tych które natura zaspami piasku sama oznaczyła, bo wszystkie ludzkie stosunki codziennym prawie uległe są zmianom. Íslamizm wprawdzie, pochłaniający wszystko gdziekolwiek zapanuje, wyrobił tam wspólną moralną atmosferę i jakby jedność pojęć i obyczajów, ale i ten przeważnie do dnia dzisiejszego włada tylko ludnością osiadłą; wędrowne plemiona, jakkolwiek wyznające go zewnętrznie, w gruncie pozostały wierne przedwiecznym tradycyom swoim i zabobonnym praktykom, przez co może właśnie uratowały moralną samoistność swoję, i nie jeden przymiot obcy już dzisiaj fanatycznym wyznawcom alkoranu. To co przywykliśmy uważać jako państwa, chanaty: Chiwy, Bucharyi i Kokanu, z takich złożone żywiołów, zupełnie różne od europejskich posiadają bytu warunki; pomimo części osiadłej ludności swojej, i one zarówno jak pojedyncze plemiona stałych nie mają

granic, i właściwie zawsze są tylko hordami, w których ustawna wewnętrzna wojna jest prawie stanem normalnym.

Z pomiędzy plemion które wymieniliśmy, Tadżik czy też Sart, dziedzic prastarej cywilizacyi, chociaż dotychczas przez Uzbegów traktowany z pogardą, odegrał w Turkestanie rolę Greków w dawném państwie rzymskiém; był właściwie nauczycielem swoich panów, i dotąd bystrość i giętkość umysłu, wykwintność mowy i obejścia, właściwą plemionom irańskim zachował. Jak dawniej Íslamizm do wysokiego znaczenia tu podniósł i wydał z pomiędzy siebie najbieglejszych w koranie uczonych i najwykwintniejszych pisarzy, tak dziś jeszcze dostarcza mułłów i iszanów, w uczonych kołach muzułmańskich rej wodzi i zajmuje zwykle posady wymagające jakiejkolwiek nauki, pilności i pracy. Ale obok tych zalet umysłu i wykształcenia, ma wszystkie wady, jakie wiekowe upośledzenie połączone z wykwintną, sztuczną, głęboko obłudną cywilizacyą mahometańską rozwinąć musiało; jest skryty, wykrętny, chciwy, zewnętrznych praktyk muzułmańskiej pobożności z najwyższym pedantyzmem przestrzegający, ale w duchu suchy i twardy, przytém chełpliwy i obłudny, materyalnym interesom wyłącznie prawie oddany, a nieraz nawet w najhaniebniejszych nałogach pogrążony. Uzbegów i wszystkich w ogólności Mongołów i Turków nie cierpi, ale o polityczną niezależność nie troszczy się zgoła, panów gotówby zmienić w każdej chwili, byle bez straty dla siebie; do wojny ma wstręt nieprzezwyciężony. Nie darmo znane tam powszechnie przysłowie powtarza, że Tadżik ma głowę ale brak mu serca. Brak go zarówno do boju i jałmużny.

Uzbeg choć dzisiaj bardzo w turecko-tatarskiej naturze swej zmieniony, przechował wiele dawnych instynktów; leniwy i ociężały, zawsze w bystrości umysłu ustępujący Tadżikom, łatwo daje się im oszukać, ale dziś jeszcze czuje się przeznaczonym do panowania. Choć osiadł w mieście, w duszy jest zawsze wędrowcem. «Szukaj Tadżika w domu a Uzbega na koniu» powiada przysłowie, i w rzeczy samej, jak tamtego sprzęt domowy, tak tego koń i rynsztunek wojenny zajmuje przedewszystkiém. Posiadając nawet dom w mieście, często na dziedzińcu jego namiot z wojłoku rozstawia bo w nim mieszkać woli. Przez samą apatyę w postanowieniach stały, spokoju i powagi pełen, wyprawy wojenne lubi i chętnie się im oddaje, przy grubych często instynktach i wielkiej do grabieży skłonności, z natury okrutnym nie jest; co złupił z poddanych, to łatwo innym rozdaje i trwoni, umysłowie od Tadżika niższy, prześciga go pewną szczerotą i dobrodusznością nawet, jest rzetelniejszy i szlachetniejszy daleko, a na odwadze niektórym z nich przynajmniej nie zbywa.

Turkmeni są najwaleczniejszém ale też zarazem najdzikszém ze wszystkich turecko-mongolskich plemion. Wybitną ich cechę obok ciągłych

grabieży stanowi niepohamowana niczém żądza niezależności indywidualnej. Wódz ich Kara-Jusuf wsławił się jako towarzysz Tamerlana, w wojskach ostatniego wschodniego zdobywcy Nadir-szacha, stanowili oni część najwaleczniejszą, ale w najstarszych ich podaniach nie masz śladu o żadnym wodzu ogólnym, o żadnym turkmeńskim chanie; cienia żadnego rządu nie znoszą u siebie, z dumą powtarzając, że są narodem bez głowy, i że jej mieć nie chcą, bo wszyscy są sobie równi, a każdy z nich jest królem. Właściwie wszechwładnym u nich królem, jest obyczaj (*deb* w ich języku) przed tym korzą się, do jego przepisów stosują się wszyscy, a ten w przeciągu ośmiu wieków alkoranowi nawet pokonać się nie dał, i dotąd w duszach panuje. Życie Turkmena jest nieustającą wojną; co chwila myśli tylko o zbrojnych wycieczkach i w bezpłodnej pustyni swojej z rozbojów i grabieży właściwie żyje; nie tylko każden mężczyzna bez wyjątku jest tam żołnierzem, ale kobiéty nawet w zręczném prowadzeniu koniem nie ustępują mołojcom. Zbrojne ich gromady zawsze są na żołdzie rozmaitych turkestańskich chanów, żadna z ustawnych wojen wewnętrznych obejść się bez nich nie mogła, każdy sławniejszy tych stron zdobywca miał ich na swoje usługi, dla handlowych tam karawan są wiecznym postrachem, południowe wybrzeża morza Kaspijskiego cierpią od ich napadów, ale nikomu tak ciężko nie dali się we znaki jak nieszczęśliwym perskim prowincyom leżącym w ich sąsiedztwie. Co tylko dawne kroniki nasze przechowały o najazdach tatarskich, o mękach jassyru i grozie niewoli bisurmańskiej, to wszystko dzieje się dzisiaj w tych stronach, wystawionych na ich łupieztwa. Nawet postrach paniczny jaki hordy dawniejsze rozsiewały w około siebie, trwa tam dzisiaj. Na widok jednego Turkmena, pięciu i sześciu uzbrojonych Persów rzuca najczęściej broń, zdając się na łaskę i niełaskę zwycięzcy. Sami zazwyczaj dopraszają się o powrozy któremiby siebie kolejno krępować mogli, tak że dumny najezdnik raz tylko zazwyczaj zsiąść z konia musi dla związania ostatniego ze swych jeńców, i tak ich potém pędzi przed sobą, do owego strasznego koczowiska nad rzeczką Etrek, które jest prawdziwém piekłem dla nieszczęśliwych. Tam w ciężkich kajdanach, w nocy żelaznemi obróżami przykuci, używani do najcięższych posług, wśród głodu, razów i obelg ustawnych niewymowne męki wytrzymać muszą, aż póki się na okup nie zgodzą, a gdy ten okaże się niemożebnym, przedawani bywają kupcom handlującym tym ludzkim towarem, i odprowadzani na rynki Buchary i Chiwy, gdzie jako niewolników wystawiają ich publicznie na sprzedaż. A taka dziwna mięszanina złego i dobrego jest w duszach tych dzieci stepu, że tenże dziki Turkmen który najokrutniej obchodzi się z jeńcem swoim, biednego gościa przyjmuje najuprzejmiej, pobożnego pielgrzyma otacza poważaniem, a względem duchownych swoich, w których nadprzyrodzoną moc przypuszcza, pełen jest uległości i usza-

nowania. Poezyę też,pieśni i opowiadania nad wszelki wyraz kocha. Przed ośmdziesięciu zaledwo laty zmarły turkmeński poeta Machdumkuli jest przedmiotem czci powszechnej, mają go za świętego prawie, który w zachwyceniu, od proroka i pierwszych kalifów odebrał dar mądrości i znajomość wszystkich nauk; wędrowny piewca (*bakczi*) powtarzający jego pieśni wszędzie najlepsze znajduje przyjęcie, a księgi z nich złożone na równi z koranem są szanowane.

Karakałpaki, odznaczają sią bardzo wyraźnym mongolskim typem, silnej budowy ciała, a małego umysłowego rozwinięcia, miani są powszechnie za idiotów stepowych, koczują jak Kirgizi i resztki kipczackich Tatarów, sposobem życia do nich podobni.

Wszystkie te plemiona, pomięszane z sobą, spotykają się prawie na całej przestrzeni Turkestanu, niezliczone jeszcze w nawyknieniach i charakterze swoim przedstawiając odcienia. Każden z tych pni dzieli się prócz tego na mnóstwo odrębnych konarów, gałęzi i gałązek, jak to się w całej Azyi środkowej dzieje. Sami Turkmeni liczą dziewięć głównych szczepów swoich, które narodami (*chalk*) nazywają, a każden z nich ma mnóstwo rodów, pokoleń, działów i poddziałów; toż samo ma miejsce między Kirgizami i Karakałpakami. Uzbegi nawet, pomimo stałych już siedlisk, trzydzieści dwie odrębne gałęzie, mówiące nieraz różnemi dyalektami, między sobą wyliczają. Dodać do tego wszystkiego należy jeszcze należących do stałej ludności Izraelitów, i różnez głębi Persyi, mongolskim obyczajem, przez rozmaitych z dobywców gwałtem tu przesiedlane i osadzane plemiona, jak naprzykład : Merwów i Dżemszydów, nad rzeką Murgab i t. p. a będziemy mieli wyobrażenie ogromnej rozmaitości jaka tam panuje. Wszystko to prawie między sobą zwaśnione, nienawiści wzajemnych pełne, wśród obyczajów uświęcających prawo odwetu, a zemstę rodową, dziedziczną, uważających za cnotę, tworzą wiecznie ruchomą chaotyczną massę, która własnemi siłami, sama przez się, nic stałego wydać nie może, a każdemu z zewnątrz dostarcza mnóstwo zręczności wmięszaszania się do odwiecznych kłótni i wyciągania z nich korzyści. Sami tameczni mieszkańcy powtarzają, że w Rumie (to jest w dzisiejszej Turcyi, którą za jedno mają z państwem rzymskiém) panuje błogosławieństwo, w Damaszku dobroć, w Bagdadzie nauka, ale w Turkestanie złość tylko i ustawne utarczki.

Na takiém to tle istnieją trzy chanaty o których wié Europa. Jak pojedyńcze między sobą szczepy, plemiona i rody, tak i te większe zbiorowe już ciała, ustawną prawie prowadzą wojnę, a nie są one bynajmniej jedynemi na tej przestrzeni samoistnemi niby państwami. Wszystkie większe miasta Kokanu, miały koleją udzielnych swych chanów i chwile niezależności zupełnej. Kaszgar, Choten, Jarkend, walczyły z sobą długie lata zacięcie, aż póki ich Chiny w posiadłość nie

zabrały; ojczyzna Tamerlana, miasto Szehri-Sebs, odznaczające się walecznością mieszkańców, przed kilkunastu jeszcze laty krwawą prowadziło walkę z Bucharyą, i trzydzieści z rzędu oblężeń emira zwycięzko wytrzymało; na południu, między górną Amu-Daryą a granicą perską i Afganistanem, istnieją dziś jeszcze udzielne rozbójnicze chanaty: Kunduz, Chulum, Belek, Serepul, Sziborgan, Andszuj, Majmene; młody władzca ostatniego z nich, wypowiedziawszy po śmierci Dost-Mohammeda wojnę Afganom, trzysta ich głów na murach swojej glinianej mieściny jako trofea zatknął. Tak dzieje się tam ciągle; podobnych rozmiarów państwa i państewka powstają, rosną, łączą się i rozpadają znowu, bo i tam życie całe, «jest tylko ciągłą wojną i chwilowém zjednaczaniem się.» Chiwa, Kokan, Bucharya, miały wielkich między swoimi panami władzców, uważanych przynajmniej za takich, ale wielkim u tych plemion nazywa się ten, kto sąsiadów podbijał, i granice swoje rozszerzył; wszystkie zaś ich wyprawy, pozbawione są wszelkiej politycznej myśli: były to zawsze rozbójnicze tylko najazdy.

Chociaż wszystkie trzy chanaty pod względem wewnętrznego stanu swojego i ogólnego usposobienia i oświaty mieszkańców, mało różnią się między sobą, pomimo drobnych indiwidualnego charakteru odcieni, a żaden z nich nietylko potęgą, ale właściwie nawet państwem nie jest, ze wszystkich ich jednak najdawniejszym, i bądź co bądź najwięcej wpływu mającym, jest Bucharya. Politycznego właściwie znaczenia nie może mieć i ona, ale dziś jeszcze na całym mahometańskim Wschodzie uważaną jest za krainę prawowierności i najwyższej muzułmańskiej cnoty. O Bucharze Vambery powiada, że dzisiaj jest to miasto prawdziwym Rzymem Iślamizmu, kiedy Mekka jest tylko jego Jerozolimą. Mnóstwo muzułmańskich świętych spoczywa w téj ziemi, a wszyscy Sunnici, jakimi na równi z Osmanami są mieszkańcy Turkestanu, otaczają te miejsca poszanowaniem (1), Persów jako Szyitów mając za godnych pogardy kacerzy. Bractwa religijne i zakony rozszerzyły się tam, a ich iszany z mułłami i ulemami dotychczas prawdziwą stanowią potęgę, której chan posłusznym być musi. Życia jednak religijnego właściwie tam nie ma. Nigdzie Iślamizm nie wyrobił form bardziej drobiazgowych, nigdzie surowszym nie jest w przestrzeganiu najmniejszych nawet przepisów, ale też nigdzie takiej nie

(1) Między wszystkimi najwyżej, prawie na równi z Mahometem czczonym jest Baha-eddin Nakiszbend, pospolicie nazywany Baweddin i spoczywający we wsi tegoż nazwania, o parę godzin drogi od Buchary. Był on założycielem szeroko rozgałęzionego muzułmanskiego zakonu Nakiszbend i twórcą wszystkich drobiazgowych przepisów odróżniających dziś jeszcze wschodni Iślamizm od zachodniego. Mnóstwo pielgrzymów z całego Wschodu odwiedza jego grobowiec, trzysta osiołków służy ustawnie do przewożenia tam pobożnych z Buchary; sławny kamień Sengi-Murad leżący przy grobie starty jest czołami odwiedzających, a pilnujący mogiły potomkowie Świętego żyją ze składanych tam ofiar.

doszedł bezwładności, nie wyssał tak ducha. Fałsz i obłuda na każdym kroku, obok ścisłego przestrzegania form i oznak zewnętrznych. Zaniechanie najdrobniejszego przepisu w codziennych modlitwach, przy umywaniach się obowiązkowych, w ubiorze nawet, pociąga za sobą ciężkie kary, a najohydniejsze nałogi, których usta europejskie wzdrygają się wymienić, nietylko nie oburzają, ale nawet nie dziwią nikogo, tak są powszechne; byle formy zewnętrzne prawowierności były zachowane, wszystko tam wolno. Śmierć niechybna czeka tego, komuby dowiedziono, że wypił kilka kropel wina, a tysiące najprzykładniejszych muzułmanów oddaje się namiętnie użyciu opium, daleko strasznieszego w swych skutkach. Każde miasto i miasteczko ma swego dozorcę religijnego, który z ogromną dyscypliną przebiega ulice, examinuje ludność, nieumiejących jakiej modlitwy lub przepisu, chociażby starców zapędza do dziecinnej szkoły, a wszystkich w naznaczone godziny do meczetów, ale to zawsze zewnętrznej tylko tyczy się strony. Szkół, kolegij, tak zwanych medresów jest wiele w Chiwie, a zwłaszcza w Samarkandzie i Bucharze, mieszkańcy ostatniego z tych miast szczycą się znaczną ich liczbą, a na uposażenie ich składają się bogaci i ubodzy, ale we wszystkich uczą tylko trochę logiki i filozofii, głównie zaś i prawie wyłącznie drobiazgowych religijnych przepisów i i nieskończonych nad koranem komentarzy, i być nawet inaczej nie może. Nauka Mahometa nie wskazuje człowiekowi żadnego ideału; wymaga od niego ślepego tylko, mechanicznego spełniania jej przepisów, ona sama zawiera w sobie wszystko: prawo cywilne i karne, polityczne i handlowe, tyczy się zarówno państwa jak rodziny i najdrobniejszych codziennego życia czynności; wszystko po za nią jest grzechem. Ztąd ludność osiadła, w zewnętrznych tylko przepisach Islamizmu wyćwiczona, w kłamstwie i obłudzie wyrosła od młodu, musi być moralnie zepsutą. W subtelnościach mahometańskiej teologii najbieglejsi Tadżyki czy Sarty, przewrotnością też prześcigają innych.

Do strasznych stron życia tamecznego, należy jeszcze handel niewolnikami, nigdzie już dzisiaj tak otwarcie i bezczelnie nie prowadzony jak w Turkestanie. Każde tam miasto ma swego kupca handlującego tym ludzkim towarem, a większe między niemi posiadają całe ich cechy i osobne na ten cel przeznaczone rynki (1). Turkmeni dostarczają zawsze niewolników, przedewszystkiém z Persyi; mieszkaniec Turkestanu kacerza Szyitę za przeznaczonego jakby do niewoli uważa, ale znajdują się między niewolnikami i prawowierni Sunnici, których postrachem zmuszają tylko do tego, aby się przy zawarciu kontraktu

(1) W Bucharyi największy taki rynek jest w Karakul, dalej w samej stolicy Bucharze, w Karszi i Dżihardżuj; w chiwińskim chanacie: naprzód w Chiwie, później w miastach: Hezaresp, Gazawat, Gœrlen i Kœhne. W Kokanie rynków wyłącznych nie było; znajdujący się tam niewolnicy po większej części w Bucharyi zakupieni byli.

za Szyitów wydawali, bo według koranu prawowierny niewolnikiem być nie może. Obie strony zawierające umowę, wiedzą zazwyczaj o fałszu, ale to nic nie przeszkadza, bo dosyć jest, aby pozory były zachowane. Jednego tylko Izraelitę pogarda w jakiej zostaje uwalnia od tej niewoli; w pojęciu Sunnitów nie godzien on jest być niewolnikiem Muzułmanina. Ogromna większość niewolników używa się do uprawy pól, bo Uzbegi nadto są leniwi i dumni, aby się rolnictwem trudnić mieli. Kobiety perskie, nie tak dla mieszkańców Turkestanu ponętne jak dla Turków w Stambule, bo tutaj za ideał piękności uważane są Kałmyczki, najczęściej wychodzą na sługi domowe. Niektórzy z niewolników po latach dorabiają się pewnego kapitału, wykupują się na wolność, i czasem wtenczas osiadają dobrowolnie w Turkestanie; zdarza się nawet, że dzięki wyższym zdolnościom i wykształceniu, dochodzą wysokiego stanowiska, a przynajmniej używani bywają do interesów przez chana i rządzców prowincyj, ale to są wyjątki, nad losem zaś ich w ogólności, nie mówiąc już o tém co między Turkmenami przenosić muszą, nie potrzebujemy rozwodzić się; któż okropności jego nie odgadnie.?

W miastach Turkestanu widne są gdzie niegdzie ślady dawnej świetności w pozostałych meczetach, grobowcach i rozmaitego rodzaju zwaliskach. Ludzie Wschodu dziś jeszcze dają tym miastom nazwania: *rajskiej* Samarkandy, *czarownego* Kokanu, *szlachetnej* Buchary, chociaż stan ich obecny temu nie odpowiada. Nad grobowcem Tamerlana w Samarkandzie wznosi się dotychczas w najkosztowniejsze arabeski i złote napisy strojna kopuła; również ozdobny, a przez niego wzniesiony meczet, trwa dotąd; w cytadeli zaś pokazują dziedziniec, Talari-Timur zwany, na którym wielki zdobywca udzielał niegdyś posłuchań; leży tam jeszcze dziesięć stóp długi, a cztery i pół wysoki zielony kamień *Koektasz*, na którym tron jego stawiano; po karkach świetnego rodu niewolników, jakby po stopniach, wchodził nań zwykle Tamerlan, książęta z hołdowniczych państw i plemion stali w około, pod osobném nakryciem, a trzech jeźdźców gotowych na skinienie władcy roznosiło słowa jego zebranemu tłumowi. Mówią tam jeszcze o tém wszystkiém, jakby to działo się wczoraj. W okolicach miasta stoją dotąd nad drogami kamienie, któremi Timur mile na gościńcach państwa swojego pooznaczać kazał. Każde z miast większych ma swego rodzaju pamiątki, ale wszystkie są już w ruinach, ostatnie czasy nic nie stworzyły, obecność nic dodać nie jest w stanie i dziś wszystkie te miasta są głównie tylko ogniskami handlu. Na rynkach i targowiskach Buchary zbiera się tłum najrozmaitszy i rzadko gdzie zapewne można napotkać tak różnobarwną jak tam ludność. Wszystkie osiadłe i koczujące plemiona Turkestanu, a także Afgani, Tybetanie, mieszkańcy Indyi i Chin, zchodzą się tam przed szałasami handlarzy, targować chała-

ty, chustki, i rozmaite stroje i tkaniny wschodnie; przy kipiących ciągle samowarach prowadzą się poważne, a nigdy nie kończące się rozmowy, zawierają się kontrakta, robią się interesa i zamiany. Bucharę dla tego nazywają dziś jeszcze stolicą średniej Azyi. Pomimo to, ta dzisiejsza stolica, jak wszystkie inne miasta w Turkestanie, jest tylko zbiorem lichych glinianych lepianek, z dziedzińcami otoczonemi takimże glinianym murem bez okien, a te lepianki tworzą mnóstwo krętych, wązkich, pełnych pyłu lub błota uliczek. Osobną część każdej stolicy stanowi rodzaj cytadeli, *ark* zwanej, w której jest zwykle mieszkanie chana. Odróżnia się ono od mieszkań prywatnych, chyba większym nieco obszarem swoim, ilością rozesłanych w niém kobierców i sług tam krzątających się, ale więcej niczém. Cytadelę otacza zawsze wysoka i bardzo gruba ściana ulepiona z gliny, zupełnie podobna do tej, jaka jeszcze drugi raz całe już miasto z jego targowiskami i rynkami opasuje, i na tém wszystko się kończy.

Chan w cytadeli swojej codziennie posłuchań udziela i najrozmaitsze sprawy rozstrzyga: władzę ma całkiem nieograniczoną; jest panem życia i śmierci wszystkich swych bez wyjątku poddanych a wola jego jest prawem; musi jednak, jak powiedzieliśmy, oglądać się na ulemów i mułłów i sam przepisów mahometańskich ściśle przestrzegać. Nieraz na Wschodzie probowano zabezpieczyć się od samowoli władców, i turkestańskie chanaty miały też podobnego rodzaju jeżeli nie instytucye to przynajmniej urzęda, ale wszystko to upadło wobec ogólnego mass całych usposobienia, które w najwyższej samowoli upatruje najpiérwszy przywilej chańskiej władzy. Jaka zaś dzikość jest jeszcze w obyczajach, dowodzą najlepiej domierzane tam co dnia prawie kary: kobiéty po piérś zakopywane w ziemi i kamienowane potém, mężczyzni za najmniejsze przekroczenia wieszani, honorowe chałaty rozdawane w miarę liczby przyniesionych głów nieprzyjacielskich i t. p., a wszystko to nie dziwi tam nikogo. Wojna zawsze jest bezlitośną i krwawą; pokonani najczęściej śmierć ponoszą. Widziano w 1863 roku w Chiwie przyprowadzonych tam jeńców wojennych z jednego z plemion turkmeńskich; młodych pomiędzy nimi obrócono w niewolników dla uprawy pól, tych którzy już lat czterdzieści i więcej liczyli, ścięto wszystkich, starym zaś z rozkazu chana wyłupiono oczy. Poddali się temu z największym spokojem i rezygnacyą. Mordowanie jeńców wojennych tak jest rzeczą zwyczajną, że po zdobyciu Akmeczetu przez jenerała Perowskiego, zabrani tam Kokańcy i kobiéty ich nawet, dopraszały się żeby je prędzej zabijać zaczęto, skarżąc się tylko na zwłokę; nie mogły zaś wyjść ze zdumienia, kiedy im powiedziano, że są wolne i mogą gdzie zechcą. Siła wszystko tam sobie udać się pozwolić może, to jej prawo, godność zaś człowieka zależy na spokojném i cierpliwém poddaniu się losowi.

Smutny obraz zaiste, a dla wytchnienia trzeba byłoby chyba zajrzeć w te dusz zakątki, do których nie przeniknął Islamizm i pokazać czytelnikowi to co z patryarchalnych jeszcze pozostało obyczajów i uczuć. Gdy jednak w opowiadaniu naszém nie raz już napomknęliśmy o tém, odeszlemy go po bliższe szczegóły do pełnych zajęcia opisów podróżnych, sami zaś tu, dla zdania dokładniejszej sprawy z obecnego stanu trzech turkestańskich chanatów, zatrzymamy się jeszcze na chwilę nad ich historyą z ostatnich lat kilkudziesięciu, i poprobujemy streścić o ile można te wypadki.

Około 1840 r. panował w Bucharyi znany z okrucieństw swoich emir Nasr-Ullah; do niego z prośbą o pomoc udał się brat chana kokańskiego, chcący tron bratni zagarnąć. Pretext do wojny powitano z radością i Nasr-Ullah z wojskiem wyprawił się przeciw Kokanowi, obległ należące wtenczas do niego miasto Oratepe, i zdobywszy je po trzech miesiącach, większą część mieszkańców w pień wyciąć rozkazał. Ale zaledwo odszedł, nadbiegł kokański chan Mehemed-Ali i z pomocą pozostałej miejscowej ludności, zemścił się na bucharskiej załodze, wytępiwszy ją do szczętu. Rozpoczęła się nowa wojna; Nasr-Ullah przyszedł z większemi niż pierwej siłami, mieszkańcy Oratepe w przestrachu uciekli, a dopędzony chan kokański musiał odstąpić Chodżentu. Emir chcąc mu dokuczyć, na rządcę tego miasta, z ramienia swojego, wybrał właśnie tego brata który się tronu dobijał; ale na ten raz omylił się, matka bowiem obu pogodziła braci a ci połączeni, zwrócili się przeciw niemu i wypowiedzieli wojnę Bucharze. Na wieść o tém Nasr-Ullah zebrał 30,000 wojska, najął prócz tego 10,000 Turkmenów i wtargnął do Kokanu, a po odniesioném zwycięztwie, obydwóch braci we własnej ich stolicy ściąć kazał, stronników ich wymordował i dobra wszystkie zabrał. Zdawało się, że został panem całego chaństwa. Tymczasem tak wszystko w tych stronach jest ruchome i niepewne, że cała postać rzeczy zaraz zmienić się miała. Przypatrujący się dotychczas całej walce spokojnie Kipczaki, sami chana obrali i umyślili osadzić go w Kokanie, wsparty zaś przez nich, znalazł on tam stronników. Nasr-Ullah wtenczas nowego wynalazł pretendenta i posłał go z wojskiem, przyrzekając oddać mu rządy chaństwa jeżeli Kipczaków zwycięży. Faworyt zdradził Emira; podszedłszy pod miasto Kokan, zawiązał stosunki z jego mieszkańcami i pomógł im tylko do zwyciężenia tych samych Bucharców, którzy go na tron prowadzić mieli. Nasr-Ullah gotował się do zemsty, ale własny jego szwagier, rządzący miastem Szehri-Sebs, wypowiedział mu wojnę i w tamtą stronę odwrócił jego siły i uwagę. Kokan odpoczął. Wojska Emira zaledwo po trzydziestu niefortunnych wyprawach zbuntowanego miasta dobyć potrafiły, a rozjątrzony długiém niepowodzeniem tyran, otrzymawszy nareszcie wiadomość o zwycięztwie, choć złożony chorobą, kazał swą żonę a siostrę

pokonanego wodza w oczach własnych ściąć, i patrząc na jej krew ducha wyzionął. Następca jego, panujący dotychczas Muzaffer-Eddin, podjął nową przeciw Kokanowi wyprawę; nim jednak do niej przyszło, piérwej sam spisek przeciw tamecznemu chanowi urządził, i dopiéro gdy tego zabito, wszedł z bucharskiém wojskiem i Chudojara ze swego ramienia na chaństwie osadził. Pokój trwał kilka zaledwo miesięcy; Kipczaki bowiem zgromadzili się znowu, a wódz ich Ametkuł obrawszy powtórnie chana, prowadził go na tron. Pod jego naciskiem pierzchli Bucharcy. Muzaffer-Eddin chciał pomścić się zniewagi; zebrał wszystkie swe siły, Turkmenów wezwał na pomoc i postanowił nie złożyć oręża aż po zawojowaniu całego chanatu, do samej chińskiej granicy. Na wieść o tém, kokańscy ulemi ogłosili go za *kafira* (niewiernego) i wojnę świętą starali się przeciw niemu wywołać. Zacięta wszczęła się walka; gromady Ametkuła starły się z Turkmenami; co było najdzikszego i najbardziej walecznego zarazem w Turkestanie, biło się tutaj; gdy Ametkuł poległ, żona jego objęła dowództwo nad hordą i dalej prowadziła wojnę. Nareszcie stanął pokój. Zdobyte chaństwo podzielono na dwie cześci: Kokan został w posiadaniu obranego przez hordę kipczacką chana, w Chodżencie zaś osiadł Chudojar. Emir bucharski wszystkie harmaty, wielką ilość broni, i znaczne skarby w tryumfie z sobą do Buchary uprowadził. Działo się to w 1863 roku.

Podczas tego rodzaju stosunków z Kokanem, emir Nasr-Ullah prowadził jeszcze wojnę z Chiwą, bo nieprzyjaźń między obu chanatami właściwie nie ustawała nigdy. Rządzący Chiwą od 1843 r. Medemin-chan ciągłe prócz tego staczał utarczki z turkmeńskiemi plemionami, miasta Merw kilka razy dobywał, nareszcie w ostatniej ze swych wypraw przez kilku jezdców turkmeńskich we własnym napadnięty obozie, zamordowanym został. Wojsko całe w popłochu uciekło (1855). Następca Medemin-chana Abdułła, toczył bój dalej z Jomutami, jedném z najdzikszych plemion turkmeńskich. Po ciężkiej porażce zwyciężeni, na znak poddania się, wysłali oni do jego obozu starców swych (*aksakałów*) boso, z zawieszonemi na szyjach gołemi mieczami, prosząc o pokój. Chan im darował, i wojsko swe nazad do Chiwy odprowadził. Po kilku miesiącach zerwali się znowu do oręża, a Abdułła tą razą w boju zginął. Gdy następcą po nim okrzyknięto młodszego jego brata, Jomuty innego znaleźli pretendenta, krewnego zmarłego chana, i tego na tron prowadzili. Miało przyjść znowu do zaciętej walki, ale Jomuty knując zdradę, prosili o pokój, przyrzekając wraz z swoim pretendentem uznać władzę chana. Dano się uwieść i zgodzono się na wszystkie warunki. W dniu naznaczonym przybyli do Chiwy stepowcy, w liczbie 12,000, na najlepszych swych koniach. Chan wyszedł na spotkanie krewnego, podali sobie dłonie, ale wśród uścisku, ten krewny pchnął go sztyletem i chan upadł bez ducha. Korzystając z popłochu, Jomuty rzucili się

na stronników zamordowanego, i rzeź się rozpoczęła. Ale cała ludność zagrzana przez swoich ulemów chwyciła za oręż i noże—Turkmeni zginęli wszyscy—krwią popłynęły uliczki glinianego miasta, tydzień cały zbierano i wynoszono trupów. Chiwa przez dni kilka nie miała chana; nareszcę na białym wojłoku podniesionym został (1856) rządzący do dnia dzisiejszego, a ze słabego znany umysłu Seid-Mehemmed-chan. a jego rządów, rozmaite klęski nie przestały nawiedzać biednych mieszkańców chanatu. Wojna z Jomutami i innemi koczującemi plemionami nie ustawała; korzystając z tego, gwałtem niegdyś osadzeni w chanacie Dżemszydy rzucili się na stolicę, zrabowali ją całkiem i 2,000 jeńców perskich z sobą uprowadzili; cholera potém i morowe powietrze dziesiątkowało ludność, a nie zabrakło i nowych pretendentów dobijających się władzy. Jednego z nich wśpierała nawet Moskwa, udzielając mu pieniędzy; gdy tych u niego nie stało, przez własnych wprawdzie stronników zamordowanym został, ale byle najmniejsza ukazała się tego potrzeba, zawsze nowy się znajdzie. Tymczasem zaś, ostatecznie wycieńczone chaństwo nic zgoła na szali wypadków zaważyć nie może.

Do tych kilku faktów, malujących, jak nam się zdaje, wewnętrzy stan chanatów, dodamy jeszcze, że wojsko, którego w Chiwie liczą trzydzieści, w Bucharyi czterdzieści tysięcy, łatwo nie tylko podwojone, ale nawet do daleko większej może być podniesione liczby, dla tego, że każdy tam z Uzbegów, a tém bardziej z koczujących plemion gotów jest siąść na konia, ale wszystkie te tłumy, zawsze z jazdy złożone, wojskom regularnym rzeczywistego oporu stawić nie są zdolne, to zaś co pod nazwaniem *Sarbazów* ma regularną emira bucharskiego stanowić piechotę, na imię takie właściwie nie zasługuje. Niezaprzeczenie odważni Turkmeni, osobistą dzielnością przewyższający wszystkie plemiona Turkestanu, pierzchają przed harmatą i bagnetem rossyjskim; o innych nie może być i mowy. Do tego, wewnętrzne nienawiści i waśnie, przy wielkiej ciemnocie i braku wszelkiej politycznej idei, nie pozwolą nigdy tym plemionom połączyć się razem dla wspólnej obrony. Persya dziś temu stanowi turkmeńskich plemion winna względne z tej strony bezpieczeństwo swoje. Gdyby ta wojownicza, a milionowa jeszcze ludność mogła połączyć się razem, kto obrachuje jakieby klęski słabemu dziś Iranowi zadać mogła, jak losy jego przemienić? dla braku wszelkiej między własnemi plemionami spójni, pograniczne tylko prowincye pojedyńczemi napadami rabuje i niszczy. Niejednokrotne usiłowania Anglii połączenia Chiwy, Kokanu i Bucharyi dla wspólnej przeciw Moskwie obrony, spełzły na niczém; Conolly i Stoddart życiem to nawet przypłacili, bo podejrzliwość i niechęć do wszystkiego co z Zachodu pochodzi jest zacięta i nieubłagana.

W chwili o której mówimy, Chiwa ostatecznie już była osłabioną,

Kokan walką z Bucharyą i wewnętrznemi niesnaskami zupełnie zajęty, Bucharya zaś od Persyi nienawiścią religijną odcięta, w sułtanie tureckim uznająca wprawdzie następcę kalifów, ale już bezpośredniej od niego pomocy nie oczekująca, zamykała jakby umyślnie oczy na zbliżające się od strony moskiewskiej niebezpieczeństwo, tłumacząc sobie, że z jednej strony spoczywający w jej łonie święci, a z drugiej, leżące do koła pustynie, obronią ją od niewiernych, i całą uwagę na jaką rząd jej mógł się zdobyć, zwracała na Afganistan, który od czasów Dost-Mohammeda najgroźniejszym wydawał się jej wrogiem. Podburzając przeciw niemu drobne południowe chanaty, jednając sobie pieniędzmi utrzymywane tam zwykle na żołdzie turkmeńskie gromady, spodziewano się oddalić burzę. Moskwa z tej strony nie mogła w planach swoich silnej napotkać przeszkody, a tymczasem na południu Kaspijskiego morza niezmiernej wagi pozyskała stanowisko.

XXIV.

Mówiliśmy, że wojna krymska oddaliła na chwilę wykonanie ułożonych na północy Turkestanu projektów, ale obok tego, jak każde wielkie wysilenie wstrząsające umysły, roztrzygnęła ona nie jedną rzecz daleko większej doniosłości i pod wielu względami stanowić będzie epokę w historyi państwa rossyjskiego. Na politykę jego w Azyi środkowej wywarła wpływ przeważny. Od lat już kilkudziesięciu prowadzona wojna na Kaukazie, kosztowała krwi i pieniędzy wiele, a nie zdawała się być blizką końca. Bohatérskie plemiona walczyły ciągle, sama zaś natura na każdym prawie kroku w ogromnych górach i wąwozach nieprzebyte prawie stawiała zapory. Państwo atakowane od południa i wschodu postrzegło, że tam właśnie była najsłabsza jego strona. I w rzeczy samej, gromadząc pod Sewastopolem wszystkie swoje siły, musiano na Kaukazie utrzymywać 280,000 najbitniejszego żołnierza, nie mogąc go użyć na placu boju, dobrzy zaś w tych rzeczach sędziowie (1) utrzymują, że posłany przez sprzymierzonych oddział wojska w pomoc Omerowi-paszy mógł zmienić cały bieg wypadków. Dowódzca sił kaukazkich zmuszony strzedz przestrzeni rozciągającej się na 1,200 wiorst, nigdzie więcej nad kilkanaście tysięcy żołnierza zgroma-

(1) Między innymi jenerał Fadiejew, w przytaczanych już tutaj *Listach z Kaukazu.* Wykształcony w wyższych zakładach naukowych we Francyi, pełniący potém służbę przy Namiestniku kaukazkim i we wszystkie tam plany wtajemniczony, a z miejscowemi stosunkami obeznany dokładnie, mógł on lepiej od wielu innych te wypadki ocenić i książka jego pomimo widocznej nieraz przesady, zawiera mnóstwo trafnych postrzeżeń. Dla zachodniego zaś czytelnika jest ona jeszcze niezmiernie cickawą dla ducha swojego, dla głębokiej wiary pisarza w dziejowe posłannictwo Moskwy na Wschodzie, w niespożyte siły swojego plemienia i wielkie jego przeznaczenia, co mu nawet przez konieczność polityczną każe usprawiedliwiać najokrutniejsze z Czerkiesami postępowanie.

dzić razem niemógł, jedno zaś zwycięztwo wystarczało żeby wszystkie na pół uległe plemiona do nowej walki zapalić i w istocie koniec tam panowaniu rossyjskiemu położyć. Chwila była stanowczą; gdyby z niej skorzystać umiano, Kaukaz w ręku mocarstw zachodnich stałby się niezdobytą twierdzą, przegrodą dla Rossyi w posuwaniu się dalej i rękojmią wpływu zachodniego na całym już Wschodzie, bo ktoby posiadł kraj zakaukazki ten naturalnie panować by musiał nad Persyą, Turcyą azyatycką i Turkestanem. Rachowano w Petersburgu dni żeglugi które oddzielały Maltę i Tulon od kaukazkich czarnego morza wybrzeży, widziano, że kolej żelazna z Poti przeprowadzona do Baku łatwoby z Astrabadu zrobiła port europejski, a w takim razie przypuszczano nawet możność ujrzenia w przyszłości francuzkich lub angielskich na morzu Kaspijskiém żagli, które już i wewnętrznym państwa prowincyom zagrozićby mogły. A chociażby rzeczy tak daleko nie zaszły, warunki przynajmniej dalszej na Wschodzie walki i dalszego tam postępu byłyby przez to zupełnie dla Rossyi zmienione i utrudnione niesłychanie. Sprzymierzeńcy skorzystać z tego zaniedbali; Anglia chciała po wzięciu Sewastopola przenieść walkę na Kaukaz i robiła w tym celu przygotowania, Francya już dalej bić się nie życzyła sobie, i stanął traktat paryzki. Zaledwo podpisanym został, rząd petersburgski postanowił niezwłocznie uchylić na przyszłość tak szczęśliwie uniknione niebezpieczeństwo, i stać się zupełnym panem Kaukazu. Całą energię swoję zwrócił w tę stronę, nowy plan szczegółowy wypracować kazał, a wykonanie jego poruczył cesarz Aleksander II osobistemu przyjacielowi swemu księciu Bariatyńskiemu, którego swoim namiestnikiem na Kaukazie mianował. Plan zależał na prowadzeniu wojny zaczepnej bez wytchnienia, na stopniowém ale ciągłém posuwaniu się naprzód. Niepodległe jeszcze wtenczas części Kaukazu znajdowały się po obu stronach moskiewskich posiadłości; na wschód ku morzu Kaspijskiemu był Szamil, z religijnie przez siebie sfanatyzowanemi plemionami,—na zachód, nad morzem Czarném wojownicze i nieugięte szczepy: Adygów, Abadzechów, Szapsugów, Ubychów i t. p. Miano najpierwej zająć się Szamilem.

Nowy Namiestnik porobił przygotowania, potrzebne zmiany w urządzeniu wojsk zaprowadził, i plan wykonywać rozpoczął, ale to jedno dla czynności jego nie wystarczało. Jakkolwiek Moskale wypierają się wszelkiej myśli o Indyach i najprawdopodobniej rząd na dzisiaj żadnych tego rodzaju nie układa planów, myśl ta jednak na stopniu poczucia, niejasnego jeszcze instynktu, tkwi w duszach na dnie, jako dalsze następstwo tego popędu który od wieków pchnął to plemię na Wschód i jeszcze dotychczas każe mu dobijać się ostatecznych granic tamerlanowego państwa. Myśl ta niekiedy w pojedyńczych ludziach dochodzi nawet do samopoznania i przyobleka ciało. U jenerała Perows-

kiego twarz przemieniała się i oko ogniem błyskało na samą wzmiankę o Indyach i wyprawie w te strony; książe Bariatyński uległ także urokowi, który na wyższe natury wywiera ta zaczarowana część Wschodu(1). Mówią, że w młodości przepowiedziała mu wróżka iż wielkich rzeczy dokona na Wschodzie; stanąwszy na szczytach Kaukazu na czele bitnej armii, nie dziw że Indye uznał za teatr przeznaczony dla przepowiedzianej sobie wielkości. Powziął myśl wyprawy do Indu i zaraz cały jej plan wygotować rozkazał. W największej tajemnicy zebrano wszystkie potrzebne wiadomości i projekt szczegółowy wypracowano. Według niego, za punkt wyjścia dla wyprawy miał służyć Astrabad. Port ten wprawdzie, znajdujący się na wschodnio-południowém wybrzeżu Kaspijskiego morza należy do Persyi, ale według ostatniego z nią traktatu, Persya ani jednego żagla na tém morzu mieć nie może; w początkach zaś 1857 r. była ona w nieporozumieniu z Anglią, można więc było z tego skorzystać, wmięszać się do tej sprawy, wystąpić w jej obronie, i pod tym pretextem wojska do wyprawy przeznaczone w Astrabadzie wysadzić, usprawiedliwiając tę zaczepkę przed Anglią tém, że ona jeszcze wszystkich swych okrętów z Czarnego morza nie cofnęła, chociaż naznaczony na to w paryzkim traktacie termin już był upłynął. Z Astrabadu przez Chorasan miano iść do Heratu, gdzie trzy drogi były już wytknięte; jedna z nich przechodzić miała przez Meszched. Z Heratu zamierzano przez Afganistan, dolinami rzeki Ferak dostać się do jeziora Zareh, zkąd znowu, brzegami wpadającej do tegoż jeziora rzeki Helmund, pomiędzy pasma Bolan i Mustung czy Mustag i dalej do Kelatu; z tego ostatniego miejsca do brzegów Indu. Miano wiadomości o całej drodze; na przestrzeni między Astrabadem i Heratem wszystkie nawet stacye dla wojska były dokładnie oznaczone; wszystko obrachowane szczegółowo, przewidziane trudności. Książe Bariatyński żądał tylko pieniędzy i jednej jeszcze dywizyi, to jest 16,000 wojska; sam z armii kaukazkiej miał wziąść dwie dywizye i całej wyprawy dokonać w 50,000 ludzi. Posiadając nieograniczone zaufanie Cesarza, spodziewał się że projekt przyjętym będzie. Na ten raz jednak, rząd uznał za stosowne wstrzymać się jeszcze. Pochwalono projekt księcia Bariatyńskiego, przyrzeczono mu wszelkie w danej chwili poparcie, ale odłożono na później, dodając, że najstosowniejszą do wykonania projektu chwilą

(1) Departament głównego sztabu w Petersburgu zawalony jest projektami wyprawy do Indyi; liczą je dzisiaj na setki, a każden rok nowe przynosi. W tak wielkiej ich liczbie są niezawodnie i bardzo dziwaczne. Tak na przykład jenerał Chrulow, znany z węgierskiej i krymskiej kampanii a potém z dnia 8 kwietnia 1861 roku w Warszawie, zaraz po zawarciu paryzkiego traktatu podawał projekt opanowania Chiwy i darowania jej bucharskiemu chanowi za pozwolenie założenia linii wojennej u stóp Hindukosza. Wyprawy tej jenerał, który był przy dobyciu Akmeczetu, podejmował się dokonać z wojskami orenburgskiego korpusu. Jakakolwiek jest zresztą wartość wszystkich tych projektów, świadczą one zawsze o skierowaniu umysłów i pracy ich w tym kierunku, o istniejących dążnościach i pragnieniach.

będzie ta, kiedy jednocześnie z wyprawą astrabadzką można będzie posunąć dwa inne oddziały, jeden sybirski od jeziora Issyk-kul ku Kaszemirowi, drugi z Orenburgskiej linii, w głąb Turkestanu. Proszono Namiestnika aby tymczasem najdokładniejsze wiadomości o stronach między Heratem, Kelatem i Indem zebrać polecił.

Wstrzymano naturalnie przygotowania i oddano się całkiem wojnie kaukazkiej. Energia Namiestnika wsparta wytrwałością żołnierza, od lat tylu zahartowanego w boju, pokonała nareszcie biedne choć bohatérskie plemiona. W końcu 1859 roku Szamil już był w Petersburgu, zkąd go na mieszkanie do Kaługi odwieziono. Opór na wschodnim Kaukazie ostatecznie złamanym został, pozostała tylko do pokonania górzysta nad Czarném morzem kraina. Rossya w okolicy Kaspijskiego morza miała już rozwiązane ręce. Jenerał Dandeville zbierał wtenczas szczegółowe wiadomości o wschodniém jego wybrzeżu, od Nowopiotrowska po rzeczkę Etrek i mappę tych stron robił, pomimo koczujących tam plemion turkmeńskich. Morze to stawało się prawdziwie wewnętrznem moskiewskiém morzem.

Tymczasem w 1858 r. wysłanym został z Astrabadu, tameczny konsul rossyjski, znany powszechnie oryentalista Chanyków, z naukową expedycyą do Persyi. Składała się ona z naturalistów wszelkiego rodzaju, geologów, zoologów, botaników i przez dwa lata, za pozwoleniem władz rządowych, zbierała otwarcie wszelkie o tamtym kraju wiadomości. Ale między naturalistami byli też astronomowie i cały zastęp jeometrów, bo o dokładne mappy chodziło przedewszystkiém. Ostatnim, zmuszonym kryć się ze swoją robotą, pomagali pierwsi, oznaczając gęsto po drodze astronomiczne punkta, które najdoskonalszą sieć mierniczą stanowią. Dziś rząd posiada najszczegółowsze o tych stronach i o brzegach Indu wiadomości i zapewne najdokładniejsze mappy.

XXV.

Gdy to się działo w nadkaspijskich krajach, w najbardziej odległym wschodzie, na Syberyi, Moskwa ogromne zdobywała przestrzenie. Tameczny jenerał-gubernator hr. Murawjew później Amurskim nazwany, bez wylewu krwi, bez wojny, przyłączył do państwa całą krainę leżącą między dawną granicą a rzeką Amur. Powzięto myśl tę w 1850 r. i rozpoczęto jak wszędzie i zawsze od zbierania szczegółowych wiadomości. W r. 1854 wypłynęła pierwsza pod wodzą samego Murawjewa wyprawa do ujścia rzeki; chińskim po drodze urzędnikom wytłumaczono, że celem jej jest tylko obrona blokowanych wtenczas przez flotę angielską wybrzeży. Zbudowano u ujścia Amuru port Mikołajewski, a po

czterech co roku odbywanych wyprawach, już całą tę krainę w posiadanie zajęto. Utworzono nową gubernię, obwodem Pomorskim zwaną, odbudowano Albazin, niegdyś przedmiot tylu z Chinami zatargów. Powstały nad brzegami osady: Maryińsk, Piotrowsk i t. d., osiedlono kilka tysięcy sprowadzonej z Dauryi kozaczej ludności, i cała ta kraina uważa się już dzisiaj za odwieczną posiadłość państwa. Przestrzeń nabyta tym sposobem wynosi 24.000 mil kwadratowych, bogata i żyzna, przy niechybném rozwinięciu się handlu na oceanie Spokojnym, ma wielką przyszłość przed sobą. Wszystko to nie kosztowało Moskwie ani jednej utarczki; raz tylko poniosła tam klęskę, bo kiedy z trzeciej na Amur wyprawy tysiąc ludzi wracało nazad do domów, zaskoczeni mrozami i niedostatkiem, w znacznej części od zimna i głodu wyginęli (1). W 1858 r. jenerał Murawjew zawarł w Ajguniu z chińskimi urzędnikami traktat, którym oni cały ten kraj Moskwie ustępowali; Bogdychan wprawdzie tego traktatu ratyfikować nie chciał, ale potrafiono temu zaradzić jak zawsze. Wybuchła wojna Chin z Anglią i Francyą, Pekin został zdobyty, a jenerał Ignatiew w tak krytycznej dla niebieskiego państwa chwili ofiarował swe pośrednictwo; oddane przez siebie usługi za tak wielkie przedstawić umiał, że nie tylko traktat ajguński w nagrodę za nie (1860 r.) potwierdzonym został, ale jeszcze odstąpiono dawnej Dżungaryi i przyznano poddanym carskim ważne przywileje handlowe. Moskwa została więc nawet prawną już właścicielką nowej swej zdobyczy, a poseł jej, uważany za zbawcę Chin, bo jemu przypisywano oddalenie z Pekinu czerwonych barbarzyńców, z największemi honorami, w kilkotysięcznym orszaku jazdy mongolskiej do granic państwa odprowadzonym został.

XXVI.

Została jeszcze niepokonana część Kaukazu, oblewana na przestrzeni trzystu wiorst Czarném morzem, przecięta najwyższemi górami; tam po poddaniu się Szamila wszystkie obrócono siły. Ale tu od razu plan był zupełnie inny. Przytykający do morza Kaspijskiego Dagestan dosyć było podbić; raz pokonaną ludność, otoczoną zewsząd obcemi żywiołami, spodziewano się z czasem przyswoić, zamienić jak tyle innych, na posłusznych i pokornych a użytecznych poddanych. Wśród wielkiej rozmaitości ras i szczepów na Kaukazie, w tamtym jego zakątku najwięcej też było krwi turecko-tatarskiej. Inaczej rzecz się miała z tak zwaną Zakubańską krainą. Nigdzie na Kaukazie heroizm

(1) Dokładne i z życiem skreślone opisanie tej klęski, znajduje się w dziele Agatona Gillera, *Opisanie zabajkalskiej krainy w Syberyi*. Lipsk 1867, tom II, str. 191.

do wyższego nie rozwinął się stopnia, a plemiona tameczne nie miały w sobie nic nie tylko mongolskiego, ale turecko-tatarskiego nawet. Nie myślano żeby się zaassimilować dały i postanowiono wypędzić je wszystkie albo wymordować, a na ich miejscu osadzić ludność moskiewską. W salonowym i książkowym języku nazywało się to niewinnie, *zruszczeniem* tej krainy. Z zimną krwią wszystko obrachowano; zgromadzono wojsko, przygotowano nowych osadników, całym tak zwanym pułkom kozaczym od lat dziesięciu i więcej w niedalekich okolicach osiadłym, kazano przygotować się do zajęcia miejsc nowych; miano posuwając się stopniowo wypędzać wszystkich mieszkańców i w zabieranym kraju budować natychmiast wioski, czyli kozacze stanice, jak to jest odwiecznym Moskwy obyczajem. Na utworzonej w gabinecie namiestnika szachownicy, każde plemię miało zawczasu przeznaczoną dla siebie godzinę śmierci; bliższe miały umrzeć najpierwej, ale jeden los w końcu oczekiwał wszystkie bez wyjątku. Rząd uznał, że dla spokoju i przyszłej wielkości państwa potrzeba, aby ta ziemia stała się zupełnie moskiewską, i pół miliona ludzi (według statystyk rossyjskich) musiało wynieść się, lub umrzeć. Projekt był gotów zupełnie, ale jakieś ludzkie uczucie sprawiało, że wykonawcy sami zwlekali ostateczne jego wypełnienie. W jesieni 1861 roku cesarz Aleksander II zwiedził Kaukaz, « na miejscu, jak powiadają moskiewscy pisarze, przekonawszy się o konieczności i *praktyczności* projektu, kazał go wykonać niezwłocznie. » Książe Bariatyński już wtenczas leczył się za granicą; namiestnikiem na Kaukazie mianowany został wkrótce brat carski, wielki książe Michał, a okręgiem kubańskim dowodził zrodzony na Kaukazie, syn prostego żołnierza, wtenczas już hrabia Ewdokimow. Ten rozpoczynając straszną kampanię powiedział, że nikomu nie da spocząć póki się wojna całkiem nie skończy i słowa dotrzymał, sobie też samemu nie dozwalając spoczynku.

Trudności niezaprzeczenie były ogromne i wielkiej wymagały wytrwałości i energii, jakiej żołnierz moskiewski tysiączne złożył dowody; nie zdziwi jednak nikogo, że mówiąc o tej krwawej walce całe współczucie i uwielbienie nawet nasze zachowamy nie dla zwycięzców, którym nie łatwo dostało się zwycięztwo, ale dla tych nieszczęsnych plemion, które w nierównym boju, broniąc każdej piędzi ojczystej ziemi, prawdziwe rozwinęły bohaterstwo. Od wieków rozdzielone, a żadnej u siebie nie znające centralizacyi plemiona, w obec tak groźnego niebezpieczeństwa szukały ratunku w połączeniu się wzajemném; zebrana ogólna rada, stworzywszy związek plemienny, ustanowiła jeszcze rodzaj rządu, z piętnastu ludzi złożonego, który miał obroną kierować, a do sułtana i zachodnich mocarstw wysłańców posłać, błagając o pomoc. Usiłowania te jednak skutku przynieść nie miały; władza silna między temi plemionami powstać nie mogła, bo wiekowych nawy-

kniei i tradycyj, chwila niebezpieczeństwa nic zmienia; żadne mocarstwo wystąpić w obronie walczących nie odważyło się, bo nie zdając zapewne sobie sprawy z doniosłości tej walki, nie chciały one wznawiać niezapomnianej jeszcze, a groźnej z Rossyą wojny; utworzony w Turcyi komitet udzielał zaledwo nic nieznaczących w stosunku do potrzeb pomocy, skazane więc na zatracenie plemiona w ostatecznych chwilach nigdzie dla siebie nie znalazły ratunku. Nastał rok 1863ci, a z nim powstanie nasze i tak nazwana dyplomatyczna za Polską interwencya. Była chwila, kiedy w Petersburgu przypuszczano, że noty mocarstw zachodnich mogą być poparte bagnetami, a w takim razie, naturalnym teatrem wojny, jak myślano, byłby i Kaukaz, czego témbardziej spodziewać się było można, że już tocząca się tam walka zwracała uwagę Europy. Wśród tych okoliczności przybyły z Petersburga namiestnik (w. ks. Michał) przywiózł rozkaz przyśpieszenia ile możności końca. Nic w pierwiastkowym planie nie zmieniono, tylko na wielkim zegarze który wybijał ostatnie godziny tych plemion, posunięto o półtrzecia roku naprzód wskazówki. Piszący noty za nami dyplomaci nie domyślali się zapewne, że ich przełożenia, które przeciw nam większą tylko zaciętość wywołać miały, kilka lat życia odbiorą jeszcze mieszkańcom Kaukazu. Podwojono nacisk; naprzód wytępione lub wypędzone zostały górne plemiona. Zrazu walczyły one z najwyższą odwagą i bohatérstwem, pod koniec z niemą rezygnacyą rozpaczy, przekładając śmierć na dziesięć razy spalonej ojcowiźnie nad wynoszenie się w obce strony. Większa część mężczyzn wyginęła w boju, kobiét i dzieci wymarło mnóstwo z nędzy i głodu, ostatkom pozwolono odpłynąć do Turcyi. Skończywszy z tamtymi, zwrócono się do plemion jeszcze między górami i morzem pozostałych. Otoczone dokoła, zdjęte panicznym nareszcie strachem, po pierwszej klęsce poddały się, zgadzając się opuścić ojczyznę i przenieść się do Turcyi. Ostatnimi obrońcami Kaukazu byli Ubychy, Dżigety i drobne, w sąsiedztwie ich mieszkające szczepy. W końcu maja 1864 r. w. ks. Michał z Achczipsou doniosł cesarzowi, że wojna na Kaukazie skończona. Nastąpiło przewożenie pozostałych niedobitków do Turcyi; liczą ich, razem z tymi którzy z dawniej zebranych prowincyj emigrowali wtenczas, 250,000.

Takim sposobem dostała się Rossyi jedna z najpiękniejszych jej prowincyj, żyzna, obfitująca we wszystko, śnieżnemi górami osłonięta od północy, oblana europejskiém morzem, obszerna jak cały Wołyń, mogąca łatwo wyżywić cztery miliony ludzi, ale krwią oblana i ogołocona z odwiecznych swych mieszkańców. Wezwano ze środka państwa osadników, a tymczasem z przesiedlanych tam w czasie wojny kozaków i innych przybyszów utworzono dziewięć konnych kozaczych pułków. Od 1861 po 1865ty rok założono w tym stopniowo zabiera-

nym kraju sto jedenaście stanic i osadzono w nich 14,233 rodzin (1). Ale nabytek nowej prowincyi nie był wcale jedyném następstwem tych strasznych kampanij; zmieniły one jeszcze stanowisko Moskwy na Wschodzie, i zapewniły jej w tamtych stronach wpływ przeważny. Od chwili wytępienia mieszkańców kaukazkich, nie potrzebuje tam ona utrzymywać licznego jak dotąd wojska, i w danym razie bitne pułki tameczne może przenieść wszystkie na każden inny teatr wojny, bez żadnego dla siebie niebezpieczeństwa (2). A jeżeli tę korzyść uważać można za czasową, bo i najdzielniejsza armia wymiera, a po latach kilkunastu nie będzie już w tamtych szeregach zahartowanego dzisiaj żołnierza, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że posiadłszy zupełnie kraj zakaukazki Moskwa zyskała dla siebie stałą i pewną dla dalszych wojennych operacyj podstawę. Stoją dziś przed nią otworem wszystkie krainy średniej i południowej Azyi, aż po Indye i łańcuch Himalaja. Oparte o góry Kaukazkie jak o niezdobytą twierdzę, mając tam magazyny, zbrojownie, wojska jej mogą w każdej chwili, nie spotykając żadnej prawdziwej zapory, posunąć się z jednej strony do Indu, a z drugiej, przez Azyę mniejszą, do Syryi i Jerozolimy; ztamtąd też daleko im łatwiej zagrozić Konstantynopolowi niż było dotąd lądową europejską drogą, lub za pomocą czarnomorskiej floty. Persya i azyatyckie Porty Ottomańskiej prowincye, są teraz na jej łasce, i nie dziw że myślący Moskale z dumą odzywają się dzisiaj, iż granice ich państwa na Wschodzie zależą jedynie od własnej tegoż państwa woli. Znaczącym w tym razie symptomatem jest i to, że rząd który niedawno wszystkie kroki swoje w Azyi głęboką okrywał tajemnicą, o Orenburgu, Kaukazie i Azyi środkowej niczego drukiem ogłaszać nie pozwalał, dziś z zamiarami tam swojemi nie kryje się wcale; owszem, w chwili kiedy noty gabinetu petersburgskiego zapewniają Europę o pokojowej tam jego polityce, pozwala u siebie, w pismach publicznych roztrząsać te wszystkie kwestye, i wskazywać narodowi, że jest powołanym do opanowania Wschodu. Odpowiada to zupełnie odwiecznemu poczuciu mass całych, i w ich namiętności gotuje rządowi najsilniejsze w danym razie uznanie i poparcie.

XXVII.

Podczas tych wypadków na Kaukazie i na wschodnich krańcach Sybiru, nie zaniechano całkiem i zatwierdzonego przez Mikołaja proje-

(1) Fadiejew.
(2) Według obliczeń jenerała Fadiejewa, pułki te, razem z kubańskiém kozaczém wojskiem, wynoszą przeszło 100,000 najbitniejszego żołnierza.

ktu połączenia orenburgskiej i sybirskiej linii. Między 1854 a 1860 rokiem zabrano ostatecznie okolice rzeki Ili, i u stóp prawie pasma Tian-szan zbudowano twierdze : Wierną (Ałmaty) i Kastek. W 1860 pułkownik Zimmerman przeszedł ztamtąd z oddziałem na dolinę rzeki Czu, wziął dwie forteczki kokańskie Tokmak i Piszpek i wysadził je w powietrze, nie straciwszy sam ani jednego żołnierza, bo Sarty składający załogi poddali się łatwo. Wyprawiano później oddziały na wzwiady ku twierdzy Aulie-ata. Jednocześnie ze strony orenburgskiej odbudowano zburzoną w 1853 r. forteczkę Dżiulek, i zdobyto leżącą na drodze do Turkestanu małą twierdzę Jany-Kurhan. Posuwano się wprawdzie bardzo powoli; w 1863 r. rządzący krajem orenburgskim jenerał Bezak bojąc się dać powód do wojny, pułkownika Czerniajewa za to, że będąc posłanym na rekonesans do gór Karatau dwie malutkie forteczki kokańskie zdobył, z korpusu swojego wydalił; ale to trwało nie długo. Już w końcu maja następnego roku tenże sam Czerniajew z 2500 ludźmi sybirskiego korpusu przybył na linię i wziął Aulie-ata; jednocześnie ze strony orenburgskiej pułkownik Wierowkin dobył Azretu, zwanego także Turkestanem. Bezak z Orenburga odwołanym został, utworzono nową *kokańską* linię, rozciągającą się od doliny Czu po Syr-Daryą, a mianowany jenerałem Czerniajew został jej dowódzcą. Przekonano się na miejscu, że dogodniejszą na tymczasową granicę będzie linia obejmująca całkiem pasmo Karatau, posunięto więc wojska pod Czemkent, jednę z większych fortec kokańskich i tej z małą stratą w końcu września szturmem dobyto. Dla uspokojenia Europy, książe Gorczakow rozesłał wtenczas do dworów zachodnich noty (z d. 21 listopada 1864 r.) upewniając, że raz przeszedłszy stepy i stałą uzyskawszy granicę, Rossya już żadnych w tych stronach zdobyczy robić nie potrzebuje i nie będzie, a poszanowaniem dla praw swoich sąsiadów przekona ich o swych pokojowych i przyjaznych dla nich wszystkich uczuciach.

Wypadki jednak miały zaraz zaprzeczyć tym oświadczeniom księcia Gorczakowa. Prawdopodobnie gabinet petersburgski w tej chwili posuwać się dalej nie myślał i ogłoszone świeżo przez jenerała Romanowskiego dokumenta (1) zdają się tego dowodzić ; w przeciwnym bowiem razie, rząd niezawodnie większeby siły na nowej linii zgromadził i dowódzców jej, bez koniecznych do szerszego działania funduszów i środków nie zostawił. Widzieliśmy jak na Kaukazie obmyślone plany prowadzić i wszystko do ich wykonania wcześnie przygotować umiał. Śmiesznem byłoby znowu dowodzić, że w tej nowej linii coś więcej nad czasową widział granicę i jakby stacyę tylko na swej drodze. Ale Moskwa nie była już w tej chwili karném cesarza Mikołaja państwem ;

(1) Przy książce : *Zamietki po sredne-azyatskomu wôprosu*. D. I. Romanowskaho. Petersburg, 1868.

porozpoczynane wszędzie reformy, rozbudzone przeciw Polsce namiętności, wprowadziły i do rządu nieznane tam dotąd żywioły, a rozzuchwalały podwładnych, z biernych dawniej narzędzi zmieniając ich nieraz na ludzi własnej inicyatywy. Całe zastępy młodego pokolenia czuły się powołane reformować społeczeństwo, młodzi ludzie łatwiej nierównie niż dawniej dochodzili do władzy, i używali jej daleko niezależniej niż dotąd. Musiało się to odbić wszędzie. Dowódzcom wojsk na nowych państwa pobrzeżach, z powodu samego ich położenia musiała być szersza zostawiona inicyatywa, a prywatna każdego z nich ambicya, chęć odznaczenia się, mogła popchnąć wypadki.

Młody jenerał Czerniajew, którego już raz widzieliśmy przekraczającego instrukcyę Bezaka, po wzięciu Czemkentu, z własnej inicyatywy poszedł pod Taszkent, myśląc, że może pod wpływem strachu i to miasto się podda. Miał w swoim oddziale zaledwo półtora tysiąca ludzi, resztę sił jego stanowiły załogi Azretu i Czemkentu. Taszkent liczył jak utrzymywano sto dwadzieścia do stu pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców, a mur otaczający poprzedzielane ogrodami ulice, miał dwadzieścia cztery wiorsty w obwodzie. Nie udało się młodemu jenerałowi i musiał nazad powrócić, ale kiedy przypatrzył się żyźnej okolicy i samemu miastu, myśl ta jeszcze głębiej zapadła w jego duszę. Rzecz sama przez się trudną nie była. Taszkent od dawna w kłótni z Kokanem nie cierpiał narzuconego przez Kipczaków chana; wszystkie nieprzyjazne sobie warstwy społeczne w tych stronach, żyły tam obok siebie, i była zawsze partya gotowa połączyć się z każdym dzisiejszego chana nieprzyjacielem; prócz tego Sarty stanowiący główną część handlowego przedewszystkiém Taszkentu, przez kupców swoich mających w Rossyi stosunki bardziej z nią oswojeni, a pod jej opieką pewnych handlowych korzyści spodziewający się, z łatwością wszelkim podszeptom dawali ucha. Czerniajew podał projekt zabrania miasta i utworzenia zeń tymczasowo osobnego, zwierzchność tylko Moskwy uznającego chanatu. Rząd myśli tej nie zatwierdził, ale ministrem wojny był już wtenczas dawny Czerniajewa kolega, jenerał Miliutin i zgodzono się przedsiębierczego jenerała nie tylko nie zrażać, ale owszem, zachęcić. Na początku lutego 1865 r. z dotychczasowej kokańskiej linii utworzono osobną prowincyę, pod nazwaniem *Turkestańskiego obwodu*; obejmowała ona całą przestrzeń od jeziora Issyk-Kul po morze Aralskie; rządzić nią miał wyłączny wojenny gubernator, zależny wprawdzie od orenburgskiego jenerał-gubernatora, ale któremu wszystkie wojska na Syr-daryjskiej linii znajdujące się oddano i nowe jeszcze siły z Syberyi i Orenburga nadesłać przyrzeczono. Wojennym gubernatorem został jenerał Czerniajew.

Pretext do kroków zaczepnych znalazł się natychmiast. Rządzący Kokanem Alimkul kusił się odebrać Azret, i wioseczkę w blizkości

jego zajął, a stronnicy moskiewscy w Taszkencie przysyłali skargi, żaląc się na tyranię kokańskiej w mieście załogi; prócz tego dochodziły wieści, że emir bucharski chce skorzystać z ciężkiego położenia kokańskiego chaństwa i wojska zgromadza, aby nie zajęte jeszcze przez Moskwę części jego zagarnąć. Czerniajew postanowił uprzedzić go i Taszkent, rachując na przyjazną w nim dla siebie ludność, zabrać. Mając zawsze szczupłe siły nie chciał wstępnym iść bojem; obszedł miasto, i dobywszy twierdzy Niazbek leżącej u źródeł obmywającego Taszkent Czirczaku, koryto tej rzeki odwrócił. Sarty prosili wtenczas aby się wojska moskiewskie do miasta zbliżyły, obiecując rzucić się w tej chwili na załogę i bramy otworzyć. Nadszedł Czerniajew, ale wyprzedzony przez Alimkula który w 6,000 wojska w Taszkencie się zamknął, znowu cofnąć się musiał. Przewaga Alimkula w mieście nie długo wszakże trwała, bo wkrótce potém zrobiwszy wycieczkę, zupełnie pobitym został i tę przegranę własném nawet życiem przypłacił; ale po jego śmierci inne znowu, nieprzyjazne Moskwie stronnictwo górę wzięło, bo Uzbegi otrzymali przewagę i wysłali posłów do bucharskiego emira, prosząc go o pomoc. W skutek tego, na żądanie emira, syn Alimkula do Buchary odesłanym został, a wkrótce wszedł do miasta z oddziałem jazdy bucharskiej, Iskander-bey. Nie chcąc całej siły emira przeciw sobie wyzywać, trzeba było albo odstąpić zamiaru, albo z wykonaniem go pośpieszyć. Czerniajew naturalnie wybrał ostatni środek, a urok świeżego zwycięztwa dopomógł mu, bo na wieść samą o zbliżaniu się jego, załoga twierdzy Czinaz leżącej nad Syr-Daryą, uciekła za rzekę, on miasto i forteczkę, ważną przez samo położenie swoje, zajął i posunął się pod Taszkent. Po trzech dniach mury zewnętrzne zdobyto szturmem; załoga pierzchła, miasto z pomocą przyjaznych Moskwie Sartów wraz z cytadellą poddało się; wśród mnóstwa rozmaitej broni znaleziono tam dział samych sześćdziesiąt, (było to w połowie marca 1865 r.) Wzięcie Czinazu i Taszkentu przenosiło granicę na Syr-daryę, a żyzna okolica środków do wyżywienia licznego nawet wojska dostarczyć mogła. Czerniajew pisał, że z Rossyi niczego prócz kul i prochu potrzebować nie będzie. Wszedłszy raz do Taszkentu, zrzekł się myśli utworzenia zeń osobnego chanatu, znalazł naturalnie, że właściwiej będzie daleko zrobić zeń stolicę turkestańskiego gubernatora.

Zdobycie, przy wewnętrznych między mieszkańcami niechęciach i zwadach, przyszło łatwo. Jenerał Czerniajew stał się bohatérem; posypały się na niego nagrody i łaski, ale to co zrobił prześcigało w tej chwili zamiary rządu, i dla tego nie znalazł on pod ręką środków do posuwania się dalej, a nawet samo utrzymanie się na miejscu niemało przyczyniało kłopotów. Siły miał stosunkowo niewielkie, a emir bucharski, który tymczasem zajął Chodżent i całą aż po Czirczak krainę, miany przez mieszkańców za niezwyciężonego, wywierał jeszcze wpływ

niemały na umysły, i przy najmniejszém ze strony rossyjskiej niepowodzeniu, znalazłby mnóstwo stronników w świeżo zabranych prowincyach. Postanowiono nie zrywać stanowczo stosunków, aż do przybycia nowych z cesarstwa posiłków, ale też najmniejszego nie zrobić ustępstwa, któreby jakąkolwiek obawę lub słabość zdradzać mogło. Jenerał Czerniajew w kilka dni po wzięciu Taszkentu, aresztował wszystkich znajdujących się tam kupców z Buchary wraz z ich towarami, a na jego żądanie, spotkało toż samo i karawany bucharskie będące wtenczas w imperyum; emir wet za wet aresztował u siebie kupców moskiewskich, ale pomimo to, nietylko do kroków nieprzyjacielskich się nie posunął, ale nawet posłów od siebie wyprawił, żądając aby ci w Petersburgu z rządem samym o pokój się umawiali. Zatrzymano ich na Syr-Daryi, odpowiedziawszy, że z jenerał-gubernatorem traktować mają. Przeciągano to umyślnie. Tymczasem zdobywca Taszkentu szukał nowych w pozostałej części Kokanu stosunków, a emira starał się skłonić żeby ten, korzystając ze śmierci Alimkula, teścia swojego Chudojara na chaństwo tam prowadził. Był to sposób zajęcia go na czas pewien i zwrócenia sił jego w tamtą stronę, a zarazem zapewnienia sobie stronnictwa w Kokanie, bo gdyby Chudojar, dwa razy już przez Kipczaków zrzucany, znowu na chaństwie osadzonym został, Rossya zawsze przeciw niemu najdzielniejszą część miejscowej ludności podburzyćby mogła. Zręczny jenerał, dawał w swych listach do zrozumienia, że w razie potrzeby, nawetby swojej pomocy emirowi udzielił. Zajmowano się czynnie tymczasem wzmocnieniem zabranych twierdz i forteczek i budowaniem koszar i mieszkań dla wojska.

W końcu października tegoż roku, Czerniajew wysłał od siebie posłów do Buchary, ale emir ich zatrzymał. Pewny siebie jenerał, któremu udało się wziąść Taszkent, zebrawszy wtenczas czternaście kompanij piechoty i sześciuset kozaków, przeszedł Syr-Daryą 31 stycznia 1866 r., i posunął się ku twierdzy Dżizak po drodze wiodącej do Buchary. Spodziewał się zastraszyć tém emira; pisał do niego że idzie nie dla zawojowania chaństwa, ale dla wyswobodzenia posłów, bo tego wymaga cześć *białego cara* i 75 milionów jego poddanych, i że nie wróci póki ich nie spotka. Właściwie wojny z Bucharyą rozpoczynać nie mógł, bo wystarczających sił na to i środków nie miał. Rachuba wszakże zawiodła; po małej około Dżizaku utarczce, oddział wrócić musiał, nie doczekawszy się posłów, a tłumy jazdy bucharskiej przeprowadzały go do samej rzeki. Na Wschodzie rozgłoszono to jako zwycięztwo, a wpływ jego moralny w tamtych stronach był ogromny; nowa otucha wstąpiła w dusze muzułmanów, i widoczném było, że kroki zaczepne z ich strony rozpoczną się prędko.

Rząd znajdując świeżego bohatéra nierozważnym, odwołał go, a na jego miejsce przeznaczył byłego dawniej redaktora urzędowej gazety

Inwalid, jenerała Romanowskiego, który miał naprawić co żywość zbyteczna poprzednika zepsuła. W instrukcyi zalecono mu, nie kusić się o nowe zabory, a wszakże nie unikać niczego coby istotnym interesom państwa odpowiadało, a starając się odnowić dawne handlowe z Bucharyą stosunki, nie robić jej żadnych ustępstw, pamiętając, że między Azyatami jedną tylko poważają siłę. Przyrzeczono nowemu gubernatorowi przydać wojska aby go miał do 16,000. Emir bucharski wyraźnie gotował się do wojny, ale wyczekiwał jeszcze; Romanowskiemu nadeszła część posiłków i udało się dwa razy, wysłanemu na rekonesans oddziałowi, zabrać kilkonasto-tysięczne trzody baranów i bydła. Opierając się na wrażeniu jakie to pierwsze powodzenie sprawiło, jenerał Romanowski zażądał od emira powrotu posłów i cofnięcia wojsk wszystkich z nad granicy. Seid-Muzaffer w odpowiedzi, tegoż samego prawie domagał się od niego, a tymczasem Uzbegi w Taszkencie sposobili się do powstania, i przy piérwszej przegranej, kraj zapewne cały byłby w ogniu. Wojsko bucharskie gotowało się do przeprawy przez Syr-Daryę, ale je Romanowski uprzedził; oddział jego wynosił 3,000 ludzi—spotkanie zaszło 11 maja (1866) pod Irdżarem. Emir pobity został na głowę, stracił cały swój obóz i sam zaledwo, jak powiadano, z 2,000 jazdy ujść zdołał. Klęska Seid-Muzaffera którego dotąd miano za niezwyciężonego, musiała na wschodnie umysły wielki wpływ wywrzeć. Romanowski korzystając z tego, zwrócił się ku Syr-Daryi, i dobywszy forteczki Nau, obległ wielkie, handlowe, i uważane za bardzo obronne miasto Chodżent, którego po kilku dniach dobył. Zmieniła się postać rzeczy; przybyli zaraz posłowie emira i Chudojara: pierwszy prosił o pokój, drugi winszował zwycięztwa i służby swe zalecał, ludność wracającego do Taszkentu gubernatora witała jak przed kilkunastu laty Kirgizi jadącego z Akmeczetu jenerała Perowskiego. Nowemu gubernatorowi który według instrukcyi miał strzedz się dalszych zaborów, napisano z Petersburga, po otrzymanej tam wiadomości o zwycięztwie Irdżarskiém, że powinienby Chodżent zabrać; on zaś sam, myśląc że Syr-darya i ciągnąca się za nią piaszczysta pustynia Kyzył-kum dobrą byłaby na czas dla państwa granicą, uznawał, że należałoby jeszcze zająć teraz Namengan, leżący u źródeł Syr-Daryi; tak właściwie i rząd i każden pojedyńczy Moskal, stałych granic na Wschodzie dla siebie nie widzi. Emir odesłał zatrzymanych w Bucharze wysłańców jenerała Czerniajewa, napisano mu warunki przyszłego pokoju, ale ostateczne o nich traktowanie odłożono do przyjazdu spodziewanego w Taszkencie orenburgskiego jenerał-gubernatora.

Gdy ten przybył, dano znać emirowi, a tymczasem, za pozwoleniem cesarza Aleksandra II, uroczystym sposobem odebrano od mieszkańców Taszkentu, twierdzy Nau i Chodżentu przysięgę na poddaństwo, dla osłabienia zaś wpływu duchowieństwa, zaprowadzono sądy narodowe,

tak zwane *mechkeme*, w których stronnicy Rossyi główne pozajmowali miejsca. Nauczona ludność tych miast, już obyczajem rossyjskim z chlebem i solą przyjmowała jenerała Križanowskiego.

Nowy posłannik Seid-Muzaffera przybył do Chodżentu; emir przyjmował warunki, ale od kontrybucyi której od niego żądano, jako powrotu kosztów wojennych, wymawiał się. Dano mu dziesięć dni czasu z zastrzeżeniem, że jeżeli w tym terminie pieniądze przysłane nie będą, kroki wojenne rozpoczną się natychmiast, a ponieważ nowy posłaniec w tym czasie nie przybył, dnia więc 23 września wojsko przeszło Syr-Daryę. Znalazło kraj usiany pustemi wioskami — mieszkańcy byli w mieście i twierdzy Ura-Tiube, a domy w wielu miejscach spalone. Dnia 2 października, twierdza Ura-Tiube szturmem została zdobytą, ludność jej prawie całą w pień wyrznięto; w kilka dni potém, pomimo zaciętej obrony, padła ostatnia w Syr-daryjskiej dolinie bucharska forteczka Dżizak, a z kilkunasto-tysięcznej załogi, zaledwie 1200 ludzi, w połowie rannych, wśród rzezi ocalało. Takim sposobem granica z nad brzegów rzeki posunęła się znowu aż ku górom oddzielającym jej dolinę od doliny Zarafszanu na której leży Samarkanda. Nic lepiej nie maluje wewnętrznego w Bucharyi rozstroju i nienawiści wzajemnych jakie tam panują, nad ten fakt, że do obozu zwycięzców pod Dżizakiem, przybyli wysłańcy z Szehry-Sebs i innych odleglejszych miejscowości, obiecując swą pomoc w razie gdyby wojska dalej posunąć się miały. Na ten raz zatrzymano się tam; wojsko zajęło zimowe leże, a rząd nie zgodził się nawet na proponowane przez jenerała Romanowskiego zajęcie Namenganu. Resztki chaństwa kokańskiego już były od Bucharyi ziemiami świeżo zajętemi oddzielone, handlowe korzyści i bez zaboru można w nich było dla siebie zapewnić, obszar w przeciągu roku zabrany i tak był wielki, nie chciano więc sobie przyczyniać kłopotu i odłożono to na później.

Tymczasem, pod prezydencyą ministra wojny, jenerała Miliutina zebrany został w Petersburgu komitet, mający nową dla świeżo nabytych prowincyj ułożyć organizacyę. Utworzono oddzielne Turkestańskie jenerał-gubernatorstwo, rozdzielone na Siedmiorzecze i obwód Syrdaryjski; weszła weń część dawnego Semipalatyńskiego obwodu, ze śnieżném pasmem Ałatau i koczowiskami skalnych Kirgizów. Pas ten ziemi stał się tém, czém były dla państwa nie dawno jeszcze forteczki nad Urałem, wysuniętą naprzód placówką. Wszystkie wojska z Orenburga tam przeniesiono (1); mur który to miasto otaczał, ręka-

(1) Według obliczeń jenerała Romanowskiego, wojska rossyjskie w Turkestanie, składają się z 20 batalionów regularnej piechoty i z brygady artyleryi; ludność zaś kozacza, która tym stronom jazdy wprawdzie nieregularnej ale zupełnie miejscowym potrzebom odpowiedniej dostarcza, wynosi: w wojsku uralskiém prawie 92, w orenburgskiém 239, w Siedmiorzeczu i Zachodniej Syberyi 113, a razem 444 tysiące.

Co do ludności Turkestanu, Vambery oblicza ją w Bucharyi na półtrzecia, w Kokanie na trzy mi-

mi konfederatów barskich wiek temu nazad wzniesiony, zrzuconym został, dotychczasowa twierdza stała się cichém gubernialném miastem, a zgiełk wojenny i cała praca zaborcza przeniosła się za Syr-Daryę.

XXVIII.

W rok po zajęciu Ura-Tiube i Dżizaka, w listopadzie 1867 r. przybył do Taszkentu, przeniesiony tam z Litwy, nowy jenerał-gubernator von Kaufmann, upoważniony do podpisania traktatu, a jednocześnie z nim prawie wrócił z Petersburga do Buchary wysłannik Seid-Muzaffera z warunkami pokoju, na których emir miał pieczęć swoję przyłożyć. Nie wiadome nam są instrukcye jenerała Kaufmana; prawdopodobnie jednak nie życzono sobie wojny natychmiast, przekładając zapewne urządzić się piérwej ostatecznie w świeżo nabytych prowincyach, a nawet i w Bucharyi szerszego nabyć wpływu, aby tém mniejszym kosztem posuwać się później naprzód. Nie miano powodu spieszyć się jak na Kaukazie, bo nie groziło nic zgoła.

Nowo zdobyty kraj z powodu trudnych komunikacyj był jeszcze jakby oddalony od środka państwa; sprowadzenie wojsk lądem z Wołgi do Taszkentu, zabierało przeszło rok czasu, a w razie wojny mogły być potrzebne posiłki. Komunikacye odbywały się jak do dziś dnia, gościńcem stepowym, przez Orenburg, Orsk i dalej brzegiem Syr-Daryi, albo przez Omsk i twierdzę Wiernę około jeziora Issyk-kul. Bardzo być może, że chciano piérwej urządzić dogodniejsze drogi, bo były już ku temu przygotowane projekta. Według nich, jedna z tych dróg z zatoki Krasnowodzkiej, dawném łożyskiem Amu-Daryi, prowadziłaby do teraźniejszego jej ujścia, druga przechodząc po grzbiecie Ust-Urtu, łączyłaby morze Kaspijskie z Aralskiém; obydwie, Kaukaz dzisiejszy, a przez Wołgę i sam środek państwa spajałyby z najodleglejszemi punktami Turkestańskiego jenerał-gubernatorstwa. Jeden z tych projektów pewno niebawem wykonanym będzie. A i bez tego, samo urządzenie kraju wymagało pilnego zajęcia się, tém bardziej że wszystko tam jak na przestrzeni całego państwa, zwłaszcza w niemoskiewskich jego prowincyach, od razu przekształcić chciano. Jenerał von Kaufmann zajmował się wprowadzeniem nowych instytucyj, a podzielały z nim te prace, rozmaite komissye w tym celu poprzysyłane; były projekta podzielenia całego stepu kirgizkiego i nowego jenerał-gubernatorstwa na powiaty i gminy jak wszędzie. Potrzeba było na to spokoju.

liony; rachując jeszcze na Chiwę z Turkmenami milion, co najmniejszą jest cyfrą, wypadłoby razem mniej więcej sześć milionów. Musimy jednak zauważać, że jenerał Romanowski opierając się na obliczeniach pochodzących z dwóch różnych źródeł, Kokańskiemu chaństwu nie daje więcej nad milion ludności, co cyfrę ogólną o wiele zmniejsza. Dokładne zresztą obliczenie jest dzisiaj rzeczą w tych stronach niemożebną.

Bucharya czekać nie mogła — przy stanie wewnętrznym jaki wyżej staraliśmy się określić, nie była zdolną do żadnej myśli politycznej, a tém mniej do powolnego skupiania sił i organizowania obrony; zawsze tam chwilowym tylko interesem albo namiętnością rządzono się, o istotnej zaś potędze Moskwy nie miano żadnego wyobrażenia. Klęska sama zachwiała bardzo powagę emira; co było prawdziwie muzułmańskiego w chanacie uczuło się dotkniętém w najgłębszém swojém uczuciu, a rok który upłynął, do wszystkich niechęci mnóstwo nowych dodać musiał, bo na same wydatki wojenne parę razy nadzwyczajny nałożono podatek, z właściwą Wschodowi samowolnością podniesiono raptem kurs pieniędzy i t. p. Duchowieństwo mahometańskie, wielki wpływ mające, w traktacie widząc hańbę i poniżenie Islamizmu, domagało się wojny. Emir chciał zyskać na czasie,posyłał do Taszkentu prosząc o rozwiązanie coraz nowych trudności napotykanych w warunkach pokoju,a tymczasem w okolicznych chanatach szukał sprzymierzeńców. Chiwa nie chciała się ruszyć, Kokan otoczony zewsząd, nadto był słabym, aby po świeżych klęskach na kroki zaczepne mógł się odważyć; za górami, w chińskim dotychczas Turkestanie, po wypędzeniu Chińczyków, (których 10,000 rodzin przeniosło się na ziemie moskiewskie, w okolicach jeziora Issyk-kul) panowała zupełna anarchia i Jakub-bek, znany w walkach z Moskwą towarzysz kokańskiego Alimkuła, korzystał z niej żeby dla siebie utworzyć nowy chanat, Ałtyszar (sześć grodów) ze stolicą w Kaszgarze; niejeden z beków rządzących pojedyńczemi miastami odpowiadał, że jak Emir wojnę rozpocznie z niewiernymi to i on ostatnim nie będzie, ale do tej chwili własnych pilnować musi interesów. Chcąc zaczepnie wystąpić, na nikogo więc rachować nie było można, ale znowu, przy jakiémkolwiek powodzeniu, emir mógł liczyć na całą prawie ludność mahometańską tych stron.

Oddziały rossyjskie wysyłały rekonesanse, w górach otaczających już dolinę Zarawszanu zaczęto stawiać forteczki i następowały starcia z bucharskiemi gromadami; powód do rozpoczęcia kroków wojennych można było mieć każdej chwili. Tymczasem nadszedł bajram, wielkie święto muzułmańskie, pamiątka abrahamowej ofiary: ulemy skorzystali z tego i *gazat* to jest wojnę świętą przeciw Moskwie opowiadać zaczęli; sfanatyzmowane tłumy parły emira do kroków zaczepnych, i bardzo być może, że w przeciwnym razie groziłoby jemu samemu niebezpieczeństwo. Dzienniki rossyjskie jego *wiarołomstwu* przypisują wszystko. Nie będziemy probowali rozstrzygnąć z czyjej strony padł strzał pierwszy, i rzecz to zresztą obojętna. Położenie było takie, że z jednej strony uczucia wzburzone powstrzymać było trudno, a z drugiej, Moskwa raz wystąpiwszy do boju cofnąć się nie mogła. Czy sama przyspieszyć tej chwili,mając ją dla siebie za dogodną,nie starała się? to później się chyba pokaże. Ciekawym do zapisania jest faktem, że zaraz przy pierw-

szych krokach nieprzyjacielskich, wysłany przez emira na przednią linię od czterech lat na żołdzie jego zostający oddział Afganów, uważanych w tych stronach razem z Turkmenami za najwaleczniejszych, rzucił się na Bucharców, rozbił ich i sam przeszedł do Moskali. Dowodził nimi Iskander-chan, wnuk Dost-Mohammeda i brat stryjeczny dzisiejszego pretendenta w Afganistanie.

Pochód Kaufmana był naturalnie ciągłém zwycięztwem (1). Pierwsze spotkanie zaszło 13 maja nad Zarawszanem. Emir zupełnie rozbity, stracił dwadzieścia jedno działo; przed uciekającymi przestraszona Samarkanda zamknęła swe bramy, a nazajutrz, wysłała swoich aksakałów do jenerała, poddając mu się dobrowolnie; 14 maja 1868 roku von Kaufmann na czele wojska wszedł do stolicy Tamerlana. Nastąpiły jeszcze cząstkowe w okolice wyprawy, dla opanowania już całej doliny Zarawszanu i rozpędzenia gromadzących się tam zbrojnych tłumów, ale wszystkie kończyły się dla oręża moskiewskiego pomyślnie. Najzaciętszy opór stawiła o trzydzieści dwie wiorsty na południe od Samarkandy odległa forteczka Urgut, w wąwozie zbudowana, a której mieszkańcy szczycili się tradycyą szczęśliwej przeciw samemu Tamerlanowi obrony; dobyto jej z niewielką stratą.

Bucharcy jednak raz jeszcze pokusić się mieli o odebranie Samarkandu. Zebrały się znaczniejsze ich tłumy na drodze ku Bucharze, jakby dla wywabienia Kaufmanna z *rajskiego* miasta; poszedł dla rozpędzenia ich pod Katy-Kurhan z całemi prawie siłami, bo tylko cztery kompanie jako załogę w Samarkandzie zostawił. Korzystając z tego, mieszkańcy Szehry-Sebs,pod dowództwem nieprzyjaznego emirowi Dżarabeka, Kipczaki i okoliczne Uzbegi otoczyli Samarkandę; otworzono im bramy i mieszkańcy wspólnie z nimi przez całych dni ośm szturmowali cytadelę. Szczupła załoga potrafiła jednak obronić się, a gdy Kaufmann rozgromiwszy zebranych pod Katy-Kurhanem nazad wrócił, pierzchły oblegające tłumy. Urzędowe źródła rossyjskie liczbę ich na 50 do 60,000 podają. Zajęta znowu Samarkanda spaloną podobno została; Emir d. 20 czerwca przysłał posłów prosząc o pokój, a jenerał Kaufmann ułożywszy wstępne warunki do Petersburga odjechał, i kroki wojenne zawieszone zostały. W ślad za jenerał-gubernatorem pośpieszyli nad brzegi Newy wysłańcy kokańskiego Chudojara i Jakubbeka z Kaszgaru, prosząc dla swoich chanatów o przyjaźń i opiekę, a wszelkie ze swej strony przyrzekając usługi i handlowe dla kupców moskiewskich zapewniając przywileje.

Jakikolwiek los spotka ułożone przez Kaufmanna warunki w Petersburgu, zawsze będą one tylko czasowe; inaczej być nawet nie

(1) Miał w swym oddziale według urzędowych sprawozdań 21 i pół kompanij piechoty, 16 dział i 450 kozaków.

może. Zajęcie reszty bucharskiego chaństwa jest naturalnie tylko kwestyą czasu, i dosyć jest rzucić okiem na mappę tych stron aby się przekonać, że Moskwa która się na Syr-Daryi zatrzymać nie mogła, nie może poprzestać na niepewnej, między Bucharą i Samarkandą granicy. Pierwszą, naturalną dla niej stacyę w dalszym pochodzie, stanowić musi Amu-Darya. Że później bezsilna Chiwa nie będzie w stanie najmniejszego stawić oporu, a turkmeńskie plemiona gdyby uledz nie chciały, może spotkać los mieszkańców Kaukazu, tego nie potrzebujemy dowodzić. Pozwolimy sobie przypomnieć teraz czytelnikowi projekt księcia Bariatyńskiego wyprawy do (Indu i odpowiedź rządu, odkładającą to do chwili wspólnego działania kaukazkiego, orenburgskiego i sybirskiego korpusu. Pierwszy z nich po ostateczném wytępieniu Czerkiesów jest zupełnie wolny i może być posłanym wszędzie, dwa inne, skupione dzisiaj pod dowództwem turkestańskiego jenerał-gubernatora, stoją nad Syr-Daryą i Zarawszanem, o kilka kroków niemal od pola wiekowych utarczek między władcami Buchary i Kabulu.

Bronisław Zaleski.

Wrzesień 1868.

O. HIERONIMA KAJSIEWICZA

LISTY ZA-ATLANTYCKIE

DO BRACI I PRZYJACIÓŁ.

LIST PIERWSZY

Z RZYMU DO QUEBEC.

Od 7 maja do 28 czerwca 1865 roku.

Jakem pisywał do was ze Wschodu do wielu razem, w niepodobieństwie pisywania do każdego z osobna, tak i obecnie w podobny sposób odzywam się z za Atlantyku, aby uspokoić łaskawą troskliwość waszą o mnie, i podziękować jakkolwiek za modlitwy.

Jak wam powszechnie wiadomo, lat już temu ośm, na natarczywe prośby i powiem błagania j. ks. Charbonnel naonczas biskupa Toronto w Kanadzie (a od lat kilku po rezygnacyi dyecezyi kapucyna we Francyi) lat temu ośm powiadam, posłaliśmy tam młodego księdza i kleryka. Odtąd kleryk się wyświęcił na kapłana, trzech innych przybyło, szósty ma przybyć w jesieni; mają nadto trzech braciszków, (pierwszy braciszek posłany z Europy prędko zmarł). Jest ich zatém ośmiu, rychło będzie więcej; przez pierwsze lata trzech ich obsługiwało trzy spore parafie; tylko codni piętnaście zjeżdżali się na konferencyę duchowną i dla wyspowiadania się wzajem. Od roku dwóch zostało na dwóch parafiach, ale przy trzeciej jest okrom trzech braciszków trzech kapłanów razem, a czwarty jakem wspomniał spodziewany; mogą już tedy prowadzić porządne życie wspólne. Nadto biskup ich (w Hamilton) mgr. Sorel Irlandczyk z pochodzenia, nagradzając ich długoletnie trudy, wcielił do zgromadzenia naszego w Kanadzie dwie parafie z domostwami i gruntami jakie do nich należały; lepiej są tedy od nas materyalnie zaopatrzeni, choć żyją wśród kolonistów dorabiających się chleba. Z tych powodów na kapitule naszej, rok temu odbytej, missya nasza kanadyjska, uznaną została za drugi dom zgromadzenia (po rzym-

skim), a na mnie z rozporządzenia reguły ciąży obowiązek zwiedzania go i przypatrzenia się czy wszystko jest w porządku. Tém bardziej, iż dziś gdy już otworzyli szkołę, i zapewne na miejscu znajdą powołania do zgromadzenia, powinni umieć nowoprzybywających na miejscu wychować, by nie potrzebowali z tak wielkim kosztem posyłać ich aż do Rzymu. Opłaci się im tedy sowicie że dziś łożą na koszta mojej podróży. Oto jest główny jej powód.

Nadto gdy przed wyjazdem byłem u Ojca Śgo po błogosławieństwo na podróż, spytałem: « a gdybym po drodze znalazł pieniądze na seminaryum polskie w Rzymie, czy mogę wziąść? » — « O bierz, bierz i oburącz » odpowiedział Ojciec Śty, a zatém i o tym celu dodatkowym pamiętać będę.

Nadewszystko zaś prosiłem Pana Boga mojego, abym mógł w ciągu tej podróży być prawdziwym missyonarzem i jak najwięcej dla dobra dusz uczynić.

Wypłynąłem z Civita-Vecchia 7 maja przy najpiękniejszej pogodzie. Opisywać żeglugi po morzu Sródziemném nie myślę. Bo choć ono z jednej strony piękne, a z drugiej można się na niém doskonale rozbić, (morza bowiem wązkie międzyziemne niebezpieczniejsze wśród burzy dla blizkości brzegów ze wszech stron), wszakże ponieważ tyle razy je przepływałem, i nie nadługo traci się z oczu ląd stały, (a wyobraźnia widzi w tém pewne bezpieczeństwo), przeto śmiesznem mi się wydaje opisywać tę przeprawę, jak śmiesznem byłoby opisywać jak to kaczki pływają po stawie. Zresztą po Bogu najwięcej zajmuje mnie człowiek; przyroda przychodzi dopiéro na ostatniém miejscu. Otóż wspomnę znajomość zabraną po drodze z wm księdzem San wizytatorem, (prowincyałem)missyonarzy Śgo Wincentego a Paulo. Poważny ten starzec przez lat kilkanaście missyonarz w Mexyku, wielce do sprawy naszej przywiązany, poprzyjaźniony jeszcze w Rzymie z pobożnym jednym missyonarzem polskim, zaprosił mnie do siebie w razie gdybym wracał przez Hiszpanię; owszem ofiarował mi dać listy do wszystkich biskupów hiszpańskich i do wszystkich domów siostr swoich, tak abym wszędzie był jak w domu. Podziękowałem mu tymczasem za tę jego dobrą wolę, a Bóg jeden wie czy będę mógł z niej korzystać.

Z Marsylii dobiegłem do Hyères za Tulonem dla pozdrowienia niektórych łaskawych znajomych bawiących tam dla zdrowia. Widziałem tam ks. Byszewskiego, który na początku ostatniego ruchu przejechał się do Syberyi i wrócił, a z upadkiem powstania musiał ujść z duszą za granicę. Niepodobna mi tu nie wspomnieć j. ks. biskupa z Frejus do którego Hyères należy, umieścił bowiem w swej dyecezyi, okrom ks. Byszewskiego, czterech innych kapłanów wychodźców i dwóch kleryków w swém seminaryum. Chwała jemu, chwała duchowieństwu francuzkiemu, które tak mało mając, tak serdecznie przecież opatruje

biedę polską. W Paryżu chciałem dni kilka tylko zabawić, alem nie pamiętał, że na miesiąc Maryi schodzi się co wieczór mniej więcej sto dusz polskich. Mało to zapewne, bacząc na wielką liczbę naszych rodaków bawiących w Paryżu, ale dosyć, pamiętając jak daleko mieszkają i że wielu z nich cały dzień musi pracować. Zawezwał mnie zatém ks. Jełowicki do pracy, a tém chętniej się jej podjąłem, że lat temu trzy spiesząc na kanonizacyę do Rzymu, po czternastej nauce przerwałem był kaznodziejstwo moje majowe, a teraz z piętnastą dalej je miałem prowadzić. Wykładałem zatém przez pięć wieczorów *Magnificat*, a szóstego w niedzielę miałem kazanie, na które do dwiestu osób się schodzi. Nazajutrz (22go maja) przypadało roczne nabożeństwo w Montmorency za pogrzebanych tam, ogólnie za pomarłych na wygnaniu Polaków. Dwadzieścia dwa lat temu miałem tam pierwsze kazanie po francuzku przy otwarciu tej pobożnej majówki emigracyjnej, ostatni raz przemówiłem 1850 r. po polsku. Obecnie przyjąłem zaproszenie do śpiewania mszy świętej, wszedł bowiem w ostatnich latach zwyczaj zapraszania księży francuzkich z kazaniem. Tego roku zaproszony był ks. Adolf Perraud oratoryanin francuzki, dyrektor tak zasłużonego względem polskiej niedoli *Oeuvre du Catholicisme en Pologne*. Dotkniętego obłożną chorobą zastąpił młodszy brat jego z tegoż zgromadzenia, ks. Karol Perraud, i jakkolwiek mało miał czasu do przygotowania się, gorąco i serdecznie przemówił, nie szczędził wszakże i niemiłych może nie jednemu prawd, powstawał na żywioł rewolucyjny, któryśmy do sprawy naszej domięszali, wyrzucał niedostateczną w wielu wiarę, brak zgody i jedności. « Jeżeliście niezgodni, rzekł, jesteście niczém, jeżeliście bez Boga, tém bardziej jeszcze niczém. » Dobrze że obcy a niewątpliwie życzliwy kapłan, francuz nareszcie, prawdy takie wypowiedział; my gdybyśmy je byli po raz tysiączny powtórzyli, nie jeden mianowicie z młodej emigracyi posądziłby nas może o duch stronniczy. Mówię młodej emigracyi, bo uważałem podczas kazania, że siwe głowy wychodźców z 1831 r. rzadko już bardzo świeciły wśród młodych twarzy nowego pokolenia emigrantów, za to nagrobków na cmentarzu przybyło dużo od lat kilkunastu.

Z Montmorency (zostawiwszy tłomoczki w Paryżu) udałem się prosto z torbą podróżną do Roermonde w Holandyi gdzie mieszkają rodziny trzech naszych missyonarzy w Kanadzie i zkąd ich się więcej możemy spodziewać. Jadąc do kraju protestanckiego przebrałem się w Bruxelli po świecku, i udało mi się przebranie, choć nie bardzo pochlebnie dla mojej fizyonomii, bo mnie brano to za ministra protestanckiego, to za kupca. Wszakże gdym się dowiedział na noclegu w Maestricht, że w Limburgu holenderskim jako przeważnie katolickim duchowni noszą swoje suknie, wróciłem zaraz do mojej kochanej sutany.

Na statku parowym spotkałem trzech OO. Redemptorystów, wezwa-

nych dla odbycia missyi w pewnej parafii. Chwaliłem ludność limburgską, przyznawali mi słuszność, ale dodając, że jest nieco śpiąca, bo tu nie ma walki; podnosili gorliwość i ofiarność katolików właściwej Holandyi, postawionych naprzeciw protestanckich także obserwantów. Jeden z ojców mówił mi o pewnej okolicy partej jeszcze podczas tak zwanej reformacyi, do którój się wyniosło dużo dawnéj szlachty katolickiéj, dla zachowania swojéj wiary w czasie prześladowania. Zeszli oni na prostych chłopów kolonistów, ale na pamiątkę zachowali po domach swoje herby, które umieli dla Boga wraz z majątkiem poświęcić. Dziś ci chłopi znowu są milionowymi panami. Jeden z nich pokazywał temu ojcu pałacyk, który był sobie świeżo postawił i umeblował, przyznał, że wydał 40,000 guldenów, ale jakoby tłumacząc ten swój zbytek, dodał: «wszakże dałem tyleż na postawienie kościoła, boć co najmniej dać można Bogu, to tyle ile się wyda na siebie.» Starałem się czém inném zająć, bo mi się smutne i gorzkie myśli cisnęły do serca, porównywając szlachtę Holendrów z naszém obywatelstwem.

Tymczasem przybyliśmy do Roermonde. Udałem się do seminaryum, łaskawie zaproszony przez prezydenta, jak tam regensów albo rektorów nazywają. Pokazywał mi ten obszerny gmach, dawniejszy klasztor kartuzów, gdzie Ludolf Carthesianus mieszkał. «Nadmorskie (rzekłem) nie mają takich gmachów seminaryjskich.» — «I owszem rzekł, mają lepsze, rozleglejsze i wspanialsze, z dobrowolnych składek wybudowane.» Uważałem że porządek nauk i ćwiczeń duchownych, zaprowadzony tu jak u nas w lepszych seminaryach na zachodzie, a uczą się bardzo zasadnie. Nazajutrz w niedzielę, obecny byłem przy mszy pontyfikalnej j. ks. Biskupa, dziekana wiekiem wszystkich biskupów holenderskich. Muzyka amatorska niezła, śpiew gregoryański przez uczniów doskonale wykonany, a obrządki odbywane z powagą zwykłą ludziom północnym. Po mszy świętej, złożyłem moje uszanowanie jmci ks. Biskupowi, a zaproszony wróciłem doń wraz ze wszystkimi profesorami, na pogadankę. Na tém samém miejscu był wikarym, potém proboszczem, dziekanem, nareszcie biskupem, obchodził już jubileusz półwiekowy swego kapłaństwa, przystępny, pracowity, miłosierny, kochany jest, i wielbiony powszechnie przez księży swoich i wiernych. Korzystając z dobrych jego usposobień, a wiedząc że w ciągu lata ma być sobór biskupów holenderskich, prosiłem go, aby raczył przedstawić im myśl złożenia się na stypendium stałe dla wychowania jednego biednego kleryka Polaka w seminaryum polskiém, które Ojciec Śty zakładą w Rzymie, ale do którego kapitały polskie w skutek położenia kraju skąpo przychodzą; i że przeto postanowiliśmy prosić u katolików rozmaitych narodów, o podobną jałmużnę na korzyść tak biednego dziś i prześladowanego Kościoła polskiego. Pomy-

ślał chwilę wielebny starzec, i obiecał że projekt ten przedstawi, i sądzi, że nie będzie trudności w jego przeprowadzeniu. Podziękowałem i pożegnałem go. Zostawała najtrudniejsza praca pożegnania trzech rodzin naszych missyonarzy w Kanadzie, bo wszędzie mnie częstowano, a niepodobna było całkiem się wymówić. Dziękowałem Bogu żem wyszedł obronną ręką z tego niebezpieczeństwa.

Nazajutrz ruszyłem napowrót ku Brukselli, jedno już nie na Maestricht, ale przebrałem się ku drodze żelaznej wiodącéj do Akwizgranu (Aix la Chapelle). Rad pozdrowiłem znajomego mi od lat trzydziestu jmć ks. biskupa luxemburgskiego, mgra Laurent, wypędzonego ze swéj dyecezyi przez wolno-mularzy, i tu w mieście swojém rodzinném osiadłego. Stanąłem u krewnego jego ks. proboszcza Schon, poznanego w Rzymie. Pokazywał mi miasto i ratusz noszący jeszcze ślady hołdu, jaki król pruski przed kilku dniami od prowincyj reńskich odbierał. Jedno to miasto reńskie, które się przychylném królowi pokazało, dzięki kochanemu powszechnie burmistrzowi, katolikowi wyznaniem. Miasto jest staro-niemieckie, okolice piękne; nie mogłem widzieć bogatego skarbca i relikwij, z powodu odprawianego nabożeństwa, a krzesło Karola Wgo, już oddawna znałem. Z Akwizgranu przybyłem do Brukselli, gdziem się parę dni zatrzymał. Jaka zmiana od lat dwódziestu! Nie żył już jenerał Skrzynecki u którego mieszkałem, a żona i córki w Galicyi; nie żył już Tyszkiewicz, Lelewel i tylu innych, którzy się na moje kazania schodzili. Jednego z dawnych znajomych zastałem, szanownego jenerała Kruszewskiego, z liczniejszą obecnie rodziną, który już po raz trzeci wrócić musiał do Belgii. Złożyłem też moje uszanowanie znanemu w Rzymie jmć ks. biskupowi tebeńskiemu i nuncyuszowi papiezkiemu w Belgii, ks. Ledóchowskiemu, który mnie ze wszelką uprzejmością przyjął, rozpytując się o Rzym i swoich znajomych w wieczném mieście; ale w skutek swego położenia urzędowego, nie uważał za stosowne by sam proponował biskupom belgijskim założenie stypendium dla seminaryum polskiego. A że ks. kardynał mechliński obecnie jest w Rzymie, naszą rzeczą dotrzeć do niego, ile że ks. Jełowicki mówił już o tém z biskupem w Bruges, którego znalazł przychylnym.

Do Paryża wróciłem na trzy dni ostatnie miesiąca maja, i mówiłem o boleściach śmierci i chwale w niebie tej świętej Matki. Wielką mi też dobry Bóg sprawił pociechę w tém mieście, pozwalając powitać i uczcić córki wileńskie ś. Franciszka Salezego, nie rozproszone, jedno przesadzone na czas na grunt obcy. Piękny to przykład wiary i ufności w Boga, że czterdzieści przeszło osób, w liczbie których nowicyuszki i staruszki siedmdziesięcioletnie, z ks. Lubowidzkim, (który stał się dobrowolnym wygnańcem dla niepozbawienia spowiedzi nieumieją-

cych po francuzku,) przeniosło się na ziemię obcą. Wiadomo już, jak gościnnie zostały przyjęte przez siostry paryzkie. Rozmaite klasztory Wizytek francuzkich chciały je rozebrać pomiędzy siebie, ale że w tém zgromadzeniu każdy klasztor stanowi osobną rodzinę, słuszna że nasze siostry chcą zachować swój byt odrębny. Za pomocą loteryi urządzonej przez siostry francuzkie, zebrała się już część funduszu na wypłacenie domu zakupionego pod bardzo korzystnemi warunkami ceny i wypłaty u zacnego jednego kapłana; dopomóż Boże i dalej! Opis wypędzenia tych oblubienic pańskich, skreślony zdolném piórem jednej z nich, znany jest powszechnie duszom pobożnym, i obudzi dla tych ofiar tak słodko i trzeźwo się skarżących, spółczucie i uwielbienie. Zaproszony, powiedziałem dwie nauki, wysłuchałem ze trzydzieści tych pobożnych dusz. Miło bardzo mówić, kiedy jest pewność, że wszystko będzie zrozumiane, wszystko wzięte do serca, wszystko wprowadzone w życie. Praktyczna wiedza, że Duch Święty pomimo trudności zewnętrznych tyle dusz wiernych i miłych sobie wychowuje na ziemi naszéj, daje mi otuchę, że nie opuści narodu naszego i wiary świętej nam nie odbierze. W Paryżu zresztą odwiedziłem tylko bliższych znajomych francuzów i rodaków. O krajowcach nie wspominam, bobym mógł im oddać złą usługę wobec rządu. Wspomnę tylko p. Michała Kleczkowskiego, który przed laty dwudziestu, zmuszony opuścić kraj i majątek, utrzymywał się w Paryżu z dawania lekcyj języków, a nauczywszy się języka chińskiego, został drogmanem poselstwa francuzkiego w Pekinie, potém sekretarzem, a czas niejaki zastępował ministra. Ożeniony dziś z bardzo przyzwoitą Amerykanką, ojciec dwojga dziatek, widać że lat wiele gorączkowo pracował, a pochodzenie jego i stan obecny kraju naszego, utrudnia mu dalszy zawód. Gdyby nie był Polakiem, znalazłby wszelkie uznanie u swoich; co do mnie, podnoszę wszystko i wszystkich, co tylko nam zaszczyt przynosi, tém bardziej w tych czasach tak jałowych i niefortunnych dla zaszczytu imienia polskiego.

Nareszcie 4 czerwca potrafiłem się wydostać z Paryża. W Boulogne na statku angielskim przy wieczerzy spotkałem jakieś figury urzędowe rossyjskie, z których niektóre mówiły między sobą po polsku. Jeden z tych panów gniewał się, że naczelny *Steward*, choć wciąż pływający pomiędzy Boulogne a Londynem ani słowa po francuzku nie rozumiał, nie wiedział nawet co znaczy *jambon*. Nasi Polacy są często jak samiż francuzi przekonani, że cały świat winien mówić a przynajmniej rozumieć po francuzku, i że z tym jednym językiem zagranicznym mogą wygodnie podróżować po całym świecie.

Nazajutrz rano znalazłem się na tejże samej Tamizie, po której płynąłem temu lat dwadzieścia jeden, pełnej krzyżujących się okrętów żaglowych i parowców, jak ulice londyńskie i paryzkie pełne są omni-

busów. Znalazłem tę samą mgłę, tęż kurzawę węgielną czerniącą wszystko, tylko miasto już znacznie większe. Wysiadłem uwolniony grzecznie od otwierania tłomoczków, w mieszkaniu księdza Jeżdżewskiego, kaznodziei polskiego w Londynie, który uprzejmie przybył na moje spotkanie i przez cały czas zajmował się mną, z serdecznością więcej niż braterską, śmiałbym powiedzieć synowską; Bóg mu zapłać. Ze mszą zaprowadził mnie do kościoła włoskiego obsługiwanego przez missyonarzy wielebnego śp. księdza Palott, których wszystkich prawie znałem w Rzymie; pokazywał mi kaplicę polską, rodzaj piwnicy ciemnej i wilgotnej. Bardzo to poetyczne, bo przypomina katakumby, ale cóż kiedy niezdrowe i nielicznym ochotnikom do nabożeństwa daje powód słuszny do nieprzychodzenia. Skarżył mi się ksiądz Jeżdżewski na trudność swego położenia. Znałem ją oddawna, bo nasi kochani rodacy, z małym wyjątkiem, przejmują nie dobre, ale złe w każdym kraju. I tak w Anglii zamiast naśladować wzorową gorliwość katolików angielskich, a jeżeli nie statek to przynajmniej wiarę Irlandczyków, przejmują tylko chłód ducha od protestantów. Kiedym tu zastępował O. Brzezińskiego przez dwa miesiące, konserwatyści bardzo grzecznie przychodzili na kazania, odwiedzali mnie w domu, zapraszali do siebie, sprawili stypę pożegnalną z toastami angielskiemi i wierszem pochwalnym, ale że to było lato a nie Wielkanoc, nikt się do spowiedzi nie zjawił, a po zakładach mniej licznych we Francyi, którem po missyonarsku zwiedził, utargowałem zawsze kilkunastu, albo kilku przynajmniej. A i to pokolenie wymarło lub się rozproszyło po świecie; został tylko niezmordowany Szulczewski i rodzina szanownego majora Giełguda. To też kiedy kochany ksiądz Chwaliszewski puszczał się na tę missyę, zapowiedziałem mu, że to pójdzie dopóki będzie miał pieniądze i słabe jego zdrowie w tym dymiąco-wilgotnym klimacie nie zacznie szwankować, jak się w rzeczy stało. Zrobił co mógł, pochrzcił niektóre dzieci niechrzczone i poumieszczał ile mógł po zakładach polskich w Paryżu. Ksiądz Jeżdżewski posuwał tę pracę dalej, i tak we Francyi z pomocą założonego już *Œuvre du Catholicisme en Pologne*, jak w Anglii i Irlandyi, płacąc często z własnej kieszeni, umieścił znowu na wychowanie ośmdziesięcioro dzieci. Stukał o pomoc do bogatszych katolików angielskich, ale mu słusznie odpowiedzieli, że na nich ciąży utrzymanie całego duchowieństwa świeckiego i zakonnego, szkół, budowanie kościołów w kraju i t. p. «Dla czego mówili mu, nie udasz się do waszych pań, które można po wszystkich towarzystwach i balach paryzkich tak strojne spotkać? znać zatém, że kraj wasz nie jest tak powszechnie zniszczony jak powiadasz,» słuszne a boleśne wyrzuty! Powie mi który patryota broniący i złe swoje, że to wyjątki? Odpowiem, że wyjątki za nadto liczne, obecnie podwójnie grzeszne i gorszące, i jeżeli teraźniejsza bieda zmusi tę klassę do nie-

popisywania się po stolicach europejskich ze swoją płochością a często zepsuciem i do wrócenia na wieś, to będzie jeszcze coś zyskownego. Szczęściem że majątek osobisty księdza Jeżdżewskiego starczył na wiele, ale i on długo tak podołać nie może, i cofnąć się musi.

Trafiłem w Londynie na konsekracyę znajomego mi z Rzymu księdza Maning na arcybiskupa westminsterskiego. Konsekracya arcybiskupa anglikańskiego nie zwraca uwagi niczyjej; katolickiego, to wypadek polityczny : czują powszechnie Anglicy, że tam jest siła i przyszłość. Pogrzeb kardynała Wiseman dał miarę ile już katolicyzm wszedł w pojęcie Anglikanów, i jak ten wielki naród, obok wad, które winien głównie protestantyzmowi, umie cenić swoich wielkich ludzi, pomimo uprzedzeń i namiętności religijnych i politycznych. Wczasie prowadzenia zwłok z całą pompą katolicką przez ulice Londynu, bieg powozów się zatrzymał, sklepy się zamykały, cała ludność skupiona i poważna, była na ulicy. Podobnym wypadkiem, jedno weselnym, była konsekracya księdza Maning, na którą zjechało się czternastu biskupów angielskich, i zeszło ze dwieście księży zakonników i zakonnic. Prokatedra tymczasowa Morfields-Chapel nie mogła pomieścić dyplomacyi i arystokracyi angielskiej, katolickiej i protestanckiej. Obrząd ten jest bardzo poważny, muzyka wcale nieźle wykonywała kawałki Palestryny, zbudowanie było powszechne. Dzienniki protestanckie, z wyjątkiem żydowskiego *Daily Telegraph*, przyjęły ogólnie z przychylnością nominacyę księdza Maning. Pomiędzy katolikami było rozdwojenie, tak że Ojciec Święty znając Anglików, rzekł : « że chyba im arcybiskupa Francuza poszlę. » Sądzę jednak, że nowy arcybiskup uczony, wymowny, pobożny, pozyska sobie rychło serca wszystkich. Jako przejezdny duchowny polski złożyłem nowemu pasterzowi moje powinszowania. Okrom mnie i księdza Jeżdżewskiego, był jeszcze na obchodzie ksiądz Podolski, który na jeduém z przedmieść londyńskich stworzył nową parafię, którą zawiaduje. Odwiedziliśmy go w jego skromném presbyteryum i wspominaliśmy zmarłego księdza Stasiewicza, który w okolicach Londynu podobnie był kościół wybudował i parafię założył. Szczęściem także, że choć złe jest w większości, ale też bywa rychło zapomniane (wyjąwszy pewnych potwornych zbrodni) a dobre zostaje zawsze w pamięci i błogosławieństwie.

Odwiedziłem jeszcze w Londynie ks. Doylé dawniej proboszcza *Belgian Chapel*, w której się nabożeństwo dla Polaków odbywało, a dziś, dziekana przy wybudowanej przez siebie katedrze Ś. *Georges fields* na Southwark. Złamany starzec i nie wiem czy pożyje dość jak pragnie, aby choć jednę wieżę dokończył. Przy tymże kościele mieszka ksiądz biskup Grant, uczeń kolegium angielskiego, w czasach gdy nas uczących się zapraszał niekiedy śp. Wiseman, jeszcze rektor, na obiady. Na całej drodze mojej z Rzymu, aż do naszej missyi w Kanadzie, w je-

dném tylko miejscu nie miałem nikogo znajomego, to w Liwerpool, gdzie postanowiłem wsiąść na statek i gdziem wziąwszy miejsce w Londynie, posłał naprzód ciężką moję skrzynię z książkami. Ksiądz biskup dał mi list do dawnego nauczyciela swojego księdza kanonika Fischer, prezydenta kolegium katolickiego ś. Edwarda, bez którego nie byłbym sobie poradził w odszukaniu i wydostaniu mojej skrzyni. Zapytywał mnie ksiądz biskup czy będzie tego roku kanonizacya w Rzymie? Odpowiedziałem, że odłożona na rok przyszły. — « Dla czego?»— By nie były za częste tego rodzaju obchody, bo niektóre sprawy jeszcze nie pokończone, a wiem także że nasz ś. Józafat podziela losy swego narodu i nie ma pieniędzy. Sięgnął do szufladki i wydostał pięć funtów. Oświadczyłem, że nie mam upoważnienia do zbierania na ten cel. — « To nic nie szkodzi, weź zawsze, potrzebujemy przyczyny świętych.» — Biskup sam wstępuje w ślady ś. Franciszka Salezego i bardzo się coś na świętego zabiera.

Ostatni epizod, jaki mam jeszcze do opowiedzenia z przejazdu przez Anglią to pobyt mój na wsi w szlacheckim domu katolickim pana Bodenham de la Barre. Potomek podbójców Normandzkich Anglii, a następnie rycerzy krzyżowych, należący do jednej z tych nielicznych rodzin, które zachowały wiarę katolicką przez cały czas prześladowania, uczeń niegdy Urquarta, ożeniony z Polką, panną Ireną Morawską z Poznańskiego, przyjacielem jest sprawy polskiej i znajomy mój z podwójnego pobytu w Rzymie w ostatnich latach dziesięciu. Przedostatniej zimy opowiadał mi, że na początku ostatniego ruchu polskiego, namówili wraz z żoną pana adwokata Hennesey, młodego i zdolnego członka parlamentu, ale jeszcze bez położenia politycznego, aby sobie stworzył specyalność z kwestyi polskiej i w tym celu dostarczyli mu wszelkich dokumentów i objaśnień. Potém gdy się pan de la Barre przekonał, że Anglia i Francya nic dla Polski nie zrobią, naumyślnie pojechał do Księztwa i Krakowa, aby naszych ostrzedz; ale woleli raczej wierzyć panu Hennesey. Otoż przystępując do rzeczy, mówię nareszcie, że państwo Bodenham dowiedziawszy się o moim przejeździe przez Anglią do Ameryki, zaprosili mnie uprzejmym listem, w swojém i rodziców swoich imieniu, abym do nich na wieś zboczył, a pan Bodenham przybywszy do Londynu na konsekracyą księdza biskupa Maning zabrał mnie z sobą. Dojeżdżając do Hereford pytałem mego gospodarza, jak mogli się utrzymać przy katolicyzmie? płacąc i płacąc mówił, odstępując każdemu który szukał przyczepki części majątku, byle się tylko odczepił. Jak widzisz wkoło, aż po góry kraju Galles wszystko to było nasze, a teraz zostaliśmy przy okrawku dawnego mienia... « A czy potomkowie waszych prześladowców i zdzierców nie wstydzą się was, gdy spotykają? » — « Już te majątki w innych ręku rzekł, wszystkie te rodziny wygasły.» —Tak wszędzie i zawsze prawda, że maleparta

idą do czarta, i że majątek źle nabyty nie doczeka się dziedzica w trzeciém pokoleniu. Tymczasem wysiedliśmy z kolei żelaznej; pani Bodenham czekała na nas z powozem i rychło stanęliśmy przed sporym czerwonym dworem. Pani Bodenham matka, siostra kardynała Weld, która długie lata spędziła w Rzymie przy bracie wraz z mężem, zdawszy gospodarstwo na synowę, żyje dziś sobie jak zakonnica, a kapłana po starodawnemu w rękę całuje. Pan Bodenham niedawno błogosławieństwem papiezkiém z niebezpiecznej choroby (obok siedmdziesięciu kilku lat) wyleczony, wesoły starzec, ułożenia bardziej francuzkiego, uprzejmie mię pozdrowił, wyrażając nadzieję, że nie prędko dom ich opuszczę. Jest w domu kaplica z czasów jeszcze prześladowania tak zbudowana, że z zewnątrz nic jej nie zdradza, a wewnątrz łatwo ją zamaskować. W kaplicy jest Najświętszy Sakrament i ksiądz kapelan domowy. Służba żeńska jest pod dozorem dojrzałej klucznicy; podobnego naczelnika ma służba męzka. Oddzielone od siebie izby sypialne mężczyzn i niewiast. Do sypialnej żadnej z niewiast, nikt z mężczyzn nie wchodzi, nawet sam pan. Służący któryby się o to pokusił i służąca któraby to scierpiała, byliby niemiłosiernie zaraz oddaleni z domu. Wszystko idzie podług dzwonka. Porządek dzienny jest następujący: o godzinie ósmej, gdy już służba miała czas izby spólne uprzątnąć, dzwonią na pacierz ranny i mszę świętą; każdy przerywa robotę, dziewczęta zarzucają białą zasłonę na głowę i schodzą się. Po mszy śniadanie, po krótkiej rozmowie każdy swobodnie się wynosi i robi co chce w domu, czy w ogrodzie, czy poza domem. O dwunastej, pierwszej, przekąska albo podwieczorek (lunch) i potém znowu każdy wolny. Nie ma tego nieznośnego siedzenia na kupie jak u nas na wsi i ciążenia sobie nawzajem przez dzień cały, z pretensyą nieraz by listy odbierane głośno czytać. Tu kto nie chce mówić czyta sobie dzienniki. Dłużej się zwykle razem zostaje po obiedzie i przy herbacie, po odbytym po środku pacierzu wieczornym wspólnym w kaplicy. Takie życie na wsi pojmuję.

W przerwach pomiędzy rozmaitemi posiłkami zwiedzaliśmy różne zakłady w blizkiej okolicy. Klasztor benedyktynów i kościół służący za katedrę biskupa kraju Galles (Nerport and Manevig) księdza Brown mieszkającego w Ballingame w małym domeczku na gruncie państwa Bodenham. Siwowłosy pasterz nie trzyma powozu, w czasie słoty z parasolem i w mekintoszu maszeruje gdzie potrzeba. W témże miejscu jest zakład siostr miłosierdzia fundacyi państwa Bodenham młodych; przemyślają już o sprowadzeniu biednych Colletynck. W okolicy jest klasztor *Notre-Dame du refuge* (dla kobiet zbłąkanych i dzieci), z funduszu pana Philips, którego córka jest w tym klasztorze. Tak, że jak mi mówiła pani Bodenham-Morawska, dodając kaplicę w Hereford i kościołek w Old-Long-Worth, jednego dnia mogłabym w siedmiu miejscach

uczcić Najświętszy Sakrament, a kiedym tu przybyła temu lat siedmnaście, na całą okolicę w naszym tylko domu gościł Pan Jezus. Po zaprowadzeniu hierarchii katolickiej, biskup nasz miał tylko czternastu księży, dziś ma ichsześćdziesięciu. Patrząc na to wszystko myślałem sobie, że ci Anglicy, Holendrzy, niby to materyaliści, egoiści, jednak Panu Bogu w czynie służą; a nasze niby wielkie uczucia, poświęcenia, wyobrażenia i t. d. najczęściej niepłodne do dobrego, ciężkie na nas sprowadzają klęski. Obyśmy już przestali być rozumni samym tylko szałem, a kształcili w nas wiarę, rozsądek i silną a prawą wolę.

Pożegnałem moje zacne gospodarstwo i przybyłem do Liverpool. Czasu już nie było, jak zamierzałem sobie, dojechać do Dublina i prosić ustnie księdza arcybiskupa Cullon o założenie stypendium polskiego z pomocą dwudziestu kilku swoich kolegów i kapłanów irlandzkich. Smutno by mi zresztą było widzieć dziś Irlandyą. Widziałem ją temu lat dwadzieścia jeden, liczącą jeszcze ośm milionów ludności, jeszcze pełną nadziei. Widziałem O'Connela wychodzącego z więzienia, i potém w gościnnym jego domu w Deryn-an-Albay. Dziś głód i przesiedlenie się sprawiły, że już i sześciu milionów dusz w Irlandyi niema i politycznie gasną. Przynajmniej nie dopuścili się samobójstwa!

15 Czerwca po południu siadłem na śrubowiec, nominalnej siły dwustu koni a ładujący 1400 beczek, zwany *Damascus* kompanii Montrealskiej. Kompania ta straciła w ciągu lat kilku ośm swoich okrętów, i tenże sam statek *Damaszek*, gdy się w nim śruba (*hélice*) zepsuła. Roku zeszłego, obecny nasz kapitan dzięki pomyślnemu wiatrowi po pięciodniowej żegludze za pomocą żagli odprowadził go szczęśliwie do Liverpool. Rozbicia te zwykle dzieją się na brzegach północno-atlantyckich obfitujących w podwodne skały, w zimie lub na wiosnę, z powodu burz, mgły gęstej lub pływających lodów; to też zimą nikt prawie statków tej kompanii nie używa. Ale latem żegluga względnie bezpieczna, cena przejazdu znacznie niższa, a płynąc z Anglii unika się komor celnych Stanów Zjednoczonych; dla tegom zdecydował się na kompanię montrealską. Nad salą jadalną ujrzałem wymalowaną Polkę w rogatywce klęczącą i modlącą się. Pytałem coby to mogło znaczyć? Odpowiedziano mi, że dekorator okrętu wziął zapewne koncept z powieści pod tytułem *Elżbieta*, opisującej przygody młodej Polki wygnanki na Syberyi wraz ze swoim ojcem. Ta Polka przedstawia wiernie obecny stan Polski, obyśmy się tylko wszyscy modlili! Co do mnie takem sobie godziny rozłożył, abym na poły przynajmniej jak na rekolekcyach żył, wyjąwszy trochę rozmowy po stole. Obejrzałem się po towarzyszach podróży i spostrzegłem, żem sam jeden kapłan na okręcie, w razie zatém przygody, mogłem być użyteczny, wiernym obecnym, ale sam musiałbym uczynić jeden akt więcej zdania się na

miłosierdzie Boże. Zachowałem obojczyk księży, (który już bynajmniej Anglikanów nie razi), aby każdy katolik wiedział na statku, że jest ksiądz, i aby uniknąć znajomości niepotrzebnych. Do księdza bowiem zbliży się tylko albo katolik, albo protestant niemający przynajmniej odrazy do katolików. Jakoż, jakkolwiek niczyjej znajomości nie szukałem, zbliżył się najprzód do mnie towarzysz mój kabiny, pan Chatterton, stary pułkownik angielski zajmujący jakiś urząd w Kanadzie, niemający nic sztywności wyspiarskiej, wesoły i rozmowny. Musi mieć coś do czynienia z kompanią, która ma w ciągu lata przeprowadzić nowy drót telegraficzny podmorski od Lienwil w Irlandyi do Newfoundland przed Kanadą, bo pokazywał próbki pierwszego drótu oprawnego w kauczuk, sznurki konopne, smolne, mocno za pomocą machiny skręcone. Drugi ten drót ma być rzucony pod przewodnictwem krewnego mojego pułkownika, i jest już złożony na potwornym parowcu *Leviathan* albo *Great-Eastern*. Wiózł ten mój pułkownik swą synowicę, pannę trzydziestoletnią, należącą do szkoły pietystów anglikańskich, ze szkoły doktora Pusey. Panna ta chętnie ze mną rozmawiała, ona trochę po francuzku, ja trochę po angielsku, tak że w końcu pułkownik mój przestraszył się, że ją nawrócę na katoliczkę, a bardzo się tego lęka; ta obawa wszakże nie przeszkadza uprzejmym stosunkom ze mną. Jam tyle się nie spodziewał, bo Puseiści trudniej się od innych protestantów nawracają dla tego, iż wmawiają w siebie, że już są katolikami, gałęzią żywą wielkiego drzewa Kościoła powszechnego. Wiele byłoby gdybym oswoił obecnych na statku protestantów z księdzem katolickim i wymusił u nich dla siebie szacunek. Zbliżył się też do mnie pierwszy, młody adwokat, pisarz angielski pan Skinner, potomek Jakobitów, jako takich ściętych lub pozbawionych szlachectwa, płynący z żoną swoją i jej siostrą do Stanów Zjednoczonych i Mexyku. Był on w Danii podczas ostatniej wojny, zwiedził Szwecyą i wydał dziełko o wojnie duńskiej. Był już raz w Ameryce północnej, przed czterema laty, a teraz wracał, bo otrzymał komis opisania stanu obecnego Kanady i Stanów Zjednoczonych. Oboje z żoną mówią po francuzku wcale nie źle, nie mają odrazy do katolicyzmu, ale zdaje się, że kwestyą religijną żywo się nie zajmują. Są jeszcze na statku Amerykanie północni i południowi, unikający rozmowy i tak uprzejmie na siebie patrzący, jak nasi na *braci* swoich *Słowian nadwołżańskich*. Wszyscy prawie są albo kapitanami okrętowymi, albo żołnierzami z ostatniej wojny. Jest nadto dwóch panów z żonami i dziećmi, którzy zapewne otrzymali jaką posadę albo zajęcie. Wszystkiego na pierwszém i drugiém miejscu dwadzieścia osób siadających do jednego stołu z tą różnicą, że druga klassa płaci ośmdziesiąt franków mniej i ma gorsze kabiny na tyle okrętu nad śrubą. Na trzeciém miejscu przeszło dwieście osób Anglików, Irlandczyków, protestantów z północy i kilku katolików, nareszcie kilku

Niemców. Na takiém zapoznaniu się zszedł mi wieczór pierwszy. Nazajutrz, (19go zrana) wpłynęliśmy w rzekę Moville, gdzie ostatnia stacya telegraficzna angielska i czekaliśmy do wieczora na pocztę z Londondery i ostatnie telegramy. Nie wysiadałem na ląd, bo w wiosce przyległej rybacy presbiteryanie szkoccy i pusty kościół anglikański, katolickiego nie było.

Pluskały się i latały koło statku morskie ptaki białe, zwane po angielsku *Cicalli*, po francuzku, (jeżeli się nie mylę) *mouettes*, które też nam towarzyszą często w podróży, rade się pożywić ostatkami z kuchni okrętowej, wyrzucanemi do morza. A jest czém, bo nas 320 osób z ekwipażem, a cztery razy na dzień jeść dają. Wszakże po dwóch dniach żeglugi, już się więcej nie pokazały. Słońce pięknie zaszło gdzieś w kierunku Groenlandyi. Kładąc się spać widziałem jeszcze brzegi północne Irlandyi i szkockie w oddaleniu, nazajutrz, (17) przebudziłem się już na pełnym oceanie, widzieliśmy tylko inny okręt i trzodę *marsuinów* (rodzaj morskiej nierogacizny) dających nurka i płynących hożo ku Anglii. Czas był prześliczny, rzadki tu wiatr zachodni pędził nasz okręt przy rozpiętych żaglach; 18go w niedzielę, przebudziliśmy się ze mgłą, ale przy pogodzie. Mgławo i mnie było w duszy, że w niedzielę bez mszy być trzeba. Gdym to pisał, Stevard (służący okrętowy), położył na stole kilka biblii, i na miejscu talerzy książki protestanckie do modlitwy: *Songs of praise and prayer, compiled especially for the use of sailors*. Na głos dzwonka zeszli się pobożni anglikańscy do sali, a jam musiał zrejterować do kabiny jako innowierca. Słyszałem jak zaśpiewali psalm (100) potém czytano modlitwy a zapewne i ustęp z Biblii, i zakończono znowu krótkim psalmem. Celebrował w braku ministra kapitan okrętowy, jakkolwiek sam metodysta. Choć to nabożeństwo kuse i po ukazie, smutno jednak pomyśleć, że kompanie podobne w krajach katolickich nie myślą ogólnie o tém, aby na okrętach służba Boża była święcona. Może i dlatego, że we wszystkich przedsiębierstwach przemysłowych na lądzie stałym, wpływ przeważny powszechnie w ręku żydów. W Anglii jakkolwiek tak kupieckiej, w niedzielę mniej pociągów niż w dnie powszednie jeździ po drogach żelaznych, a w godziny poświęcone na nabożeństwo z rana i po obiedzie nie ruszają z miejsca, bo Anglia jakkolwiek protestancka, stoi jeszcze na podstawie chrześciańskiej, gdy na lądzie stałym, od rewolucyi francuzkiej, rządy jako takie, nie przyznają się do żadnego wyznania. *La loi est athée*, jak powiedział stary gallikanin legista Dupin, a jeżeli się nie mylę, Guizot dodał: *l'état est laique*. Podczas gdym te uwagi czynił, przybiegł poczciwy Irlandczyk, (jest ich kilku na statku jak wspomniałem, a są nie mówiący po angielsku, tylko po staro-gallicku,) przybiegł pytając, czy nie będzie mszy śtej? Musiałem z żalem odpowiedzieć, że nie, choć kapitan nie byłby miał

nic przeciwko temu, ale niejeden śród niewiernych! nie zaopatrzyłem się w podróżną kaplicę, i nie byłoby zresztą komu przygotować kielicha. Przy obiedzie, Anglicy przypomnieli sobie że to pięćdziesięcioletnia rocznica bitwy pod Waterloo, i pili zdrowie armii swojej; jam się ogłosił neutralnym pomiędzy Francyą a Anglią. Poszliśmy spać bez słońca, księżyca; gwiazd na niebie ani śladu, jak gdyby ich nie było, a Anglicy nazywali to jeszcze piękną pogodą. Wstaliśmy nazajutrz (19) także bez słońca, wiatr mieliśmy już z boku, ale morze wciąż dobre. Dziwnie mi się wydaje w drugiej połowie czerwca żyć we mgle i czuć chłód : darmo, nie wszędzie Włochy.

Przez trzy dni następne, mieliśmy czas zmienny, trochę deszczu, trochę mgły, z rzadka pewien grymas słońca. Poznałem się tymczasem lepiej z towarzyszami podróży. Amerykanie południowi, w liczbie których był jeden z trzystu bohatérskich obrońców forteczki Sumter (1), probowali mówić z północnymi o polityce, ale nie było sposobu. Dla pierwszych Jefferson Davis wielki człowiek, dla drugich urwisz godzien szubienicy. Mieli zatém dosyć rozsądku, aby zaniechawszy rozmowy politycznej, poprzestać na przyzwoitym na zewnątrz stosunku. Niestety! żadna z dwóch stron wojujących, nie ma sprawy zupełnie czystej. Południowi mieli *legalnie* słuszność, bo konstytucya federalna w chwili przystąpienia Stanów do Unii nie wzbraniała posiadania niewolników i północni dopiero wtenczas tę kwestyą podnieśli gdy obrachowali, że praca wolnych ludzi dla nich korzystniejsza, i gdy już byli południowym wszystkich swoich niewolników sprzedali : ale po chrześciańsku i humanitarnie, nie mieli słuszności, nie mieli dość rozumu politycznego, aby uchwalić przynajmniej stopniowe wyzwolenie swoich murzynów, i pozyskać tak uznanie dla siebie, a może i czynną pomoc ze strony Anglii i Francyi, uprawę zaś bawełny, (jeżeli niepodobna bez pracy przymusowej murzynów,) zastąpić uprawą innych płodów ziemskich. To pewna, że północnym nie chodziło o czarnych, którymi doskonale gardzą, to pewna, że z zazdrości ku ziemskiej arystokracyi południowców nałożyli na towary przychodzące z Europy 25 od sta, aby ich zmusić do kupowania własnych wyrobów i tak wyssać z nich wszelki pieniądz wzięty od Europejczyków za bawełnę; czy jednak konstytucya federalna upoważniała Stany do *secessyi* i do walki zbrojnej? Aby tę kwestyą rozsądzić, trzeba być prawnikiem amerykańskim i człowiekiem całkiem bezstronnym. Co dla mnie, jasném jest to, że jak demokracya wojująca w Szwajcaryi kierowana przez towarzystwa tajne neutralizowała federacyę swoją, tak amerykańska to samo u siebie przeprowadziła. Odtąd mamy nowe państwo na wzór europejskich z liczną armią stałą, z żandarmeryą, z ogromnym długiem publicznym, z prawami wyjątkowemi, a państwo młode,

(1) Wyspa broniąca wejścia do portu Charlestown.

chciwe wzrostu, drugie państwo podbójcze obok Rossyi, z którą też serdecznie sympatyzują. Jeden był sposób zagojenia rany, za pomocą szerokiej i szczerej amnestyi, jak radził szlachetny jenerał południowy Lée a Lincoln zamierzał, ale nowy prezydent, wziął się do sprawy *à la Mouravieff*, i pomny dawnego swego rzemiosła, obcina całej inteligencyi południowej poły i prawdziwą im sprawia kurtę. Później zaczął prezydent walkę ze stronnictwem radykalném i centralistyczném, walkę chlubną dla niego, ale bezskuteczną. Teraz dopiéro stworzyli sobie północni, czego lękali się ze strony południowców, jak ich publicyści i mówcy przed wojną głosili, stworzyli w nich Polskę swoją i Irlandyę. Trudno sobie przypuścić, aby kilka milionów ludności, która przez lat cztery walczyła z taką wyższością odwagi i umiejętności wojennej, przeciwko gniecącej massie (w wielkiej części najemnych) sił, kapitałów i rynsztunku, dała się ciemiężyć niepowściągliwym zwyciężcom. Będzie i tam zapewne jak w Polsce bywało, niby pokój, dopóki nowe pokolenie zdolne do walki nie wyrośnie. Chyba że się skończy na extermincyi południowców jak Indyan, albo na przesiedleniu się ich do Mexyku, Kanady i t. d. Rozpisałem się nad tą kwestyą, ale na morzu dnie długie, trudno się modlić nieustannie, więc się o tém i o owém myśli, a co się wymyśliło, o tém się chętnie rozprawia. Zresztą może się te uwagi komu zdadzą, bo my Polacy jak ogólnie, tak i na walkę amerykańską patrzymy przez okulary tak zwanych dzienników liberalnych lub demokratycznych.

Przechodząc do innych towarzyszów mojej podróży, poczciwy pułkownik wyzwał mnie na dysputę religijną, która nie trwała nad pół godziny, bo mi się głowa rozpaliła od wielkiego wysilenia, chcąc mówić językiem który tak licho jeszcze posiadam. Zresztą, nie chodziło mu (jak ogólnie dziś pobożniejszym protestantom) o dowiedzenie żem ja w błędzie. Jeżeli co nam zarzucają, to jedynie dla pokazania, że i przeciwko katolikom coś powiedzieć można. Czasy gdy nas lżyli, dawno przeszły, w głębi duszy dziś nam zazdroszczą; chodzi im jedynie o wmówienie w siebie, (a i w nas gdyby mogli,) że i oni się bezpiecznie zbawić mogą. To też mój pułkownik skończył dysputę aktem nadziei, że się w końcu wszyscy porozumiemy, że będzie jeden pasterz i jedna owczarnia. Wierzy nawet w blizki koniec świata i panowanie Chrystusa Pana na ziemi. Młody adwokat doskonale rozumie, że oni są tylko Kościołem narodowym, lokalnym, że nawet dla siebie nie mają organu do potępienia błędników, jak naprzykład biskupa racyonalisty Coleaso, i do utrzymania jedności wiary. Jakoż, na pięciu anglikanów na statku najbliżej mi znajomych, pułkownik jest kalwinistą dawnego autoramentu, siostrzenica jego, puseistką albo cabrycyitką, adwokat zaś z żoną swoją i jej siostrą, należą do tak zwanej *broad Church*, coś pośredniego i najmniej wydatnego.

Tymczasem pod wieczór wiatr północny zaczął gwizdać w liny okrętowe, i morze jęło się kotłować jak na burzę. Ale burza w lecie, na silnym parowcu i na pełném morzu, to rzecz niestraszna. W nocy fale zamiatały pokład, co mi nie przeszkodziło spać doskonale. Nie opisuję zatém burzy, zostawiając ten przedmiot nowotnym żeglarzom, którym się zdaje że widzieli burzę, dlatego że się okręt nieco mocniej kołysał, a oni prozaicznie chorowali, albo takim, którzy z połamanemi masztami, byli w blizkiém niebezpieczeństwie rozbicia się. Nazajutrz rano, widnokrąg był nieco oczyszczony, widzieliśmy jak blizko nas przepływał wieloryb, i podrzeźniając naszej parze, puścił w górę nozdrzami kolumnę wody. W odległości czterech mil morskich, płynął trzymasztowy parowiec tejże kompanii, z Kanady do Anglii. Pozdrowili się trzy razy spuszczając i znowu podnosząc flagę na tyle okrętu. Rozbitek burzy, zmordowany ptaszek, siadł na krawędzi okrętu; złapał go majtek i wsadził do więzienia, bo do klatki. I to był wypadek dla ziewających pasażerów, a gratka nielada dla dzieci się zdarzająca. Powiedziałem, że burza niestraszna; to samo mówił nasz kapitan dodając: « bylem widział przed sobą; źle kiedy niewiadomo gdzie się jest, jak się kierować, a na to się zanosi, za krótko trwał i deszcz i wiatr, będziemy mieli mgłę (*fog*).» I tak rzeczywiście się stało. To też noc całą płynęliśmy ledwo używając połowy pary, i świszcząc co kilka minut żałobnie przez jej wypuszczanie, aby ostrzegać okręty płynące naprzeciwko lub obok, i nie potrącić się z obawą zguby jednego z dwojga, albo i obu. Groziło drugie niebezpieczeństwo uderzenia się o pływające lody, *Isefields*, odrywające się od lodów z pod bieguna północnego. Jeden kapitan statku żaglowego będący obecnie na naszym parowcu, przepływał przed miesiącem pośrodku dwóch brył potwornych, przewyższających znacznie jego maszty, a które widział o czterdzieści mil morskich przedtém. Inny kapitan parowca Stanów południowych, ubiegającego czternaście mil na godzinę, (gdy nasz jedénaście ubiedz tylko może,) który czternaście razy wybiegał się przed czatującemi i strzelającemi nań parowcami północnemi, (więc nie tchórz i doświadczony marynarz) nie chciał pójść do kabiny, « bobym nie spał, mówił, dopóki jest niebezpieczeństwo. » A więc ono było. Dodać do tego, że w tej części oceanu, z niemiadomej przyczyny, (bo wiele ich różnych dają, naprzykład: trąby morskie, wulkany podziemne, bardzo różna głębokość morska i t. d.) że mówię sama busola figluje, tak że jeden z okrętów, sądząc że jest na pełném morzu, podczas podobnej mgły gęstej przy spokojném zresztą morzu, rozbił się o *Cap Rais*, ku któremu właśnie zdążał. Księżyca nie było, gwiazd nigdy w tej porze nie widziałem — słowem, trudność niezmierna oryentowania się dla kapitana. Podziwiałem dobroć Bożą, że oprócz doświadczonych żeglarzy, nikt zresztą niebezpieczeństwa nie czuł, a tyle było matek z dziatkami;

choć z drugiej strony, pewna, że tacy zwykle tracą głowę gdy niebezpieczeństwo się ziści. Mój pan adwokat, który miał własny *jachcik*, i opływał porty południowe Anglii i północnej Francyi, a był już raz w Ameryce, znał naturę tych stron oceanu, powiedział mi: « co do mnie, umówiliśmy się z żoną przed wyprawą, iż gdyby podobało się Bogu dopuścić nieszczęście, okrętu nie opuścim i nie wsiądziemy na łódkę, chyba żeby brzeg był blizko. Widzi ksiądz, mamy tu sześć łodzi, każda z nich w najpiękniejszą pogodę pomieści z trudnością czterdzieści do pięćdziesięciu osób, a na morze wzburzone ledwo kilkanaście, a nas 250 osób, nie licząc 70 ekwipażu i służby. W razie rozbicia, wsadzają do łodzi najprzód kobiety z pierwszej i drugiej klassy, zapewne z dziećmi i mężami, potém kobiety z trzeciej klassy, potém mężczyzn luźnych z pierwszej i drugiej klassy, a nareszcie pasażerów męzkich z trzeciej klassy. Do każdej łodzi dają jednego oficera, dwóch majtków, baryłkę wody i nieco żywności. Wiosłami długo robić na oceanie wzburzonym trudno, można nadto umrzeć z zimna i głodu. Nie chcę się na to wystawić, bym jadł moją żonę, albo kto mnie. Zostaniemy zatém na statku, bo możemy się doczekać ratunku niedoświadczywszy głodu do końca, a jeżeli potrzeba umrzeć, to umrzemy. » Ten projekt na zimno i spokojnie obmyślany, bardzo mi się podobał, postanowiłem sobie trzymać go się także w razie danym, dopełniwszy obowiązku kapłana względem pięciu katolików Irlandczyków na statku, i względem tych z protestantów którzyby się chcieli *in extremis* nawrócić. Prosiłem Boga, aby mi dał taką przytomność umysłu i krew zimną, jaką pokazał tego lata ksiądz Strutyński missyonarz ś. Wincentego a Paulo przez lat ośm w Brazylii, który niezmiernie dopomógł do uratowania wszystkich podróżnych rozbitego parowca francuzkiego na brzegach Brazylijskich. Wielu bowiem traci głowę, skacząc do morza przewraca łódź już pełną, cisnąc się do niej gwałtem i t. d. Jakkolwiek mocno ufałem i ufam że mnie dobry Jezus bez pomocy sakramentów do siebie nie przywoła, mógł mię jednak ocalić pomimo przygody. Urządziłem się zatém odpowiednio, biorąc krucyfiks i wszystkie papiery ważniejsze do kieszeni, rozebrałem się po połowie tylko, bym w pół minuty mógł być gotowym i położyłem się spać. Kilka godzin pierwszych spałem twardo, potém już słyszałem świst wypuszczanej pary i częste bieganie majtków po pokładzie. O trzeciej i kwadrans statek zaczął iść pośpieszniej, wybiegłem zobaczyć czy ląd blizko wskazuje kierunek okrętowi, czy wschodzące słońce mgły rozpędziło. Wschodziło słońce, ale tak dziwnie, że pomimo powagi położenia zaśmiać się musiałem. Wyglądało tak, jak gdy kto rozespany przeciera sobie oczy i ze snu się wybić nie może, albo jak dziecko dobrze rozpłakane, kiedy mu się na śmiech zbiera. Mgła była tak gęsta, że dym z naszego komina niezdolny wzbić się w górę, tworzył ciemną

belkę, opartą z jednej strony o tenże komin, z drugiéj o widnokrąg morski, a para grubemi kroplami wciąż kapała na pokład. Otóż słońce pasując się z tą mgłą, naprzód oświeciło w górze mały obłoczek, potém powoli wydobyło się jak z pieluch, poświeciło trochę i znowu zaszło jak za firankę, oświecając część powierzchni morza, która nam czas niejaki przyświecała. Przy tém świetle widzieliśmy trzy-masztowy parowiec naszéj kompanii *North Americain*; potém weszliśmy we mgłę na godzin znowu trzydzieści. Biedny kapitan nie mając już słońca ani na lekarstwo, by sprawdzać busolę i oryentować się za pomocą kompasu, ratował się jedynie *sondą*. Postanowił już nie przybijać do północnego cypla *Nowej Ziemi* (Terre neuve, Nev-foundland) gdzie miał oddać depesze telegraficzne, jedno po nad pokładami piaskowemi (*Banks*) które rzeka ś. Wawrzyńca wiekami naniosła. Widziałem na karcie kapitana cały ten obszerny kraj podwodny, najdokładniej narysowany. Ileż to razy trzeba było spuścić sondę aby kartę taką narysować, ponieważ woda blizko lądu (którego unikał) głębszą jest niż nad temi piaskami. Spuszczał często sondę dla przekonania się, że płynie nad temi pokładami. Sonda ta, to bryła żelaza sto funtowa, namazana u dołu masą bardzo lepką, która spada pionowo po linie (aż się fale zakotłują) wyciągnięta pokazuje jakie jest dno morza. Pokazywała zwykle żwir (*gravier*) tych nasp rzecznych, i muszle morskie rozbite ciężarem żelaza w drobne kawałeczki, co kapitana uspokajało. Aby czasem zaczepienie się o co liny nie oszukało w obliczeniu głębokości morza, do tej ciężkiej sondy przymocowana jest druga maszynka ze szrubą i klapą na wierzchu, do zmierzenia głębokości podług ciężenia wody, tak że klapa wierzchnia naciskana z góry, obraca szrubę raz, dwa lub trzy razy; dziwna jak posunięte są wynalazki, ale też stosunkowo rośnie zuchwalstwo człowieka w wyzywaniu na rękę najgroźniejszych żywiołów. Uważałem jeszcze, że spuszczano rodzaj lejka i potém za pomocą termometru obliczano stopnie zimna zaczerpniętej z głębi wody. Pytałem się dla czego to czynią? — odpowiedziano mi: « dla przekonania się, czy nie jesteśmy blizko pływających brył lodu, bo w takim razie woda zimniejsza niż zwykle. » — « A cóż znaleźliście? pytałem dalej. » — « Jeszcze jest trochę różnicy, odpowiedział podoficer (*low officer*) za pierwszą razą, a po obiedzie rzekł, już nie ma żadnej. » Dowiedziałem się, że wtedy dopiero wypłynęliśmy ze strefy pływających lodów, ciągnącej się od cypla północnego Nowej-ziemi ku Anglii, na przestrzeni długiej czterysta mil morskich, a pięćdziesiąt głębokiéj. W téj też okolicy prąd (*courant, stream*) ciepły, pędzący od zatoki mexykańskiej, spotykając się z prądem zimnym ś. Wawrzyńca, tworzą te mgły stałe w téj części oceanu, a płynąc dalej ku Irlandyi i Anglii, obdarzają je stałą prawie ciepłowilgotną parą, która tworzy znowu te piękne łąki i pastwiska w zielo-

nym Erynie (Irlandyi) i w Anglii. Ale mniejsza o to; co nas obchodzi, to żeśmy się wydobyli z okolicy pływających lodów. To też nasz kapitan, który od dwóch dni nie przychodził już do stołu i ledwo co spoczął chwilę, znów wracał na pokład nierad gdy go zagadywano, tego dnia (23) przyszedł na obiad i był swobodniejszym. Słusznie mi mówił mój młody adwokat: «po Bogu najwięcej możemy liczyć na naszego kapitana. Jest to jeden z tych szanownych ludzi, którzy u nas pracą i statkiem z dołu wydostają się na wierzch. Zaczął on służyć prostym majtkiem, szedł stopniami w górę, uczył się teoryi, zdawał examina i dziś jest kapitanem (właściwie *master of ship*, bo nazwa kapitana legalnie należy się tylko dowódzcom okrętów wojennych, kupieckim dawana jest jedno z grzeczności.) Otóż ten człowiek, który jak ksiądz uważał nie pije, który ma żonę i dzieci, wszystko zrobi, aby honor swój i kompanii swojej, życie swoje i nasze zachował. A że ta kompania straciła już ośm parowców i to w tych okolicach, to nam daje porękę, że kapitan nasz i cała służba okrętowa nie zgrzeszy ani niedbalstwem, ani zuchwałością.» I tak rzeczywiście było. Dodam jeszcze że kapitan nasz, a za jego przykładem i dozorem cała służba okrętowa tak grzeczna, jak trudno zwykle spotkać na statkach francuzkich. Stół obfity, wyborny. Cała żywność hermetycznie w naczyniach blaszanych zamknięta i w lodowni chowana, nic ze swej świeżości nie traci. Mają jej zawsze na piętnaście dni więcej, to też choć jeden z ich statków (z powodu zepsucia się machiny) pływał trzydzieści cztery dni po morzu, zawsze podróżni mieli całkowitą i świeżą żywność. Statki francuzkie gorzej karmią, tę jedną mają korzyść, że dają wino do stołu, a na angielskich i piwo płacić trzeba. Z tém wszystkiém, radzę moim braciom i przyjaciołom, aby bez ścisłej konieczności, tą najpółnocniejszą linią się nie puszczali, jedno wsiadali w Havre, na statki francuzkie płynące do Nowego Yorku. Bo jakkolwiek druga kompania angielsko-amerykańska *Cunard*, zawijająca naprzemian do Nowego Yorku lub Bostonu, dotychczas nie miała przypadku, jednak ponieważ dla oddania depesz musi dotknąć *Cap Rais*, wjeżdża w linię mgieł i lodów, przypadek bardzo możebny.

Wracam do naszego kłopotu, do mgły naszej. Całą noc z 23go na 24y gwizdał znowu statek idąc powolnie, ale już było tylko jedno niebezpieczeństwo, stuknięcia się o drugi statek, bo wśród tej gęstej mgły, i trzech latarni zawieszonych na okręcie zdaleka nie widać. Nazajutrz w dzień Śgo Jana słońce weszło pogodnie, ale powietrze było zmienne i dżdżyste. Dopiero o piątej z południa, silny wiatr północny oczyścił w pięć minut widnokrąg ze mgieł, zsuwając je w głąb jak kupy śniegu lub błota na ulicach. Słońce weszło, niebo zabłękitniało, i było jak w piękny dzień styczniowy przy chłodnym wietrze północnym na morzu Śródziemném. Wtenczas ujrzeliśmy kilka okrętów żaglowych przyby-

wających w te strony dla połowu stokfisza. Ujrzeliśmy za pomocą szkieł powiększających na najdalszym widnokręgu trzy bryły pływające lodu, prawdziwe trzy kryształowe pałace. Ale nadewszystko ujrzeliśmy ląd, stronę zachodnią Nev-Foundland. Kapitan zoryentował się i widział z zadowolnieniem, że po ciemku zrobił manewr jaki chciał. W nocy mieliśmy średnią jeszcze mgłę, ale już nie tak gęstą.

Nazajutrz rano przy pogodzie, po odbytém jak zeszłej niedzieli nabożeństwie anglikańskiém i podwieczorku ujrzeliśmy przepływający zdala okręt. Kapitan chwycił za lunetę, popatrzył, powiedział 156, otworzył książkę drukowaną, (w której zapisane są wszystkie okręta angielsko-amerykańskie) i to czytał: «Okręt żaglowy NN. kapitan Wilson pławiący drzewo kolonialne z Nowego-Yorku do Liverpool.» Pokazywał potém w książce chorągiewki, z których każda znaczy jakąś liczbę. Windują te chorągiewki jednę nad drugę, kapitan drugiego okrętu wyczytuje liczbę, a w książce pod liczbą znajduje się rodowód okrętu. Chorągiewki te służą też do wyrażenia różnych frazesów położonych pod odpowiedniemi liczbami np. «jestem w niebezpieczeństwie, palę się, woda mnie zalewa, czy możesz mi dopomódz?» I wyczytuje odpowiedź «mogę, nie mogę, spieszę i t. p.»

Po obiedzie zwrócił okręt dziobem wprost ku *Cap-Ray* na końcu południowo-zachodnim Nowej-ziemi (1) jak *Cap-Rais* jest na jej krańcu północnym, chciał bowiem doręczyć do stacyi telegraficznej depesze i wysłać z Europy kosztem *associates presse* (skojarzonego dziennikarstwa w Nowym-Yorku), które nazajutrz rano miały figurować po gazetach z wymienieniem że przywiezione przez statek *Damascus*. Depesze te umieszczone są z małą przytwierdzoną chorągiewką, w cylindrze blaszanym który albo rzucają ze statku w łódkę, jeżeli jaka wypłynie, albo też w morze. W każdym razie, sekretarz okrętu i rybak który odniesie tę blaszankę do stacyi telegraficznej, dostają po funcie czyli po złotych polskich czterdzieści nagrody. Wyjechała przeciw nam łódeczka ze trzema wioślarzami i chłopczykami z małej zatoki zwanej *port aux Basques* i wzięła depesze. Ludzie byli silni, cery śniadej. Byłażby to kolonia *Basków* francuzkich? Nie mam pod ręką środków do odpowiedzenia na to pytanie. Wioska ta mogąca pomieścić ze 600 dusz ludności rybackiej mięszanego pochodzenia anglo-francuzkiego ma też dwa kościoły zapewne katolicki i anglikański, albo presbyteryański. Co do zieloności, mech tylko było widać, śnieg leżał na górach. Po sprawie-

(1) Nev-Foundland odkryli w XVI wieku Anglicy, w XVII posiedli Francuzi będąc panami Kanady. W połowie XVIII dostali znów Anglicy wraz z podbitą na Francuzach Kanadą. Wyspa ta daleko większa od Irlandyi, liczy 200,000 ludności francuzkiej i angielskiej, głównie rybackiej. Kraj zimny, pusty, sławny tylko z psów *de terre neuve*, ratujących instynktowo człowieka topiącego się albo udającego że się topi, których rasa już bodaj niknie, tyle ich wywieziono do Europy, a nawiedzana latem przez liczne statki angielskie, francuzkie, holenderskie łowiące stokfisze. Żywność tej licznej populacyi przechodniej, sprowadzają aż z przeciwległej południowej Nowej Szkocyi. Widzieliśmy taki statek ładowny w dzień ś. Jana.

niu tego komisu, zostawiwszy na lewo wyspę Śgo Pawła, (o którą się był rozbił jeden ze statków tej kompanii, z uratowaniem jednak wszystkich dusz), nie mając już przed sobą żadnego niebezpieczeństwa, wpłynęliśmy prosto w lejek albo szyję rozdzielającą i łączącą Ocean z zatoką Śgo Wawrzyńca. Rano byliśmy już w zatoce, na morzu spokojném jak jezioro, zostawiając na prawo długą, nieurodzajną, pustą, jedno rybną w rzekach wyspę, zwaną *Anticoasti Island*. Wiatru nie było, niebo już jasno błękitne, ciepło dawało się czuć. Wyjechaliśmy ostatecznie z kraju mgieł i lodów. Okręt tak czyszczono, że majtkowie maszty oskrobywali, aby wpłynąć do Quebeku strojnie i okazale. Swobodną naszą monotonię przerwał na chwilę o godzinie drugiej z południa wieloryb, wychylając za tyłem okrętu potężną głowę z morza i puszczając nozdrzami wodotrysk w powietrze. W trzy godziny później drugi, pokazał nam tłusty swój kolosalny grzbiet. Płynęliśmy blizko lewej strony golfu już przy brzegach Kanady. U stóp gór lesistych na pierwszym planie leżały wioseczki i rozsypane, schludne, murowane domki. Widzieliśmy i kościołki, bo to koloniści francuzcy, katolicy. Ucieszyłem się wielce, że choć zdaleka mogłem uczcić więźnia miłości ku nam, pana naszego Jezusa w Najświętszym Sakramencie i że on tu ma tylu swoich chwalców. Młody jeden żeglarz amerykański płynący wraz z nami, powiadał, że obchodził piechotą (zapewne w skutek rozbicia się) ten brzeg, że ludność tu bardzo poczciwa, pracowita, ma z czego żyć, ale biedna (jak i ich proboszczowie) z powodu wielkiej trudności spieniężenia płodów. Nazajutrz 27go zerwał się wicher tak mocny, że gdyby nas spotkał na pełnym oceanie, toby nam był sprawił burzę prawdziwie godną opisywania.

Zatoka Śgo Wawrzyńca szeroka na sto mil morskich, a rzeka sama przy wejściu do zatoki na mil czterdzieści. Dopłynęliśmy do tego punktu o południu; wsiadł pilot, znający dokładnie koryto rzeki, która ma swoje wyspy, skały, mielizny i zaczął kierować okrętem, ale kapitan nasz choć już wolny od wszelkiej odpowiedzialności, nie tracił z oka statku: «Nie spocznę aż w Montreal, mówił, gdy już na miejscu staniemy.» Pilot przywiózł nam dzienniki z Quebeku, z których dowiedzieliśmy się, że w niedzielę zeszłą (25go) gdyśmy chuchali sobie w dłonie, w Quebeku był upał okropny, że w dolném mieście powstał pożar, który strawił ze trzysta domów, kilka statków w porcie, kosztował życie kilku ludziom i sprawił szkodę na milion funtów szterlingów. Nówin z Europy świeższych, od tych jakieśmy wieźli, ma się rozumieć znaleźć nie mogliśmy, jedno z Ameryki o dalszej zemście zwycięzców, uwięzieniu jenerała południowego Beauregard puszczonego na wolność w skutek kapitulacyi, o szczęśliwém dostaniu się jenerała Breckenvidga z dwoma towarzyszami do Kuby na łódce, po trzydniowej żegludze o głodzie i ciągłej bezsenności i t. p.

Tymczasem widać, że się zbliżamy do portu. Spotykamy coraz częściej statki płynące w jednę i drugą stronę. Zrana 28go widzimy wspaniały wodospad Montmorency na dwieście pięćdziesiąt stóp wysoki, na sześćdziesiąt szeroki, jeden z najwspanialszych na świecie, po Niagarze, i po upłynięciu ośmiu mil jeszcze, stoimy przed Quebekiem wspaniale położonym na górze, między rzekami Śgo Wawrzyńca i Śgo Karola. Parowce przypływające z Europy wystrzałem z dwóch dział jakie posiadają, dają znać o swojém przybyciu. Urzędnik celny Kanadyjczyk francuzki, i jak uważałem patryota, nie rewidował moich rzeczy. Kazałem się zawieźć do uniwersytetu katolickiego, zaproszony w Rzymie przez księdza rektora tego zakładu i zmówiłem z niesłychaną pociechą ducha mszę świętą na podziękowanie Bogu za szczęśliwą przeprawę, i prosząc o błogosławieństwo Jego na dalszą podróż i na dalszą pracę i trudy.

O tém doniosę wam w następnych listach, a tymczasem żegnam was wołając z głębi duszy, Bóg z nami w Panu.

P. S. Odwiedziłem moich Anglików. W książce podróżnych znalazłem mojego pułkownika zapisanego *Reverend Doctor*, pytałem w domu jak to rozumieć? Księża tutejsi odpowiedzieli mi, że jest zapewne nadkapelanem wojskowym i ma stopień i płacę pułkownika, bo i jeden z naszych, kapelan dla tutejszych żołnierzy katolickich, ma stopień majora. Teraz pojmuję teologię naszego pułkownika-ministra, i jego pobożność (pod wpływem już zapewne siostrzenicy), bo na starego wiarusa było za wiele i teologii i nabożeństwa.

LIST DRUGI.

z Quebec do St. Agatha of Wilmoth.

Mając opisywać wam w tym liście podróż moję po Kanadzie, a raczej przez Kanadę, stosowna rzecz jest, bym choć w krótkich słowach przypomniał jej początek europejsko-chrześciański, jej położenie i rozciągłość.

Kanada najprawdopodobniej tak nazwana od wyrazu Indyan tutejszych, oznaczającego *chałupę*, *strzechę*, rozciąga się wzdłuż północnych granic Stanów-Zjednoczonych, od brzegów Atlantyku, aż do wód jeziora Wyższego i Misissipi, na tysiąc kilkaset mil wzdłuż, szerokości zaś ma tylko od dwóchset do trzystu mil.

Jakub Cartier z St-Malo, pierwszy odkrył rzekę ś. Wawrzyńca, je-

dnę z największych na świecie, a pierwszą może co do piękności, czystości przezroczej wód swoich i co do żeglugi : spławną jest bowiem na siedmset mil, a z jeziorami przez które przepływa, na dwa tysiące. Otóż wspomniany Jakub Cartier założył nad tą rzeką r. 1541 pierwszą osadę francuzką w zatoce ś. Krzyża. Druga silniejsza osada powstała roku 1608, na miejscu gdzie dziś Quebec leży; później jeszcze pan de la Salle, gubernator Kanady, na małym statku o sześćdziesięciu beczkach ładunku przedarł się przez cały system jezior i dostał się na Missisipi, którą to rzeką upłynąwszy dwa tysiące mil, wylądował tam, gdzie później stanął Nowy-Orlean. On to powziął olbrzymi zamiar, aby Francya zakładając kolonie w tém ogromném półkolu, między zatoką ś. Wawrzyńca a Meksykańską zdusiła osady angielskie. Francya założyła wprawdzie Luizyanę, drugą Kanadę południową, ale r. 1759, Anglicy pod jenerałem Wolf, zniweczyli te olbrzymie zamiary, zdobyli Quebec, całą Kanadę, i zmusili Francyą do odstąpienia sobie całej tak zwanej, nowej Francyi. Ludność francuzka w tej epoce, nie przenosiła 70,000 dusz. (1)

Jakkolwiek rząd angielski był czysto wojskowy, twardy i niepojętny, i choć rewolucya francuzka nie powiększyła liczby kolonistów, (bo Anglia emigrantów nie wpuszczała), jednak, ludność trzeźwa, pracowita, mając sobie przez kapitulacyą zapewnioną religię, język i prawa dawne, rosła pośpiesznie, w ciągu stulecia doszła miliona, albo i przeszło. Od chwili podboju angielskiego wydatnie się odznaczyła Kanada *Wyższa* albo zachodnia, od Kanady *Niższej* albo wschodniej. Koloniści francuzcy opuścili rzadkie domostwa w pustej jeszcze krainie jeziór a zamknęli się koło silnych swoich osad, około Montreal i Quebeku; miejsce ich zajęli koloniści amerykańscy, szkoccy, irlandzcy, tak katolicy jak oranżyści, Niemcy, i obecnie ludność Kanady zachodniej przewyższa ludność francuzką, dochodzi bowiem 1,400,000, gdy francuzka ledwo że przenosi 1,100,000; obie Kanady razem liczą 2,500,000 dusz.

Kraj piękny, górzysty szczególniej między Quebekiem a morzem, pełen lasów, rzek, wodospadów, jezior; powietrze tylko zmienne, choć zdrowe, a zimą ostre.

Pojmuję iż dla francuza byłoby rzeczą niezmiernie zajmującą zwiedzać Kanadę, bo to Francya jaką była przed wielką rewolucyą. Rewolucya tu nie znalazła najmniejszej sympatyi. Lud kanadyjski żył pod opieką swoich proboszczów, ażeby nieudawać się do obcych protestanckich urzędników, wszystkie swoje zatargi zostawiał rozsądzeniu księży. Ze dwudziestu kapłanów zbiegłych tu z Francyi przed gilotyną, nie

(1) W samejże Kanadzie, bo w tak zwanej Arkadyi (dziś Nowej Szkocyi) było tyleż i więcej ludności katolickiej po francuzku mówiącej, jużto czysto europejskiej już przemięszanej z nawróconymi Indyanami. Ludność tę ciemiężąc i rozpędzając Anglicy, zmusili do wyniesienia się głównie do Stanów Zjednoczonych, mała jej tylko część na miejscu pozostała.

przyniosło pewno wieści pociągających do dawnej matki ojczyzny, szalejącej bezbożnie. Owszem, Kanadyjczycy zbliżyli się nieco do Anglików. Bo gdy pod koniec rządów Napoleona I Amerykanie widząc zajętą Anglię w Europie, pokusili się zdobyć Kanadę, sami ochotnicy miejscowi, z małą pomocą wojsk stałych, przepędzili *Jankesów*; nietyle zapewne z miłości do Anglików jak z odrazy do Amerykanów; takie usposobienie trwa i dziś jeszcze, mianowicie w massie szczero-katolickiej pochodzenia francuzkiego, bo liberały francuzkie, Anglicy nie należący do Kościoła panującego i t. d. sprzyjają myśli połączenia się ze Stanami Zjednoczonemi.

Roku 1837 w skutek tarcia się dwóch narodowości, stronniczości rządu dla swoich, dawania wszystkich urzędów anglikom i t. p. wybuchło powstanie Kanadyjczyków francuzkich. Naturalnie że zostało stłumione, paręset osób przypłaciło gardłem to pokuszenie, a w r. 1840 obie Kanady przeszły pod jeden rząd centralny. Wszakże rząd angielski wiedząc o stałej chęci Amerykanów annexowania sobie pośrednich posiadłości angielskich, łagodnie postępuje z Kanadyjczykami; wielu ze skompromitowanych w ostatniém powstaniu, zajmuje dziś wysokie urzęda, mają oni swój prowincyonalny parlament, ministeryum finansów, radby rząd nawet widział skonfederowane wszystkie swoje posiadłości amerykańskie dla snadniejszej obrony od Stanów Zjednoczonych. Choć różność interesów rozmaitych prowincyj dotychczas temu zawadza, wszakże i obecnie, okrom gubernatora z ręki królowej i garnizonów angielskich, doskonały tu samorząd; wie bowiem rząd, że tak rozciągłej linii granicznej, której najlepsze punkta strategiczne posiadają Amerykanie, nie potrafi przeciwko najezdczym ich massom obronić, jeżeli Kanadyjczycy licznych milicyj nie dostarczą. Musztrują tymczasem ze 25,000 ochotników i uzbrajają niektóre punkta; górny Quebek mianowicie i cytadela najeżona działami. Wracam teraz do punktu, na którym stanąłem w ostatnim moim liście.

Dzień ś. Piotra spędziłem cały prawie na nabożeństwie ranném i wieczorném w katedrze, zaproszony po środku na obiad przez wikarego generalnego, w nieobecności biskupa. W piątek zrana zmówiłem mszę świętą w szpitalu obsługiwanym przez tutejsze siostry Szare; ale że ich gniazdo i dom główny w Montreal, tam stosowniej o nich wspomnieć wypadnie. Miasto prędko obejrzałem, bo nierozległe, nic wielce zajmującego nie ma; przez resztę dnia pisałem listy. Najwięcej mnie obchodził klasztor Urszulinek, założony w r. 1639 przez wielebną matkę Maryą od Wcielenia, której żywot obszerny napisany przez jej syna, uczonego i świątobliwego Benedyktyna, czytałem w Rzymie lat temu ośm, i dziwném zrządzeniem opatrzném dałem do czytania ojcu Eugeniuszowi, który rychło potém powołany został na przełożonego missyi naszej w Kanadzie. Doświadczyłem, iż ile razy odwiedzam zwłoki dusz

świętych, których życie i pisma czytałem, odwiedzam je, jakoby osobę jaką dobrze mi znajomą. Z wielką tedy pociechą ducha zmówiłem w kościele przez tę świętą duszę zbudowanym mszę świętą, (na której kommunikowały wszystkie zakonnice i znaczna część panienek pensyonarek), ile że ją uważam za opiekunkę missyi naszej przed Bogiem. Okrom niej leży w tym kościele pogrzebana Magdalena de Chauvigny wdowa de la Peltrié, współzałożycielka klasztoru, bo cały a znaczny swój majątek obróciła na korzyść tego zakładu, na wychowywanie dzikich Indyanek, i całe życie swoje czynnie zużyła jakoby zakonnica i missyonarka, w nieustannej pracy, wśród największych niewygód. W tymże kościele pogrzebany leży jenerał Montcalm, który zginął śmiercią walecznych, broniąc niepodległości Kanady, przeciwko jenerałowi angielskiemu Wolf, który też tryumf swój śmiercią przypłacił(1). Tak w tym kościółku objęta jest niejako historya Quebeku i niepodległej Kanady; dodając jeszcze do tego prace OO. Jezuitów i wspomnienie o zacnym panu Champlain, założycielu Quebeku i pierwszym jego gubernatorze. Zdaje się, że nie wspomniałem o wspaniałym gmachu nowego uniwersytetu katolickiego, który mi ksiądz rektor, wraz z biblioteką i gabinetami uprzejmie pokazał. Z dachu uniwersyteckiego wspaniały i obszerny widok, równie jak z cytadeli. Największą ozdobą i bogactwem Quebeku, że dzięki wspaniałej rzece choć tak daleko leży od brzegów oceanu, jest jednak portem morskim, bo największe okręta dopływają do miasta bez trudności. Nieszczęściem rzeka zamarza przez sześć miesięcy zimowych, a Kanada innego portu nie ma. Jest projekt zbudowania drogi żelaznej od niezamarzającego portu Halifax w Nowej Szkocyi do Kanady. Quebek tém się jeszcze szczyci, że jest najstarszém miastem w północnej Ameryce, liczy zaś około 50,000 ludności.

Że nam zobopólnie pilno było zobaczyć się z moimi braćmi, co rychlej w sobotę pod wieczór wypłynąłem wspaniałym statkiem rzecznym do Montreal, długo się przypatrując pięknym i zabudowanym brzegom rzeki ś. Wawrzyńca. Nazajutrz rano przybyłem do Montreal i zajechałem wprost do biskupstwa, uprzejmie przez wikarego jeneralnego i kanoników wespół mieszkających przyjęty. Ksiądz biskup bawi jeszcze w Rzymie za sprawami swojej dyecezyi, on to mnie łaskawie do swojego domu zaprosił. Dzień ten niedzielny, a zarazem święto Nawiedzenia N.Panny, zeszedł na nabożeństwie. Wieczorem miało być zebranie gałęzi bractwa paryzkiego *de Notre-Dame des Victoires*; zaproszony z nauką, podjąłem się mówić już to dla uczczenia ukochanej matki, już jako jeden z pierwszych członków tegoż bractwa, bo w pierwszej jego setce zapisany przez założyciela ś. p. księdza Des Genettes. Jak

(1) W czasie wojny wschodniej i braterstwa Francyi z Anglią, Kanadyjczycy postawili w kościele nowy pomnik z napisem przygotowanym przed wieki przez Akademię francuzką, ale który był zaginął przez rozbicie się okrętu.

tam poszło nie wiem, nie musiało być jednak bardzo źle, bo ta nauka wywołała zaprosiny do ważniejszego daleko kaznodziejstwa, jak rychło powiemy.

Nazajutrz rano odwiedziłem na wsi Mgra Vinet proboszcza, który lat temu trzy był w Rzymie wraz z księdzem biskupem, innymi biskupami i duchownymi kanadyjskimi, na kanonizacyi męczenników japońskich, i był wraz z nimi u nas na święconém wielkonocném u śgo Klaudyusza. Naturalnie że mnie uprzejmie przyjął. Miałem też do oddania list z Rzymu do jednej Sercanki, mieszkającej w tamtejszym ich klasztorze. Odwiedziłem też nowicyat OO. Jezuitów. Zanim przystąpię do opisania pierwszych moich pośpiesznych odwiedzin zakładów duchownych tego miasta, muszę nadmienić, że Montreal właściwie powinno się nazywać *Ville Marie*. Rychło po sprowadzeniu się Urszulinek do Quebeku, zawiązało się w Paryżu i Francyi pod przewodnictwem księdza Olier (założyciela seminaryum księży ś. Sulpicyusza) stowarzyszenie ludzi pobożnych i zamożnych, celem założenia w Kanadzie osady na cześć Maryi Panny, jedynie na chwałę Bożą i dla nawracania Indyan, bez żadnej korzyści materyalnej dla stowarzyszonych. Otrzymawszy wyspę dziś od Montreal nazwaną, stowarzyszeni zrobili z niej uroczystą donacyę Królowej niebios. Dodać jeszcze trzeba, że ksiądz Olier i p. de La Dauverrière pobożny, bezżenny, urzędnik w Laflèche, otrzymali spółczesne objawienie, iż jest upodobaniem Boga i Najświętszej Panny, aby ta kolonia chrześciańska założona była na cześć Przenajświętszej Rodziny; tak, iż ks. Olier i jego kapłani mieli przedstawiać osobę Pana Jezusa, p. de La Dauverrière zaś miał założyć Siostry na cześć ś. Józefa, co rzeczywiście wykonał i rychło potém poszedł do Pana po nagrodę. Objawienie musiało być bardzo wyraźne, bo ks. Olier spotkawszy raz pierwszy w życiu wspólnika swego w dziele Bożém, wraz go powitał, i przystąpili razem do pracy. Trzecie zgromadzenie miało być założone na cześć Najświętszej Panny. Młoda panna stanu miejskiego, Małgorzata Bourgeois, rodem z Troyes w Champanii, widzeniami Matki Boskiej do wyłącznej służby Bogu pociągnięta, a opatrznie do klasztorów nie przyjmowona, w drugiém widzeniu ujrzała poważną osobę, której się jej trzymać kazano. Właśnie pobożny szlachcic, pan de Maisonneuve, z Champanii rodem, mianowany przez stowarzyszonych gubernatorem nowej kolonii *Ville Marie*, przybył do Troyes szukając jednej lub dwóch panien, któreby odważyły się puścić z nim do Kanady, dla założenia tam szkółki dla kilkorga dzieci kolonistów, i dla dzikich Indyan. Jak skoro pan de Maisonneuve wszedł do klasztoru gdzie miał własną siostrę pragnącą też udać się do Kanady, zaledwo go zobaczyła panna Bourgeois, zawołała w pierwszym popędzie: « oto ten pan którego widziałam, a z którym mam jechać! » Rzeczywiście puściła się z nim wraz ze stu

kilkudziesięciu kolonistami, dobranymi, pobożnymi, dawnymi żołnierzami, zdolnymi nietylko lasy karczować i rolę uprawiać, ale i odpierać napastujących wciąż Huronów, Irokezów i innych Indyan (1). Siostra Bourgeois, wytrzymawszy mężnie niesłychane niebezpieczeństwa, trudności, klęski i przeszkody, założyła zgromadzenie (nieklauzurne) Sióstr uczących, obecnie po całej Kanadzie i dalej rozszerzone. Otóż przez następne trzy dni mojego pobytu w Montreal, byłem ze mszą śtą u Sióstr ś. Józefa, drugiego u Sióstr de Notre-Dame, gdziem zaproszony do zebranych Sióstr powiedział naukę. Trzeciego, u tak zwanych *Sœurs grises*, założonych sto lat temu na cześć Ojca Przedwiecznego, przez świętobliwą wdowę panią de Youville, dla służenia chorym w szpitalu, wychowywania podrzutków i t. d. Zgromadzenie to także znacznie się rozszerzyło. W ciągu dnia odwiedziłem inne jeszcze nowe zgromadzenie, wychowywaniu dziewcząt poświęcone.

Poznałem także księży ś. Sulpicyusza, i byłem na rozdaniu nagród w ich gimnazyum. Drugie trzymają OO. Jezuici. Ksiądz biskup otworzył trzecie dla młodzieży poświęcającej się przemysłowi. Zgromadzenie Sulpicyanów zajmuje tu wydatne położenie doczesnie i duchownie. Ponieważ pierwotne stowarzyszenie na nich przekazało własność kolonii i długi które było zaciągnęło, są oni dotychczas największymi właścicielami. Za sprzedawane grunta fundują szkoły i kościoły; w ostatnich czasach do 5,000,000 na te cele wydali. Mądrze czynią, przewidując możebną konfiskatę dóbr duchownych, (bo to w duchu wieku, mianowicie też gdyby Amerykanie kraj ten posiedli) ale czynią poczciwie i po Bożemu, boć mogliby pieniądze po bankach zagranicznych umieszczać i tak je zachować. Duchowni obsługują wszystkie kościoły, wyjąwszy koscioła biskupiego i kościoły innych zgromadzeń zakonnych, choć wszyscy mieszkają w seminaryach. Dostarczają też kapelanów trzem przez nas wspomnianym klasztorom żeńskim, od chwili ich założenia. Kościół ich główny, a właściwie jedyny parafialny (bo inne są tylko filialne) zwany przez Anglików *the french cathedral*, jest najwspanialszym gmachem w mieście. Zbudowany w stylu gotyckim, choć z powodu wież swoich przypomina nieco kościół ś. Sulpicyusza w Paryżu. Długi jest na dwieście pięćdziesiąt pięć i pół stóp, szeroki

(1) Kiedy w 1641 r. założoną została nowa kolonia *Ville Marie*, po latach czterdziestu poprzedniej kolonizacyi, wszystkiego było w Kanadzie 200 kolonistów Francuzów, licząc w to dzieci. A zatém kolonizacya zaczęła się na seryo wtedy dopiero, kiedy stowarzyszenie ks. Olier posłało od razu stu kilkudziesięciu ludzi zdolnych do pługa i do oręża. Gdy ich dzicy zanadto naciskali, siedmnastu ludzi odważnych postanowiło się poświęcić dla zachowania kolonii, i pójść ich wojować wstępnym bojem. Po przyjęciu sakramentów świętych i związaniu się ślubem niepoddania się i walczenia do ostatka, przez dni ośm bili się naprzód przeciwko 300 a potém 800 Irokezom. Zginęli wszyscy wraz ze swoim naczelnikiem p. Danlou, ale Indjanie tak zostali przerażeni klęską jaką im siedmnastu Francuzów zadało, że na długi czas dali pokój kolonii, aż się stopniowo wzmocniła. Cóż podobnego znaleźć w dziejach Greków i Rzymian? Patrz *Vie de la soeur Bourgeois* (przez księdza Failleri Sulpicyanina.

na sto trzydzieści cztery i pół, wysokość wież dochodzi dwóchset dwódziestu pięciu stóp. Widok z nich na rzekę, miasto, okolice, obszerny i piękny. Główne okno kościoła wysokie jest na sześćdziesiąt cztery stopy, a na trzydzieści dwie szerokie. Kościół ten zdolny jest pomieścić do 9,000 wiernych, choć wewnątrz ciężki, akustycznie źle zbudowany, tak że kazać w nim prawie niepodobna.

Znalazłem najbardziej uprzejme przyjęcie u tych zacnych kapłanów, a niespodzianie i z wielką pociechą, w liczbie ich znalazł się ksiądz Desmazures, uczeń mój z *Collége Stanislas* w Paryżu, który zachował dla mnie całą żywość i świeżość młodocianych wrażeń, choć to już lat trzydzieści upłynęło.

Gdym się wybierał do wyjazdu, a księża kanonicy uprzejmie zapraszali abym jeszcze wrócił do Montreal, odpowiedziałem : « że mi nie wolno podróżować dla mojej przyjemności tylko; więc jeżeli mnie chcą mieć, niech mi dadzą co do roboty (a myślałem o zakonnicach, które przebąkiwały o rekolekcyach podczas wakacyi). » — « O jeżeli tylko o to chodzi odpowiedzieli, to ci damy tyle, że w końcu będziesz wołał o zmiłowanie. » Ksiądz wikary jeneralny dodał : « A ja na początek zapraszam do dania w sierpniu ćwiczeń duchownych stu naszym proboszczom, a potém wikarym z całej dyecezyi. » Strapiłem się na razie, bom tak wysoko nie marzył, wszakże rozmyśliwszy się, żem prosił Boga by mi dał popracować w tej podróży, że słyszeli moją francuzczyznę, a jednak się jej nie przelękli, przyjąłem, zostawiając wszelką wolność rządzcy dyecezyi, gdyby się inaczej rozmyślił. Obiecałem stawić się przed 10 sierpnia, zostawało mi zatém miesiąc czasu na pierwszy pobyt i pracę śród moich braci.

Mając tedy tu wrócić, objechałem tylko górę Montreal,(która zabrała świętą, piękną nazwę *Ville Marie*), zkąd piękny widok na miasto. Coraz to częściej jest zabudowana ładnemi domkami, i ma mieć bulwar wokoło, jeżeli tylko zamierzone fortyfikacye wojenne nie zaszkodzą. Zwiedziłem też przy kollegium księży Sulpicyanów za miastem, dwie wieżyczki pozostałe z czasów pierwszego założenia kolonii, a broniące naówczas od napadu Indyan, w których dwóch pierwszych nawróconych i świętobliwie żyjących, starca i jego wnuczkę pochowano. Zresztą dodam, że Montreal liczy 80,000 ludności, pięknie leży między dwoma rzekami, u stóp góry, a ma sławne parapety z ciosowego kamienia po nad rzeką ś. Wawrzyńca i kolosalny most nowy *Victoria*, pod którym statki przepływają nie zginając masztów. Może co jeszcze dodam o tém mieście w przyszłym liście, choć zdaje mi się, wszystkiegom w krótkości dotknął.

Zostawała mi jeszcze jedna stacya po drodze, w Hamilton, u księdza biskupa Fovel, pasterza dyecezalnego naszych Missyonarzy, który był w Rzymie na ostatniej kanonizacyi, i u nas mieszkał. Irlandczyk po-

chodzeniem, w Montreal wychowany, młody i czynny jak potrzeba do nowo-założonej dyecezyi, pobożny i uprzejmy, słowem Missyonarz i apostolski biskup. By nie płynąć marudnie pod wodę wśród *rapids* tysiąca wysp na rzece świętego Wawrzyńca, odłożyłem czarującą tę zresztą żeglugę na odwrotną podróż, a puściłem się drogą żelazną do Kingston nad jeziorem Ontario.

W miarę jak oddalałem się od rzeki, nikły z oczu białe murowane domki; w głębi kraju spotykałem nowych kolonistów angielskiego pochodzenia, u których domy i budynki folwarczne i płoty, wszystko z drzewa, dylów i desek. Całe pola świeżo wykarczowane, na których sterczą pniaki drzew ściętych zimą na wysokość do jakiej śnieg dochodzi, świadczą że tu drzewo nic nie kosztuje, wyjąwszy zachodu około ścięcia i przewiezienia go: to też ogromne kłody gniją na miejscu. Że zaś oczyszczenie pól z pniaków sterczących i korzeni zawieleby kosztowało pracy, wynaleziono machinę do wyrywania ich od razu, jak dentysta ząb wyrywa, jedno siłę ręki ludzkiej zastępują tu łańcuchy i korba, którą bydlęta obracają. Widziałem całe pola już tak oczyszczone, tu i owdzie jamy jeszcze nie zasypane i korzenie obok leżące; niektórzy robią sobie z tych korzeni parkany. Nie zastępują one płotów kaktusowych Palestyny i Egiptu, ale zawsze mocniejsze są od parkanów z krokwi lub desek.

Przybyłem do Kingston i szczęśliwie zdążyłem jeszcze na statek odpływający do Torento i Hamilton. Jezioro Ontario wspaniałe jest i wodę ma bardzo przezroczystą. Torento obszerne i dobrze zabudowane miasto, ma do 60,000 ludności; Hamilton liczy dopiero 20,000; lat temu dwadzieścia stał tam jeszcze las odwieczny. Przybyłem o południu do Hamilton i mogłem jeszcze mszę świętą zmówić w naszym kościele, który służy za katedrę tymczasową. Ksiądz biskup był na egzaminie w szkole swojej elementarnej, uprzejmie mnie przyjął i dał mi władzę wikarego jeneralnego w swojej dyecezyi, oświadczając mi ile jest zadowolniony z naszych kapłanów. Pod wieczór przybył O. Eugeniusz, przełożony naszych Missyonarzy, i nazajutrz rano, w sobotę 8 lipca, postanowiliśmy wyruszyć do domu. Niespodzianie, towarzyszyłem o północy księdzu biskupowi, udzielającemu ostatnich sakramentów sędziwemu swemu wikaremu jeneralnemu, księdzu Gordon, który jeszcze przy obiedzie razem z nami u stołu siedział, choć się już czuł nie dobrze. Szanowny ten kapłan, Irlandczyk rodem, był przez całe życie Missyonarzem w tym kraju jeszcze dzikim i nieuprawnym. Z tłomoczkiem na plecach przedzierał się do rzadko rozsianych rodzin katolickich na ogromnej przestrzeni, przez świeżo wykarczowane pola, albo przez lasy, znacząc sobie siekierką drzewa, aby mógł trafić napowrót. Doczekał się tej pociechy, że głównie z jego dawnej parafii powstała nowa dyecezya, na której też korzyść przekazał

własne swoje i po bracie odziedziczone zasoby. Rok temu, pozwolił sobie wakacyi tu na ziemi jeszcze. Z drugim kapłanem współrodakiem puścił się do Rzymu, aby uczcił grób świętych Apostołów i ucałował stopy Ojca świętego, a wracając odwiedził swoję ojczyznę, którą dzieckiem był opuścił. Świeżo jeszcze chciał udać się powtórnie do Irlandyi, mówiąc że się nią dosyć nie nacieszył; jedno że nie znalazł towarzysza podróży. Nad ranem był lepiej, (jeszcze tym razem się wydobył), wyjechaliśmy zatém otrzymawszy obietnicę księdza biskupa, że nas rychło odwiedzi.

Przybyliśmy około dziesiątej zrana drogą żelazną do Presten, jednej z dziesięciu stacyj, które obsługują nasi księża, okrom trzech rezydencyj w których mieszkają tak, że nieraz sześć do siedmiu mil polskich dojeżdżać muszą do chorych. W Presten czekał na nas z wozem pocztmistrz ze świętej Agaty i drugi gospodarz. Zaproszony do obejrzenia szkoły i kaplicy miejscowej, zwróciłem tam kroki, gdy oto znagła, wychodzi processyonalnie szkoła z chorągiewkami i śpiewem, dziewczynki w bieli, jedne mi sypią kwiaty pod nogi drugie bukiety, a tyle ich, iżbym czterema rękami wszystkich nie objął. Przyznam się szczerze, że pierwsze moje wrażenie było zdziwienia. Znużonemu długą podróżą, niewyspanemu ostatniej nocy, wydało się to jakiémś sennėm złudzeniem. Od kilku lat takem nawykł do odmiennego całkiem obchodzenia się ze strony moich kochanych rodaków, iż mi się to w końcu wydało stanem normalnym; a tu dzieci irlandzkie, niemieckie, które mię nigdy nie widziały obrzucają kwiatami. Obiecałem dziatkom, że im przywiozę wracając obrazki i kwiaty i milczący siadłem na furę wiozącą nas do miasteczka Berlin, jednej ze trzech naszych rezydencyj. Szczęściem żeśmy przybyli znacznie wcześniej, niż się nas spodziewano. Zbiegło się jednak dość ludności do kościoła (1). Dowiedziałem się, że w liczbie było wielu ciekawych protestantów, którzy widząc jakiś ruch pomiędzy katolikami, pytali o przyczynę, a dowiedziawszy się, że naczelnik ich duchownych przybywa z Rzymu, powiedzieli sobie, że to papież, mędrsi nawet zrozumieli, że dla tego zapewne katolicy szukają do nabycia wielkiego obszaru ziemi, aby tam swego papieża osadzić. Dosyć, że poporzucali swoje zajęcia, aby gwałtem tego papieża zobaczyć, i szczęściem znaleźli, że wygląda na bardzo przyzwoitego *gentlemena*. Obiecałem katolikom, że za piętnaście dni będę u nich z nabożeństwem, i po małej przekąsce zabierałem się do wyjazdu. A tu podnosi się ogromny tuman, dwudziestu jeźdźców, z chorągwią na czele, z szarfami przez plecy, z bukietami przy kapeluszach pędzi ku nam; była to eskorta honorowa ze świętej Agaty. Wtedy już seryo wyrzuciłem O. Eugeniuszowi nieposłuszeństwo. Pamiętając bowiem, że przed rokiem odezwał się był w Rzymie: « niechno ojciec przybędzie, zobaczy, jakie

(1) Tutejsza kolonia polska wyniosła się była do Stanów Zjednoczonych, jak później powiemy.

przyjęcie znajdzie »; napisałem z Quebek: «proszę tylko, aby nie było żadnej wystawy, i wydatku na moje przyjęcie, pamiętajcie że będziecie musieli u waszych parafian prosić o pieniądze na opłacenie kosztów mojej podróży.» Na to mi O. Eugeniusz odpowiedział: «Proszę wybaczyć, że dosłownie polecenia wykonać nie mogliśmy. Nic nas przyjęcie ojca nie kosztuje, bo ludność sama wszystko robi i ochotnie przy każdém święcie ś. Hieronima tyle z nich spowiadało się na intencyą ojca i kommunikowało, świeżo jeszcze dla uproszenia pomyślnej żeglugi, że okrom potrzeby serca naszego, zgorszylibyśmy tę ludność gdybyśmy się obojętnymi okazali. Tyle lat wyczekiwaliśmy Ojca, a oni z nami, proszę wierzyć, że protestanci sami, widząc jak katolicy biskupów swoich i kapłanów szanują, są ztąd zbudowani, a ministrowie ich wzdychają, że oni są za nic uważani, i że lada szewc im burmistrzuje.» Nastąpił zatém kompromis, otrzymałem obietnicę stanowczą, że po miasteczkach gdzie ludność mięszana, żadnych demonsracyj nie będzie, a zgodziłem się przejść przez rózgi w dwóch rezydencyach wiejskich, świętej Agaty i świętego Bonifacego. Jechałem tedy w takiej komitywie przez miasteczko powiatowe Waterloo: ludność prawie cała protestancka była w oknach i na ulicy, mężczyzni ogólnie odkrywali głowy, pocieszałem się tém przynajmniej, że zaszczyty niewygodne, bom się potężnie napił kurzu, a konie powozowe nienawykłe do powiewających chorągwi jeźdzców, kilka razy o mało nas nie uniosły.

Trzeba wiedzieć, że tu wsie jakich u nas nie ma. Tutejsi koloniści, (jak wszędzie w Polsce osiedli) mają domostwa swoje przy drodze, lub swojej własności, zajmującej od kilkudziesięciu do kilkuset morgów. Wsią lub miasteczkiem nazywa się kościół, kilka domów zajezdnych i domostw kolonistów bliżej kościoła dotykających. Taką wsią jest ś. Agata z kościołem swoim na wzniesionym gruncie stojącym. W miarę jakeśmy się do niego zbliżali, rodziny katolickie wychodziły z domostw swoich, w świątecznych szatach klękając przy drodze z prośbą o błogosławieństwo, matki podawały przez ręce niemowląt kwiaty. Tymczasem zbliżały się ku nam w processyi dziewczynki szkolne w bieli i mnóstwo ludu, wśród odgłosu dzwonów i strzałów moździerzowych. Wysiadłem z powozu przy małym domku mieszczącym w sobie zaród przyszłego kolegium. Przed dalszym domem przez naszych księży założonym stało dwadzieścia sierot z sześciu miejscowemi siostrzyczkami. Wśród tego pochodu wciąż mi się nasuwały na myśl słowa Zbawiciela o wdzięcznym Samarytaninie: «żaden nie wrócił się, aby dał chwałę Bogu, jedno ten cudzoziemiec.» Młodzi nasi bracia pracują od lat ośmiu dopiero dla kolonistów, którzy niedawno jeszcze przedzierali się przez pniaki i lasy, dźwigając na barkach własnych wór zboża o dzień drogi do młyna lub na targ, a oto mają własne domostwa i grunta i mogą już szkoły i zakłady miłosierne zakładać.

Cisnęły mi się łzy do oczu ale bez goryczy (1). Odpędzałem jak mogłem łzy natrętne, wszakże gdy mi się ksiądz Głowalski, któregom od lat ośmiu już nie widział, rzucił na szyję, rozpłakałem się na dobre, i wiem już tylko żem był w kościele, słyszałem śpiewane *Te Deum* i dostałem błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem. Nazajutrz rano choć z ciężką głową odśpiewałem jeszcze summę, ale po niej poczułem całe zmęczenie dwómiesięcznej podróży, i kilka dni jeszcze byłem w usposobieniu gorączkowém, choć dzięki Bogu na chorobę się nie zebrało, bo też i czasu do chorowania nie było.

Nacieszywszy się z braćmi moimi przez dwa dni, zabrałem się do ćwiczeń duchownych, naprzód z jednym, któryby potém był na usługi chorych podczas gdy inni odbywać je będą. Podług obietnicy udałem się na następną niedzielę do ś. Bonifacego. Okolica ta albo powiat zowie się *Klein-Deutschland* po angielsku *Little Germany*, osiadły jest cały Niemcami katolickiemi, którzy po r. 1830 z Badeńskiego i z Alzacyi przybyli, przynieśli ze sobą z Europy ducha filistyńskiego opozycyi przeciwko Kościołowi i duchowieństwu, i kilku księży wygryźli; ksiądz Głowalski uchodził ich nareszcie, choć od pracy i zmartwienia zdrowie sobie podszargał. Poczuli w końcu, że po wyrzeczeniu się ojczyzny, narodowość samą i język przechowują oparte o Kościół i szkołę (2). Oby i rodacy moi pozbawieni dziś całkiem życia politycznego prawdę tę zrozumieli! Jeden był gospodarz (*farmer*) który nie brał udziału w burdach przeciwko duchownym swoim, to też dziś po upamiętaniu się innych, szczególnie jest od nich szanowanym. Ten przyjechał po mnie poczwórną bryką w sobotę, głowy końskie ozdobiwszy wstążkami; przyjęcie było takie jak w świętej Agacie, tylko na większą stopę, bo tu katolicy mieszkają liczniej i nie pomięszani z protestantami. To też sześćdziesięciu jeźdźców wyjechało na spotkanie, aż trzy łuki tryumfalne przygotowali, więcej było strzałów moździerzowych i oracya. Nazajutrz po mszy śpiewanej, przy której jak u świętej Agaty do dwóchset osób czekało z kommunią do południa (i dostało obrazki przywiezione z Rzymu), powiedziałem krótkie kazanie po niemiecku i udzieliłem błogosławieństwa papiezkiego w moc otrzymanego upoważnienia. Po nieszporach pojechaliśmy z O. Głowalskim odwiedzić poczciwego fermera który po mnie przyjechał. Nie ma on nad sto morgów gruntu, a czternaścioro dzieci; wszystko to żyje, chłopcy do szkół chodzą, córki w krynolinach, po opalonych tylko twarzach i dłoniach widać, że pracują

(1) Nie chcę jednak zasmucić i pokazać się niewdzięcznym względem polskich dobrodziejów którzyby ten list czytali. Że ich mamy, najlepszy dowód, żeśmy dotychczas przy życiu i służyć mogli lat trzydzieści biednym naszym rodakom, którzy tradycyjnie i w doczesnych potrzebach, (owszem głównie w doczesnych) do księży udają się o pomoc. Mamy dobrodziejów, a im mniej licznych, tém nam droższych, których wdzięczna modlitwa nasza i po za grobem ścigać będzie.

(2) Po miastach tak zwani oświeceni Niemcy, wpisują się do loż wolno-mularskich, i żyją w praktycznej apostazyi od Kościoła jak w Europie.

w polu. Dom mieszkalny równie porządny albo i porządniejszy jak u nas u mniej zamożnych obywateli, stodoła duża z ciosanego drzewa, na podmurowaniu, a pod nią obora. (1)

Jeden z syndyków szkolnych dziękował mi za *zaszczyt* jakim uczynił całej okolicy odwiedzając ich kościół i dom jednego przynajmniej z mieszkańców. Trzeba było i to dla miłości Boga przyjąć. Zasiedliśmy do wieczerzy, przy której częstował mnie winem porzeczkowém własnej fabrykacyi, ale przedtém i potém, zmówił pobożnie dość długie błogosławieństwo stołu i podziękowanie, kończąc odmówieniem Pozdrowienia anielskiego. Odjechałem zbudowany i szczęśliwy, że mogłem małym zachodem sprawić przyjemność tak zacnej rodzinie.

W ciągu tygodnia przybył uprzejmie do śtej Agaty ks. biskup z Hamilton, na rozdanie nagród w zaczętém od roku naszém małém kollegium. Pięciu języków się uczą: greckiego, łacińskiego, niemieckiego, angielskiego i francuzkiego; matematyki, historyi, jeografii fizycznej i astronomicznej, historyi naturalnej, nareszcie muzyki i gimnastyki. Aż zawiele na początek! Co do muzyki, choralnej mianowicie, wiadomo że Niemcy w niej celują. To też śpiew kościelny bardzo porządny. Księża nasi znowu przenieśli z Rzymu ochędostwo kościołów i wystawę w obrzędzie zewnętrznym. Niemcy choć z natury nie hojni a przy tém na dorobku, na szkołę jednak nigdy nie skąpią. Dadzą jeszcze i na utrzymanie kościoła, boć to jedyna poezya jaką spotykają śród pracowitego i twardego swego życia. Mniej są szczodrzy dla księdza, choć za najmniejszą usługę duchowną (wyjąwszy ma się rozumieć spowiedzi) najbiedniejszy człowiek nigdy mniej nie da od dolara, (9 zł. pol.) jałmużna na mszę, zwykła tu pół dolara, w Stanach Zjednoczonych dolar. Wprawdzie i życie tu stosunkowo drogie. Irlandczyk znowu wszystko daje księdzu, nie troszcząc się o resztę. W Stanach Zjednoczonych, gdzie liczni są Irlandczycy, księża ostrożnie zachęcają do jałmużny na jakiś cel szczególny, bo wyrobnik Irlandzki, oddaje wszystko co przez tydzień zarobił, nie myśląc na razie o czém następny przeżyje. Nieraz w zapale rzuci księdzu na ambonę dolary swoje zawinięte w papier albo chustę, wołając: « Ojcze, oto masz! » Nieraz księża muszą ich wyszukiwać, i oddawać przynajmniej większą część albo połowę. Wracając do księdza Biskupa, bardzo zadowolniony kierunkiem ściśle katolickim w wychowywaniu naszych uczniów, i postępem jaki w ciągu jednego roku uczynili w naukach, odjechał po oświadczeniu, że chce odbyć rekolekcye z duchowieństwem w Montreal; mam

(1) Z powodu licznych rodzeń katolickich, czytałem artykuł jednego z dzienników w Nowym Yorku wychodzących, dzwoniący na gwałt, że ludność irlandzka i niemiecka ich zabija, bo więcej niż trzy razy liczniej się rozpładza od miejscowej dawno-amerykańskiej (*nativs.*) Dziennikarz wymyśla na bigoteryą Kwakrów i Purytanów, a to poprostu zepsucie że nie chcą mieć nad dwoje dzieci najwięcej. Błogosławieni żyjący podług zakonu pańskiego, bo oni w końcu ziemię posiędą, nietylko w Ameryce, ale i w Europie, gdzie ten szatański przemysł jest rozszerzany.

go zatém zabrać po drodze. Awanturuję się coraz bardziej, ale co robić; cofnąć się trudno.

Na trzecią niedzielę pojechałem ze mszą świętą śpiewaną do Berlina. Już tam podług *pactów conventów* przyjęcia na ulicy nie było, zastałem tylko szkołę i kościół przybrany w zieleń i kwiaty. Przed mszą świętą spowiadałem parę godzin, a przy mszy miałem znowu mnóstwo osób do komunii śtej. Po mszy śtej udzieliłem błogosławieństwa papiezkiego. Podczas mszy śtej O. Eugeniusz miał wyborną naukę o *znaczeniu zakonów w Kościele katolickim*, na której okrom świeckich, byli i ministrowie protestanccy. Słyszałem już kazania trzech naszych Missyonarzy, każdy z nich mógłby mówić z korzyścią i zaszczytem w każdém wielkiém mieście. Lepiej jednak że zaczęli od wsi i miasteczek, nie wystawiając się na rozstrajającą atmosferę ruchliwo-kupiecką wielkich miast amerykańskich. Dzięki Bogu, młode nasze zgromadzenie opowiada już słowo Boże w sześciu językach: po polsku, po bulgarsku, (O. Tomasz Brzeska potężnym został kaznodzieją bulgarskim) po francuzku, po włosku, po niemiecku i po angielsku.

Niektórzy nasi ultra-patryoci, mają nam za złe, że nie samymi tylko Polakami się zajmujemy, (Polakami za granicą, którzy albo całkiem księdza nie szukają, albo jakiego sławnego Francuza,) niepomni: 1° Że Kościół katolicki zgromadzeń wyłącznie narodowych *de jure* przynajmniej, nie uznaje. 2° Że dopóki cudzoziemcy nie zaczęli wchodzić do zgromadzenia, nie wchodzili Polacy; bo nasi jak w słowach przechwalają nieraz co swojskie, tak w gruncie nie wierzą by coś dobrego wyjść z łona naszego mogło. *A Nazareth potest aliquid boni esse*? 3° Nie uważają że to po raz pierwszy cudzoziemcy wchodzą do zgromadzenia założonego przez Polaków. Rzeczywiście, dziwna rzecz, dopóki Polska była silną, ani jedno zgromadzenie nie powstało w Polsce, wszystkie nam przychodziły z zagranicy, i dość powszechnie po niejakim czasie słabły na duchu. Dopiero w chylącej się do upadku Polsce, kapelan króla Jana założył zgromadzenie księży Maryanów.

Za biskupa Brzostowskiego powstały w Wilnie panny Maryawitki, i bracia Szpitalni. Wszystkie te zgromadzenia jednak nie wyszły po za obręb kraju, wyjąwszy jednego domu Maryanów czy Paulinów w Hiszpanii albo Portugalii, który tam jednak się nie rozszerza, i nie daje znaku życia. W ostatnich czasach boleści narodu powstało kilka zgromadzeń samorodnych polskich: Felicyanki, Siostry Niepokalanego Poczęcia, służebniczki Maryi Panny, rodzaj siostrzyczek ubogich na Litwie (rozpędzonych obecnie jak Felicyanki). Jest to dowodem niewątpliwie gorętszego życia religijnego w Polsce mianowicie w niewiastach, ale zawsze pewna, że nasze Zgromadzenie jest pierwszém męzkiém założoném przez Polaków, do którego cudzoziemcy wchodzą(1). Dalej

(1) Duch ten apostolski dowodzący gorętszego życia, dotychczas bardzo mało w stosunku do in-

nie pamiętają nasi ultra-patryoci, że wszyscy księża obcy, którzy weszli i wejdą kiedykolwiek do naszego zgromadzenia, rozszerzać będą znajomość i miłość do narodu polskiego, przez uszanowanie dla pierwszych swoich ojców duchownych.

Nareszcie ile razy się coś poświęci dla Boga, Bóg daje znaleźć nawet to czego się nie spodziewało. I tak, na prośby świętobliwego biskupa płaczącego prawie, posłaliśmy kilku szlązaków i cudzoziemców, którzyby nigdy czysto po polsku nie mówili i z którychby się nasi oświeceni rodacy naśmiewali tylko, posłaliśmy mówię do Kanady, głównie dla ludności irlandzkiej i niemieckiej; tymczasem biedny ludek polski z Poznańskiego, Prus Zachodnich i Górnego Szlązka, wygnany głodem z kraju (1), i pracujący jako najemnicy i rzemieślnicy, jak skoro się dowiedział, że są księża mogący wyspowiadać po polsku, zaraz się pościągał do tegoż miasteczka Berlin, o którém piszę i wkrótce stworzyła się parafijka polska, (ile że biedni Czesi do niej się przyłączyli). Ksiądz Breitkopf miewał dla nich regularnie nauki w języku polskim, a oni mieli pociechę śpiewania kościelnych pieśni polskich. Z drugiej strony, *Krzywda polska* zawędrowała do stanu Michigan, dyecezyi Detroit. Opatrzném zrządzeniem wpadła im w ręce jedna z licznych książek pobożnych, wydanych przez naszego Ojca Aleksandra Jełowickiego, pisali więc do niego z osady swojej *Paryż* (koło Forestville) do prawdziwego Paryża, prosząc o księdza. Otrzymawszy pod wiosnę list ten w Rzymie, poleciłem Ojcu Franciszkowi, aby odbywszy ze swoimi spowiedź wielkonocną dojechał tymczasem do tych biedaków, zanim się dla nich kapłana znaleźć uda (2); by o nich i o swojej wyprawie obszerny raport wystosował, który się ze mną w drodze rozminął. Nie wiem czy został ogłoszonym, więc tu tylko w treści powiem, iż ich jest tam przeszło sto rodzin, częścią w mieście Detroit, częścią w lasach około Forestville, (licząc i owe które w Berlinie zarobiwszy nieco grosza grunta tam sobie zakupiły) inne są spodziewane. Wielka tam jeszcze dziczyzna, nawet konno wszędzie przejechać nie można, siedmnaście grobli usypali na bagnach, Ojciec Franciszek piechotą musiał iść od rana do wieczora, a kiedy przyszło iść do chorego, i jeżeli po nocy, to jeszcze gorzej. Biedny ludek wór mąki zakupiony w Forestwill na barkach cały dzień do domu dźwiga. Przyjęli oni kapłana jako Anioła Bożego; tak za nim wzdychali, że w

nych narodów był u nas rozwinięty. Ledwo niektóre zakony dały pewną liczbę Missyonarzy. A jak bylibyśmy zostali chrześcianami, gdyby się nie znaleźli byli Włosi, Francuzi, Niemcy, którzy nas od Łady i Kupały do Jezusa i Maryi doprowadzili?

(1) Od 1848 roku, radziliśmy obywatelom w Galicyi, na Rusi i Litwie, aby sprawadzali lud nasz poczciwy z dzielnicy pruskiej na parobków, komorników i t. d. Niektórzy to uczynili, inni woleli sprowadzać Niemców, lub ziemię nieuprawną, albo licho uprawną trzymać. A tacy panowie występowali często jako najgorętsi a przynajmniej najkrzykliwsi patryoci.

(2) Tego lata (1868) mogliśmy im posłać dwóch kapłanów, księdza Wieczorka i Wołowskiego.

sennych widzeniach widzieli jego postać, twarz, widzieli go jadącego ku nim, a poznali go takim, jakim go w duchu widzieli. O! w takiém położeniu i mędrki nasze prawdziwie by się zmądrzały. Spodziewam się, że nie jeden taki wróci z Syberyi dobrym chrześcianinem; nie napróżno posłał Bóg połowę inteligencyi naszej na te dalekie rekolekcye. Pracował tam od rana do wieczora, a że część ich była daleko na zarobku, obiecał do nich wrócić w jesieni, gdy wszyscy będą w domu. Teraz biedacy o kapłanie tylko mówią, o nim marzą, śni się o nim, i są przekonani, że między nimi osiądzie. Pełno naszych biedaków rozsianych po Stanach Wisconsin, Missuri i t. d. Gdybyśmy mieli pomoc materyalną z kraju i ochotników do takiej świętej pracy (zamiast niepłodnego albo i grzesznego politykowania), tobyśmy mogli z kolei odszukiwać rozproszone owce Izraela, opatrywać ich w pasterzy, zachować im wiarę i język, i może kiedy przywrócić krajowi ten lud poczciwy, pracowity, a już postępowo rolniczy. Oto jak Zgromadzenie nasze zacząwszy pracować dla nierodaków w Ameryce, i stworzywszy sobie przytułek wśród dawniejszych, przemyślniejszych, zamożniejszych osadników, może już dziś służyć części biednych rozproszeńców polskich, a mogłoby z kolei służyć wszystkim gdyby pomoc z kraju otrzymywało. (1)

Na zakończenie tego przedmiotu, przytaczamy ostatni list pisany przez tych poczciwców:

« Paryż d. 16 Lipca 1865 r.

«Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! W imie Jezusa Chrystusa, ja Antoni Słowik i cała parafia, dajemy do wiadomości księdzu proboszczowi, iż my już teraz trzecie pismo odebrali od ks. Franciszka i jesteśmy *srodze* ucieszeni z tych trzech pism. A jednak mamy ufność wielką w Jezusie Chrystusie, iż On nas nie opuści, i mamy też ufność w księdzu Franciszku Brejtkopf, jako dobrym pasterzu, który duszę swoję kładzie za owce swoje, iż Pan Jezus zeszle ducha swego do serca jego, iżby miał opiekę nad owcami opuszczonemi, które zostały bez pasterza. A teraz też dajemy wiadomość ks. Franciszkowi Brejtkopf, iż my już teraz trzecie pismo odebrali od niego, jedno ze świętej Agaty, drugie z Detroitu, a trzecie znowu ze świętej Agaty, a nad każdém pismem my się srodze cieszyli, iże Pan Jezus szczęśliwie ks. Franciszka Brejtkopf nazad na swoje miejsce zaprowadził. A jak my tego pierwszego pisma dostali ze świętej Agaty, to my zaraz napowrót tam pisali, a co jeno ks. Brejtkopf od nas odjechał, to my natychmiast pisali księdzu Aleksandrowi Jełowickiemu do Francyi, i do Rzymu, o przybyciu i podróży ks. Franciszka Brejtkopf, który nas opuszczonych odwiedził.

(1) I tu znów muszę oddać sprawiedliwość, że się dla missyi naszej w Bulgaryi objawiło było żywe i czynne zajęcie w Królestwie, a w Poznańskiém trwa dotychczas jeszcze, ale jak to wszystko słabe w porównaniu do tego, co katolicy innych krajów czynią dla religii u siebie i w obczyznie!

A teraz jak my to trzecie pismo odebrali 13 lipca, tedy my się wszyscy srodze uradowali z tego i że takiego gościa dostali i książek, i teraz będziemy się spodziewać i wyglądać codzień skoro do nas nasz pasterz ks. Franciszek Brejtkopf powróci, i prosimy Pana Boga, abyśmy się zaś mogli wzajemnie ucieszyć, i daj to Boże, aby się to stało. A teraz też daję do wiadomości, ja Antoni Słowik, i że się sam srodze mają do roboty, która się tyczy kościoła świętego, przychodzą i robią kto co może i *klyrują* ten *land* co do kościoła i księdza należy. Co do kościoła to już zklyrowany, ale z kościołem nie chcemy nic zacząć, ażby się sam ksiądz do nas powrócił. Teraz też, ja Antoni Słowik, Franciszek Polk i Jan Szesala, pozdrawiamy raz jeszcze księdza proboszcza serdeczną miłością, i żeby go Pan Jezus utrzymywał w dobrém zdrowiu i szczęściu, aż zaś do zobaczenia. U nas żadnej odmianki niemasz, jednośmy sam wszyscy w dobrém zdrowiu, aż do dnia dzisiejszego, teraz też nam Pan Jezus użyczył dosyć deszczu, i *urody* sam są piękne na polach. I teraz już nie mamy co więcej do pisania, jeno teraz polecamy w najświętszą opiekę księdza Franciszka Brejtkopf, aby go nam Pan Bóg przy dobrém zdrowiu utrzymywał, aż do zobaczenia. Amen.

(podpisano) Antoni Słowik.

Po ukończeniu drugich ćwiczeń duchownych z moimi braćmi 3 sierpnia wyjechałem do Hamilton dla zabrania księdza Biskupa. Zajęty drukiem swego listu pasterskiego, ogłaszającego jubileusz w dyecezyi na wrzesień, nie mógł się jeszcze ruszyć, obiecał jedno, że podąży jak najrychlej. Siadłem zatém 4go sam jeden na statek wśród mnóstwa protestantów tutejszych kandyjskich i Amerykanów wyraźnie wędrujących tym szlakiem, o tej porze roku, jak ptaki podróżne w porach swoich. (1) Żem jezioro Ontario znał już aż do Kingston nie miałem się czemu przypatrywać; przypatrywałem się towarzystwu mianowicie amerykańskiemu, wyraźnie należącemu do klas zamożniejszych. Jeżeli nam Anglicy nie przypadają do smaku, to tém bardziej Amerykanie. Anglik zimny, ale gdy dobrze wychowany (*gentlemen*) i wie z kim ma do czynienia, jest prawdziwie i stale uprzejmy. Amerykanin, to żyd angielski, jak trafnie Chińczycy się wyrażają. Gorączka zysku jedynym bodźcem Amerykanina. Nie wyśpi spokojnie, połyka pośpiesznie co złapie na stole, a spółcześnie gazetę przebiega oczyma, myśli tylko jak zarobić, jak zarwać kogo. Zła wiara ich w handlu tak jest znaną w Europie, że dobre domy nie wysyłają towaru, aż nie otrzymają wekslu na jaki pewny bank europejski. Czytałem świeżo, że Amerykanin jakiś będąc w Kanadzie już był telegrafował do żony swojej, aby mu przysłała dużo towarów bawełnianych, wtém wielki dom zajezdny, czy też budowa, w której się znajdował zapada się, i naturalnie że wszystkie szyby idą

(1) Zapomniałem powiedzieć że w Kanadzie ptaków jak na lekarstwo, i to dopiero odkąd lasy wykarczowane. Słowików także naszych i skowronków nie słychać.

w kawały. Amerykanin choć potłuczony i poraniony, wydobywa się z pod zwalisk, pełznie aż do bióra telegraficznego i posyła drugi telegram do żony: « nie wysyłaj już bawełnicy, jedno szkła co tylko możesz. » A potém pada bez przytomności. Czy to *vero* czy tylko *ben trovato*, doskonale maluje ducha amerykańskiego. Amerykanie będący na statku ogólnie odbywali przejażdżkę wakacyjną, wiele było młodych małżeństw, niewiasty przyzwoicie ubrane, jedno ciekawe niemiłosiernie i cisną się wszędzie, gdzie tylko była nadzieja zobaczenia czegokolwiek bądź. Mężczyzni bez żeny żadnej rozwalają się w obec kobiet z nogami zadartemi do góry, a jeżeli się im zrobi jaką grzeczność po europejsku, *np.* u stołu, ździwieni wyraźnie bywają, bo całkiem do tego nie nawykli. Ogólnie nawykli do życia na ulicy, w wagonach, na parostatkach; tak są wszędzie, jak gdyby byli u siebie w domu. Ogólnie mówiąc, demokracya kupiecka nie daje dobrego ułożenia, i nie jest bynajmniej pociągającą. Przejdźmy do czegoś bardziej zajmującego.

Wraz za Kingston zaczyna się archipelag tysiąca wysp na rzece Śgo Wawrzyńca, a (ma być ich nawet 1300) różnej wielkości, od dziewięciu mil obwodu, aż do kęp prostych, na którychby ledwo rybacka chałupka się zmieściła. W skutek tych wysp rzeka się rozgałęzia na tysiączne kanały i kanaliki, wysokość i głębokość wód niezmiernie różna, ztąd równoważąc się, jest w ciągłém wrzeniu. Niekiedy widać małe tylko wiry niebezpieczne dla pływaka i małych łódek, ale są prawdziwe katarakty na które wyraźnie trzeba pod górę wypływać tak, iż jeżeli statek parowy wielkości fregaty zmyli kierunek, pochwycony wirem rzucany bywa na mieliznę, jak świeżo się zdarzyło; dla statków zaś pod wodę płynących zrobiony jest kanał boczny, wzdłuż tych *rapids*, których jest kilkanaście; przez dwa trzy najsilniejszych, nawet z wodą, nie oddawna całkiem przepływają parowce, dzięki wskazówkom Indyan, którzy w czółnach swoich przeskakują przez te katarakty, ztąd nazwy staro-francuzkie : *saut Ste Marie*, *saut St. Louis*, *le Long saut* i t. d.

Mało można spotkać na świecie rzeczy nowych i prawdziwie zajmujących; nie przeczę, że dzień zszedł mi pośpiesznie na przypatrywaniu się tym czarującym dziwom przyrody.

Wieczorem stanąłem w Montreal, w moim dawnym pokoju w biskupstwie, a nazajutrz rano (6 sierpnia) miałem kazanie podczas mszy śpiewanej *o Przemienieniu Pańskiém*. Wieczorem polecono mi otworzyć nowennę do Wniebowzięcia Matki Najświętszej, mową do bractwa Maryi Panny.

Nazajutrz zrana byłem ze mszą świętą w klasztorze *du bon Pasteur*, któregom nie był odwiedził za pierwszego mojego pobytu w Montreal. Jak wiadomo, zawsze te zakonnice zajmują się podniesieniem moralnie zbłąkanych dziewcząt, a dla utrzymania się mają też pensyonat całkiem oddzielony od pokutnic. Uczennice były na wakacyach, podczas mszy

śpiewały pokutnice, i bardzo przyzwoicie. Do nich też miałem pierwszą przemowę zachęcającą do wytrwania, a dla pokazania niezgłębionego miłosierdzia, przytoczyłem własny przykład. Ponieważ te biedne dziewczęta w młodości były ogólnie pobożnie wychowane, już upamiętane, trwają w dobrém, i najchętniej zostają w tym zakładzie, zarabiając pracą na własne utrzymanie. Z najlepiej wyprobowanych a objawiających powołanie, wyrodziła się nowa kategorya zakonnic zwanych *des Madeleines*, ubranych nie w bieli jak zakonnice pierwszej kategoryi, ale brunatno. Przełożone ich są wszakże brane z pierwszej kategoryi, choć noszą ich habit brunatny; obecnie na czele ich stoją dwie młode piękne Amerykanki z najlepszych rodzin miasta Filadelfii, które się dobrowolnie ofiarowały do noszenia tej liberyi pokutnej. Cudne naśladownictwo miłego naszego Zbawiciela! Ale dziwniejsza jeszcze siła łaski Chrystusowej, która pokutnicom wraca dziewictwo ducha, skromność, wstydliwość, zaprawione głęboką pokorą. Są między niemi twarze, mogące służyć za doskonały model do malowania świętych. Do tych zakonnic miałem osobną przemowę, opowiadając i komentując żywot ich opiekunki Ś. Magdaleny. Następnie matka przełożona całego zakładu, pokazała mi cały klasztor zbudowany (jak wiele innych w tém mieście) nakładem pewnego obywatela imieniem, jeżeli się nie mylę, Bronillet.

Udałem się potém do seminaryum księży Sulpicyanów, dla rozmówienia się o porządek ćwiczeń duchownych, a że miałem jeszcze trzy dni wolnych, pojechałem odwiedzić księdza Laroque, biskupa miasta i dyecezyi *de St-Hyacinthe* znanego mi także z Rzymu, a odległego tylko o parę godzin drogą żelazną. Nowa to także dyecezya, ksiądz biskup nie zdobył się jeszcze na katedrę. Po chwili odpoczynku, zaprowadził mnie ksiądz biskup do blisko leżącego klasztoru *de la Présentation* ; zgromadzenie to założone zostało w południowej Francyi, podczas terroryzmu, po zniesieniu wszystkich klasztorów, przez prostą mieszczankę Mlle Riviers zmarłą niezbyt dawno, i uznaną już za wielebną. Obecnie liczba tych sióstr dochodzi do dwóch tysięcy. Spółcześnie prawie zaczęło się było w północnej Francyi zgromadzenie Sercanek, liczące obecnie mniej więcej trzy tysiące zakonnic w stu domach. Założycielka W. M. Bara przed parą miesiącami dopiero zeszła z tego świata, a zakonnice jak w dym zaraz z prośbą o naukę, ile że siostry z missyj parafialnych zebrane były w domu głównym na roczne rekolekcye. Odpowiedziałem, że po mszy świętej miewam zwykle trochę więcej dowcipu; obiecałem się więc nazajutrz ze mszą, a po mszy powiedziałem naukę, jak mają wychować panienki, aby mogły się oprzeć rosnącemu duchowi próżności, i *comfortu*. Po śniadaniu ksiądz biskup zaprowadził mnie do sióstr szpitalnych (kolonij montrealskich matki d'Youville), gdzie znowu musiałem mówić jak mają służyć opuszczonym

członkom Chrystusa Pana (biednym, sierotom, chorym), dorabiając się chwały niebieskiej. Nareszcie ksiądz biskup wiedząc że nazajutrz mam odjechać do Montreal, zaprowadził mnie jeszcze do świeżo założonego przez siebie klasztoru kontemplacyjnego, zakonnic poświęconych czci krwi Pana Jezusa, i Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny; to też noszą białe habity, a ponsowe szkaplerze. Opowiedział mnie w zaufaniu dziwne rzeczy o przełożonej, która go zmusiła do tej fundacyi, ale trudno o tém się rozpisywać. Że już południe nadchodziło, obiecałem się ze mszą świętą nazajutrz zrana, i z niezbędną nauką, zamawiając sobie komunię sióstr na intencyą moich rekolekcyj kapłańskich.

Po obiedzie oglądałem spokojnie gmach seminaryjski, kiedy ksiądz biskup zajechał po mnie, oświadczając że O. Jezuita, mający przybyć z Montreal dla dania ćwiczeń duchownych siostrom Prezentkom nie przybył, i prosząc aby je rozpocząć. Pomyślałem sobie, « zabawnie odpoczywam przed pracą, » alem przyjął propozycyą, powiedziałem naukę wstępną, a wieczorem rozwinąłem przedmiot do rozmyślania rannego. W nocy niespokojnie spałem; zrana byłem bardzo mdły i tępy; ale po mszy u poczciwych zakonnic przyszedłem do siebie. Biedna przełożona do stołu pańskiego przystąpić nie mogła dla całonocnych wymiotów krwawych, wszakże chodziła, uśmiechała się, jak gdyby nic nie czuła; znakiem wydatnym tej duszy jest niezmierne pragnienie cierpienia. Tym siostrom powiedziałem naukę o korzyściach, ale też o trudnościach i niebezpieczeństwach życia kontemplacyjnego, i jak w pośród nich sobie mają radzić. Dałem potém punkta do rozmyślania zakonnicom zamkniętym na rekolekcyach. Tymczasem nadeszła odpowiedź telegraficzna, że Ojciec kaznodzieja przybywa; pożegnałem więc księdza biskupa i zabierałem się do wyjazdu. Aż tu szanowny pasterz niespodzianie się wysuwa z propozycyą, czybym nie mógł dać rekolekcyj jego duchowieństwu, zaczynając je 30 sierpnia? Odpowiedziałem, że jeżeli poczuję się na siłach jeszcze w ciągu ostatnich dni w Montreal, doniosę mu że przybędę. Takeśmy się rozstali. W Montreal zamówiłem sobie modlitwy po wszystkich klasztorach, a byłem ze mszą dnia 10 u sióstr Szarych, albo Szpitalnych, powiedziałem im drugą naukę, aż się poczciwe siostry popłakały; obiecałem wrócić, obiecałem obrazki wszystkim w darze, byle się tylko potężnie modliły.

Listy wasze do mnie musiały pójść do ś. Agaty : trudno by dziś wieczorem wróciły tu i były mi oddane, a jutro przed 7mą zrana musi ten mój być na poczcie, aby popłynął do was pierwszym statkiem pocztowym. Zamykam zatém mój list i tak dosyć długi i pełny; następny otrzymacie, najwcześniej za miesiąc, po zakończonej wielkiej wyprawie rekolekcyjno-kaznodziejskiej.

LIST TRZECI

DRUGI POBYT W MONTREAL.

Sierpień i wrzesień 1865 roku.

Ostatni list mój zamknąłem przed samém zaczęciem nauk rekolekcyjnych dla kk.proboszczów. Przeszedłem na wstępie czyściec nie lada. Byłem już osłabiony i upał potężnie dogrzewał; przyłączyło się do tego rozdrażnienie nerwów i bezsenność. Dwónasta dobiegała, a jeszcze zasnąć nie mogłem, a o czwartej już trzeba było wstać. Trapiła mnie myśl zawodu względem władzy dyecezalnej i zacnych proboszczów, i pewna niesława jaka ztąd mogła spaść na Zgromadzenie. Jedno co mnie pocieszało to, żem mógł szczerze mówić do Boga: « Panie! Ty wiesz, iżbym ja naturalnie wolał próżnować niż pracować, i że tylko z gorliwości o dobro dusz podjąłem się tego trudu. » W końcu dzięki Bogu usnąłem, i przebudziłem się mdły wprawdzie, ale bez gorączki.

Strapiłem się nieco widząc tyle siwych głów przed sobą, ale wiedząc z doświadczenia, że w obec ludzi porządnych najlepszą zręcznością jest szczerość, przedstawiłem, jakim zbiegiem okoliczności ja kapłan nieznający dyecezyi mam do nich mówić o ich obowiązkach pasterskich. Dodałem, że to samo położenie moje czyni mnie bezstronnym i niepodejrzanym, a korzyść główna jaką im mogę przynieść, to doświadczenie moje nabyte przez dwudziestoletni pobyt w Rzymie, dziesięcioletni w Paryżu, kilkakrotne podróże odbyte po Niemczech, Anglii, nie mówiąc już o mojej rodzinnej Polsce. A że mówiłem ze szczerém uszanowaniem jakiém byłem przejęty wewnątrz dla tak wielebnych słuchaczy, poczułem, żem ujął podejrzliwych zresztą względem cudzoziemcówKanadyjczyków, choć szczęściem sympatyzujących ze sprawą polską. Kaznodziejstwo szło coraz raźniej i goręcej, coraz więcej widywałem pochylonych głów; zaczęli tłumnie przychodzić do mnie do spowiedzi; wielu wstrzymało to tylko (jak mi mówiono), że widzieli zbyt drzwi moje oblężone, i zanadto długo czekać było trzeba. Wszakże i tak na stu, ze czterdziestu u mnie się spowiadało, i z dziwnie budującém przejęciem się i starannością. Rekolekcye odbywały się u kk. Sulpicyanów, w wielkiém seminaryum za miastem. Zaczęły się 10go sierpnia, kommunia jeneralna odbyła się 15go w dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej. Piękny to był widok, stu dojrzałych kapłanów przystępujących do stołu pańskiego. Dla mnie był ten widok podwójnie poruszający. Trzydzieści lat okrągłych przedtém, w dzień ten, w kościele Ś. Sulpicyusza w Paryżu przyjąłem kommunię świętą, po której dał mi Bóg niczém niezasłużoną łaskę powołania do szczytnego sta-

nu kapłańskiego. W siedm czy ośm lat potém, gdym był kaznodzieją polskim w Paryżu, czy dla otrzymania jakiej łaski, czy dla podziękowania za otrzymaną, obiecałem Najświętszej Pannie postarać się, aby w które z Jej świąt dwieście osób przystąpiło do stołu pańskiego. Ale, że rychło potém przenieść się musiałem do Rzymu, nigdy obietnicy mojej dopełnić nie mogłem. Teraz, gdym widział pośród swego kaznodziejstwa stu kapłanów przystępujących do kommunii, powiedziałem : « Matko Święta, teraz kwita z nami, bo Ci daję dziś więcej, niż dwieście wiernych świeckich. » Pod koniec rekolekcyj, prosili kk. proboszczowie kk. Sulpicyanów, abym podczas rekreacyi wieczornej mówił do nich o stanie Kościoła w Polsce, mówiłem zatém przez dwa ostatnie wieczory, słuchany z wielkiém zajęciem. Po czém ks. proboszcz Gagnau, dziekan wiekiem, staruszek bielutki jak gołąb, odczytał adres następujący :

« Wielebny kaznodziejo ! W imieniu wszystkich moich współbraci tu obecnych, otrzymałem polecenie wyrażenia ci, ileśmy byli zobowiązani, żeś chciał odpowiedzieć naszym życzeniom, i mówić do nas o klęskach narodu, do którego należysz. Wiedzieliśmy już o nich nieco, ale nie wiedzieliśmy wszystkiego. Teraz, gdyby ktokolwiek wpośród nas chciał jeszcze wątpić o prawdziwości opowiadania które tylko co posłyszał, powiedzielibyśmy do niego : patrz na oblicze wielebnego i uczonego kaznodziei, a postrzeżesz na niém bliznę, dowód męczarni jego narodu. Racz wielebny kaznodziejo przyjąć ten mały dar, który ci jest ofiarowany przez wszystkich moich współbraci, na dowód współczucia i dla cierpień twoich osobistych, i dla cierpień twojego narodu. »

To mówiąc, doręczył mi pugilares ze stoma dolarami w papierach kanadyjskich. A przed rozjechaniem się do domu, tenże ks. dziekan, dziękował ks. administratorowi dyecezyi, potém kk. Sulpicyanom jako gospodarzom domu, a w końcu obracając się do mnie dodał : « Racz także ks. kaznodziejo przyjąć nasze dzięki za szczytne i uczone nauki, jakicheś nam udzielał, w ciągu tych drogocennych dni. Nie wahamy się powiedzieć, że twoje ukazanie się na brzegach kanadyjskich było opatrznem dla nas, albowiem w miarę jak słowa spadały z ust twoich do serc naszych, czuliśmy, że one kiełkują w nas ; co jest wskazówką pewną, że Bóg w miłosierdziu swojém da im wzrost. Niech sprawi niebo, aby gdziekolwiek zwrócisz kroki twoje, mogli ludzie powiedzieć jak tutaj : *transeundo omnia bene fecit*, przechodząc wszystko dobrze uczynił (1). » W krótkich słowach podziękowałem za tyle uprzejmości i dobroci, aby zaśuczcić wszystkich moich wielebnych słuchaczy

(1) Nie przytaczamy dla krótkości tekstu francuzkiego, który zostanie złożonym w archiwum naszego Zgromadzenia.

w osobie sędziwego mówcy, ucałowałem mu dłoń, co sądzę tém więcej mi zjednało wszystkich. Otrzymałem liczne zaprosiny od kk. proboszczów odjeżdżających aby ich odwiedzić na wsi,ale jak zobaczemy, ledwo kilku wezwaniom mogłem odpowiedzieć.

Miałem więc cztery dni wypoczynku przed zaczęciem drugich rekolekcyj dla kk. wikarych 21go wieczorem, alem już był z góry zaproszony z kazaniem w tymczasowej katedrze biskupiej na dzień 20ty sierpnia, w którym obchodzono święto Wniebowzięcia Matki Boskiej. Nadto jeden z księży Sulpicyanów prosił, aby przemówić w wielkim kościele parafialnym do 800 panien należących do jednego z kilku katechizmów *de persévérance*, egzystujących w tém mieście. Nazajutrz zrana mówiłem po mszy świętej do dwóchset zakonnic zgromadzenia Matki Boskiej zajmujących się wychowaniem, a zebranych podczas wakacyi, z rozmaitych miejsc do domu głównego. W tej nauce wytknąłem niektóre powody dla których wychowanie po klasztorach nie przynosi zawsze tyle korzyści, ileby się spodziewać można i należało.

Tymczasem zaczynając rekolekcye dla kk. wikarych postrzegłem się, że bynajmniej nie wypocząłem, i jakkolwiek mówiłem do czterdziestu tylko słuchaczy, i w mniejszej kaplicy w biskupstwie, znowu mi szło z początku oporem.

Obiecałem był ks. biskupowi ze St. Hyacinthe donieść w połowie tych drugich rekolekcyj, czy się będę czuł na siłach kazać do jego księży? Zapytanie przyszło już drugiego dnia, kiedym się czuł bardzo mdłym; po namyśle odpowiedziałem z żalem, że lękam się kusić Boga, lękam się zawieść ks. biskupa i szanowne jego duchowieństwo, i że o ile znam siebie, niezdolnym dalszego sztucznego wytężenia sił, bez uprzedniego wypoczynku, a tylko dzień mi jeden pozastawał potrzebny do odbycia podróży. Jak skoro dałem odpowiedź odmówną, zaraz poczułem się rzeźwiejszym, jak gdyby wielki ciężar spadł mi z barek; widać więc, że jak można czuć boleść z góry w skutek jej przewidzenia, tak i trud, który nas czeka. W każdym razie opatrznie się tak stało, bo gdybym się czuł rzeźwym, nie śmiałbym był odmówić, i mógłbym się przesilić, bo i tak czułem już czasem chorobliwe bicie serca; i pod koniec znowu, jak mówią Francuzi, jedném już tylko skrzydłem leciałem. KK. wikaryusze prosili także, aby im mówić o Polsce, a w końcu po mowie dziękczynnej ofiarowali koszyk pięknie haftowany przez Indyanki osiadłe i czterdzieści dolarów w nim. Biedacy zrobili wysilenie, bo nie są bogaci. Prosili też bym się dał na ich koszt fotografować. Ponieważ moja facyata i tak już tyle razy była reprodukowana, i że to jest dla mnię szczerém umartwieniem, nie odmówiłem. Musiał fotograf wyjść nieźle na swojém, bo mi przyniósł przed wyjazdem w darze pięć dolarów na missye amerykańskie Zgromadzenia.

Z powodu tych missyj, przypominam, że ks. biskup z Detroit żąda od

nas missyonarzy dla Polaków osiadłych w jego dyecezyi. Podczas rekolekcyj dla proboszczów ks. biskup z Alton (w Illinois południowym) o to samo mnie prosił, mówiąc, że miał parę księży świeckich Polaków i Czechów, ale że się im w końcu znudziło, i poszli sobie dalej w świat. Niestety! Słowianie jego musieli już popsuć się po miastach. Nie taił, że Czesi całkiem o religią nie dbają, a Polacy nie tędzy, i nic na utrzymanie księdza, szkoły i kościoła dawać nie chcą, więc jeżeli księża polscy nie będą umieli po niemiecku lub po angielsku, utrzymać się nie potrafią. Gdybym nie dostał missyonarzy waszych, mówił, będę im radził i nasuwał, aby się przyłączyli do Anglików lub Niemców, bo inaczej dzieci ich całkiem dziko wyrosną i na nic pójdą. Odpowiedziałem, że na razie nie mam missyonarzy do dania, i że przy obecném zniszczeniu Polski nie mogę nawet spodziewać się pomocy do ich wychowania. Wszakże ściśnięte miałem serce, ile że wiem, iż po innych stanach, w Ohio, Missuri i t. d. są rozproszeni Polacy w podobnym stanie opuszczenia się i opuszczenia. Myślałem, modliłem się i postanowiłem powiedzieć parę *sermons de charité*, w nadziei zebrania dosyć aby jeden z naszych księży miał o czém objechać te Stany po których mieszkają Polacy, i wyspowiadał ich, i dzieci do pierwszej kommunii przygotował. Radziłem się mego przyjaciela ks. Desmazures Sulpicyanina, czy takie kazania są w zwyczaju w tym kraju, i by się zapewnił, czy przełożony ich i proboszczowie chętnie na to przystaną. Odpowiedział, że nieszczęściem dla mnie aż nadto są częste, że obecnie bogaci mieszkańcy są na wsi, że do tego trzy lata już było nieurodzaju i o grosz trudno. Że wszakże tyle jest sympatyi dla Polski, iż sprobować warto szczególniej, gdybym chciał nadto kwestować po domach. Co do tego ostatniego, jakkolwiek mi przekładał, że w całej Ameryce północnej i w górnej Kanadzie księża z jałmużny tylko żyją, że w Montreal samém nowo założone zgromadzenia po domach kwestują, że lud pobożny zakonnikom dawać lubi, i nieraz sam ich szuka : pomimo tych wszystkich zachęt, zgodzić się na kwestę po domach nie mogłem, bo to jest zawsze wywieraniem pewnego przymusu moralnego i wymuszaniem nieraz niechętnego datku. A choć czytałem zdania świętych, że dobrze jest dla niejednej duszy, aby dała choćby na razie niechętnie, wszakże może w skutek nieumorzonej jeszcze do reszty miłości własnej, operacyi tej wobec obcych podjąć się nie śmiałem. Zresztą miejscowi księża nie taili, że taka kwesta po domach wymagałaby wiele miesięcy czasu, których ja do rozporządzenia nie miałem. Przyjąłem zatém z wdzięcznością tylko ofiarowane mi dwa kazania z kwestą w kościele, na dzień 3go września w wielkim kościele parafialnym, a na 17go w największym po nim kościele Ś. Jakuba; w niedzielę bowiem pośrednią, 10go września, obchodzono święto patronalne miasta imienia Maryi. Ksiądz administrator nietylko także najchętniej się przychylił do mego

żądania, ale sam od siebie zapowiedział kwestę na 2go września w małej tymczasowej katedrze biskupiej, w której już byłem cztery razy kazał.

Trzech dni wolnych, które mi pozostawały po rekolekcyach księży wikaryuszów, użyłem na powiedzenie jednego ranka nauki do siostr w *Hôpital Général* « o miłości Pana Jezusa w cierpiących członkach Jego » drugiego, do siostr Ś. Józefa w *Hôtel Général* o naśladowaniu ich Ś. Opiekuna, a trzeciego do siostr *de la Providence*, nie pamiętam już o czém. Siostry te założone przez ks. biskupa z Montreal na wzór Sióstr miłosierdzia, obsługują dom wysłużonych kapłanów, zakłady: dla chorych, starców, sierot, głuchoniemych, nareszcie ochronkę : a wszystko to utrzymuje się z jałmużny, choć nie wątpię, że głównym dobrodziejem musi być sam ks. biskup. Ułożyłem był sobie w godzinach poobiednich dwóch dni ostatnich brulion mojego kazania albo nauki *o zasługach i cierpieniach Narodu Polskiego*. Wszakże czytając głośno przekonałem się, iżby trwało półtory godziny, rzecz niepraktyczna, ile że trzeba było mówić pośrodku mszy, w porze gorącej roku, w kościele ogromnym, źle akustycznie zbudowanym, a pełnym ludu; musiałem obliczyć naukę moję na trzy kwadranse czasu. W kościele było przynajmniej 5,000 osób, i uważałem, że się nikt nie nudził, bo wszyscy nieruchomi słuchali. Kwestowali panowie z bractwa Ś. Wincentego a Paulo. Kwesta jakkolwiek jak mi zewsząd zaręczano nadzwyczaj obfita, przyniosła tylko sto czterdzieści dolarów, a w kościołku biskupim dwadzieścia cztery: więc niedostateczna na cel przezemnie zamierzony, ale wszystko dobre co Bóg daje przez dobrych ludzi. Większa korzyść, że odtąd w Montreal więcej się za Polskę modlić będą. Dziennik *l'Union Nationale* dał analizę stenograficzną mojej mowy, ale niedokładną, bo sam stenograf przyznaje, że nie w korzystném miejscu siedział i nie wszystko słyszał. Dałem zatém mój rękopism do dziennika katolickiego *la Minerve;* a jakkolwiek mię rodowici Francuzi księża zaręczali najuroczyściej, że tak mówię po francuzku, iż ledwo można poznać, żem cudzoziemiec, i sam czułem szczególną pomoc Bożą i w tej mierze przez cały mój pobyt w Montreal, przecież prosiłem jednego z nich, aby raczył przejrzeć i poprawić mój styl przed oddaniem do druku. Natomiast, dał on inne wyrażenie moim myślom i niektóre daty i fakta powykrzywiał. Więc z temiż błędami wyszła mowa moja w dziennikach quebeckich, a w Montreal osobno, w formie broszury, i teraz muszę piórem grubsze przynajmniej błędy poprawiać.

Zostawało mi tedy kilkanaście dni wolnego czasu, aż do następnego kazania zapowiedzianego na dzień 17 września; postanowiłem go użyć na wytchnienie i poznanie nieco kraju. Z przyjacielem moim księdzem Desmazures ruszyliśmy w drogę 4go zrana i, częścią koleją żelazną, częścią statkiem parowym po rzece Ottawa (u Indyan Otta-

wuais) dostaliśmy się wieczorem do miasta tegóż imienia (zwanego dotychczas Bytown) a przeznaczonego na stolicę przyszłej konfederacyi Akadyjskiej, a przynajmniej połączonych obu Kanad. Dotychczas miasteczko to liczy 10,000 ludności, w połowie (nawet większej) jak sama dyecezya francuzkiej, w półowie angielsko-kanadyjskiej. Odbywał się jubileusz w mieście, i chwilkę mogliśmy tylko widzieć księdza biskupa Guiguen (pierwszego w tej nowej dyecezyi) pochodzącego ze zgromadzenia marsylskich Oblatów Maryi Panny, tak zasłużonych w missyach śród koczujących Indyan około zatoki Hudson. Chwilkę mówię, mogliśmy tylko widzieć księdza biskupa tego wieczora, i nazajutrz tylko przy stole, bo zarówno z inszymi missyonarzami swego zgromadzenia pracował nieustannie w konfessyonale. Ksiądz biskup zdobył się na piękną katedrę, która nieźle wyglądała naprzeciwko wspaniałego gmachu, budującego się dla parlamentu przyszłej konfederacyi. Nazajutrz rano oglądaliśmy spadek Ottawy, zwany *la Chaudière*. Woda spada po szerokim pokładzie skał podwodnych, ale jej nie dosyć, i dla tego widok nie jest tak wspaniały jakby mógł być, wprawdzie w tej porze roku wody najmniej w rzece. W każdym razie wspanialszy to widok od spadku wązkiego jeszcze Renu pod Szafuzą; wielki tu handel drzewem, tratwy przybywają nieustannie od północy i płyną aż do Quebeku. Tysiące młodych silnych Kanadyjczyków zwanych *Voyageurs* idzie pracować w lasach; towarzyszy im zwykle missyonarz ze zgromadzenia Oblatów. Udaliśmy się potém oglądać gmach parlamentu zbudowany na wzgórzu w formie wielkiego klasztoru z trzema wieżami, w stylu *Renaissance*; dwie ogromne oficyny w podobnym stylu i z wieżami, a przeznaczone na biόra rozciągają się jak dwa ogromne skrzydła. Że ranek był parny i mglisty, trzy te gmachy ze swojemi wieżami wydawały się uroczo i olbrzymio. Wnętrze jeszcze nie wykończone ale *confortable* i okazałe, sufity tylko płaskie z pięknego drzewa, ciężko i nizko wiszą. Gmach ten kosztować będzie przynajmniej pięćdziesiąt milionów franków, na prowincyą i za drogi i za wielki; a nuż Stany Zjednoczone pochłoną Kanadę, tedy będzie całkiem nieużyteczny. Na wzgórzu poboczném ma stanąć jeszcze pałac dla gubernatora. Miasto te, od strony wody może być dobrze umocnione; dla tego zapewne zostało przez rząd wybrane raczej niż Montreal, otwarty, za bliski Stanów Zjednoczonych, i nazbyt jeszcze francuzki, choć zresztą daleko więcej centralny od Ottawy. Po obiedzie odwiedziliśmy zakład Sióstr szarych (kolonia *Hôpital général* w Montreal) i widzieliśmy dwudziesto-pięcio-letniego księdza umierającego spokojnie. Potém byłem w kollegium, seminaryum, którego przełożony ksiądz M. D. Dawson, Szkot rodem, a patryota, ofiarował mi swój poemacik *Lines of the massacre of Oszmiana*, wydany w Glasgowie r. 1844; i drugi p. t. *On the latest nevs from Russia* (Ottawa, august, 1865), w którym wskazuje karę nieba

nad Moskwą za pastwienie się nad Polską, w pożarach, zarazie na ludzi i bydło i t. d. Tyle pociechy przynajmniej że wszędzie poczciwi ludzie tę biedną naszą Polskę kochają.

Wycieczka ta moja rekreacyjna, nie będzie jednak da Bóg bez korzyści dla dusz pięćdziesięciu rodzin polskich, osiadłych około miasteczka *Renfrov*, siedmdziesiąt mil angielskich powyżej Ottawy. Dzieci już pouczyły się po angielsku, niektórzy ze starszych mówią nieco po niemiecku (zdaje się że pochodzą z Prus zachodnich) ale niektórzy tylko po polsku mówią. Poczciwy sześćdziesięcio-pięcio letni ksiądz irlandzki, mieszkający przy księdzu biskupie, który się nie mógł żadną miarą po francuzku nauczyć, uczy się dzień i noc po polsku, aby mógł tych poczciwców spowiadać. Chwalił się przedemną, że już umie trzydzieści ośm pytań po polsku zadać! Nie chciałem brać go na examin jak też on swoją polszczyznę wymawia; to prawda że poczciwy ludek niewybredny i musi go jakokolwiek rozumieć (i jam tu już jednego Irlandczyka wyspowiadał). Bardzo mi księża ten nasz ludek chwalili, i opowiadali, że w Ottawie mieli przewodnika protestanta. Widząc że on przechodząc przed kościołem czapki nie zdjął, zrzucili mu ją z głowy, jeszcze kark siłą nachylili. A gdy im dano zrozumieć że przewodnik nie katolik, odpowiedział jeden po niemiecku: «już tam na to nie ma ratunku, u nas tak się dzieje że przed kościołem, ktoby on tam nie był, musi się pokłonić.» Nie wiem czy ci poczciwce wyszli zdrowo z katastrofy, gdy pociąg wpadł przez most podniesiony w rzekę Richelieu, czyli Chambly (pokazywano mi to miejsce, gdym jeździł do St-Hyacinthe). Księża Sulpicyanie bardzo mi chwalili pobożność pokaleczonych Polaków, którzy leżeli po szpitalach w Montreal; a niektórzy z nich otrzymawszy wynagrodzenie od towarzystwa kompanii żelaznej wrócili do kraju (1). Poczciwemu księdzu Irlandzkiemu zapisałem z Europy Nowy Testament po polsku, o który bardzo prosił.

Ucieszony że ta wycieczka moja nie była bez korzyści, wracałem ku Montreal. Wszędzie po drodze czuć było swąd palących się lasów, paliły się one z powodu bardzo suchego i gorącego lata przez kilka dni, i wielkie szkody przyniosły. W starej Kanadzie tak już są wytrzebione, że drzewo zaczyna być drogiém i z daleka musi być sprowadzaném. Zatrzymaliśmy się po drodze w *Lac des deux Montagnes*, własności księży Sulpicyanów. Od dwustu lat obsługują oni tam założoną przez siebie osadę dla Indyan, po połowie Irokezów, po połowie Algonkinów. Jeden z księży doskonale posiada oba języki i pieśni pobożne dla nich układa. Słyszałem ich śpiew w kościele, i muszę powiedzieć, że melodye francuzkie

(1) Jeden Galicyanin, który stracił rękę i nogę otrzymał tysiąc dolarów i wrócił do kraju z małém dzieckiem odszukaném przez księdza Villeneuve u doktora Kanadyjskiego, który już je był sobie poczciwie przysposobił. Opowiadał mi ten kapłan, iż gdy mu przyprowadził to dzieciątko które już był jako umarłe opłakał, tak przeraźliwie ryknął, że dziecko przestraszone zaczęło płakać i uciekać.

zwykle skoczne, *contredanse* przypominające, w ustach Indyan poważniejszy i pobożniejszy ton przybierają. Odwiedzałem ich potém po domach. Przed dwóma dniami dwudziestu kilku mężczyzn wybrało się na polowanie i rybołóstwo, widzieliśmy ich nawet ze statku pod namiotami zupełnie takiemi jakie żniwiarze neapolitańscy rozciągają. Trudno tym synom leśnym usiedzieć na miejscu i rolę uprawiać, choć już dawny strój swój zarzucili. Pokazywał mi ksiądz Desmazures naczelnika wsi, którego przed laty jeszcze widział w stroju dawnym, a który już dzisiaj chodzi w surducie, ogolony i z zapuszczonemi włosami na całej głowie. Kobiéty robią różne drobiazgi z perełek, a ponieważ mężowie nic im zwykle wracając do domu nie przynoszą, jadą do Stanów Zjednoczonych sprzedawać swoje robótki i wpadają w ręce spekulantów amerykańskich, którzy ich osobami handlują.

Wpadłem do Montreal na chwilę tylko dla wysłania listów do Europy, i wyjechałem na wieś do osiadłego tu rodaka p. Kierzkowskiego (1). Ojca to jego, żołnierza z czasów Kościuszkowskich, oficera z legionów, St-Domingo, księztwa Warszawskiego, nareszcie majora w roku 1830, ojca to jego mówię, pogrzebiono tak uroczyście, wobec 60,000 zebranego ludu w Poznaniu, przed trzema laty, na początku demonstracyj, a i myśmy też mszę żałobną w Paryżu odśpiewali. Pan Kierzkowski syn, przybył do Paryża z ojcem, w piętnastym roku życia swego, odbył jeden z kilku pierwszych, wraz z Edwardem Jełowickim szkołę centralną, i otrzymał posadę inżyniera przy kanale Beauharnais w Kanadzie. Ożenił się z panną de Bartsch, właścicielką feudum St-Charles, i wszedł w powinowactwo z najznakomitszemi tu rodzinami, bo druga siostra (nieboszczki już) żony p. Kierzkowskiego jest za panem Drumorand, byłym ministrem kanadyjskim, a dziś sędzią najwyższej instancyi, trzecia za p. Monk, sędzią trybunału apelacyjnego, czwarta nareszcie była za ziomkiem naszym, panem Rottermundem od wielu lat już zmarłym. Wdowa po panu Rottermundzie, bawiąca w Paryżu, i należąca nawet do Stowarzyszenia Polskich Pań ś. Wincentego a Paulo, dała mi listy polecające do dwóch swoich sióstr mieszkających w Montreal, i w ich to domu poznałem p. Kierzkowskiego. Używa tu najlepszego imienia, zacnego i dobrze wychowanego człowieka, nawet u duchowieństwa, (choć należy do stronnictwa liberalnego, albo opozycyjnego) był też posłem na sejmie.

Wybrałem się w drogę z proboszczem p. Kierzkowskiego, przenocowaliśmy u księdza proboszcza w Beloeil nad rzeką Richelieu, a nazajutrz w towarzystwie młodego proboszcza z St-Hilaire, mieszkającego wprost naprzeciwko na drugiej stronie rzeki, puściliśmy się ku naj-

(1) Oprócz pana Kierzkowskiego widziałem tu tylko dwóch Polaków. Jeden młody emigrant przybywał ze Szkocyi i jechał do górnej Kanady, mając tam sobie obiecane miejsce; drugi przybyły z Francyi po 1850 r. (p. Żmijewski) jest woźnym przy Trybunale.

wyższej górze w Kanadzie (bo tysiąc kilkaset stóp wysokiej) zwanej *montagne de Beloeil*, albo *de St-Hilaire*. Nie bardzo mi się chciało, należącemu już do ciężkiej piechoty drapać się pod górę; ale widziałem że dwaj proboszcze pragnęli pokazać mi piękny widok krajowy, i że to była *partie arrangée*, więcem się poddał z dobrą miną. Pokazało się za powrotem, że ja stary wyjadacz górski, nawykły drapać się po Apeninach do naszej Mentorelli, dwa razy wyżej położonej, tylkom się dobrze wypocił i lepszego nabył apetytu, a mój młody ksiądz z St-Hilaire zaraz się położył; proboszcz zaś ze St-Charles nazajutrz jeszcze czuł się nie swoim. Bo ja sobie jak górale i bydlęta górskie, powoli i zygzakiem windowałem się pod górę, a moi młodzi niedoświadczeni towarzysze (pomimo moich ostrzeżeń) na przełaj prosto i podwójnym krokiem maszerowali.

Miejsce istotnie piękne. Na wysokości dwóch trzecich góry jest jezioro znacznej głębokości, dostarczające wody wielu młynom okolicznym. Nie zdaje się by topniejące śniegi wokoło mogły dostarczać tyle wody, musi to jezioro być zaopatrywane źródłami podziemnemi; podług podań Indyan, mówiących o kurzącej się górze, prawdopodobnie jest to wypalony krater wulkaniczny, a może sięga dnem aż do łożyska sąsiedniej rzeki. Na samym wierzchołku góry, z której piękny i obszerny widok na jezioro z jednej, na rzekę i okolice z drugiej strony, na samym wierzchołku stoi kapliczka i leżą obok kawały ogromnego krzyża blachą pokrytego, a postawionego za staraniem i zachętą ks. biskupa Forbin Janson (byłego biskupa w Nancy we Francyi) który tu przed laty dwudziestu, całą Kanadę przez rok po apostolsku był obszedł. Wichry zużyły w końcu łańcuchy żelazne podtrzymujące kolosalny krzyż, a duchowieństwu nie pilno stawiać nowego, aż się uda zgromadzenie jakie na tej górze osadzić. Bo jako diabeł przy każdém świętém miejscu karczemkę wraz swoją stawia, tak i tu pusta młodzież nie dla nabożeństwa, ale dla grzesznej często zabawy, zaczęła się była schodzić.

Pod wieczór wsiedliśmy na statek parowy, na którym spotkaliśmy podług umowy pana Kierzkowskiego, wracającego za nami z Montreal, i przybyliśmy do jego domu. Na dziedzińcu, na maszcie powiewała chorągiew polska, w izbie wisiał herb narodowy wyszywany, (ofiarowany panu Kierzkowskiemu przez jego wyborców na posła), a na nim zawieszone pistolety polskie i inna broń. W niedzielę, 10 września, miałem kazanie w kościele parafialnym z textu ewangelii dnia tego : « nie można dwóm panom służyć, Bogu i mamonie. » Kanadyjczycy, jak Polacy rzadko zbierają pieniądze, jedno jak mrówki co przez sześć miesięcy letnich zbiorą, to przez sześć miesięcy zimowych najstaranniej zjedzą. Dawniej wieśniak kanadyjski żył w wielkiej prostocie, nosił grube sukno z wełny własnych owiec, niewiasty same wyrabiały pło-

tno. Dobrze Francuzi mówią ; *c'est le bon marché qui ruine* », taniość sukien i perkalów angielskich sprawiła, że lud dziś wszystko w sklepach kupuje. To też nie widziałem właściwie ludu w kościele, wieśniacy w porządnych surdutach, wieśniaczki w krynolinach z okrągłemi kapelusikami na głowie, przyjeżdżają w kabryoletach do kościoła, mieszkają w porządnych domach. Przejęli zatém *comfort* od Anglików, ale przemysłu, energii angielskiej nie mają. W rolnictwie trzymają się upornie rutyny. Szkoły elementarne żeńskie i męzkie w każdej prawie parafii, liczne kolegia trzymane przez księży (jest ich sześć w małej dyecezyi Montreal), łatwość przystępu do nich, wszystko to sprawia, że coraz więcej młodzieży poduczonej rolę opuszcza. Młodzież męzka i żeńska hurtem (1) wynosi się do Stanów Zjednoczonych. Po miastach pełno belletrystów bez chleba, adwokatów bez klientów, lekarzy bez pacyentów, wszystko to przygotowuje klasę rewolucyonistów, bo kto się ma za zdolnego a głodny, znajduje że utwór społeczeństwa nie dobry, pragnie zmiany i pracuje nad sprowadzeniem przewrotu społecznego. Jak gdzieindziej, tak i tu księża (chcąc jak najwięcej mieć uzdolnionych Kanadyjczyków, by Anglicy wszystkich urzędów i stanowisk nie zajęli) pomimo najlepszych zamiarów ułatwiając zbyt nauki wyższe, wychowają w końcu nieprzyjaciół społeczeństwa i Kościoła. Już dziś głodne pismaki, po dziennikach przeciwko księżom, dobrodziejom swoim gryzmolą.

Wracam do mojego gospodarza. Prosił mnie o odśpiewanie mszy żałobnej za zmarłych jego rodziny; przy tej sposobności zamieścił nad grobem rodzinnym wobec dwóch swoich synów, tablicę z następującym napisem polskim :

« Kierzkowski syn odległej, nieszczęsnej krainy,
« Tu grób obrał dla siebie i swojej rodziny. »

Nazajutrz pojechaliśmy o dwie godzin drogi do pani de St. Ours, i pierwszy raz dopiero w Kanadzie byłem obecnym przy poświęceniu dzwonu do nowego kościoła w parafii St. Roch, zbudowanego głównie nakładem dziedziczki. Widziałem przy tej sposobności zebranie obywatelstwa okolicznego. Szlachta kanadyjska oddawna była nieliczna, bo znaczna jej część po odpadnięciu tej kolonii do Anglii wyniosła się była do Francyi. Obecnie coraz więcej się przerzedza, bo miękko chowana uczyć się nie chce. Synowie rolników, kupców zostają adwokatami, posłami, ministrami ; a szlachta poluje, próżnuje i traci

(1) Duchowieństwo stara się temu zapobiegać, zakupując grunta nieuprawne jeszcze i kolonizując na nich młodzież roboczą a biedną i w ten sposób nowe już całe powiaty powstały. Ale te wysiłki nie są dość scentralizowane, nie są w stanie zapobiedz wszystkim potrzebom rzeczywistym czy przywidzianym gwałtownie rozradzającej się ludności, i ztąd emigracya do Stanów Zjednoczonych. Liczbę wychodzców podają na 150 do 300 tysięcy ludności płci obojej.

majątki. Ogólnie Kanadyjczycy dobrzy są, gościnni, uprzejmi, zachowali grzeczność francuzką, a więcej mają prostoty i serdeczności. Tak uprzejme znalazłem przyjęcie u duchowieństwa i świeckich wszelkich stanów, że najlepiej jestem usposobiony dla tutejszych mieszkańców, wszakże nie mogę nie widzieć, że od lat stu nie mieli ani do cierpienia, ani do walczenia, i przeto widać u nich pewną miękkość i ospałość. Religijni są u siebie, w Montreal katolik nie przejdzie obok księdza aby go nie pozdrowił, uczęszczają do kościołów i do sakramentów, a przecież, niech Kanadyjczyk osiądzie w Stanach Zjednoczonych, opuszcza się w praktyce religijnej, a choć tam nie ma do płacenia dziesięciny, nie chce przykładać się do utrzymania kościoła, szkoły i kapłana. Zwracałem uwagę kapłanów na potrzebę zabezpieczenia ludu przez katechizmy dogmatyczno-polemiczne zastosowane do stopnia rozwinięcia różnych klas społeczeństwa, przeciwko wpływowi protestantów, z którymi są w coraz częstszym stosunku. Jak dziś rzeczy stoją, gdyby broń Boże, Amerykanie posiedli Kanadę, toby ich prędko duchowo i majątkowo zniszczyli.

Pożegnałem mojego uprzejmego rodaka, i wracając do Montreal odwiedziłem jeszcze dwa probostwa. Jedno w Vercherès, gdzie mi pokazywano miejsce, na którém w początkach kolonii, córka ówczesnego właściciela, w małym ostrogu z ostrokoła, obroniła się ze służbą przeciwko napadowi Indyan; niewiem czyby dzisiejsze Kanadyjki miały już tyle animuszu. Ostatnią stacyę miałem w Varennes u monsignora des Antels proboszcza tego miejsca, znanego mi jeszcze z Rzymu. Wróciwszy do Montreal, wyczytałem w dziennikach podrukowane rozmaite poczciwe głupstwa. I tak jeden dziennik aby zachęcić mieszkańców do pójścia na moje kazanie następne, powiedział, że będzie kwesta na *odbudowanie Polski*. By jakkolwiek pokryć ten non-sens, mówiłem w czasie kazania o seminaryum polskiém, które Ojciec Ś. zakłada w Rzymie, dla zachowania wiary w naszej Ojczyznie. W domówieniu, wytłumaczyłem co to jest Syberya. Składka na missye nasze przyniosła czterdzieści sześć dolarów. Dla seminaryum jeżeli kto uczyni, to chyba księża Sulpicyanie, którzy tymczasem ofiarowali uczniów naszego Zgromadzenia wychowywać w swojém seminaryum darmo. Niech im Bóg płaci ich dobre serce!

Nie skończyła się na tém praca dnia tego. Z drugiém kazaniem zaproszony byłem do siostr Opatrzności, obchodzących główne święto swoje, *siedmiu boleści Matki Najświętszej*, trudno było odmówić i przez wzgląd na Maryą Pannę, i na biskupstwo ugaszczające mnie od dwóch miesięcy, a opiekujące się szczególniej tém zgromadzeniem. Pośrodku nareszcie mówiłem w zebraniu młodzieży zwaném *Union catholique*. Tam wytłumaczyłem różnicę Moskwy Rossyą przezwanej od Rusi; i niesprzęgłość rasową i duchową między Polską a Moskwą. Rozpro-

mieniłaby się dusza Duchińskiego, gdyby mnie słyszał! Ale niech się i tak ucieszy; bo gdy sekretarz, młody i zdatny adwokat, nie mógł dojść do ładu ze zdaniem sprawy z przedmiotu tak sobie nowego, podyktowałem mu w treści co mówiłem, a on to znów pięknie zredagował. Tak i Kanadyjczycy wiedzą że Polakom a Moskwie:

« I ród nie jeden jak nie jedna wiara i t. d. »

Postanowiłem nareszcie wynosić się z Montreal, bo już mi był i czas, i przyszłoby może jak zapowiadano, prosić o litość i wypraszać się od zbyt częstych wezwań z kazaniem. Aż tu mi w seminaryum przypomniano obietnicę przemówienia o Polsce, a ks. Desmazures drugie przyrzeczenie, powiedzenia kilkuset jego *Perseverantkom* nauki z wielkiego katechizmu, co tylko w niedzielę następną uskutecznić się mogło. Zostałem więc tydzień jeszcze, pożegnałem tymczasem znajomych duchownych i świeckich w mieście, podziękowałem panom z towarzystwa Ś. Wincentego a Paulo, którzy po dwóch moich kazaniach raczyli kwestować, a że jeden z tych panów jest zięciem sławnego tu pana Barthelet (który od lat dziesięciu tylko po 100,000 rocznie wydaje na budowanie kościołów, szkół i klasztorów dla rozmaitych zgromadzeń) przeto i tego pana poznałem. Ten poczciwiec w skromnym domku mieszka, i jednym konikiem sobie jeździ. Drugi jego krewny także dawnego etatu człowiek, wybudował wspaniały zakład dla siostr uczących Zgromadzenia miejscowego Jezusa i Maryi. Miałem jeszcze naukę w *Mont-Ste Marie*, jednym z trzech pensyonatów trzymanych przez Zgromadzenie sióstr *de la Congrégation de Notre Dame*. Jest ich siedm w mieście i pod miastem, liczących zwykle od stu do dwóchset uczennic, a jakkolwiek część tych uczennic przybywa z górnej Kanady ze Stanów Zjednoczonych, zawsze to zawiele na miasto liczące sto tysięcy ludności: to też się tworzy proletaryat belletrystek żeńskich, bez posagu. We czwartek, 21go września, miałem żądaną naukę do młodzieży seminaryjskiej, o zasługach apostolskich Kościoła polskiego przez nawrócenie Pomorzan, Litwy i przeprowadzenie Unii na Rusi. Z wielkiém zajęciem słuchało tych stu Lewitów, nietylko z Kanady, ale i ze Stanów Zjednoczonych pochodzących, o przedmiocie całkiem nowym i nieznanym, żałowali tylko, jak mię dyrektor i profesorowie zapewniali, że się tak prędko skończyło, i radziby *bis* zawołać. Ale w nocy dostałem jakoby choleryny, a nawet z kurczami wewnątrz, jedno bez ostygania rąk; dowiedziałem się, że to licho panowało w mieście w skutek gwałtownych zmian powietrza. Więc już na niedzielę odmówiłem drugiego kazania, ograniczyłem się na przemówieniu do *Perseverantek* przy rozdaniu im stosownych obrazków, (poczciwe dziewczęta złożyły mi czterdzieści szylingów na drogę) i podziękowaniu ks. administratorowi wobec zgromadzonych kanoników i mansyona-

rzy, za uprzejmość jakiej doznałem ze strony jego i całego duchowieństwa. Mogę podziękować Bogu, że pobyt mój nie zaszkodził dobrej sławie Zgromadzenia naszego i narodu polskiego; i owszem ufam, że odtąd każdy Polak, a mianowicie każdy kapłan serdeczniej jeszcze w Montreal i Kanadzie przyjęty będzie.

Nazajutrz rano wyjechałem drogą żelazną do Kingston, i zanocowałem w kolegium. W Ameryce za złe miałaby władza duchowna księdzu, gdyby zajeżdżał do hotelu; każdy choć nieznany, czy w seminaryum, czy w biskupstwie znajdzie gościnne przyjęcie, a przecież już w górnej Kanadzie z samych tylko składek utrzymują się księża i biskupi. Ks. Stafford dyrektor kolegium (ks. biskup odbywał wizytę dyecezyi) i proboszcz naprzeciwległej wyspy, chciał mi pokazać skamieniałe ogromne ślimaki morskie i inne wymoczki, które powynajdywał wewnątrz kamieni. Wnosi ztąd, że cała dzisiejsza Kanada była dawniej łożyskiem morza, z którego dziś tylko ogromne jeziora i rzeki pozostały. Rozminąłem się z ks. biskupem z Hamilton, który współcześnie był do Montreal pojechał. Udałem się przeto prosto do Ś. Agaty, gdzie zastałem wszystkich naszych księży zdrowych, choć pomęczonych całomiesięczną jubileuszową pracą. Dwóch pojechało jeszcze o dziewięćdziesiąt mil ztamtąd pomagać koledze który im pomagał, a tak przywiązany do naszego Zgromadzenia, jakoby do niego należał. Znalazłem przybyłego z Rzymu ks. Ellenę i młodego teologa Irlandczyka, pierwszego nuncyusza w Kanadzie. Dawny to uczeń O. Eugeniusza i coś na małego Mezofantego zakrawa, bo okrom języków starożytnych, które dokładnie posiada, płynnie mówi po francuzku i niemiecku, poduczył się już po włosku i po polsku. Naszej mowy chce się dokładnie douczyć, aby wraz z O. Eugeniuszem mogli być pomocnymi przechodnim Polakom.

Poczciwi nasi koloniści z Forestville pisali, że już dom dla ks. proboszcza wybudowali, i oczekują niecierpliwie na obiecane odwiedziny swojego dobrodzieja. Kolegium nasze zyskało nową klasę uczniów, i dwóch profesorów, trzeci zwany hellenista przybędzie po roku z Rzymu. Na wielkanoc przeniesie się do własnego domu w mieście Berlin; zgłaszają się już studenci ze Stanów Zjednoczonych i protestanci miejscowi, a że OO. Jezuici zamknęli swoje kolegium w mieście Gwelf dla braku uczniów, i nasze jedyne jest w dyecezyi, przeto może prędko się rozwinąć pod zdolném i sprężystém przewodnictwem O. Ludwika. Wszystko tu łatwiej idzie, byle tylko chcieć pracować. Niepłonną mam nadzieję, że się nasze Zgromadzenie prędko tu rozrośnie. Za zapowiedź tego uważam dziwny wypadek, jaki się zdarzył O. Franciszkowi płynącemu do Ameryki z bratem Janem (już zmarłym), a który mi tu przypomniał w rozmowie. Pisał mi o tém w swoim czasie, alem nie zwracał na to uwagi, i bardzo niedokładnie zapamiętałem.

Poleciłem mu zatém, aby mi spisał na nowo, i oto jego notatka:
« Ostatniego sierpnia, czy 1go września 1860 r. wsiedliśmy w Liverpool na statek, który nas 12go września w Quebec na ląd wysadził. W pierwszych dniach żeglugi nic uderzającego nie zaszło, dnie były zwykle pochmurne a noce ciemne. Między 8ym a 9ym zdarzył się wypadek, który tak głęboko wyrył się w mojej pamięci, iż dotychczas świeżo przedemną stoi. Około ósmej zwieczora przechadzaliśmy się po pokładzie, a oto widnokrąg zaczął się rozjaśniać, tak iż w krótkim czasie cały pokład oświecony został. Promienie stawały się coraz żywsze, a z tego ich rozwinięcia powstała śliczna różnobarwna zasłona, która się coraz bardziej po większej części widnokręgu rozciągnęła. Na pokładzie było oprócz mnie kilka osób, które ten widok podziwiały. Powoli rozdzieliła się ta zasłona na dwie połowy, a pośrodku zaczęły występować różne słupy, które coraz wybitniejszą postać przybierały, jaśniejąc blaskiem nadzwyczajnym. Rychło potém jęły się pokazywać rozmaite postacie, które widocznie kształt aniołów przybierały, wzrastając od chwili do chwili. To wszystko trwało przynajmniej przez ćwierć godziny. Wtedy wystąpiła wyraźnie postać niewiasty w gwiazdzistej koronie, stojąca na księżycu, depcąca okrutnego smoka. Na ten widok wszystko co tylko było na okręcie wystąpiło na pokład. Po kilku chwilach środek tego widziadła zajaśniał nowym blaskiem; a wszystko to było na tak wielkie rozmiary, tak wydatnie, iż wydawało się być jakoby się rękoma dosięgnąć dało. Nareszcie wystąpiła z głębi postać coraz wyraźniejsze przybierająca kształty. Ta postać trzymała chorągiew w ręku, i stała po boku pierwszej. To widowisko trwało przynajmniej dobrą godzinę. Poznałem natychmiast, że pierwsza osoba przedstawiała Niepokalane Poczęcie Najświętszej Panny, druga Zmartwychwstanie Pana naszego Jezusa Chrystusa. Ale co dziwniejsza, to że wszyscy na pokładzie to samo głośno wyznawali, chociaż do rozmaitych wyznań należeli. Staliśmy obok poważnej jakiejś pani katoliczki, która wraz z córką i guwernantką upadły na kolana wołając: *wielki, cudowny Bóg w dziełach swoich*, i modliły się w cichości. I kapitan w końcu się odezwał: że nic jeszcze podobnego nie widział, chociaż się już w życiu swojém napatrzył dosyć najpiękniejszych i najdziwniejszych zórz północnych. Dodam jeszcze, iż Pan Jezus i Najświętsza Panna otoczeni byli rozmaitemi postaciami anielskiemi, i że na pokładzie tak było jasno, iż ja sam wygodnie czytać mogłem. Powiedziałem sobie: oto godło nasze; walczymy pod chorągwią zmartwychwstałego Zbawiciela i pod opieką niepokalanie poczętej Matki Jego; serce moje tak przepełnione było weselem, żem zawołał do brata: przybędziemy szczęśliwie na miejsce naszego przeznaczenia! co się też stało. »

Stało się zaś, dodam, choć okręt przepłynął szczęśliwie wśród dwóch murów lodu, które były u dołu połączone, tylko pośrodku dzia-

łanie fal morskich wyżłobiło wyłom, nad którym mógł się statek przesunąć. Przypomnę jeszcze czytelnikowi, że biskupi Stanów Zjednoczonych obrali sobie uroczyście za Opiekunkę niepokalanie poczętą Matkę Zbawiciela, a kapłan Zmartwychwstaniec, który miał to widzenie, pierwszy zaczął dawać missye Polakom przerzuconym do Ameryki.

Dodam już tylko, że dnia 30go września obchodziłem z braćmi w duchowo-rodzinném kółku moje imieniny; poczciwy ludek okoliczny choć dzień był roboczy zebrał się w liczbie stu osób przeszło, które się spowiadały i kommunikowały na moję intencyą. Bóg im zapłać, jak i tym wszystkim, którzy w Europie taką mi miłość i miłosierdzie wyświadczyły i świadczą. Czekam tylko na powrót o. Eugeniusza z missyi, aby wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Mam do nich wjechać przez miejsce najbardziej zajmujące, to jest, po zawieszonym moście (*suspension bridge*) nad spadami Niagary.

Zacznę zatém da Bóg list następny od opisania wielkiego szumu wody, aby mówić dalej o turkocie machin, i wielkiej wrzawie ludzi po miastach amerykańskich.

LIST CZWARTY.

STANY-ZJEDNOCZONE.

New-York, 18-30 października 1865 r.

Moi najdrożsi!

Ludzie światowi trudno pojmą i uwierzą do jakiego stopnia siły i rzewności dochodzą uczucia synowstwa, ojcowstwa i braterstwa, w członkach rodzin duchowych i nadprzyrodzonych, jakiemi są zgromadzenia. Doświadczyłem tego i przy powitaniu braci moich w Kanadzie i przy ich pożegnaniu. Wprawdzie, uczucia smutku i boleści z jednej strony, wesela i pociechy z drugiej, w osobach żyjących wciąż z pamięcią niestałości wszystkiego co czasowe — wprawdzie, uczucia uduchownione nie dochodzą nigdy gwałtowności uczuć czysto przyrodzonych i namiętnych, ale są głębsze i stalsze, bo już mają w sobie coś wiecznego, niezmiennego. Popłakaliśmy się serdecznie, żegnając się, choć księża nawykli do widoku łez po rodzinach, przy konających, nie są łatwo skłonni do płaczu.

« To już bodaj do zobaczenia się w wieczności, Ojcze!... powiedział jeden z braci : jak Bóg rozporządzi synu » odpowiedziałem. Czytałem świeżo pod fotografią modlącego się Piusa IX, te piękne słowa Pawłowe » nie mamy tu trwałego mieszkania jeno przyszłego się spodzie-

wamy... A i wiersz Mickiewicza: « Jeszcze na świecie, choć już nie dla świata » najlepiej się stosuje do zakonników Missyonarzy. Na świecie my, choć nie dla świata; a jeżeli dla świata, to by go leczyć i zbawiać, nie by się nim zabawiać. « Bóg mój i wszystko moje» Augustynowskie to nasze godło. Dalej w świat!

Odprowadzał mnie O. Eugeniusz, choć zmęczony i jakoby zbity całomiesięczném kaznodziejstwem jubileuszowém. Małośmy mówili z sobą, jak zwykle w takich okolicznościach, i mówili tylko o rzeczach obojętnych. Wstąpiliśmy na nocleg do jm. księdza Biskupa w Hamilton, aby się z nim pożegnać. Oświadczył mi, że i on wyjeżdża nazajutrz do Stanów Zjednoczonych na konsekracyą nowego biskupa w Albany, sufragana arcybiskupa Nowego Yorku. Uśmiechnęła mi się myśl spotkania zebranych kilkunastu biskupów Stanów Zjednoczonych, jakem spotkał kilkunastu angielskich przy konsekracyi księdza Maning w Londynie. Warto było zatrzymać się dzień po drodze, ile że i wypadało, bo funkcya miała się odbyć w niedzielę. Mając tedy tak dostojnego towarzysza podróży, nie potrzebowałem dłużej trudzić O. Eugeniusza. Wyprzedziliśmy tylko księdza biskupa o jeden pociąg, aby obejrzeć katarakty Niagary. Chodziło mi też o towarzystwo lepszego odemnie Anglika na komorze celnej, tyle bowiem słyszałem o brutalstwie celników amerykańskich, a miałem ze sobą dosyć jeszcze świętości, którebym nierad widział wystawione na urągowisko protestantów. Ale dzięki Bogu, wszystko się najpomyślniej odbyło, i mogliśmy pomimo bardzo chłodnego wiatru, oddać się przyjemności oglądania najsławniejszego wodospadu w świecie, zanim się dokładnie dowiemy o innym, bodaj jeszcze wspanialszym, odkrytym w południowej Ameryce.

Nie podobna nie wspomnieć naprzód o sławnym wiszącym moście (*the great suspension bridge*) na rzece Niagarze, stanowiącym tu granicę pomiędzy Kanadą a Stanami Zjednoczonemi. Długość jego całkowita od jednych do drugich wież, na których się opiera, wynosi 800 stóp, a wysokość po nad wodą liczy stóp 258. Pierwszy lekki most zbudowany przez p. Karola Elett, (który pierwszy huragan zniosł jak pajęczynę) niczém był w porównaniu do tej zasadnej budowy; kosztował 500,000 dolarów. Trwa on już lat 10; służy wyłącznie pociągom dróg żelaznych; 38 stóp poniżej, jest drugi most dla piechotników i powozów. Rzeka Niagara łączy jezioro Erie i dalsze za niém będące, z jeziorem Ontario. Wody których Niagara jest kanałem, upustem i jakoby lejkiem zajmują powierzchnią 150,000 kwadratowych mil angielskich; wody tak ogromne i niewyczerpane jakoby, iż nie znać zmiany, choć od wieków i wieków tracą co godzina dziewięćdziesiąt milionów beczek (1) spadających z tych dziwnych skalnych urwisk. Najlepiej widać to dziwo przyrody ze

(1) Jak obliczyli Anglicy i Amerykanie, których powtarzam.

strony amerykańskiej, z wyspy i wieży w wodzie już postawionej. Główna kaskada ma kształt nieforemnego półksiężyca. Naprzeciwko Table Rock długość jej jest trzech ćwierci mili angielskiej. Opisać piękność tego widoku niepodobna. Łoskot podobny do szumu morza rozhukanego. Wszystkie kaskady które widziałem, w Apeninach, Alpach, Pireneach, Kanadzie, karłami są tylko wobec Niagary. Niagara to Himalaja, to Chimborasso wodospadów. Innych podrzędnych, pobocznych kaskad ni widoków, (*rapids*) opisywać nie będę. Znajdzie je każdy ciekawy w opisach specyalnych Ameryki, mnie ledwo zajmuje już tylko co najszczytniejszego na tej ziemi.

Przy szumie katarakty pryskającej nieustanną wilgocią, pożegnałem się z O. Eugeniuszem i puściłem się do Rochester, gdziem stanął w kilka godzin. Zajechałem na nocleg do OO. Redemptorystów, założonych w drugiej połowie zeszłego wieku, przez ś. Alfonsa Liguori w Neapolitańskiém. Bardzo ci OO. są gościnni, a żem miał otwarty list polecający od Ojca ich jenerała z Rzymu księdza Moiron, fryburczyka ze Szwajcaryi, byli do podziwu dla mnie uprzejmi. Kilkanaście już domów liczą w Stanach Zjednoczonych, a wszyscy ich missyonarze w Ameryce, jak ci którzy są w Europie, w Niemczech, Hollandyi, Belgii i Francyi, wyrośli właściwie z jednego człowieka, z jedynego cudzoziemca, który jeszcze za życia świętego założyciela wszedł był do zgromadzenia. Tym człowiekiem był ojciec Hoffbauer, właściwie Dworzaczek, wieśniak morawski, zmuszony wyrobniczo pracować na swoje życie, który z niesłychaną trudnością nauczył się po łacinie i słuchał kursów publicznych teologii w Wiedniu. Trzy razy chodził pielgrzymem pieszo do Rzymu i zwykle w upały letnie. Za trzecim razem wchodząc raniuteńko do Rzymu, rzekł do swego towarzysza : wstąpimy do pierwszego kościoła, w którym zadzwonią na mszę. Wchodząc przez bramę Maggiore, posłyszeli maleńki dzwoneczek małego kościołka ś. Juliana, przy którym obecnie mieszka matka Makryna. Wchodzą do kościołka, i widzą zgromadzenie księży odbywających z wielkiém skupieniem rozmyślanie ranne. Idą do furty i pytają braciszka : jakie to zgromadzenie? Ten odpowiada : « Najświętszego Zbawiciela » i dodaje « i wy do nas przystać powinniście. » Hoffbauer wziął te słowa za znak powołania opatrznego ; po mszy świętej prosił przełożonego o przyjęcie, został wysłuchany i posłany na prowincyą do nowicyatu. Wyświęcony na kapłana, odzywał się z tém często, że on zgromadzenie za Alpami rozkrzewi. Śmieli się z niego towarzysze, ile że wtenczas Józef II, cesarz-zakrystyan (jak go Fryderyk II nazywał), tępił w najlepsze zakony w państwie swojém. Gdy jednak odniesiono te oświadczenia księdza Hoffbauera ś. Alfonsowi już zgrzybiałemu, ten po namyśle powiedział : « nie śmiejcie się, jest w tém palec Boży. »

Nuncyatura papiezka w Polsce starała się o dwóch księży niemiec-

kich do Kurlandyi. Hoffbauer puścił się ochoczo ze swoim towarzyszem do Warszawy. Nuncyusz poznawszy ich cnotę i gorliwość, a widząc licznych Niemców w Warszawie i ogólnie lud miejski bardzo zaniedbany, zatrzymał ich na miejscu i osadził przy ustąpionym przez władzę dyecezalną kościele ś. Benona. Zaczęli zatém pracować dla Niemców, ale rychło się poduczyli po polsku, przybyli im towarzysze, niektórzy Francuzi wygnańcy, weszli Polacy, mianowicie znakomity kaznodzieja ksiądz Podgórski i pracowali lat dwadzieścia w Warszawie, a pracowali tak, że codzień były dwa kazania niemieckie, a cztery polskie, spowiadali zaś od brzasku rannego późno w noc. To tłumaczy zkąd tyle pobożności przechowało się w ludzie warszawskim. Ale że wtenczas w klassie oświeceńszej panowało wolne mularstwo, rozpusta i rozwody, te Benony (jak ich od kościoła zwano) zawadzali niedowiarkom i już za czasów pruskich starali się oni ich wykurzyć z Warszawy. Wszakże wtenczas zamach się nie udał. Ale jak skoro weszli Francuzi do stolicy, postarali się u marszałka Davousta o rozkaz rozpędzenia ich i wywiezienia za granicę. Wyprawiono ich przeto jako złoczyńców, a bez winy i bez sądu. Probował O. Hoffbauer osiedlić się ze swoimi w rozmaitych miejscach południowych Niemiec i Szwajcaryi, ale bracia mularze tamtejsi ostrzeżeni od braci polskich, nigdzie im przysiąść spokojnie nie dali. (Ksiądz Podgórski przysiadł cichaczem w Królestwie na probostwie i chłopców wychowywał, ale i ztamtąd go wypędzono.) Nareszcie udało się świętemu mężowi zamieszkać w Wiedniu, w charakterze kapelana zakonnic. Ale gorliwość jego obejmowała wszystkie potrzeby Kościoła. Dom jego i stół był przytułkiem biednych studentów, których ubezpieczał przeciwko rozczynowi Józefińskiej nauki nawet po seminaryach. Z tych to *pauprów* wyszło nowe pokolenie lepszych księży, a następnie biskupów. Był też O. Hoffbauer spowiednikiem i doradcą duchownym wszystkich pobożniejszych i znakomitszych katolików świeckich, jako to : Zacharyasza Wernera, Schleglów. etc. Nareszcie na osobiste wstawienie się Piusa VII, cesarz Franciszek pozwolił Redemptorystom legalnie osiąść w Austryi i dał im kościół, o ile pamiętam Marya Stiegen zwany. Gdy się o tém dowiedział świętobliwy starzec, zawołał : « a więc koniec mój blizki, pierwszy raz w życiu bowiem coś mi się pomyślnego zdarzyło. » Zszedł istotnie niedługo z tego świata, pełen lat, krzyżów, pracy i zasługi. Miany za życia za świętego i po śmierci był wzywany przez wiernych w rozmaitych potrzebach duszy i ciała, i często z pomyślnym i widocznie cudownym skutkiem. Toczy się obecnie proces jego beatyfikacyi i nie wątpię o pomyślnym jego skutku. Jakkolwiek ksiądz Prusinowski ogłosił dłuższy życiorys O. Hoffbauera, nie od rzeczy mi się wydało odświeżyć pokrótce pamięć tak zasłużonego w Polsce męża. Ile że jak za życia kochał Polaków (umarł z zaziębienia się na pogrze-

bie księżnej Jabłonowskiej) tak nie wątpię, że i w niebie za nas się modli i wyprosi nam tę łaskę, że w lepszych dla Kościoła naszego czasach, synowie jego wrócą znowu pracować na naszej ziemi.

Powtarzam, że wszyscy Redemptoryści, wyjąwszy neapolitańskich, są potomkami duchowymi O. Hoffbauera. Neapolitańscy zaś nie tylko się nie rozmnożyli liczebnie po śmierci świętego założyciela, ale uważani przez ograniczonych królów neapolitańskich za zgromadzenie *narodowe*, wyjęci niejako z pod nadzoru Rzymu i w duchu osłabli. Ojciec Święty mianował naprzód wikarego jeneralnego dla Redemptorystów nie neapolitańskich, a lat temu kilkanaście, chciał aby obrali sobie jenerała mieszkającego w Rzymie. Rewolucya włoska rozwiązała odciętą od całości prowincyę neapolitańską, tak że obecnie gałęź O. Hoffbauera wyrosła na korzeniach ś. Alfonsa, zastąpiła uschły i podcięty pień neapolitański. Niejeden wyrok sprawiedliwości bożej wykonywa ślepa i namiętna rewolucya.

Wracam do Rochester. Miasto to 60,000 ludności liczące, w połowie przynajmniej Niemców, Irlandczyków i Kanadyjczyków, jak wiele innych miast tutejszych, wyrosło od lat kilkunastu z małej zrazu mieściny. Rochester ma swoję kaskadę i swoje *kaskadelle* na wzór Tywolskich pod Rzymem. A gdyby i tu sztuka chciała dopomódz przyrodzie, jak w dawnym Tyburze, nie wiem czyby tutejsze wodospady ustąpiły przed rzymskiemi; ale w każdym razie największém nieszczęściem dla wód Rochesterskich jest blizkość olbrzymiej Niagary.

Bardziej zajmującą rzecz od kaskady widziałem w Rochester. Kaskada spada z góry na dół, a chałupka siostr Ś. Wincentego a Paulo wyrosła o cztery pięter wyżej w górę, a rozszerzyła się w dziesięcionasób i więcej; a wszystko wiarą siostry Przełożonej opartej na radzie jednego z ojców Redemptorystów i opiece Ś. Józefa.

Podczas wojny gmach ten mieścił stale 800 rannych, obsługiwanych przez czternaście siostr tylko. Ma i miasto swój szpital protestantski, ale żołnierze za nic w świecie do niego wchodzić nie chcieli, wołając: «wieźcie nas do siostr, my wiemy jak się one nami w Washington i gdzie indziej opiekowały » Mnóstwo się też po szpitalach ponawracało, wielu z nich bez chrztu do onczas żyło. Obecność też kapelanów katolickich choć nielicznych po obozach dała poznać zbliska księdza katolickiego, wymogła dla nich szacunek protestantów, i rozwiała mnóstwo uprzedzeń z niewiadomości pochodzących. Wszakże Murawiew tutejszy, jenerał Butler, w liście ogłoszonym po dziennikach, powiedział do rządu: « dajcie nam kapelanów katolickich ile chcecie, ale na innych szkoda grosza. » Stanowisko legalne i czysto kościelne hierarchii katolickiej w czasie wojny domowej, zjednało jej uszanowanie u wszystkich ludzi poważniejszych, znudzonych do ckliwości perorami namiętnemi i stronniczo-politycznemi swoich mini-

strów. Pomimo to, w części a właśnie dla tego, fanatycy i sekciarze gotują prześladowanie Kościołowi katolickiemu i w Missouri zaczęli już sadzać księży do kozy, ale jak mi ks. biskup z Portland powiedział: « tém lepiej, my staniemy się lepszymi, a wszyscy protestanci nienamiętni i sprawiedliwi zbliżą się i w końcu wejdą do Kościoła. » Inni znowu miejscowi duchowni twierdzą, że prześladowanie całkiem niepodobne, chyba próba legalnych ścieśnień, albo rozpaczny wyskok, gdy już protestanci ujrzą niewątpliwy tryumf Kościoła katolickiego. Są i tacy którzy ufają, że Opatrzność nie dozwoli ciężkiej próby na ten nowy i słaby jeszcze Kościół. Czas to pokaże. Tymczasem uroczyste ceremonie kościelne, przyciągające zawsze mnóstwo protestantów, pomnażają coraz bardziej uszanowanie dla Kościoła katolickiego.

Jedną z ceremonij taki skutek sprawiających była konsekracya ks. Conroy na biskupa w Albany. Wspomnieć wszakże przedtém muszę, że z Rochester do Albany jedzie się przez trzy miasta i miasteczka z wielkiemi imionami starego świata to jest: przez Syrakuzę, Utykę i Rzym. Dwie te szczególniej ostatnie mieściny z drewnianemi swojemi daszkami przypominają naszych żydków mniej więcej dobrze wychowanych, a przybierających nazwy Tarnowskich lub Zamoyskich, dla *piszności*. Przystępuję teraz do opisu konsekracyi. Zjechało się dwóch arcybiskupów ks. mr. Closkey z Nowego-Yorku konsekrator, i sędziwy świątobliwy ks. Porcell z Cincinnati uproszony na mówcę. Nadto trzynastu biskupów, trzech z Kanady Wyższej, dziesięciu ze Stanów Zjednoczonych, w liczbie których ks. de Goesbriant Francuz, Breton rodem, a ks. Domenec Hiszpan, z Texas. Jakkolwiek dla ulewnego deszczu processyi być nie mogło, wszakże widok piętnastu biskupów w mitrach, wustu księży w kapach, ornatach i komżach, wyborny śpiew, oświetlenie, nareszcie stosowne kazanie, wszystko to musiało działać na protestantów, w większości może obecnych w obszernej katedrze. To pewna, że do życzenia byłoby, aby wszyscy katolicy tak przyzwoicie i poważnie zachowywali się w kościołach swoich, jak protestanci zachowują się w naszych.

Z kazania nie pochwyciłem wszystkiego, w każdym razie za długieby było, za dogmatyczno-polemiczne dla polskiego czytelnika, ale wspomnę trafne słowa przytoczone z dziełka jakiegoś pisarza niekatolika, w którém dowodzi, że Bóg musiał założyć Kościół swój podług tego samego planu, podług jakiego świat stworzył. « Otóż pyta, jaki jest ten plan, jaka zasada, jaka idea główna? Czy niejest ciążącą atrakcyą dążenie wszystkich części składowych do wspólnego środka? Gdyby wszystkie atomy składające wszechświat nie słuchały tego prawa, gdyby się odłączyły od reszty, słowem, gdyby *zostały protestantami*, mielibyśmy byli świat z pyłu i kurzawy. »

Po ceremonii był obiad dla wszystkich prałatów i kapłanów zebra-

nych w jednej ogromnej sali. Po raz pierwszy obecny byłem formalnemu obiadowi anglo-amerykańskiemu, z mowami, toastami, stukaniem, a raczej bębnieniem palcami o stół i klaskaniem. Siedziałem obok kilku kanoników i kapłanów przybyłych z Montreal, co mi przypomniało przyjemny pobyt w tém mieście. Po obiedzie, już o zmroku, zaczęły się wystawne nieszpory z muzyką i śpiewem i trwały aż do dziewiątej. Wyznam, że jakkolwiek dyrektor śpiewu ks. Noethen, proboszcz niemiecki, (u którego mieszkałem) używa najwięcej kompozycyi Humla, Hejdna i Mozarta, wszakże liczne *sola* niestosowne są w kościele, i w końcu nużą pomimo najczystszych głosów i najlepszego wykonania. Ale to choroba powszechna, w samejże Europie, i Rzymie nawet; o reformę w muzyce kościelnej wiele się głosów już upomina, ale zapewne w spokojniejszych dopiero czasach da się ona przeprowadzić.

Konsekracya w Albany odbyła się 15go października. Nazajutrz rano puściłem się w drogę ku Nowemu-Yorkowi statkiem parowym po *Hudsons river* tym niby Renie amerykańskim. Prawda że łożysko rzeki głęboko i pięknie oprawne, prawda że wzgórza skaliste laskami, domkami i miasteczkami pokryte, piękne przedstawiają krajobrazy, ale jednej głównej rzeczy brak tutejszemu Renowi, co i całym Stanom Zjednoczonym : przeszłości, dziejów, podań i wspomnień. Tępiąc Indyan tradycyj ich nawet nie zachowali.

Wysiadłem w pół drogi w Poughkeepsie miasteczku, dla odwiedzenia jednej rodziny, ktorą poznałem w Montreal, i u pana Kierzkowskiego na wsi. Pan jest właścicielem wielkich kopalni rudy żelaznej. Oglądałem ogromny jego zakład i byłem obecny przelewaniu w bryły oczyszczonej już rudy. Niespodziewałem się wszakże znaleźć w tém miasteczku coś tak potwornie zajmującego jak rzeczywiście znalazłem. Pewien bogaty a bezdzietny anabaptysta, pan Wasar, wybudował dom na wzór Tuilleries, jedno że z cegły czerwonej, a o pięciu piętrach. Mury same kosztowały go 400,000 dolarów, a jeszcze przedsiębierca zbankrutował ze szczętem z powodu drożyzny robotnika w czasie wojny. Pan Wasar nasz filantrop nie chciał mieć najmniejszego względu na tę zmianę i nieprzewidziane okoliczności, i nie miał litości nad ojcem rodziny, bez winy własnej sprowadzonym do torby. Pan Wasar nie pomyślał, że w mieście nie ma szpitala, nie ma zakładu dla sierot, natomiast założył formalny uniwersytet żeński, gdzie panny biorą stopnie. Jest laboratoryum chemiczne, jest już bogaty nawet gabinet mineralogiczny. Siłą rzeczy musi stanąć obserwatoryum astronomiczne. W sali obrazów i rysunków pan Wasar kazał siebie wymalować, *en pied*, w zielonym paletocie, wskazując palcem na swoje Tuilleries, z wyrazem doskonałego zadowolenia ze samego siebie, który to wyraz widzieliśmy i na oryginale, podczas gdy nas oprowadzał po swojém arcydziele, którém się unieśmiertelnił. Wybudował on nadto kościół

Wasars Church, jaka szkoda, że nie może jeszcze wasarskiego raju sobie założyć! Wróćmy do zakładu. Trzy pokoiki sypialne z salonikiem obok do uczenia się, stanowią częściowe koszary tych panien zostawionych bez dozoru po za audytoryum. Kaplicy też nie ma, bo tu są wszelkie możebne wyznania; jest jedna ogromna sala, gdzie profesorowie dają czasami niby religijne *lectures*, zapewne w duchu anabaptystowskim. Zresztą panny jeżdżą po religią (każda po swoję) omnibusem *Wasars College* do miasta. Sądziłem, że przynajmniej ten dziwny zakład dobroczynny jest dla biednych panienek, które darmo mogą się kształcić na uczeńsze jeszcze guwernantki niż w Prusiech, tymczasem bynajmniej, każda z tych panien za samo utrzymanie płaci 350 dolarów rocznie. Nadto za muzykę 50, za obce języki 50 za konną jazdę, *bilard*, gimnastykę, i *athletical exercises* 60. Więc to wyniesie 500 dolarów rocznie. Myśli teraz o zaprowadzeniu kursu fizyologii i tańców (bo dotychczas nie przyszło mu to było do myśli); wypadnie zapewne dodać znowu 50 dolarów, bo nie wiem czy taniec policzy się do atletycznych ćwiczeń i bilardu. Wielką miałem ochotę spytać się, czy panny biją się na pałasze, czy strzelają do celu. Już i bez tego Amerykanki karcą niewiernych zalotników rewolwerem, więc to dopełnienie byłoby niezbędném do takiego wychowania.

Ponieważ jest już 375 panien (to jest tyle ile ten gmach pomieścić może)ze wszystkich Stanów amerykańskich, a nawet z wysp Sandwich, a każda płaci 500 dolarów, to stanowi dochód blisko 200,000 dolarów brutto. Dochód czysty przeznaczył fundator na polepszanie wciąż zakładu, muzeów, gabinetów etc. Zapomniałem dodać, bo to jakoby zbyteczne, że czystość i elegancya w domu wielka, że jest własna fabryka gazu do oświetlania, że pokoje i kórytarze ogrzane wodą, i gorąco jak w cieplarni, że machina parowa pierze i magluje bieliznę, że się buduje gmach osobny do ćwiczeń gimirastycznych i atletycznych, który zapewne także będzie służył za ujeżdżalnię szczególniej też podczas zimy, i zapewne także będzie ogrzany i t.d. Pytałem gospodyni i przewodniczki mojej, katolickiej Kanadyjki, która wiele po Europie podróżowała, do jakiej kategoryi rodzin mogą należeć te *young ladies*, które widzieliśmy właśnie wracające z prelekcyj? Odpowiedziała, że zdaniem jej do kategoryi bogatych *farmerów* i zbogaconych nagle kupców. Istotnie panny te dość atletycznie wyglądające, nie miały całkiem ułożenia. Widać tedy że ci rodzice, którzy mogą łożyć na wychowanie, bo zwykle ograniczają się do jednego, najwięcej do dwojga dzieci, chcą się unieśmiertelnić wychowując sobie dziwolągi w Wasars College. Bo Amerykanie jak Rossyanie chcą się gwałtem czémś od innych odróżnić, i mieć coś czego inni nie mają, i być tak jak inni nie są.

Zadowolniony szczerze byłem, żem się zatrzymał w *Pokiepsiu* i że po wodospadzie niagarskim, jeszczem coś nowego znalazł. Ale odkła-

dając część śmieszną na stronę, gotuje się rzecz bardzo seryo, jeżeli takie wychowanie kobiét się upowszechni, i nie ulegnie pod ciężarem śmieszności, a sądzę, że nie; bo Ameryka to nie Francya. Oto, że kobiéty tak wychowane domagać się będą urzędów, profesur, ubiegać się zaczną o krzesła poselskie; a na mityngach potrafią i perorować, i rewolwerem, i pięścią, a nawet *atletycznie* władać. Słowem wszystkie marzenia o emancypacyi i zrównaniu niewiasty w prawach może wejść w praktykę, i Amerykanie zamiast dzielić się na stronnictwa republikanów i demokratów, mogą się podzielić na stronnictwa mężczyzn i niewiast. Daleka odemnie myśl i chęć trzymania niewiasty w niewiadomości, ale kobiéta najwyżej wykształcona powinna zawsze zostać kobiétą, inaczej będzie koniecznie dziwolągiem albo potworem.

Nazajutrz wyjechałem, zaproszony z powrotem i stanąłem 17go wieczorem już o zmroku w Babilonie amerykańskim. Zawsze mam serce ściśnięte ile razy wjeżdżam do miast wielkich, tych stolic prawdziwych wielkiego zbytku i wielkiej nędzy, wielkiej pychy i wielkiej rozpusty. Odetchnąłem prawdziwie, kiedym wpadł za fórtę kochanych OO. Redemptorystów.

Pilno mi już tutaj dodać, że nie znalazłem powszechnie Amerykanów tak grubiańskimi, jak mi powiadano. Zdarzy się zapewne od czasu do czasu egzemplarz wierny Jankesa, który zapytany raz, i drugi i trzeci słowa nie odpowie; ale to wyjątki, ogólnie mniej uprzejmie jak w Europie, jednak odpowiadają i czasem nawet bliźniemu małą usługę darmo wyświadczą. Powiadają mi, że podróże Amerykanów po Europie, przykład Europejczyków przybywających do Ameryki, grzeczniejszymi nieco tutejszych republikanów czyni — być to może; to pewna, że młodzież wychowana przez Braci szkolnych i Siostry europejskie, staje się coraz bardziej uprzejmą, a z tego powodu wielu rodziców protestanckieh oddaje dzieci swoje do zakładów katolickich. Pewna kompania kapitalistów ofiarowała OO. Jezuitom w Fordham pod New-York wybudować wspaniałe kollegium i oddawać doń dzieci swoje, byle OO. religii katolickiej w niém nie uczyli. Naturalnie, że propozycyi nie przyjęli, ale pytali dla czego do nich choć innowierców się udają? Odpowiedzieli: «bo młodzi ludzie wychodzący od was są *gentlemeni*, a nasi *but ruffians* (grubianie, parobki)». Inni znowu powierzali swoje dzieci katolikom mówiąc: «wolemy by byli katolikami niż by żadnej religii nie mieli.» Takich rodziców wstrzymuje wzgląd ludzki, lenistwo i t. p., że sami nie przechodzą na naszą wiarę, ale radzi są że dzieci ich to czynią, a nieraz w końcu za dziećmi i sami też podążają. Ogólnie protestantyzm jak wszędzie tak i tu bardzo nizko upadł. Do tego przyszło, że protestanci księżom naszym proponowali, aby na spółkę z nimi pracowali, obiecując im wielkie korzyści materyalne. Czytałem w tych dniach kilka artykułów protestanckich przyznających

fakt wzrostu i postępu katolicyzmu w Stanach Zjednoczonych, choć niewszystkie przyczyny są zarówno prawdziwe: nie chcą bowiem ostatecznie wyznać głównej, to że katolicyzm jeden jest prawdą, jest Boskim. Dają zaś następne powody: 1° podpalanie kościołów katolickich przez fanatyków. Otóż tyle wskórali, mówią, że katolicy na miejsce jednego spalonego stawiają dziesięć i sto nowych, 2° piękność służby Bożej, muzyki i śpiewu, choć przyznają, że i presbyteryanie pozaprowadzali organy do kościołów, a jednak dla tego prozelytów nie czynią, pomimo że dzwony ich nadto piękne aryjki wygrywają, tak zwane, *carillons*. 3° Ponieważ księża katoliccy opowiadają tylko Chrystusa i Chrystusa ukrzyżowanego, a ministrowie wiernych swoich tylko polityką karmią. Owoż nikt do kościoła nie chodzi, by słuchać powtórzenia artykułów, które już po dziennikach czytał. Ten powód jest prawdziwy, ale jest tylko następstwem prawdziwości katolicyzmu. To pewna, że Kościół katolicki zajął tu już poważne i znaczące stanowisko; dodam, iż w nim leży tajemnica przyszłości Stanów Zjednoczonych, bo on jest jedyną siłą moralną zorganizowaną, wobec organizacyi towarzystw tajnych.

Będąc w stolicy handlowej Stanów Zjednoczonych, a nie mogąc całego kraju widzieć, postanowiłem użyć połowy pozostającego mi czasu, aby zwiedzić stolicę polityczną Washington, i metropolię katolicyzmu Baltimore. Zapewniwszy zatém sobie miejsce na statku do Brazylii, puściłem się przez Filadelfją do Baltimore, ile że dowiedziałem się, iż w niedzielę 22 t.m. miał być błogosławiony kamień węgielny naszego kościoła, czwartego już niemiecko-katolickiego dla OO. Redemptorystów w Baltimore.

Baltimore jest stolicą Marylandu, kolonii katolickiej, założonej roku 1634 przez Leonarda Calvert, brata lorda Baltimore; miasto pięknie położone na wzgórzu nad rzeką Patapseo, liczy 200,000 ludności w połowie katolickiej, to też tu się oddycha powietrzem nieporównanie bardziej chrześciańskiém niż w Nowym-Yorku. Z pomników publicznych oglądałem kolosalny posąg Washingtona, ale cóż kiedy to powtórzenie kolumny Trajana w Rzymie. Katedra katolicka zajmuje najpiękniejszy plac w mieście, ale stylu dziwnie mięszanego. Fronton grecki, kopuła bizantyńsko-saraceńska, a do tego dwie wieże nakształt minaretów mahometańskich. Trudno w Ameryce znaleźć coś oryginalnego w architekturze. A gdy się widziało Ś. Piotra w Rzymie, Ś. Zofię w Carogrodzie i Tum koloński, to już trudno coś spotkać, coby zajęło i uderzyło. Bardziej mnie zajął ks. arcybiskup Spalding, metropolita Stanów Zjednoczonych, pierwszy Amerykanin wychowany w propagandzie w Rzymie, mąż uczony, pobożny i czynny. Lat temu pięćdziesiąt, była tu jedyna siedziba biskupia na całe Stany Zjednoczone, dziś jest ich przeszło czterdzieści, i 4,000,000 wiernych. JM. ks. Spalding,

godnie zajmuje miejsce metropolity tego wielkiego kraju. A jak każdy człowiek prawdziwie wyższy, przystępny jest i pełen prostoty. Pytał mnie się łaskawie, czybyśmy nie mogli w jego dyecezyi domu naszego założyć? A gdym mu odpowiedział, że na teraz nie widzę podobieństwa, i że zresztą on najbogatszy w zakłady ze wszystkich biskupów w Stanach Zjednoczonych, rzekł: « Niemcy są nieźli co do kościołów i szkół, ale młodzież angielskiego języka, wiele jeszcze potrzebuje. » Rzeczywiście Niemcy są ogólnie najlepiej zaopatrzeni, bo chętnie łożą i mają podostatkiem zdolnych nauczycieli. Gdy nastąpi zbliżenie się i Niemcy zaczną się żenić z Irlandkami i nawzajem, z tych dwóch ludności pomięszanych, powstanie nowa rasa amerykańska, bo dawna coraz bardziej niknie. O! jak Niemiec cokolwiek myślący, powinien nie cierpieć Lutra! Gdyby nie ta nieszczęsna reformacya i wojna trzydziestoletnia, to Niemcy mieliby dziś najpiękniejsze kolonie w świecie, a obecnie kolonizują oni dla innych.

Już mi to Niemiec jeden wracający z Ameryki powiadał, że Niemcy tu pozbywają się swego mazgajstwa, rozlazłości (*Schlendrian*). Widać i powietrze tutejsze suche, lekkie, wpływa na organizm, bo niemczyki tu porodzeni są smuklejsi, zwinniejsi, dowcipniejsi. Konie tu żwawsze od angielskich, mają coś arabskiego.

W niedzielę tedy, miałem spiewaną mszę w kościele Śgo Krzyża, z wystawieniem Najświętszego Sakramentu, na czterdziesto godzinném nabożeństwie. Zbudowany byłem skupieniem ludu i mnóstwem kommunikujących. Po obiedzie zaś byłem na zapowiedzianej processyi. Wszystkie bractwa męzkie szły w processyi z chorągwiami; burmistrz pozwolił na muzykę religijną (*sacred*) na ulicy, choć to było w niedzielę. Dziennik podaje liczbę członków na 3,500, księża mi mówili o 10,000, licząc może tych, co nie szli w rzędzie. Ludność cała miejska stała rzędem po dwóch stronach ulic przez które szła processya. Trzydziestu księży jechało w powozach, a zeszło z półtory godziny, zanimeśmy przybyli na miejsce. Błogosławił kamień węgielny wikary jeneralny, (bo ks. arcybiskup spółcześnie błogosławił drugi dla OO. Jezuitów za miastem) a potém miał przemowę w języku angielskim. Jeden z OO. Redemptorystów miał kazanie w języku niemieckim, w końcu podziękował obecnym katolikom nie Niemcom, po angielsku, i zanucił niemieckie *Te Deum*, « Herr, wir loben dich. » 10,000 ludzi śpiewających zgodnie na tę poważną i pobożną nutę, zakończyło godnie uroczystość, po której była wieczerza dla duchowieństwa.

Miałem jeszcze dzień jeden wolny, i użyłem go na zobaczenie Washingtonu o 40 mil angielskich od Baltimore odległego. Pola już tu staranniej uprawne, co ogólnie uderza, w miarę jak się zbliżałem do Nowego-Yorku; ludność już częstsza, choć w porównaniu do Europy,

zawsze rzadka. W Maryland czuć już powiew wiatrów południowych, czuć przejście z północy do południa. Powiat Columbia w którym leży Washington, (mówi mój bardzo protestancki i liberalny Appleton) jest *sui generis*, ani stanem, ani terrytoryum, użyty *pro bono publico*, na siedzibę Związkowego Rządu. Na ten cel ustąpiony został przez Maryland Stanom Zjednoczonym. Zajmuje powierzchnię sześćdziesięciu mil kwadratowych. Powiatem Columbii, rządzi bezpośrednio kongres Stanów Zjednoczonych, a mieszkańcy jego nie mają reprezentacyi ani głosu w rządzie federalnym. Otóż to zupełnie położenie Stanu Kościelnego, kraju *sui generis*, *pro bono publico* całego Kościoła, urządzonego przez chrześciaństwo, kraju nie mającego parlamentu, rządzonego przez kongres moralny stały, kolegium kardynałów, ale posiadającego nieoceniony przywilej i wszelkie materyalne korzyści, przeto iż jest stolicą i siedzibą głowy Kościoła. A przecież, na takie urządzenie bardzo naturalne w rzeczypospolitej amerykańskiej, bije w Europie całe stronnictwo rewolucyjne, a wiele gazet niby religijnych nawet, wtóruje jemu.

Washington leży nad rzeką Potomak, która rozdzielała przez lat cztery dwa bratobójcze obozy, to też patrzyłem na nurty jej z większém niż zwykle zajęciem, bo ta rzeka ma już przeszłość, jakkolwiek smutną. Zdaleka uderzyła mnie kopuła kapitolu z białego marmuru, jak gmach cały. Kapitol zbudowany na podniesieniu, ma być środkiem miasta nakreślonego na wyrost, dziś do 70,000 ludności liczącego. Z tarasów kapitolu piękny i rozległy widok na okolicę. Miejsce wybrał i pierwszy kamień węgielny tego gmachu położył sam Washington, 18 września 1793 roku. Spalili go w 1814 roku Anglicy, wraz z biblioteką kongresu, mieszkaniem prezydenta, i innemi publicznemi gmachami. W r. 1818, został zupełnie naprawiony, a 4 lipca 1851, prezydent Filmore położył pierwszy kamień dwóch nowych skrzydeł, które budowę tę w dwójnasób rozszerzyły. Ma ona 751 stóp długości, a zajmuje trzy i pół akrów. Przyległe grunta pięknie uprawne, ozdobione wodotryskami i posągami, zajmują dwadzieścia pięć do trzydziestu akrów. Izba posłów i Senat, umieszczone są po bokach centralnego gmachu. Wielka rotunda pod kopułą, ozdobiona jest ośmiu wielkiemi obrazami z historyi amerykańskiej, przez krajowych artystów malowanemi. Wewnątrz i zewnątrz są inne dzieła pędzla i dłuta, mianowicie zewnątrz olbrzymi posąg marmurowy Washingtona przez Grenough, a wewnątrz piękne popiersie naszego Kościuszki. Jakkolwiek kopuła jest naśladowaniem rotundy rzymskiej ś. Piotra, ś. Pawła w Londynie, ś. Genowefy w Paryżu, zawsze pięknie i poważnie wraz z całym gmachem wygląda. Mieszkanie prezydenta, albo *biały dom*, jak go lud nazywa, (*the white House*) ładny ale nie okazały pałac, z kamienia biało malowanego, ozdobiony jest zewnątrz bron-

zowym konnym pasągiem jenerała Jackson, przez p. Clark. Inne gmachy publiczne i ministerya, *the Treasury Departament*, *the General Post Office*, *the Patent Office*, (Spraw Wewnętrznych) i t. d. z kolumnadami swemi greckiemi, albo są podług jednego planu budowane, albo bardzo do siebie podobne. Z tém wszystkiém Washington raz wykończony, w rodzaju swoim może się stać pięknêm i okazałém miastem.

Dodam tu, iż jeden poczciwy proboszcz, ofiarował zgromadzeniu rozległy grunt przez siebie zakupiony, byleby tu osiąść chciało, ale trudniej o dobrych missyonarzy, niż o grunta. Dodam jeszcze, iż słyszałem, że koło Filadelfii jest także kolonijka polska, to jest dosyć robotników po tamtejszych kopolniach węgla, wszakże nie mogłem zatrzymać się w celu odszukania, dla braku czasu i pieniędzy; wskażę ją wszakże missyonarzom naszym, i gdy Bóg da fundusz dostateczny do zwiedzenia całego rozproszenia polskiego po Ameryce, wtenczas będziemy mogli może zająć się i dwoma koloniami polskiemi w Texas, (już się to udało uskutecznić od jesieni 1868 r.) które zrazu franciszkanie polscy obsługiwali, a dziś nam ofiarują (1). Czytałem też w dziennikach, że p. Smoliński zakupił spory grunt dla pięćdziesięciu rodzin polskich, na pograniczu Luisiany i Texas; tak już trzy kolonie polskie byłyby koło siebie, (bacząc zawsze na odległości amerykańskie).

Wypada mi na zakończenie tego listu, powiedzieć coś o Nowym-Yorku. Miasto to założone było już 1612 r. przez Holendrów. Poznałem p. Zborowskiego, potomka jednego z osadników tej epoki. Jakkolwiek protestant, wiele zawsze świadczył naszym wygnańcom; niestety, najczęściej źle się nasi spisywali. Wiem to z boku, bo sam p. Zborowski zanadto *gentleman*, by się skarżył. Owszem, po uprzejmości jaką mi okazał widzę, że ostatecznie zrażonym do Polaków nie jest, i świadczy znowu przybyłym z ostatniego powstania. Wracam do Nowego-Yorku. Wybornie położone pomiędzy Hudson a Est River, z portem wygodnie przystępnym a tak obszernym, iżby w nim wszystkie floty świata łatwo się mogły pomieścić, to miasto położeniem samém tłumaczy swą pomyślność handlową. Wszakże dopiero od lat pięćdziesięciu a raczej trzydziestu tak nagle się rozrosło, że liczy już przeszło milion ludności, której prawie jedna trzecia jest katolików religijnie, a językowo, przeszło jedna trzecia Niemców. Zauważałem raz w omnibusie, że okrom mnie byli sami Niemcy i dwóch żydów. Jest tu ze dwadzieścia świątyń dla protestanckich Niemców, kilkanaście synagog, pięć czy sześć kościołów dla katolików niemieckich. Drugie tyle kościołów by potrzeba,

(1) Umarł niedawno w Syrakuzie zacny O. Rozsadowski, po raz drugi misyonarz w Stanach-Zjednoczonych, a po środku mistrz nowicyuszów w wielkim klasztorze w Assyżu. Był on jednym z tych zacnych kapłanów polskich, którzy naprawiali złe mniemanie wywołane zgorszeniami niektórych duchownych włóczęgów.

a księży i trzy i cztery razy więcej. Dziesięciu księży Redemptorystów pracuje tu od rana do wieczora bez wytchnienia, a zaręczają że na dwódziestu umierających, dziewiętnastu jest takich, którzy do kościoła nie chodzili dla odległości, tłoku i braku ławek. W szkole elementarnej księży Redemptorystów, jest 1,800 dzieci!

Co do Polaków naszych, nie wiem ilu ich tu być może; wiem że już dosyć z ostatniego powstania przybyło, sądzę że będzie zawsze do tysiąca. Powiedział mi braciszek domowy Górno-Szlązak rodem, iż raz gdy przejeżdżający kapłan polski zapowiedział kazanie, zebrało się ich stu pięćdziesięciu. Żyjąc z dnia na dzień w oczekiwaniu, nie zdobyli się na własną kaplicę, choćby byli znaleźli ku temu pomoc, doświadczając w rozmaitych epokach żywej sympatyi ze strony Amerykanów. Gorzej jeszcze rzecz stoi z Czechami, których tu ma być do ośmiu tysięcy, emigrantów niepolitycznych, jedno dla chleba przybyłych, a którzy jednak nie pomyśleli o założeniu religijnej osobnej parafii czeskiej. Ks. Urban Redemptorysta, Morawianin rodem, zdolny też wyspowiadać Polaków w razie potrzeby, powiedział mi, że częściej jeszcze doń zabłąka się Polak niż Czech. O! biedne to plemię słowiańskie, jak mało w niém kleju i ducha organizacyi. Oderwani od rodzinnej ziemi, wyradzają się, a religijnie zaniedbują, jak Kanadyjczycy. Ale czas o mieście samém coś powiedzieć.

Obejrzałem co mi mieszkańcy sami jako najciekawsze zachwalali. Najprzód *Central park*, wielki ogród publiczny, zajmujący 843 akrów, rozciągający się na dwie i pół mile wzdłuż, a na pół mili w szerz. Miliony kosztował grunt, miliony kosztowały ozdoby, sztuczne jeziora, mosty, chodniki, domki. Galerya rzeźby, zakład ptaków i zwierząt żywych i wypchanych, wszystko jeszcze w dzieciństwie. Widziałem tu wystawne powozy bogaczów i pałace ich w piątej Avenue. Widziałem *Union Square* z posągiem konnym Washingtona, przypominającym do żywego posąg Marka Aureliusza w Rzymie. Zwiedziłem *Trinity Church*, najpiękniejszą świątynię zdaniem wszystkich episkopalnych Anglikanów. Schodziłem wielką ulicę handlową Brodney, obejrzałem miasto we wszystkich kierunkach, wszedłem na wysoką wieżę kościoła Najświętszego Zbawiciela, przy którym mieszkam, przyglądałem się temu niezmierzonemu okiem lasowi domów, ulicom długim, szerokim, prostym, przecinającym się regularnie pod kątem prostym, wystającym nad domy wieżom kościołów i kominom fabryk, i przysłuchiwałem się głuchemu szmerowi miasta, jakoby brzęczeniu pszczół w potwornej wielkości ulu. Przyglądałem się portowi, który dokładniej jeszcze z okrętu mego zobaczę, ale już wtenczas list mój będzie na poczcie, może w drodze ku Europie. Ponieważ sam nie najprostszą drogą wracam, i zaledwie za dwa miesiące możecie otrzymać odemnie następującą wiadomość, przeto chcę sam list mój oddać na pocztę,

i przeto go zamykam, siebie i Was miłosierdziu Bożemu polecając.

P. S. Muszę jeszcze dodać, że trudno opisać serdeczną gościnność, z jaką tu przez wszystkich członków Zgromadzenia byłem podejmowany. Bóg im zapłać! Widok takiej cnoty obok nieustannéj i natężonej pracy, buduje, rozrzewnia, trzyma w pokorze. O! daj nam Boże co najrychlej, jak najwięcej takich kapłanów!

(*Dalsze listy w następnym Roczniku*).

SPISEK GORZKOWSKIEGO.

1796 r.

Jeżeli słusznie zauważano, że do poznania dawnych dziejów naszych, nie wystarczają akta publiczne, że z samej natury społeczeństwa, w którém żadnej nie było centralizacyi, a niezmiernie rozwinięte i wybujałe często indywidualności, klucza do wielu znacznych nawet wypadków, w prywatnych listach, pamiętnikach, w życiu i uczuciach pojedyńczych ludzi szukać potrzeba, i według słów Szajnochy, tylko po skrzętném rozpatrzeniu się w archiwach domowych, odsłonią się nam tysiące widoków na przeszłość i stanie się zrozumiałém nie jedno co dzisiaj jest zagadką i złudzeniem, to tém bardziej taż sama uwaga do czasów poźniejszych da się zastosować, kiedy władza centralna w narodzie coraz bardziej słabła, a rosło to co słusznie nazwano anarchią. W ostatnich czasach Rzeczypospolitej nabiera to nowej jeszcze wagi. Upadek polityczny Polski nastąpił w chwili wewnętrznego przeobrażania się narodu; trudno znaleźć bardziej tragiczną epokę w historyi; łamało się wszystko : pojęcia, wiara, obowiązki, i kiedy kamień grobowy przywalił państwo, w wielu duszach zachwiany był także i rozsypywał się w gruzy gmach narodowych tradycyj. Działania odtąd nasze może więcej w uczuciu ogólném zgodne, bo już tylko wyswobodzenie ojczyzny musiały mieć na celu, rozpraszają się coraz bardziej; wybór dróg i środków staje się zależnym już nie tylko od charakteru indywidualnego człowieka, ale i od tych rozlicznych prądów wyobrażeń na które zostaliśmy wystawieni, od tych rozmaitych, często obcych, nieraz mętnych i zatrutych nawet źródeł, z których nowe zdroje życia zaczerpnąć spodziewaliśmy się. Sam charakter narodowy ulega zmianie, i na obliczach nowych działaczy politycznych dają się postrzegać nieraz rysy obce całej przeszłości naszej. Od chwili rozbioru aż do dni dzisiejszych, ileż w tym kierunku ubiegliśmy drogi?

A jeszcze wzgląd jeden. Póki państwo polskie istniało, działanie publiczne, jakkolwiek rozproszone i na indywidualne często usiłowania

rozbite, było przynajmniej jawne. Od chwili rozbioru, często okrywać się ono jeszcze musiało tajemnicą. Karty tych dziejów, w znacznej części, według słów poety, jak księga herkulańska pod ziemią spróchniały; odczytać je dla tego jeszcze z większą przyjdzie zapewne trudnością, niż niezliczone akta, o których mówi Szajnocha. Gdy jednak odczytać je koniecznie potrzeba, bo inaczej nie będzie znajomości, a bez niej nie będzie historyi i nauki jaką ona daje na przyszłość, nie sądzę aby jakimkolwiek, choć najdrobniejszym faktem pogardzać godziło się; owszem, każden z nich zapisać, każdemu i najmniejszemu z miłością ale trzeźwo przypatrzyć się należy. Poznanie wszystkich da dopiéro dla tych czasów to rozwiązanie zagadek, o którém mówi dziejopis, i ułatwi ocenienie tego co pozostanie prawdziwym na przyszłość pokarmem, a co będąc zatrute wewnątrz, łudziło tylko pozornie, i w prawdziwą chorobę wyrodzić się mogło.

Jednym z takich drobnych faktów, jest spisek Gorzkowskiego w 1796 r. tém bardziej wart zastanowienia, że był pierwszą, jeżeli się nie mylimy, próbą z polskiego źródła pochodzącą, podburzenia ludu przeciw szlachcie, i przekucia jak mówi poeta, kajdan naszych w noże zamiast szabli. Odtąd niestety nić ta krwawa przewija się nieraz w porozbiorowych dziejach naszych, a chociaż dzisiaj, z dokonaném już usamowolnieniem i uwłaszczeniem nawet rolniczego ludu, straciła zdaje się wszelką, pozorną nawet racyę bytu, jeszcze namiętności które ją wywołały, idee które były jej matką, nie zniknęły całkiem; przygasłe zarzewie w niejednej duszy zostało.

Wspominały o tym fakcie pisma emigracyjne w 1839 roku, zajęte wtenczas kwestyą uwłaszczenia włościan, rozmaicie nań zapatrując się, stosownie do własnego w tym względzie stanowiska; znajdujemy też o nim wzmiankę w *Pamiętniku anegdotycznym z czasów Stanisława Augusta*, nie dawno wydanym przez J. I. Kraszewskiego. Szczegóły w obu źródłach są prawie zupełnie zgodne, te które pisma na wychodztwie ogłosiły, spisał przyjaciel Gorzkowskiego, Aloizy Orchowski, gorliwy w swym czasie patryota, wzięty w Warszawie adwokat i autor kilku dzieł historycznej i naukowej treści. Możemy je więc za zupełnie prawdziwe uważać (1). Opowiadając zaś sam fakt, postaramy się także przypatrzyć i twórcy tego pomysłu, bez czego jużbyśmy go zupełnie zrozumieć i wytłumaczyć sobie nie mogli.

Gorzkowski należał do tej średniej szlachty polskiej, która od wieków najwierniej przechowywała tradycyę i obyczaj narodowy. Urodził się w ziemi Warmińskiej, pieczętował się herbem *Tarnawa*. Trudnoby sobie wytłumaczyć, zkąd w duszy wykarmionej polskiém mlekiem,

(1) *Przegląd dziejów polskich* wydawany w Poitiers, 1839 r. który tę wiadomość umieścił, równie jak *Kronika emigracyi polskiej*, nie wymieniają nazwiska Orchowskiego. P. Bohdan Zaleski udzielił nam własnoręcznego rękopismu autora, na którym podpis jego znaleźliśmy.

mogła powstać myśl tak potworna, tak całej przeszłości naszej obca, ale wiadomość o młodości Gorzkowskiego, zdaje się rozwiązywać tę zagadkę. Spędził on ją po za granicami ojczyzny, i właśnie tam, gdzie wszystkie nowe wyrabiały się wówczas idee. Budzący się do życia naród, zaczynał przezierać potrzebę światła; szkoły w kraju były jeszcze w złym stanie. Komissya edukacyjna zaledwo się utworzyła, żywsze i bystrzejsze umysły biegły szukać nauki za granicą, a wracały często ztamtąd zupełnie wynarodowione. Wpływ Francyi był wtenczas w całej Europie wszechwładny, duch jej przez wszystkie że tak rzekę pory wsiąkał w szlachtę; rozbrat między nią a ludem wiejskim stawał się coraz wyraźniejszy, jaskrawszy. Od czasu założonej przez króla Stanisława szkoły w Lotaryngii, coraz częściej posyłano tam młodzież na nauki, od głośnych pisarzy francuzkich żądano później rad, a nawet konstytucyi dla Polski. Gorzkowski bystrym umysłem od natury obdarzony, idąc za prądem ogólnym, chciał także do Paryża się dostać. Rodzice dostatecznych na to nie posiadali środków; otrzymał je młodzieniec od Massalskiego, wówczas wileńskiego biskupa i przybywszy do stolicy Francyi, oddał się z zapałem matematyce i naukom przyrodzonym. Wiadomo, że był tam w 1778 r., kiedy Kościuszko do Ameryki odpływał. Chciał mu zrazu towarzyszyć, bo wszystkie gorętsze umysły porywała wtenczas walka o niepodległość, na drugiej świata półkuli podjęta. Obecny w tę porę w Paryżu Massalski, wstrzymał go od tego kroku, dla bardzo młodych jeszcze lat jego i przekładając mu przytém, że wykształciwszy się specyalnie, użytecznym będzie w kraju, który właśnie po pierwszym rozbiorze dźwigać się wewnątrz i organizować zaczynał. Mając przyrzeczoną jego opiekę, Gorzkowski w Paryżu pozostał. Wróciwszy, miał sobie poruczony przez biskupa pomiar obszernych dóbr jego na Litwie. Nie wiemy jak z tego się wywiązał, wnosić jednak można że dobrze, bo i później do podobnych robót był używany; nie trudno zaś domyślić się, że ten długi pobyt w Paryżu, stanowczo na jego wyobrażenia wpłynąć musiał. Dojrzewały tam właśnie idee, które po niewielu latach istniejący porządek wywrócić miały. Wszystko co dotąd szanowano i uznawano za święte, poddane było ostrej i namiętnej krytyce, uprzywilejowane w przeszłości klasy stawszy się przedmiotem nienawiści, przeznaczone były ustąpić prędko miejsca stanowi średniemu, a nowi ludzie, powoławszy do życia politycznego massy całe, mieli zabrać się do przebudowania wszystkiego według własnych teoryj, które śmiałością i samym czarem nowości ujmowały i roznamiętniały umysły. Gorzkowski wracając ztamtąd musiał w duszy swojej zupełnie nowe a obce przynieść *criterium* do ocenienia stosunków krajowych.

Nie wiemy zupełnie jak się zachował, gdzie był nawet podczas czteroletniego sejmu; jak jednak Konstytucya 3° Maja ocenianą była przez

wielu ludzi w Paryżu, na to prócz innych mamy niezbite dowody w książce p. Méhée, która tam w 1792 roku musiała mieć wziętość, bo się w przeciągu kilku miesięcy, dwóch doczekała wydań. Autor jej, kilka lat piérwej spędziwszy w Polsce, czas niejaki później w Rossyi, olśniony rewolucyą 1789 roku, pośpieszył do ojczyzny, a w przejeździe przez Warszawę, nie zdoławszy tam utrzymać się przy wydawnictwie dziennika francuzkiego, skoro wrócił do Paryża, napisał *Historyą rewolucyi polskiej* 1791 r. (1). Po swojemu, według z góry przyjętych zasad wszechwładztwa ludu i zupełnej wszystkich równości, oceniając ustawę 3 Maja, uważa ją za dzieło despotyzmu; twórców jej nazywa Katylinami, króla tyranem, który podstępnie naród z wolności jego wyzuł. Twierdzi, że i udzielone miastom prawa, obrachowane były tylko na pozbawienie ich najdzielniejszych obywateli, tworząc z nich szlachtę, dla tém łatwiejszego utrzymania mass całych w zależności i poddaństwie. Porównywając dwa systemata, jeden zniesienia szlachty, a drugi podniesienia wszystkich obywateli kraju do szlachectwa, oświadcza się stanowczo za pierwszym, bo pełen jest najżywszej do wyższych klas niechęci. Zniesienie szlachty, powiada, jest wynikiem czystej filozofii, rozszerzenie przywileju do wszystkich, cofaniem się wstecz, do dawnego barbarzyństwa (2). Nieprzyjaciel naszego społecznego ustroju, w dosadnych kolorach maluje polskie społeczeństwo; magnaci powiada mają tylko pychę, motłoch szlachecki podłą uniżoność, mieszczaństwo krajowi obce, opuści go przy pierwszej klęsce, a włościanie tak są nieszczęśliwi, że on wydziwić się nie może dla czego spotykając swych panów, witają ich słowami : *niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*, bo jużciż nie mają za co dziękować Panu Bogu. Polska według niego musi upaść, jeżeli do bytu politycznego nie powoła włościan, którzy ogólnego kataklizmu muszą pragnąć, bo w nim niczego prócz nędzy dzisiejszej stracić nie mogą. Zachęca nas, abyśmy brali przykład z Francyi, i *mniemaną* rewolucyę 1791 roku, zamienili na rewolucyę *prawdziwą*, na nowych zasadach francuzkich opartą.

Musimy przyznać, że w malowaniu naszych wad narodowych, odjąwszy temu obrazowi przesadzoną jaskrawość farb, jest niemało prawdy; lud w rzeczy samej był uciśniony, a Konstytucya 3° Maja, pierwszy zaledwo krok na drodze usamowolnienia go uczyniła, opiekę prawa do niego rozciągając. Niecierpliwym, chcącym od razu całą społeczność przetwarzać, nie znającym głęboko ducha narodu i jego instytucyj, mogło to wszystko okazywać się niedostatecznem, a dowodzenia fran-

(1) Pierwsze wydanie tej książki nosi tytuł : *Histoire de la prétendue révolution de Pologne, avec un exameu de sa nouvelle constitution*, par M. Méhée. Drugie : *Histoire de la révolution de Pologne en 1791, avec un examen de la nouvelle constitution détruite par Catherine II*. Oba drukowane w Paryżu 1792 r. in-8, str. 363.

(2) « Une marche rétrograde vers la crasse de l'ancienne barbarie. »

cuzkiego pisarza wydawać się prawdą. Idee podobne musiały wtenczas wiele zaprzątać umysłów i tém łatwiejszy znajdować do nich przystęp, że już je oświecał blask rewolucyi francuzkiej, płonącej wtenczas całą mocą.

Upadek Konstytucyi 3° Maja i jego następstwa, niedziw że ze swej strony przyśpieszały wyrobienie się tych pojęć. Twórcy nowej Ustawy nie przygotowali dostatecznej kraju obrony; Król pruski zdradził, rachuby na reprezentantach dawnego rzeczy porządku oparte, zawiodły; przywódzcy stronnictwa opierającego się reformie w imię dawniejszych wyobrażeń szlacheckich, tworząc Konfederacyę Targowicką, i stając się narzędziem nieprzyjaciela, ściągnęli na siebie oburzenie wszystkich serc szlachetnych. Boleść zalewała dusze; gwałty zwyciężców, nowe rozćwiertowanie Ojczyzny, utrata niepodległości rozżarzały uczucia; w dotychczasowych przywódzcach stronnictwa patryotycznego nie było dosyć spokoju i pokory aby uznać, ile ich własnej było winy w takiém pokierowaniu wypadków. Francya, z szeroko rozwiniętym sztandarem nowych idei, opromieniona urokiem zwycięztwa, stała przed oczami zbolałych, zwyciężonych, odartych ze wszystkiego, kusząc ich swoim przykładem. Dolatywały ztamtąd myśli utworzenia społeczności zupełnie nowej, według zasad czystej filozofii; użycie najgwałtowniejszych środków dla osiągnięcia tego celu, było w opinii ogólnej dozwolone; przyłożoną była siekiera do dawnych podstaw społecznych, a na miejscu oczyszczoném przez topór, powołane do życia politycznego massy, miały wznieść nową budowę szczęśliwości ogólnej. Ogłaszano braterstwo wszystkich ludów, walkę przeciw tyranom, przyrzekano pomoc wszystkim uciśnionym i cierpiącym niewolę.

W Polsce, król Który sam istotnie do bohatérstwa podnieść się nie umiał, stał się ze swojém stronnictwem kozłem ofiarnym, przyczyną całej niedoli; wielu, w ówczesnej Francyi wzór dla nas uznawało, a nie zdając sobie sprawy z różnicy ducha, przeszłości i nawet położenia obu narodów, zaczęło wierzyć, że tylko idąc za jej przykładem, możnaby znaleźć dzwignię, zdolną natchnąć mocą potrzebną, przyszłe usiłowania narodu.

Wpływ ten Zachodu nie da się dzisiaj zaprzeczyć; świadectwa ówczesne wielu na to dostarczają faktów. Znajdujemy je w pamiętnikach Kilińskiego (1); *Pamiętnik anegdotyczny* wspomina o znanym powszechnie waryacie, *Baranim Kożuszku*, który przed pałacem Igelstroma, z małą gilotynką usadowiwszy się, ścinał głowy osóbkom przedstawia-

(1) Urywek z nich ogłoszony w *Roczniku Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu* z r. 1867, str. 253. Pisane przez Kilińskiego w późnym wieku, kiedy mu pamięć zapewne osłabła, zawierają wiele co do szczegółów niedokładności, niemniej jednak o ogólnym stanie stolicy i ówczesnych uczuciach świadczą wymownie.

jącym ludzi zohydzonych wtenczas w narodzie. Autor pamiętnika bardzo Kołłątajowi niechętny, jemu ten pomysł przypisuje, równie jak podburzenie ludu warszawskiego w dniach 9 maja i 28 czerwca. Cokolwiek bądź historya o udziale Podkanclerzego w tych smutnych wypadkach i o całém zachowaniu się jego wyrzecze, niezawodną już zdaje się być rzeczą, że on do najgorętszych zwolenników ówczesnych rewolucyjnych pojęć należał, a miał całe za sobą stronnictwo. Że zaś w najszlachetniejszych sercach budziły się wtenczas myśli pozbycia się szlachty, na to dowód dostarczają nam pamiętniki Michała Ogińskiego (1), któremu waleczny Jasiński nieraz mawiał, że Polski zbawić nie można, nie wytępiwszy szlachty. Było to pod koniec walki, na niewiele dni przed bohatérską śmiercią jenerała. Wszystko to jednak do wnętrza narodu przeniknąć jeszcze nie mogło; bądź co bądź, ograniczało się wtenczas do indywiduów nazywanych nawet *duchami francuzkiemi*, do niektórych dusz bardziej palnych, znajdowało stronników w ludności miejskiej, ale dla ogromnej i pomiędzy nią większości pozostało obcém. Probowano wprawdzie zakładać w Warszawie nawet kluby na wzór klubu Jakóbinów w Paryżu, ale te do żadnego znaczenia przyjść nie mogły. Kościuszko nadto był narodowym człowiekiem, aby na te drogi miał prowadzić; włożył on sukmanę na znak wielkiej do ludu miłości, ale nazbyt ten lud rolniczy kochał, aby przywdzianą jego szatę, miał splamić chociażby kroplą krwi bratniej, po Maciejowicach zaś wszystko się prędko skończyło. Do najgorętszych stronników Kołłątaja, zalicza pamiętnik i naszego Gorzkowskiego, czemu chętnie wierzymy, pamiętając na jego wychowanie paryzkie, i późniejsze życia koleje.

Jakiekolwiek w tej porze były jego wyobrażenia, z czasu powstania Kościuszki, mamy o nim najlepsze świadectwa. Według słów zacnego Orchowskiego, miał on czynny udział w wypędzeniu Moskali i Igelstroma z Warszawy; widziano go walczącego na ulicach z narażeniem życia w nocy 17 kwietnia 1794 roku i nazajutrz; kiedy zaś przyszło do sypania szańców około stolicy, przyniósł on tam i swoję znajomość miernictwa, i dwoje rąk w dodatku, pracując gorliwie z rydlem jak inni; wieczorem widywano go znowu na naradach patryotów. Po wypowiedzeniu wojny Prusom, Gorzkowski nadbiegłemu do obrony stolicy Kościuszce, podał plan wywołania ruchu powstańczego w Warmii, Toruniu i Gdańsku, dla odciągnięcia sił nieprzyjacielskich i zrobienia dywersyi. Naczelnik plan ten potwierdził, i wykonanie go nawet polecił Gorzkowskiemu. Trzeba było z Warszawy oblężonej wtenczas, przedrzeć się do Warmii, przez wojska moskiewskie i pruskie. Gorzkowski znający doskonale język niemiecki, małoletniego syna swojego udaje za syna znanego powszechnie kupca warszawskiego rodem ze Szlązka,

(1) Mémoires de Michel Ogiński, Paris, 1826 T. II. str. 67 i 68.

a sam jako jego nauczyciel, pod imieniem Bittermana, uzyskawszy w magistracie pasport, z tém dzieckiem wśród dnia białego obóz nieprzyjacielski przejeżdża, i niepoznany, dostaje się szczęśliwie do Warmii, gdzie stosunki rodzinne ułatwić mu zapewne musiały wykonanie planu. Przygotowania, dzięki jego niezmordowanej czynności postępowały szybko, zbliżające się oddziały regularnego wojska pod wodzą Henryka Dąbrowskiego i Madalińskiego dodawały ochoty; we wrześniu Dąbrowski przeszedł Bzurę, i brzegiem Wisły posuwając się, dotarł aż do Bydgoszczy; jeszcze dni kilka, i cała Warmia by powstała. Ale 10 października, bitwa pod Maciejowicami wywróciła wszystkie te nadzieje i plany. Rada Najwyższa wezwała Dąbrowskiego, aby najśpieszniej powracał na odsiecz zagrożonej przez Suworowa stolicy. Oddziały nasze w skutek tego musiały zwrócić się nazad, i dzięki przytomności i zdolnościom wodzów, którym niemieccy nawet pisarze oddają sprawiedliwość, wymknąwszy się szczęśliwie z pomiędzy pięciu nieprzyjacielskich korpusów, dnia 23 października przeszły Bzurę napowrót. Powstanie własnym pozostawione siłom nie rozwinęło się, a wzięcie i rzeź Pragi, kapitulacya Warszawy i złożenie broni przez resztę pozostałego wojska w Radoszycach, dnia 18 listopada, położyło na ten raz koniec walce. Gorzkowski wrócił nazad; co w duszy jego dziać się musiało, wnieść możemy z tego, co wkrótce rozpoczął.

Nastąpił ostatni podział. Z pomiędzy wybitniejszych i bardziej czynnych w powstaniu ludzi, kto tylko nie dostał się do niewoli i więzienia moskiewskiego albo austryackiego, uszedł za granicę, szukać tam ratunku dla Ojczyzny; znowu spodziewano go się jedynie od głośnej Rzeczypospolitej. *Duchy francuzkie* pośpieszyły do Paryża. Wojciech Turski przyjąwszy imię *Sarmaty* przed kratkami Konwencyi miał mowę o Polsce i otrzymał od prezydenta braterskie uściśnienie; rozpoczął się cały szereg zabiegów, usiłowań, długo bez związku, przez każdego prawie na własną rękę prowadzonych; powstały wkrótce deputacye mające reprezentować Polskę przed Rzpltą, utworzona w Krakowie konfederacya upoważniała je do działania; zawiązały się tajne z ujarzmionym krajem stosunki, zrazu na kilka rozdzielone gałęzi, miały wkrótce znaleźć w legionach wspólne, widome ognisko, w którém zespoliły się wszystkie serca, i zkąd na cały obszar rozćwiertowanej Ojczyzny rozbrzmieć miała pieśń: « Jeszcze Polska nie zginęła! »

Gorzkowski pozostał w kraju; czy z powodu spędzonych w Warmii ostatnich tygodni walki, mniej był wobec zaborczych rządów skompromitowany, czy dla braku funduszów dalszej wędrówki przedsięwziąść nie mógł, czy wreszcie już wtenczas miał zamiar na własnej ziemi nowe wywołać usiłowania, dosyć że wkrótce po upadku powstania znajdujemy go w Ciszy, majętności położonej niedaleko Warszawy, w powiecie Liwskim, a należącej jak utrzymuje *Pamiętnik anegdo-*

tyczny, do niejakiego Zaleskiego. Zajmował się tam pomiarem gruntów jak dawniej, po powrocie z Paryża; ale już ta praca była dla niego rzeczą podrzędną. Inne myśli go zaprzątały. To z czém dzielny Jasiński wywnętrzał się przed Ogińskim, dojrzało i w jego duszy; *delenda nobilitas*! powtarzał odtąd już do końca życia. Tylko że w gorącém sercu jenerała było to skutkiem chwilowej wobec klęsk ostatecznych rospaczy, odrzucił pokusę, i zginął broniąc Pragi; w uczniu szkół francuzkich stało się to systematem, objawiło się w czynie, doprowadziło do pierwszego u nas potwornego spisku. Znalazłszy się między wiejskim ludem, i w ciągłej z nim będąc styczności, bo oprócz pomiaru gruntów, zajmował się jeszcze dobywaniem torfu, którego znaczne pokłady w majętności odkrył, Gorzkowski powziął zamiar skorzystania z tego; zdało mu się, jak niejednemu później z konspiratorów naszych, że massy całe poruszy, i tym sposobem pozyska siłę, której się nic oprzeć nie zdoła. W całym zamiarze spotykamy wszystkie cechy odznaczające nowego wówczas na Zachodzie ducha; przypomina on nam niejednego z marzycieli Konwencyi. Zerwanie zupełne z tradycyą narodową, nienawiść do klas przodkujących w narodzie, odezwanie się do ilości liczebnej, do siły, myśl zbudowania nowej zupełnie społeczności według oderwanych, nie określonych ściśle pojęć wolności i równości; mniejsza wprawdzie niż później wiara w nieomylność mass, bo te jeszcze nie same wszystko rozstrzygać miały, ale tylko urzeczywistniać, wcielać przynoszone im idee — za to, bardziej naiwna, bo prawdziwie młodzieńcza jeszcze wiara w tę nową *Arkadję*, w to *Eldorado* które raptem na grobie przeszłości, chociażby krwią oblanej, rozkwitnąć miało. U Gorzkowskiego zadziwiać nas jeszcze może zupełna nieznajomość naszego ludu, z którym przecież oddawna był w styczności. Teoretyk przeważał w nim specyalistę i człowieka praktycznego. Znał on dolęgliwości włościan, był świadkiem wielu ich cierpień, ale pokazuje się, że nie miał nawet zmysłu do ocenienia prawdziwie ich duszy.

Jakkolwiek bądź, Polska pomimo ogromnej w niej przewagi stanu szlacheckiego, stanowiła cała jeden, ściśle spojny organizm społeczny. Nigdy w niej dotąd jednej klasy przeciw drugiej uzbroić nie zdołano. Wojny kozacze przez tyle lat zakłócające Rzpltę, inny nawet miały charakter, a zresztą i one obejmowały Ruś tylko. Hajdamackie w ostatnich czasach wybuchy, przygotowane były przez Moskwę, podsycane przez niższe duchowieństwo schyzmatyckie, mięszała się z niemi jakaś idea religijna. Lud czysto polski, nic podobnego w kilkowiekowej historyi swojej nie znał. Skrzętnie doszukujący się śladów tego w przeszłości naszej, wszędzie upatrujący chętnie walkę demokratów z arystokratami Lelewel, aż do czasów Masława uciec się musiał, chcąc znaleźć poruszenie się mass rolniczych przeciw przodkującej w narodzie klasie, a i o tém wieleby jeszcze mówić przyszło. Nie brakło

przecież ucisku. Kazimierz Wielki skarżącym się na doznawane krzywdy włościanom, już o krzesiwie wspominał. Skarga jakież za to gromy na głowy szlachty ciskał! Pobudek nie brakło nigdy, ale na dnie dusz był grunt zacny, który wszelkie pokusy odpychał, była natura cicha, wytrwała, wierna, zdolna przecierpieć niewypowiedzianie wiele, na wszystkie nowostki oględna, a obcym podszeptom niedowierzająca. W przepełnionej klęskami epoce historyi naszej, za czasów Jana Kazimierza, kiedy zrywająca się nanowo do walki szlachta, zawiązywała konfederacyę tyszowiecką, przemożny jeszcze w Polsce Karol Gustaw odezwał się do ludu wiejskiego; w ogłoszonych proklamacyach, przyrzekał włościanom którzyby panów swoich stronę konfederacyi trzymających, wydali i tępili, nietylko wolność zupełną, ale nawet własność gruntów szlacheckich. Pomimo siły jaką miał jeszcze wtenczas król szwedzki, niedawno za pana całej Polski przez naród uznany, pomimo tak wielkiej dla innego ludu pokusy, wszystkie te odezwy nie miały najmniejszego skutku; nie usłuchała ich *ani jedna wioska*. Pokusa rozbiła się o zacną pierś, o chrześciańskie serca ludu, o wielką zresztę spójnię, która wtenczas jeszcze, bądź co bądź, istniała między rozmaitemi warstwami narodu. Trzeba było powszechnego zobojętnienia dla wiary, upadku w samém duchowieństwie, przejęcia się w szlachcie wyobrażeniami obcemi, i długiej wreszcie niewoli rozkładającej ducha narodowego, żeby teorye zagraniczne gdzieniegdzie w łonie ludu rolę dla siebie przystępną znalazły, i żeby nam przyszło goryczy i tego zakosztować owocu. W końcu XVIII wieku, lud czuł swoją niedolę i swoje prawa; miłością otoczył Kościuszkę, który w imię tych praw się odezwał, a do obrony Ojczyzny go powołał. W przedostatnich czasach, jakby posiadał tajemnicę przeszłości i czuł, że bez niego jest ona już niemożebną, w 1830 roku tak się cieszył, że kierunek sprawy złożony w ręce Chłopickiego. Żyją świadkowie, co w wielu miejscach widzieli obnoszone po wioskach niezgrabne ze słomy uwijane i nakryte czapką figury, mające przedstawiać dyktatora, i lud powtarzający z radością: « Teraz wypędzimy już Moskali, bo *chłop* stoi na czele. » Ale nie łączyła się z tém żadna nienawiść do szlachty i żadne socyalistyczne zachcianki. Jest to nawet jedną z cech narodowych, że kiedy w plemieniu wielko-rossyjskiém, w najniższych warstwach rodziło się mnóstwo sekciarzy, a w ostatnich czasach zupełnie samoistnych i najbardziej zaciekłych radykalistów i niwelatorów, lud polski nic podóbnego z łona swojego nie wydał, pozostał najwierniejszy i Kościołowi i Ojczyźnie. Wszystkie u nas socyalistyczne i demagogiczne idee zwolenników znajdowały i wychodziły, aż do ostatnich prawie czasów, jedynie ze szlachty. Nie bez słuszności ktoś powiedział, że w Polsce arystokracya była najdemokratyczniejszą, a demokracya najszczerzej arystokratyczną.

Ale wróćmy do Gorzkowskiego. Znalazł on w Ciszy lud nowém dociśnięty brzemieniem. Warszawa wtenczas była zajętą przez Prusaków, ale kraj między Wisłą i Bugiem, a więc i okolica w której nasz komornik zamieszkał, należała do Austryi. Rząd cesarski często wówczas wybierał rekruta, co było dla ludu bardzo dotkliwą nowością; rekrut ten szedł pod niemiecką, wstrętną ludowi komendę, a w znacznej części posyłanym był daleko, do armii walczącej we Włoszech; to dawało powód do częstych skarg i narzekań. Nasz konspirator spodziewał się i te żale na swoję korzyść obrócić. Ale przedewszystkiém chodziło mu o rozżarzenie niechęci ku szlachcie. Zbierając roztropniejszych włościan, jak sam później Orchowskiemu opowiadał, tłumaczył im, że wszystkiemu temu winni są panowie, że to oni rządowi samowolnie rekruta dostarczają, a sami od tego ciężaru są wolni; rozwodził się przytém nad niesprawiedliwością pańszczyzny, nad zależnością w jakiej lud zostaje, nad krzywdami jakich doświadcza. Dodawał, że Kościuszko, który sam sukmanę nosił, chciał dobra włościan, i gdyby się nie był dostał Moskalom, wszystko poszłoby dobrze; ale że panowie, właśnie dla tego że on o rolniczym ludzie myślał, wydali go, i teraz jęczy w niewoli. Kończył zazwyczaj tém, że póki się nie pozbędą panów, nie będzie dobra na ziemi. Współczucie jakie dla wszystkich dolęgliwości ludu okazywał, otwierało mu proste serca, przytaczane często imię Kościuszki obudzało ufność. Między młodszymi szczególniej rosło dla niego poszanowanie. Zwolna na tak przygotowanym gruncie, zaczął on dalszą wznosić budowę.

W niedawnych latach, Szewczenko, bujnemu ukraińskiemu ludowi chcąc dowieść dotykalnie, że lud silniejszym jest i więcej znaczy od rządu i panów, chodził w świcie po wioskach, a zebranym w karczmie mieszkańcom, kładł na stole ziarno pszenicy, i zapytywał coby znaczyć miało? — gdy odpowiedzieć nie umieli, mówił sam, że to jest car; układał później wkoło inne podobneż ziarna, i tłumaczył, że to są jenerał-gubernatorowie, gubernatorowie, wszelkiego rodzaju urzędnicy; drugie szersze koło przedstawiało oficerów, wojskowych; dalsze nareszcie panów; gdy się słuchacze dobrze wszystkiemu przypatrzyli, dodawał: a teraz nasza kolej! patrzcie! — i wyjąwszy z kieszeni pełną garść tejże pszenicy, zasypywał nią wszystkie porozkładane ziarnka, mówiąc: «A oto my! znajdźcież mnie teraz cara, gubernatora, oficera, albo chociażby i pana?» Lekcya była dobitną i dla prostych umysłów przekonywającą. Nasz komornik nie wpadł był na tak dowcipny pomysł; chodziło mu zresztą nie o samą tylko teoryę, ale już o przystosowanie jej w czynie, o sam czyn. Chcąc dowieść swoim słuchaczom jak łatwoby im przyszło pozbyć się panów, rysował on na piasku figury wyobrażające grunta kilku przyległych wiosek, liczył osiadłych w nich gospodarzy, i dowodził dotykalnie, że na dwóstu trzydziestu

rolników nazywających się poddanymi, było tylko pięciu panów; idąc dalej, dodawał, że podobny stosunek jest na całej ziemi polskiej, że on dobrze wyrachował, bo jako mierniczy wiele stron sam obszedł i wszystko widział, iż między Bugiem, Liwcem, Wieprzem i Wisłą, znajduje się po wsiach 60,000 młodych, silnych i zdrowych ludzi, na stu panów, z których część jeszcze składają starzy, chorzy i niedołęgi. Cóż łatwiejszego jak ich się pozbyć? Trzeba tylko porozumieć się chłopom, i jednego dnia powiedzieć panom że chcą być wolni, a zagrozić, że jeżeli na to nie przystaną, wyginą wszyscy, bo niesprawiedliwa jest, aby tylu włościan na niewielu panów pracowało; tak postąpiwszy wszyscy będą wolni. Na poparcie tego, dodawał Gorzkowski, że przed trzydziestu latami poruszył się był lud na Rusi, i wielu złych panów wyrznął i wywieszał; ale w końcu nie udało mu się, a to dla tego, że wtenczas kiedy tam ruch nastąpił, chłopi w innych stronach Polski siedzieli cicho; przyszła więc szlachta z wojskiem i tamtych zwyciężono, i potém nastała większa biéda i cięższe jeszcze poddaństwo niż było. Teraz więc trzeba porozumieć się ze wszystkimi za Bugiem i Wisłą, na Litwie i Rusi, bo jak wszyscy razem powstaną, będzie ich tak wiele, że żadna na świecie siła oprzeć się im nie zdoła. Matematyk wykładał włościanom, że według niezawodnego rachunku, gdyby się wszyscy zmówili, możnaby mieć trzy miliony silnych, zdrowych i młodych ludzi, a wtenczas żadneby im wojsko nie podołało, i zaprowadziliby na ziemi wolność, jakiej jeszcze nie było. Szło więc tylko o porozumienie się, i o porozumienie się tajne, żeby się panowie o niczém nie dowiedzieli. Tak przygotowanym umysłom, Gorzkowski wyłożył sposób rozszerzenia zmowy. Mieli mu włościanie Ciszy wskazać najrozumniejszych ludzi w wioskach sąsiednich, on wezwawszy ich do zmowy, od nich podobnej skazówki miał żądać dalej, i tak posuwając się z wioski do wioski, przejść całą Polskę; kiedyby już liczba pewnych należących do spisku, była dostateczną, wtenczas, w jednę noc na to wybraną, na znak pozapalanoby drzewa w lasach, uderzono wszędzie w dzwony, lud zebrałby się, z cepami, z kosami, z siekierami, a ktoby ją miał, to i z bronią palną; skończyłoby się panowanie szlachty i ogłoszonoby wolność. To co jest w spichrzach i stodołach pańskich, jako owoc krwawej pracy włościan, najsłuszniej obróconoby na ich wyżywienie; dobrym panom zostawionoby tyle, żeby przez rok mieli żyć z czego, ze złymi zaś postąpionoby sobie jak na Rusi, bo wilczy ród musi być wygubiony, aby szkody nie czynił, i nastąpiłaby zupełna równość i raj prawdziwy na ziemi. Oto cały projekt i zamierzone jego wykonanie.

Zawiązany w Ciszy spisek rozszerzał się między młodszą wiejską ludnością. Gorzkowski nie był jeden. Dawnym wprawdzie przyjaciołom swoim, którzy za czasów Kościuszki byli powiernikami wszystkich

planów i prac jego, ale do podobnej roboty nie przyłożyliby ręki, nie odkrył swoich zamiarów; Orchowskiemu między innymi kazał tylko powiedzieć, że jest czynnym dla ojczyzny i jego do pracy dla niej zachęca; ale miał towarzysza w osobie dwudziestoletniego oficera artyleryi nazwiskiem Perthes, którego do pomocy w miernictwie przybrał, a który jego uczucia i myśli podzielał, i w szerzeniu ich dopomagał. W Warszawie prócz tego istniało całe kółko, z którém się Gorzkowski komunikował. Roztropniejszych włościan wciągniętych do zmowy tam nawet posyłano, dla wzmocnienia w nich ufności; był to już jakby wyższy stopień wtajemniczenia. Ztamtąd przysłano też cedułki, które spiskowym były rozdawane. Według Orchowskiego, na tych cedułkach miały być dowcipnie obmyślone matematyczne figury tłumaczące rzecz całą; autor pamiętnika twierdzi, że był na nich tylko napis: *Piasto more* (Piasta zwyczajem) .Młodzi parobcy roznosili cedułki i wyglądali zapewne chwili, która ich od rekruta i pańszczyzny uwolni; Gorzkowski i Perthes, z komitetem warszawskim rachowali może na siły, jakiemi przy spodziewanych co chwila nowych zawikłaniach europejskich rozrządzać będą mogli. Przypadek, jak się dzieje zazwyczaj w takich razach, przerwał wszystko. Jeden z młodych parobków wysłany przez Perthesa z pięciuset tabliczkami do wsi odleglejszych, spotkał w lesie właściciela Ciszy, a swojego pana; zapytany dokądby szedł w dzień roboczy bez potrzeby, odpowiedział że do wsi pobliskiej; gdy nie umiał wytłumaczyć powodu, kazano mu wrócić nazad; nie chciał usłuchać i stawił się hardo; uderzony przez szlachcica, pogroził mu, że już nie długie jego panowanie i że wkrótce za wszystko odpokutuje. Dziedzic, strzelcowi który mu towarzyszył, kazał związać zuchwałego, a gdy ten się opierał, wśród pasowania się obu, wypadły mu ze świty nieszczęsne tabliczki, prawdziwe *corpus delicti.* Pod razami, chłopek zaufany w potęgę Gorzkowskiego wyznał od kogo je miał, i zapowiedział, że źli panowie i ciemiężyciele prędko wytępieni będą. Poprowadzono obżałowanego do dworu, wezwano tam zaraz mierniczego i jego pomocnika; ci na wymówki dziedzica że włościan buntują, wybuchnęli z gwałtownem obwinieniem szlachty i zapewne samego właściciela Ciszy; ten rozgniewany, obu ich aresztował, i jako burzycieli spokojności publicznej do najbliższego cyrkułu odesłał. Rozpoczęło się naturalnie śledztwo i długie więzienie.

Starano się wykryć cały spisek, znaczną liczbę włościan uwięziono; z zeznań ich, jak po kłębku śledzący doszli istnienia komitetu w Warszawie; pięć osób, których Orchowski przez ostrożność jak powiada, nie wymienia, i tam na żądanie władz austryackich aresztowano. Ale rząd pruski lekko traktował sprawę, która do samej Galicyi zdawała się odnosić; Orchowski świadczy, iż mógł obwinionych odwiedzać i każdemu z nich wiadomości o biegu sprawy komunikować, tak że się ta

niebawem skończyła, i nawet wszyscy wypuszczeni zostali. Inaczej się działo z Gorzkowskim i Perthesem. Okuci w kajdany, przewożeni byli z jednego do drugiego więzienia, trzymani w lochach, nareszcie w Krakowie osadzeni. Perthes wkrótce umarł, Gorzkowski blisko trzech lat w więzieniu pozostał, rozpoczynając zdaje się długi szereg politycznych więźniów naszych, z czasów porozbiorowych.

To co wiemy o tych latach spędzonych w więzieniu, świadczy o mocy jego duszy i charakteru. Obciążony kajdanami, pozbawiony prawie światła, które z wysoka przez wązkie szyby zakratowanego okienka zaledwo dochodziło, nie zachwiał się i na duchu nie upadł, imion włościan, których do spisku wciągnął wydać nie chciał, i chociaż *Pamiętnik anegdotyczny* twierdzi, iż Kołłątaja obwinił, nie bardzo temu chcielibyśmy dać wiary, widząc jak członkowie warszawskiego komitetu przez niego osłonięci być musieli, kiedy zaraz uniewinnienie otrzymali. Wśród złego ze strony śledzących obchodzenia się, uciekł się raz do wybiegu, utrzymując że jest baronem niemieckim. Gdy mu tego tytułu zaprzeczano, żądając aby dowiódł zkąd go posiada, powiedział, że pradziad jego był z Sobieskim pod Wiedniem, i że po wyswobodzeniu go, cesarz Leopold przez wdzięczność, wszystkich obecnych Polaków ogłosił baronami ś. cesarstwa rzymskiego. Inkwizytor zarzucił mu kłamstwo; okuty szlachcic porwał się na nogi i zadzwoniwszy kajdanami, zawołał: « co mówię jest prawdą, bo gdyby nie wojsko polskie, wybyście dzisiaj u Turków w podobnych do moich kajdanach jęczeli! » Żądał, żeby to do protokółu zaciągnięto; a śledzący odtąd stali się grzeczniejsi. W całym przebiegu sprawy zasłaniał się tém, że działał w duchu ś. p. cesarza Józefa II, bo gdyby ten żył, jużby włościanie zapewne pańszczyzny nie robili; spisek zaś jego nie przeciwko cesarskiemu rządowi, ale przeciw właścicielom ziemskim lud uciskającym był wymierzony. Pomimo to, pewien był że śmierci nie uniknie i czekał jej ze spokojem Stoika. Jakaś litościwa dusza, zrzuciła mu przez okienko książkę na pokrzepienie, a była to nie Ewangelia, ale zgodnie z duchem tamtego czasu, zbiór maxym filozoficznych Cycerona. O ile na to słabe światło więzienne pozwalało, czerpał w tej książce rozrywkę przez długie miesiące. Stróż więzienny, dymisyonowany żołnierz, rodem Niemiec, ujęty zrazu mową rodzinną w której odzywał się do niego Gorzkowski, potém i samą sprawą jego, przywiązał się do więźnia i starał się godziny jego osładzać. Był to rodzaj takiego poczciwego Schillera jakiego Silvio-Pellico w Szpilbergu poznał i opisał, a jakich na zaszczyt natury ludzkiej, wszędzie i pod wszystkiemi rządami się napotyka. Zdejmował on Gorzkowskiemu na noc kajdany, przynosił czasem mléko, w którém więzień szczególne miał upodobanie, wsłuchiwał się w długie o prawie wszystkich do wolności wywody, widział w nim przyjaciela uciśnionych i biednych, nie mógł utulić się w pła-

czu, gdy przyszła nareszcie dla więźnia godzina wysłuchania wyroku. Pewnym był, że już go raz ostatni ogląda, że na śmierć poprowadzonym będzie. Gorzkowski uspokajać go musiał, mówiąc, że bardzo rad będzie rozstać się z tém życiem, a że nie żegna go wcale na zawsze, bo w niebie między cnotliwymi spotkają się pewno.

Przyszło do odczytania wyroku. Olśniony światłem słoneczném Gorzkowski, zaledwo dojrzeć mógł w pierwszej chwili swych sędziów.) Wyrok wszystkich trzęch instancyj skazywał go na szubienicę. Po przeczytaniu każdego z nich, obwiniony powtarzał: « *Odpuść im Boże, bo nie wiedzą co czynią na szkodę ludzkości* ! » Nareszcie po ogłoszeniu ostatniego wyroku, sędziowie powstawszy, odczytali osądzonemu na śmierć, że cesarz Franciszek życie mu darowuje, skazując tylko na bezzwłoczne z kraju wygnanie. Winszowano mu, oświadczając się ze współczuciem; prezes przez wzgląd na doznane wzruszenie chciał mu szklankę wina na pokrzepienie ofiarować. Gorzkowski podziękował mówiąc, że bynajmniej wzruszonym nie był; prosił o mléko, które mu przyniesiono. Posilonego więźnia ogolono, ubrano, i wsadzono na wóz przygotowany, który go według żądania do zaboru pruskiego miał odwieźć. Zaledwo miał dość czasu, aby się z przyjacielem więziennym, z owym stróżem, który tak nad losem jego płakał, pożegnać. Radość poczciwca nie mniej była wielką jak przed niewielu chwilami boleść. Gorzkowski był zadziwiony, spisujący zaś o nim wspomnienie przyjaciel, wychwala wspaniałomyślność rządu austryackiego. Widzieliśmy jak rzecz tę całą traktowały Prusy. W ogólności rządy zaborcze rozumniejsze w tém od nas samych, w zamysłach tego rodzaju, nie widziały wtenczas niebezpieczeństwa dla siebie. Rozumiały one dobrze, że tradycya historyczna żyła w klasie przodkującej narodu, poruszeń socyalistycznych w massach u siebie nie lękały się jeszcze; znały te massy lepiej od naszych marzycieli. W kilkadziesiąt lat potém, tenże rząd austryacki, środka w którym Gorzkowski upatrywał zbawienie dla Ojczyzny, sam na jej zgubę użył, z większém tylko od niego powodzeniem.

Pierwsze godziny swobody wyryły się głęboko w duszy Gorzkowskiego, wiele lat potém opowiadał jeszcze przyjaciołom drobne szczegóły swojej podróży. Nie tylko światło słoneczne, ale każdy najdrobniejszy przedmiot cieszył go i zachwycał; radość zaś jego nie miała granic, kiedy napotkał jasny wody strumień; tak dawno nic podobnego nie widział! Wszystkie struny jakie Pan Bóg między duszą ludzką a przyrodzeniem stworzonem nawiązał, zadrgały razem, i wzruszenie nie miało granic. Zlazł z wozu, padł na kolana, całował trawę zieloną, pluskał się w wodzie, śmiał się i płakał na przemiany, skakał z wielkiego wesela. Czyby się kto w tym człowieku domyślił wtenczas konspiratora, myślącego o wyrznięciu tylu współbraci? Zapewne nie, ale na szczęście, dusza ludzka nie zawsze jest posłuszną logice rozumowej,

Gorzkowski zaś i w chwilach, kiedy spisek swój zawiązywał, nie był człowiekiem krwi, tylko fanatykiem doktryny. Zdawało mu się, jak nie jednemu później, że sprawiedliwości domierzy, cierpiącym osłodę przyniesie i Ojczyznę wybawi. Dziwny obłęd, prowadzący do czynów straszniejszych w skutkach od samej zbrodni!

Że ojczyznę kochał i o niej wciąż myślał, znajdujemy na to dowód w dalszém jego życiu. Osiadłszy za pozwoleniem rządu pruskiego w Warszawie, gdzie miał żonę, Gorzkowski oddał się nauce. Kiedy był jeszcze w więzieniu, w długich samotnych godzinach przemyśliwał nieraz nad uproszczeniem zadań matematycznych i ułatwieniem wykładu ich dla młodzieży. Teraz, chciał myśli ówczesne uporządkować i przystosować do praktyki; ale twórcy włościańskiego spisku, nieprzyjacielowi zaciętemu szlachty, zrywającemu zdawałoby się zupełnie z przeszłością, chodziło jeszcze bardzo o przechowanie wspomnień tejże samej historycznej przeszłości; powziął więc myśl przywiązania imion narodowych do rozmaitych figur jeometrycznych; i tak: bryłę podobną do piasty koła, przezwał *piastenka* na pamiątkę Piasta; kulę spłaszczoną jak ziarno jagły, *jagiellonka* od króla Jagiełły; figurze kolumny, dał imię *Sobieska* i t. d. Jedném słowem, cała jeometrya zamieniła się u niego na tablicę historyczną Polski. Rząd pruski, który na spiski włościańskie przez szpary wtenczas patrzył, mniej pobłażającym okazał się dla tej czci przeszłości naszej; Gorzkowskiemu za jego przepolszczoną jeometryą kazano z Warszawy wyjechać. Dociśnięty niedostatkiem, nie mało biedy doświadczył, aż póki w Lipsku przytułku i pracy naukowej dla siebie nie znalazł. Los chciał, żeby jakiś bogaty książe rossyjski oddający się wyłącznie matematyce w tamecznym uniwersytecie, zapotrzebował jego pomocy. Gorzkowski przywiązał się do młodzieńca i lat kilka z nim spędził, spodziewając się zawsze, że się wszystko na świecie przemieni. Ogłoszenie we Francyi cesarstwa, było wielkim dla niego ciosem; długo przyjść nie mógł do siebie, wszakże uczuć swoich i z nich płynących przekonań nie zmienił. W 1805 r. spotkał go Orchowski w galeryi drezdeńskiej, zawsze z tym samym uczniem. Powitanie dawnych przyjaciół było serdeczne; Gorzkowski chwaląc szlachetność swego wychowańca i bystrość jego w naukach matematycznych, uskarżał się, że tępym jest w pojęciu zasad wolności, które koniecznie zaszczepić w nim pragnął.

Utworzenie Księstwa Warszawskiego ożywiło znowu naszego konspiratora. Wyczytawszy w konstytucyi udzielonej odłamkowi ojczyzny, wyrazy: *znosi się niewola*, wyobraził sobie, że ujrzy zaraz urzeczywistnione wszystkie swe dawne marzenia, i pełen nadziei zjechał do Warszawy. Tu znowu spotkał Orchowskiego, który był pierwszym jego uniesień powiernikiem. Nie tylko wszystkie dawne biedy i długie więzienie, w którém zdawało się, że myśli dojrzeć i zmodyfikować się

były powinny, ale cały bieg wypadków na świecie, zmienić jego przekonań nie zdołał. Postrzegamy w nim, co później widziano częstokroć w wielu ludziach, którzy opinie swoje nie w przekonaniu ale w uczuciu tylko czerpiąc, przywiązali się do jakiejś teoryi, że mu się całe doświadczenie nie zdało na nic, że nic nie zapomniał, ale też niczego się nie nauczył. Po pierwszych dniach uniesienia, przypatrzywszy się ciężarom jakie gniotły lud wiejski z powodu ofiar wojennych, widząc jak wysocy dygnitarze francuzcy, sami ze stanu średniego pochodzący i niedawno gorliwi wolności ludu poplecznicy, teraz bogatemi obdarowani starostwami (1), pilnowali w nich dawnej pańszczyzny, jak położenie rolniczego ludu w wielu miejscach stawało się gorszém niż było za szlacheckich czasów, chciał znowu biédę ogólną jak w 1796 roku zużytkować. Powtarzał Orchowskiemu, że nastał czas sposobny do wytępienia wszystkich ciemiężców. Wznowienie dawnego spisku miał powtórnie na myśli. Matematyk, raz uwierzywszy w ten sposób rozwiązywania kwestyj społecznych, na inny zdobyć się nie umiał. Wpływ Orchowskiego i bliższe przypatrzenie się zmienionym wyobrażeniom w samym kraju, wstrzymały go na teraz. Dostał posadę kontrolera przy Izbie Obrachunkowej Księstwa Warszawskiego, i odtąd, zachęcany przez przyjaciela, zajął się gorliwie układaniem projektów uwłaszczenia włościan bez krzywdy dotychczasowych dziedziców i obrachowywaniem summ na to potrzebnych.

W wojnie 1812 roku udziału nie miał; po kongresie wiedeńskim, w nowo utworzoném Królestwie Kongresowém dawną swą skromną posadę zachował i do końca wspomnionym wyrachowaniom, które przystosowania do praktyki doczekać się nie mogły, z upodobaniem się oddawał, powtarzając nieraz bliższym znajomym i przyjaciołom swoje dawniejsze *delenda nobilitas*. Umarł niewiele przed listopadowém powstaniem, nie domyślając się może, że nowe nieszczęścia i nowe cudzoziemskie wpływy nie jeden umysł polski na też same co jego rzucą bezdroża.

(1) Marszałek Davoust między innymi miał sobie tym sposobem nadane Skierniewice; rządził niemi z ramienia Marszałka niejaki Gray, i wielu nadużyć się dopuszczał.

Bronisław ZALESKI.

LISTY KRÓLA
STANISŁAWA AUGUSTA
DO
SZCZĘSNEGO POTOCKIEGO
Z LAT
1768 - 1792.

Przed laty kilkunastu, szczęśliwy traf nastręczył nam nabycie znacznej liczby autografów, widocznie z dawnej kancelaryi Szczęsnego Potockiego pochodzących. Winniśmy im już możność napisania historycznego studyum : *Starościna Bełzka*, na autentycznych aktach opartego.

Oprócz listów i dokumentów odnoszących się do tej epoki, przeszły razem w posiadanie nasze liczne korespondencye Potockiego z najznakomitszemi osobami owego czasu, z królem Stanisławem i posłami zagranicznemi, dygnitarzami Królestwa i rodziną, a naostatek, reką Jenerała artyleryi pisane koncepta listów aktów, manifestów, ogłoszeń z czasów konfederacyi targowickiej.

Wszystko to razem stanowi zbyt obszerną całość, wymagającą długiej pracy, nim wydaną być może z pożytkiem.

Wyjmujemy nateraz z tych tek listy króla Stanisława Augusta, ofiarując je redakcyi Rocznika bez żadnego komentarza, gdyż same dostatecznie za sobą prze mawiają.

Najbardziej zajmującemi, najważniejszemi w istocie są listy sejm czteroletni poprzedzające, i w początkach jego pisane. Zgodność przekonań łączy w nich Monarchę z Wojewodą ruskim, działających wspólnie i dążących ku jednemu celowi. W pismach tych, król Stanisław szczególniej maluje się wyraziście w tém świetle, w jakiém go trafne prace ostatnie, odsłaniające tę epokę, przedstawiły. Zdawało się nam, iż one dopełnić mogą zewsząd teraz ogłaszane studya nad epoką, w coraz żywszém, acz nader smutném przedstawiającą się świetle. Król

Stanisław nie traci na tych nowych materyałach, ani zyskuje moralnie, są one potwierdzeniem rysów, których dziejopis zkądinąd mógł się domyślać. Historyk rad im wszakże będzie, jako najautentyczniejszemu źródłu, do którego się może odwołać. Autografy listów są własnością naszą.

Drezno, dnia 16 Listopada 1868 roku.

J. I. Kraszewski.

I.

Urodzonemu Potockiemu, Staroście naszemu Bełzkiemu i uprzejmie nam miłemu.

Stanisław August z Bożej łaski Król Polski, Wielki Książe Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki, Kijowski, Wołyński, Podolski, Podlaski, Inflantski, Smoleński, Siewierski i Czernichowski.

Urodzony uprzejmie nam miły. Powiększające się coraz wiadomości z Baru o rezolucyach obywatelów królestwa naszego tam zgromadzonych przynosząc i to, że w pismach publicznych swoich *cursum ordinarium justitiæ* po całym kraju tamują i zawieszają, są przyczyną, że Uprzejmości Waszej dajemy o tém wiadomość w zupełném zaufaniu, że patryotyczny Uprzejmości Waszej umysł w słuchaniu jedynie prawa i Nas, okazać się najlepiej mogący, nie pozwoli Mu przylegać do barskich dyspozycyj, owszem do sprawowania jurysdykcyi starościńskiej pobudką Uprzejmości Waszej będzie, a to na dowodzenie, że w wiernych Nam i Ojczyznie razem trwasz sentymentach. Tego gdy się po Uprzejmości Waszej spodziewamy, życzemy Mu od Pana Boga wszystkiego dobra.

Dan w Warszawie, dnia XXXI miesiąca marca, roku Pańskiego MDCCLXVIII. Panowania naszego IV roku.

(Pieczęć wielka) Stanisław August, król.

II.

Z Warszawy dnia 5 julij 1778.

Mości Panie Chorąży koronny.

Z listu WPana ostatniego, który dnia wczorajszego odebrałem, z żalem widzę, że mimo wszystkie starania i zabiegi moje, interes WPana z jpanem jenerałem Czerniszewem nie bierze pomyślnego skutku. A zatém, gdy nie mogę, ani sobie pozwolić zgwałcenia prawa, ani nie-

chcące strony przymuszać do ugodnych kroków, więc z najcięższą przykrością moją przychodzi mi tracić nadzieję, ażebym WPana mógł widzieć na ten rok piastującego laskę trybunalską. Odżałować tego nie mogę, żem o tej nieszczęsnej kondemnacie nie wiedział, gdym pierwszą odezwę do WPana uczynił o podjęcie się tej funkcyi. Zaiste mam to za szkodę publiczną, że nie WPan będziesz przodkował blizko następującemu trybunałowi, i że dziś dopiero zacząć muszę starania o namówienie kogo inszego do tego urzędu. Jest to widzę losem moim, w każdej części rządowej doznawać jak najdolegliwszych i najtrudniejszych zawad; aboż w innym czasie, cieszyć mi się przyjdzie z życzliwej i ochoczej WPana ze mną kooperacyi ku publicznej usłudze.

A teraz Boskiej WPana polecam opiece.

III.

W Warszawie dnia 8 novembris 1780.

Mości Panie Starosto Bełzki.

Milej zaiste byłoby mi odpisywać na list WPana *de d.* 3 *octobris*, gdybym Mu mógł donieść o pomyślnym skutku chwalebnego projektu erygowania nowego dla Rzeczypospolitej regimentu. Uznałem ja w nim nowy dowód istotnie patryotycznego umysłu WPana, i dla konsolacyi jego dodać powinienem, że i dość powszechnie zjednał ten projekt dla WPana szacunek i w tym osobliwie, co się właśnie regimentu tyczy, lubo cokolwiek względem ordynacyi czyniono objekcyj. Lecz ta trudność i jeszcze pomniejsze byłyby się mogły ułatwić przy staraniu mojém, gdyby zaszłe z innych wcale materyj zawady nie skróciły czasu sejmowania i nie wznieciły takich przeszkód, że przewyższały wszelką możność ich uchylenia. Lecz co jest zwleczoném, ja nie mam za stracone w tej mierze, i owszem cale się spodziewam, że na przyszłym da Bóg sejmie *cum plausu* dla WPana przyjętem zostanie.

Tymczasem nie tylko chwalę, ale osobliwą WPanu oświadczam wdzięczność, że WPan w Mohylowie i Bohopolu chcesz stawiać domy do kwarantanny zgodne. I cokolwiek jeszcze w tej materyi będzie potrzebowało porozumienia z Komissyą Skarbową, to ja sam tu będę najchętniej ułatwiał, i wcale się spodziewam, że ten piękny przykład pociągnie do naśladowania dziedziców Józefgroda i Żwańca. Prawdziwie nie przez żaden komplement, ale w największej szczerości mówię to, że życzyłbym wielu widzieć w Polsce tak dobrych obywateli, jakim WPan jesteś. JP. Moszczyński, poseł kaliski, (którego dla mnie życzliwości na tym sejmie z wdzięcznością doznałem) wyświadczy WPanu z jakiém sercem i estymacyą dla WPana w każdej okazyi daję się sły-

szeć. Co jak z serca jeszcze raz i tu powtarzam, tak wszelkich od Boga WPanu życzę pomyślności.

PS. JPani Starościnie Bełzkiej uprzejmy zasyłam ukłon.

IV.

(*cały ręką króla pisany*).

Z Warszawy 14 februaryi 1785.

Mości Panie Wojewodo Ruski.

Niniejszy mój respons na list WPana, *de data* 6 *februarii* sztafetą wyprawiam, aby tém prędzej zaradzone być mogło tym inkonweniencyom, które się w kraju naszym dzieją, przez ten pułk, którym komenderuje brygadyer Sołłohub.

Uznaję i cenię przezorną ostrożność WPana, żeś bez dołożenia się mnie, nie chciał się chwycić danej sobie rady w uczynieniu odezwy do księcia Potemkina. Aliści, gdym się tu informował, gdzie należało, jaki może być spodziewany skutek takowego kroku, i owszem doradzano mi, aby pójść tą drogą jako najpodobniejszą do pomyślnego uchylenia tej dolegliwości naszej.

Więc i owszem, sam żądam abyś WPan uczynił do księcia Potemkina odezwę względem wyprowadzenia z kraju naszego tego pułku brygadyera Sołłohuba. Aboż wiadomość o wznowionej około Jahorlika zarazie, nie będzie się twierdzić, lub też sama trwałość zimy tę plagę przytłumi.

Wieści o zbieraniu się wojsk tureckich i o stawianiu mostów na Dunaju, przez Turków, chciej WPan nieprzestannie dociekać i mnie donosić. Być może, że się ten odgłos dla tego starownie mnoży, że od kilku poczt, aparencye, które już były bardzo blizkie do ugody między Cesarzem a Hollandyą, znowu teraz słabieją, a prócz tej zatargi, o inszych wkrótce wybuchnąć mogących w Rzeszy niemieckiej, zaczyna być mowa, dla zamysłów które ma mieć Cesarz, zamiany Bawaryi dla siebie za Niderlandy, któreby chciał ustąpić Domowi Palatyńskiemu.

Tymczasem dobrze jest, że się przedaż naszych wódek do Mołdawii, przecie ułatwia choć cokolwiek, azaliż za odmianą hospodara, i wcale się ten nasz handel, do dawnej wróci wolności. Żal mi jednak tego aresztowanego teraz hospodara, ponieważ z inszych miar pokazywał się przychylniejszym dla Polski, nad predecessora swego, a Bóg wie, jakiego ułożenia będzie jego następca.

Według żądania WPana, w liście jego *de d.* 6 *februarii* do jenerała Komarzewskiego wyrażonego, nowe patenta podpisałem, na miejsce

dawnych; dla Komorowskiego na poruczeństwo, dla Bronikowskiego na adjutantstwo.

Cokolwiek ważnego i użytecznego dla kraju dojdzie wiadomości WPana, i w czémkolwiek będziesz sądził potrzebną być ze mną korespondencyą, tę zawsze odbierać będę w tej wierze i perswazyi, że mię dochodzi od obywatela, równie cnotliwego, jak dystyngowanego i dla mnie życzliwego.

V.

Z Warszawy d. 19 kwietnia 1785.

Mości Panie Wojewodo Ruski.

Sądzę być potrzebą donieść WPanu to, o czém uwiadomił mnie *recenter* jpan Deboli z Petersburga. Mówił on tam z księciem Potemkinem względem excessów pułku Sołłohuba, a mianowicie o pretensyę wybierania Filipowców.

A że Potemkin rzekł najprzód (jak zwyczajnie bywa przy pierwszej w takich okolicznościach odpowiedzi) to jest: że każe rzecz wyegzaminować, ale że zapewne skargi są wyegzagerowane. Potém o Filipowcach dawno w Polsce osiadłych, żeby ich chciał wybierać Sołłohuba reiment, wcale niby wierzyć nie chciał, «chyba mówi, że Fili-« powcy ciemiężeni od panów w czyich dobrach mieszkają, chcą sami « wychodzić, a w takim razie, toć lepiej, żeby do nas ich puszczano, « niżeli żeby szli do Turków, jako się to stało, gdy z dóbr Wojewody « Ruskiego Humańszczyzny dwie kolonie Filipowców wyszedłszy osie-« dli pod Benderem.»

Tu wspomniał książe Potemkin o owej awanturze przeszłorocznej komisarza WPana z celnikiem rossyjskim, z której (jak on powiadał) wielka byłaby wyniknęła przykrość dla WPana, gdyby on, znajdując się w poblizkości właśnie wówczas, w Krzemieńczuku, nie był temu zapobiegł; i tu dalej wiele się rozwodził.

Deboli, jak umiał najlepiej explikował się księciu Potemkinowi, i oddalał wszelkie od WPana zarzuty; na tém się dyskurs skończył, że obiecał książe Potemkin niby z dobrą chęcią pisać do tego pułku Sołłohubowskiego.

Jeszcze i to mi należy donieść WPanu, że gdym ja *de die* 13 *februarii* odpisał WPanu aprobując zamysł jego odezwania się *directe* do księcia Potemkina, rozumiałem, że się tak stanie, i napisałem Debolemu o tém, jako o rzeczy pewnej. On w tej dyspozycyi wspomniał przed Potemkinem o liście WPana do niego, jako już nastąpionym, a dopiero od Potemkina usłyszał że od WPana żadnego listu nie odebrał.

Jać wprawdzie byłem później od WPana informowany, czemu pisanie swoje do Potemkina wstrzymałeś, i przyznaję że miałeś do tego wstrzymania racye ważne. Lecz teraz zdaje mi się, że nazbyt jasne i pewne uciski od tego pułku Sołłohubowskiego, naszym wyrządzane, aby o nich wątpić można.

Jeżeli tedy tak jest, jak mi zewsząd donoszą że ten pułk ludzi i konie swoje wcale darmo żywi u nas, że podwody niepłatnie dawać sobie każe, i drzewo do opału, że na targach i po gościńcach nieznośne krzywdy czynią naszym obywatelom i żydom, a nadto, że do siedmiu tysięcy ośmset głów obojej płci chłopstwa już od nas wyprowadzili, że głośno się z tém odkazują, iż Filipowców chociaż najdawniej od kilku pokoleń u nas osiadłych chcą zabierać; jeżeli mówię, to wszystko tak jest, toć WPan zupełnie jesteś autoryzowany pisać o to do księcia Potemkina.

Ja tymczasem informowałem Debolego (tak jak mnie informowano), że te dwie kolonie pod Benderem osiadłe, o których wspominał książe Potemkin, nie są to Filipowcy z dóbr WPana uszli, ale część owych łotrujących hajdamaków, których przed laty kilku Imperatorowa z Siczy wygnała.

Mimo zaś tego kroku do księcia Potemkina od WPana, żądam tego, aby obywatele kijowscy, wołyńscy, bracławscy uczynili odezwę urzędowną do mnie i Rady z przełożeniem formalném ucisków swoich, i wyrażeniem osób, miejsc, dni i czynów, któreby nas i ztąd autoryzowały autentycznie uskarżać się, gdzie należy.

Jedno drugiemu nie przeszkodzi. I owszem wesprze.

To wszystko przekładam WPanu w tej ufności, która się funduje na jednostajnym szacunku i affekcie moim dla niego.

VI.

Dnia 10 maja 1785 r.

Mości panie Wojewodo Ruski.

Na list WPana bez daty, który mi 7 *præsentis* przez jpana Kamienieckiego jest oddany, odpisując : najprzód oświadczam, że wcale to nie mam za najmniejsze dla siebie uchybienie, kiedy WPan nie swoją własną ręką pisywać do mnie będziesz całe listy. Dosyć, że podpisy nasze zobopólnie stwierdzać będą autentyczność onych, i owszem czytelniejsze sekretarskie charaktery wzajemnie nam czytania ułatwiać będą; a oprócz tego, że ja w szczerej życzliwości dyktujący listy, a nie w tych etykietowych ceremoniałach, zakładam ważność i cenę korespondencyi.

Im bardziej jest trudna i ambarasująca okoliczność pretensyi mo-

skiewskiej o wybieranie chłopów, tém bardziej chwalić należy zręczność i ostrożność, z którą WPan umiałeś się obejść dotychczas względem onej.

Że zaś ostatnie listy jpana Sołłohuba oznaczają, że ten ucisk grozi rozszerzeniem, trzeba nam koniecznie o to się starać, żeby obywatele województw tych, z których Moskwa odzyskiwać chce swoich to niby poddanych, czynili urzędowną do mnie i do Rady odezwę, choćby jedynie o to, żeby od nich nie pretendowano odbierania chłopów przed datą traktatu 1773 w dobrach ich osiadłych, a to jeszcze z zagrożeniem egzekucyi od komendy rossyjskiej.

Już też przynajmniej od takiéj odezwy nie powinnaby wstrzymywać obywateli naszych bojaźń zemsty, ponieważ w niej, nie zawierałaby się żadna skarga osobista na żadnego Moskala, tylko by dała pochop mnie tém ważniejszy do formalnej rekwizycyi o to w Moskwie; témbardziej sądzę potrzebną taką obywateli do mnie odezwę, że mnie doszła od jednego a dość znacznego obywatela wiadomość, iż jemu *directe zlecono przystawić komendzie rossyjskiej wszystkich ab anno* 1770, *tak dezerterów, jako też zbiegłych poddanych, a to z powodu uniknienia wojskowej egzekucyi.*

Grzeczność wyświadczona w oddaniu konwoju jenerałowi Gudowiczowi zdaje mi się wcale przyzwoita.

Za przychylne dla mnie obchodzenie imienin moich, uprzejmém dziękuję sercem i WPanu i tym wszystkim, którzy duch i umysł swój szczerze i życzliwie dla mnie łączyli z WPanem w tej okazyi. Miło mi jest zawsze powtarzać upewnienie szacunku i afektu mego dla WPana.

VII.

(*cały ręką króla pisany*)

z Warszawy d. 16 julii 1785 r.

Mości Panie Wojewodo Ruski.

Ile mnie zaturbował list WPana *de 4 presentis*, tyle mnie pociesza wiadomość przez ostatnią sztafetę WPana, departamentowi wojskowemu doniesiona, że się ten zamach buntu chłopskiego, przy przezorném staraniu WPana, dał, chwała Bogu, uśmierzyć. Za co niech będzie dzięka prawdziwie zasłużona WPanu. Nie mam więc co przydać do responsu, który idzie do WPana w tej materyi od departamentu wojskowego.

Że jest zamysł w Moskwie osadzenia w Słucku władyki nieunity, to jest prawda, mam o tém wiadomość już od niedziel kilku, lecz czyli w takiej ogromności, jak wyraża pismo po Ukrainie rozsiane, któregoś

mi WPan przysłał kopię, (a którego bardzo radbym miał którykolwiek oryginalny egzemplarz) tego jeszcze twierdzić nie mogę.

Możesz WPan być pewnym, że cokolwiek jest w mojej sposobności do odwrócenia każdej okoliczności zawierać w sobie mogącej szkodliwość dla Ojczyzny naszej, czy bliższą, czy dalszą, tego nie zaniedbuję nigdy, i że kiedy się dzieje, to chyba, że nie jest w mej mocy odwrócić.

O tém zaś jestem mocno wyperswadowany, że ani do rozumu, ani do charakteru WPana nie przylgnie nic takiego, coby do zamięszania kraju dążyło, czyli pod imieniem konfederacyi, czyli pod jakiémkolwiek inszém : i że choćby ktokolwiek starał się WPana namawiać na to, cnota i światło jego i (co mi jest miło dodać) przywiązanie WPana do mnie, dałyby odpór, takowym insynuacyom.

Najchętniej powtarzam upewnienia, dystyngowanego szacunku i partykularnego afektu mego dla WPana.

PS. Znając w WPanu przywiązanie do dobrego porządku i regularności w każdém dziele, a mianowicie w tém, co się tyczy trybunału wojskowego, wiem że sam uznasz, iż miałem racyę uważać, iż od niejakiego czasu raporta i fortragi z kancelaryi WPana wychodzące, nie zawsze właściwą drogą trafiały do mnie, to jest, że nie przez jenerała Komarzewskiego przy boku moim, urzędownie na to osadzonego i kancelaryą moją zarządzającego, jako to znowu świeżo stało się przed dniami kilku, z fortragiem na dymisyę dla adjutanta Bilskiego. Nie wątpię że WPan rozkażesz swojej kancelaryi, żeby tej przyzwoitej drogi odtąd nie mijała.

VIII.

Dnia 2 augusti 1785 r.

Mości Panie Wojewodo Ruski.

Prawdziwie nie tylko z ukontentowaniem ale mogę mówić, ze zbudowaniem czytam w liście WPana *de* 22 *julii*, opisanie sposobów istotnie ludzkich, i roztropnych i zręcznych, a któremi WPan nie tylko przydusiłeś już prawie wybuchający bunt chłopski w Ukrainie, ale i zapobiegasz podobnym na czas dalszy chłopstwa tego zamysłom. Już to jest dowodem wielkiego postępku w ulepszeniu umysłów chłopstwa, gdyżeś ich WPan do tego doprowadzić potrafił, że sami jedni drugich karzą i może ten przykład i ten sposób odmieni z czasem całą naturę tamtego chłopstwa, i odejmie im tę zajadłość przeciwko Lachom (jak oni nazywają), którą mieniono być w nich, jakoby przyrodzoną. A gdy to się stanie, będzie można ten WPana dobry i pożyteczny uczynek

przyrównać do owego traktatu, który z dzikiemi Amerykanami pierwszy Pen kwaker i sprobował uformować i dokazał utrzymać. Chwała Bogu że też ów Tereszka za granicą jest schwytany, Zapewne i to samo wiele umysłów naszego chłopstwa uspokoi, że to za granicą Tereszkę ukrócono.

Jenerał Komarzewski nie ma zamiaru oddalania się teraz odemnie, ile gdy prócz zwyczajnych jego funkcyj, i to go mianowicie do trwałego tutaj rezydowania wiąże, i w dokończeniu zaczętego regulaminu kawaleryi narodowej, departament wojskowy jego jednostajnie używa. A zatém zechcesz WPan ciągle wszystkie raporta zwyczajne do niego adresować.

Gdy w tych właśnie dniach, do rąk moich przy nocie WPana *de* 15 *julii*, doszła kopia listu jpana Kamieńskiego *de* 26 *junii* do WPana pisanego o chorąztwo za jpanem Malewskim, też chorąztwo będzie odemnie za fortragiem WPana, jpanu Malewskiemu konferowane. Ale proszę WPana, ażebyś przysłał jenerałowi Komarzewskiemu drugą kopię tegoż listu jpana Kamieńskiego, z dodatkiem tych słów: *concordatum cum originali*, i z podpisem ręki WPana. Ta ostrożność od poprzednika WPana, jpana Wojewody kijowskiego ciągle zachowana, (jak to widział w protokułach oryginalnych jpan Kamieniecki) nie była, i nie będzie próżną tylko formalnością, lecz jest istotnie potrzebną, dla usprawiedliwienia w razie i czasie jenerała Komarzewskiego, przełożonego nad kancelaryą moją wojskową, która (jako już nieraz doświadczyłem) przez tę jedną ostrożność, uniknęła w różnych okazyach przykrych wymówek i niesprawiedliwych zarzutów.

Dogadzając prośbie WPana za jpanem Kozłowskim starostą bracławskim, ozdobię go orderem ś. Stanisława w przyszłym miesiącu, znaki onego na ręce WPana przesyłając, dla tegoż jpana Kozłowskiego.

Nie jest to kancelaryjną formułą, ale istotną prawdą, że WPana z serca szanuję i kocham.

IX.

z Warszawy, 21 maja 1786 r.

Mości Panie Jenerał-Majorze Lubowidzki!

Odebrałem list WPana *de* 8 *præsentis*, przez porucznika Kościelskiego. Gdy jpan Wojewoda Ruski z tylu miar ma prawa do najdystyngowańszych względów moich, zechcesz WPan zostawić mnie samemu wybór sposobów, któremi ja też względy moje temu zwierzchnikowi WPana okazywać będę miał za rzecz przyzwoitą, nie przepominając że w roku 1783, wszystkie patenta tytularne i nadkompletowe z ważnych

dla zaszczytu wojska powodów, solennie za uchylone na zawsze deklarowałem.

Co wyraziwszy, wszystkich WPanu od Boga życzę pomyślności.

X.

w Warszawie, dnia 4 octobra 1787 r.

Mości Panie Wojewodo Ruski.

Dwa listy WPana oddał mi razem na dniu wczorajszym jpan Kamieniecki. Pierwszy bez daty, drugi *de die 24 septembris.* Prawdziwie z wdzięcznością odpisuję na obydwa, gdyż widzę w nich równie i dokładną pilność kemenderującego jenerała, a oraz zdania i życzenia wcale dobrego i życzliwego patryoty.

Z ukontentowaniem przychodzi mi oznajmić WPanu, że właśnie w tym czasie to czynię, i tém się zatrudniam, co mi WPan radzisz, i że mam racyę spodziewać się tak pomyślnego starań moich skutku, że nietylko w teraźniejszej okoliczności, ale i na zawsze, zmocnienie, bezpieczeństwo, i upoważnienie narodu naszego ztąd wyniknąć powinny.

Co gdy tak jest, sądzę że insze poboczne i w małych udziałach czynione zamiary w tym momencie rozpoczynane, niesprawiłyby dobrego skutku, i owszem, mogłyby pomięszać teraz i zwątlić moje starania obejmujące całkowitość, i insze w dalszym czasie mogłyby pociągnąć za sobą inkonwenyencye.

Do zmocnienia zaś aktualnego siły wojskowej pod komendą WPana zostającej, regiment hetmana wielkiego koronnego konny, nie tylko ma rozkaz, ale rozumiem, że *actu* teraz musi być w marszu,

Ponowione rozkazy do brygady jpana Chomińskiego i do pułku Bielaka aktualnie wychodzące, zapewne takoż w krótkim czasie te dwa korpusy pod WPana komendę przystawią.

Tak istotny odemnie odbierając respons, nie możesz WPan nie być przeświadczony, że dla WPana mam szczerą ufność, dystyngowany szacunek i prawdziwy affekt.

P. S. O formowanie magazynów, jeszcze przed odebraniem listów WPana rozpocząłem staranie. Ale sam WPan wiesz dobrze, jak takie rzeczy są w naszym rządzie trudne, osobliwie w tym karystyjnym roku.

XI.

Dnia 6 novembris 1787 r.

Mości Panie Wojewodo Ruski.

List WPana bez daty odebrałem 6 *præsentis*. Na ten dając respons, najprzód oznajmuję, żem odebrał respons od feld-marszałka Romanzowa, pod datą 27 octobra, w którym po wielu grzecznych oświadczeniach, są te własne słowa : « Je suivrai ponctuellement Sire, les objets, et les principes, que Votre Majesté me fait envisager et observer, et j'ose me flatter, que par là, et les ordres qu'elle vient de donner aux palatinats de Kijovie, Volhynie, Podolie et Bracław, et par les mesures, que Mr. le Palatin de Russie a déjà prises, tous les bruits des mauvais desseins des Turcs, seront entièrement anéantis, et l'Ukraine jouira d'une parfaite tranquillité. »

Tenże feld-marszałek powiedział ustnie oberszt-lejtnantowi Kirkorowi, adjutantowi memu, któregom z listem moim posyłał, że wkrótce te regimenta jego podkomendne, które wkroczyły w kraj nasz, staną nad granicą turecką, i że jego jest myślą, że wtedy na prawém ich skrzydle przyjdzie WPana dywizyi zasłonić tę część granicy naszej, która się zawiera między Jampolem, Mohylowem i Jaroszówką. Że on sam osobiście za dni kilka miał pośpieszyć do swego wojska. Że od Humańszczyzny jenerał Kamieński z wojskiem drugiej dywizyi zastąpi; że oficyaliści celni polscy, w swoich miejscach będą mieli protekcyę wojska rossyjskiego, że życzy jednak, aby i strażnicy polscy tamże zostawali.

Tym sposobem będzie nasz kraj dosyć zabezpieczony przez pozycyą wojsk.

Co zaś się tyczy uprowidowania dywizyi WPana w broń, amunicyę i żywność, już przedostatniej sessyi radnej wyrok dysponował, aby teraz zaraz dawna broń konna regimentu Szydłowskiego, a piesza regimentu Ostrogskiego, była oddana WPanu, prócz nowej, która jak najprędzej tylko można, także WPanu nadesłana będzie. Tudzież wyszła assygnacya do skarbu koronnego tymczasem na 10,000 złotych, na proch i kule; a na ostatniej sessyi radnej już także jest dane zlecenie do komissyi skarbowej koronnej, za którém spodziewam się że suplement pieniężny niezadługo dojdzie rąk WPana, ażebyś był w stanie gotowizną kupowania żywności dla wojska które komenderujesz, prócz inszego jeszcze funduszu, który jeszcze ja staram się obrócić na tenże koniec. Pułk Bielaka już zapewne dotychczas musiał się nadgłosić WPanu, gdyż mamy z raportów jego, że już część znaczną drogi uszedł. Jako z ostatniej wiadomości od jenerała Chomińskiego, który się z własnego majątku przyłożył znacznie teraz do remonty brygady

swojej, sądzę że i ten niezadługo stanie pod komendą WPana. Jednóm słowem robi się wszystko co tylko można dla opatrzenia tej części wojska, którą WPan tak godnie przywodzisz.

Co do ścisłego złączenia się naszego z potencyą rossyjską, *jakem już WPanu namienił w dawniejszym liście moim, tak i dziś potwierdzam, że cały jestem zajęty nietylko przekonaniem, że essencyalnie jest to potrzebném dla sławy i konserwacyi narodu naszego, ale już chwała Bogu widzę i zbliżające się do tego nadzieje.*

Im bardziej zaś cieszę się tém, że tak dystyngowany obywatel i senator jakim WPan jesteś, nietylko jednoczy w tym punkcie zdanie swoje ze mną, ale owszem, sam mnie zachęca do uskutkowania onego, tém bardziej spodziewać się powinienem, że WPan sam pierwszy ganić i stępiać będziesz kroki i mówienia niektórych osób, i zacnie urodzonych i w urzędach będących, a szczycących się wielką dla WPana przychylnością, którzy świeżo teraz jakoby umyślnie po wszystkich domach najznaczniejszych obywateli południowych prowincyj naszych, a mianowicie Wołyńskich, jeździli wszędzie, zapowiadając i właśnie wrażając w umysły takowe powieści, że należy nam jak najobojętniej zachować się teraz między Moskwą i Turkami i że nam trzeba najbardziej się oglądać na Króla pruskiego. Lubo nie wymieniam nikogo, jednak że mówienia te są głośne, bo z' wielu miejsc i listów są donoszone, niepodobna, ażeby nie doszły wiadomości WPana.

Tém chętniej o to piszę, im bardziej jestem przeświadczony, że nikt nad WPana lepiej nie zna potrzeby, teraz bardziej niż kiedy jednomyślności naszej domowej, *i ścisłego związku z Rossyą*, ponieważ są to własne życzenia i wyrazy WPana.

Kończę w najszczerszém upewnianiu dystyngowanego szacunku i affektu mego dla WPana.

XII.

Dnia 15 januarij 1788 r.

Mości Panie Wojewodo Ruski!

Każdy prawie list WPana daje mi nowe przyczyny radowania się, że ma ojczyzna nasza takiego obywatela w osobie WPana, którym się prawdziwie chełpić może.

Mianowicie ostatni list WPana *de* 28 *decembris* do jpana Marszałka Rady, dał mi ważny zaiste pochop powiększenia już dawno w umyśle moim zaszczepionej o WPanu opinii.

Z jak dystyngowanym szacunkiem ta nowa *pro publico* ofiara WPana

przyjętą została odemnie i Rady, jak będzie przezemnie przed zgromadzonemi da Bóg Stanami ceniona, w tém się referuję do responsu jpana Marszałka radnego.

Dałby Bóg, aby wszyscy u nas tak czystym umysłem i sercem kroki swoje dyrygowali jak WPan.

Ja między objektami których żądam najistotniej, kładę ten, żeby nikt nie potrafił oddalić odemnie serce WPana, które ja znam być w gruncie jedne z najżyczliwszych dla mnie, tak jak jest prawdziwie moje dla WPana.

XIII.

Dnia 4 marca 1788 r.

Mości Panie Wojewodo Ruski.

Jako ze wszech miar chwalebne są postępki WPana w prowadzeniu powierzonej mu komendy, i prawdziwie zasługują na wdzięczność publiczną, tak ja pierwszy i najchętniej to wyznaję, i z szczerém ukontentowaniem to WPanu oświadczam.

Mianowicie raporta WPana i czułość i roztropność jego oznaczają, i w najdelikatniejszych okolicznościach jakie są, między innemi tyczące się Turków.

I nie jest winą wcale WPana, jeżeli z niedoskonałości ustaw naszych prawie wszystkich, wynikają niektóre inkonwenyencye, jako to naprzykład, gdy przychodzi raport od WPana jaki do departamentu, osobliwie gdy zawiera w sobie cośkolwiek o Turkach, zaraz w pierwszym momencie staje się to wiadomém całemu miastu, i zazwyczaj z przydatkami, jakiemi zdobić nowiny podoba się każdemu z tych, którzy mają lub nie, prawo czytać raporta, byle jakimkolwiek sposobem do departamentu wojskowego mieli konnexyą. Tak dalece, że trafiało się już nieraz, iż z miejskich odgłosów już powiększonych lub odmienionych, dochodziły do mnie wieści, o których urzędownie ja sam nie będąc jeszcze informowany, dla tego że dzień nie był radny, nie umiałem ani uśmierzyć zbytnich niespokojności naszyńców, ani odpowiedzieć zagranicznym, którzy wiedzieć wprawdzie mieli interes.

A wiesz WPan jak łatwo jest w naszym narodzie i w naszej sytuacyi oburzyć umysły i dać pochop do różnych kroków i supozycyj lub niebezpiecznych, lub niemiłych.

Ten gatunek nieprzyzwoitości mniej miałby miejsca, gdybym ja odbierał przy każdej expedycyi WPana, duplikat raportów i doniesień wszelkich. Wiedząc zaraz co tam się stało w prawdzie nad granicą,

będę miał sposób zapobiedz wszystkim gadkom niepotrzebnym lub szkodliwym.

Proszę Cię więc mój Wojewodo, rozkaż w kancelaryi swojej raz nazawsze dwoiste raporta pisać, jedne do mnie, drugie do departamentu.

Kończę ponawiając to z serca upewnienie, że nikt szczerzej i lepiej nademnie szacuje i kocha WPana.

XIV.

Dnia 4 kwietnia 1788 r.

Mości Panie Wojewodo Rusk.

Na dwa listy WPana *de* 16 *et* 23 *martii*, odpisuję razem z tém ukontentowaniem, które zawsze we mnie wynikać będzie z poufałej z WPanem komunikacyi.

Wszelkie czynności WPana względem wszystkich sąsiadów naszych są chwalebne, i odemnie zupełnie aprobowane.

Odgłosy straszące nas od strony pruskiej, wzbudziły we mnie od miesięcy kilku najczulszą pilność. Nie zaniedbałem żadnych kroków, które tylko do ubezpieczenia naszego w tej mierze służyć mogły. I przecie z tym skutkiem, że nietylko urzędownie zapiera się Dwór berliński zamysłów wszelkich na umniejszenie kraju naszego dążących, ale i ostatnią jeszcze pocztą przyszedł tu list od pana Bucholtza, *actu* teraz w Berlinie będącego, iż takowe wieści mnożą się w Polsce, upewniając oraz, że są wcale przeciwne prawdzie.

Tudzież jenerał-lejtenant Malczewski, dywizyą wielkopolską komenderujący, na kilkakrotne moje zapytywania i zalecania największej ostrożności, jednostajnie mi responsuje, że najmniejszego poruszenia w pograniczu pruskiém dojrzeć nie może, i że te niektóre niespokojne głowy naszych obywateli wielkopolskich, po pierwszych poznakach przed dwóma miesiącami chętki jakiejś do burzenia wewnętrznego, przycichły teraz.

Względem Gdańska, lubo także urzędownie odpowiedział mi Dwór Berliński, że się trzymać będzie traktatu 1773 (który exkluduje Gdańsk od dominacyi pruskiej), jednak częste są poznaki, że przez różne subordynowane osoby tenże Dwór fomentuje tych mieszczan gdańskich, którzy już w dość znacznej liczbie głośno mówią, że Gdańsk musi się dobrowolnie poddać i oddać Królowi pruskiemu, i to bez zwłoki, ponieważ każdy dzień pogrąża i niszczy handel gdański, tak dalece, że w krótkim czasie, całe to miasto obróci się, albo w pustynię, gdy z niego

uciec będą musieli mieszkańcy dla głodu, albo w zbiór żebraków, których po staremu pochłonie nakoniec Król pruski.

Przeciwnie tym gadkom ja i Imperatorowa rossyjska mówiemy Gdańszczanom, że ten jest właśnie objekt starań naszych, aby wzmocnić negocyacyą z Dworem berlińskim o umniejszenie tych ucisków handlowych, któremi gubi wprawdzie Król pruski Gdańszczanów, a tak mocno faworyzuje Elbląg, że to ostatnie miasto koniecznie zniszczy Gdańsk, jeżeli temu zaradzono nie będzie wprędce. Ale na to trzeba właśnie, aby Gdańszczanie umocowali tu kogoś do attentowania tej negocyacyi, którą traktować w Warszawie nie odmawia Dwór berliński. A Gdańszczanie dotychczas nikogo na to attentowanie autoryzować nie chcą, mówiąc: że sobie z tej negocyacyi nic lepszego nie obiecują nad to, co przed dwiema laty niby umówione było, a w skutku nic dobrego od strony pruskiej dla Gdańszczan nie przyniosło. A tego uporu mieszczan gdańskich niższego, ale liczniejszego rzędu, przeprzeć nie mógł wierny dotychczas dla Polski magistrat gdański, który wraz z garnizonem i chłopstwem wsiów gdańskich mają więcej interesu zostania pod polskim rządem, niżeli kupcy i rzemieślnicy.

W Petersburgu tymczasem dość wyraźnie pruskiemu ministrowi powiedziano, że materya Gdańska jest takowa, z której wyniknąć może wielkie oziębienie Dworu rossyjskiego dla berlińskiego.

To samo jeszcze oświadczył ambasador hrabia Stackelberg ministrowi berlińskiemu, gdyby miał zamyślać Król pruski cośkolwiek na uszkodzenie Polski.

Tym to oświadczeniom znać, że winniśmy zapierania się urzędowego ze strony pruskiej wszelkich zamysłów szkodzenia Polsce. Jednak sam nie dumam, ażeby to nie był tlejący pod popiołem ogień, którego wybuchnięcie może, że rezerwuje sobie Król Pruski na ten czas, gdy już głęboko wkroczą dwa cesarskie dwory w wojnę turecką.

To samo jest mi powodem nalegania, aby Dwór rossyjski uczynione nam nadzieje uskutkował co rychlej. Mam na to dość częste odpowiedzi, zawsze pomyślnie obiecujące, tak dalece, że też już niebawnie skutku onych wyglądam.

Tymczasem agent pruski tak zręcznie umiał wyrabiać się w Wiedniu, że przeciwko zdaniu wszystkich dykasteryów austryackich, sam Cesarz rozkazał na samém wyjezdném takie uczynić dogadzania kompanii solnej pruskiej w Polsce, które jemu samemu są szkodliwe, a tém bardziej nam. Zdaje się, że Cesarz tą dla Prusaków grzecznością, chciał sobie kupić pewność, że Król pruski Czech i Morawy się nie tknie teraz, gdy Cesarz ogałaca te dwie prowincye swoje dla tém silniejszego pogromienia Turków.

To całe wyłuszczenie sytuacyi naszej względem niemieckiej strony wypisałem WPanu w respons tak cnotliwych i żarliwych wyra-

zów patryotyzmu WPana, któremi kończysz swój list *de* 23 *martii*. Gdy WPan już uczyniłeś odezwę do księcia Potemkina względem werbunku przez majora Abrahamowa w Berdyczowie i Pohrebyszczach czynionego, mam nadzieję, że ta nieprzyzwoitość zostanie uchyloną.

Reprezentacya WPana w liście jego *de* 23 *martii* uczyniona względem zasłony kraju naszego od przewidywanego powietrza, jest wielce roztropna. Już zacząłem *in consequenti* tych myśli WPana traktować z jpanem Stackelbergiem, gdy pozyszczę pewność wsparcia jego tak u komenderujących feld-marszałków rossyjskich, jako i u samego Dworu petersburgskiego, nie omieszkam zaraz dać o tém wiedzieć WPanu, abyśmy ten dobry zamysł do żądanego końca mogli doprowadzić.

A teraz najchętniej ponawiam upewnienia nieodmiennego szacunku i afektu mego prawdziwie zasłużonego dla WPana.

P. S. Wielce jestem kontent, że jpan Szydłowski szef regimentu dragonii umiał sobie pozyskać aprobacyę, i dobrą dla niego chęć WPana, ponieważ ja jemu z serca sprzyjam. Ale gdyby i przyszło do zawakowania jenerał-majorstwo amplojowanego (do czego nie widzę jeszcze podobieństwa, ponieważ jenerał Brühl wyjeżdżając do Berlina oświadczył mi, że komendy dywizyjnej nie zrzeka się, lubo jeneralstwo artyleryi przedaje) : jednak ja o tém zapomnieć nie mogę, żem od dwóch lat kilkakrotnie pierwsze jenerał-majorstwo amplojowane obiecał jpanu Podhorodeńskiemu najstarszemu w całém wojsku pułkownikowi, a ze wszech miar godnemu szacunku powszechnego obywatelowi. Ale azaliż da Bóg taki rzeczy układ, w którym więcej miejsc znajdzie się dla ochoczych i użytecznych żołnierzy, jakim jest Starosta mielnicki.

XV.

dnia 28 kwietnia 1788 roku.

Mości Panie Wojewodo Ruski. Na dwa listy WPana razem odpisuję. Pierwszy *de* 13 *aprilis*, drugi bez daty, który mi jest później oddany.

In consequenti tego ostatniego, podpisałem zaraz pisarstwo bracławskie dla jpana Puchały podług żądania WPana, lubo miałem różnych dość instancyj za jpanem Wyrzykowskim, któremu rozumiem, że WPan sam zechcesz w innej okazyi, a może i blizkiej, osłodzić tę dla niego niepomyślność, a mianowicie jeżeli prawdziwa jest wieść mnie dochodząca o niebezpiecznym stanie zdrowia jpana Bogatki.

Jest tu przytomny jpan Jaroszyński, który mi oświadcza swoję do posłowania chęć na tegoroczny sejm. Jak życzę, tak spodziewam się

że mu WPan nie będziesz przeciwnym, i owszem pomocnym, równie jako i księciu chorążemu Czetwertyńskiemu i jpanu Porczyńskiemu podstaroście. Radbym też wiedział, kogo tam WPanowie destynujecie do funkcyi deputackiej województwa bracławskiego na przyszłych sejmikach.

A teraz od tych mniejszych objektów zwracam pióro do tych, które nas powszechnie i najpryncypalniej interesują. Znakomitém ukontentowaniem odbieram te w liście WPana *de* 13 *aprilis*, ponowione od WPana *zagrzewania mnie do łączenia Polski z Moskwą*. I nietylko upewniam WPana, że *trwam w tém staraniu*, ale mam ukontentowanie donieść WPanu, że świeżo mam potwierdzone upewnienie z samego źródła, że już nieodwłocznie pomyślne będziemy mieli względem tego rezolucye, a tymczasem przyrzeczenia najwyraźniejsze, że nie dozwolą nam i piędzi ziemi wziąść z niemieckiej strony.

Różne poznaki mnie przeświadczają, że odgłosy, pozory i nawet przygotowania niektóre, osobliwie w Prusiech były czynione umyślnie na to, aby przyśpieszyć w Wiedniu skutek, i tak dość szkodliwy dla nas negocyacyi solnej, bo i Cesarz nie chce, aby Król pruski uszczerbiał ziemię naszą.

Ja wcale dla tego wszystkiego nie zabezpieczam się, aby prócz soli nie zamierzano przeciwko nam ciosu jakiego, osobliwie względem Gdańska; ale że mam przyczyny przewidywać, że skutki zagranicznej chciwości nie będą jeszcze wywierane przeciwko nam *przynajmniej do kilku miesięcy*, mam przez to samo nadzieję, że też tymczasem i my przyjdziemy do ładu.

Jednej tylko rzeczy się obawiam to jest: żeby ta fermentacya umysłów która wre u nas, nie zrobiła zawczesnego wystrzału jakiego, któryby mógł wszystko popsuć, odkrywając zamysły nasze nim będą mogły być uskutecznione, i dając przez to samo pochop i pretext do przyduszenia nas nim będziem mogli powstać. Tém trudniejsza i krytyczniejsza jest w tém rola moja, że ja w duchu radując się, że jest ta żwawość i ochota w narodzie, muszę ją temperować i prawie studzić, ponieważ gdyby się co tu urodziło, *póki nam od Północy nie powiedzą, że już czas*, to samo stałoby się może przyczyną, żeby nam powiedzieli: kiedy chcecie swoją głową robić, to my wam ani podpory, ani pomocy, ani obrony nawet nie obiecujemy, i to właśnie mnie już dano do zrozumienia.

Ja nieustannie tam przekładam, gdzie potrzeba, że to nie jest rzecz łatwa, i owszem prawie niepodobna tak władać tkliwością wolnego narodu, aby mu skutecznie kazać czekać niepewnego terminu dalekich rezolucyj w takim czasie, gdzie ustawiczne odgłosy grożą mu najniebezpieczniejszemi obecnie projektami. I widzę, że te moje reprezentacye przecie już skutkują, lecz że jeszcze *actu* nie przyniosły już

tego, bez czego my zacząć nie możemy, więc muszę wszystkiemi sposobami starać się moderować tych wszystkich, którzy mową, pismem lub uczynkiem nazbyt głośno okazują do kogo mają urazę lub niechęć.

Właśnie teraz i pismo jpana Suchorzewskiego do Rady adresowane, i zawierające prawdziwie chwalebną i patryotyczną ofiarę, przez to sprawuje wielki ambaras, że *zbyt kochający się w elokwencyi swojej* rozpościera się w niém w wielu wyrazach, które już budzą attencyą i przymówki zagraniczne; ile że jpan Suchorzewski rozrzucił *in publico* kopie tego pisma, jeszcze nim go mnie podał. I w tém najbardziej pobłądził, bo byśmy mogli byli w Radzie ukryć te zbytnie wyrazy.

Żal się Boże, że tak właśnie uczynił pan Jan Potocki krajczyc, także rozrzucił kopje swego pisma nim mi je podał. Powiedziałem mu, że im cnotliwsze i chwalebniejsze są jego intencye, tém bardziej należałoby trzymać one w najściślejszym między nami sekrecie. Nie mogę dość wyrazić WPanu, jak mnie obchodzi ta ostatnia okoliczność, bo właśnie zabrałem afekt do tego pana Jana krajczyca, a sposób którym on raptownie i przebrał się, i gadał, i pisał, i wybrał się w podróż jakąś nieopowiednie na zwiedzenie pogranicza pruskiego, dały powód wielorakiego gadania wcale niepomyślnego dla niego, a co gorsza, że ztąd wziął assumpt Bucholtz mówienia do mnie samego, że ja muszę odwracać attencyę pruską od tego objektu tym jedynym stylem odpowiedzi moich, że to wszystko niby za dzieciństwo tylko, żadnej konsekwencyi za sobą niepociągające, udaję.

Boże odpuść tym, lub temu, który zapalił, że tak rzekę, zacny umysł tego młodzieńca fałszywą wiadomością o aktualném już wnijściu do Polski wojska pruskiego. Ta wieść znienacka urodziła się na balu u jpana Potockiego marszałka nadwornego *de* 17 *praesentis*. Bucholtz dotychczas urzędownie twierdzi, że jego pan o żadnym zaborze Polski nie zamyśla, i na pograniczu relacye nasze militarne twierdzą jednostajnie, że żadnego podobieństwa poruszenia wojskowego nie masz u Prusaków.

Wielcem się ucieszył z responsu, który WPanu dał książe Potemkin względem majora Abrahamowa, bo lubo niewcale wyraźnie obiecuje poprzestania rekrutowania u nas, jednak własnemi jego słowami, niby autoryzuje WPana do przeszkodzenia onym.

Bądź tego WPan wcale pewnym, że nikt lepiej nademnie kocha i szanuje WPana.

XVI.

(*cały ręką króla pisany.*)

dnia 10 maja 1788 r.

Mości Panie Wojewodo Ruski.

Lubom dzisiaj mocno zatrudniony, jednak nie chcę sobie i WPanu ubliżyć ukontentowania, w przesłaniu jemu nieodwłocznem przyłączonej tu kopii depeszy wczoraj odebranej od rezydenta mego w Berlinie.

Powtarzam, że wielce życzyć należy, aby jpan Jan Potocki krajczyc oddalił się z Warszawy na jaki czas, albo do WPana, albo do matki żony do Wiednia. Ale dotychczas nie daje się w tém przekonywać.

Kończę w upewnieniu najszczerszego afektu i szacunku mego dla WPana.

XVII.

Mości Panie Wojewodo Ruski.

Gdy z listu WPana *de* 11 *maji* słyszę o blizkiém do Niemirowa przybyciu feld-marszałka Romanzowa, nie wątpię, że WPan nie omieszkasz, i potrafisz pomyślnie z nim traktować o zleconych sobie dawniej układach *in casu* powietrza. Tudzież w tém wszystkiém, co poźniejsze i codzienne nasuwają okoliczności.

Między najważniejszemi jest ta, która wynika z powtórzonego już teraz i niepojętego powrotu w Galicyę wojska austryackiego po podwójnym attaku Chocima, a osobliwie ostatnim. Ponieważ Austryacy na naszej ziemi polskiej założyli bateryę, z których razili i uszkadzali znacznie fortecę chocimską, dali przez to powód Turkom mówienia, że im też wolno będzie na naszej ziemi i przez nią wzajemnie szukać nieprzyjaciół swoich. Jenerał Witte, gdy mimo jego niepozwalania wchodu w kraj nasz, weszli weń Austryacy, wyciągnął przyzwoicie z Żwańca i okolicy nadbrzeżnej wszelkie żołnierstwo polskie, i wyprowadził one nazad do Kamieńca, lub pod sam Kamieniec. W małej liczbie głów garnizon jego cały składających, trudno i niebezpieczno mu będzie znowu wystawować odrywki w Żwańcu i Brazie, bo teraz już i samego Kamieńca strzedz pilniej i troskliwiej potrzeba. A zatém nadbrzeże dniestrowe podolskie od Galicyi, aż do posterunków WPana zostanie wcale odsłonione.

Zapraszać Austryaków do straży onego, nie byłoby przyzwoitém.

Więc nie zostaje jak ze dwojga jedno, albo żebyś WPan prawe skrzydło swoje wyciągnął aż do granicy galicyjskiej, albo żeby dywizya jenerała en chef Sołtykowa też miejsca zastąpiła kraju naszego, które świeżo teraz opuścili Austryacy.

Znam ja że gdybyś WPan prawe skrzydło swoje wyciągnął aż pod Galicyą, musiałbyś koniecznie zemknąć lewe skrzydło swoje i przybliżyć je ku prawemu; ale też wtedy tém naglejsza wyniknęłaby potrzeba, aby dywizya Sołtykowska przynajmniej całą naszę suchą granicę objęła. Z doświadczonych potylekroć przykładów sądzę, że WPan i przed odebraniem listu mego pewnie już przedsięwziąłeś zaradzenie najstosowniejsze do tej okoliczności. I tak się spodziewam, że WPan już na moje myśli trafiłeś.

Wcale mnie nie dziwią WPana wyrazy do mnie względem rozkazów departamentowych tyczących się szpiegów tureckich, i niewkraczania w kraj turecki; i łatwoby mi było okazać WPanu zkąd i jakim sposobem te rozkazy wyniknęły, gdyby mi przyzwoitość dozwalała wymieniać osoby, które w Radzie na sesyi, na której ja sam nie byłem przytomny, najpewniej i najmocniej wnosiły, aby Rada departamentowi zleciła, dać WPanu takowe rozkazy. Zdziwiłbyś się zapewne sam, i uznałbyś zaraz, że nie z mego ducha były wnoszenia. To tylko powiem, co najznaczniejsze osoby przyświadczyć mogą WPanu, żem ja sam osobiście wyperswadował, że text tych rozkazów pod dniem 28 kwietnia WPanu wydanych, i przez połowę nie został tak przykro skoncypowany, jak był zrazu.

Zupełnie ja z WPanem *jedno myślę* względem łączenia się naszego z Rossyą. Usilnie i nieprzestannie o to nalegam, częste i jeszcze w przeszłym tygodniu świeże odbieram responsa, iż będzie wszystko jak my żądamy i wkrótce. Ale zawsze z dodatkiem, ażebym starał się koniecznie tu spokojność utrzymać, i porywczościom wszelkim zapobiegać przed sejmem. I to właśnie kładą jako za kondycyę.

Z tego wszystkiego WPan sam osądzisz, jeżeli ja mogę inaczej czynić, niż czynię, i że miałem racyą pisać do WPana, tak jak pisałem w ostatnich dwóch listach moich.

Ostatni mój list do WPana, gdy mu doniosł ostatnie oświadczenie berlińskie, wielce i tém bardziej jestem więc z tego kontent, żeś WPan zaprosił skutecznie do siebie jpana Jana Potockiego krajczyca, ponieważ on powiedział mi, że się ztąd na kilka dni wybiera, co prawdziwie jest *optandum* i dla niego samego i dla nas, ile że jego pisma, osobliwie ostatnie dwa, już osobistości dotykające i wymieniające nawet, już tkliwe bardzo ściągają animadwencye, a właśnie już i z tej strony, z którą najbardziej zachowywać nam potrzeba najprzyjaźniejsze porozumienie.

Po tém wszystkiém, com tu wyżej napisał, łatwo WPan skonkludujesz, że wierutną bajką jest doniesiona WPanu wieść o konfederacyi,

jakoby tutaj robionej teraz. Upewniam, że jej teraz nie zrobię chyba, żeby kto inszy jaki związek rozpoczął, wtenczas musiałbym zaraz użyć lekarstwa przeciwko chorobie. Ale i tego bądź WPan wcale pewnym, że gdy przyjdzie czas do roboty, nikogo milej i spieszniej nie będę wzywał za wspólnika nad WPana samego.

I temu WPan wierz, że ja najsłodszym oświadczeniom obcym, nigdy zupełnie wiary nie daję, póki się z interesem ich nie zgadzają, ale trzeba czasem okazywać wiarę, a osobliwie w naszej teraźniejszej sytuacyi.

A teraz kończę w nieodmiennóm i najszczerszém oświadczeniu dystyngowanego afektu i szacunku mego dla WPana.

XVIII.

Z Warszawy d. 27 maja 1788 r.

Mości Panie Wojewodo Ruski.

Tém bardziej zostałem ukontentowany, odbierając razem na dniu wczorajszym dwa listy WPana *de* 17 *et* 18 *præsentis*, gdym w nich znalazł oznajmienie, że WPan to właśnie uczyniłeś już, co przez zawczorajszą ekspedycyą kilką godzinami wyprawioną przed odebraniem tych dwóch listów WPana, jest zalecono WPanu odemnie i departamentu wojskowego. Jest to nowym dowodem pomyślności krajowej, zgodnego i umiejętnego dzierżenia komendy przez WPana, na tamtém pograniczu.

Relacya WPana potwierdziła tę moję, (którą i w Radzie oświadczyłem) supozycyą, że Turcy nie będą wkraczali w nasz kraj i nie będą zaczepki z nami szukać, ile, gdy widzieć będą wystawionych przez WPana nowych dozorców naszego brzegu Dniestrowego.

Dziękuję WPanu za uwiadomienie o przyszłych posłach bracławskich. Właśnie teraz odbieram list od jpana Modzelewskiego, donoszącego mi o chęci swojej do deputacyi z województwa tegoż bracławskiego. Szczyci się oraz przedemną względami dla siebie WPana, i przez to samo czyni sobie nadzieję skutecznego w zamyśle swoim wsparcia. Do czego, gdy też nie widzę żadnej legalnej przeszkody, i sam za nim proszę WPana. Wszak teraz dziękować i owszem przychodzi każdemu obywatelowi, chcącemu się przecie podejmować deputacyi.

Zawsze najszczerszém sercem ponawiam upewnienia najdystyngowańszego szacunku i afektu mego WPanu.

XIX.

(*cały ręką króla pisany.*)

d. 14 junii 1788.

Mości Panie Wojewodo Ruski.

Na list WPana *de* 6 *præsentis* dając respons, najprzód proszę o sekret najściślejszy nad wyrazami onego.

Ponawiam upewnienie, że gdy czynić już będzie przychodziło istotnie dla dobra ojczyzny, ubiezpieczyć ją od ciosów które jej grozić mogą, zapewne nie tylko wezwę WPana do spólnictwa roboty, ale niemiałbym ją za dobrą, gdyby była bez WPana wykonaną.

W tém przekonaniu wielce żądam i zapraszam WPana, abyś tu zjechał na kilkanaście dni przynajmniej przed sejmem. Wszak można miarkować, że wtedy już wojska rossyjskie i austryackie a najpewniej pierwsze, już tyle postąpią w kraj turecki, że straż granic naszych już nie będzie ciężarem dla wojska naszego, a zatém przytomność w tamtych stronach WPana już będzie mniej potrzebna. Wpana zaś samego się wcześnie pytam, komu będziesz sądził zdać najlepiej w niebytności swojej komendę, czyli całkowitą jednemu, czyli kilku nad różnemi częściami?

Co do aliansu z Rossyą i trwałej aukcyi wojska, jasno się WPanu tłumaczę, że gdyby przed sejmem przez związek jakikolwiek rzecz się robiła, to samo by tém prędzej obudziło zazdrośną niespokojność sąsiada, którą uśpić przez tę zwłokę aż do sejmu właśnie jest celem Rossyi, w czém ambasador wyeksplikował się ze mną w tych dniach bardzo jasno i wyraźnie.

I prawda jest, że ten zazdrośny sąsiad miałby daleko pozorniejszy pretext dopytywać się, czemu się to najważniejsze rzeczy dzieją w sposób nadzwyczajny u nas, i wdawać się przeszkodnie (*titulo* własnego zabezpieczenia sąsiedzkiego), do utrzymywania spokojności w Polsce, tak jak się działo przed laty kilkunastu.

Wzmianka, którą WPan czynisz w liście swoim o sejmie 1776 daje mi powód przypomnienia jakie były onego początkowe okoliczności. Posłowie po większej części podpisali byli konfederacyą przed zaczęciem sejmu. Kilku posłów, którzy podpisać konfederacyi nie chcieli, i prawne prócz tego do posłowania mieli przeszkody, naturalnie przypuszczonymi być nie mogli do dzieła, któremu jawno byli przeciwnymi. Wszak taki jest duch wszelkiej konfederacyi, że *qui non est nobiscum, est contra nos.*

Ale nie wchodząc w roztrząsanie tamtych dziejów, to oświadczam co jest w intencyi mojej i wspólników myśli moich. Że w jak najsłodszy

sposób perswazyi i namowy wprowadzić do zamierzonego dzieła naszego żądam osoby, które składać będą sejm blizko przyszły, a gdyby która z nich upornie do wspólnictwa dzieła naszego należeć nie chciała, ta nie będzie miała prawa przypisywać żadnemu gwałtowi, to co tylko własnej jej zaciętości będzie skutkiem. Wszak nie inny mój jest cel w tegorocznym sejmie, jak powiększenie sił naszych krajowych, i ubezpieczenie kraju od podziału kiedyżkolwiek, z nierządu i słabości nastąpić mogącego, i zawarcia aliansu z tą wielką sąsiedzką potencyą, którą nasza egzystencya najwięcej interesować powinna, jakeś mi to WPan sam kilkakrotnie w listach swoich oświadczył.

Gdyby zaś robota miała się zacząć po prowincyach, i dopiero dochodzić do stolicy, i w niej zagarnywać że tak rzekę, centrum rządowe, działoby się to trybem takich konfederacyj, od których ducha zapewne dalekim jesteś WPan, i których skutki aż nazbyt są nam żałośno-pamiętne.

Na ten punkt listu WPana odpowiedziawszy, idę do drugich. Jako rozumiem, że wpadnienie tych stu łotrów zaporożskich, zapewne stało się mimo woli zwierzchności tureckiej, tak spodziewam się, że za odezwą WPana do tychże uskarżającą się tak, jakoś już czynił kilka razy, nastąpi, ze strony tureckiej oświadczenie chęci najskładniejszej do satysfakcyi.

Względem powrotu do dywizyi i komendy WPana, tej części kawaleryi narodowej, która przydana była do komendy jenerała Witta, idzie dziś ordynans departamentu wojskowego zgodny z żądaniem WPana.

Wyglądam teraz wiadomości o widzeniu się WPana z feld-marszałkami Romanzowem i Potemkinem, i o skutkach onego tak względem zastępowania granic naszych, jako i o ewentualnych umowach względem powietrza i innych wszelkich, które z okoliczności i potrzeb kraju naszego i wojska rossyjskiego wynikać mogą.

Kończę w najszczerszém upewnieniu, że nikt lepiej sprzyjać WPanu nie może i szanować go nademnie.

XX.

Warszawa dnia 1 julii 1788 r.

Mości Panie Wojewodo Ruski.

Na trzy listy WPana *de* 18-19 *et* 21 *Junii* razem daję respons.

Najprzód co do jeneralstwa artyleryi, lubo nie bez żalu tracę jednę z pryncypalnych osób Senatu w osobie WPana, jednak gdy tak jest, że graf Brühl koniecznie się z tego urzędu wyrywa, który prawdziwie

użytecznie dla kraju sprawował, nie mogę nie być kontent, że w takie ręce idzie tenże urząd, który i utrzymać potrafi to, co już jest w artyleryi konnej dobrze zrobionego, i jeszcze one pomnożyć tym duchem czynnym i szczerze patryotycznym, któryś WPan już w tylu inszych dziełach pokazał. A że w układzie tej zmiany prosisz mię WPan, ażeby województwa ruskiego krzesło *cedat* jpanu Staroście Olsztyńskiemu, i tego nie odmawiam; i jużby to wszystko do skutku było przyszło, gdyby nie trudności jakieś ze strony grafa Brühla, o których on sam WPanu już słyszę doniósł 29 junii.

Gdybym był wiedział, że on i inni w tej materyi wysłali tego dnia sztafetę do WPana, byłbym i ja także zaraz do WPana pisał to samo, co dziś wyrażam.

Pisałem już dwakroć do Wiednia o nieprzyzwoite w kraju naszym czynności księcia Coburga przekładając, że ten sposób, jakim Austryacy po odstąpieniu od powtórnej kanonady Chocima przez jegrów swoich tylko jak do kaczek po kilku Turków na dzień ubijają z naszego brzegu, właśnie zdaje się na to jedynie dążyć, aby zwabić Turków do naszego kraju, i palenia naszych wsi tak, jak się z Brahą stało. Raz mi odpowiedzieli z Wiednia bardzo obojętnie, na drugą moję odezwę jeszcze nie mam responsu, gdy jednak odbieram wiadomość, że kilkaset Austryaków już serio wzięli swój posterunek w Żwańcu, *supponendum*, że wypadać na nasz brzeg Turkom dalej pozwalać nie będą i to palenie naszych wsi przecie ustanie, a najpewniej, gdy Sołtykowska dywizya moskiewska już przejdzie Dniestr, a przynajmniej brzeg onego Polski obejmie. Pisał o toż samo ambasador Stackelberg do ambasadora Galiczyna do Wiednia na prośbę moję.

Ponieważ ostatni list WPana oznajmuje mi, żeś WPan ku Jahorlikowi pojechał, oczekuję i wyglądam dalszych od WPana wiadomości, co się też na suchej granicy naszej dzieje, i co robią feld-marszałkowie Romanzow i Potemkin i ich podkomendni.

A teraz kończę w zwykłém upewnieniu dystyngowanego szacunku i afektu mego dla WPana.

P. S. Względem porucznika Twardowskiego, i ja sądzę, że nie mając innego żołnierza prócz konnego, trudno mu było tę kawaleryą exponować bez żadnej korzyści na niechybną stratę pod armatami chocimskiemi, i że znać nie mógł skutecznie przeciwić się spaleniu Brahy, kiedy tego nie uczynił; bo go zdawna znam, a zawsze w nim widziałem nietylko uczonego za granicą, ale i dobrego i ochoczego żołnierza.

XXI.

d. 6 julii 1788.

Mości Panie Wojewodo Ruski.

Na list WPana *de* 28 *iunii*, inaczej odpisać nie mogę, tylko przekładając mu, że gdy my według własnego zdania WPana żadnego dobrego dla ojczyzny naszej zamiaru przedsiębrać nie możemy, tylko w jednomyślności i ścisłym związku z Dworem rossyjskim, więc trzymać nam nieodbicie trzeba tej planty, którą nam tenże Dwór podaje, a ta jest: abyśmy na sejmie ordynaryjnym, a żadną inszą drogą, to wszystko wykonali czego najbardziej życzymy, to jest: aukcyą wojska i alians z Moskwą. Tém bardziej należy nam tą tylko iść drogą, że wszystkie inne sposoby i te wszystkie widoki o których mi WPan w tym ostatnim liście swoim wspominasz, lubo były przekładane, jednak zostały nie przyjęte u tejże potencyi, bez której *tandem* sam WPan sądzisz, że czynić pomyślnie nie możemy.

Ponawiając tedy wyraz żądania mego, widzieć tu WPana i na sejmie i przynajmniej kilkunastu dniami przed sejmem, spólnikiem starań moich, wyglądam w tej mierze powolnego *responsu* WPana.

Zdaje mi się, że spodziewać się powinniśmy wkrótce wiadomości, że i drugie dwie dywizye romanzowskiego wojska, równie jak sołtykowska, pójdą w Turczyznę. I że to wykonają wchodząc w kraj nieprzyjacielski właśnie przez naszę suchą granicę. Gdy to się stanie, (do czego jakie jest podobieństwo proszę o uwiadomienie, równie jako o miejscu, gdzie teraz właśnie znajduje się feld-marszałek Romanzow), to mówię, gdy się stanie, wtedy zaiste, nietylko od Żwańca do Rybnicy, ale i od Rybnicy do Olwiopola, już nasze granice straży wojska naszego potrzebować nie będą, chyba względem powietrza.

W tej zaś materyi powietrza, czyli i jak WPan umówiłeś się z feldmarszałkami rossyjskimi, proszę mi donieść. Témbardziej ten punkt jest potrzebny, że powietrze *actu* wznowiło się w Stambule, i łatwo naszych granic dosięże.

Kończę teraz w nieodmienném upewnieniu szacunku i afektu mego dla WPana.

Gdy z okazyi tych trudności przez grafa Brühla wznieconych, względem przedaży urzędu artyleryi, rozumiem że WPan sam osobiście będziesz miał potrzebę zjechania do Warszawy, cieszę się przez to samo nadzieją prędszego jeszcze powitania WPana tu w Warszawie, co ze wszech miar będzie i dla mnie miłém, i dla powszechności użytecznem.

XXII.

(*cały ręką króla pisany.*)

d. 29 julii 1788.

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

Na list WPana *de 17 præsentis*, daję *respons.* Gdy teraz już usunione wszystkie zawady które ze strony grafa Brühla utrudniały cokolwiek ustąpienie przez niego WPanu urzędu jeneralstwa artyleryi, miło mi jest oświadczać ukontentowanie moje, że ta część tak ważna żołnierstwa naszego, nie w inne jak WPana dostaje się ręce, gdyż wyperswadowany jestem, że nie w innym celu żądałeś WPan być jenerałem artyleryi, jak tylko abyś i tu pokazał, jak chcesz i umiesz być wielorako usłużnym ojczyznie swojej.

Na pytanie, czyli rad będę widział WPana posłem na tegorocznym sejmie z województwa bracławskiego, najchętniej odpowiadam i wcale *affirmative.* Względem funkcyi (1) teraz dopiero oznajmił ochotę, mówiłem zaraz *favore* jego, z przytomnym tu jeszcze jpanem Wojewodą Kijowskim, który acz nie odmówił przychylenia się swego do takowego żądania, jednak wyraził trudność zachodzącą w odmianach już dotychczas projektowanych posłów, témbardziej obowiązywać słowa i ubezpieczać nie mógł Wojewoda, dla jeszcze przybywającego nowego konkurenta, jmpana Starosty Szczerzeckiego.

Ponieważ jadący do WPana, jmpan Seweryn Potocki najlepiej mu ustną o wszystkich tu dziejach i okolicznościach publicznych da informacyą, więc do niego się referując, nie będę się z opisywaniem onych w niniejszym liście rozszerzał. To tylko tu powtórzę, com już w poprzedzających moich listach wyraził, to jest: że jak życzę jednostajnie, w staraniach moich zawsze do dobra publicznego dążących mieć Wpana wspólnikiem, tak tém bardziej i partykularnie żądam mieć czas i sposobność osobistego i wczesnego z WPanem naradzenia się względem blizko następującego sejmu, na którym byleśmy sami chcieli, i między sobą się dobrze porozumieli, będziemy mieli pomoc i wsparcie zapewne przewyższające wszystkie zawady i przeszkody, któreby pocichu może chciano nam położyć *pro obice.* Mówię *pocichu*, bo prawie być można pewnym, że otwarcie i głośno nikt przeciwić się nie ośmieli takowym krokom, które my w spólności z Rossyą czynić zechcemy. Tak rozumieć każą ledwie nie cotygodniowe oświadczenia pańskie.

Właśnie gdy ten list kończę, oddaje mi jpan pułkownik Moszczeński

(1) Opuszczone nazwisko w oryginale. *Przyp. Red.*

list WPana *de* 18 *julii*. Daję mu zaraz list do jpana marszałka nadwornego Raczyńskiego, i nie wątpię, że i sam stanie posłem, i że jego przytomność i to co w Wielkiej-Polsce mówić będzie, wiele dobrego tam uskutkuje, a najbardziej, gdy da poznać błahość wielu gadek świeżo po Wielkopolsce rozsiewanych, i jasno okaże, że WPan wcale jesteś jednomyślny i jednoczynny ze mną.

Co wyraziwszy, wszelkich z najszczerszego serca życzę WPanu od Boga pomyślności.

P. S. Jeszcze i to przypominać muszę i sobie i WPanu, że jpan Moszyński sekretarz litewski, życzy sobie poselstwa bracławskiego. Że z niego użyteczniejszy nad wielu innych mógłby być poseł, osobliwie do finansowych interesów które koniecznie Rzeczpospolitę zatrudniać będą musiały przy aukcyi wojska spodziewanej, więc czyli p. Dydyński, czyli p. Prószyński ustąpiłby mu miejsca, wszelako dobrzeby wypadało.

XXIII.

d. 9 augusti 1788.

Mości Panie Jenerale artyleryi.

Na list WPana *de 4 augusti*, daję *respons*. Jeżeli zdało się WPanu z dawniejszych listów moich, że mogłeś w niejakiej zostawać wątpliwości o intencyi mojej względem postanowienia WPana na tegorocznym sejmie, to przynajmniej nejwyraźniej musiałeś WPan wyczytać życzenie moje abyś był posłem, w liście moim *de* 29 *julii*, który oddałem jpanu Sewerynowi Potockiemu, a który on miał sam zawieść WPanu, a potém go po staremu pocztą wysłał przed sobą. Więc wszelako musi już być w ręku WPana. Powtarzam tedy, że nietylko życzę, ale proszę WPana, abyś był posłem. W tymże liście *de* 29 *julii*, odpisałem dogodnie WPanu względem jpanów Grocholskich.

Gdy tedy będziesz WPan posłem w jednomyślności ze mną, wtedy właśnie najbardziej będę dufał, że sejm pójdzie pomyślnie, bo wtedy najmniej się będę obawiał rozdwojenia wewnętrznego.

A przyznam się WPanu, że ja się inszych przeciwności nie obawiam, tylko wewnętrznych, bo co zagranicznych, to się codziennie mniej obawiam, widząc jak prawie na wyścigi, że tak rzekę, wszystkie Dwory a mianowicie berliński, starają się o przyjaźń rossyjską, głosząc *affectate* dyzaprobacyą swoję nad porywczością Króla szwedzkiego,który wziąwszy pieniądze od Turków, chciał się im szczerze wywiązać, ale już mu się nie powodzi, bo i na morzu batalią przegrał, i już dwa regimenta jego na lądzie zniósł Michelson, a z przed forteczki Nistot już ustąpił, i nic nie robiąc, czas stracił Król szwedzki ten właśnie początkowy,

w którym mógłby był może co zrobić. Duńczykowie zaś, już się jasno deklarowali za Moskwą, i *favore* jej aktualnie armują sześć okrętów. Chocim już kapituluje, a podobno już po Oczakowie. Więc zdaje m się, że byleśmy sami chcieli, to na sejmie wszystko spokojnie i pomyślnie zrobimy.

Że zaś wspominasz WPan jakobyś jeszcze nie był uwiadomionym co się czynić ma na tym sejmie, dziwno mi to czytać w liście jego, ponieważ nie raz, ale kilka razy, jużeśmy sobie wzajemnie napisali zgodne myśli nasze o tych dwóch punktach esencyonalnych, które całą treść roboty naszej zawrzeć mają.

A co się tyczy *modum et methodum exequendi*, ten właśnie najlepiej umówionym zostanie w przytomności WPana i z kooperacyą jego.

Zapraszam więc jeszcze raz WPana, abyś po obraniu siebie za posła na sejmiku bracławskim, im prędzej tém lepiej tu stawał.

Jak król, piszę do obywatela : *veni ad consilium*; jako przyjaciel, piszę do przyjaciela : *veni ad amplexum*.

Dla przypadku jakowego mogącego się zdarzyć, tę duplikatę wysyłam sztafetą, a druga idzie na ręce jpana Jana Potockiego jenerałowicza.

XXIV.

d. 19 augusti 1788.

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

Daję *respons* na list WPana bez daty, który odebrałem zawczoraj sztafetą.

Gdym oddawał list mój *de* 29 *julii* do WPana, jpanu Sewerynowi Potockiemu, upewniał mnie że go sam odwiezie spieszniej niż poczta. Gdy go potém słabość żony od dnia do dnia wstrzymywała, prosiłem go aby tenże list sztafetą posłał przed sobą, i powiedział mi jpan Seweryn, że tak i uczynił. W tymże liście nietylko zapraszałem WPana do poselstwa, ale i względem kasztelanica Grocholskiego odpowiedziałem dogodnie żądaniu WPana, oraz pisałem jpanu Kasztelanowi bracławskiemu o toż. Potém *de* 9 *augusti* pisałem jeszcze raz sztafetą odemnie samego przesłaną WPanu, i duplikatę tegoż przez jpana Potockiego jenerałowicza. Więc trzema listami, które wszystkie wcześnie przed sejmikami dojść powinny były rąk WPana, oznajmiłem mu żądanie moje, widzieć go w poselskiej funkcyi; ale choćby żaden nie doszedł, sam jpan Seweryn tylekroć i tak wyraźnie słyszał życzenie nasze żebyś WPan był posłem, że i jego relacya powinna była odjąć WPanu wszelką w tej mierze wątpliwość.

Mam jednak jeszcze nadzieję, że listy moje podochodziły przecie do WPana przed dniem wczorajszym sejmikowym, a tymczasem i tém się cieszę, że mi WPan wszelako bytność tu swoję wkrótce obiecujesz.

Z nowin publicznych ta jest najciekawsza, że Król szwedzki rozpocząwszy oblężenie Fridrichsthaum 2 *augusti* morzem i lądem raptem w nocy z 3 na 4 augusta, wojsko swoje z przed tej fortecy lądem i morzem cofnął o kilka mil. Są wieści, że część znaczna jego wojska złożona z Finlandczyków, zbuntowała się mówiąc, że przeciw Moskwie nie chcą wojować *offensive*, i że 200 oficerów Króla szwedzkiego o abszyt prosiło. Wkrótce się to wyjawi jaśnie. Tymczasem wojsko rossyjskie codziennie się pomnaża w tamtych stronach.

Z innych zaś stron wszystko tak zostaje jak było przed tygodniem.

A zatém kończę w upewnianiu jednostajnego szacunku i afektu mego dla WPana.

XXV.

(*ręką własną króla pisany.*)

d. 11 septembris 1788.

Mości Panie Jenerale artyleryi.

Do tego co ambasador pisze do WPana w inkludowanym tu liście, wcale nie mam co przydać, tylko życzenie najszczersze, abyś WPan im rychlej tém lepiej do nas przybywał, bo i robić i nie robić bez WPana nie chciałbym, gdyż jestem w przeświadczeniu, że jest i będzie dla mnie i dla ojczyzny dobrze, abyśmy zawsze i we wszystkiém spółkowali.

XXVI.

d. 19 januarii 1789.

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

Wiadomo jest WPanu, jakie tu już bywały i jeszcze być mogą wexy na jenerała Witta. Te mu są powodem żądania, aby mógł zbiedz do Warszawy co rychlej choć na krótki czas, i dla pokazania niewinności swojej i dla porozumienia, czyliby mógł znaleść sposobność przedania bez straty komendantstwa swego.

Na ten koniec trzeba mu urlopu. Tu tak mi przekładają, że nie trzeba od nikogo inszego urlopu tylko od WPana. Chciejże mu go WPan proszę dać nieodwłocznie. Czyniono tu znowu objekcyą ztąd, że naka-

zana jest lustracya całego wojska i fortec, podczas której byłoby i niepięknie i niebezpieczno dla jpana jenerała Witta, gdyby się nie znajdował przytomnym w fortecy kamienieckiej. Zatém pytany jpan Marszałek sejmowy jak rychło ma nastąpić lustracya fortecy kamienieckiej? odpowiedział, że nie będzie nagła, i że będzie miał czas jenerał Witte zjechania do Warszawy, ułożenia tu swoich interesów i powrotu do Kamieńca wtedy, gdy lustracya tej fortecy następować będzie. Już wtedy chciej WPan dać mu potrzebny dla niego urlop, jako jadącemu do Warszawy.

Prócz niniejszego listu mojego, piszę ja inszy inszą drogą do WPana w inszych materyach, i w tamtym responsuję na list WPana *de* 12 *januarii.*

Co wyraziwszy, wszelkich WPanu z serca od Boga życzę pomyślności. I tam i tu pytam się o zdrowie WPana nader mnie interesujące.

XXVII.

d. 20 februarii 1789.

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

Na trzy listy WPana *de* 29 *januarii*, *de* 2 *et* 9 *februarii*, winienem WPanu responsa.

Na pierwsze dwa żem nie odpisał zaraz, przyczyną tego było niezdrowie moje. Jednak co tylko było potrzeba do wiadomości WPana nakazywałem przez jpana Moszczeńskiego.

Lubo zaś ostatni raport WPana *de* 9 *februarii* powinienby był uspokajać umysły względem mniemanych buntów, aliści wiadomość z komory Wereszczaki w Smilańszczyznie będącej, donosząca o wnijściu w Smilańszczyznę 300 Moskali z regimentu chersońskiego i z nimi wraz więcej sta wozów bronią naładowanych, poburzyła tu znowu umysły.

Chciano użyć tej okoliczności na różne widoki. Chcieli oni i przyspieszyć WPana wyjazd do Moskwy, i już o komendzie zamyślali, a najbardziej wydał się ich projekt pod imieniem renowacyi popisów po całym kraju, który zmierzał pod inszém imieniem do pospolitego ruszenia, lub do zrobienia konfederacyi po całym kraju.

Hetman wielki koronny i Wojewoda sieradzki, najwięcej ten projekt promowali, jako przed kilku niedzielami od wojewody podany, a teraz tylko odżywiony przez Strojnowskiego posła wołyńskiego, który go podał wczoraj.

Z okazyi tego projektu burzliwie bardzo rozpoczęła się wczorajsza

sessya. *Tandem* jednak uchwycił moment zręczny jpan Stanisław Potocki, i trzeba mu przyznać, że i piękną wymową, i bardzo umiejętnym obrotem tak zwrócił rzecz, iż spodziewam się, że na dzisiejszej sessyi ten zamysł jeneralnego w całym kraju popisu, upadnie, i że się skończy na uniwersale już nie do całego kraju, lecz tylko do czterech województw ruskich adresowanym, w którym posesorom zalecono tylko będzie, ażeby mieli pilne oko na swoich *respective* poddanych, i żeby im broń odejmowali gdyby ją u których znajdowali, ale pułki Byszewskich dwóch i Bielaka, podobno będą miały rozkaz pomaszerowania na Ukrainę, ażeby *in quocunque eventu* nie można nam zadać, żeśmy nie chcieli zapobiegać złemu, lubo nas ostrzegano.

Suchodolskiemu chełmskiemu, przecie wyperswadował marszałek Mniszech, że obiecał do trzech dni nic nie mówić przeciwko WPanu, ponieważ choćby to wszystko i prawda była co ten superintendent napisał o wnijściu tych trzechset Moskali do Smielańszczyzny, WPan żadnym sposobem *de* 9 *Februarii* o tém ani wiedzieć, ani tu donosić nie mogłeś co się na komorze Wereszczaka dziać miało 12 Februarii, ale że zapewne wkrótce sam tu o tém raportować będziesz.

Ten sam Suchodolski bąknął niby *transeunter* przed marszałkiem Mniszchem te słowa : My mamy czarno na białém, mamy czém tkliwie dotknąć pana Jenerała artyleryi. Nie chciał się Suchodolski więcej explikować, ale ja supponuję, że to musi mieć konneksyę z temi pismami przeszłoletnemi, o których w dawniejszym liście moim ostrzegałem WPana.

Wszelako ja rozumiem, że oni umyślnie od czasu do czasu rzucają takowe słówka, ażeby zastraszyć tylko, i zesłabić przyjaciół WPana. Ale tego nie potrafią.

Tu znowu przyznać muszę, że i w tém co się WPana osoby tycze, pan Stanisław Potocki wczoraj i pięknie i sprawiedliwie stanął.

Kończę w serdecznèm i nieodmiennèm upewnieniu szacunku i afektu mego dla WPana.

XXVIII.

Dnia 12 marca 1789 r.

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

Pisałem do WPana wczoraj w mniemaniu, że miał sztafetę wyprawić ipan Moszczeński. Lecz gdy on zwlekł tę wyprawę, aż do dzisiejszego wieczoru, to poniekąd i lepiej się stało. Ponieważ już teraz donieść mogę WPanu o zupełnej konkluzyi onegdajszej kwestyi z największym dla WPana honorem, a z największą dla mnie i wszystkich przyjaciół WPana radością.

Rzecz tak się dziś działa : Po zagajeniu marszałka sejmowego jpan marszałek Potocki zabrał głos, jakoby żądający sądu dla oczyszczenia WPana, że zaś mnie się zdało, że ta sama suppozycya sądu byłaby krzywdząca WPana. Zabrałem zaraz głos po marszałku Potockim w słowach, ile pamiętać mogę takich właśnie, jak tu się znajdują w przyłączonej kopii. I Bóg dał, że *nemine contradicente*, i owszem z znacznym odgłosem approbacyjnym przyjęte zostało moje zdanie, tak dalece, że i sam Suchodolski z wielką *modestyą* w kilku słowach oświadczył przystanie swoje do tej rezolucyi, która najlepiej będzie WPanu oznajmiona z woli Stanów przez jpana marszałka sejmowego.

Tak tedy cnota WPana tryumf odniosła czego serdecznie ci winszuję mój przyjacielu, a oraz winszuję ojczyźnie.

Teraz robiemy koło tego z marszałkiem sejmowym, abyśmy wdrożyli rozkaz sejmu do komissyi wojskowej, aby ta WPanu dała nowe ordynanse, podług których już byś WPan miał zupełnie uwolnione ręce od potrzeby nieprzepuszczania małych komend rossyjskich, i rugowania straży rossyjskiej od magazynów.

Ale tych zamiarów skutek dopiero za dni kilka będzie mogł nastąpić.

A teraz kończę w najserdeczniejszém upewnieniu nieodmiennego szacunku i afektu mego dla WPana.

Mowa Jego Królewskiej Mości, na sessyi sejmowej dnia 12 marca 1789 r. miana.

Jak życzyłem, tak spodziewałem się, że w końcu ostatniej sessyi już i ta materya koniec swój znaleźć miała, lecz gdy ją widzę odnowioną dopiero słyszaną mową, nie mogę ani ganić, ani dziwować się, że głos krwi, miłość imienia, a nadewszystko miłość sprawiedliwości, w wymowne usta godnego ministra włożyła żądanie sądu, lub jakiegokolwiek dokumentalnego oczyszczenia nieskażonej cnoty szanownego obywatela jpana Potockiego jenerała artyleryi. Gdy słyszę o sądzie, naturalna rzecz pytać się o winnego; winnego rozumiem, że tu nikt nie widzi, gdy słyszane na dniu onegdajszym dowody najlepiej okazały czyny tego obywatela, zawsze jednym torem sumienności i skrupulatnej podległości zwierzchnictwu swemu idącego. Powtóre, znam i przyznaję, że cnota tak jasna nie cierpi i cienia podejrzenia, lub winy tak, że i pozór oskarżenia nietylko daje prawo, ale i potrzebę uniewinnienia się każdemu, a dopieroż posłowi, a dopieroż tak zacnego imienia, tak dokładnie i wiernie sprawującemu swe obowiązki i urząd militarnego komendanta. Przy tych względach nigdy jednak z oczu i myśli tracić nie mogę tego, co powinno być zawsze objektem, i po-

danym celem naszym, aby oddalać to wszystko, co mogłoby zaostrzać wzajemnie i rozjątrzać umysły obywatelskie, i cokolwiek mogłoby nas zbijać z tego toru, którym nieodstępnie powinniśmy dążyć do najpotrzebniejszych zamiarów, to jest podatków, aukcyi wojska i stawiania się w tej sytuacyi, którąby nas i silnymi, i poważanymi czyniła. Godząc te różne między sobą objekta, odważam sią otworzyć me zdanie w nadziei, że trafię w myśl publiczności, która już okazała, jak dobrze trzyma o tym godnym obywatelu jpanu Jenerale artyleryi koronnej, to jest, zdawałoby mi się, żeby jpan Marszałek sejmowy za zezwoleniem Stanów napisał list do jpana Jenerała artyleryi, oznajmując mu przeświadczenie Stanów sejmujących i publiczności, nietylko o niewinności jego ale z doniesieniem i o szacunku oddawanym mu przez publiczność i Stany sejmujące, iż jest doskonale pełniącym obowiązki swoje i obywatelskie i żołnierskie, gdy łącząc rostropność z dzielnością, wykonywa dokładnie rozkazy, a stara się oraz tak czynić, żeby nie przybliżać tych ostateczności któreby najniebezpieczniejszemi dla naszej ojczyzny być mogły. Zdaje mi się, że nie mogłem bez uchybienia powinności królewskiej nie wynurzyć w tej okoliczności zdania mojego. Jako życzę i pragnę zawsze, aby moje zamysły mogły zyskiwać aprobacyę sejmujących Stanów, tak w tym momencie osobliwie żądam słyszeć mego zdania potwierdzenie przez przychylny odgłos sejmujących. Co gdy nastąpi rozumiem, że jpan Marszałek sejmowy dogodzi czuciu sprawiedliwości i własnej skłonności dla jpana Jenerała artyleryi koronnej, a potém potrafi otrzymać to od sejmujących, aby wszystkie odłożywszy na stronę inne materye, tej się jedynie trzymali, którąśmy rozpoczęli, to jest podatkowej.

XXIX.

Dnia 15 marca 1789 roku.

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

Ponieważ jpan Moszczeński sam jedzie do WPana będzie żywym listem dokładnie informującym WPana o wszystkich inszych szczegółach.

Ja zaś tu tylko to wypiszę, czego tenże jpan Moszczeński tak dokładnie wiedzieć nie może.

W nocie, którą książe Stolnik 27 *februarii* podał ministrowi berlińskiemu, włożył prawie wszystkie punkta całej swojej instrukcyi, na co go dość słusznie stary i biegły Hertzberg wyciągnął.

Na tę tedy notę ministeryum berlińskie *d.* 7 *martii* odpowiednią dając księciu Stolnikowi notę, w pierwszych paragrafach komplementowe tylko wyraża oświadczenia.

Dalej zaś że Król pruski chętnie odnowi z Polską traktaty aliansu i gwarancyi *już egzystujących, jak tylko okoliczności i okazye takie odnowienie uczynią przyzwoitém*, i że wtedy Król pruski chętnie także zapraszać będzie swoich aliantów, aby przystąpili do tej gwarancyi, a jako *traktaty zdawna egzystujące między Polską a Berlinem obowiązują do wzajemnej obrony przeciw attakom wszelkim nieprzyjacielskim, a niesprawiedliwym*, Król pruski w takich okazyach uiszczać się nie omieszka. A *jeśli* pokój będzie traktowany *per modum* kongresu, będzie się starał, aby Polska mieć mogła tamże swego reprezentanta, i tam utwierdzić swoją independencyę.

Co zaś do ustanowienia żądanych ze strony Polski sądów pogranicznych z Prusami, i komisyi do lepszej egzekucyi traktatu handlowego 1775, Król pruski poszle instrukcye ministrowi swemu w Warszawie, *gdy czas i okoliczności będą po temu.*

Dalej wyraża ta nota pruska skargi, jakoby w Litwie działy się innowacye szkodliwe handlowi pruskiemu, które Bucholtz ma wyszczególniać. Król pruski zaś oświadcza, że w Prusach Wschodnich ulgi jakieś dla handlu litewskiegs uczynić ma.

Przy posłaniu tej noty książe Stolnik pisze do deputacyi cudzoziemskiej *de* 8 *Martii*, *sequentia* :

Że ponieważ on, książe Stolnik, podał drugą notę późniejszą (już to tę z wyraźnego rozkazu sejmu) żądającą, aby Król pruski wdał swoje *bona officia* do Moskwy o zupełną *ewakuacyę*, Hertzberg mu odpowiedział ustnie : że póty jego Dwór nie odpowie na piśmie na te żądania, póki wiedzieć nie będzie po jakiemu sejm odpowiedział ambasadorowi na jego ostatnią notę, i że wtedy dopiero Król pruski ubliżać nie będzie *sua bona officia*.

Ale że Dwór berliński przekłada, iż chcieć teraz koniecznie *insistere* o ewakuacyę zupełną Polski, byłoby tak dobrze, jako pretendować od Moskalów, aby ewakuowali i Mołdawię i Wałachię, że toby przynagliło Rossyę do niemenażowania już niczego, a zatém Polskę przynagłałoby już wojnę wypowiedzieć wcale Moskwie zaraz, a tej wojny *teatrum* nigdzie indziej byłoby jako w samej Polsce.

Że zatém, Dwór berliński życzy, *żeby sejm tego tylko teraz domagał się od Rossyi, żeby udeterminowana była liczba straż rossyjskich przy magazynach. Tudzież żeby Moskwa nie wprowadzała żadnego nowego żołnierstwa do Polski, bez wyraźnego pozwolenia Rzeczypospolitej i bez paszportów polskich specyfikujących liczbę.*

Że w tym sposobie *independencya* i bezpieczeństwo Rzeczypospolitej będą w całości, i że przez to samo Berlin będzie miał czas kombinowania się ze swymi aliantami i dojrzewania *requisitorum*, aby medyacya pruska była respektowaną i powolnie przyjętą od wojujących.

Niżej dodaje książe Stolnik, że mu wielkie jednak zawsze czynią

oświadczenia, iż Król pruski lubo teraz temporyzuje, jednak tém silniej potém starać się będzie o ugruntowanie nieporuszone i zagwarantowane przez wszystkie potencye independencyi polskiej.

Potém donosi książe Stolnik, że stany, duchowny, miejski i chłopski we Szwecyi przymusiły niby Króla szwedzkiego do przyjęcia zupełnej absolutności, której gdy stan szlachecki chciał się przeciwić, dwudziestu z pryncypalnych zostali aresztowani, a między nimi feld-marszałek Fersen, który był głową opozycyi i brat tego Egenstroma, który tu u nas posłuje.

Z tego wszsytkiego wynika, że i Biskup kujawski i marszałek Potocki mówią sami, iż figluje trochę Dwór berliński z nimi, i że już nie trzeba tak ostrością zapędzać się przeciw Moskwie.

Ale że przed przyjściem tych wiadomości już nasi zelanci sejmowi wykrzyczeli to byli, że odmienić trzeba było notę responsową do ambasadora dobrze skoncypowaną od marszałka Potockiego, a odmienić ją w tém, że się domaga sejm, aby żaden żołnierz moskiewski nie znajdował się przy magazynach, i żeby te już tylko prostymi ludźmi strzeżone były. tak jak pruskie składy zbożowe u nas w Polsce będące: to zepsucie owej noty naszej responsowej, teraz trzeba naprawić, tak tu na sejmie, jako i ordynansami komisyjnemi do Wpana.

Ale że zawsze łatwiej zepsuć jak naprawić, trzeba do wszystkiego różnych zachodów, których ja tu wypisywać nie będę, ponieważ one Wpanu dokładnie opowiedziane będą przez jpana Moszczeńskiego.

Tego zaś posła proszę Wpana *instantissime*, abyś mi go jak najprędzej tu odesłał, ponieważ bez niego będzie mi tu z wielu miar wcale kulawo i niezręczno, i dla sejmowych interesów w powszechności, i dla tych mianowicie, które się do Wpana najwięcej ściągają.

Książe Potemkin w Petersburgu głośno radzi pokój i nie sprzyja Austryakom.

Proszę Wpana, abyś jmpani Jenerałowej artyleryi bliskich imienin ode mnie powinszował, a sam żebyś był nieodmiennie przekonanym, iż nie masz i mieć nie będziesz, lepszego nademnie przyjaciela.

XXX.

Dnia 20 marca 1789 r.

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

Tu przyłączona kopia listu jpana namiestnika Muchańskiego najlepiej opowie Wpanu cały interes jego, który już zdawna wiem, że jest wiadomy Wpanu.

Proszę cię mój jenerale potraf w to, żeby tenże jpan Muchański mógł

wyniść z chorągwi jpana hetmana wojsk koronnych, a dostać się w drugą, gdzieby prześladowanym nie był. Będę Wpanu miał za to partykularną obligacyę.

Po tém com Wpanu napisał zawczorajszą sztafetą jeszcze nic ważnego nowego nie nadeszło.

Więc kończę niniejszy mój list, w jednostajném a nieodmiennem upewnieniu szacunku i afektu mego dla WPana najdystyngowańszego.

XXXI.

(*cały ręką króla pisany.*)

Varsovie 1 avril 1789.

Madame la Comtesse Potocka, Grande Maitresse de l'Artillerie de la Couronne.

Recevez mes remerciements de la lettre si obligeante, dattée du 22 mars, que j'ai reçue aujourd'hui de Votre part.

Si je me suis trouvé heureux d'avoir pu défendre efficacement l'honneur et la vertu d'un citoyen aussi distingué et aussi bien méritant de sa patrie, que l'est Mr. votre epoux, croyez Madame que je suis vraiment flatté de la manière, dont Vous m'en parlez, et que je mets au nombre de mes satisfactions essentielles, de pouvoir Vous compter désormais toujours au nombre de mes amies.

XXXII.

d. 24 aprilis 1789.

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

Listy WPana *de* 9 *et* 17 *aprilis*, prawie razem odebrałem.

Mój list ostatni pod N° 4, a datą 22 *aprilis* dał wiedzieć WPanu, co tu się działo aż do wtorku przeszłego.

Miałem jeszcze nadzieję, że gdy na sessyi 21 *aprilis* obrót zdał się być dany takowy, przez którem deputacya cudzoziemska mogłaby przecie choć okrążając wdrożyć interes według prawdziwej potrzeby krajowej; jednak tak silne było staranie niektórych tejże deputacyi członków, że i tam rzecz nie poszła podług życzenia.

Więc owe ordynanse twarde jeszcze *subsistunt*, a zatém ta tylko jeszcze trwa nadzieja, że sama Imperatorowa nie da się jeszcze i teraz odwrócić od przedsięwzięcia dotychczas stale zachowanego słodkiego z nami obchodzenia się; a może też i z Berlina nie ze wszystkiém takie

przyjdą *responsa*, jakichby sobie życzyli ci, co koniecznie chcą prowadzić rzeczy *ad extrema*.

Nadeszła tu sztafeta wczoraj z Wiednia z wiadomością, że się Cesarzowi tak znacznie polepszyło na zdrowiu, iż dnia 18 *aprilis* rozkazał: aby poprzestano po kościołach modłów publicznych za nim, i żeby się teatra znowu otworzyły.

Do Miecznika koronnego piszę dzisiaj obligując go, aby zamiast jechania do Warszawy, pozostał jeszcze w województwie bracławskiém, i tam doglądal komisyi porządkowej, *in consequenti* tego, co w przytomności WPana uczynił, i za co mu dziękuję. Oznajmiłem mu oraz, jak dobre w tej mierze dałeś mu WPan przedemną świadectwo. W tej okazyi brat jego, Kasztelan bracławski informował mię, że urząd sęski w województwie bracławskiém ma wkrótce wakować, i bardzo mnie prosił ażebym WPana obligował, żebyś nie promował na ten urząd obcego lub świeżo przychodniego do województwa bracławskiego obywatela, i żebyś raczył okazać w takowej promocyi względność dla żądań tychże Grocholskich. Odpowiedziałem jpanu Kasztelanowi bracławskiemu, że gdyby jpan Miecznik koronny teraz dał dowód powolności dla WPana, to samo zapewne skłoni WPana ku prośbie ich, do której z tej właśnie przyczyny i ja łączę moją.

Co się tyczy przyzwania na Wołyń jpana jenerał-lejtenanta Malczewskiego jakoby w pomoc WPanu, co WPan sam do mnie piszesz w liście swoim *de* 17 *aprilis* inaczej odpowiedzieć nie umiem, tylko że uznaję w tém *modestyą* i dobroć jednostajną umysłu WPana. Ale dodaję, że wcale bym nie życzył abyś WPan to żądanie komukolwiek inszemu wyraził, ani, żeby się to ziściło teraz. Najprzód, szkoda ruszać jenerała lejtenanta Malczewskiego z Wielkopolski, bo i tam trzeba człowieka pewnego i dobranego. Powtóre rozumiem, że on dla wieku swego podeszłego, jużby i sam nie rad ruszać się z rodowitego i przywykłego już teraz od lat kilku siedliska, ile że gdym go tam chciał przenosić, dość miałem trudu namówić go na te przenosiny, ponieważ już był przywykł do Ukrainy. Potrzecie, zdaje mi się, że WPan gdy teraz osobiście się pokażesz na Wołyniu, tak dobrze tam wszystko urządzisz, że i potrzeby nie będzie przywoływać tam nikogo w pomoc WPanu, i jako szczerze sprzyjający WPanu, życzę i spodziewam się, że WPan sam z uspokojenia Wołynia odniesiesz sławę, nie dzieląc ją z nikim. Jeżeli zaś w nadeszłej jesieni tegorocznej, zdrowie WPana każe mu myśleć o podróży włoskiej, wtedy będzie dość czasu obmyślać następcę dla WPana w komendzie. A tymczasem ja jestem w przekonaniu, że najlepiej będzie dla kraju, żebyś ją WPan zachował w całkowitości tak, jak ją trzymasz dotychczas.

Dziękuję WPanu za dobre jego chęci dla namiestnika Muchańskiego.

Na wczorajszej sessyi dwie rzeczy zrobiono, pierwszą dla zmartwie-

nia mnie, drugą do podziwienia. Najprzód, natężono naleganie o *rezolucyą* ministrów polskich dawnych tam gdzie są nowi; jednak wymierzono w tém najpryncypalniej do Corticellego, z którym prawdziwie popełniają okrucieństwo, bo splamiwszy go publiczném zadaniem, miejsca mu dotychczas nie dozwalają do oczyszczenia się, lubo wiedzą doskonale że jest niewinny. Potém wniósł jpan Tyszkiewicz poseł żmudzki, pierwszy raz od początku sejmu mówiący, że markietanie i popi ruscy napełniają Żmudź, a zatém, że na ubezpieczenie tamtego księstwa, trzeba nakazać księciu kurlandzkiemu przystawić do Rossyi 500 piechoty jego, podług obowiązku zabranego przez ojca jego w roku 1737, *in necessitatibus reipublicæ*. Kilku Żmudzinów, a między nimi blizcy krewni tego pana Tyszkiewicza upewnili mię, że i jednego popa ani markietana na Żmudzi nie masz, jednak sejm uwierzył i rozkazał.

Potém przecie dano znowu wprowadzić materyą podatków dziedzicznych. Rozdwoiła się Izba nad tą kwestyą, czyli lustratorowie mają być od sejmu wyznaczeni, lub po województwach obierani. Zaleski poseł trocki był autorem ostatniego zdania, i potrafił przez udzielne starania wyperswadować marszałkowi sejmowemu, jakoby to zdanie było lepsze. Przekładano Małachowskiemu marszałkowi, jak wiele niebezpieczeństw co do spokojności publicznej, jak wiele zwłok i uszkodzenia dochodu publicznego wyniknąć mogłoby z tego zdania, ale daremnie, maszałek sejmowy sam dał kreskę za zdaniem Zaleskiego. Przecież pięćdziesięciu kreskami przewyższyło zdanie przeciwne. Matuszewic i Suchodolski żądali kresek sekretnych, lubo nieprawnie w materyi podatkowej, pretendując że w tej okazyi nie o podatki przecie, tylko o formalność szło, ale gdy nie broniono im tych kresek sekretnych, wtedy sami od nich odstąpili.

Na dzisiejszej sessyi sejmowej, dopiero drugi artykuł z dziesięciu ugodzono, w projekcie podatku dziedzicznego.

Kończę w upewnieniu najszczerszém nieodmiennego afektu mego dla WPana.

XXXIII.

(*cały ręką króla pisany.*)

d. 29 aprilis 1789.

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

Przerażony listem WPana *de 22 aprilis sub* N° 2, zaraz naradziłem się ze wszystkiemi temi osobami, które najszczerzej i ojczyznie i WPanu dobrze życzą. Wszyscy się ze mną na jedno zgodzili, że kto rzuca okręt

i w nim żeglujących w czasie burzy, nietylko kompanów, ale sam siebie krzywdzi.

Im bardziej WPanu sprzyjam, tém tkliwiej czuję tę prawdę. Jeśli kochasz swoją własną sławę, odmień to przedsięwzięcie, a ponieważ w moich rękach zostaje rezygnacya WPana, ja ją z mych rąk nie wypuszczę dopóki responsu na niniejszy mój list nie pozyskam, a tego responsu wyglądam niecierpliwie.

Nawet i to jest mi przełożono, że w czasie zaburzenia domowego w jakiém już jest prawie nasz kraj, rzucającemu służbę, mógłby kto niechętny i prawny zarzut uczynić. Tak mocno jestem zajęty tym jednym obiektem, że o żadnych inszych tym razem do WPana pisać nie umiem. Prawdziwy a przeto nader zażalony przyjaciel WPana.

Co ja mówię, to zapewne i inkludowane tu listy równie mówią.

XXXIV.

(*cały ręką króla pisany.*)

d. 30 aprilis 1789.

Lubom chory tak że ledwo dla bolu głowy widzę co piszę, jednak ważność interesu nagli mnie że te kilka słów piszę, prosząc go i zaklinając, nie czyń sobie i nam krzywdy i ojczyznie, i nie rzucaj komendy. Resztę oddawca lepiej powie, jpan Stanisław Potocki. Mój jenerale, proszę cię jeszcze raz, usłuchaj nas.

XXXV.

(*cały ręką króla pisany.*)

d. 12 maji 1789.

Jpan Stanisław Potocki przywiózł mi respons WPana, a w kilka dni potém odebrałem także od WPana list *de* 6 *maji*.

Bardzo jestem kontent, że przecie na perswazyę moją zostajesz jeszcze Wpan przy komendzie. Prawdziwie przez to dajesz WPan nowy dowód i dobrego obywatelstwa i życzliwości dla mnie, czego jestem WPanu z serca wdzięczen.

I przed powrotem jpana Stanisława i później, różne się tu gotowały burzliwe sceny względem WPana i tegoż pana Stanisława.

Na sessyi 5 maja, gdy wielkie czyniono nacierania o komendy, widziałem potrzebę mówienia osobiście, jako WPan zobaczysz *sub lit. A.*

Na wczorajszej sessyi przecie się jeszcze obeszło cicho o WPanu. Co

dziś będzie, za to jeszcze ręczyć nie można. Ale mam nadzieję, że choćby co i tentowano, nie przemoże niechęć nad cnotą WPana i przyjaźnią naszą.

Wybacz mój Jenerale kochany że dzisiaj obszerniej nie piszę do WPana, bo nietylko wielość zbiegłych różnych interesów mię obciąża, ale i niektóre osobiste a bardzo tkliwe umartwienia, są mi do tego przeszkodą. A czego ja nie wypiszę, to jpan Stanisław Potocki jednak zapewne WPanu doniesie. Ale za to sobie nadgrodzę w dalszej a zawsze bardzo miłej dla mnie z WPanem korespondencyi.

Lit. A.

Mowa Jego Królewskiej Mości na sessyi sejmowej d. 5 maja 1789 r.

Uczy nas wiadomość dziejów inszych narodów, uczy historya, że we wszystkich krajach, we wszelkich czasach, i w najabsolutniejszych państwach, trafiały się takie przykłady, że komendanci wojsk chociaż najzasłużeńsi, czasem doznawali takich przykrości (acz na nie nie zasłużyli,) które ich wiodły do chęci składania komendy. Też same mówię doświadczenia i historya uczy, że w tych samych państwach gdzie podobne chęci do składania komendy widzieć się dały, działo się jednak, że władza rządowa, jeżeli w wolnym narodzie to w rzeczypospolitej, jeżeli w monarchicznym, to w osobie panującego, skłaniała się do kroku powolnego i łaskawego, to jest: że rządzący czyli rząd, czynił reflexyą chcącym składać komendę, przekładając im pole i potrzebą dalszych dla Ojczyzny ich zasług. Jestem w przekonaniu, że Rzeczpospolita straciłaby wiele na tém, żeby jpan Jenerał artyleryi koronnej, miał złożyć w tym czasie komendę. Gdy uczynił do mnie o to odezwę, nie taję, żem pisał do niego perswadując mu, aby od tego zamysłu odstąpił. W blizkich dniach oczekuję od niego responsu, wtedy będzie czas rozmyślać, komu i jak komendę powierzyć, jak rozrządzić tém wojskiem, które ten godny obywatel, pod swoją chwalebnie dotąd utrzymuje zwierzchnością. Któż wie czyli nieufność w niektórych wyrazach temuż okazywana, nie przeraziła tkliwe serce jego, i nie stała mu się pochopem składania komendy? Łatwo być może, że gdy ten mąż uzna, iż Rzeczpospolita sejmująca ceni zasługi i tylokrotne jego ofiary, w których podobno nikt nie miał sposobności w tym czasie celowania jego, któż wie mówię, jeżeli chęci i intencyi składania komendy nie odmieni? A gdy przy niej zostanie, rozumiem, że istotnie usłuży ojczyźnie. W tej więc nadziei, i z tych przyczyn, nie jestem w zdaniu, aby uprzedzać tak krótką zwłokę daniem teraz względem komendy rezolucyi.

Co się tycze innych materyj, z ostatniej depeszy księcia Stolnika tu słyszanych, obiecywać sobie powinniśmy w dniach blizkich notę responsującą od Dworu berlińskiego, a ta sama przyczyni nam światła do dalszych kroków naszych. Co przezacnym Stanom z urzędu i przekonania mego przełożywszy, solwuję sessyą na czwartek.

XXXVI.

d. 26 junii 1789.

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

Odebrawszy raport WPana datowany 15 Junii, napisałem zaraz bilet do jpana hetmana Tyszkiewicza. Odpisał mi w tych słowach: «Nie masz czego się lękać, aby jaki zły *ewent* wypaść dotąd mógł dla wojska teraz rekrutowanego, gdyż rekwizycye nasze od dni kilku były do skarbu o fundusze na podobne opłaty podane, *vigore* których komisya skarbowa powydawała różne asygnacye według okoliczności dla uskutecznienia przełożeń komisyi wojskowej, które albo już doszły, albo wkrótce dojdą jpana jenerała artyleryi koronnej.»

Gdy więc tak jest, rozumiem że ja i WPan już możemy być uspokojeni względem utrzymania rekrutów przy regimentach nowo zawerbowanych.

Chwała Bogu, że jpan marszałek sejmowy i to wyrobił w komisyi wojskowej względem przebrania regimentów, że i nie nagle i nieszkodliwie w tém będzie postąpiono.

Drugi raz chwała Bogu, że tenże jpan marszałek sejmowy Małachowski dał mi się przecie uprosić, że nie będzie z Warszawy wyjeżdżał przez czas przerwy sejmu.

Ta zaś przerwa lubo jest oznaczona tylko do 13 lipca, jednak tak miarkuje jpan marszałek sejmowy, że tak mała liczba sejmujących będzie się wtedy znajdować w Warszawie, iż koniecznością będzie odwoływać sessye może jeszcze przez kilka potém tygodni.

Nie będę tu rozszerzał się z opisywaniem niewinnych wcale przykrości, których doznałem przy tém solwowaniu w przeszłą sobotę, ponieważ cała Izba sejmująca prócz dwóch tylko osób, a nakoniec już tylko prócz jednej, nietylko przyzwolenie, ale owszem żądanie swoje do mnie wyraziła przez usta marszałka sejmowego o tę przerwę. Wiem że to musiało być okolicznie doniesione WPanu przez inszych. Ja tedy tę przykrość przykładam tylko do komputu tych cierniów, które podobało się przeznaczeniu do korony polskiej poprzytykać, a słodzę je sobie nadzieją, że przecie nakoniec uzna naród, że ani przyczyny, ani korzyści nie może znaleźć w martwieniu i szkodzeniu mnie.

Nadchodzą sejmiki deputackie. Wiem, że ze strony jpana hetmana Branickiego zachodzą już wielkie starania w różnych miejscach. Nie wiem jakie on będzie dobierał subjekta. Ja mam za powinność przykładać się ile możności do wyboru deputatów cnotliwych i zdolnych. W tym duchu już na Wołyń i w Kijowskie pisałem. W Bracławskiém ani wątpić mogę że WPan już musiałeś sam o tém mieć pamięć, a ja

dziś jpana Kasztelana bracławskiego obliguję, aby brat jego Miecznik, stérował swoje w tém czynności do myśli WPana.

Piszę dzisiaj także do jpana Lipińskiego podkomorzego podolskiego, obowiązując go, żeby się znosił z WPanem i z tymi, którzy z myśli WPana będą strzegli sejmików podolskich.

Jeszcze Dwór berliński nie dał responsu na notę, którą z rozkazu sejmu Deboli tam podał, ale są już poznaki, że respons nie będzie zły.

Gdym napisał dotąd, powziąłem od jpana Stanisława Potockiego wiadomość, a potém i od panów Prota i Seweryna Potockich wiadomość, i o żądaniu WPana *favore* jpana Janczyńskiego do podsędkostwa bracławskiego, i o suppozycyi, jakoby jpanowie Grocholscy chcieli czynić WPanu przeciwność. Natychmiast wezwałem jpana Kasztelana bracławskiego, i skutek rozmowy mojej z nim daje się widzieć w liście tegoż Kasztelana *volanti sigillo* do brata Miecznika na moje ręce danym, który ja WPanu tu inkluduję, abyś go sam przesłał panu Miecznikowi koronnemu.

Jak życzę tak spodziewam się, że Wpan uznasz w tym postępku moim nowy dowód jak szczerze pragnę w każdej rzeczy dogadzać Wpanu, i przez to coraz go lepiej przekonywać o najszczerszym afekcie moim.

Oświadczył mi przy tej okazyi jpan Kasztelan bracławski troskliwość swoję o województwo bracławskie. Upewniłem go, że gdyby umarł jpan Lanckoroński wojewoda, to krzesło go nie minie, ponieważ Wpan zostajesz jenerałem artyleryi, już przestałeś o tém województwie myśleć. On na to proponował mi, czyby Lanckoroński nie mógł wziąść ruskie, a zostawić mu przeto prędzej bracławskie, odpowiedziałem, że najprzód muszę się uiścić w słowie, że Starosta holsztyński, musi zostać wojewodą. Pytał mi się znowu, czyliby Starosta holsztyński nie kontentował się kasztelanią bracławską, którą posiadał ojciec jego? Odpowiedziałem, będę się trzymał tego, o co mnie będzie prosił jpan Jenerał artyleryi.

XXXVII.

(*cały ręką króla pisany.*)

d. 5 julii 1789 r.

Dwa raporta Wpana *de* 22 *et* 26 *junii* odebrałem.

Spodziewam się, że listy moje do Wpana sub N. 12 przez sztafetę, tyczący się jpana Janczyńskiego, a późniejszy pod N. 13 przez jmpana Kamienieckiego, i trzeci przez jpana Dulskiego, jedne już doszły, a drugie wkrótce dojdą.

Do niniejszego pisania mego objekt jest ten, że Książe jenerał podol-

ski, przyszedł wczoraj do mnie z jak najżywszą i najusilniejszą prośbą o to, żeby Pius Borejko został podkomorzym latyczewskim, a przeto sądzę, że albo nie wie o tém Książe jenerał iż wolałby pan Pius Borejko zostać na podstarostwie latyczowskiém, niżeli widzieć sukcessorem swoim pana Grzymałę, albo że tenże p. Pius Borejko odmienił swój sposób myślenia od marca.

Tak zaś mocno oświadczył Książe jenerał w tym punkcie żądanie swoje, przywiązując do skutku onego swój punkt honoru i dalsze względem mnie kroki swoje, że prawdziwie nie mało mi to daje zatrudnienia i troskliwości, i właśnie inszego teraz nie wynajduję środka, nad ten jeden, proszenia i obligowania WPana, abyś z powagą i umiejętnością swoją tak potrafiał na tym sejmiku elekcyjnym, żeby najmniej kwasu z niego wynikało.

Prawdziwie jak do poufałego przyjaciela w tym punkcie się udaję, chciej mi w tém być pomocny, w czém jeden WPan oswobodzić mnie możesz od najprzykrzejszego ambarasu.

Anxie wyglądać będę responsu, a teraz kończę w najszczerszém upewnieniu jednostajnego szacunku i afektu mego dla WPana.

XXXVIII.

z Warszawy d. 14 julii 1789 r.

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

Na listy WPana *de* 29 *junii et* 2 *julii*, z których ostatni jest pod N 13 dając respons, dziękuję WPanu za to, że jpana Dzierzka od sprzedaży zbyt śpiesznej brygady wstrzymujesz.

Żeby kongres już miał być między wojującymi bliski w Jassach, wątpię i ja, ale jednak to ma być pewna, że książe Potemkin ma mieć zupełną moc zrobienia pokoju, jak prędko się pomyślna poda do tego pora, i to nawet bez zbytniego dla Turków nacisku.

Do Wiednia zaś przez Belgrad często listy ze Stambułu przychodzą, negocyacyą pokoju osobnego oznaczające, na którego zawarcie Moskwa zezwala, a którego zbliżenie ztąd wróżą, że ambasador francuzki potrafił znowu poprawić kredytu, i influencyi swojej, tak dalece, że wezyr jest z urzędu złożony, ten który najwięcej do wojny zachęcał, a inszy pasza imieniem Hassan (ale nie ex-admirał) na jego jes osadzony miejscu.

Jeżli prawda, że Moskale porazili Turków pod Benderem, to tém bardziej pewnie ułatwi się im tegoż Benderu oblężenie.

Jeżelim *favore* jpana Janczyńskiego uczynił tyle starania, że aż sam Kasztelan bracławski do brata napisał na ręce WPana, to nie z inszego

powodu ja uczyniłem, tylko że powiedział mi jpan Stanisław Potocki że WPan tego mocno życzysz. Rozumiałem tedy, że uczynię w tém rzecz przyjemną dla WPana, i dam nowy dowód mojej dla WPana przyjaźni.

Ażeby tę rzecz lepiej wyświecić, przyzwałem samego p. Janczyńskiego, i jpana Kasztelana bracławskiego, i z niemi pozostałem tak, że ponieważ *innotescencye* jeszcze nie wyszły na tę elekcyę podsędkowską, ma czas pan Janczyński pojechać w Bracławskie, i tam pougładzać zawady, które tamże z konkurencyi różnych jeszcze jemu sprzeciwiać by się mogły.

Winienem świadectwo jpanu Kasztelanowi bracławskiemu, że w tej mierze bardzo otwarcie i rzetelnie pokazał się z panem Janczyńskim.

Tegoż pana Janczyńskiego ja obligowałem, ażeby gdy już stanie na stopniu podsędkowskim konferował komornikostwo ziemskie panu Adamowi Nehrebeckiemu. A gdy pan Janczyński odpowiedział mi, że w tym p. Nehrebeckim zna zdolność i dobry charakter, tylko że się i w tém determinować nie chce bez WPana, zatém ja pochwaliwszy Janczyńskiemu tę względem WPana delikatność, samego WPana proszę za tym Nehrebeckim.

Ja zupełnie ufam, że tak jest jak mi WPan piszesz, iż w Smilańszczyznie zupełnie cicho, jednak muszę przestrzedz WPana, że mi Marszałek sejmowy powiedział, że hetman Ogiński teraz prezydujący w komisyi wojskowej jemu powiadał, o jakichsiś wieściach, jakoby w Smilańszczyznie coś na nowo wrzało.

Pojmuję ja dobrze, jak bardzo nudzić WPana muszą warszawskie szykany, bo nikt ich przykrzej obecnie nie doświadcza nademnie. Jednak słodzę je sobie tą uwagą, że przecie wiele dobrego, choć dziwnym sposobem robi się na tymże sejmie; a że po ludzku *sunt bona mixta malis*. Śmielej zaś WPanu zalecam cierpliwość, że ją sam codziennie praktykuję.

A teraz tém kończę czego zawsze najszczerzej życzyć będę, to jest: *Vale et me ama*.

XXXIX.

z Warszawy d. 23 julii 1789 r.

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

Odebrałem w tych dniach raport WPana *de* 6 *julii* i list jego *de* 9 *julii* pod N.13 z przyłączonemi do niego raportami. *Item* raport 13 julii, a nakoniec list WPana *de* 17 *julii* przez jpana Seweryna.

Względem raportów i listu WPana *de* 9 *julii*, nie mam co odpowie-

dzieć, tylko że mój sposób myślenia jest zupełnie zgodny z WPanem.

Co do materyi która jest objektem listu WPana ostatniego *de* 17 *julii*, najprzód powiem, żem już podpisał przywilej na osobę jpana Szczaniawskiego, i oddałem go w ręce jpana Seweryna.

Z jpanem Kasztelanem bracławskim zaś mówiłem, przekładając mu zadziwienie moje nad tém, co się na tym sejmiku działo, po tém co mi tu jpan Kasztelan obiecał i uczynił listownie *favore* jpana Janczyńskiego. Sam jpan Kasztelan uznał, że sejmik kancelaryjny niedobry, i że w żaden sposób promocyi jpana Szczaniawskiego przeciwić się nie może.

Gdym zaś się pytał, czemu przyśpieszono ten sejmik przeciwnie ułożeniu tutejszemu, podług którego jpan Kasztelan przyrzekł w mojej przytomności jpanu Janczyńskiemu, że mu czas zostawi *innotescencyą* do zjechania tam na miejsce, i uczynienia starunku przyzwoitego? Odpowiedział mi na to Kasztelan, że to przyśpieszenie sejmików było dziełem Starosty kołomyjskiego, a nie syna jego. I owszem, że Miecznik koronny dowiedziawszy się o zamyśle tego przyśpieszenia, przysłał *innotescencyą* z terminem dalszym, aby zostawić sposobność do przybycia Janczyńskiego. Ale że ubieżono i tę *innotescencyą* przyśpieszeniem sejmiku.

Ja na to wszystko tę tylko konkluzyę położyłem, że jak żądałem tak żądam, aby jmpanowie Grocholscy szczerze i jasno swoje kroki prowadzili tak, ażebyś WPan wierzyć i ufać mógł ich dla siebie przychylności.

Przy tej okazyi przełożyłem mu także najusilniej potrzebę, żeby jako senator województwa bracławskiego przykładał starania jak najmocniejszego, aby opinia powszechna była dobrą o *judicaturze* tegoż województwa. Oświadczył mi się w tém *conformiter* do mego żądania. Tudzież, że sam będzie pisał do WPana z okazyi tego sejmiku.

O dziejach sejmowych nie będę tu dowodził, bo wiem, że jesteś o nich informowany dokładnie.

Nie zostawują mi te sejmowe zatrudnienia nawet sposobności brania kuracyi, i używania należytego wód pirmontskich, lubo mnie mocno potrzebnych dla zwątlonego przez pracę i zgryzoty zdrowia.

Ale czy zdrowy, czy chory, czy wesół, czy smutny, zawsze z serca kocham przyjaciół moich, w których rzędzie pierwszym z chlubą kładę WPana.

P. S. Ostrzeżono mię, iż pewny list jpana Starzyńskiego do WPana pisany, względem podkomorstwa latyczewskiego, ktoś z kancelaryi WPana wydał sekretnie *copiatim* jpanu Grzymale, zkąd razem wynikają *inconweniencyę*. Nie wiem czy to jest prawda? Wszelako WPan chciej rozkazać, aby pilny miano dozór nad wiernością tych, którzy do kan-

celaryi WPana należą, ażeby bezpieczeństwo papierów, i poufale z nim korespondującego zachowaném było.

XL.

z Warszawy d. 4 augusti 1789 r,

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

Raporta dawniejsze i ostatnie *de* 23 *julii* wraz z listem WPana tejże daty odebrałem, i nań odpisując odwołuję się do ostatniego listu mego pod N. 16, w którym dogodziłem żądaniu WPana względem pana Szczaniawskiego.

W tej okazyi, jak w każdej miło mi było okazać chęć moją zawsze skłonną do ukontentowania WPana.

Tutejszych dziejów nie opisuję WPanu, bo wiem, że jesteś o nich bez tego informowany, a mnie samemu, ile teraz po świeżém prawie tak rano zaczynających się sessyj, prawie żadnego momentu wolnego nie zostawują; a przytém w ustawnej niespokojności jestem utrzymywany przez codzienne, dziwne, niespodziewane, a tkliwie martwiące okoliczności.

Jednak, czy w przyjemnej, czy w przykrej sytuacyi nie przestanę nigdy być czułym i wdzięcznym dla prawdziwych przyjaciół moich. A że w pierwszym rzędzie tych mogę kłaść Wacpana, to samo słodzi mi jednak wiele przykrości.

XLI.

z Warszawy d. 14 augusti 1789 r.

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

Odebrałem *successive* raporta WPana *de* 27 *et* 30 *julii et de* 3 *augusti* tudzież list WPana *de* 20 *julii*.

Powtarzał przedemną jpan Kasztelan bracławski wyrazy żalu swego, że ostatni sejmik winnicki dał okazyą WPanu nieukontentowania, i że nie z jego syna *primitive*, wyniknęła owa nieprzyzwoitość oddzielnego niby sejmiku, w kancelaryi twierdził.

Ja na to odpowiadając, powtórzyłem tylokrotne już zalecania moje aby się jak najprzychylniej parozumiewali zawsze jpp. Grocholscy z WPanem, i z tém wyjechał Kasztelan bracławski z Warszawy.

A gdy on oddalił się od sejmu, i tam zjedzie w Bracławskie, radbym tu widział Miecznika koronnego, i Starostę kołomyskiego. Ponieważ

bardziej ukazuje się potrzeba tutaj przytomności osób sejmujących, którzyby nietylko zapalczywością, ale refleksyą dojrzałą rządzili swój patryotyzm.

Już też teraz podobno szczerze pomyślą o obleżeniach Belgradu i Benderu, a tych obleżeń *event* udecy duje *probabiliter* pokój w przyszłej zimie.

O naszych tutaj działaniach prawdziwie nic wróżyć nie można po tylu tak niespodziewanych czynnościach.

Przełożyłem jpp. marszałkom Małachowskiemu i Potockiemu konieczną potrzebę poufałego pomiędzy nami trzema porozumienia, jeśli chcemy szczerze odwrócić jeszcze wiele złego.

Marszałek Małachowski najskłonniej w tém mi się oświadczył. Marszałek Potocki zaś grzecznie, ale nie jasno.

Czemu to wielu takich ludzi nie masz jakim WPan jesteś.

XLII.

z Warszawy d. 25 augusti 1789 r.

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

List WPana *de* 13 *augusti* odebrałem z przyłączonym raportem, rówmnie jako i raport *de* 10 *augusti*.

To pewna, że francuzkie przykłady sam słyszałem cytowane na naszym sejmie przed tygodniem.

Gdy wczorajsze wiadomości ztamtąd informują, jak przecie do umiarkowańszych kroków wracają się we Fracyi, należałoby więc i te przykłady lepsze wziąść w uwagę i do naśladowania.

Przed sessyą dzisiejszą pisząc, przewidzieć nie mogę, co na nie usłyszę.

Cesarz znowu miał gorączkę, nowember podobno będzie decydujący względem niego.

Teraz przychodzi mi pisać do WPana w interesie małego człowieka, ale dobrego, którego znam, który umie dosyć, a chce umieć więcej. Trafia mu się okazya jechania do Francyi; można się spodziewać, że on na dobre zażyje pozwolenia gdy mu będzie dane, bo ma aplikacyą i dobre obyczaje. Kopią prośby jego tu łączę, i proszę WPana o pomyślny *respons* dla niego.

A teraz kończę w nieodmiennném upewnieniu, że WPan nie masz przyjaciela lepszego nademnie.

Do Nru XLII.

Jan Szeymeder porucznik korpusu artyleryi koronnej i profesor ręcznych rysunków w tymże korpusie, odważa się u nóg W. Kr. Mości najpokorniejsze złożyć prośby, aby w zamiarze wydoskonalenia się w naukach wojskowych, mógł mieć pozwolenie jechania do Francyi. Miejsce zaś profesora przez czas niebytności zastępującemu, połowę pensyi, czyli zł. p. 1250 rocznie ustępuję.

Za wdaniem się Najjaśniejszego Pana, JW. Jenerał przychyli się, ażeby p. Ekert z korpusu inżynierów powinności dopełniał profesorskich.

XLIII.

z Warszawy de 28 augusti 1789.

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

W tych dniach odebrałem raport WPana *de* 19 *Augusti*, i dwa listy osobne de 18, jeden za jpanami Perekładowskim i Rudnickim, drugi za jpanem Szubalskim.

Wiesz WPan wielu to teraz zacinkami skrępowana jest moja dystrybuta, będę jednak szczerze koło tego czynił, żebym tym trzem godnym, ile od WPana zaleconym oficerom, skutecznie pomógł.

Alboż informacya księcia Michała względem prawdziwej przyczyny najazdu o który się skarży p. Zawojski, sprawi, że tu nie będziemy tak lekkowierni.

O wczorajszej sessyi dość ciekawej, wiem że WPanu dokładnie będzie doniesiono, zaczém ja opisywania onej tu powtarzać nie będę.

Vale et amicum ama.

XLIV.

z Warszawy de 4 septemb. 1789.

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

W tych dniach odebrałem od WPana raport pod datą 24 augusta, tudzież dwa listy, jeden za panem Nowickim *de* 18 *Junii*, drugi za panem Steckim *de* 26 *Augusti*.

Nowicki równie mnie i ucieszył i zadziwił pięknością użytecznej mappy jego. To dzieło dowodzące umiejętności jego, daje mu prawo do partykularnych moich dla niego względów, i będę go zapewne promował, ile mi tylko dozwolą te tysiączne zawady, któremi jestem codziennie zarzucony.

Sam zamysł w rozkazie zrobienia tej mappy, oznacza w WPanu takiego komendanta dywizyjnego, który w samej rzeczy umie być komendantem dla ojczyzny najusłużniejszym. Dwoistą zaś mam satysfakcyę z talentów i umiejętności p. Nowickiego, że to jest przecie wychowanek moich kadetów, i który nigdzie indziej nie uczył się tylko tam.

Jpan Stecki, gdy mi jest i od WPana zalecany, i jest oraz jpana Marszałka sejmowego siostrzeńcem, pewien jest także najlepszych dla siebie chęci moich; ale dziś jeszcze nic *positive* nie mogę o nim zapewnić, ponieważ nietylko też same zawady o których wspomniałem wyżej, i względem niego będą mi czyniły zatrudnienia, ale do tutejszego zamętu przyczynia się to, że od dni kilku zaczęta sprawa księcia Ponińskiego tak teraz wszystkie głowy zajmuje, że u nikogo prawie *attencyi* i czasu nie zbywa do żadnego inszego interesu.

Ledwie mi zostaje w całym dniu godzina czasu, i to niezawsze dla moich własnych korespondencyj i interesów, dlatego nigdy prawie obszernie pisać do WPana nie mogę. Przytém samem niezdrów, a właśnie i chorować czasu nie mam; a niezdrowie codziennie mi kogoś odejmuje, że coraz mniej mam pomocy.

Mój brat Prymas jedzie do Tralesa; aboż tam przynajmniej znajdzie zdrowie, które mu zgryzota odjęła.

Jeżeli WPan nieodbicie w drogę wybierać się będziesz, proszę cię i zaklinam, przynajmniej bądź w Warszawie, abyś tu ze mną i marszałkiem sejmowym wprzód obecnie umówił się co i jak zrobić z komendą pod niebytność WPana.

To zaś pewna, że nigdy bardziej na niezdrowie WPana nie będę ubolewał, jak gdy cię przymusi do oddalenia się z kraju, w którym całym drugiego pana jenerała artyleryi Potockiego, ani mój umysł, ani moje serce, nie znajdują.

P. S. De 13 *Augusti*, książe Nassau zabrał siedm statków wojennych Szwedom, więcej tysiąca wziął w niewolę. Resztę szwedzkich wpędził w rzekę Kimen.

XLV.

de 21 septemb. 1789.

Mości Panie Jenerale artyleryi koronnej.

Successive odebrałem trzy raporta WPana *de* 7 *et* 10 *Septembris*. Tudzież list WPana dawniej pisany za księdzem Szydłowskim.

Favore tego księdza uczyniłem zaraz staranie podług myśli i życze-

nia WPana, i spodziewam się że w tych dniach interes tego księdza pójdzie pomyślnie.

Objekt dzisiejszej sztafety ponieważ będzie dokładnie opisany WPanu przez jpana Stanisława Potockiego, ja tu już powtarzać nie będę. To tylko wyrażę, że miałem to sobie za miłą powinność i w tej okazyi dać przestrogę do obrony WPanu służącą, do której tém chętniej zabieram się, że widzę z raportu WPana, że aż do zbytniego stopnia skrupulatności WPan siebie krępujesz w zachowywaniu nietylko istotnych rozkazów komissyi wojskowej, ale nawet do zgadywania że tak rzekę, jej myśli, siebie i drugich wiążesz.

Spodziewam się, że i względem tego mniemanego listu księcia Józefa Lubomirskiego rzecz się tak wyjaśni, że zawstydzeni będą ci, którzy złości swojej przezeń cicho chcą dogodzić.

Benedykt Hulewicz uradował mnie dzisiaj tą wiadomością, że WPan w takiém Bogu dzięki dobrém znajdujesz się zdrowiu, że już nie potrzebujesz i nie zamyślasz jechać do Włoch. Cieszę się wielce i jak przyjaciel żeś zdrów, i jak król, że komenda z ręki WPana wychodzić nie będzie.

Że jednak nie będą tu przestawać w przemyślaniach i wyszukiwaniu sposobów, jakby choć część tej komendy WPana w inne oddać ręce, wielce by było dla mnie pożądaném i dla dobrego układu rzeczy użytecznėm, żebyś tu WPan mógł zbiedz choć na czas niedługi. Wszak wiesz WPan jak lepiej i łatwiej nierównie porozumieć się można ustnie niż na piśmie.

Już też teraz w wielu umysłach zrobiła się odmiana tak dalece, że ci, co najwięcej dokuczać chcieli i umieli, często teraz sami o sobie muszą się troszczyć. Nie przestają oni wprawdzie w chęci szkodzenia, i owszem, codziennie widzimy tego dowody jeszcze, ale przez odmianę wielu umysłów, mniej mają do tego daleko sposobności.

Moje nad tém wszystkiém uwagi sprawują, że prawie zapewnić mogę, że WPan nietylko nie miałbyś racyi do zgryzoty gdybyś tu przybył, ale owszem z przytomności swojej w Warszawie nie tylkobyś nas uradował, ale i sambyś miał okazyę ukontentowania, widząc ugruntowane w powszechności (wyjąwszy małą liczbę złośników) dla siebie to poważanie i ten afekt, które prawdziwie twoim cnotom są winne.

Cesarz tak dobrze się pokrzepił na zdrowiu, że się już i zimy dla niego nie boją. Szala zdaje się *favore* jego przechylać przeciwko Turkom, a przeciwko Królowi szwedzkiemu, *favore* Moskwy. Chcianoby podobno teraz nas poszczuć na Moskwę otwartą wojną; ale rozumiem że się nie mylę gdy powiem, że większa część sejmujących uzna i powie, że nam należy zostać w neutralności.

Vale et ama.

XLVI.

(*Cały ręką króla pisany.*)

d. 10 octobris 1789.

Każde listu WPana odebranie zwykło być dla mnie ukontentowaniem. Ale gdym zawczoraj przeczytał list WPana *de* 3 *Octobris* żal mnie przeniknął widząc w nim i stan zdrowia WPana niedobry, i tkliwość jego słuszną, o niesprawiedliwe szykany.

Sam dość naglę w komissyi wojskowej o wyprawę urlaubu najprędszą, ponieważ zdrowie WPana wyciąga tego koniecznie. A przyczyna tego pośpiechu témbardziej mię zasmuci, gdy stracę nadzieję widzieć WPana choć przejazdem w Warszawie; azaliż jeszcze jednak WPan obrócisz trakt tędy i na Wrocław? Tralles który tylu Polakom pomógł, byłby da Bóg szczęśliwy i do WPana.

O dziejach wojennych, o zamiarach politycznych, ja tak właśnie sądzę jak WPan. Abož się i naszym gorącym oratorom oczy otworzą!

Wyrazić nie mogę, jak mię żywo obchodzą żal i niezdrowie WPana, bo prwdziwie z serca kocham WPana.

XLVII.

(*Cały ręką króla pisany, zapewne* 1791 *r.*)

d. 13 maji.

W godzinę po odejściu WPana, odebrałem wiadomość z Berlina, że Król pruski winszuje nam rewolucyi i upewnia, że będzie naszym stałym przyjacielem.

XLVIII.

w Warszawie dnia 2 septembris 1792.

Mości Panie Jenerale artyleryi, Marszałku Konfederacyi jeneralnej koronnej.

Daleki od tej myśli ażeby z woli Jeneralności, której tak cnotliwy obywatel jak WPan jest naczelnikiem, dobra moje stołowe miały doświadczać większych niż inne ciężarów i narzutów, odzywam się do

WPana z ufnością, że i owszem będziesz raczył skłonić się do przedsięwzięcia i wydania w tejże Jeneralności takowych środków, których użycie dobra moje wzwyż rzeczone zasłoniłyby od wszelkiego ucisku konfederacyów powiatowych.

O tę uczynność obligując WPana, nie mogę jak spodziewać się po jego sentymentach dobrego skutku, i w tém przeświadczeniu kończę, wszelkich z serca życząc WPanu od Boga pomyślności.

XLIX.

w Warszawie d. 29 septembris 1792.

Mości Panie Marszałku Konfederacyi jeneralnej.

Glasnap pułkownik rossyjski, dał mi poznać jak gorąco życzy sobie orderu ś. Stanisława. Temu życzeniu jego dwie się przeciwiają przyczyny : jedna, że podług statutów tego orderu, obcy oficer nie mający stopnia jenerał-majora, orderu tego zyskać nie może. Druga, że od kilkunastu lat mam umowę z Imperatorową, że nietylko niedam, ale ani ofiarować nie będę żadnego orderu żadnemu poddanemu rossyjskiemu, chyba kiedy ona sama tego żądać będzie. Łatwo tedy WPan uznasz, że gdybym innym przykładem przestąpił ten układ i ten statut, niezliczonym żądaniom podobnym nie mógłbym się i odjąć.

Lecz że mi to jest przełożono iż tenże jpan Glasnap jest to jakoby najpartykularniej osoby WPana bezpieczeństwa strzegący, a to jest i u mnie w osobliwym szacunku, więc tak się WPanu wynurzam, że jeżeli tylko będzie się podobało Imperatorowej dla tej przyczyny dać mi wiedzieć, że jej ta ozdoba ze względu na WPana przyjemną będzie, ja to z tego właśnie powodu z ochotą uczynię.

Każda okazya miłą mi jest okazania WPanu prawdziwego, najszczerszego dla WPana afektu mego.

JENERAŁ ZAMOYSKI.

NEKROLOG.

Władysław hr. Zamoyski, syn ordynata Stanisława Zamoyskiego i Zofii z domu księżniczki Czartoryskiej, wnuk zaś w. kanclerza koronnego Andrzeja Zamoyskiego i ks. Adama Czartoryskiego, jenerała ziem podolskich, przyszedł na świat w Paryżu, w czasie pobytu rodziców za granicą, d. 24 marca 1803 roku. Pierwsze lata życia spędził z rodzicami w majętności ojca Podzamczu, patrząc na świeże jeszcze pobojowisko maciejowickie i rosnąc wśród jego żałobnych a bohaterskich pamiątek. Trwało to jednak nie długo : kordon austryacki obejmował wtenczas ordynacją Zamoyskich, i rodzice małego Władysława już w 1807 r. przenieść się musieli do Wiednia, zabierając z sobą wszystkie dzieci; tam dostał on piérwszych nauczycieli. Czwarty syn z rzędu, przez długi czas nie rozstawał się ze starszymi braćmi, miał wspólnych z nimi dozorców i nauki ich podzielał. Nauczycielami młodych byli najczęściej księża francuzcy, raz Czech młody i uczony, zawsze jednak był przy nich i Polak, który języka i historyi narodowej uczył; więcej zaś zapewne nad wszystko znaczyło czujne oko ojca, kierującego całém wychowaniem. Było ono surowe, a prowadzone z wielką konsekwencyą. Dzieci w wesołej stolicy zajmowały dom oddzielny na przedmieściu, miały osobną swą kuchnię, gimnastyką musiały *zarobić*, jak wyrażał się ojciec, na obiad i śniadanie, a jeżeli z tych czasów została w pamięci Jenerała scena na amatorskim teatrze, w której, ze słynną wówczas panią Stael występował jako Izmael przy Agarze, to niezawodnie niezatarty i zbawienny na całe życie wpływ wywarło, wdrożenie od lat najrańszych do karności i porządku. Gdy nadszedł rok 1809, Ordynat z całą rodziną opuścił Wiedeń,

a przeniosłszy się do Podzamcza, połączył się zaraz z księciem Józefem Poniatowskim i mianowany prezesem Rządu Tymczasowego, wystawił swym kosztem pułk piechoty, pod dowództwem legionisty Hornowskiego. Czterej synowie do niego zapisani, przywdzieli wtenczas mundury i odbywali musztrę; w domu, na osobności, najmniejszemu z nich Władysławowi oddawano nad braćmi komendę. W następnym 1810 roku, gdy rodzice osiedli w Warszawie, nauki według raz przyjętego porządku szły dalej. Synowie zajmowali zawsze z nauczycielami dom osobny, starano się ich ustrzedz od pieszczot domowych, a do surowego zaprawić życia, w którémby się hartowały i ciała i charaktery. Ordynat Zamoyski według słów syna, «miał dar jakby wyłączny skłaniania wszystkich do posłuszeństwa dla raz przyjętego, ścisłego porządku, i dzieci w to wdrażał.» Uczyły się go też mimowolnie.

Po roku, Ordynat wysłany przez Króla saskiego jako księcia warszawskiego do Paryża, w charakterze posła na ślub Napoleona z Arcyksiężniczką austryacką, wziął z sobą synów i osadził ich na czas jakiś w Paryżu. Starsi dwaj uczęszczali do liceum, młodsi, a więc i Władysław, do klas przygotowawczych. I tam jak dotąd, szło wszystko dawnym, raz przyjętym trybem; byli na pensyi niejakiego p. Muraine, w odległej części miasta, naprzeciw Val-de-Grâce, a mieli przy sobie oprócz nauczyciela księdza Ottenain, dobrze z Polską przez długi tam pobyt oznajomionego, jeszcze gorącego patryotę w osobie Markiewicza, który młode umysły wspomnieniami krajowemi ciągle karmił. Prócz tego, przez pewien czas jeszcze bawiła wówczas w Paryżu, córka W. Kanclerza koronnego, księżna Aleksandrowa Sapieżyna, u której zbierało się co było najznakomitszego między znajdującymi się za granicą rodakami. Kościuszko zbliżony z nią oddawna, przyjeżdżał też często z Fontainebleau, gdzie mieszkał stale naówczas. Dzieci co dwa tygodnie odwiedzały ciotkę, oddychały tą atmosferą patryotyzmu i odbierały ciągle zachętę do służenia ojczyznie z poświęceniem; tam widywały także ubranego już w polski mundur ks. Józefa Poniatowskiego. Sama rzadkość tych odwiedzin, ograniczonych zawsze do pewnej liczby godzin, uważanych przez dzieci za prawdziwą nagrodę, przyczyniała się zapewne do podniesienia ich uroku, a wpływ na młode, wrażliwe umysły, był nieobrachowany. Kiedy księżna Sapieżyna odjechała do kraju, poczciwy Markiewicz pozostał i podczas pamiętnej 1812 r. kampanii, tłumacząc i wskazując chłopcom na mappie wszystkie ruchy wojska, przelewał w młode serca zapał i nieograniczone nadzieje, jakiemi wtenczas dusze polskie były przepełnione. Jednocześnie prawie z wieścią o klęskach wielkiej armii, przyszło od ojca wezwanie, aby synowie przyjechali do niego. Przez Moguncyą, przeciskając się między rozbitkami świetnych niedawno szeregów, przybyli do Pragi, gdzie po raz ostatni, widział dziesięcioletni wtenczas

Władysław, jadącego już pod Lipsk księcia Józefa Poniatowskiego. Tak wszystkie nadzieje i wszystkie żałoby narodu, chwały jego, klęski i upokorzenia w tém życia zaraniu potrąciły już o serca dziecięce.

Rok 1813ty przepędzili młodzi Zamoyscy z matką w Krakowie, dwa lata następne w Warszawie i Wilanowie naprzemian. Życie tam dla nich szło znowu ciche, surowe, ściste, bez żadnych zbytków; stary kościuszkowski żołnierz Szymon, pełnił służbę przy dzieciach, w osobném mieszkaniu urządzoném jak szkoła; do matki przychodziły tylko w święta, a w nagrodę za dobre postępowanie i naukę, prowadzono ich do sędziwego Mokronowskiego, o którym wiedzieli, że dlatego złamany był chorobą, iż pedogrę swoję gwałtownie przerwać kazał, aby w dniu powstania Warszawy 1794 roku mógł stanąć do boju i odpowiedzieć położonemu w nim zaufaniu rodaków, chociaż o strasznych na całe życie skutkach lekarstwa wiedział. W tej bohatérskiej atmosferze chcieli rodzice ukrzepić ich ducha. Nie dziw, że Niemcewicz panią ordynatowę Zamoyskę matką Grachów nazywał. Młodzi zajęci nauką, raz tylko z Wilanowa sprowadzeni byli przez ojca do Warszawy, w 1815 roku, aby byli świadkami odczytania w sali tronowej, na posiedzeniu senatu, zasad przyznanej Królestwu Kongresowemu konstytucyi. Po skończonej epopei legionów i wojen napoleońskich, rozpoczynała się wtenczas nowa epoka; w utworzoném Królestwie witano zawiązek lepszej kiedyś przyszłości i jakby zorzę odrodzenia, i ordynat Zamoyski przeznaczając synów do służby krajowej, chciał ich mieć uczęstnikami tej uroczystości, aby od razu wszczepić niejako w ich dusze poczucie praw których bronić mieli, obok głębokiego dla nich poszanowania. Sam tę konstytucyą przyjął szczerze; na tak zwanym błękitnym pałacu który zajmował, wypisany był rok 1815ty jako data przywrócenia Królestwa, a w każdém niemal słowie jego przebijał się kierunek jaki synom chciał nadać. Przedstawiając ich wtenczas Aleksandrowi Imu dodał: « Uprzedzam W. C. M., że byli wielkimi wielbicielami Napoleona » — « Któż nim nie był, odparł Cesarz, i ja zarówno z innymi. »

Spędziwszy rok w Podzamczu, Władysław z braćmi pojechał do Genewy, gdzie ich ojciec z nowym nauczycielem Lambertem osadził na pensyi. Starsi chodzili już tam na kursa akademickie, młodsi uczęszczali do gymnazyum. Ale nim rozpoczęli nauki, miało spotkać ich jeszcze niezatarte na całe życie wrażenie. Ordynat umieściwszy synów, wracał do Warszawy przez Soloturnę, kiedy zachorowawszy tam ciężko, sprowadził dwóch młodszych synów do siebie, i ci przy nim miesiąc tam spędzili w towarzystwie Kościuszki, przytomni ciągle nieprzerwanym jego z Ojcem rozmowom. « Ordynat, jak mówi w pozostawionych pamiętnikach jenerał Zamoyski, starał się przed synami niedostatki rządu ukrywać i narzekania słuszne uśmierzać, a lepsze strony położenia wykazywać i nadzieje rozbudzać, żeby gotującym się

do publicznego życia ludziom zaszczepić to przekonanie, że wrócone narodowi życie obowiązuje wszystkich, aby się do rozwinienia go przyczyniali, nie ograniczając się na wytykaniu niedostatków.» Kościuszko najczęściej potwierdzał słowa Ordynata; powagę ojca tym sposobem wspierał urok uwielbianego w całym narodzie człowieka, a każde słowo wtenczas słyszane, musiało w młode dusze zapadać głęboko, i rzeźbić jak mówi poeta, przyszły żywot młodzieńców.

W Genewie, mieli oni przez czas jakiś starszego od siebie Karola Sienkiewicza, który uczył ich historyi i literatury ojczystej, a stał się dla Władysława, jak sam później powiadał, walenrodowym Wajdelotą; nauczycielem matematyki był zrazu długoletni gość Puław, Lullier, po nim kapitan Dufour, nauczyciel później i przyjaciel księcia Ludwika Bonaparte. Po kilku miesiącach przybył jeszcze dla odwiedzenia młodzieży Kościuszko, a pobyt tam jego, udzielone zachęty i rady, nowym stały się dla niej bodźcem, aby się sposobiła do służby krajowej. Nadjechała wkrótce księżna Wirtembergska, a w 1818 r. nawet matka młodych Zamoyskich, z którą podróż po górach szwajcarskich odbyli. W następującym roku, starsi bracia z woli ojca udali się do Edymburga, młodsi przeszedłszy na kursa akademickie na lat dwa jeszcze pozostali w Szwajcaryi. Myśl jakby można najskuteczniej służyć ojczyznie ciągle młode zajmowała dusze. Władysław zawsze wojskowy dla siebie obierając zawód, choć słuchał kursów filozofii, głównie jednak przykładał się do fizyki i matematyki, wszakże już wtenczas, w wyobraźni jego, z wojskowością łączył się zawód polityczny. W piętnastym jeszcze roku życia zapytany przez ojca do czego miałby ochotę, wręcz mu odpowiedział, że chce zostać żołnierzem. « Dobrze, rzekł ojciec, ale staraj się przynajmniej, abyś był w stanie, gdyby na forpocztach do negocyacyj przyszło, traktat pokoju podpisać.» Słowa te w umysł chłopca zapadły głęboko.

Nauki szły dobrze; zabrane w gościnném miasteczku i okolicach znajomości przywiązywały młodego, podobał już sobie w Genewie, ale ojciec dłużej go tam zostawić nie chciał. Był on przeciwny systematowi wszelkiego rodzaju i nie dał synom zacząć i skończyć nauk w jedném miejscu, (co tylko przy tak bacznej jak jego uwadze i ciągłym, wytrawnym kierunku dobre skutki mieć mogło;) bał się dla nich specyalności i jakiegoś mechanicznego trybu; powtarzał im ciągle: «bądźcie *ludźmi*, zanim będziecie *uczonymi*, uczcie się sądzić o rzeczach i ludziach, oglądać się koło siebie, wyrabiać w sobie przedewszystkiém *obywatelskość*.» Jak ich przewoził z Francyi do Warszawy, później do Genewy, jak starszych posłał był do Edymburga, tak młodszym jechać kazał do Berlina, gdzie mieli uczęszczać na uniwersytet. Władysław słuchając tam wykładów, oddał się jednak głównie naukom wojskowym i pod kierunkiem kapitana Blesson, przeszedł wszystkie kursa

akademii wojennej. Tryb życia był na teraz zmieniony. Liczne pod koniec pobytu w Szwajcaryi znajomości, zastąpiło bardzo szczupłe ich kółko, nauka wszystkie prawie pochłaniała chwile, a wzgląd na stanowisko ojca w kraju, zmuszał do oględności w zabieraniu stosunków nawet z młodzieżą, aby nie obudzić niechęci w. ks. Konstantego, który w ogólności kształcenia się młodzieży za granicą nie lubił. Znajomości ograniczały się prawie domem książąt Radziwiłłów, ministra sardyńskiego, hr. de Sales i z polecenia ojca, ambassadora rossyjskiego, Alopeusa, gdzie młodemu Władysławowi, bawiący wtenczas w Berlinie w. ks. *Mikołaj* raz przy wieczerzy toast za zdrowie Ypsylantego proponował! W 1821 r. zjechali się czterej bracia na wakacye w Podzamczu, a po przebytym jeszcze jednym roku w Berlinie, wrócił nareszcie Władysław do Warszawy, odwiedziwszy po drodze Kraków, gdzie taczkę ziemi na wysoko już wzniesiony kopiec Kościuski zawiózł, ślubując raz jeszcze przy grobie bohatéra wierną i stałą służbę ojczyznie.

Myśląc o zawodzie wojskowym, a wiedząc jak uciążliwą a często ubliżającą nawet była służba pod rozkazami w. ks.Konstantego, chciał ją rozpocząć w wojsku pruskiém, aby już w stopniu oficera przejść do wojska polskiego. Alopeus, znając charakter i sposób zapatrywania się na to w. ks. Konstantego, odradził mu; przyjechał więc z postanowieniem wejścia odrazu do szeregów w Warszawie. Jeżeli w Szwajcaryi już zawód wojskowy łączył w swej myśli z polityczną służbą krajowi, teraz tém bardziej nie zamierzał wcale » poświęcić się wojskowemu rzemiosłu, owszem, zawód ten uważał tylko za szczebel, obiecując sobie, że za pomocą tej służby dojdzie z czasem do politycznego w kraju znaczenia. » Przez samo położenie swoje i towarzyskie i rodzinne stosunki zbliżony do tych, w których ręku był spraw krajowych kierunek, łatwo przyszedł do zrozumienia, jak wiele z praw nam zostawionych korzystać wtenczas mogliśmy i odrazu stanął po stronie tych, którzy wewnętrznego, stopniowego rozwoju pragnęli, a wszelką żywszą przeciw rządowi potępiali opozycyą. Wprawdzie, wiele nadziei zaraz po 1815tym roku budowanych, już się było rozchwiało, a ciągłe oddalanie zapowiedzianych przez Aleksandra obietnic, przyłączenia do Królestwa zabranych dawniej prowincyj, coraz częstsze nawet gwałcenie zaprzysiężonej już konstytucyi, w najrozważniejszych nawet budziło obawy; ale tak oczywistym był postęp jaki kraj w przeciągu lat kilku uczynił, tak wiele jeszcze zostawało do zrobienia, że nikt ze stojących u steru nie przypuszczał, aby kraj na innej drodze mógł lepszej dorobić się przyszłości. Dziś, po wszystkiém co zaszło, widząc że długie lata żyliśmy głównie tém co nam lat kilkanaście konstytucyjnego życia w Królestwie Kongresowém i mądrego kierunku oświaty na Litwie i Rusi przygotowało, trudno nie przyznać tym mężom głębokiej rozwagi i miłości rzeczy publicznej. W Zamoyskim wychowanie wyrobiło gor-

liwość, zastanowienie i wytrwałość w cierpliwém pełnieniu powinności obywatelskich, w takiém też usposobieniu zabierał się do nowego zawodu.

Ordynat, zgadzając się na wstąpienie syna do wojska, chciał go jeszcze wprzódy wyprobować; młodzieńca więc który skończył uniwersyteckie nauki, umieścił w sąsiednim ze swą sypialnią pokoju, poddał go drobiazgowej, bardzo w tych latach uciążliwej a umyślnie obostrzonej kontroli, naraził na mnóstwo prób dotkliwych, aż nareszcie w styczniu 1823 r. powiedział mu, że pozwala wejść do wojska, bo widzi, że i pod wielkim księciem wytrzyma. Zaciągnął się więc młody Zamoyski do szeregów z zupełną świadomością tego co go spotkać mogło, z postanowieniem najściślejszego pełnienia przyjętych obowiązków i przeniesienia chociażby najtrudniejszych rzeczy. Przedstawiony przez ojca obecnemu wtenczas w Warszawie cesarzowi, z rozkazu jego przyjęty na podchorążego, wszedł do pułku strzelców konnych gwardyi pod dowództwem jenerała Kurnatowskiego, (d. 19 stycznia 1823 r.) i przez kilka miesięcy pełnił służbę prostego żołnierza. Wiadome są wszystkim uciążliwości służby w ówczesném wojsku polskiém, cała jej surowość, drobiazgowość i ścisłość, nareszcie niepowściągana i powściągnąć się niczém nie dająca gwałtowność W. Księcia. Zamoyski postanowiwszy pełnić obowiązki swoje najskrupulatniej, uniknął wielu przewidywanych przykrości, a młode siły wystarczały na wszystko. Sam później przyznawał « zbawienne na nas skutki tego nawet wojskowego rygoru, dodając, że nikt inny prócz w. księcia Konstantego, nie mógł wtenczas u nas być wodzem naczelnym, i znaleść posłuszeństwo zupełne, bo my rozkazów od swojego nie przyjmujemy zazwyczaj. »

Młody podchorąży, otrzymawszy pozwolenie mieszkania w domu, i bywania nawet w towarzystwach, nie zaniedbał dawnych stosunków; owszem, rozszerzył je jeszcze bardziej, a najserdeczniej przyjmowany w pierwszych naówczas domach stolicy, żył życiem ogólném, poznawał kraj i jego potrzeby, zwłaszcza ze strony politycznej. Sekretarz Rady Administracyjnej, (rady ministrów) Józef Tymowski, szczególny mając ku niemu pociąg, wtajemniczał go także w sprawy krajowe. Cztéry domy Potockich, książęta Lubeccy, Lubomirscy, Jabłonowscy, wojewodzina Radziwiłłowa, Gutakowski, księżna Zajączkowa, nareszcie wszystkie domy pokrewne, a oprócz nich patryarcha sprawy narodowej, Niemcewicz, dowcipny Badeni, Mostowski, wszystko to pełnego nadziei młodzieńca otaczało przyjaźnią. Tak przeszedł mu pierwszy czas służby. Po wielkim przeglądzie wojska pod Brześciem, przeniesiony do szkoły podchorążych jazdy, pod dowództwo pułkownika Czarnomskiego, przebył tam jeszcze rok cały, a po zwykłym na Placu Saskim examenie szkoły, już w 1824 r. 30 maja awansowany na oficera ułanów, wyrobił sobie zapisanie go do pułku 1go którym dowodził

pułkownik Tomicki, a to dla tego, że mając kwatery w Lubartowie, pułk ten stał niedaleko Puław.

Ulubieńca warszawskich towarzystw, czekało teraz życie w małém miasteczku, wśród szczupłego grona kolegów, a kiedy się tam wybierał, dowiedział się, że mądra troskliwość ojca jeszcze mu nowe trudności zgotować tam miała. Jako podchorążemu, przeznaczył ojciec pensyi rocznej 7,000 zł., które mu wystarczyć były powinny; podniesionemu na oficera, kassyer domowy zapowiedział, że sumkę tę będzie miał zmniejszoną, a to z powodu iż żołd oficerski pobierać będzie. Nic nie pomogły przedstawienia o rozmaitych koniecznych wydatkach; Ordynat oświadczył synowi iż to robi umyślnie, dla tego żeby go koledzy nie mieli *za panicza*, i żeby się tym sposobem uwolnił od wielu przykrych następstw; skończył zaś słowami: « Jeżelibyś potrzebował więcej, dodam ci później, ale mnie *zobowiążesz* poprzestając na tém. » Młody podporucznik postanowił zastosować się ściśle do woli ojca. Za przyjazdem do pułku, uczta dla kolegów pochłonęła połowę rocznego dochodu, ale też była ostatnią; zapowiedział, że chce być ojcu posłusznym, długów robić nie może, a więcej nie ma; prowadził życie bardzo rządne, po za obowiązkami służby naukom wojskowym oddane, a będąc przykładem dla kolegów, niemniej przeto był od nich lubionym. Wtenczas już położył sobie za obowiązek budzić innych do życia umysłowego, wyższego; kiedy nie znajdował towarzyszy do rozmowy, starał się sobie wyrobić *słuchaczy*, i stało się to później stałym całego jego życia zwyczajem. Przyzwyczajono się w pułku do trybu w jaki swe życie urządził, nie brano mu go za złe, a prędko sam uznał, jak przezorną i mądrą była wola ojca. Na konie które niezmiernie lubił, bo też zawsze doskonałym był jeźdzcem, dostarczała pieniędzy Matka, i życie szło znośnie. Zetknięcie ze światem było w Puławach, dokąd często jeździł, odwiedzając też jenerała Morawskiego w Lublinie, a czasem z pułkiem swoim gościł po parę miesięcy w Warszawie. Ordynat Zamoyski na sejmie 1825 roku krzesło prezesa senatu po raz pierwszy zajął, cesarz zaś Aleksander, żegnając jego i umyślnie przywołanych synów, raz jeszcze mówił im o ulubionym projekcie swoim, rozszerzenia instytucyj Królestwa polskiego do Litwy i Rusi.

W Łęcznie dano Zamoyskiemu pluton; « było to pierwsze w życiu, jak powiadał, sprawowanie władzy. » Oświadczył wachmistrzowi, że kary cielesnej u niego nie będzie, i tej nie dopuścił, nic jednak służba na tém nie cierpiała, bo najściślej pilnował spełniania jej, a lubiący go żołnierz chętniej jeszcze sam obowiązków i przepisów przestrzegał.

Tymczasem nad krajem coraz groźniejsze zaczęły zbierać się chmury. Po wstąpieniu na tron Mikołaja, rozpoczęły się śledztwa i aresztowania. Ordynat Zamoyski, zagrożony przez w. ks. Konstantego, że jeśli nie przyjmie prezydencyi w komissyi przeprowadzającej admini-

stracyjne nad uwięzionymi śledztwo, on ją Nowosilcowi poruczy, uznał się zmuszonym podjąć się tego obowiązku, jakkolwiek niezgodnego ze stanowiskiem prezesa Senatu. Los uwięzionych zajmował wszystkich, tém bardziej, że z nim niejako dalsze losy całego kraju łączono. Po ukończoném śledztwie nastał sąd sejmowy. Książe Adam Czartoryski, który od dawna usunąwszy się od spraw publicznych, bawił wtenczas we Florencyi, zaledwo uwiadomiony o tém, przybiegł do Warszawy aby na ławach sejmowych zasiąść. Odwiedzał naturalnie bardzo często Puławy, a ilekroć tam przybył, zawsze sprowadzano młodego podporucznika ułanów; w długich z Księciem rozmowach, dojrzewał ostatecznie umysł Zamoyskiego i sąd o sprawach krajowych, rosło poszanowanie dla męża, z którym go blizkie krwi związki łączyły, a któremu miał później, w ciągu lat długich tułactwa, być stałą i niezachwianą podporą. Widział jego niepokój o uwięzionych, pracę ducha nad wynalezieniem środków obrony, był nareszcie świadkiem tej chwili, kiedy rozpromieniony powiedział mu : « Zdaje mi się że można będzie ich uratować! » Sąd sejmowy dał dopiéro Zamoyskiemu, jak sam powiada, zręczność ocenienia prawdziwie całéj wyższości ks. Adama, i wszystkiego co zrobił dla kraju. Wstrzymanie ogłoszenia wyroku, samowolne z więźniami postąpienie, wskazało krajowi, że coraz większych nadużyć i prześladowań spodziewać się może, i przygotowanym być na nie powinien.

Zamoyskiego w tym czasie spotkał ze strony w. ks. Konstantego jeden z bardzo ciężkich zaszczytów. Cesarz Mikołaj chciał podobno przysłania go do Petersburga, jako osobiście sobie znanego i zalecanego przez Blessona, ale Konstanty, rad także mieć członka jednej z pierwszych rodzin krajowych przy sobie, wróciwszy ze stolicy, mianował go (1 marca 1828 r.) swoim adjutantem. Było to stanowisko nad wszelki wyraz drażliwe. Między kilku adjutantami rozmaitej narodowości, jak jenerał Kuruta, Gendre, Nesselrode, Kutuzow, Bezobrazow. i t. d., dwóch wtenczas było Polaków : pułkownik Turno, i kapitan Trembicki; Zamoyski najmłodszy, bo wtenczas na stopień porucznika podniesiony, był trzecim. Odmówić było niepodobna; ostrzeżony, że W. Książe ulubieńców swoich zapraszał do posług ubliżających, postanowił być jak najpilniejszym w pełnieniu obowiązków służby, ale strzedz się wszelkich faworów i większego zbliżenia. Aby nie odgadnąć nigdy domyślnego rozkazu W. Księcia, stojąc przed nim, patrzał w ziemię, a godności swej pilnie strzegł, przy każdém z nim spotkaniu. Zachowanie się takie było powodem, że w parę miesięcy po nominacyi, z rozkazu W. Księcia był zapytywany przez jenerała Kurutę, dla czego dąsa się na niego? (*pourquoi il le boude*); odparłszy ten zarzut, postępowania swego nie zmienił, owszem, przy każdej zręczności wyraźnie dawał do zrozumienia, że jest szczerym Polakiem, kocha kraj i boleje nad jego

losem; wszczęta raz przy W. Księciu rozmowa o Kościuszce, dała Zamoyskiemu sposobność wykazania całego uwielbienia jakiém był przejęty dla bohatera, co Konstantemu wcale miłém nie było, ale co jednak uszanował. Księżna Łowicka, poczuwając się do pewnej wdzięczności dla pani ordynatowej Zamoyskiej, uprzejmie przyjmowała zawsze młodego adjutanta. W. Książe zapewne ścisłém pełnieniem obowiązków ujęty, i charakterem który mu zawsze imponował, uderzony, miał nawet tę delikatność, że go z pałacu pod jakimkolwiek pozorem oddalał, ilekroć zajść w nim miała jedna z tych scen gwałtownych, jakie się tam odbywały tak często. Tym sposobem, pomimo przymusu wewnętrznego jaki sobie ciągle zadawać trzeba było, służba ta jeszcze mniej stała się dotkliwą niżby nią być mogła, i niż ją sobie zabierając się do niej wystawiał Zamoyski. Ale jednocześnie, stosunek rządu do kraju zmieniał się coraz bardziej, i najwyższą obawą o przyszłość napełniał umysły ludzi stojących u steru. Zaczęto lękać się o byt zagrażanej coraz bardziej konstytucyi, i wobec tego niebezpieczeństwa, uznano za potrzebne, utrzymać Europę w świadomości o tém co się u nas działo, myśląc, że mocarstwa które gwarantowały postanowienia kongresu wiedeńskiego i przyznaną tam autonomią królestwu polskiemu, ujmą się krzywd naszych, skoro o nich będą uwiadomione, że się przynajmniej do nich odezwać będzie można, i że opinia publiczna raz wyrobiona, może zmusić rządy do ujęcia się za nami, a władze miejscowe do hamowania się w nadużyciach. Widząc że w. ks. Konstanty głuchy na wszelkie przełożenia miejscowe, na opinią dzienników zachodnich niezmiernie był czułym, uważano to za jedyny także sposób wpłynięcia na jego umysł, i oszczędzenia może krajowi niejednej klęski. Zamoyski taki już wtenczas miał udział we wszystkich poważnych nad sprawą ogólną naradach, że jemu poruczono pisywanie listów do zagranicznych dzienników o wszystkiém co się w kraju działo. Podzielali z nim tę pracę, Tytus Działyński i Stanisław Rzewuski. Co tydzień w Belwederze, trawiąc dzień cały na służbie przy w. księciu, Zamoyski pod jego okiem układał te listy, które później przepisywane, przechodziły za granicę i tam oddawane na pocztę, w największej tajemnicy dostawały się do dzienników francuzkich. Pierwszy z tych listów tyczył się sądu sejmowego i nieprawnego zawieszenia jego wyroku. Książe Adam Czartoryski czytał go i pochwalał. Dochodziły one naturalnie do W. Księcia już w kolumnach dzienników zagranicznych, i wywoływały gniew szalony i narzekania; nie domyślał się jednak ich źródła, a policya jego, pomimo najsroższych rozkazów wykryć go nie mogła; najściślejszą tajemnicę do końca potrafiono utrzymać.

Powody do narzekań mnożyły się prawie z dniem każdym i ogólne nieukontentowanie rosło. Zamoyskiego zajmowało najmocniej wszystko co działo się w kraju. Na pogrzebie senatora Bielińskiego on jeden z ad-

jutantów W. Księcia był obecny, mowę ks. Adama o zmarłym prezesie sądu sejmowego on przepisywał i oddawał do druku, wiedział wszystkie zażalenia jakie kraj miał do rządu, czuł wszystkie jego krzywdy. Ordynat Mikołajowi który do Warszawy na koronacyą był przyjechał i chorego Prezesa Senatu kilkakroć w mieszkaniu jego odwiedził, przekładał zawsze konieczność zadosyćuczynienia słusznym zażaleniom, przypisując wzburzenie umysłów ciężkim ze strony rządu niesprawiedliwościom. Cesarz dziękował za otwartość; wiedziano jednak, że to wszystko na umyśle Mikołaja nie zrobiło wrażenia, i po jego wyjeździe, powszechném było uczucie, że Moskwa nie tylko Litwy i Rusi nigdy do Królestwa Kongresowego nie przyłączy, ale że nawet nie dziś to jutro, konstytucyą zniesie. Ówczesny stan duszy swojej sam Zamoyski najlepiej scharakteryzował. « Widziałem, mówi on, w w. księciu źródło uciemiężenia i poniżenia ojczyzny, a jednak pomimo żalu i nienawiści widziałem w nim zawsze zwierzchnika; nie dopuszczałem w sercu buntu przeciw niemu. Pamiętałem, żem dobrowolnie wszedł do służby i dwa razy przysięgę wykonał; czułem, że kiedyś zerwie się ten stosunek i bez tej nadziei nie byłbym się zaciągnął, bo chciałem żeby ta chwila znalazła mnie wyrobionym żołnierzem. Wyglądałem tej chwili jak odrodzenia, a czułem jak trudną będzie ona dla honoru i sumienia, chociaż wtenczas tylko spełni się najszczytniejsze mojego życia pragnienie. Ilekroć stanęła mi na myśli ta chwila, przestawałem na westchnieniu do Boga, aby mnie w tej ostateczności raczył poratować i tak wyprowadzić, abym z niej i przed Nim bez grzechu i przed ludźmi wyszedł bez plamy. »

Pod wpływem wszystkich tych uczuć i ciągłego gwałtu jaki zadawać sobie musiał, zdrowie jego, od dzieciństwa dla wybujałego jak utrzymywano wzrostu dość słabe, zapotrzebowało ratunku. Uzyskawszy urlop, (1829 r.) udał się więc do Ems, gdzie u wód blizkie zawarł stosunki z księciem Koburgskim, który wkrótce królem belgijskim miał zostać. Gdy w. ks. Konstanty z żoną tamże nadjechał, udał się Zamoyski do Belgii i Włoch, chcąc przypatrzyć się położeniu innych narodów, równie jak my pod obcym rządem zostających Sławny wówczas z patryotyzmu swojego jenerał Pepe « z uprzejmém upodobaniem zwierzał mu się z doznanych w życiu cierpień za sprawę narodu » i do cierpliwej wytrwałości zachęcał. Przypatrzenie się zaś uciskowi Belgii przez Holandyą, Włochów przez ich ówczesne rządy, dało mu smutne jak sam powiada pokrzepienie; przekonał się bowiem, że tam daleko było gorzej niż w Kongresówce. « Co dnia, dodaje, czułem się bardziej przygotowanym nie godzić się z losem kraju, ale cierpliwie znosić wszystkie warunki tego losu, i w tych warunkach, nadewszystko w nas samych, przez wytrwałą pracę szukać środków naprawy. »

W lutym 1830 r. po raz pierwszy znalazł się w Rzymie. Tam, wśród

licznego towarzystwa polskiego spotkał i Mickiewicza, od którego jak sam powiada, pierwsze silniejsze potrącenie religijne odebrał. Widok jego wiary głębokiej, katolickiej, pobożnej, połączonej wówczas z przywiązaniem do Kościoła, zostawił w umyśle Zamoyskiego głębokie wrażenie; widział on także, «że ta wiara była dla niego umocnieniem w samejże miłości ojczyzny.» W częstych z wieszczem o rzeczach publicznych rozmowach, uderzał go także, sąd dziwnie jak powiada wytrawny. «Mickiewicz, mówi on w pamiętnikach swoich, ganił bezwzględne zapędzanie się opozycyi warszawskiej, widocznie szukającej wzorów w niedowarzonym parlamentaryzmie francuzkim owych czasów; ubolewał nad walką nierówną, niepodobną, prowadzącą do klęski nieuniknionej. Zadziwiał mnie sądem tak surowym, przypominającym zdania podobne, słyszane w Warszawie, ale słyszane niemal od jednego ojca mojego; zadziwiał i do zastanawiania pobudzał. źródłem tej politycznej w nim wytrawności była głęboka, rzetelna, sumienna miłość ojczyzny, miłość, która względem siebie i ludzi, wszechstronną, jasnowidzącą prawdą była. Niejednokrotnie w życiu, w najgorętszych chwilach, wspomnienie o Mickiewiczu i o tak trzeźwym sądzie jego, ośmielało mnie do postanowień rozważnych, dodawało pewności i równowagi,»

Tak nowemi postrzeżeniami wzbogacony, ukrzepiony jeszcze w postanowieniu wytrwania na raz obranej drodze, zniesienia wszystkiego coby nań przypaść miało, wrócił Zamoyski do Warszawy. W. książe Konstanty przywiózł z zagranicy przekonanie o gotującej się tam rewolucyi i był pewien że niebawem wybuchnie; w bliższém kole odzywał się czasem, że wypadki świata mogą rychło wmięszanie się armi, polskiej spowodować. «Gotową jest w każdej chwili, mawiał wtenczas tylko jej wodza potrzeba, bom ja nie do tego.» Miał wstręt do krwi rozlewu, lękał się sam śmierci. Nie przypuszczał zgoła, żeby się jaki wybuch mógł w Polsce przygotowywać, i pod tym względem ufność jego była zupełną. Nazywał nas narodem jagnięcym (*nation moutonne*), który się nigdy do rewolucyi pobudzić nie da. Nawet burzliwy sejm 1830 r. na którym oskarżenia na ministrów były już podane, i mogły obudzić przewidywanie następnych wypadków, oczu mu nie otworzył. Wprawdzie, staraniem ordynata Zamoyskiego jeszcze się do stanowczych kroków nie posunięto, a oskarżenia zostały wstrzymane; nawet cesarz Mikołaj choć w części podzielając przekonanie brata, uspokojony, w czerwcu wrócił do Petersburga.

Dla ludzi, którzy bliżej kraj znali i sercem śledzili stopniowe jego przeobrażanie się, rzeczy zupełnie inny przybierały charakter; widzieli oni gotującą się burzę i cisza pozorna nie mogła ich zaślepić ani uspokoić. Między najbliższymi Zamoyskiego przyjaciołmi, był wtenczas Stanisław Rzewuski, człowiek olbrzymich według niego zdol-

ności, w szkole Lamenego wykształcony; ten częste z nim z tego powodu miewał rozmowy. Rzecz dziwna zaiste! Wszystko co wówczas stało u stéru, lękając się wybuchu jak największego nieszczęścia, nie przypuszczając najmniejszej możności nawet mierzenia się z Moskwą, nie pozwalało sobie wierzyć że może nastąpić, jakby umyślnie zakrywało oczy — młodzież i gorętsza część narodu, pędząca do przełomu, nie troszczyła się o rząd przyszły, nie zastanawiała się nawet nad tém co po pierwszych chwilach powstania nastąpi — między kilku młodymi tylko ludźmi, stojącymi po środku, nie posiadającymi ani władzy ani dostatecznego na massy wpływu, znalazło się trzeźwe zapatrywanie się na rzeczy i ocenienie położenia. « Rzewuski nalegał, żeby się skupić w przewidywaniu nieuniknionego już wybuchu około jednego człowieka i przygotować się wytrawném zapatrywaniem się na gotujące się zadanie. » Wskazywał na ks. Adama Czartoryskiego. Drugim, daleko niestety popularniejszym wtenczas człowiekiem był jenerał Chłopicki, w którym opinia ogólna upatrywała przyszłego w danych wypadkach wodza. Zamoyski podjął się wybadać zapatrywanie się obu na nieuniknione jak się zdawało wypadki. W Chłopickim na samo o nich przypuszczenie, znalazł « gwałtowne oburzenie tylko, w ks. Adamie bierne przysłuchiwanie się, ofiarność bez granic, ale zupełną niechęć zajęcia się czynnie. » Na zdanie Zamoyskiego o Chłopickim, że w razie powstania, przez ślepą ufność jaką w nim naród pokłada, stanie się nam narodową klęską, Książe powiedział tylko : « To go dziś dopiéro poznałeś? » Wobec takiego usposobienia, nie można było do niczego się zabrać. Młodzi przyjaciele umyślili wtenczas ostrzedz władzę, spodziewając się, że obudzona czujność policyi, zmusi spiskujących do większej ostrożności i do odłożenia przynajmniej wybuchu. Ułożono dwa bezimienne listy, niby podsłuchaną rozmowę rzemieślników o zamierzonym jakoby napadzie na bank i rabunku kassy; jeden z nich podrzucono w samym Belwederze. Rozeszła się wkrótce wieść głucha, że powstanie odroczone; w istocie jednak nic się nie zmieniło i roboty spiskowych szły dalej swoją drogą. W. Książe żadnym doniesieniom policyi nie wierzył; w przeddzień wybuchu zniecierpliwiony, dał się z tém słyszeć : « niechże już raz wybuchnie! »

Rano, 29 listopada, jeden z przyjaciół powiedział Zamoyskiemu, że wybuch na wieczór naznaczony. Dosiadł on konia, objechał koszary, między konnymi strzelcami gwardyi nie dostrzegł najmniejszego przygotowania i wrócił do domu, nie dowierzając, żeby chwila stanowcza tak blizką być mogła Co działo się wtenczas w duszy potomka wielkiego hetmana, odzianego w mundur adjutanta carewicza Konstantego? Powstania przez miłość ojczyzny w tej chwili nie chciał, mając je za niewczesne; w razie wybuchu, same tylko przewidywał klęski, ale z drugiej strony, uczucie narodowe łączyło go ze wszystkimi, którzy wystę-

powali przeciw Moskwie. W tém właśnie leży największa często tragiczność naszego położenia. Wspomnieliśmy wyżej, jak zapatrywał się na tę chwilę stanowczą, której oddalenie może nieraz przezorność doradzać, ale która, bądź co bądź, w bliższej lub dalszej przyszłości świeci w duszy każdego Polaka, jak ziszczenie najgorętszych jego pragnień, najświętszych nadziei; widzieliśmy o co na tę chwilę prosił Boga. Gdy wbrew jego życzeniom chwila ta już wybiła, kiedy się pierwsze strzały bohatérów Belwederu rozległy, musiał stoczyć w duszy swej walkę. Na co się zdecydował, to nam najlepiej własne jego opowiedzą wyrazy. « Zupełność miłości dla ojczyzny, mówi on, dała mi siłę, by o ile dla niej potrzeba było, śmiało, bez wahania, pełnić chwilowy, jakkolwiek udręczający obowiązek. Porwanie się przeciw istniejącej władzy, zwłaszcza porwanie się żołnierza przeciw władzy wojskowej, o ile nie pokryte zupełném powodzeniem, musiało ściągnąć na kraj cały zarzut buntu i podać pełnemu zawiści wrogowi pożądaną sposobność wydarcia nam swobód, które szanować jakkolwiek niechętnie, zobowiązał się przysięgą. Zdawało mi się, że nie może być licznym poczet zrywających się do zgubnej koniecznie walki, że to dzieło młodzieży nie mogło wiązać całej ludności. Przy tej części narodu, a nie przy porywczej, jakkolwiek ofiarnej młodzieży stanąć, chciałem niewątpliwie. Jako żołnierz, mniemałem że mogę i powinienem należeć do tej części wojska polskiego, która się okazała wytrawną, nie porywczą, oczekującą od starszych hasła i kierunku, nie zaś na własną rękę i na domysł własny ośmielającą się przeciw starszym występować i o losach kraju stanowić. »

Raz taką wytknąwszy sobie drogę, ze stałością właściwą męzkim duszom i silnym przekonaniom, nie zachwiał się już na niej i pomimo wszystko sprowadzić się nie dał. Uwiadomiony przez Bezobrazowa o opuszczeniu Belwederu przez W. Księcia, jako adjutant pojechał do niego, do alei ujazdowskiej. Tam wśród otaczających go, on jeden znalazł słowa prawdy i wymówił imię *niepodległości*, której naród domagać się miał prawo. Posłyszawszy z ust W. Księcia, że się do niczego mięszać nie chce i nie będzie, że to rzecz polska, którą Polacy sami między sobą załatwić powinni, postanowił z tego usposobienia jak największą korzyść dla kraju wyciągnąć. Wrócił z temi słowami do Warszawy, i za zgodą ks. Adama, Radę administracyjną w jego mieszkaniu zgromadził: był później pośrednikiem między nią i Carewiczem. Podawszy myśl powołania do Rady mężów ogólnego w narodzie zaufania, daje wtenczas niejako początek Rządowi tymczasowemu; ogłoszeniem o jego utworzeniu, ucisza na chwilę wzburzone umysły, deputacyą od Rządu przeprowadza do Wierzbna i przez wszystkie té dni pośredniczy między narodową władzą i Carewiczem. Gdy lud na przyjęcie umówionych warunków nie pozwala, odnosi W. Księciu ostatnią

od członków Rządu radę, aby ustąpił z granic Królestwa; wstrzymuje lud idący na odbicie pułków polskich, przy W. Księciu jeszcze pozostałych, i nawet pułki te same śpieszące już do Warszawy, póki zupełnego na piśmie uwolnienia dla nich od W. Księcia nie otrzyma. Przywozi im wreszcie takowe, jednocześnie i sam, wymógłszy na odchodzącym uznanie swojej szlachetności, otrzymuje podobneż zupełne uwolnienie. W tych ciągłych przez dni kilka przejażdżkach, pomiędzy pałacem rządowym a W. Księciem, z powodu już samej kitki adjutanta, na częste od powstałej ludności narażony strzały, nie zdejmuje tego znaku do końca, nie chcąc ściągać na siebie nawet pozoru fałszu, i pragnąc zawsze stać w całej prawdzie. W pierwszych chwilach ogólne poczucie narodowe potępiało to znajdowanie się Zamoyskiego, niejeden później odezwał się z naganą, Mochnacki w historyi powstania, nazwał je kontr-rewolucyjném, ale i on przyznał, że dzięki temu, Warszawa tejże nocy przyszła do własnego rządu, z którym już Carewicz zawieszenie broni zawarł. Że zaś uzyskane od W.Księcia formalne uwolnienie wojska, wielkim było nabytkiem, to sam Zamoyski najlepiej tłumaczy : « Powstanie 29go listopada mówi on, było wynikiem ciężkich krzywd narodowych, ale bunt wojskowy był dziełem niedowarzonej mniejszości wojska. Ztąd ociąganie się wielu. Nie było Polaka któryby nie obliczał codzień krzywd zadawanych i nie czuł, że przyjdzie chwila obrachunku; ale gdy wybiła godzina, nie każdy był pewnym, że wybiła w porę, nie każdy mógł od razu rozsądzić, czy sprawa dla której wszystko łożyć był gotów, nakazywała niezwłoczne przystąpienie, czyli też trudniejszą o wiele zadawała powinność, dłuższego pod obcém jarzmem cierpienia. » Podpisane przez W. Księcia uwolnienie rozstrzygało stanowczo tę kwestyą dla całej starszyzny wojskowej. Następnego zaraz dnia, Zamoyski z pułkownikiem Kickim, z tém samém pismem W. Księcia stanął pod Modlinem, zkąd w skutek tego załoga rossyjska ustąpiła natychmiast, zostawiając w ręku naszém wszystkie wojenne zapasy, a w tej liczbie i ośm milionów ładunków.

Ale o ile będąc przeciwny powstaniu w tej chwili, Zamoyski starał się póki mu się to zdawało możebném, nie zrywać z rządem i drogą układów coś dla narodu uzyskać, o tyle zerwawszy już z nim stanowczo, pragnął aby walkę prowadzono z całą energią, i korzystano z każdej okoliczności; bo to jeszcze było jedną z cech jego życia, że się niczém nie zajmował w połowie, a wszystko spełniał jako obowiązek. Utworzył się był pod prezydencyą ks. Adama Czartoryskiego Rząd narodowy. Zamoyski zdając przed nim sprawę z kapitulacyi Modlina, przełożył całe położenie W. Księcia, który gotów był zgodzić się na wszystko dla uniknienia walki; można go było rozbroić, lub jako jeńca wojennego z całém wojskiem zatrzymać, można było całe pułki znajdujące się przy nim, zmieniwszy w nich oficerów do naszych zaliczyć szere-

gów, bo żołnierz w nich z polskich pochodził prowincyj; można go było jednego jako zakładnika zatrzymać. Zamoyski ręczył, że W. Książe podpisze wszystko, czegoby Rząd od niego zażądał i sam ofiarował się towarzyszyć wyższego stopnia oficerowi, któryby mu taką sommacyę zawiózł. « Wyszedłszy czysto z dawnego z nim stosunku pewien był, że stanąwszy przed nim w nowym charakterze, łatwo wysłuchanym będzie. » Myśl tę przyjęto, ale do wykonania jej nie przyszło. W kilka godzin później mianowany dyktatorem Chłopicki o niczém podobném słyszeć nie chciał, surowo nawet skarcił przekładającego mu ten projekt Zamoyskiego i pora sprzyjająca minęła niepowrotnie.

Nastał czas gotowania się do walki. Jakkolwiek Dyktator nie wierzący w powstanie z umysłu wstrzymywał i paraliżował wszystko, podniesiony duch narodowy okazał się ofiarnym, a zapał ogólny najwyższego dochodził stopnia. Ordynat Zamoyski zdawszy na starszego syna zarząd majątków, uchylił się od życia publicznego i udał się do Lubomla, majętności Branickich położonej za Bugiem, dokąd przybył wkrótce feldjegier z Petersburga wzywający go do Cesarza, i tam z nim pojechał. Zamoyscy zgodnie z tradycyą, pułk swego imienia, (5ty ułanów) formowali; kilku braci zapisało się do niego, najstarszy Konstanty jako prosty żołnierz; dowódzcą był pułkownik Gawroński. Władysław mianowany adjutantem dyktatora (d. 8 grudnia) najczynniej zajmował się tą formacyą; wymógł naChłopickim usunięcie dla niej ogólnego przepisu, zakazującego branie do nowych pułków dawniejszych wojskowych, i dzięki temu, pułk ten bardzo prędko odznaczył się w boju Zajęty tą formacyą i obowiązkami nowej swej służby, Zamoyski nie tracił z oka ogólnych wypadków i nawet ruchu opinii. Chłopicki miał wielką do niego ufność, jak wszyscy niemal starzy, « widział w nim gotowość, może nawet pewną bystrość, ale zalecało go w jego oczach nadewszystko to, że zarówno z nim i ze starszyzną uważał rzecz całą za niewczesną, i że bodźcem jego była nie nadzieja powodzenia, ale powinność. » Narzekał przed nim na ks. Czartoryskiego, « że zbyt *młody* i rojeń pełen.» Był właściwie tylko żołnierzem, a bynajmniej człowiekiem politycznym; kraju i jego potrzeb nie znał wcale i sprawy z nich sobie nie zdawał. Przyjąwszy dyktaturę pod warunkiem, że delegacya sejmowa będzie go mogła z urzędu złożyć i innego na jego miejsce wyznaczyć, ale że sejmu zwołać nie będzie miała prawa, mówił Zamoyskiemu : «Rad jestem, żem przynajmniej tej karczemce koniec położył. » Tymczasem po sześciu tygodniach sam tenże sejm zwołał. Widząc jak wszystko szło powoli, jak kierunek nie odpowiadał wysokiemu nastrojeniu ducha narodowego, Zamoyski już 25 grudnia pisał do matki :» braknam ludzi, to też potrzeba nam wojny, wojny bądź co bądź, ona oczyszcza i tworzy ludzi, więcej niż ich wytępia.»

Chłopicki marzył ciągle o układach z Mikołajem, wyglądał wiadomości od wysłanych do Petersburga, księcia Lubeckiego i Jezierskiego; Chrzanowski który podawał projekt przejścia na Litwę i zabrania litewskiego korpusu, do Modlina przez niego odesłanym został. W zgromadzonym sejmie odzywały się głosy ubliżające ordynatowi Zamoyskiemu za jego pobyt w Petersburgu, co bolało rodzinę najmocniej kochającą ojca. Najbardziej namiętnie występował przeciw niemu poseł Ledóchowski; Władysław też zażądał od niego odwołania słów wyrzeczonych w Izbie poselskiej, a gdy tego nie otrzymał, spotkanie jakie nastąpić miało, odłożył do skończonej wojny, bo póki trwał bój z wrogiem, krew każdego przedewszystkiém należała do ojczyzny. Z młodzieńczą gorącością pisał razem do matki: « Szlachetnością, poświęceniem się bez granic, przekonamy nieprzyjaciół naszych, i zawstydzimy oszczerców naszego ojca. »

Dnia 7 stycznia jak wiadomo, wrócił Jezierski z Petersburga i przekonano się nareszcie, że żadne układy nie były możebne; oręż miał rzecz rozstrzygnąć. Zamoyski pisał znowu: « Los już rzucony, i hańba temu ktoby dziś jeszcze wahał się lub cofał. » Chłopicki straciwszy popularność, 18 stycznia złożył dyktaturę; sejm na groźbę cara, odpowiedział aktem detronizacyi, wywołanym przez Ledóchowskiego i Romana Sołtyka, na posiedzeniu dnia 25 stycznia. « Jest w tém trochę śmieszności, odzywał się Zamoyski, ale ta niknie, kiedy się umie umierać jak my będziemy umieli. » Zawiódłszy się na dyktaturze, utworzono Rząd z pięciu złożony, nie mający istotnie żadnej władzy, bo i wódz naczelny przez sejm mianowany, był od Rządu niezależnym. Książe Adam Czartoryski nie mogący w nim mieć nawet większości, bo chociaż prezes jeden tylko na równi z członkami głos posiadał, nazywał ten rząd *komissyą do zaopatrywania potrzeb wojska*. Zamoyski czujący potrzebę silnej władzy, nie taił przed księciem Adamem żalu, jak się wyrażał, że się do tego rządu dał zaprządz, myśląc iż odmową swoją mógłby na sejmie inne dla władzy wykonawczej wymódz warunki, ale ten, zawsze do ofiary z siebie gotowy, znając pochopność narodu do krzyczenia na ambicyą, i nie chcąc aby go o cień jakich osobistych posądzano widoków, namówić się do tego nie dał, czuł także że na nieszczęście w massach popularności nie posiadał. « Nie mam ani jednego plutonu, któremubym mógł rozkazać, » odpowiadał zwykle Zamoyskiemu. Książe Michał Radziwiłł objął naczelne dowództwo, i gotowano się już szczerze do boju. Zamoyski pisał wtenczas do jednego z braci: « Nie będę szukał śmierci, ale się też nie będę oszczędzał; już drugiej tak pięknej dla nas chwili nie doczekam; niech się dzieje wola Boża! Choć czasem smutny, jestem szczęśliwy; miło jest nieskończenie najżywszych swych uczuć nie ukrywać, miło oddychać tém poświęceniem które wszystkie nasze chwile zapełnia, miło raz

w życiu *w prostém* i jawném stanowisku się znajdować. Skończyć życie mniej mi smutno potém będzie, żem dzień jeden pięknie przeżył. Nie zataję ci jednak smutnych nieraz przeczuć, nie tak śmierci, jak trudnego nieraz życia. Jeżeli upadnie Ojczyzna, co będzie z tymi co nie zginą? Przyszłość okropna. » Odbiły się w tych wyrazach uczucia niejednej z najpiękniejszych dusz polskich, i wówczas, i później, i może nieraz jeszcze w przyszłości.

Gdy się bój miał rozpocząć, Zamoyski chciał do swego pułku powrócić; ale niedługo tam pozostał. Potrzebowano wykształconych oficerów, a odbyte w Berlinie nauki wskazywały go władzom. Pomimo wymawiania się swego, naznaczony (d. 1 lutego 1831 r.) szefem sztabu IIgo korpusu jazdy, przy jenerale Łubieńskim, z pierwszej potyczki pod Dębem (d. 18 lutego) wyszedł cało, bo kilka lanc płaszcz mu tylko przeszyło. Pisał do matki, że jest szczęśliwy, iż już chrzest ognia otrzymał. Dnia 19 lutego pod Wawrem, szarżą na czele jednego plutonu wykonaną stępo, uratował pułk strzelców konnych który miał być odcięty, za co krzyżem *virtuti militari* ozdobionym został; 20go i 25go bił się znowu przez dzień cały pod Grochowem i podniesiony tamże na stopień kapitana. Mawiał o sobie, że miał dar łatwego męztwa; w ogniu nie tracił na chwilę zupełnego spokoju i swobody umysłu. Tytus Działyński widząc go na polu grochowskiém, wyrażał się o nim, « że idzie w ogień tak spokojnie, jak baba na jarmark. » Wiadomy jest ostateczny bitwy wypadek. Chłopicki, o którym mówiono, że gdyby go Dybicz nie zaczepił, stałby tam do dnia sądnego, raz zaczepiony zerwał się jak lew, ale rannego odwieziono z placu boju; upadek ducha był powszechny. Zamoyski po bitwie, z polecenia ks. Adama obchodził jenerałów, aby ich zebrać na godzinę 4tą rano na posiedzenie Rządu Narodowego. Skrzynecki obrany wodzem naczelnym, powiedział nowemu kapitanowi : « Daj mi sposobność posunięcia cię w najkrótszym czasie na stopień pułkownika. » — « Nie widzę innej, odparł Zamoyski, jak żebyś mnie jenerał stawiał pod ogniem jak najczęściej. » Okoliczności nie zabrakło. Dzięki nowemu wodzowi, wypadki prędko pomyślniejszą przybrały postać. Po zwycięztwie pod Wawrem i Dębem Wielkim (31 marca), Zamoyski widząc pod Jędrzejowem (około Kałuszyna) że major źle ustawia szwadron jazdy z którym miał iść do szarży, staje na jego czele, i sam go prowadzi; wykonywa istotnie *szaloną* jak wyrażano się szarżę; kilka razy ranny, zdobywa trzy nieprzyjacielskie sztandary, i kiedy go za straconego miano, wraca, licznego z sobą prowadząc niewolnika. Rozkaz dzienny (z d. 1 kwietnia) powiadał, « że kapitan Zamoyski okrył się sławą, i podniesiony został na podpułkownika. » Ale rany na kilka tygodni oddaliły go od placu boju, czego odżałować nie mógł.

Zmuszony do bezczynności, zwracał pilnie uwagę na wszystko co się

wewnątrz kraju i w stolicy działo, a rosło w nim ciągle przekonanie o potrzebie silnego, w jedném ręku skupionego rządu. Gdy wódz naczelny w działalności swej ostygł, nalegał na ks. Adama aby mu determinacyi dodawał; z ręką jeszcze na temlaku towarzyszył wyprawie na Tykocin od której wielkich oczekiwał skutków, a gdy te omyliły, pisał znowu do wuja: « Nieraz myśleliśmy, iż brak nam tylko książęcia krwi, żeby rzeczy szły dobrze; teraz Książe nim być możesz. Nie chodzi o to, żebyś miał wziąść koronę, ale żebyś póki nie mamy komu jej oddać, dźwigał jej i ciężar i zarazem władzę. Jest to dla wuja najkonieczuiejszym dziś *obowiązkiem.* » W razie gdyby się wuj na to zgodził, a nie miał nikogo zdolniejszego do pomocy, dodawał Zamoyski, gotów jestem dla pracy przy nim, rzucić armię, chociażby nawet w wigilią wielkiej bitwy. » Nalegania te nie miały żadnego skutku, bo ks. Adam władzy dla siebie żądać nie chciał. Skrzynecki któremu Zamoyski przekładał konieczność zaprowadzenia zmiany w rządzie, dowodząc że on jeden mógłby jej dokonać, stawiąc po nad sobą księcia Czartoryskiego, odpowiedział: « Ja nie mogę zrobić 18go brumaire. » Tak wszystkie te usiłowania spełzły na niczém.

Nastąpiła prędko bitwa pod Ostrołęką (26 maja). Świeżo z ran wyleczony podpułkownik, pod okiem Skrzyneckiego znowu kolumnę do ataku prowadził i miał pod sobą ubitego konia; widząc zaś naczelnego wodza stojącego w największym ogniu, jak gdyby szukał śmierci, ostrzegał go, że jeżeli koniecznie chce zginąć, powinien piérwej następcę po sobie naznaczyć. Po bitwie korpus jazdy jenerała Łubieńskiego przez trzy dni zasłaniał odwrót armii. Dnia 19 czerwca Zamoyski bił się pod Łysobykami; 1 lipca mianowany szefem sztabu przy nowo utworzonym korpusie jenerała Ramorino, miał udział w bitwie pod Mińskiem (15 lipca). We cztery dni później, posłany z tysiącem ludzi i dwoma harmatami dla zrobienia silnego rekonesansu i zajęcia Kocka, dobrze wywiązał się z zadania i wzięty do niewoli szwadron dragonów nieprzyjacielskich z sobą przyprowadził, sam ani jednego nie straciwszy żołnierza. Dnia 26 lipca mianowany pułkownikiem, widząc rozprzężenie jakie w tym czasie szerzyło się w armii, nalegał na ks. Adama, żeby jako prezes Rządu do obozu przyjechał, dla położenia temu końca, a gdy nastąpiła rada w Bolimowie, miał w niej udział. Nadszedł dzień 15 sierpnia, po którym ks. Czartoryski urząd prezesa Rządu złożył; Krukowieckiemu dostała się władza. Paskiewicz już wtenczas Warszawie zagrażał, a postrzeżono że ta miała żywności zaledwo na dni kilkanaście. Dnia 22go sierpnia wysłanym został na prawy brzeg Wisły jenerał Ramorino z 20,000 doborowego wojska, (tak zwanym IIgim korpusem) a miał polecenie znieść 12to tysięczny korpus Rosena i Gołowina i stolicę zaopatrzyć w żywność. Udzielona jenerałowi instrukcya zawierała w końcu zalecenie, w razie gdyby go inne nie doszły roz-

kazy, przeniesienia się na prawy brzeg Bugu i zajęcia Brześcia, gdzie nieprzyjaciel miał wielkie magazyny. Towarzyszył korpusowi ks. Adam Czartoryski. Plan się nie udał; Rosen umknąć potrafił i wojska nasze zaledwo tylną straż jego pod Rogoźnicą dopędziły. Książe Adam z drogi pisał do jenerała Krukowieckiego, aby doświadczonego oficera sztabu korpusowi przysłał. Odebrał rozkaz Prądzyński, ale otrzymawszy przez upadnięcie z konia silną kontuzyą, prędko do stolicy powrócił. Korpus poszedł dalej, lecz i tam mu się nie powiodło, bo zaledwie stanąć pod Terespolem zdążył, już nieprzyjaciel który go do Brześcia wyprzedził, palił tam swoje zapasy. Przyszło wracać nazad.

Cała ta wyprawa była przedmiotem bardzo ostrej krytyki; wyrzucano Krukowieckiemu oddalenie z Warszawy sił tak znacznych i wyborowego wojska, w chwili kiedy już stolicy zagrażał nieprzyjaciel; jeszcze bardziej wyrzucano dowódzcy IIgo korpusu i jego szefowi sztabu, że nie zdoławszy zniszczyć sił Rosena i Gołowina, zapędzili się jednak aż pod Brześć, i odjęli sobie możność pośpieszenia na czas do Warszawy. Zamoyski w pisemku ogłoszoném w tym przedmiocie (1), przytacza rozkazy jenerała Małachowskiego, pełniącego wówczas obowiązki naczelnego wodza, (z d. 2go i 4go września) nakazujące korpusowi powolne cofanie się ku Warszawie, i nie przekraczanie Siedlec; z d. 6 zaś września, już po wzięciu Woli, rozkaz tegoż, zajęcia tylko Kałuszyna. Ostateczne ocenienie tych wypadków i militarnych zdolności jenerała Ramorino i jego Szefa sztabu, musimy zostawić ludziom specyalnym, a nawet zaczekać dla zupełnego ich wyświecenia, aż wszystkie do tych chwil odnoszące się materyały ogłoszone będą. To pewna, że korpus pośpiesznym marszem zdążał do Kałuszyna, mając zamiar na wieść o boju pod Warszawą dostać się do samej stolicy, kiedy o milę od Siedlec odebrał jenerał Ramorino ustną tylko przez adjutanta przywiezioną wiadomość o stracie Warszawy i kierunku armii naszej na Modlin. Wstrzymano pochód czekając na rozkazy stanowcze, a gdy te nie nadchodziły, zwołano radę wojenną. Ramorino uważał już wojnę za skończoną, i od tej chwili sam niczego stanowić nie chciał; zdawał się we wszystkiém na Zamoyskiego, powtarzając, że odtąd wszelkie ruchy wojska są tylko rzeczą polityczną, w której on jako cudzoziemiec stanowić nie może; wiedział, że jego szef sztabu zasięgał zdania ks. Adama Czartoryskiego. Rada wojenna postanowiła nie iść do Modlina, ale w przeciwną mu stronę, ku Zamościowi. W sztabie Ramoriny zrodziło się przekonanie, że kierunek armii na Modlin był tylko skutkiem rozkazów Paskiewicza i spełnieniem woli Mikołaja, który w manifeście ogłoszonym przed rozpoczęciem kompanii, za pierwszy warunek przebaczenia ze swej

(6) *O zarzucaném dowódzcy korpusu II. jenerałowi Ramorino niedopełnieniu rozkazów danych mu przez Naczelnego Dowódzcę, po upadku Warszawy. List pułkownika Zamoyskiego do Redaktora dziennika : Trzeci Maj. Paryż* 1844.

strony, wymagał zebrania się całego wojska naszego w Płockiém; nie dziw więc, że iść tam nie chciano, i póki nie było rozkazu, inną obrano drogę, a kiedy w końcu rozkaz nadszedł, chwycono się skwapliwie pozostawionej Jenerałowi wolności postąpienia z tym rozkazem stosownie do swej woli i położenia korpusu. Postanowienie rady wojennej Ramorino utrzymał, i poszedł na Łuków, Kock, ku Zamościowi, z zamiarem przejścia przez Wisłę i dostania się w Krakowskie.

To istotne oparcie się rozkazowi naczelnego wodza, stało się powodem nowych przeciw Zamoyskiemu zarzutów; posunięto się aż do przypisywania temu krokowi wejścia do Prus głównej armii, która jakoby będąc wzmocniona IIgim korpusem, jeszczeby bitwę stoczyła. Dziś można już stanowczo powiedzieć, że nawet połączenie się obu armii, chylącej się do upadku sprawy uratować wtenczas nie mogło, bo w poczuciu ogólném, ze stratą Warszawy wszystko już było skończone, ale udzielona dowódzcy korpusu przy rozkazie wolność niestosowania się do niego, przysłana później przez jenerała Rybińskiego obranego wodzem naczelnym pochwała obranego kierunku, już od zarzutu nieposłuszeństwa najzupełniej zwalniają. Być może, że obecność w obozie osób niechętnych Rządowi który powstał podniu 15ym sierpnia, i skłonnych zapewne trzymać się na uboczu, w pewnej od niego niezależności, przyczyniła się do powziętego na radzie wojennej postanowienia, ale plan sam miał na celu tylko prowadzenie walki. Nie udał się, bo nic się już udać nie miało; nie znaleziono na Wiśle mostów na które rachowano, jenerał Zawadzki danego sobie polecenia pod Kurowem nie wypełnił i dał się nieprzyjacielowi oszukać, przejść na lewy brzeg Wisły nie zdołano, a szerzący się coraz bardziej upadek ducha, zwłaszcza między oficerami, był powodem że prędko i walki nawet zaniechano. Niechętni wtenczas, nie chcąc się bić, wyrzucali Zamoyskiemu że nie poszedł do Modlina. « Mściłem się, pisał do matki, ciągłém narażaniem się; Pan Bóg dopomógł, bo znowu lekko byłem ranny, kula przeszła nos między oczami. » Było to w Opolu, na grobli, już w drodze ku Galicyi, bo na radzie wojennej w Zawichoście postanowiono broń Austryi złożyć. Daremnie opierał się Zamoyski, przekładając : « że stokroć lepiej i zacniej dać sobie broń z rąk wytrącić w boju, chociażby następnie i niewolę cierpieć, » zdanie ogromnej większości przemogło, bo upadek na duchu był już powszechny. Korpus widocznie zaczął się zmniejszać, objawiła się nawet nieznana dotąd w wojsku naszém dezercya; w kilka dni liczba żołnierza z 12,000 zeszła na 8,000; 19 września przészedł Zamoyski z innymi granicę pod Borowem. Oto co w parę dni potém w poufnym pisał liście : « Złożenie broni w 8,000 było dla mnie strasznym ciosem; przeciwiłem się temu do ostatniej chwili, radząc, błagając, aby się trzymali; chciałem na granicy przynajmniej świetny grobowy kamień sobie i sprawie naszej zdobyć. Nie chcieli.

Cóż o mnie muszą mówić? sam zdaleka, przekląłbym dowódzcę i szefa sztabu, ale z bliska rzecz inna. Trudna z Polakami sprawa! zapału wiele, wytrwałości jakże mało! Tłumaczyć się nie mogę, bo trzebaby chcąc siebie obronić, innych, i że tak powiem naród własny w nędznem wykazać świetle. Przyszło więc przenieść wszystkie sromoty. Zostaję tu w Galicyi, na dni kilka, żeby im chleb, mięso i t. d. zapewnić.»

Na tém skończyła się ówczesna, jedyna w jego życiu, na własnej ziemi walka. Jeszcze na chwilę zabłysła mu nadzieja dobycia znowu oręża i całe życie, jak pisał, od razu w niego wstąpiło napowrót. Jenerał Różycki trzymał się za Wisłą, i ks. Adam który nie chciał wyjść za granicę póki się bił ktokolwiek w kraju, znajdował się przy jego oddziale. Nadeszła od jenerała odezwa, wzywająca do łączenia się z nim. Kilka dni wypoczynku zrodziło i w zniechęconych tak niedawno oficerach inne myśli, tłumnie oświadczyli chęć wrócenia na plac boju. Ale razem dokonać tego nie było podobna; zostawała już tylko droga pojedyńczego przechodzenia do Polski. Żegnając korpus już rozbrojony, rozdawszy między żołnierzy i oficerów kassę, Zamoyski jeszcze to ostatnie powtórzył wezwanie, rad że je w imieniu wszystkich wypowiedzieć może; wszakże już było zapóźno. Dostać się na drugą stronę Wisły nie udało mu się w dniach piérwszych, bo już kozacy ściśle drugiego pilnowali brzegu, a zaraz i jenerał Różycki wszedł do Galicyi. Trzeba było poddać się losowi, i mimo wszystko — żyć.

Parę miesięcy spędził Zamoyski u Pietruskiego we wsi Łubieńce, w tatrzańskiej okolicy, gdzie spisał ten o pierwszych dniach listopadowego powstania pamiętnik, który zaledwo po latach trzydziestu pięciu miał być ogłoszony; ale trzeba było postanowić coś na przyszłość. Myś o wychodźtwie powstała zaraz w umysłach; była zresztą już tradycyjną u nas od czasu klęsk ostatecznych narodu. Nie jeden przewidując bliski koniec walki, wyprzedził nawet wyjście wojsk naszych za granicę. Zamoyski jak widzieliśmy, dotrwał do samego końca, a nadto już dojrzałą miał spraw publicznych świadomość, aby mógł myśleć, że rzecz na polu orężnej walki przegrana, mogła się zaraz zabiegami wychodźców podnieść na nowo, i że pokonani, uzyskamy natychmiast tę pomoc, jakiej nam walczącym i nieraz z powodzeniem, odmawiano. Widział, że długa droga przed nami i dla tego się nie śpieszył. Kilka miesięcy spędził w Krakowie, chcąc się naradzić z braćmi i rodziną nim powziął postanowienie, które o całém jego dalszém życiu stanowić miało. Cesarz Mikołaj ogłosił, że każdy w przeciągu trzech miesięcy wracający do kraju, otrzyma amnestyą; bracia Zamoyskiego postanowili z tego korzystać dla służenia krajowi na miejscu; on to z ich strony pochwalał, ale sam «czując nieprzezwyciężony pociąg do służenia mu na polu politycznem, a widząc że takiego w kraju nie znajdzie, zdecydował się na emigracyą,» tém bardziej, że książe Adam

Czartoryski, którego losy chciał nieodstępnie podzielać, widząc w jego osobie jakby sztandar narodowy, już się od kilku miesięcy znajdował za granicą. Bracia postanowili nie komunikować się odtąd inaczej jak pocztą i niczego sobie wzajemnie prócz wiadomości rodzinnych nie udzielać; « dla wracających do kraju, było to warunkiem bezpieczeństwa i jakiegokolwiek postępu w pracy; dla wszystkich, potrzebą obywatelskiego sumienia, potrzebą jawności. » Zaledwo w 1860 r. po raz pierwszy zobaczył się Władysław z bratem Andrzejem w Paryżu i o własném życiu i pracach swoich z nim się rozmówił.

Z powziętém postanowieniem udania się na wychodźtwo, rozpoczął się dla Zamoyskiego szereg prac, walk, i najbardziej różnorodnych około sprawy narodowej zachodów, rozpoczęła się prawdziwa, czterdziestoletnia prawie Odyssea, w której zostawił narodowi wzór niespożytej niczém wytrwałości. Historya lat tych zanadto z ogólnemi wypadkami w Europie spleciona, imię Zamoyskiego ze zbyt wielu szanownemi tych czasów postaciami złączone, i nadto szerokie zajmował on tam miejsce, aby się te usiłowania w krótkiém wspomnieniu obecném dokładnie opowiedzieć dały. Zostawione z niektórych lat pamiętniki jego i obszerna, tysiące listów obejmująca korespondencya, dostarczy materyałów temu, kto historyą wychodźtwa naszego opowiadać będzie; my tu główne rysy postaramy się nakreślić, posługując się jak dotąd, o ile będzie można, własnemi jego słowami. Były w tej długiej na życie człowieka, bo czterdziestoletniej epoce, całe lata jednostajnych, ciągle powtarzających się w tym samym kierunku zachodów, były chwile żywszych nadziei, a zawsze po nich większego jeszcze smutku i sroższych daleko boleści. Wszystko to przeszedł Zamoyski; a jeżeli doświadczeńszemu oku w mniej złudnych niż wielu innym barwach, przedstawiały się nadzieje, to znowu niezawodna, że wszystkie kolejno klęski w żadnej piersi większego nie spotkały hartu, a sprawa wytrwalszego nie miała szermierza.

« Czuło wychodźtwo, mówi on, unosząc życie za granicę, że szuka w tém nie własnego bezpieczeństwa, ale że przez to rozpoczyna zawód publicznej posługi. » Zamoyski nie inaczej to jak widzieliśmy, pojmował. « Polak emigrant według niego, nie biorący udziału w polityczném zadaniu polskiego wychodztwa, był dezerterem z pola na którem się toczy walka o wszystko co jest najświętsze. » Nie był on nim na jedną chwilę. Nie myślał, aby ocalone w bitwach życie do kogo innego należeć mogło, jak do ojczyzny, której je raz ślubował. W poufnym liście do przyjaciela, zaraz po wyjściu za granicę pisanym, mówił, że » myśl ta obejmuje go *całego*, że wszystko poza nią jest dla niego rzeczą *podrzędną*, a wszystko coby jej było *przeciwne*, umiał by odrzucić od siebie, jakichby to ofiar kosztować nie miało.» — «Przywiązanie moje do Ojczyzny, wyrażał się wtenczas w liście do Matki, bierze zupełnie

cechę ubóstwienia, a przynajmniej najsilniejszej namiętności,» w kilka zaś miesięcy później dodawał: «Jak dawniej w każdej rodzinie poświęcano jednego jej członka na służbę Bogu, podobnie teraz nie byłoby zbytecznem, jednego oddać wyłącznie na służbę Ojczyznie. W naszej tak licznej rodzinie, ja będę tym synem, bo już uprzednie okoliczności wskazały mnie tę drogę.» Z takiemi uczuciami wyszedł na obcą ziemię; po latach dwudziestu, to w nim najpierwej uderzało poznające go wtenczas, a najbliższe mu później osoby, że w tej służbie Ojczyznie najmniejszej nie miał on dystrakcyi. Do ostatniej chwili, było to uczucie najsilniejszą jego namiętnością na ziemi. Spełnił na sobie, co protoplasta rodu, Hetman i Kanclerz W. K. pisał do syna: «Już to tak jest mój synu, że my nie dla siebie, ale dla Rzeczypospolitej się rodzim.» Czuł się też zrodzonym jedynie i bezwyłącznie dla tej dziś rozszarpanej Rzeczypospolitej, a pięknie porównano jego życie do rozbitka, którego rozbicie i walka z burzą i żywiołami trwała *lat czterdzieści!*

Ale emigracya nasza, jak sam powiedział, «nie była podobnie do innych emigracyj, które nie wróg ale właśni wyrzucili rodacy, stronnictwem tylko; była całym narodem w streszczeniu, i dla tego rozpadała się na różne, tak zwane opinie czyli sprzeczne sposoby zapatrywania się na rzecz publiczną; a głównie, na owe dwa pierwiastki wszelkich społeczeństw, z których jeden przedewszystkiém troszczący się o ustalenie władzy, drugi o zabezpieczenie wolności.» Do tak ogólnego określenia, które w każdym razie świadczy o wielkiém umiarkowaniu Zamoyskiego, gdy szło o wyrzeczenie sądu o wypadkach i ludziach, należałoby dodać, dla samej ścisłości historycznej, nie jeden rys jeszcze, bliżej charakteryzujący rozmaite kierunki, a tego przynajmniej pominąć nie można, że przy wspólnej dla rzeczy publicznej miłości, był jeden zastęp ludzi rozważnych i doświadczonych, a trzymających się dawnych tradycyj, drugi gorętszych i niecierpliwych, hołdujących łacno nowym, na Zachodzie wyrabiającym się ideom. Zamoyski z tradycyi, z położenia towarzyskiego i z głęboko wyrobionych przekonań należał do tego, co w każdém społeczeństwie nazwanoby pierwiastkiem zachowawczym i to właśnie, przy całej rozmaitości prac kolejno w szeregu tych lat podejmowanych, uderza najbardziej. Nosił on w duszy, cały, że się tak wyrazimy, organizm ojczyzny; pojmował ją w dalszém rozwinięciu konstytucyi 3go maja, w ideale społeczności rządnej, katolickiej i monarchicznej, i to wszystkim usiłowaniom jego nadawało jedną, wybitną a poważną cechę. Jeżeli w wojsku polskiém upatrywał «podstawę dla odbudowania polskiego państwa, bo jego karność i porządek służby mogły stać się wzorem i zawiązkiem całej, coraz szerzyć się mającej służby rządowej i gospodarstwa krajowego, to i w tej cząstce narodu która wyszła za granicę pragnął, aby się mógł podobny dla

przyszłości wyrobić zawiązek.» Lud polski nie tylko kochał ale cenił wysoko. «O ile bliżej poznałem, mówi w swych pamiętnikach, klassę włościan naszych, w trudnych przeprawach wojny i klęskach po wojnie doznanych, jej spokojną zacność, przy skromném, głębokiém uczuciu obowiązku i osobistej godności, powziąłem dla niej współczucie i szacunek taki, że zaledwobym z nią stawiał na równi szlachtę naszą, zwłaszcza kiedy pomnę jak wielka w tej szlachcie pochopność do przedsięwzięć najbujniejszych rozmiarów, a jaki często brak wytrwałości.» Ale nie szło za tém żeby na ten lud jedynie losy sprawy narodowej miał zdawać i żeby przodkujące dotąd warstwy od obowiązku kierownictwa zwalniał. «Od pierwszych kroków, powiada on, jakie w życiu na własną stawiałem odpowiedzialność, uczułem, że chcąc być pożytecznym Ojczyznie, potrzebnym mi jest kierunek w osobie doświadczonego męża, któremubym przynajmniej do czasu, ślubował posłuszeństwo we wszystkiém, cobym dla Ojczyzny uczynił. Uczułem, że pożytek dla niej wątpliwy, a najczęściej żaden, z pojedyńczego, choćby i dzielnego zachodu, że tylko zbiorowa praca pożytek przynieść może, a ta jest niepodobną bez kierunku, bez kierownika. Ale chcąc przewódzcy, czułem zarazem, że odebrany kierunek potrafię innym wskazać, i tak instynktem raczej niż rachubą od razu pragnąłem tego, co jest najżywotniejszym każdej społeczności warunkiem: pragnąłem hierarchii, czyli stopniowania władzy.» Tych kilka słów określa wybornie długoletnie jego działanie. Wyróżniał się tém Zamoyski od ogromnej większości rodaków, bo nic pospolitszego u nas, nad to wyobrażenie, «że każdemu pomiędzy nami miłość dla kraju daje prawo stanowienia o jego losie, i że dość być Polakiem, żeby w każdej polskiej sprawie mieć głos stanowczy.» On nic na własną rękę przedsiębrać nie chciał, powtarzając, że «dzieciom tylko przebacza się zarozumiałość, wyrażająca się słowami: ja sam, ja sam!»

Takiego dla siebie przewodnika uznał Zamoyski w księciu Adamie Czartoryskim. Od lat njamłodszych, przez matkę jeszcze wyuczony głębokiej czci dla niego, w osobistém zbliżeniu się podczas sądu sejmowego i w czasie kampanii 1831 r. utrwalił tylko w sobie to uczucie, i wierny dopiero co przytoczonemu przekonaniu, znalazłszy się na wychodztwie, ślubował w duszy służyć Polsce pod jego kierunkiem, a w ciągu lat trzydziestu, na chwilę w tém się nie zachwiał. W każdej odtąd pracy publicznej ks. Adama była jego ręka, wszystko zaś czego mu się dokonać udało, księciu Czartoryskiemu głównie przypisywał, do niego odnosił.

«Wychodztwu naszemu zagranicą, zastawioną była możność sprawowania *zewnętrznych* interesów Polski, a w tém zachowanie jednej, może najistotniejszej cechy exystencyi niepodległéj i własnego rządu; ale żaden charakter urzędowy polski nic tam nie

znaczył; posłuchanie mógł znaleść tylko ten, czyja przeszłość wyrobiła mu już imię w świecie i pozycyą, a takim dla Europy pomiędzy nami był jeden ks. Adam Czartoryski. On też jeden mógł Polskę przed obcymi reprezentować, jej sprawę tłumaczyć i od zapomnienia bronić;» a tak dalece było to prawdą, że wszystkie rządy we Francyi, jakie kolejno po sobie w przeciągu lat następowały, (wiadomo zaś jak były rozmaite i zasadami i pochodzeniem swojém) nie wyłączając nawet tymczasowego rządu Rzpltej 1848 roku, wszystkie za takiego reprezentanta go miały, i udawały się do niego ilekroć im o Polskę chodziło. Thiers będąc pierwszym ministrem mawiał często, że dla jego rządu i wyższych sfer francuzkich, książe Adam Czartoryski był Polską; lord Palmerston oświadczał wyraźnie, że nie pojmował aby kto inny mógł za jej reprezentanta uchodzić, Mikołaj nawet tak go uważał; między nami tylko, którym zdrowa polityka i interes ojczyzny nakazywały wtenczas skupiać się około niego, i « wzmacniać jego pozycyą wobec Polski i Europy, » znajdował on zaciętych przeciwników. Zamoyski w zapatrywaniu się na pozycyą ks. Adama, po kilku latach poszedł daleko dalej, ale o tém powiemy na swojém miejscu; w pierwszych latach emigracyi, oceniając tylko najtrafniej wagę moralną i wpływ osobisty księcia Adama za granicą, nalegał na niego, aby żadnego mandatu od wychodztwa nie przyjmował, i do żadnego jakiby się w niém mógł utworzyć rządu nie należał, bo przewidywał, że toby go tylko zużyć, a przez to sprawę samą pomocy jego osoby pozbawić musiało. Wiedząc, że « w praktycznej polityce najwięcej się działa przez osoby, » w tém chciał być Księciu pomocą, a na tém polu, jak sam powiada « miał wyjątkowe ułatwienia; już dla tego, że nie był mu na zawadzie niedostatek, ale najbardziej, że dzięki stosunkom rodziców, przystęp do wyższych towarzystw we Francyi i Anglii był mu otwarty i łatwy; samo pokrewieństwo z księciem Adamem, już mu wiązanie własnej czynności i dobrej woli z czynnościami Księcia ułatwiało, » pośpieszył też zużytkować to dla sprawy. Wkrótce, całemu wyższemu a na sprawy świata wpływ mającemu towarzystwu w Londynie i Paryżu był znany, z czasem, uzyskał tam poszanowanie szczere, nieraz przyjaźń a nawet uwielbienie, wszystko to zaś na korzyść jedynej rzeczy która go w życiu zajmowała obracał.

Posiadaliśmy wtenczas ogólne w massach na Zachodzie sympatye; krew ofiarna przemawiała za nami, emigracya w Niemczech i Francyi spotykała najżywsze współczucie, ale to dla podźwignienia sprawy wystarczać nie mogło, musiało ulegać chwilowym zmianom opinii i upodobań; w prawie międzynarodowém miejsca dla nas nie było. Podstawą tego prawa w całej Europie był jeszcze wtenczas traktat wiedeński 1815 r. Jakkolwiek bez naszego w nim udziału, uznał on był niejako panowanie zaborczych w Polsce rządów, wszakże, uczynił

to pod pewnemi warunkami, zapewnił bowiem wszystkim częściom Polski narodowość i reprezentacyjne ustawy, przy zupełnej wolności handlu i komunikacyj. Traktat ten, co się tycze Polski, zupełnie był wtenczas w Europie zapomniany. Przypomnieć go jej, wskrzesić to prawo, i uprzytomnić je niejako w sumieniu ogólném, było pierwszém zadaniem wychodźtwa. Środkiem jaki do tego obrano, było wywoływanie mocyj w Parlamencie angielskim i w obu Izbach francuzkich. We Francyi Izby wtenczas obradowały prawie wyłącznie nad wnoszonemi przez rząd projektami; tu więc starano się wnioski o Polsce wprowadzać jako dodatki do adresu Izb. W Anglii, gdzie każden członek Parlamentu może robić wnioski i dzień jeden w tygodniu jest na to poświęcony, dokładano usilności, aby je od nich otrzymać. Trudno sobie zdać sprawę dzisiaj z ogromu pracy i zachodów jakie to pociągało za sobą. Trzeba było dostarczać mowcom materyałów potrzebnych do mocyj, odwiedzać członków komisyj układających adresa, wszystkich sprawy naszej uczyć, docierać wszędzie osobiście, ustnie rzecz przekładać i tłumaczyć, memoryały pisać. Nie ustało jednak w tej pracy grono otaczające ks. Adama, a Zamoyski nikomu i tutaj w gorliwości prześcignąć się nie dał.

Kiedy raz piérwszy do Londynu przyjechał, znalazł już staraniem ks. Czartoryskiego utworzone tam pod przewodnictwem poety Campbella *Towarzystwo Przyjaciół Polski*, zostające pod opieką księcia Sussex; członkowie tego stowarzyszenia, należący do rozmaitych stronnictw politycznych, odzywali się za nami w Parlamencie, z powodu piérwszej mocyi Fergussona (w kwietniu 1832 roku); powtórna o nas rozprawa, już głównie staraniem Zamoyskiego przygotowana, bo ks. Adam bawiący wtenczas w Hastings, zdał był ten zachód na niego, miała miejsce w Izbie niższej d. 7 sierpnia tegoż roku. Niejeden z mówców nieposiadających jeszcze dość wziętości i powagi aby w rzeczach wewnętrznych był słuchany, za namową Zamoyskiego, jął się obrony sprawy naszej, która stawiąc go na widowni europejskiej, miała mu zarazem i stanowisko w Parlamencie zapewnić. Rozprawa była żywszą i donioślejszą od poprzedniej. Z czasem, w miarę rosnącej dla nas sympatyi, wnioski stawały się coraz bardziej stanowcze. W obec tego, ludzie stojący u steru mawiali Zamoyskiemu: « czego chcecie przez wasze mocye? wojny Moskwie dla sprawy polskiej nie wydamy. » — « Chcemy odpowiadał, na ścianach Parlamentu przybić prawa Polski » i w rzeczy samej, za księcia Adama i Zamoyskiego staraniem, wpisała opinia prawa polskie do prawa publicznego Europy, a ciekawym i zdumiewającym zaiste był widok polskiego emigranta, zbrojnego jedynie w prawa swojego narodu, i toczącego walkę z Moskwą w Parlamencie angielskim. Mocya Fergussona w 1833 roku domagająca się odmówienia sankcyi ówczesnemu stanowi politycznemu Polski,

który był widoczném zgwałceniem zagwarantowanego przez Anglią traktatu wiedeńskiego, zatrzęsła ministerstwem. Czterech ministrów głos zabierało oświadczając, że rząd wszystko czego żądano uczynił, i że nawet zaprotestował przeciw nowej w Polsce organizacyi, jakiej Rossya nie miała prawa zaprowadzać. Podczas rozpraw w Izbie niższej, Zamoyskiemu dawano miejsce w loży arbitrów; w Izbie lordów, dla dogodności pozwalano mu siadać na stopniach prowadzących do tronu; tam przychodzili do niego członkowie Parlamentu po objaśnienia i wskazówki, widziano nieraz ministrów opartych o kratę tronową i roztrząsających z nim ten lub ów punkt nadchodzącej mocyi. Sprawa o której niedawno z największą słuchano obojętnością, zaczęła żywo obchodzić celniejsze umysły; niejeden z najgłośniejszych mowców przemawiał za nią, słyszano w jej obronie między innemi i wymowny głos O'Connella, a po długiej z Zamoyskim rozmowie w 1842 r. nawet sir Robert Peel stanowczo w Parlamencie postępowanie Moskwy popotępił, obstając za nieulegającemi przedawnieniu prawami naszemi.

We Francyi działo się toż samo. W 1832 r. powstało w Paryżu *Towarzystwo Literackie* mające na celu podobneż około Izb francuzkich zachody i prace. Do grona tego należały najszanowniejsze wtenczas na wychodztwie i najbardziej krajowi zasłużone imiona; układano tam pisma i artykuły, co roku członkom Izb obu rozdawano memoryały, p. t. *Quelques mots sur la question polonaise*, i przez lat ośmnaście z rzędu, aż do końca rządów Ludwika Filipa, nie ustały te cnotliwe usiłowania. Żaden też przez wszystkie te lata adres Izb nie przeszedł bez wzmianki o Polsce. Od dnia kiedy Ludwik Filip uroczyście wypowiedział, że narodowość polska zaginąć nie może, Izby prawodawcze co roku ponawiały żądanie aby się rząd upomniał o zapewnione jej traktatami prawa powtarzając, że pokój rzeczywisty wtenczas zaledwo da się ustalić w Europie, kiedy uszanowane będą prawa Polski, traktatami uświęcone. Takim sposobem, sprawa nasza nie przestała przypominać się światu, i z dziedziny ogólnych tylko sympatyi, przechodziła na widownię europejskich stosunków i międzynarodowego prawa, a przy każdej sprzyjającej okoliczności na nowo podniesioną być mogła. Nauczony kraj, od tego czasu w Poznaniu i Galicyi zaczął się także upominać o to co mu przynajmniej traktat wiedeński przyznał.

Zamoyski we wszystkich tych, co roku powtarzających się zachodach, we Francyi i Anglii, zrazu towarzyszył księciu Adamowi, potém go nieraz wyręczał i zastępował, z niezmordowaną zawsze gorliwością. Zdarzało się nieraz w następnych latach, że najpoważniejsi członkowie Izb angielskich, widząc jak pomimo dotkliwych cierpień, czekał on często do późnej nocy w sali obrad na rozprawy o Polsce, przychodzili do niego, zaklinając aby odszedł. « Zrobimy wszystko czego żądasz, mawiali mu, ale odejdź, bo tu umrzesz. » Nie jeden z nich

powtarzał, że zbolała postać Zamoyskiego w tej wspaniałej sali, u stóp tronu potężnego narodu, tkwiła mu zawsze w pamięci jak wyrzut sumienia; nie jeden też, szczérze i statecznie, na resztę już życia poślubił sprawę polską. Samo zaś uczucie narodowej wdzięczności nakazuje nam wymienić tutaj stałego do śmierci przyjaciela Zamoyskiego, lorda Dudley-Stuart, który przez lat przeszło dwadzieścia z poświęceniem nie dającém się niczém ostudzić ani złamać, łożył na służbę Polsce czas i znaczne fundusze, był troskliwym biednych wychodzców opiekunem i praw naszych gorliwym rzecznikiem, a któremu Polacy sami głośno przyznali tę nazwę, «że był naturalnym skrzywdzonej sprawiedliwości obrońcą.»

Nie przestawano zresztą na samych tylko mocyach; uwiadamiano Izby obu krajów o każdym późniejszym gwałcie Mikołaja, o każdym nowym z jego strony na Polskę zamachu, a kiedy znalazł się między Anglikami zacięty Moskwy nieprzyjaciel, Urquart, starano mu się dopomagać. Spędził on był długie lata na Wschodzie, dotarł pierwszy do Kaukazu i tam pod imieniem Daud-Beja znany był i wielbiony przez Czerkiesów; zapoznawszy się doskonale z organizacyą państwa tureckiego, za zadanie swojego życia obrał, wykrywać intrygi moskiewskie na Wschodzie i ostrzegać Europę o niebezpieczeństwie jakie jej groziło z tej strony; znaczny swój fundusz na to jedynie obracał, a były chwile, w których głos jego wzruszał Europę. Wyrzucał on Anglii jej obojętność i bojaźń Rossyi, a ministerstwo o zdradę obwiniał. Za jego głównie staraniem powstałe stowarzyszenia pod nazwaniem *Komitetów do spraw zagranicznych*, domagały się od Zamoyskiego, aby na ich posiedzeniach przemawiał. Nie chciał on jako cudzoziemiec brać udziału w tém co Anglicy *agitacyą* przeciw rządowi nazywali, i dla tego oświadczył, iż na żaden *meeting* się nie uda, póki go major (*mer*) urzędownie nie zaprosi. W skutek tego, w Leeds, Manchester, Newcastle i wielu innych miastach, podawano majorom petycye, tysiącami podpisów opatrzone, domagające się aby Zamoyskiego na meetyngi zapraszali. Po takiém wezwaniu, biorąc udział w tych zgromadzeniach, Zamoyski gorącém słowem Polskę słuchaczom swoim opowiadał, i w massach całych uznanie dla praw jej zjednywał, a o groźnym wpływie i rosnącej potędze Moskwy ostrzegał. Udzielone Urquartowi przez ks. Czartoryskiego sekretne akta dyplomatyczne, wzięte w archiwum w. ks. Konstantego podczas listopadowego powstania, (których część później w znanym zbiorze *Portofolio* ogłoszoną została) przyczyniły się do przełamania obojętności rządów Anglii i Francyi. Powoli, z pomocą Urquarta przyszło do zawiązania szerszych i stałych na Wschodzie stosunków. Staraniem ks. Adama Czartoryskiego, wspartém dobrą wolą niektórych rodaków i gorliwością Zamoyskiego, powstała porządna, zagraniczna służba polska. Ajenci nasi w Konstantynopolu, Belgradzie,

Bukareszcie, Ruszczuku, śledzili postępy Moskwy, która po cichu przygotowywała tam obszerne dla siebie zabory; ostrzegali ludność słowiańską o niebezpieczeństwie jakie jej groziło w razie dostania się pod panowanie Moskwy. Z czasem, po latach cichej i wytrwałej pracy, wpływ nasz w tamtych stronach rozszerzył się. « Porta Ottomańska widząc że polityka polska dążyła do utrzymania tych krajów w wierności dla Turcyi, skłaniała się do coraz większych na korzyść ich ustępstw i nas liczyła za swoich prawdziwych i jedynych, jak wyrażali się tameczni mężowie stanu, przyjaciół. Serbowie zaczęli się przekonywać, że ich interesem było rozwijać się coraz bardziej wewnętrznie, i sił nabierać, a coraz słabszych rządów tureckich nie zmieniać na jarzmo moskiewskie, któreby im wszelką nadzieję niepodległego bytu odebrało.» Gdy po latach, przyszło w 1845 r. do wmięszania się w sprawy serbskie Rossyi, domagającej się usunięcia wybranego księcia Aleksandra, chociaż go Sułtan był zatwierdził, oparci na wiadomościach polskich ajentów, ks. Czartoryski w Paryżu, a hr. Zamoyski w Londynie, potrafili prawdziwy stan rzeczy tym rządom wyjaśnić, politykę ich w tej sprawie zmienić i poparcie dla ks. Aleksandra wyjednać. Lord Aberdeen nie wahał się wtenczas w Izbach oświadczyć, że był oszukanym przez własnego konsula, ulegającego wpływom moskiewskim. Zwrócenie uwagi Europy w tę stronę i na grożące jej od Moskwy niebezpieczeństwo, jest niezaprzeczoną i przez mężów stanu na Zachodzie uznaną zasługą okrzyczanej przez wielu między nami, służby polskiej pod kierunkiem ks. Adama. Zamoyski, według świadectwa dostojnego męża, był w tém wszystkiém prawą jego ręką. Ajenci docierali aż do Kaukazu, wszędzie szukając nieprzyjaciół dla nieprzyjaciela Polski i cywilizacyi zachodniej. Poparcie, jakiego doznawali stale ze strony angielskiego i francuzkiego w Carogrodzie poselstwa z jednej strony, a z drugiej, zaciętość z jaką ambasadorowie moskiewscy starali się ich zawsze z państwa tureckiego wydalić, mogłaby już służyć za miarę oddawanych przez nich usług; bezstronny sędzia dopatrzyłby zapewne wpływu wychodztwa polskiego i w antimoskiewskiém usposobieniu ludności słowiańskich państwa tureckiego w czasie wojny krymskiej i w liczném przejściu Bulgarów do Unii, a jeżeli ostateczne tych prac skutki nie odpowiedziały jeszcze zamiarom i nadziejom, winni temu nie emigranci, ale te właśnie potężne rządy, które ostrzeżone przez nich, nie zdobyły się na odwagę i środki w tym razie potrzebne. Niezaprzeczonym zaszczytem dla ks. Adama i Zamoyskiego pozostanie to wypowiedziane w Berlinie przez Mikołaja uznanie, iż po 1831 roku oni mu najwięcej szkody wyrządzili w Europie.

To sprawowanie jakby zewnętrznych interesów Polski nie pochłaniało całej działalności Zamoyskiego. Od młodości w zawodzie wojskowym zamiłowany, pełen nadziei że w położeniu Polski orężem słu-

żyć jej przyjdzie, z radością witał każdą zręczność wydoskonalenia się w tej sztuce. Zaraz w początkach emigracyi, gdy król holenderski nie chciał ustąpić z Antwerpii, a stosownie do zawartej między Francyą i Anglią umowy, wojska francuzkie rugować go miały z tej twierdzy, chciał mieć udział w tém oblężeniu. Kilkudziesięciu już oficerów naszych było w armii belgijskiej; krajowcy więcej w niej cudzoziemców widzieć nie chcieli i wejście do tego wojska było utrudnione, za wstawieniem się jednak Księcia Orleańskiego i dzięki osobistej z czasów pobytu w Ems znajomości z królem Leopoldem, Zamoyski zgodziwszy się służyć bezpłatnie, przyjętym został, a zaliczony jako pułkownik do sztabu jenerała Hurel (d. 5 grudnia 1832) przez cały czas trwania oblężenia przypatrywał mu się i uczył. Jedyną pociechą jaką ztamtąd wyniósł, było przekonanie się, że dar łatwego męztwa jak wyrażał się, posiadał zawsze. Wśród klęsk ostatnich, dotknięty boleścią, myślił że go postradał, ale pod Antwerpią postrzegł, że świst kul robił mu zawsze przyjemne tylko wrażenie, nie pozbawiając na chwilę zupełnej przytomności umysłu.

Nie mniej ważnym od samego początku zachodem na emigracyi, było « obmyślenie dla kilkutysiącznego wychodźtwa zajęcia o ile być może wspólnego i łącznego; » a że w tej liczbie przemagał żywioł wojskowy, i obecną była wszystkim pamięć legionów, ztąd usiłowania, aby w Algierze, Hiszpanii lub Portugalii utworzyć legion polski, » jakby straż honorową dla naszej chorągwi. » Zamoyski, który najwyższą przywiązywał wagę do przechowywania między nami dawnych tradycyj wojskowych, wierząc, iż zawód żołnierza podnosi i uszlachetnia narodowy charakter, miał w tém wszystkiém najczynniejszy udział.

W 1833 r. formował się pod dowództwem Bema taki legion polski dla Portugalii w sprawie strony liberalnej, konstytucyjnej. Zamoyski pomagał do zawarcia konwencyi. W 1834 r. jeździł do Algieru, gdzie się polskie tworzyły bataliony, i miał zamiar sam się tam przenieść, gdyby ta formacya rozwinąć się miała. « Cieszy mnie, pisał ztamtąd do księcia Adama, że pobyt mój tutaj zdaje się będzie pożyteczny; ducha im trochę podniosę, do jedności nakłonię i wreszcie zostawię trochę nadziei polepszenia. » W 1835 Anglia formowała legion dla Hiszpanii, przeciw Karlistom, a rząd francuzki przyrzekał w tymże celu posłać tam swoją legię zagraniczną, i z 5,000 podnieść ją do dziesięciu. Zamoyski obłożnie wtenczas chory w Anglii, ofiarował swe służby Dembińskiemu, który miał objąć dowództwo, ale domagał się, aby legion po skończonej wojnie, nierozwiązany pozostał w służbie francuzkiej. Przy wszystkich z powodu tego staraniach i układach, chodziło mu o to, aby zawierane konwencye nie były podpisywane przez dowodzących legiami jenerałów, ale przez kogoś niezależnego; jako taką osobę wskazywał ks. Adama, uznawanego przez wszystkie

rządy za reprezentanta Polski. I w istocie, konwencya podpisana przez tych, którzy przechodzili pod władzę ministerstwa wojny i prawo wojenne rządów którym służyli, była kontraktem z najemnikiem; podpisana przez ks. Adama, stawała się konwencyą polityczną.

Przez cały ten czas, dochody Zamoyskiego były szczupłe i życie do nich zastosowane. Na własne potrzeby wydawał zawsze najmniej. « Przysyłajcie mnie niewiele, pisał do swoich, ale regularnie; co będzie nadto, nie zaszkodzi, nie pozwolę sobie za to lepszego obiadu, ale będę się mógł dzielić, bo też jest z kim. » Bieda dojmująca wielu współtowarzyszy wychodźtwa bolała go srodze; w 1833cim roku wyjeżdżając do Anglii pisał, że już znieść nie może widoku otaczającej go nędzy, a gdy stan zdrowia większych zapotrzebował wygód, skarżył się, że będąc zmuszony używać wina, mniej będzię miał na potrzeby rodaków i towarzyszy. Oszczędność jaką sobie nakazał, raziła nawet nieraz angielskich jego przyjaciół. Lord Dudley Stuart mawiał mu często : « trzeba takiej duszy jak twoja, żeby mieć odwagę do tego stopnia pomiatać wymaganiami światowemi. » Nie jednego zapewne uderzało, że kiedy Zamoyski ciężko zapadłszy na zdrowiu, leżał w na pół ogrzaném mieszkaniu, bez służącego, odmawiając sobie wielu wygód, pojazdy najwyższej arystokracyi angielskiej jedne po drugich zatrzymywały się przed jego domem, i damy pierwszych towarzystw londyńskich przychodziły dowiadywać się o jego zdrowiu i przysyłały mu swoich lekarzy.

W 1837ym roku dościgła Zamoyskiego boleść głęboka. Wezwany do Florencyi, był świadkiem ostatnich dni i zgonu Matki, którą całém sercem kochał; ale też chwila ta była w jego życiu stanowczą; od niej rozpoczyna się w duszy jego szczery zwrót ku Bogu i prawdziwe rozgrzanie uczuć religijnych, które już odtąd tylko rość coraz bardziej miały. Otrzymawszy wkrótce potém za staraniem hr. Montalamberta, upoważnienie do zwiedzenia Rzymu, do którego przystęp dla wychodźców naszych był utrudniony, gdyż wszyscy tylko za pasportami właściwych swych rządów bywać tam mogli, emigracya zaś żadnego uznanego rządu nie miała, z innemi zupełnie niż dawniej uczuciami, stanął w stolicy Piotrowej. On, któremu przed ośmiu laty, w czasie pierwszego tam pobytu, nie przyszło na myśl nie tylko prosić o audyencyą u Papieża, ale nawet dowiedzieć się o imieniu ówczesnej głowy Kościoła, teraz z synowskiém prawdziwie uczuciem szukał błogosławieństwa Ojca świętego, a daném mu było nawet, wyświadczyć tam wielką sprawie narodowej usługę. Przywiózł on z sobą listy do Papieża od prześladowanego wtenczas przez Moskwę biskupa Gutkowskiego, a złożywszy je przed Grzegorzem XVI. miał z nim pamiętną rozmowę o Polsce i ostatniej encyklice papiezkiej, która tyla boleści i takiego nawet rozdarcia była powodem; (1) upoważniony przez Ojca św. do

(1) Patrz *L'Église catholique en Pologne*, par le R. P. Lescoeur. Paryż, 1860 str. 55 i następne.

opowiedzenia tej rozmowy drugim, stał się niejako narzędziem do zrozumienia samej encykliki, a pierwszym wtenczas z ludzi świeckich tłumaczem przed Stolicą świętą uczuć narodu i doznawanego przezeń od Moskwy prześladowania. Odtąd wznowiły się częstsze rodaków z Rzymem stosunki, a Stolica apostolska miała możność bliższego poznania domierzanych nad nami niesprawiedliwości i gwałtów; odtąd rozpoczęła się ta tkliwa, ojcowska a nieustanna troskliwość o nas Stolicy Świętej. Podczas ówczesnej bytności swej w Rzymie, Zamoyski podał też myśl, aby młodzi Polacy sposobiący się do stanu duchownego, uczyli się w kolegium Propagandy, co gdy przez Papieża i ówczeczesnego sekretarza stanu, kardynała Lambruschini dobrze przyjętém było, stało się powodem wysłania na naukę do Rzymu za powrotem Zamoyskiego do Paryża, pierwszych na wychodztwie kapłanów naszych, a później założycieli zgromadzenia zakonnego Zmartwychwstańców. W kilku następnych latach, gdy rząd austryacki na króciutki czas zaledwo przyjeżdżać Zamoyskiemu do Wiednia pozwalał, dla widzenia się z ojcem, wybrał on na coroczne z nim spotykanie się Monachium, i tam w zetknięciu z najznakomitszemi umysłami obrońców Kościoła, jak: Goerres, Hoffler, Philips, Brentano, dojrzały i wykształciły się ostatecznie pojęcia jego o Kościele i związku Kościoła ze sprawą narodową; odtąd już nie rozdzielał « tego co jest z nieba, z tém co żyje na jawie i warte naszych ofiar. »

Wśród wszystkich prac których tu dotknęliśmy kolejno, zajmowała ciągle Zamoyskiego myśl zorganizowania samego wychodźtwa, jakeśmy wyżej wspomnieli. Widząc korzyści jakie dla każdej sprawy płynęły z jednego centralnego kierunku, przypatrując się temu, jaką w Portugalii dawało siłę stronnikom Don Pedra to jedno, że występowali w imieniu narodowej dynastyi, że to im zapewniało i cichość w Oporto i pożyczkę i względy nietajne dworów zachodnich, przypopominając sobie, że i w kraju podczas powstania listopadowego wiele umysłów poważnych w braku dynastyi upatrywało największą przeszkodę odrodzenia się naszego, przyszedł do przekonania, że możnaby temu zaradzić. Maurycy Mochnacki pod koniec życia zjednany był dla tej myśli, Janusz Woronicz w 1837 r. ogłosił o dynastyi polskiej książkę, a w niej ks. Adama Czartoryskiego, jako jedynego któremu się u nas dostojeństwo królewskie należeć mogło, wskazywał. We dwa lata później założone zostało *Towarzystwo 3go maja*, mające na celu rozszerzanie w kraju idei monarchicznych, i nawet, jak wyrażał się Zamoyski, « manifestowanie się za pomysłem dynastyi, wcześnie dla kraju upatrzonej i przygotowanej. » Towarzystwo miało dziennik w tym celu wydawany. « Wychodząc z zasady, że Polska była monarchiczną, a w monarchiach bezkrólewia nie ma, uważało ks. Adama za króla *de facto*, a członkowie Towarzystwa przysięgą zo-

bowiązywali się do posłuszeństwa mu w rzeczach politycznych.» Fundatorowie dziennika, pod prezydencyą kasztelana Olizara zbierali się coroku, dla wspólnych narad, i jakby zdawania sobie sprawy z otrzymanych rezultatów. Zamoyski dwa razy, w mowach które ogłoszono drukiem, (1844 i 1845 roku) wyłożył swoje w tej rzeczy pojęcia. W jednej z nich mówił: «Ślubujmy Księciu wierność jaką mamy dla sprawy i we wszystkiém tak działajmy, czy zbiorowo, czy pojedyńczo, aby Książe czuł, że tej wielkiej i starożytnej monarchii polskiej berło jest w jego ręku, że Polska jak doświadczyła jego zdolności, tak ufa w jego cnotę, ufa, że przysposabiając i porządkując wszystko czego wymaga jej wyswobodzenie, pomyśli o królu dla niej, a wie dobrze, że łatwiej nierównie skłoni się Książe odstąpić innemu tego berła, niżeli przyjąć je dla siebie.» Towarzystwo szerzyło się; po siedmiu latach istnienia miało czterdzieści przeszło filii we Francyi, Szwajcaryi, Anglii i nawet Nowym Yorku i liczyło przeszło 1,500 członków. Myśl jego jednak przyjąć się całkiem nie mogła. Zniesiona w konstytucyi 3go maja elekcyjność tronu żyła w tradycyjnych uczuciach i wyobrażeniach naszych, a wychodźtwo nie miało właściwie żadnego prawnego organu do powzięcia uchwały możebnej w Warszawie, kiedy walczący z nieprzyjacielem naród sam sobą rozrządzał. Karol Sienkiewicz, który po wypadkach 15 sierpnia marszałkowi sejmu podał był znakomicie napisany memoryał o ratowaniu sprawy obiorem króla, podnoszeniu idei dynastycznej za granicą był zupełnie przeciwny; myślał i słusznie, «że na wychodźtwie książe Adam mógł być jedynie księciem Czartoryskim, bo to jedyna w Polsce była godność realna.» Zygmunt Krasiński wybornie wytłumaczył niepowodzenie tej myśli, pisząc do Zamoyskiego, że twórcy jej «nie z rzeczywistością, ale z abstrakcyą mieli do czynienia; że monarchie tylko *czynami* utrwalają się i *wydarzeniami*, a dynastye wyrastają jak rosną rośliny Boże, na właściwym gruncie, przy świetle właściwém; są albo ich nie ma, a sztucznie ich skleić nie sposób» W poetycznym języku swoim dodawał wtenczas: «chemia z której się te kruszce wytwarzają, zowie się historyą i wiekami.» Występowanie z tą myślą oburzyło wielu, nawet najszlachetniejszych, a anarchicznym między nami żywiołom nowego tylko dostarczyło pokarmu; zamiast wzmocnienia stanowiska ks. Adama w narodzie, tylko je podkopało. Ale gdy resztki gwarów wtenczas podniesionych przycichną i namiętności dogasną, sąd bezstronny uzna, że jak ks. Adam przyzwalając na to niechętnie, robił z siebie ofiarę, tak też i ludźmi, którzy tę ideę podnieśli kierowała tylko miłość ojczyzny, której zbawienie na tej drodze widzieli, i odda sprawiedliwość odwadze cywilnej z jaką bronili niepopularnej idei i wytrwałości z jaką jej służyli. Wypadki zresztą same dowiodły co było ich celem.

Zaledwo 1846 r. nadeszła do Paryża wiadomość o ruchu w Krakowie

i o powstałym tam Rządzie, natychmiast Towarzystwo 3° maja, postanowiło czynności swoje zawiesić i wysłać do ks. Adama Czartoryskiego deputacyą z oświadczeniem zupełnej uległości nowemu Rządowi. Zamoyski na czele deputacyi adres mu Towarzystwa złożył. Książe Adam adres pochwalił a także chętne poddanie się władzy narodowej i wszelkie dla niej ze swej strony poparcie zapewnił. Na jego żądanie, Zamoyski udał się niezwłocznie do Anglii, w celu zaciągnięcia tam narodowej pożyczki. Myśl przez niektórych została dobrze przyjętą. John Abel Smith, wspólnik wielkiego handlowego domu *Smith, Payne et Comp*, ofiarował pomoc, i ze swej strony dwa miliony złotych, jeżeli się Rząd nowy przez kilka tygodni utrzyma. Ale obudzone nadzieje, przesadzonemi utrzymywane wieściami, nie długo trwały. Po kilku dniach przyszła wiadomość o upadku i dyktatury Tyssowskiego i powstania, a co straszniejsza, wiadomość o rzezi galicyjskiej. Był to cios najsroższy jaki mógł dosięgnąć serce polskie. Zraniony w tém co stanowiło istotę jego życia, Zamoyski pierwszy raz zachwiał się, pierwszy raz i jedyny zwątpił o przyszłości narodu. Tym co go wtenczas widzieli, pozostał niezatarty niczém obraz tej wyższej nad wszystko boleści jaką zdradzała cała postać, każdy rys jego twarzy. « Trzymam się i trzymać się będę, pisał wtenczas do ks. Adama; ale prawda że czasem to siły do pełnienia obowiązków czerpię w jednej tylko *uległości* dla wyroków Bożych, nie zaś w jawnej i krzepiącej nadziei powodzenia. Gdybyż zdrowie wróciło możność pracy, to z niej samej i z możności poświęcenia się do ostatka wróci niezawodnie i otucha i nadzieja. Zwyczajnie to z nieczynnością idzie koniecznie i zwątpienie, za pracą owszem i za ofiarami wiara i nadzieja. » Ale zdrowie nie wracało; owszem, od dawna ciężką trapiony niemocą, zapadł on teraz ostatecznie i musiano oderwać go gwałtem od pracy i wrażeń codziennych, aby zachować to życie, które wyraźnie zdawało się uchodzić. Choroba jednak głównie i przedewszystkiém była w duszy, i lekarstwa zwyczajne pomódz na nią nie mogły; uznano, że daleka podróż rozrywając umysł może mu przynieść ulgę i znowu równowagę sił zaprowadzić. Mając do wyboru Amerykę lub Egipt i Palestynę, wybrał te ostatnie, a że jeden z braci, ten który był osiadł w Galicyi, Zdzisław, chciał mu towarzyszyć, więc się z nim wybrał w tę drogę.

Odwiedziwszy Florencyą, gdzie dozierał ostatecznego wykończenia grobowego dla Matki pomnika w kościele *Santa-Croce*, przez Rzym i Maltę udał się do Aleksandryi. Długo, i nowość zwiedzanych krain i towarzystwo oddanego mu zupełnie brata, rozerwać go prawdziwie nie mogły; obojętnym był prawie na to co go otaczało, bo nic jego duszy od jedynego myśli przedmiotu oderwać nie mogło. Pomimo nakazanego sobie zupełnego wypoczynku, podczas całej podróży pisywał długie listy do ks. Adama i do rozmaitych osób we Francyi a zwłasz-

cza w Anglii, zawsze o sprawie; dziennik zaś jego podróży zawierał jedynie myśli o sposobach służenia jej w tej chwili, w miarę tego jak mu w różnych miejscach przychodziły do głowy. « Zatrudniam się głównie, pisał do ks. Adama, rozmyślaniem i spisywaniem tego, co na ustroniu w spokojności nastręcza się do *dalszych* potrzeb *życia naszego.* » Od drugich katarakt Nilu, obojętny wrócił do Kairu. Ziemia Święta zajęła go mocniej, dla najdroższych Chrześcianinowi pamiątek. « Na widok Betleemu, pisał wtenczas, doznałem takiego wzruszenia, że mi łzy trysły z oczu, i dopiéro z niewymowną dla Boga wdzięcznością poczułem że nie jestem obojętny na wspomnienia, na łaski i cuda, których to miejsce było świadkiem. » Przy grobie Zbawiciela ponowił ślub, konającej Matce uczyniony, przystępowania co miesiąc do stołu Pańskiego « na intencyą tej Matki i drugiej Matki Ojczyzny. » Zwiedził potém koleją wszystkie miejsca święte, a gdy dostawszy się do Bejrutu uczuł się trochę silniejszym, tak już do zajęć całego życia zatęsknił, że rozstawszy się tam z bratem który dalej jeszcze chciał podróżować, statkiem do Konstantynopola popłynął.

Znalezione tam szczere dla Polski współczucie było istotném dla niego lekarstwem. Czas spędzony w Stambule pozwolił mu bliżej poznać Turcyą i tameczne stosunki, przypatrzyć się częściom składowym państwa, jego wewnętrznéj organizacyi, słabym stronom i siłom, dodać także nowego bodźca służbie tam polskiej którą w Konstantynopolu sprawował wtenczas Michał Czajkowski, i zawiązać nawet rozległe stosunki. W bliższej daleko niż przewidywał przyszłości, miał się do nich odezwać.

Prawdziwe dla ducha pokrzepienie czekało go w Rzymie. Przybywszy tam z Konstantynopola przy końcu 1847 r. znalazł zapał ogólny dla Piusa IX i podniesione niezmiernie uczucia. Świat cały w istocie zdawał się witać wtenczas początek nowej ery. Zmieniało się wszystko; ustanowiona przez Ojca Świętego tak zwana *Consulta Romana* obradowała nad zaprowadzić się mającemi reformami, a wielbiony przez Włochów Massimo d'Azeglio, wtenczas w Rzymie obecny, wpływ wielki na nią wywierał. Pius IX dla wszystkich przystępny, i z polskim wygnańcem uprzejmie i łaskawie rozmawiał nieraz, wymożony zaś na Mikołaju *concordat*, świadczył o troskliwém zajęciu się przez niego sprawą Kościoła naszego. Prędko Zamoyski zawarł z Massimo d'Azeglio ścisłą przyjaźń, która jak sam się wyrażał, stała się odtąd jednym ze skarbów jego życia, a przybył mu też wtenczas drugi, jeszcze bliższy i droższy stosunek. Bawił pod tę porę w Rzymie Zygmunt Krasiński, zostający jeszcze pod wpływem strasznej boleści jaką go wypadki galicyjskie z przeszłego roku przejęły; poznanie się z nim było początkiem serdecznego do końca życia stosunku. Rycerskość Zamoyskiego, którego Niemcewicz nie darmo ukochanym swoim nazywał Bajardem, szczególny

miała urok dla autora *Psalmów*, a w zapatrywaniu się na sprawy świata, mieli wiele wspólnego. W bogatym języku swoim nie mógł poeta znaleźć słów dosyć aby uwielbić « lwią, jak wyrażał się, bohatérskość jego niezużytej wytrwałości. » Mawiał o nim « że po wesołym świecie chodzi jakby mara Polski. » Ile razy był niedaleko Paryża, starał się wpaść choć na krótko do tej pustyni z kamienia, jak go nazywał, dla zobaczenia się jedynie z Zamoyskim, albo, zmuszony oglądać się na Warszawę, układał bezpieczne z nim spotkania, gdzieby pokrewne pod wielu względami dusze, zamianą myśli i podziałem boleści pokrzepić się wzajemnie mogły. Takim dla Zamoyskiego pozostał Krasiński do zgonu, a stosunek ten wynagradzał mu wiele, niesłusznie od własnych rodaków doznawanych goryczy.

Tymczasem szybko po sobie następujące wypadki, miały znowu przed nim otworzyć pole czynnego działania. Wojska austryackie weszły do Ferrary i zajęły tam cytadelę; myślano w Rzymie że Papież będzie zmuszony bronić się. Zamoyski ministrowi Recchi oświadczył zaraz gotowość sprowadzenia z Francyi polskich oficerów i utworzenia polskiego w wojsku papiezkiém legionu. Na żądanie tegoż ministra wypracował cały w tym przedmiocie memoryał, żądając utworzenia dla tych oficerów zakładu w Bolonii i zapewnienia im subsydyów jakie pobierali we Francyi i w Anglii. Memoryał przez *Consultę* rzymską przyjętym został i upoważniono Zamoyskiego do sprowadzenia czterdziestu naszych oficerów. Na audyencyi wtenczas u Ojca Świętego oświadczył Zamoyski gotowość zaciągnięcia się sam do wojska papiezkiego i wyraził nadzieję, że w razie wojny z Austryą, wielu żołnierzy galicyjskich do legionu polskiego przechodzić będzie. Pius IX odpowiedział mu wtenczas, powtarzane później nieraz wyrazy, że ma kanony więc nie potrzebuje harmat (*Ho dei canoni, non voglio aver dei cannoni*). Oficerowie nie użyci tutaj, w znacznej części weszli nieco później do utworzonej przez Adama Mickiewicza legii polskiej w Medyolanie.

Wypadki biegły jedne za drugiemi; po odebranej wiadomości o rewolucyi francuzkiej i ogłoszonej tam rzeczypospolitej, nadeszła do Rzymu wieść o wybuchu w Medyolanie, gdzie chciano otrząść się z jarzma austryackiego. Zamoyski powziął zaraz myśl utworzenia przy Karolu Albercie legionu polskiego, do którego emigracya dostarczyłaby oficerów a pułki galicyjskie żołnierzy, i ruszył do Genui, gdzie się dowiedział o wypowiedzianej przez Piemont wojnie Austryi. Hr. Ksawery Branicki życząc żeby to nie była polska jedynie, ale słowiańska legia, ofiarował na nią sto tysięcy franków. Zamoyski zaraz chciał przystąpić do formacyi; ale Karol Albert o żadnych obcych legionach czy pułkach słyszeć wtenczas nie chciał, powtarzając znane : *l'Italia fara da se*, i tylko pojedyńczych oficerów zgadzał się przyjmować. Zamoyski

myślał tymczasowo i z tego skorzystać, spodziewając się, że własna nasza dzielność prędko nam zjednać uznanie i szersze pole otworzyć potrafi.

Nadeszła wieść o rewolucyi w Berlinie i Wiedniu, o tém, że całe wychodźtwo nasze wybiera się do Polski, że ks. Adam Czartoryski jest już w Berlinie, a jenerał Dembiński w Krakowie. Na tę wiadomość, wstrzymał Zamoyski wszelkie około legii zachody, a udał się przez Paryż do Berlina, dla porozumienia się z ks. Adamem, bo i wtenczas, jak przed kilkunastu laty, nic ważnego bez jego wiedzy i zezwolenia przedsiębrać nie chciał, W Paryżu najuprzejmiej przyjęty przez Lamartina, gdy ten go zapytał : « cóż nasza kochana Polska? » widząc, że to był frazes tylko, odpowiedział mu : « Nie mówmy o niej ; jadę z Konstantynopola, wolę panu tameczne objaśnić stosunki » i wyłożywszy mu całe położenie Turcyi i potrzebę ufortyfikowania Stambułu dla zamknięcia przed Moskwą Bosforu, nalegał na konieczność wysłania tam na posła człowieka wojskowego. We dwa dni później, przeznaczony na tę posadę jenerał Aupic, z polecenia Lamartina przychodził zasięgać informacyi u Zamoyskiego.

Zamoyski nie wierzył w trwałość rewolucyi w Niemczech; ztąd według niego wychodźtwo nasze nie powinno było mięszać się do spraw Galicyi i Poznania, aby ich nie wikłać i nie utrudniać, a przeciwnie dać tym prowincyom możność uzyskania od miejscowych, zagrożonych wtenczas rządów, jak można najszerszych na korzyść swoję ustępstw. Myślał, że daleko stosowniejsze dla emigracyi pole działania przeciw Austryi otwierało się we Włoszech. Zdanie to znalazło w Berlinie między Wielkopolanami poparcie. Otrzymawszy w skutek tego, od ks. Adama upoważnienie do formowania legionu polskiego, Zamoyski z Berlina udał się prosto do Karola Alberta. Ministrem spraw zagranicznych był przy nim wtenczas Massimo d'Azeglio. Król i teraz legionu nie chciał, ale Zamoyskiego i przedstawionych mu przez niego oficerów, w tej liczbie pułkownika Breańskiego, przyjął, jego samego przy sztabie swoim zatrzymał. Jakkolwiek na zdrowiu złamany i zagrożony ostateczną jego utratą jeżeli się szanować nie będzie, brał Zamoyski udział w bitwie pod Custozzą i był świadkiem klęski, po której nastąpił odwrót całej armii do Medyolanu. W dniu tym miał miejsce wypadek, w jakie obfitowało jego życie, a który tutaj przytoczyć musimy, bo go charakteryzuje. Przyjęty do wojska po rozpoczęciu kampanii która tak krótko trwać miała, nie chciał on tracić czasu na umundurowanie i pozostał w ostatnim swoim belgijskim mundurze. Wiozącego rozkaz królewski do księcia Genui. oskoczyła banda włoskich maroderów, a biorąc za nieprzyjaciela, chciała go rozbroić a potém zabić; przyłożywszy rury karabinów do piersi jego, domagali się aby pałasz im oddał, pałasz dawny, z ojcowskiej zbrojowni, pamię-

tający jeszcze krucyaty, i który Zamoyski swoim najukochańszym sprzętem nazywał. Nie oddał go, tylko położył na ziemi i przycisnął nogą, a pewny że chwila ostatnia nadeszła, polecił się Bogu. Spadły półkurcza, ale żaden karabin nie wystrzelił. *Dunque volete uccidere un amico?* (a więc chcecie zabić przyjaciela?) zapytał wtenczas spokojnie. Zawstydzili się, a znający Zamoyskiego oficer który wtenczas nadjechał, zaświadczywszy że należy do sztabu królewskiego, oswobodził go i dał możność odwiezienia rozkazu. Klęska jednak była stanowczą, i Karol Albert nie mając sił dla prowadzenia dalszej walki, rozpoczął z Austryą układy. Massimo d'Azeglio radził się przyjaciela Polaka i wspólnie z nim układał depesze. Austrya domagała się, aby Król sardyński zrzekł się nowej swej chorągwi, która chorągwią Włoch całych stać się miała. Zamoyski gdy chodziło o inne punkta doradzający umiarkowanie, bo czuł że Włochy przedewszystkiém potrzebowały wypoczynku dla nabrania sił nowych, tutaj, gdy niejako o cześć samą i zaparcie się przyszłości chodziło, obstawał za stanowczym oporem. Austrya ustąpiła i zawieszenie broni zawartém zostało. Wtenczas to Zamoyski skłonił Króla, który przekonał się, że sam zdolności wojskowych nie posiada, do powierzenia jenerałowi Chrzanowskiemu dowództwa nad wojskiem; pojechał po niego do Monachium, i przywiózłszy do Turynu, sam przy nim pozostał i armię całą z nim objeżdżał. Nazywali ich Włosi : *il piccolo generale e il grande colonello.* Na żądanie Króla udał się następnie w missyi poufnej do Paryża i Londynu; zaledwo jednak do ostatniej stolicy przybyć zdołał, uderzyła go wiadomość niespodziana o wypowiedzianém zawieszeniu broni i rozpoczętych na nowo przez Karola Alberta krokach wojennych. Spiesząc natychmiast z powrotem, przy trudniejszych bez porównania komunikacyach niż dzisiaj, zaledwo w dni kilka stanąć w obozie zdołał, a przybył tam nazajutrz po bitwie pod Nowarą. Stanął pokój, mniej uciążliwy dla Piemontu niżby nim być mógł, bo Austryę krępowała wojna węgierska. Chrzanowski został jeszcze czas jakiś w Turynie, nie chcąc się usprawiedliwiać z tej klęski, boby mu całą winę zwalić trzeba było na rząd, który wbrew jego uwagom i zdaniu wypowiedział wojnę, nie będąc wcale do niej przygotowanym, i na wojsko któremu dowodził. Zamoyski wtenczas tylko z adjutantem Chrzanowskiego Franciszkiem Szemiothem opis całej kampanii do francuzkich dzienników wygotował. Czekała go nowa wojna i nowy teatr działania.

Walka w Węgrzech kipiała i rząd austryacki zdawał się na brzegu przepaści. Dembiński bił się już tam z całym polskim legionem. Zamoyski nie rokując dobrego z tamecznych usiłowań skutku, nie myślał tam się puszczać, ale zaledwo pokój z Piemontem podpisany został, odebrał od ks. Adama Czartoryskiego polecenie udania się do Węgier, a to w skutek żądania Kossutha, który przez hr. Teleky pro-

sił Księcia o pośrednictwo między Węgrami i Słowianami należącymi do korony ś. Szczepana. Ślubowawszy raz posłuszeństwo ks. Adamowi w rzeczach politycznych, Zamoyski nie wahał się ani chwili; dostawszy od Massimo d'Azeglio pasport włoski, pod cudzém imieniem statkiem dostał się do Konstantynopola, zkąd otwartym kaikiem dopłynąwszy do Enos, pocztą konną przez Widdin i Orsowę dostał się do Szegedina. Tak żadnej nie miał nadziei powodzenia, że w tej konnej podróży od brzegów Dunaju, starał się poznać dokładnie kraj który przejeżdżał, jako trakt blizkiego odwrotu. Przybywszy na miejsce, oświadczył wszystkim, że żadnego nie chciał dowództwa i że przyjechawszy jako agent polityczny, gotów jest służyć każdemu z rodaków. Do Szegedina, gdzie Zamoyski widział się z Kossuthem, przybył prędko Dembiński, już także przekonany, że wszystko było skończone. Armia nie chciała się bić, i jedyną według wodza naszego przysługą jaką w tej chwili oddać było można Węgrom, było odprowadzenie ich do Turcyi. Odwrót istotnie został postanowiony i ten aż do Temeswaru odbył się w zupełnym porządku, «dzięki, jak mówi Zamoyski, zachowanej przez wodza powadze i czujności, przy niezmiennym na twarzy spokoju.» Zamoyski na prośbę Dembińskiego pełnił przy nim obowiązki adjutanta. Niedaleko Lugossy, kiedy wiózł do jednego ze skrzydeł armii rozkaz jenerała, przybył Bem, dla objęcia naczelnego dowództwa, i natychmiast wstrzymawszy odwrót, bitwę rozpoczął. Zamoyski podjechał do Bema; ten przywitał go zimno, nazywając *hrabią*. «Niechęć ta w ogniu stopnieje,» powiedział sobie Zamoyski, i tak się też stało. W bitwie tej znowu znalazł się w niebezpieczeństwie, z którego cudem prawdziwym zdołał wyjść cało; jadąc bowiem od skrzydła do naczelnego wodza z doniesieniem, znalazł się raptem po za nieprzyjacielską bateryą. Poznany, cały jej ogień kartaczowy wytrzymać musiał, zasłaniając się tylko koniem, którego po trzęsawisku, dążąc do swoich, w ręku prowadził; musiał go w końcu rannego zostawić i tylko zrządzeniem Opatrzności uszedł pogoni, bo kiedy już sił ostatnich dobywał, przyszedł mu oficer węgierski z pomocą, niejaki Gordon, dał konia i odprowadził. Zimna krew w ogniu, przytomność i męztwo, istotnie ujęły Bema; odtąd był mu najprzyjaźniejszym, wylanym nawet dla niego.

Niefortunnie rozpoczęta bitwa skończyła się klęską; ostatek nadziei opuścił walczących, i w Lugossie jenerał Wysocki dowodzący legią polską, przyszedł do Zamoyskiego ze czterema sztab-oficerami, prosząc aby przyjął dowództwo nad legią, dla odprowadzenia jej do Turcyi, gdzie spodziewano się, że jego stosunki wyrobią względne przyjęcie. Zamoyski dowództwa nie przyjął, ale wszelką ze swej strony pomoc przyrzekł, prosząc aby go Wysocki do sztabu swego zaliczył. Gdy zaraz potém, w skutek podanej Bemowi przez jenerała Wysockiego prośby

o rozwiązanie legii, ten odjeżdżając do Aradu dla widzenia się z Kossuthem, rozbroić ją i z obozu wydalić kazał, uwiadomiony o tém Zamoyski udał się do naszych legionistów, i przełożywszy stan rzeczy, wymógł na nich zobowiązanie pozostania w szeregach do końca, i nie wejścia za granicę inaczej jak razem z Węgrami, w których sprawie walczyli. W tej to chwili dał mu się poznać i szczery szacunek jego na zawsze pozyskał, oficer artyleryi, Władysław Bentkowski, (później deputowany na sejm berliński z W. Ks. Poznańskiego) który jeden wśród wszystkich odezwał się : « Traktując z Węgrami, pamiętaj pułkowniku i o honorze naszym. » Zaraz nadjechał też Kossuth, a zwierzywszy się Zamoyskiemu że złożył naczelną władzę, przystał aby legion polski w dalszym ku Turcyi pochodzie przez Orsowę, tworzył straż przednią ustępującej armii, w skutek czego rozkaz taki wydanym został. Kossuth sam chciał legii towarzyszyć, « *comme un de vos servants* » pisał do Zamoyskiego; jakoż odtąd, do samej granicy jechał w kolasie za bryczką Zamoyskiego, który konno maszerował przy kolumnie.

Na tém się skończył udział Zamoyskiego w kampanii węgierskiej; ale razem z tém zaczęła się inna, niezmordowana i czujna z jego strony służba legii i w ogólności imieniu polskiemu na Wschodzie. Przybywszy nad granicę, Kossuth z celniejszymi Węgrami lękając się niechęci Serbów, udał się na Wołoszczyznę. Zamoyski upewniony przez wysłanego naprzód a znanego dobrze w Serbii pułkownika hr. Bystrzonowskiego o dobrém tam przyjęciu naszego zastępu, wprowadził 2,000 ludzi liczącą legią do Serbii, d. 20 sierpnia 1849 r. (w dni ośm po złożeniu broni przez główną armię węgierską pod wodzą Gœrgeja,) zkąd po dniach kilku dostała się do Widdina. Tam połączył się z nim Kossuth, Bem, Dembiński, Messaros i wielu innych, z sześcio-tysięcznym oddziałem Węgrów. Nadeszły niebawem wieści ze Stambułu, że Moskwa domaga się wydania Polaków a Austrya Węgrów; przyjechał nawet wkrótce wyższy oficer turecki oświadczyć w imieniu wielkiego wezyra, że przyjęcie iślamizmu jest dla wychodźców jedynym sposobem uniknięcia tej ostateczności, gdyż Porta w takim tylko razie mogłaby się stanowczo oprzeć naleganiom mocarstw. Agent nasz Czajkowski pisał także, że nie widzi innego ratunku, przyrzekając jeden tylko dla Zamoyskiego wyrobić wyjątek. Zamoyski propozycyą tego wyszczególnienia odrzucił, napisał do Sułtana list pełen godności, a wpływem swoim najbardziej się przyczynił do tego, że legion cały nie dał się uwieść nie tylko postrachem wydania go w ręce moskiewskie, ale nawet pokusą niedalekiej z Moskwą w szeregach tureckich walki. Jeden Bem tylko i kilku bliższych mu oficerów, dla tej właśnie nadziei przeszło na mahometanizm, nie rozumiejąc wtenczas, iż wyrzekając się chociażby pozornie chrześciaństwa, wyrzekali się nawet Ojczyzny !

Przeszła burza; Porta Ottomańska postanowiła szlachetnie, pomimo

słabości swojej, nie wydawać tych którzy u niej szukali przytułku: przeniesiono ich z Widdina do Szumli, a dnia 1 marca 1850 r. główniejszym wodzom wyznaczono na miejsce pobytu Kutajah w Azyi Mniejszej, dokąd odwiezieni zostali. Poseł francuzki jenerał Aupic i angielski lord Strafford Canning, radzili Zamoyskiemu aby dobrowolnie Turcyą opuścił, jako najbardziej Moskwie znajomy i przez nią ścigany; Sułtan zaś własną swą fregatę dla odwiezienia go do Malty przysłał. Przez cały czas pobytu ówczesnego w Turcyi, Zamoyski zajęty był wyłącznie potrzebami wyszłych z Węgier rodaków: z pomocą agencyi polskiej w Stambule, pośredniczył między nimi a władzami tureckiemi i był prawdziwym opiekunem niedawnych legionistów. Reszta pieniędzy złożonych na jego ręce przez hr. Branickiego na legią we Włoszech, służyła na opędzenie ich potrzeb; zastępował niemi kilkakrotnie zalegający żołd turecki, a odbierając je od tamecznego rządu napowrót, znowu gwałtowniejszym potrzebom mógl przyjść w pomoc. Tułacza garstka żywo uczuła jego odjazd, i adres mu dziękczynny przy pożegnaniu wręczyła, ofiarując chorągiew swą z orłem. Rozstając się z nimi, zostawił radę wybrania jednej osoby przez którąby się z rządem tureckim znosili, a gdy się na to zgodzono, wskazał im Kościelskiego; utworzywszy zaś jeszcze komitet do zaopatrywania ich potrzeb, resztę funduszów w jego kassie złożył. Zatrzymany sześć tygodni na miejscu, przez gwałtownie rozwiniętą ospę, odpłynął w końcu na wspomnianej fregacie do Malty, razem ze 150 rodakami którzy także pozwolenie opuszczenia Turcyi otrzymali. Stosunki Zamoyskiego z angielskimi mężami stanu, pomogły jeszcze towarzyszom jego i w tej podróży, bo kiedy w Malcie, w skutek rozkazu rządu angielskiego wylądować im nie pozwolono, wynalazł tam środki wynajęcia dla nich innego okrętu, który ich do Wielkiej Brytanii odwiózł.

Upadek Węgrów był ciężkim i dla wychodźtwa naszego ciosem; po rozbudzonych w ostatnich latach nadziejach, głębszy znowu smutek zaległ dusze; zdawało się, że wszystkie mozolnie dotąd prowadzone prace marnie zginęły. Doświadczył tego uczucia, nawet tylu zawodami w długiém życiu wyprobowany ks. Adam Czartoryski. W poufnym liście do jednego z zacnych współpracowników swoich pisał on wtenczas: « Uważam, że się teraz jedna epoka kończy, a druga zaczyna. Nie wiem co ta ostatnia młodszym odemnie przyniesie, lecz ja podobno zakończyłem mój zawód, niestety w końcu bezowocny! Z upadkiem Węgrów budowa nasza bez potrzebnego fundamentu upadnie także. Nie ma czém jej podtrzymać, a choćby było, nie wiém czyby to możebném się okazało przy górującym wpływie Moskwy, tak w Turczech, jak teraz u Słowian, jak i wszędzie, i czyby warto, mając wzgląd, że naród o naszych pracach nie chce wiedzieć, nie dba o nie, nie pojmuje że je wspierać trzeba. Tyle mamy pociechy, żeśmy tentowali, probo-

wali, usiłowali, co tylko się zdawało prowadzić do oswobodzenia, do ocalenia Ojczyzny, bez narażenia jej na większe klęski. Nie przyjdzie nam z żalem powiedzieć : dla czego się to lub tamto nie zrobiło, możeby pomogło! Nie wiem czegośmy po różnych krajach nie probowali i nie bez obiecującego skutku. Tylko we własnym kraju i względem własnych ziomków nie mieliśmy szczęścia. I w tém to nasza budowa grzeszyła : nie miała fundamentu! Mnie dziwi że się tak długo utrzymała.» W pierwszych chwilach, widząc liche, jak wyrażał się, usposobienie polityczne Francyi, i systemat pokoju bądź co bądź, który według słów jego stał się przyrodzonym stanem Anglii, myślał książe Adam, że agencye zwinąć i wszystkie prace zawiesić przyjdzie. Wszakże była to tylko chwila. Zmieniło się wiele, ale jak myśl jego od Ojczyzny i losów jej oderwać się nie mogła, tak i prace w służbie jej nie ustały, a miał jeszcze przed zgonem doczekać się i sprawiedliwszego ich ocenienia w kraju. Zamoyski, nieodstępny prac wuja wspólnik i towarzysz, dzielił wszystkie te zawody i troski, a nieznużona jego wytrwałość pewno nie raz Księciu ulżyła ich brzemię. Wkrótce po powrocie do Paryża przyszło mu się odezwać do dawnych w Angli stosunków i znajomości z ks. Ludwikiem Napoleonem. Moskwa gwałtownie się domagała wydalenia polskiej agencyi ze Stambułu i trzeba było temu zapobiegać.

Główną jednak uwagę Zamoyskiego, jak zwykle w chwilach kiedy działanie na zewnątrz ustawało, zajmowały teraz wewnętrzne emigracyjne przedsięwzięcia i prace. Chrzanowski wtenczas pod jego natchnieniem i z jego i ks. Adama pomocą, wykańczał całą mappę Polski, która obejmując wszystkie jej prowincye i w razie wojny użyteczną być miała. Wszystko co tyczyło się Polski miało dla niego znaczenie, szczególną zaś wagę przywiązywał do każdego przedsięwzięcia, które w instytucyą rozwinąć się mogło. Większa część powstających na wychodztwie zakładów, korzystała z jego pomocy i współdziałania; przynosił każdej podobnej myśli ten jakby instynkt organizacyjny, który w najwyższym stopniu posiadał. Opowiedzieliśmy w inném miejscu koleje istniejących na wychodztwie Towarzystw, historycznego i literackiego. Złożona przez nie biblioteka, tylko troskliwością zacnego stróża tych zbiorów Sienkiewicza i użytym na ten cel zapisem jenerała Paca, utrzymać się mogła przez czas, kiedy wychodztwo nasze politycznemi powołane wypadkami, w rozmaite rozeszło się strony. W przewidywaniu podobnych w przyszłości wydarzeń, powstała teraz myśl zabezpieczenia tych zbiorów na zawsze, przez nabycie osobnego na ten cel domu. Uorganizowane wtenczas Towarzystwo historyczne, dnia 2 kwietnia 1851 r. wyznaczyło komissyą pod prezydencyą Zamoyskiego, dla zebrania za pomocą składki potrzebnych na to funduszów. Zajął się on tém gorliwie i chociaż pieniądze wpływały powoli i zaledwo

36,000 fr. zebrać się udało, nabył dla Towarzystwa w 1853 r. dom dziś do niego należący, za summę trzy razy prawie większą, spłacając resztę własnemi funduszami, i pożyczką w Towarzystwie kredytowém francuzkiém zaciągniętą. Biblioteka polska tam przeniesioną została. W tymże roku Towarzystwo historyczne połączyło się z literackiém, a Zamoyski po wyjeździe hr. Ludwika Platera do Rady jego powołany, odtąd jej nie opuścił i stałym Towarzystwa stał się dobroczyńcą, zrzekając się później na jego korzyść całej swej należności 62,000 franków wynoszącej, gdy już chodziło o uzyskanie dla Towarzystwa urzędowego uznania rządu francuzkiego.

Zajęcie się biblioteką polską za granicą, jest zapewne rzeczą drobną w stosunku do innych prac około sprawy narodowej podejmowanych; w czasie zbierania na ten cel składki, odzywało się nawet wielu z zarzutem, że wobec nędzy dojmującej tak wielu, funduszów na to obracać się nie godzi. Jak to pojmował Zamoyski, da poznać czytelnikowi list autora *Nieboskiej Komedyi* w tym przedmiocie do niego pisany, z którego ustęp przytaczamy, bo całą myśl jego zawiera: « W sprawie o składce na bibliotekę, zarzut o ubogich jest żadnym zarzutem; naród jest wyższém pojęciem niż choćby najnieszczęśliwsze w nim indywidua, bo jest ideą matką zkąd one wyszły, za którą żyją i dla której giną. Ta idea narodowa ma zatém prawo choćby wobec nędzy szczegółowych i pojedyńczych, stawiać sobie pomniki, mające teraźniejszości i przyszłości przypominać przeszłość i całą godność i świętość narodowego rozwoju. Naród któryby już nie pojmował takich ofiar i pomników i zakładów, przestałby być sobą samym; mógłby jeszcze bardzo filantropiczną być zbieraniną ubogich i ich dobrodziejów, ale nie byłby narodem. Dla idei narodowej tém są one czém obrzędy i kościoły dla religii, czém dla Chrystusa balsam wylan na jego stopy przez Magdalenę, o którym także szemrali uczniowie, a między nimi Judasz, że lepiej było go sprzedać i grosz wzięty oddać ubogim. Są na świecie rzeczy i czyny i zdania wyższe nad wszelki pożytek materyalny, doraźny, chwilowy, są rzeczywistości idealne, tak życiu ludzkości potrzebne, jak chleb dla łaknących chleba; chleb to duchów, chleb potrzebny duchom, aby umiały szlachetnie i godnie dźwigać szatę ciała. » Ta myśl, to wysoko podniesione pojęcie Ojczyzny, nadawało charakter wszystkim czynnościom Zamoyskiego, było jakby ogniskiem które ogrzewało drobniejsze nawet jego około sprawy narodowej zachody.

Wśród uspokojenia czasowego Europy, dał Pan Bóg Zamoyskiemu znaleść domowe jeszcze szczęście. Dnia 14 października 1852 r. za dyspensą Papieża pojął za żonę córkę swej siostry hr. Działyńskiej, która do końca życia była mu nieodstępną towarzyszką, wspólniczką prac nieraz, w częstych chorobach prawdziwą siostrą miłosierdzia,

a najżywszém zawsze świadectwem błogosławieństwa Bożego, jak sam wyrażał się często.

Nadeszły wkrótce oczekiwane dawno na Wschodzie wypadki, a z niemi żywsze znowu dla wychodztwa naszego nadzieje. Jak wiadomo, d. 26 września 1853 r. Turcya wypowiedziała wojnę Moskwie. Sułtan Abd-ul-Medżid znający Zamoyskiego z czasów pierwszego jego pobytu w Carogrodzie i później, kiedy po kampanii węgierskiej był gościem jego w Turcyi, wezwał go natychmiast w celu rozpoczęcia polskiej z wychodźców formacyi, do którejby Polacy z wojska moskiewskiego przechodzić mogli; jednocześnie zapraszał jeszcze trzech innych rodaków naszych w stopniu jenerałów: Chrzanowskiego, Karola Rożyckiego i hr. Ludwika Bystrzonowskiego. Ostatni udał się tam zaraz; Zamoyski chcąc przywieźć z sobą pewną liczbę oficerów, zaledwo w końcu roku mógł przybyć. Dowiedział się tam, że mocarstwa zachodnie dając Sułtanowi nadzieję udziału w wojnie, oparły się stanowczo utworzeniu polskiego korpusu, a ztąd całe przedsięwzięcie zawieszoném być musiało. Sformowano wtenczas pułk kozaków sułtańskich, pod dowództwem Michała Czajkowskiego, już wówczas sturczonego Sadyka-Paszy; do tego pułku albo też do wojsk czysto tureckich nasi zaciągać się mogli. Boleśnym był zawód, ale wypadki zdawały się dojrzewać i trzeba było czekać jeszcze. Kiedy 27 marca 1854 r. mocarstwa zachodnie wypowiedziały też wojnę Mikołajowi, spodziewano się, że Polacy niezwłocznie do udziału w niej, jako naturalni nieprzyjaciele Moskwy powołani będą. Zamoyski, który widząc kierunek całej sprawy mało się po tej wojnie spodziewał, i pisał do ks. Adama, «że trzeba się starać aby z niej wyjść z *honorem*, bez korzyści (bo tej mieć niepodobna) jak z pojedynku,» udał się do jenerała St-Arnaud. Odmowa była stanowczą; lękano się nas, mówiąc, że Francyą kompromitować będziemy; wypowiedziawszy wojnę, nie chciano jeszcze wojny, myśląc, że się Moskwa przed samym jej postrachem upokorzy. Chciał Zamoyski swoją przynajmniej osobą brać udział w wojnie i przy głównym sztabie dowódzcy pozostać. St-Arnaud na tę propozycyą odpowiedział, że na każdego pojedyńczego Polaka zgadza się, ale nie na Zamoyskiego, bo ten jest chorągwią. Nie można było przełamać uporu, i musiał Zamoyski za zgodą wielkiego wezyra udać się pod Szumlę, do Omera-Paszy, aby w jego sztabie pozostać. Gdy jednak coraz więcej ochotników polskich przybywać zaczęło, a Moskale Multany i Wołoszczyznę opuścili, Omer-Pasza w Ruszczuku utworzył zakład tymczasowy dla Polaków, zkąd ich później do Szumli przeprowadzono.

Przekonano się nareszcie, że sam postrach nie wystarczał, a przy przedłużającej się wojnie pomyślano, że lepiej zużytkować nastręczające się walczącym siły polskie. W końcu 1854 r. wielki wezyr zapytał Zamoyskiego, który już wtenczas liczył się jenerałem w wojsku tureckiém, czy-

by się zgodził formować pod rozkazami Sadyka-Paszy, drugi pułk kozaków sułtańskich, z samych Polaków złożony? Zamoyski któremu głównie o to chodziło, abyśmy w tej wojnie udział mieć mogli, przystał, kierunek zaś formacyi powierzył podpułkownikowi Słubickiemu. Przy niedostatku wszystkiego, formacya szła powoli, i tylko sumienności, dobrej woli i energii oficerów i żołnierzy zawdzięczać należało, że się znacznie posunąć mogła. Tymczasem poniesione przez Anglią pod Sewastopolem straty obudziły w narodzie angielskim uczucie wstydu i pragnienie zgładzenia przed Francuzami tej plamy. Zaczęto tam tworzyć rozmaite pod dowództwem oficerów angielskich formacye, a jenerała Zamoyskiego wezwano do Londynu dla ułożenia się względem formacyi polskiej. Widząc, że zupełnie polskiej mieć wcale nie chcą, a koniecznie pod dowództwem angielskiém, Zamoyski podał myśl utworzenia dywizyi polskiej pod dawną nazwą kozaków sułtańskich, która licząc się w służbie tureckiej, przykomenderowaną byłaby do wojsk angielskich. Cesarz Napoleon myśl tę popierał, radząc przyjmować wszystko cokolwiekby dali, byleby ich raz wciągnąć. Po pięciu miesiącach strawionych na dopełnieniu rozmaitych formalności, d. 17 listopada, jenerał Zamoyski upoważnionym został urzędownie do utworzenia osobnego korpusu polskiego, pod nazwą *dywizyi sułtańskich kozaków*; miał ten korpus licząc się zawsze do armii tureckiej, być oddany pod rozkazy naczelnego wodza armii angielskiej i zostawać na żołdzie i utrzymaniu W. Brytanii. Dywizya miała się składać na początek z dwóch pułków piechoty, tyluż jazdy, batalionu celnych strzelców i bateryi artyleryi konnej; dotychczasowi kozacy sułtańscy mieli być do niej wcieleni, wszystkich ochotników, jeńców i przechodzących z wojska moskiewskiego oficerów i żołnierzy tam oddawać miano, a przyrzeczono także wziętych do niewoli Polaków za innych jeńców nie wymieniać. Zamoyski nie chciał zawierać z rządem angielskim kapitulacyi, czyli zobopólnej umowy, jak to było zwyczajem przy wszystkich tam zagranicznych formacyach; uważał, i wdzięczność mu się za to należy, że z większą dla nas będzie godnością być nie umówionymi jako najemnicy, ale tylko powołanymi przez Anglią do walki z wrogiem naszym. Jak wszędzie prawie tak i tutaj, właśni rodacy utrudniali mu zadanie. Kilka razy zmuszonym był pisać do Sadyka-Paszy, « aby go nie ogadywał niesłusznie, a formującemu się pod kierunkiem niezmordowanego Słubickiego pułkowi nie szkodził, bo dobra sława jego tak Sadykowi potrzebna, jak temu pułkowi dobra sława Sadyka. »

Nie chciano jeszcze i teraz chorągwi polskiej wywieszać. Zamoyski widząc tę niechęć, nie upierał się przy tém; pisał wtenczas do ks. Adama, « że woli nawet póki sprzymierzeni nie są gotowi podnieść sprawy polskiej i stanowczo *Polskę* powołać, żeby nie wysta-

wiali chorągwi naszej, która byłaby tylko kłamstwem i obłudą.» Oficerowie wszyscy i żołnierze w dywizyi mieli być Polacy. Zamoyski domagał się tylko jednego, żeby płatników rząd wybrał; ten wyznaczył Polaków służących w angielskiém ministerstwie wojny, a po skończonej kampanii, władze angielskie przyznawały, że z całej armii rachunki jednej tylko polskiej dywizyi były doskonałe i najmniejszego nie przedstawiały deficytu. Otrzymawszy wszystko co można było otrzymać, jenerał Zamoyski ruszył do Turcyi i oddał się cały tej z takim trudem zdobytej formacyi. Nie długo to trwało; wtenczas właśnie kiedy Anglia wystawiwszy 80,000 wojska pragnęła wojny, Francya uczuła się znużoną. W początkach kampanii angielscy mężowie stanu mówili Zamoyskiemu, że celem mocarstw było jedynie zadać Rossyi lekkie upokorzenie (*une petite humiliation*); wybranie Krymu na teatr kroków wojennych, zaniechanie nietylko Polski ale nawet Kaukazu, będącego w tych stronach słabym punktem Rossyi, a prawdziwym kluczem panowania na Wschodzie, wszystko to wskazuje co zamierzano osięgnąć. Gdy Francya się cofnęła, a Moskwa propozycyą traktatu przyjęła skwapliwie, stanął pokój. Dywizya kozaków sułtańskich stosownie do umowy rozwiązaną została (dnia 3 sierpnia 1856 r.). Chlubném dla imienia polskiego jest świadectwo, jakie o karności, porządku i prowadzeniu się polskiej dywizyi składał głośno, dowodzący angielskiemi wojskami nad Bosforem, jenerał Storks, pod którego rozkazami zostawał Zamoyski.

Turcya oświadczyła wtenczas, że pragnie aby Polacy którzy pośpieszyli pod jej chorągwie obrali ją za tymczasową dla siebie ojczyznę, i wszelkie ze swej strony ofiarowała ułatwienia. Zamoyski został po rozwiązaniu formacyi rok jeszcze prawie cały, zajęty wyłącznie zaspakajaniem potrzeb i załatwianiem interesów byłych podkomendnych swoich, przy czém nowe złożył dowody gorliwości i organizacyjnego ducha swojego. Różne były projekta: to utworzenia osobnego na żołdzie tureckim oddziału, jakby gwardyi przybocznej i zawiązku wojska chrześciańskiego w Turcyi, to zapełnienia wychodźcami naszymi korpusu inżynierów dróg i mostów, to nareszcie utworzenia wojskowo-rolniczych kolonii. Reszid-Pasza wielki wezyr, jeden z najstalszych i najwierniejszych na Wschodzie przyjaciół Polski, na przystępnych warunkach wieczyste im dzierżawy w dobrach swoich ofiarował. Lenistwo jednak i niedbałość turecka przewlekały wszystko; znaczniejsza część ochotników rozpierzchła się, wróciła do Francyi i Anglii, niektórzy zaciągnęli się do legii zagranicznej w Algierze, inni osiedli w Multanach i Wołoszczyznie, gorętsi z pułkownikiem Łapińskim udali się do Czerkiesów aby się tam bić z Moskalami, część wzięła się do roli w dawnej kolonii Adampolu, większa jeszcze udała się do przeznaczonych na osady dóbr Reszida-Paszy. Wyczerpawszy wszyst-

kie możebne środki służenia tam rodakom, zrobiwszy co było podobném, Zamoyski żegnany przez Sułtana z wyłączną łaskawością, wrócił w maju 1857 roku do Paryża. Świadkowie jego niezmordowanej gorliwości, oficerowie formowanej dywizyi, przy rozstaniu ofiarowali mu piękny pałasz z napisem : *najwytrwalszemu*. Imię to należało mu się prawdziwie, i istotném jego godłem pozostanie na zawsze.

Krymska kampania była dla jenerała Zamoyskiego ostatniém polem do wystąpienia z orężem; ale jak myśl o ojczyznie nie opuściła go do końca, tak też nie tylko pracy dla niej nie zaniechał, ale nawet nadziei na chwilę nie stracił. W 1830 r. nie wierzył w udanie się powstania, ale wiara w Polskę i jej przyszłość nie uległa w nim przez całe życie pod ciosem żadnego chwilowego upadku i niepowodzenia; mówił sam, że jest ona dla niego jedném z religijnych jakby przykazań. Im dalej w lata zachodził, tém bardziej rosła wiara jego w sprawiedliwość Bożą; *spoliatus ante omnia restituendus* zapisywał w kieszonkowej książeczce swojej, i pewien był że przyjdzie chwila odrodzenia ; powtarzając zaś często słowa Pisma św. « kamień który odrzucili budujący, ten stał się głową węgielną » z ufnością stosował je także do przyszłych losów ojczyzny. Czuł, że sam wyswobodzenia jej nie doczeka, ale to nic na jego życie i prace nie wpływało : « robić, choćby nie zrobić, jest zadaniem życia, » powtarzał ciągle młodym, i żył sam z tém poczuciem nieśmiertelności nie tylko duszy, ale uczynków naszych, coraz cierpliwszy, bo coraz bardziej rozmyślaniem rzeczy wiekuistych umacniany. « Życie jest cierpieniem, ale cierpienie jest życiem » mawiał wśród rozmaitych boleści jakie go nawiedzały; a chociaż długą złamany chorobą, nigdy od żadnej nie usunął się pracy, nigdy nawet spoczynku nie zapragnął dla siebie. Znalazłszy raz w Rzymie śród jednego z cmentarzy wypisane na grobowym kamieniu wyrazy : *plorate super mortuum, quia requievit*, tak niemi był uderzony, tak one odpowiadały usposobieniu jego, że odtąd miał je ciągle wypisane przy sobie. Według niego, płakać należało nad tym, kto w obecném położeniu Polski, szukał spoczynku i bezczynności; w trudzie dla niej i pracy ustawnej widział błogosławieństwo Boże, w miłości zaś swojej dla ojczyzny obejmował wszystko, co tylko z nią związek miało. Każdy rodak miał przystęp do niego w każdej chwili otwarty, a każda polska potrzeba znajdowała go zawsze gotowym do służby, bo słusznie powiedziano o nim i o jego życiu, że nic polskiego nie było mu obcém i nic polskiego nie było dla niego małém. Jak będąc w Turcyi zajmował się czynnie przy tylu innych rzeczach kolonią naszą w Adampolu, i nawet kupiwszy w niej kawałek ziemi sam się zapisał na osadnika, dochód z tej własności przeznaczając na rozmaite tam ulepszenia, jak po otrzymaniu własnego funduszu nabył zaraz dobra w Poznańskiém, bo te do niemieckich rąk przechodzić już miały,

chociaż mógł daleko korzystniej dla siebie umieścić ten fundusz gdzie indziej, tak i wróciwszy teraz na nowo do Paryża, z całą gorącością ducha zajął się i dawnemi na wychodźtwie zakładami naszemi i rozwiniętém wtenczas przez Towarzystwo historyczno-literackie wydawnictwem; w godzinach kiedy inna znużyła go robota, spisywał błędy gramatyczne jakie w polskich natrafiał książkach, wyrazy obce do mowy naszej wprowadzone, układał z tego słowniczki, aby i na tém polu nie ustać w walce z germanizmem, grożącym czystości mowy naszej, a drugich przestrzedz i uwagę ich na niebezpieczeństwo zwrócić.

Kilka miesięcy przed jego powrotem ze Wschodu powstało w Paryżu pismo: *Wiadomości Polskie*, wydawane przez grono ludzi otaczających wtenczas ks. Adama Czartoryskiego. Pismo to było prawdziwą strażnicą życia wewnętrznego Polski i jej istotnych interesów; ostrzegało kraj przed każdém niebezpieczeństwem, obrachowywało duchowe i materyalne jego siły, podnosiło wszystko co szlachetne, a starając się rozproszyć złudzenia tak w położeniu naszém częste i łatwe, wskazywało wytrwałe gromadzenie i rozwijanie sił wewnętrznych narodu jako cel i obywatelski dla wszystkich obowiązek. Dziś już oddano sprawiedliwość temu pismu, wytrawności sądu i gorącej rzeczy ojczystych miłości, jaką tchnęło od początku do końca; nie tu miejsce obliczać zasługi tych ludzi, którzy niczego nie szukając dla siebie, zrzekłszy się nawet imienia, tak zacnie służyli, tak mądrze umieli radzić i przemawiać zarazem do serca i rozumu rodaków; ale nie możemy przemilczeć, że jenerał Zamoyski przez wszystkie cztéry lata trwania tego pisma, od 1857 do 1861 roku, czasami piórem, a rzec można zawsze radą należał do redakcyi, i że ta jego doświadczeniu i dojrzałej spraw publicznych znajomości zawdzięczała wiele. Mawiał wtenczas o sobie, że czuje iż życie publiczne już dla niego zamknięte, a zostaje mu tylko *nauczanie*; starał się też, zwłaszcza w młodych, przybywających z kraju rodaków przelać to, co sam w życiu wyrobił, uzbierał; chciał, według słów dawnego poety, sam odchodząc podać innym lampę życia, ale lampę gorejącą. Nie jeden pewno z tych, którzy go otaczali w tych latach, których serdeczniejszém zaszczycał uczuciem, zachowa na zawsze wdzięczną pamięć jego nauk. Z młodszych pisarzy naszego tułactwa, Julian Klaczko i Waleryan Kalinka, o których dzisiaj mówić już możemy, chętnie świadczą sami, iż nie tylko prac swoich w *Wiadomościach Polskich*, ale i wszystkich innych, nawet w obcych językach, pod natchnieniem jenerała Zamoyskiego dokonywali, i były one, jeśli nie wypływem bezpośredniej jego inspiracyi, to tych zasad i pojęć, które on z prawdziwie ojcowską pieczołowitością, w ich umyśle i sercu o ile mógł rozwijał.

Przez cały prawie czas wychodźtwa, bo i tej strony jego życia dotknąć musimy, miał Zamoyski wiele do zniesienia od własnych rodaków. W czasach zwłaszcza większych emigracyjnych waśni i gorętszej

walki stronnictw, był przedmiotem najzaciętszych często napaści. Nie mogło być inaczej. Nadto szerokie w sprawach publicznych zajmował on miejsce, i nadto stałe miał przekonania aby mógł nie mieć przeciwników; nie zabrakło ich żadnemu większemu mężowi w historyi, a służba publiczna ciężka wszędzie, u nas bodaj zawsze bywała najtrudniejszą; w anormalném zaś położeniu wychodztwa, w którém tęsknota, często niedostatek i przymusowa bezczynność jątrzyły tylko uczucia i rozżarzały namiętności, a brak wszelkiego prócz dobrej woli hamulca, przyczyniał się jeszcze do rozwinięcia nawet wad narodowego charakteru, musiały te namiętności wybuchać nieraz gwałtownie. Zamoyskiemu brakło może daru łatwego jednania mass; nigdy też właściwie popularności nie szukał; stał nieporuszony na swojém stanowisku, ze swoją wiarą, swemi zasadami, i to było zawsze cechą jego charakteru. Walkę nawet wewnętrzną ze swoimi, uważał za rzecz nieuniknioną, a żadna niesprawiedliwość jemu domierzona, spokoju umysłu pozbawić go nie mogła. Miotanemi na siebie obelgami poruszyć się nie dał. Powtarzał nie raz, że Jan Zamoyski dawszy się opanować goryczy przeciwko współrodakom, chciał żeby napisano na jego grobie: « tu leży Jan Zamoyski, który cierpiał wiele dla Ojczyzny, więcej od Ojczyzny, » a jednak przezwyciężył tę gorycz i tém się większym przez to okazał. « Wszelka chęć dotknięcia i ubliżenia, pisał do jednego ze znajomych, o tyle zamiar swój osięga, o ile jest przez interesowanego podjętą; zostawiona sobie samej, nie tylko bezwładną zostaje, ale podnosi tego, którego poniżyć nie zdołała, skoro go nie wzruszyła. » Takim też pozostał do końca. « Przy odrobinie dobrej woli, najlepszych doradzców znajdowalibyśmy w nieprzyjaciołach naszych » mawiał często, i coraz spokojniejszym umysłem spotykał wszystko co przeciw niemu wymierzoném było.

Jakim był w życiu że tak powiemy publiczném, takim też i w domowych, rodzinnych, najbliższych nawet stosunkach; Ojczyzna zawsze i we wszystkiém najpierwsze u niego zajmowała miejsce, i gdyby kiedy spisane być mogły codzienne jego niemal z najbliższymi rozmowy, ujrzanoby jaką miłością rzeczy ojczystych pałało to serce, i jaką mądrością prawdziwą tchnęły te rady, mające zawsze budowanie Ojczyzny na celu. Jedną z takich rozmów, zapisanych natychmiast, przytoczymy tutaj, bo maluje wybornie duszę jego i kierunek umysłu. Zapytywany przez jednę z blizkich mu osób, coby myślał o małżeństwie, oto co jej powiedział: Można nie wchodzić w związek małżeński, ale nie można żyć bez *ślubu*. W całej skromności ślubuj wszystkie siły i wszystkie chwile życia krajowi i nie miej już innego celu jak poświęcać mu się w każdym obrębie, na każdém polu i w każdej chwili i pamiętaj, że już do siebie nie należysz, a da Bóg zamęźcie, to dobrze, ten ślub od ślubu innego cię nie wstrzyma, ale o to chodzi, abyś się czuła *zaślubioną*

a nie *wolną*. Trzeba abyś ofiarowała krajowi i przyniosła mu wszystko co masz w sobie, i wszystko czego zdolna jesteś, ale skromnie, spokojnie, nie dla wyniesienia lub imienia, z zapałem przez sąd hamowanym, z sądem przez zapał podniesionym. Chroń się zarówno zapału bez sądu i sądu bez zapału. Tylko połączenie tych dwóch rzeczy coś warte. A przedewszystkiém, nie szukaj nigdy i w niczém osobnego, pojedyńczego działania; szukaj naczelników, szukaj poprzedników, którzyby tę drogę przeszli byli przed tobą i im przynoś poparcie; szukaj z drugiej strony młodszych co tej drogi nie znają, naprowadzaj i wskazuj, bądź zawsze *nad* kimś i zawsze *pod* kimś: to konieczny warunek pracy pożytecznej. A potém módl się, proś o drogę, o światło, o wskazanie tych z którymi masz się związać, i ufaj i idź. Pan Bóg nie odmówi, ale to wszystko jak najciszej, bez żądzy wyniesienia, na to pamiętaj. »

Sam tak żyjąc jak nauczał, do końca podzielał wszystkie prace ks. Adama Czartoryskiego, a za niemi i wyższe nadzieje jakie opromieniły ostatnie dni jego z powodu wypadków warszawskich 1861 roku i wysokości nastrojenia wtenczas ducha narodowego; gdy zaś zgasł ten, którego za przewodnika politycznego obrał był dla siebie, uczucie swoje przeniósł na syna jego ks. Władysława, i chętną a gorliwą pomoc swoję we wszelkich pracach politycznych jemu ofiarował.

Nadarzyła się rychło do tego sposobność w skutek powstania 1863 r. Konwencya 8 lutego między Prusami i Rossyą obudziła uwagę wszystkich gabinetów, i dała początek całej tak zwanej dyplomatycznej w sprawie naszej kampanii mocarstw zachodnich. Zaledwo p. Drouyn de Lhuys (21 lutego) wezwał gabinet londyński do wspólnego wystąpienia w Berlinie, a lord Cowlej poseł angielski w Paryżu dał się z tém słyszeć, że żądając tłumaczenia się od Prus jednych opuszczonoby *wielkiego winowajcę* i że Anglia tylko do obu dworów które zawarły wspomnianą konwencyę razem odezwać się może, jenerał Zamoyski pośpieszył do Londynu, aby tam dawne stosunki swoje na korzyść sprawy zużytkować. Nie tu miejsce opisywać wszystkie przejścia ówczesnej dyplomacyi europejskiej, które zresztą już polskie opowiedziało pióro, z właściwym sobie talentem; (1) ograniczymy się na tém co się jenerała Zamoyskiego dotycze. Był on wtenczas przekonany, « że Polska mimo Austryi odbudowaną być nie może, ale że ta, nie jest w stanie narazić się Moskwie, nie mając pewności odbudowania Polski tak wielkiej i silnej, aby ją od zemsty Rossyi na później zasłonić mogła; że nawet wydanie wojny przez mocarstwa zachodnie nie będzie dla Austryi rękojmią stanowczą, gdyż pokój mógłby nastąpić w warunkach zupełnie innych niż te, dla których wydaną byłaby wojna. » Dla tego chciał przedewszystkiém ze strony Francyi i Anglii « kroku, któryby im zam-

(1) Etudes de diplomatie contemporaine; les cabinets de l'Europe en 1863-1864. par Julian Klaczko. Paris, 1866.

knął drzwi do wszystkich w przyszłości konszachtów z Moskwą.» Jako środek ku temu, uważał uroczyste ze strony tych mocarstw oświadczenie, iż Rossya nie dopełniając warunków pod jakiemi traktat wiedeński przyzwolił na panowanie jej nad dawnemi prowincyami polskiemi, wszelkie do nich prawa straciła. «Akt taki mając za najważniejszy dla sprawy naszej nabytek, o otrzymanie go przedewszystkiém się starał, z całą, zwykłą mu zawsze gorliwością. Pomimo wieku i ciężkiej choroby, przez pięć miesięcy bez wytchnienia prawie, pracował nad tém w Anglii, objeżdżając rozmaite miejsca i w gorących słowach tłumacząc to zwoływanej na meetyngi ludności, przekładając wszystkim przyjaciołom swoim w Londynie, ucząc ich wszelkiemi sposobami i praw naszych i historyi, i samych obowiązków jakie na Anglią podpisany przez nią traktat wkładał. Odwoływanie się do traktatu wiedeńskiego znajdowało echo nad Tamizą. Im bardziej obrana przez gabinet londyński droga bezskuteczną się okazywała, a Moskwa na pełne oględności przekładania, wzmagającą się tylko grozą w Polsce odpowiadała, tém więcej jenerał Zamoyski znajdował w Anglii posłuchu. W maju lord Harrowby zgodził się był podnieść myśl jego w parlamencie, w miesiąc później (9 czerwca) lord Ellenborough w Izbie wyższej odezwał się, że zawieszenie broni między Polską a Moskwą uważa za niepodobne, a 24 lipca lord Malmesbury potępiając głośno politykę gabinetu, utrzymywał, że zamiast wysyłania not niedołężnych, Anglia powinna była odwołać z Petersburga swego ambassadora i stosunki z Moskwą zerwać. Jenerał Zamoyski nie tracił więc nadziei, że swego na końcu dopnie. Dla tego też nalegał, aby raz walkę rozpocząwszy, kraj znużyć się w niej nie dawał. «Jeżeli czém powtarzał, zdołamy nakłonić Anglią do wystąpienia w obronie praw naszych, to tylko okazaniem żeśmy narodem potężnym, o ile jest potęgą duch jednomyślny ludności całej, ofiarność bez granic i mądra rada.» Do szwagra swego hr. Jana Działyńskiego i do Zygmunta Jordana którego ojcowskiém prawie uczuciem kochał, pisywał ciągle, żeby nie myśleli o gromadzeniu wielkich oddziałów, a przeciwnie w wojnie partyzanckiej trwali, bo tak tylko walkę przeciągnąć można, «a potrzeba dać dowód, że między nami przy zapale i bohatérskiej ofiarności jest rozwaga, bez której bohatérstwo nawet najwyższego sobie nie zdobywa wieńca.»

Nie jednemu z rodaków, w tych gorących chwilach coraz nierówniejszej walki i rosnącego okrucieństwa Moskwy, domagania się jenerała Zamoyskiego wydawały się utopią, zrzeczeniem się blizkich, dotykalnych korzyści dla oderwanej idei prawa; ci którym się chwilowo zdawało, że Zachód za nas wojnę wypowie, i którzy myśleli, że wojna taka jedynie uratować nas może, dziwili się i oburzali nawet, słysząc, iż Jenerał zaprzeczenie Moskwie praw wszelkich do panowania nad nami uważał za akt większej dla sprawy donioslości nad samo wypowiedze-

nie wojny, bez takiego ze strony mocarstw zachodnich orzeczenia. On powtarzał ciągle, « że akt podobny przyznając uroczyście prawa nasze, jednałby nam *sprzymierzeńców*, kiedy bez tego, w razie nawet wypowiedzenia za nas wojny, mielibyśmy tylko *protektorów*, którzyby Polskę tak opuścić mogli, jak dawniej opuścili Grecyą, wyznaczając jej niemożebne granice. « Od głodu, ognia i opieki obcej uchowaj nas Panie » mawiał często, a twierdził, że gdyby Anglia weszła na drogę zaprzeczenia praw Moskwy, wtenczas Francya pójdzie też za nią i wszystkie w odbudowaniu Polski interesowane mocarstwa : Austrya, Turcya, Szwecya, bezpiecznie przystąpią do przymierza, przynoszącego pożyczkę, broń, flotę, wojsko, a wszystko nie jako protegowanym ale jako sprzymierzeńcom. Niekiedy posuwał się aż do przypuszczenia, że aktem takim ubezpieczona zupełnie Austrya, zajmie się szczerze utworzeniem z odbudowanej Polski tarczy dla siebie od Moskwy, że nam odstąpi stu tysięcy galicyjskiego żołnierza, i że obrany Królem Polskim jeden z Arcyksiążąt austryackich, na czele tych narodowych zastępów, odbierze przywłaścicielowi dawne polskie prowincye. W jak dalekiém przezroczu doświadczonemu jego oku ukazywać się mogły te ostatnie obrazy, to pewna, że w obecnej chwili, przedewszystkiém mu chodziło o uratowanie samej zasady, samego prawa, i przyjdzie czas, kiedy ludzie oddadzą sprawiedliwość tej w nim niezłomnej wierze w « potęgę prawa, i w moc istotną na świecie jego uznania lub zaprzeczenia, chociaż nie zawsze się ta moc objawia *bezpośrednio*. » Ta wiara w prawo i moc jego, stanowi właśnie moralną charakterystykę i piękność jenerała Zamoyskiego, dla niej i przez nią wierzył on tak niezłomnie w Polskę, nią wyróżniał się z tłumu w wieku dzisiejszym, hołdującym tak chętnie i tak uniżenie przed siłą materyalną i powodzeniem.

Wytrwałe jego starania omało nawet skutkiem uwieńczone nie zostały. Ubliżające rządom zachodnim odpowiedzi ks. Gorczakowa, rosnąca duma Rossyi, zadająca coraz większe upokorzenia wstawiającym się ostrożnie za nami rządom, usposabiały angielskich mężów stanu do przyjęcia myśli, która nie wymagając w tej chwili ofiar z ich strony, zasadę i samą cześć ich ratowała. Lord John Russel na głośnym bankiecie w Blairgowrie (26 września 1863 roku) wypowiedział, że « ponieważ Rossya żadnego z warunków pod jakiemi przyzwolono na panowanie jej nad prowincyami polskiemi nie dotrzymała, więc i same jéj prawa do tych prowincyj z trudnością obroniéby się dały. » Co więcej, zapytał Francyą czyby ze swej strony ułożoną w tej myśli notę gabinetu londyńskiego poparła? Pan Drouyn de Lhuys zapewnił natychmiast, o zupełnej na to zgodzie rządu francuzkiego, radził zaś porozumieć się jeszcze z Austryą. Gabinet wiedeński uwiadomiony z Petersburga, że będące konieczném podobnego aktu następstwem

przyznanie Polakom praw strony wojującej, uważałby za *casus belli*, z powodu swego z Moskwą sąsiedztwa, wymówił się od współudziału, dodając że samą zasadę potwierdza. Sprawdzało się co utrzymywał jenerał Zamoyski, że Austrya dla stanowczego wystąpienia potrzebować będzie zupełnego ze strony Zachodu ubezpieczenia. Pomimo to, John Russel trwał w myśli wysłania zapowiedzianej noty; gabinet paryzki upewnił go, że byle nota księciu Gorczakowowi oddaną była, poseł francuzki książe Montebello, natychmiast taką samą w imieniu Francyi w Petersburgu złoży. Miały więc zachody jenerała Zamoyskiego choć częściowy osiągnąć skutek. Całą jego doniosłość dziś już w zupełności ocenić możemy. Jakkolwiek oświadczenie takie ze strony mocarstw zachodnich, nie poparte zaraz wojną, nie przeszkodziłoby Moskwie poskromić ostatecznie powstania, zawsze jednak, na przyszłość nie pozwoliłoby jej tak pastwić się nad nami jak teraz. Lord Palmerston oświadczał był w Parlamencie, że Anglia miała *prawo* upominać się o dotrzymanie względem Polski warunków wiedeńskiego traktatu, ale nie miała *obowiązku*. Raz zaprzeczywszy praw Moskwy, jużby miała *obowiązek* i pod tém zagrożeniem Rossya musiałaby się na mocarstwa zachodnie oglądać. Nota została napisaną; wysłano ją nawet z Londynu i ambasador angielski w Petersburgu był o niej uprzedzony. Wiadomo już dzisiaj komu winni jesteśmy pozbawienie nas tej ostatniej osłony. Hr. Bismark uwiadomił lorda Russel, że zaprzeczenie praw Rossyi do polskich prowincyj, dałoby państwom niemieckim powód podobnegoż zaprzeczenia praw króla duńskiego do Holsztynu. Telegrafem wstrzymano kuryera wiozącego notę — wszystko się skończyło. Oddano nas ostatecznie na pastwę nieprzyjacielowi, a zbyteczném byłoby przypominać, jak Moskwa skorzystała z braku wszelkiego już hamulca.

Jenerał Zamoyski we wszystkich około sprawy zachodach o których wspomnieliśmy, do ostatka osobą swoją niezmordowany, hojnie też do końca powstania funduszem własnym przychodził w pomoc potrzebom ówczesnym; gdy zaś wszystkie nadzieje zawiodły, a ruch raz jeszcze wbrew jego przekonaniu i radom wywołany, okropną zakończył się klęską, zwrócił się znowu, jak zawsze, do zajęć wewnętrznych emigracyi, i nowemu pokoleniu wychodźców starał się być wszelkiemi sposobami pomocnym.

Wspomnieliśmy wyżej, o ofierze złożonej przez jenerała Zamoyskiego dla Biblioteki polskiej w Paryżu, w celu ułatwienia jej otrzymania praw obywatelstwa we Francyi. W ostatnich czasach, w skutek wypadków warszawskich i jednomyślności narodu w ofierze, zawiązało się było w 1862 r. na wychodztwie, Stowarzyszenie podatkowe. Jenerał Zamoyski zaraz zapisał się do niego razem z synami, a jeden z piérwszych skapitalizowawszy swój dobrowolny podatek, i stawszy

się tym sposobem członkiem wieczystym Stowarzyszenia, przyczynił się do tego, że się ono na prawdziwie narodową *Instytucyą Czci i Chleba* zamienić mogło. Powołany przez zacnych założycieli tej instytucyi do przewodniczenia w niej Radzie nadzorczej funduszów stowarzyszenia, przyjął najchętniej i ten obowiązek, wszelkie ze swej strony poparcie szlachetnemu zapewniając przedsięwzięciu.

Tak w ciągłej pracy, wspierając wszystko co było szlachetne i prawdziwie polskie, niosąc pomoc każdej jaka się do niego udała nędzy, młodzieży naszej katolickiej pomagając do kształcenia się «w imię Chrystusa Pana, a izraelskiej dla Mojżesza,» zbliżał się Jenerał do wieczności, przebaczając licznym nieprzyjaciołom i oszczercom swoim, a we wszystkiém coraz bardziej zgadzając się z wolą Bożą. Pod koniec życia zwykł był mawiać, że od młodości najlepiej rozumiał pierwszą część modlitwy Pańskiej, ale że teraz, po ciężkich życia zawodach, wniknął prawdziwie w drugą jej połowę i z nią zgadzał, nią ogarniał wszystkie osobiste, rodzinne i ogólne, narodowe pragnienia. On, co tak wiele krzyżów dźwigał, co od lat dwódziestu z ciągłą prawie walczył chorobą, mawiał często: «nie rozumiałem nigdy czemu mnie ludzie tyle żałują; chciałbym książkę napisać o wszystkich dobrodziejstwach, jakiemi mnie Bóg od urodzenia obdarzał» i z rzewném uczuciem rozpływał się nad szczęśliwością jaka w życiu była jego udziałem.

W ostatnim roku, chciał jeszcze Rzym odwiedzić i udał się tam na wielki obchód kanonizacyi ś. Józafata Kuncewicza, kiedy biskupi całego prawie katolickiego świata otaczali głowę Kościoła. Zaledwo Pius IX w tłumie zebranych na audyencyą gości rzymskich, postrzegł wyniosłą, znaną mu dawniej, a taką boleścią napiętnowaną postać Jenerała, poszedł prosto ku niemu, witając tém jedném trzy razy wymówioném słowem: *biedna Polska*, *biedna Polska*, *biedna Polska*! Wymowne zaiste świadectwo nierozerwalnego ślubu jaki duszę Zamoyskiego łączył z Ojczyzną. Po tej do stolicy świętej pielgrzymce, daném mu było odwiedzić Kraków i wszystkie jego pamiątki, później Wielkopolskę, i widzieć jeszcze przez chwil kilka zebrane koło siebie jakby dla pożegnania go rodzeństwo. Choroba wzmagała się ciągle; przyzwyczajony do niej, znosił cierpienia z wielką do końca i coraz większą cierpliwością i pogodą. Funduszem swoim nie rozporządził, ale wyraźnie wypisał wolę swą co do sposobu wychowania synów.

Na kilka dni przed śmiercią mówił lekarzowi: «Jeżeli myślisz, że się koniec mój zbliża, powiedz mi wyraźnie, wszak wiesz, że się z życiem nie drożę, że go Bogu nie żałuję»; a spójrzawszy na jednę z najbliższych mu osób dodał: «opuszczę was z niewymownym żalem, ale do Boga pójdę z niewymowną radością.» Chociaż może tak blizkiego nie przewidywał końca, w wigilią zgonu chciał sakramentami umo-

cnić się na drogę wieczności, i przyjął je z najżywszą wiarą i spokojem, budując obecnych chrześciańskiém podniesieniem ducha. Przytomny do ostatniej chwili, i wobec niej nawet o sprawie której swe życie poświęcił pamiętający, skonał lekko dnia 11 stycznia 1868 roku, zapytując jednego ze współpracowników swoich, czy posłano do dzienników opis ostatnich okrucieństw Moskwy, domierzanych w kraju nad Kościołem. Spoczywa w Montmorency, obok największych i najzasłużeńszych współtowarzyszy tułactwa. Dzisiejszą o nim wzmiankę zakończymy słowami autora *Psalmów* : « że sprawiedliwy sąd o nim wyda kiedyś historya i Polska, mówiąc, iż w czasie jej najstraszniejszej boleści, prawie zupełnej niewidzialności w świecie politycznym, był jej politycznym bohatérem i męczennikiem. »

Bronisław Zaleski.

LIST

ALEKSANDRA CHODŹKI

DO DYREKTORA BIBLIOTEKI POLSKIEJ W PARYŻU.

Odsyłając bibliotece piękne Małeckiego i Tarnowskiego prace o Słowackim, uiszczam się z danej obietnicy sprostowania kilku tam szczegółów tyczących się mnie samego. Widzę, że niechcąc przed czterdziestu aż laty, popełniłem mistyfikacyą, na której ani Słowacki, ani co dziwniejsza, bystrooczni krytycy jego nie poznali się. P. Małecki, mówiąc o Balladynie, twierdzi że : « Słowackiemu treści *głównie* dostarczyła znana owa, bo po całej przestrzeni kraju śpiewana, powiastka o dwóch córkach prostej wieśniaczki w równym *stopniu* pokochanych przez jakiegoś wielkiego pana, które *wysłano na maliny*, ażeby samo szczęście rozstrzygło, która ma zostać żoną rycerza. Powiastka ta *słabiuchno* (sic) przelana w kształt ballady przez A. Chodźkę, była wcielona już wtedy do zasobów piśmiennej literatury. » Krytyk nie musiał zapewne słyszeć powiastki, o której tu mówi. Ja także jej nigdy nie słyszałem, jeno kilka słów piosenki, które zacytowałem w przypisku piérwszego wydania poezyj moich 1828 w Petersburgu. Nie było z czego przelewać. Z pełną jeszcze pamięcią muzyki litewskiej gminnych pieśni, na nótę « hej tam na górze», napisałem *Maliny*, gdzie wszystko moje : i obojętność miłości panicza dla dwóch siostr wieśniaczek, i wysłanie ich po maliny, i plama krwi na czole zbrodniarki, i powód do zbrodni i t. d. Juliusz, nie wielki znawca ludowej poezyi, biorąc szych za dobrą gminną monetę, mówi (p. 221) : « moja tragedya cała podobna do starej ballady » i nieumyślnie dopuszcza się plagiatu, któregoby duma jego nie dozwoliła, gdyby wiedział że to istotnie nie ludowe. Żywcem więc zapożycza do swego dramatu wiele nietylko idei, ale nawet pojedyńczych wyrażeń jak np. : Ty będziesz panią — o! krew — czemu ty

słońce krwawo wschodzisz — Co to za plama czerwona? etc. etc. Biblioteka polska w Paryżu ma jednę z edycyj moich wierszy. Jeżeliś mój Bronisławie ciekawy albo niedowiarek, zajrzyj a znajdziesz tam: « ta będzie panią — Słońce się z za drzew, rumieni jak krew. — Na jej czarnej brwi niby kropla krwi » etc. etc. Małecki, który z tak religijną troskliwością zbiera i uzupełnia materyały tyczące się utworów swego ulubionego poety, powinienby także wydobyć oryginał owej powiastki, jak mówi, znanej i po całym kraju przez lud nasz śpiewanej powiastki, którą dobrze umieć musi, ponieważ tak silnie, Arystarcha głosem zawyrokował że : *słabiuchno* przelana. Mickiewicz nazywał ją najlepszą z ballad polskich. Nie miałem siebie nigdy za arcy-poetę, ale udało mi się nieraz w poezyi dosłyszeć ton prawdziwy. Bartoszewicz wziął Eunucha : « i cóż milszego jak cień w upałach ! » etc. za tłumaczenie z perskiego. Bohdan Zaleski wie, że nasz *Zuch* nastroił niejednę z ukraińskich dumek. Żdarza się to we wszystkich literaturach, że pierwszorzędnym pisarzom diapason dają inni. Jedna wzmianka, jedna myśl rzucona w dobrej chwili na genialną rolę, wyrasta w bujne, wielkie płody. Ideę Farysa ja natrąciłem Mickiewiczowi. On ubrał ją w ciało nieśmiertelne.

Wracając do Słowackiego, powiem ci że ojczym jego Becu, był doktorem naszej rodziny w Wilnie. Ile razy ojciec mój wyjeżdżał z miasta, co zdarzało się często, gościnny dom matki i ojczyma Juliusza był moim. Jak dziś pamiętam rozpacz wdowy, i ślicznej jak ateńska statua, Aleksandry Becu i jej siostry Hersylji, kiedy zabitego piorunem trupa Becu wpuszczano w wannę ! Patrzałem na to wszystko płacząc z nimi jak jeden z rodziny. Zrobiliśmy byli projekt we trojgu : Juliusz, Ludwik Szpitznagel i ja, razem jechać uczyć się języków wschodnich. Wszystko to mniej więcej wpłynęło na dalsze koleje życia naszego. Ludwik skończywszy kurs tych języków w Petersburgu, pojechał do Kairu; ja, uczeń tejże samej szkoły, w 1830 r. wyjechałem do Persyi. Juliusz słabszego zdrowia i jedynak u matki, nie nauczył się języków, ale zachował chętkę widzenia Wschodu. Tymczasem Aleksandra Becu wyszła za mąż za doktora Mianowskiego i prędko później umarła. Czeczota tryolet :

Patrzcie tylko na Olesię
Kiedy ma oczy spuszczone ;
Ale gdy oczy podniesie,
Nie patrzajcie na Olesię, etc.

napisany do niej : Hersylia szczęśliwsza od siostry, wyszła za Januszewskiego i żyje dotąd, troskliwą, dobrą matką rodziny. Wchodzę w te drobnostki, aby usprawiedliwić powody jeszcze kilku uwag, do których prawo daje mi bliższa, bo naoczna znajomość rzeczy, znanych krytykom tylko z pośmiertnych papierów.

Ludwik Szpitznagel, syn Ferdynanda, profesora fakultetu medycznego w Wilnie, był młodzieńcem wielkich zdolności, szczególniej do języków. Ojciec, dobry hellenista i łacinnik, przelał klassyczną swoją naukę w syna. Były to czasy młodego entuzyazmu, gdy wydane jeszcze przed kilku laty poezye Mickiewicza i powrót z uniwersytetów niemieckich Fr. Malewskiego, zwróciły były uwagę młodzieży wileńskiej na arcydzieła Szyllera i Goethego; wtedy Wertera każdy czytał, każdy musiał chcąc nie chcąc zakochać się jak Werter. Nasz Ludwik więc na dobre zakochał się w Aleksandrze Becu, a Juliusz w Ludwice Śniadeckiej, późniéj żonie Sadyka-Paszy; oba w pannach bardzo pięknych, bardzo wysoko ukształconych, lecz nierównie starszych od nieletnich aspirantów swoich. Jedna i druga traktowały ich jak dzieci, wobec poufalszych znajomych domu. *Inde irœ*, szczególniej Juliusza, jednorodnego u matki i rozpieszczonego pobłażaniem sióstr przyrodnich, które czuwały troskliwie nad słabém zdrowiem dziecka. Sam Becu nie mięszał się do wychowania córek, zresztą już dorosłych, a Juliusz zostawał głównie pod kierunkiem kobiét. Ton w domu dawała jego matka, dziwnie do niego podobna. Tenże wzrost, taż płeć bronzowa, też oczy trochę zawypukłe ale pełne wyrazu, taż chudość na twarzy i coś gorączkowego, suchotniczego w rumieńcu i w ustach. Francuzka poezya i muzyka, szczególniej Fielda, były tej dobrej, ale nerwowej i namiętnej kobiéty ideałem. Wszystko to odbiło się w dalszém życiu Juliusza. Dzieckiem jeszcze, mówił bez akcentu, poprawnie po francuzku, starannie się ubierał i rad szukał towarzystwa ludzi bogatszych. Człowiek źle ubrany raził go i jakby tracił w jego szacunku. Dla tego w listach do matki śmieje się z bótów Lelewela i z nieświeżego fraka Adama. Dla tego nie należał do żadnego politycznego ruchu ani w kraju ani w emigracyi. Ludu nie lubił i nie rozumiał i pewno że poezyi gminnej nie uczył się z ustnych źródeł ale z książek. Otóż wracając do Balladyny, powtórzę że pisząc ją, Słowacki dyalogował nie powieść gminną, ale balladę *Maliny*, i ubrał ją po swojemu w ubiory częścią własnego pokroju, częścią wedle Szekspira. Nie przeszkodziło to bynajmniej autorowi nacechować szczegóły i całość dramatu piętnem samoistnej wyobraźni i urokiem mistrzowskiego wysłowienia. P. Małecki sądzi, zdaje mi się niesłusznie, że Juliuszowi ideę Balladyny dała Kochanowskiego *Odprawa Posłów* i tragedya grecka. Gdzie tego ślady w Balladynie?

Jeszcze kilka szczegółów do sprostowania. « Z Petersburga, Mickiewicz i Odyniec, wsiedli obydwa na okręt i z Kronstadtu puścili się morzem Baltyckiém do Lubeki, ztamtąd do Berlina » etc. Odyniec wprawdzie był wtedy w Petersburgu, ale później daleko wyjechał przez Litwę i Warszawę do Drezna. Mickiewicz odpłynął 15 maja 1829 r. Uczynił to bez pożegnania, z pośpiechem, gdyż dowiedzieliśmy się, że już po-

licya miała rozkaz odebrać pasport dany mu za granicę. Rozkaz jak to często dzieje się w Rossyi, przyjaciele spóźnili o parę dni, zatrzymując go w tekach kancelaryi ministra spraw wewnętrznych. Ja tylko jedynie towarzyszyłem Adamowi do Kronstadtu, a zacny Olenin, moskiewski jego przyjaciel, pomógł do prędszego skończenia formalności na statku angielskim parowym, *George IV*, kapitan Gordon. Pamiętam, bo to był pierwszy parostatek, który dotąd widziałem. W kilka dni później czytaliśmy kopię rozkazu zatrzymania Adama w Petersburgu i czekania dalszych rozporządzeń.

p. 61. « Pamiątki Soplicy pojawiły się po raz pierwszy w druku 1839 w Paryżu. Witwickiego przedmowa na czele tej publikacyi postawiła talent nieznajomego dotąd autora na szczycie wziętości literackiej. » Mickiewicz jeszcze za dni swojego pobytu w Odessie, i później upodobał bardzo w talencie opowiadawczym Rzewuskiego, i spowodował głównie napisanie i ogłoszenie Soplicy. Nawet do redakcyi przedmowy pomagał Witwickiemu, tak jak mu pomógł w wyborze hymnów i pieśni kościelnych, znajdujących się na końcu Polskiego Ołtarzyka, (wyd. Paryzkiego). Były to czasy budzenia się w emigracyi uczuć religijnych, ale jeszcze czasy, gdzie Francuzi i wielu emigrantów polskich śmieli się z Adama, że chodził do spowiedzi. Po założycielu zakonu Zmartwychwstańców Bohdanie Jańskim, nikt tyle ile Mickiewicz nie przyczynił się do wrócenia emigracyi na drogę katolicyzmu. Mówię tu o samych tylko początkach zawiązania się tego Zakonu, zanim jeszcze ks. Jełowicki stanął na czele missyi polskiej w Paryżu i odtąd prowadził ją stale przykładném poświęceniem się i niezłomną wytrwałością. Witwicki był do końca rzymsko-apostolskim katolikiem w najściślejszém znaczeniu wyrazu, i gdyby nie zgon przedwczesny, zostałby zakonnikiem.

p. 261. Biograf Juliusza mówiąc o jego spotkaniu się w Syryi z Aleksandrem Szpitznaglem, bratem Ludwika, chciałby mieć więcej szczegółów o tym ostatnim. Jakoż istotnie wartoby, aby ktoś z Litwinów zajął się na miejscu zebraniem pism, jeżeli jakie dotąd pozostały po Ludwiku Szpitznaglu. Pisma te muszą być zapewne u brata Ferdynanda Szpitznagla, obywatela wileńskiej gubernii, żyjącego dotąd. Ludwik lubił namiętnie poezyą, szczególniej Ossyana, Walter-Scotta, Byrona i pisał dużo pod ich natchnieniem. Główną zdolnością jego, jak już wspomniałem, była nadzwyczajna łatwość pisania i mówienia obcemi językami. Jego rozprawy greckie i łacińskie cytowa w Wilnie Grodeck. Posłany później przez ojca do szkoły żyjących języków wschodnich, przy ministeryum spraw zagranicznych w Petersburgu, zdobył tam wszystkie pierwsze nagrody. Przyjechawszy w 1824 r. do tejże szkoły, znalazłem go otoczonego podziwieniem profesorów. Za nagrodę dozwolono mu wybrać sobie na Wschodzie konsulat, gdzieby

jako tłumacz udoskonalił się ostatecznie. Wybrał Egipt, gdyż po arabsku i po turecku umiał niegorzej jak po polsku. Wtedy to udawszy się do Litwy na pożegnanie się z rodziną, odwiedził także Snów, wieś Rdułtowskich w Nowogrodzkiém, gdzie tak smutnie samobójstwem zgasił tyle świetnych nadziei. Miłość jego dla córki tej rodziny była istotnie namiętną, nie jak owa w domu Becu. Zdaje się, że jej rodzice nie odmówili jeszcze, ale zauważali, że i on i ona za młodzi, i że za kilka lat wróciwszy z Egiptu będzie mógł upomnieć się o tę pierwszą obietnicę. Ludwik jeszcze w Petersburgu mówił, że dumni i bogaci panowie nie zechcą oddać córki synowi profesora. Musiał wziąść za odmowę ich rozsądną i zdaje się szczerą radę. Są dotąd żyjący w dziedzicznym majątku na Litwie, najmłodszy brat jego Ferdynand i siostra Kazimira. Oniby mogli dostarczyć przynajmniej niektórych prac nieszczęśliwego Ludwika, a wartoby i bardzo.

Ale wróćmy do książki pana Małeckiego, bo raz podjąwszy zasłonę pamiątek litewskiej młodości naszej, tyle tam rzeczy staje przed oczy żebym nie skończył i tak już dłuższego, niż sobie zamierzałem opowiadania. Dwie niesprawiedliwości rażą mię i dziwią w tak rozważnych i świadomych pisarzach, jak biografowie Juliuszowscy.

Pierwszą niedarowaną niesprawiedliwością ich, sąd o Towiańskiego nauce, której jak się sami przyznają nie mieli chęci i sposobności zgłębić należycie. Przy dobrej woli nie zabrakłoby na materyałach. Wcale nietrudno dostać mniej więcej zupełnego zbioru pism o niej starannie przechowujących się u niejednego zwolennika tej teozofii, zrazu zanadto może ubóstwianej, jak dzisiaj nazbyt poniewieranej. Sam p. Małecki wyznaje, że (str. 322) mimo tej zgubności (?) pod względem umysłowym (Słowackiego), mimo szkód jakich doznał pisarz, poeta i człowiek pod owym wpływem mistycznym wzniesienia ducha, niewątpliwie skorzystał. W życiu praktyczném, w zamiarach, w sposobie i kierunkach działania, słowem etycznie, Słowacki w latach owych spoważniał i uszlachetniał stanowczo. Moralnie podniósł się wyżej niż za najlepszych czasów upłynionego życia. Po takiém wyznaniu, jak nie poszukać istotnych dźwigni tej nauki, co tak zbawiennie wpłynęła na prawie już czterdziestoletniego Juliusza, niedostępnego dotąd innym wpływom.... «Wstąpił w niego jakiś duch wyższy, chociaż się niebawem od Towiańczyków odstrychnął i na własną rękę rozwijał doktrynę. Odtąd zauważać się daje w tym duchu nieraz i siła nawet dziwnie odbijająca od właściwego mu dawniej braku hartu i woli. Uderza w nim nawet pewien patetyczny realizm, przedtém obcy najzupełniej jego idealnej naturze..,» Przepisuję tu dosłownie, bo to najlepsza, iż tak rzekę samobójcza odpowiedź, na przesadzone albo zupełnie fałszywe sądy o rzeczy ze wszech miar zasługującej na bezstronność krytyki pp. Małeckiego i Tarnowskiego. Nie zbywało tam na wielkich naduży-

ciach, ale nie godzi się mięszać idei z ludźmi źle ją reprezentującymi.

Drugą, rażącą mnie w krytykach niesprawiedliwością, jest ich posądzenie, że ustęp *Dziadów* o śmierci Becu spowodowany Mickiewicza niechęcią, i że jego « przedstawienie scen wileńskich z r. 1823 więcej było poetyczne niż zgodne z prawdą. » To co się w ostatnich latach działo na Litwie i w Kongresówce, to na co sam, Bronisławie, patrzałeś nieraz, potwierdza niestety aż nadto istotność opisu scen owych. Znałem bliżej doktora Becu, i nie sądzę ażeby zniżył się do przekupstwa, ale to pewna, że nie należał do partyi nieprzyjaznej rządowi. Ztąd wiara zabobonnej młodzieży, że piorun był karą zesłaną z nieba, a poeta poszedł za powszechną wiarą, tak jak całe życie w poezyach i czynach swoich szedł za powszechném uczuciem moralnej wartości Polski. Słowacki w nią nie wierzył i nawet jego krytycy mają mniej wysokie pojęcie o cnotach staropolskich. Mają za złe Kollarowi, Mickiewiczowi i Krasińskiemu ich przekonanie o konieczności tryumfu idei słowiańskiej, takiej jakiej ich gieniusze hołdowały. Chwalą Słowackiego, że « sam jeden z naszych wielkich poetów mówi nam gorzkie prawdy. » Ten ich pogląd zdaje się upowszechniać i być przyjętym w nowo otwierającej się fazie piśmiennictwa polskiego, co się obecnie zaczyna w Galicyi. Nie mogą darować Mickiewiczowi, że nie zgadł! Słowem rzecz przechodzi z jednej ostateczności dodatniej, do drugiej ostateczności odjemnej, a ta ostatnia polega na smutnej istocie obecnego stanu wszystkiego co polskie. Mickiewicz nie zgadł, to prawda, to jest dotąd zdaje się prawda, ale czy dalsze wypadki nie powiedzą, że « zgadł » to jeszcze nie prawda.

Habent sua fata libelli! Mickiewicz, Krasiński, Hōen Wroński, dotąd nie mieli ani godnego siebie życiorysu, ani ocenienia ich prac. Słowacki, nienapisawszy żadnego dramatu tak zupełnie pięknego jak *List Żelazny*, wskrzeszony w tomie uczonej, sumiennej i obszernej pracy Małeckiego. Dzięki Bogu i za to! W obecnej niedoli piśmiennictwa narodowego, tacy pisarze jak Małecki i Tarnowski są wróżbą lepszych mu losów na przyszłość. To już są prawdziwie badania, warte stanąć obok krytyk niemieckich i angielskich. Miałbym wiele powiedzieć o nieprawdzie twierdzenia (str. 316,) że *wiersz do autora trzech psalmów*, edycyi Brockhauza (w rękopiśmie przywieziony przez panią Łubieńskę z Paryża do Poznania) był jej dany przez Mickiewicza. To fałsz, wiem, bo w r. 1848 znajdowałem się z nimi w Paryżu; wszakże, zostawiam to do innéj, da Bóg chwili. Mówić o wszystkich szczegółach, szczególniej o osobach stykających się z wieszczem naszym, jeszcze zawcześnie. To dług potomności.

Fave et Vale.

Issy sur Seine.
dnia 15 maja 1868 roku.

ZMARLI NA WYCHODZTWIE

W 1868 ROKU.

✝

REQUIESCANT IN PACE.

ANDRUSZKIEWICZ Aleksander żołnierz w powstaniu listopadowém, dostawszy się po jego upadku za granicę, wszedł do rządowej służby francuzkiej jako kondu-ktor dróg i mostów. Wierząc, że jeszcze walki orężnej za Polskę się doczeka, wolne od obowiązków swych chwile poświęcał naukom wojskowym; a gdy wybuchło powstanie 1863 roku pośpieszył na pole walki i w oddziałach województwa Augustowskiego odznaczył się wytrwałością i męztwem. Wróciwszy w 1864 roku do Francyi, odzyskał dawną posadę i do końca ją zajmował. Przez cały czas trwania Towarzystwa demokratycznego był jego gorliwym członkiem. Umarł w Paryżu d. 13 grudnia 1868 r. licząc 56 lat wieku.

BEDNARSKI Leopold, emigrant z 1848 r. a major w powstaniu 1863, dostawszy się za granicę, w 1868 osiadł w Szwajcaryi; przybywszy we wrześniu do miasta Solury gdzie myślił zamieszkać, wyszedł na przechadzkę podczas strzelania do celu szwajcarskiego batalionu piechoty; kula jednego z karabinów przeszedłszy nad tarczą, o ośmset kroków za nią,ugodziła go w samo serce, i w jednej chwili du-

cha wyzionął. Pochowany 20 września 1868 roku z honorami wojskowemi, na cmentarzu w Zuchwyl, obok pomnika Kościuszki.

BOROWSKI Benedykt rodem ze Żmudzi, służył w wojsku polskiém w 19 pułku piechoty, i odbył kampanią 1831 roku. Wyszedłszy za granicę z innymi, osiadł we Francyi, umarł w St. Jean-d'Angély (dep. Charente Inférieure), w lutym 1868 r.

BRODZKI Antoni rodem z Wilna, syn nauczyciela muzyki, zaledwo szesnaście lat liczył, kiedy wybuchło powstanie 1863 roku; rzucił gimnazyalne ławki i zaciągnął się do oddziału Wisłoucha. Epopea jego jednak nie długo trwała: w pierwszej bowiem znaczniejszej potyczce ugodzony kulą w twarz, gdy pomimo rany nie chciał ustąpić z placu, drugi postrzał wyrwał mu lewą szczękę. Odniesiony w stronę przez współtowarzyszy, znalazł przytułek u miejscowych włościan, którzy go przechować zdołali, ale już dalszej walki zrzec się musiał; leczenie się szło bardzo powoli a tymczasem powstanie upadło i trzeba było szukać bezpieczeństwa za granicą. Z pomocą kilku przyjaciół dostał się Brodzki do Drezna, a gdy tam w skutek znacznej utraty krwi, u siedmnastoletniego inwalida zaczęła się rozwijać piersiowa choroba, wyprawiono go do Włoch. Pod tamecznėm niebem odzyskawszy siły, zaczął on w uniwersytecie bolońskim uczęszczać na kursa wydziału matematycznego, a gdy mu funduszów zabrakło, przybył do gościnniejszej dla wychodźtwa naszego Francyi i osiadłszy w Paryżu w 1866 r. probował uczyć się dalej. Do Sorbony uczęszczał na kursa matematyki, w szkole min słuchał geologii, do ogrodu botanicznego chodził na lekcye historyi naturalnej; w wolnych chwilach, pod okiem p. Radan, redaktora pisma *Moniteur scientifique* robił astronomiczne obliczenia. Zdrowie jednak pogorszało się ciągle; z matematycznego wydziału przeszedł na medyczny; ale dni młodzieńca były już policzone, tchu w piersiach mu zabrakło, przeniesiony do szpitala Lariboissière, po przyjęciu wszystkich Sakramentów umarł tam d. 21 maja 1868 roku. Spoczywa na cmentarzu la Chapelle.

M. A.

CIESZKOWSKI August, urodził się na Wołyniu we włodzimierskim powiecie, z rodziny odznaczającej się patryotycznemi i rycerskiemi uczuciami. Walczył z Moskalami w 1831 r. a dostawszy się z innymi za granicę, przebywał na Wschodzie; podczas kampanii krymskiej służył w dywizyi jła Zamoyskiego. W r. 1863 dowodził kompanią w legionie sformowanym przez Zygmunta Miłkowskiego w Tulczy, nad Dunajem. Legion ten, przez ziemie mołdawskie szedł do Polski; pod Kastangalią zaszły mu drogę wojska rumuńskie niechcąc przepuścić dalej, i d. 15 lipca przyszło do starcia w którém legioniści otrzymali zwycięztwo; jednakże w dalszym pochodzie, gdy coraz większe siły otaczać ich zaczęły i przekonali się, że musieliby wojnę z Rumunami prowadzić, złożyli broń i pojedyńczo pośpieszyli do kraju bić się z Moskalami. Cieszkowski w tej wyprawie odznaczał się gorliwém spełnianiem swoich obowiązków. Dostawszy się do Szwajcaryi, otrzymał miejsce urzędnika przy kolei żelaznej w Chaux-de-fond. Wolne od obowiązku chwile poświęcał usłudze współtowarzyszy i w tym celu założył nawet w kantonie Nefszatel Towarzystwo wzajemnej pomocy, które zaprowadziło ład między przybywającém z porażki krajowej wychodźtwem i niejednemu w tamtej okolicy wynalezienie zajęcia ułatwiło. Otoczony powszechnym szacunkiem współbraci, powołanym został

na członka Rady przewodniczącej zjednoczonych Towarzystw polskich w Szwajcaryi, na posiedzenia której przyjeżdżał do Zurichu. Umarł w szpitalu Chaux-de-fond d. 8 lutego 1868 r. w 57ym roku życia.

CIESZYŃSKI Tadeusz, umarł w Paryżu d. 17 września 1868 roku w dwudziestym piątym roku życia, w municypalnym domu zdrowia na przedmieściu St. Denis, gdzie pożegnało się z tym światem już tylu naszych rodaków, a między nimi Lelewel i Antoni Gorecki. Cieszyński wychowany w instytucie szlacheckim, młodo bardzo ogłoszony konkursem jako pierwszy stypendysta, pojechał kończyć na uniwersytecie Petersburgskim rozpoczęte nauki, zkąd go do powrotu do kraju powołało wybuchłe w nim powstanie.

W województwie Krakowskiém pełnił on różne obowiązki cywilne powierzone mu przez Rząd Narodowy i czynnością żywą a oględną zasłużył sobie na przyjaźń i szacunek tych co mu dawali te zlecenia lub byli świadkami jego tam postępowania, i dlatego jedni i drudzy dochowali mu do śmierci przyjaźni i szacunku i osładzali mu jak mogli ostatnie jego cierpienia. W czasie swojego urzędowania Cieszyński dostał się był w ręce sławnemu Czengieremu i wydobyły go z nich jedynie przytomność, swoboda i powierzchowność prawie dziecinna rewolucyjnego dygnitarza; skończyło się na rozkazie, aby wypuszczony więzień pomodlił się przed posągiem świętej Tekli, do której moskiewski jenerał miał niewysłowione nabożeństwo. Po wyjściu z kraju kończył Cieszyński nauki w uniwersytecie Hejdelbergskim, gdzie nabył rozległych wiadomości w literaturze i filozofii niemieckiej i jako pisarz zajął bardzo obiecujące miejsce między naszą młodzieżą. Liczne jego prace tak wierszem jak prozą umieszczane były we lwowskich szczególniej dziennikach.

Umysł Cieszyńskiego był bardzo seryo i skoncentrowany jak się to mało zdarza młodym Polakom, lubił sobie zdawać sprawę do końca z nabywanych wiadomości; gorący w uczuciach dla Ojczyzny, chłodny był w ocenianiu ludzi, stronnictw i rzeczy, a wolny od próżności i chęci górowania, nie rwał się nigdy do politycznych działań, niemających jutra przed sobą. Poezye jego nacechowane były więcej estetyczną rozwagą niźli prawdziwym zapałem, dlatego więcej w nich artystycznego rozmiaru i całości, szczególniej w drobniejszych utworach, niżeli natchnienia fantazyi porywającej, ale nie są one bez wartości i godne są nietylko zebrania i ogłoszenia ale i krytycznego rozbioru i ocenienia.

Co do pojęć filozoficznych, te oczyszczały się coraz bardziej z naleciałych obcych form, które nauczyły go badać głębiej i rozumować ściślej; niema zatém wątpliwości, że przy tym sumiennym jego rozwoju, umysł jego do rzadkiej kiedyś byłby przyszedł dojrzałości, że byłby musiał zatęsknić w końcu do jakiegoś religijnego promienia, któryby ogrzał te niepospolite władze duszy i roztopił tę zimną ostrożność, niedozwalającą się oddać i powierzyć temu, co jedynie i prawdziwie jest w stanie ożywić nas i podnieść. L. R.

CZAPLEJEWSKI Leon, rodem z województwa Mińskiego, przed 1830 r. służył w sławnym póżniej 4tym pułku piechoty liniowej; po wybuchu listopadowego powstania w pułku 16tym. W stopniu porucznika wyszedł za granicę. Umarł w Juvisy, w domu weteranów ś. Stanisława, d. 8 grudnia 1868 roku, licząc 67 lat wieku.

CZARNIEWSKI Stanisław, rodem ze Żmudzi, żołnierz z 1831 r. służył w 19tym pułku liniowym; umarł w Sierpniu 1868 r. w Rochefort, w 65tym roku życia.

DUBIECKI Aleksander, urodzony na Wołyniu w powiecie Dubieńskim we wsi Smolawy pod Beresteczkiem. Odebrawszy wyższe wykształcenie, ożenił się i osiadł w swoim powiecie, gdzie miał posiadłość. Dni jego życia płynęły w pracy ustawicznej. Czynny, dnia jednego nie zmarnował. Rola, literatura i ojczyzna stanowiły przedmioty jego zajęcia. Ojczyznę kochał gorąco, całą duszę jej oddawał, a ta miłość przy głębokiej religijności, przy czystości obyczajów i wyrobionym rozumie, składały się w nim w całość niepospolitego człowieka. I był to w rzeczy samej człowiek niepospolity. Poważny, zagłębiony w sobie, wytrwały i prawy, pobożny, prawdomówny a nieugiętej woli, z zaparciem się siebie służył ojczyznie. Za udział w manifestacyach na Wołyniu, a mianowicie za udział w akcie Horodelskim 1861 r. aresztowany i wywieziony został na wygnanie do Wiatki, zkąd pisywał artykuły ludowe do pisma « Czytelnia Niedzielna» redagowanego wówczas przez A. Gillera. Dubiecki pisał bardzo łatwo i dobrze. Język poprawny, styl wyrobiony, obfitość nowych myśli i zawsze uczciwy cel, oraz wyższe pojęcie życia, czyniły jego prozę bardzo zajmującą. Z Wołynia i z wygnania nadsyłał do gazet warszawskich korespondencye i rozprawy bez żadnego podpisu, a czasem tylko podpisywał je nazwą herbu rodzinnego « Ogończyk. » Niechaj nikt jednak z powodu tego podpisu nie mniema, że Dubiecki był za utrzymaniem herbów, przywilejów; cenił je jako zabytek historyczny, w pojęciu był za równością a lud polski nie miał nad niego gorętszego przyjaciela, ubogi zaś i prostaczek w jego towarzystwie znajdował się zupełnie swobodnie. Powrócony z wygnania w listopadzie 1862 r. wszedł do organizacyi narodowej, w której zajęty był sprowadzaniem i przygotowaniem broni i organizowaniem południowej części powiatu Dubieńskiego. Czynność jego wykryta przez Moskali w kwietniu 1863, zmusiła go oddalić się do Galicyi, zkąd jako komisarz cywilno-wojskowy przy oddziale Leszka Wiszniewskiego udał się na plac boju. Gdy oddział zmuszony był schronić się za kordon, wszedł z nim i Dubiecki napowrót do Galicyi; gdzie mu powierzono czynność sprowadzania i przeprowadzania broni na Wołyń: pełnił ją z niezwykłą gorliwością i sumiennością, aż do chwili aresztowania go przez Austryaków w listopadzie 1863 r. Osądzony do fortecy, uwolniony z niej został w końcu 1864 r. Przybywszy do Szwajcaryi zakupił pudło i obrazki świętych, ołówki, papier i z tym towarem, dźwigając pudło na plecach, od wsi do wsi, z góry na górę chodząc, zwędrował całą Szwajcaryę i południowe Niemcy. Czasem miał jaką książkę tyczącą się Polski do sprzedania, fotografie widoków alpejskich, albo też obrazek z wypadków polskiego powstania. Mały zarobek jaki miał z tego handlu, zaledwo wystarczał na jego utrzymanie, lecz ten człowiek który umiał żyć jak pustelnik, zaoszczędził kilkadziesiąt franków na wydanie swego poematu p. t. « Rozbitki. » Była to pierwsza książka, która wyszła z drukarni polskiej w Bendlikonie. Dzielił się jeszcze prócz tego swoim ubogim zarobkiem z biedniejszymi. Dowiedziawszy się w Ejnsideln, że ranny w powstaniu i chory rodak nie ma tam czém zapłacić mieszkania, zapłacił za niego, prosząc gospodyni, żeby nie mówiła od kogo pieniądze odebrała. Takich uczynków miłosiernych, takich datków i wsparć niewidzialną ręką podanych, nie jeden ze znających Dubieckiego, mógłby sobie wiele przypomnieć. On był węzłem rozproszonych emigrantów w Szwajcaryi, on ich

wspierał, łączył, organizował i ducha utrzymywał; on w tej surowej, młodej massie złożonej z ludzi różnej wartości i różnego wychowania, szerzył zasady uczciwości i godności, których wyrazem pozostaną piękne okólniki i pisma Rady Wykonawczej Towarzystwa kassy oszczędności w Zurichu, której był członkiem od r. 1865, a następnie Rady Przewodniczącej zjednoczonych towarzystw polskich w Szwajcaryi, do której powołało go ogólne zaufanie. Formował między emigracyą towarzystwa wzajemnej pomocy, zakładał czytelnie, nie opuścił żadnego posiedzenia i z miasta do miasta chodząc, utrzymywał w Szwajcaryi jedność moralną i organizacyjną Polaków, w obronie której stając przed wpływami koteryi i ambicyi, narobił sobie wielu nieprzyjaciół. To pewna jednak, że tylko niska złość i poziome dusze targać się śmiały na wysoki charakter Aleksandra Dubieckiego i na to życie, które go zrobiło najpiękniejszym, najgodniejszym reprezentantem młodej emigracyi. Chcąc słaby swój handel podeprzeć, dołączył do swoich towarów i papierosy, lecz i te nie poprawiły jego stanu finansowego, pozostał w niedostatku. Te ciągłe piesze pielgrzymki, dźwiganie po górach pudeł, nadwerężyły jego zdrowie, a do reszty je podkopały zmartwienia z powodu kolejnego upadania instytucyi, które pozakładał lub utrzymywał, a którego upadku przyczyną była lekkomyślność tych, dla których się poświęcał; przytém tęsknota za krajem, za rodziną, zostawił bowiem żonę i dzieci na Wołyniu, a brata miał w kopalni syberyjskiej. Smutny stan ojczyzny po upadku powstania, nie mało się także przyczynił do choroby piersiowej, jakiej padł ofiarą. Kaszlał, gorączka paliła mu usta, oczy wpadły, wysechł, ale nie miał czasu się leczyć, do ostatniego tchu pracował. Z handlem swoim pojechał w Poznańskie, gdzie go siły zupełnie opuściły i dalszej podróży nie mógł już odbywać. Wówczas jeden z jego serdecznych przyjaciół, zacny i szanowny potomek starożytnej rodziny, pojechał po niego do Poznania i zabrał z sobą do Krakowa, gdzie otoczony najczulszemi staraniami i opieką, w kilka dni po przybyciu, oddał Bogu spracowanego ducha 27 października 1868 r. licząc lat 42. Szczęśliwy, że przynajmniej w ojczystej ziemi pochowany.

A. G.

EJDRYGIEWICZ Józef, pochodzący z zacnej i szanowanej na Żmudzi rodziny, pracował w biurze sądu powiatowego w Poniewieżu; kiedy tam wybuchło powstanie 1831 roku, zaciągnął się jako ochotnik do formującego się w powiecie pułku jazdy i resztę kampanii odbył. Dostawszy się na wychodźtwo, uczył się naprzód prawa, a później medycyny w Montpellier, i przez kilka lat spełniał obowiązki lekarza przy szpitalach paryzkich; podczas grasującej tam cholery, odznaczył się wyłączną gorliwością. W 1850 r. osiadł w Montmorency, gdzie nauka i zacność zjednały mu poważanie. Zawodowi lekarskiemu oddawał się do końca. Umarł dnia 22 lipca 1868 r. spoczywa na cmentarzu w Montmorency, obok licznych już towarzyszy i ludzi prawdziwej narodowej zasługi.

FIJAŁKOWSKI Zefiryn, Jan, Cypryan, urodził się w Żelechowie, w województwie podlaskiém, dnia 10 lipca 1805 roku, z Ludwika i Joanny z Sypniewskich. Szkoły i uniwersytet odbył w Warszawie, gdzie 10 lutego 1830 roku otrzymał stopień magistra medycyny i chirurgii; w tymże miesiącu mianowany chirurgiem obwodu Radomskiego, pełnił ten obowiązek aż do listopadowego powstania. Po jego wybuchu, dnia 23 grudnia został lekarzem batalionowym przy szpitalu

w Warszawie, a dnia 6 lutego 1831 roku przeznaczony do tej kompanii lekkiej pieszej artyleryi, z nią całą kampanię przeciw Moskwie odbył i dnia 18 lipca posuniętym był na stopień sztab-lekarza. Znajdował się w bitwach: pod Grochowem, Białołęką, Wawrem, Sokołowem, Nadborami, Mińskiem, Topolowem i nareszcie przy oblężeniu Warszawy. Za okazywaną statecznie gorliwość w opatrywaniu chorych na placu boju i w czasie cholery, a także za waleczność nieraz dowiedzioną, ozdobiony krzyżem złotym *virtuti militari*, dnia 5 października razem z korpusem jenerała Rybińskiego przeszedł granicę pod Brodnicą i dostał się do Prus, zkąd w grudniu podążył do Francyi. Tu udał się do Montpellier, i zdawszy examen, dnia 27 sierpnia 1834 roku, otrzymał stopień doktora medycyny, poczém osiadł w Lunel, gdzie się ożenił z wdową Francuzką i poświęcił się zawodowi lekarskiemu, któremu był oddany aż do śmierci. W ciągu trzydziestu kilku lat praktyki medycznej, otrzymał kilka srebrnych i bronzowych medalów za gorliwe i bezinteresowne niesienie pomocy biednym, i ogólny w okolicy pozyskał szacunek. Szczerze kochając Ojczyznę, miłość tę i rodzinie swojej zaszczepić umiał; od chwili założenia Towarzystwa Podatkowego, był jego stałym i gorliwym członkiem. Strata dziewiętnasto letniego syna, na którym wielkie pokładał nadzieje, dała początek piersiowej słabości, z której już nie powstał. Umarł w Lunel, d. 4 czerwca 1868 r. Spoczywa na tamecznym cmentarzu.

GODEBSKI Józef Kalasanty, syn Cypryana legionisty i poety poległego pod Raszynem, urodził się 1803 r. w Warszawie; pierwsze nauki pobierał w konwikcie Piarów na Żoliborzu, później w Heidelbergu, gdzie słuchając wykładów geologii i fizyki u profesorów Leonharda i Gmelina, sposobił się na inżyniera górniczego. Za powrotem do kraju, zmuszony przez wielkiego ks. Konstantego do służby wojskowej, zaciągnął się do pułku grenadyerów; w kampanii 1831 r. podniesiony na stopień kapitana otrzymał krzyż *virtuti militari*. Dostawszy się na wychodźtwo, wszedł z wielu rodakami do wojska belgijskiego i dosłużył się w niém stopnia majora, jednak, w skutek usilnych nalegań rządu rossyjskiego, otrzymał dymissyą jako podpułkownik razem z jenerałem Skrzyneckim, Umińskim i Kruszewskim; wszakże nie opuścił Belgii, owszem, ożeniwszy się, stale tam osiadł. W 1863 r. oddawał usługi powstaniu, był członkiem komissyi broni, i niejedno spełnił polecenie ówczesnego Rządu Narodowego. Jeden z jego synów Emil, jako powstaniec dostawszy się do niewoli, w skutek długiego więzienia umarł. Godebski wydał w języku francuzkim geometryą do użytku wojskowych (*Géométrie du jalon*), która stała się książką elementarną w wojskowych szkołach belgijskich; pisywał też artykuły o sprawie polskiej do francuzkich i niemieckich dzienników, a miał prócz tego łatwość wierszowania. Dowcipny, prowadził humorystyczną korespondencyę z Antonim Goreckim i z Lelewelem, pod koniec jego życia; wydał humorystyczno-polityczną broszurę francuzką pod tytułem: *Ah! l'honnête homme*, która w swoim czasie miała pewien rozgłos w Belgii; w 1863 zaś roku, ogłosił jeszcze wierszem w Brukselli, *Chwilę zemsty*. Był wolnym mularzem do śmierci. Umarł w Brukselli, dnia 11 marca 1868 roku.

GORECKI Tadeusz, syn Antoniego i Weroniki z Ejdziatowiczów Goreckich, urodził się dnia 5 maja 1825 r. we wsi Dusieniaty około Wilna, miał więc lat sześć gdy ojciec poszedłszy do powstania 1831 r. zostawił młodą żonę z kilkorgiem

dzieci, aby jej więcej nie zobaczyć. Konfiskata majątku pozbawiła ją sposobu utrzymania siebie i rodziny, młodzi więc wcześnie rośli z tą myślą, że na własne tylko siły będą musieli rachować. Pierwsze lata spędzili w Wilnie, gdzie krewny ich, malarz Walenty Wańkowicz prędko wyraźną do rysunku zdolność odkrył w Tadeuszu, o którym prócz tego mówiono powszechnie : « że serce miał na dłoni » — tak kochającym, tkliwym a pociągającym dla wszystkich był chłopak o pięknėm czarnėm oku. W 1839 r., kazano matce odwieźć obu jej chłopców jako synów emigranta do wojskowego korpusu w Petersburgu. Starszy Ludwik obrał zawód wojskowy, i w kilka lat potém na Kaukazie umarł; Tadeusza za usilném staraniem przez wzgląd na słabsze siły, pozwolono zostawić w szkole sztuk pięknych, gdzie kolejno wszystkie nagrody i medale otrzymał. Sławny malarz Brulow który był jego profesorem, używał go nawet do pomocy w wielkich robotach swoich, zwłaszcza w malowaniu *al fresco* kopuły cerkwi ś. Izaaka. Ostatni medal złoty przyznany Goreckiemu za obraz przedstawiający obchód Wielkanocny, dawał mu według ustawy akademii prawo dwuletniego pobytu za granicą na koszcie rządowym. Mikołaj który sam miał do malarstwa pretensyą, kazał sobie przedstawić młodego artystę, i chcąc go zachęcić, zapytał, czegoby żądał w nagrodę? Nie jeden na jego miejscu, prosiłby o zwrót zabranego majątku. Tadeusz odpowiedział cesarzowi, że mając ojca na emigracyi, pragnie przedewszystkiém pozwolenia udania się do niego. Nie dawano wtenczas nikomu w Rossyi pasportu do Francyi; śmiała odpowiedź młodzieńca rozgniewała Mikołaja, odwrócił się, nic mu nie odpowiedziawszy, polecił jednak później dać mu pasport, ale karząc w nim potępiane przez siebie uczucia, kazał potrącać połowę zwykłej pensyi, niepoprawnemu synowi *buntowszczyka*. Odwiedziwszy ojca w Paryżu, Gorecki udał się do Hiszpanii, gdzie oprócz kopij z celniejszych arcydzieł, wykonał jeszcze oryginalny obraz : *Komunią umierającej*, który na wystawie w Madrycie głośne uzyskał pochwały. Wróciwszy do Petersburga, znalazł mistrza swojego Brulowa śmiertelnie już chorego, a ten nie mogąc dokonać prac przez akademią sztuk pięknych u niego zamówionych, wskazał Goreckiego jako najzdolniejszego ze swych uczniów. Wysłany w 1854 r. do Rzymu i Bolonii, w ostatniém tém mieście wykonał bardzo wysoko cenioną kopię obrazu ś. Cecylii Rafaela, którą to pracę nawet Pius IX zwiedzając Bolonię, na przedstawienie tamecznej akademii oglądać raczył, nie szczędząc pochwał i zachęty młodemu artyście. Po trzechletnim we Włoszech pobycie, przybył Tadeusz znowu do Paryża, dla odwiedzenia ojca, i tam poślubił starszą córkę Adama Mickiewicza, Maryę. Pojechał wtenczas z żoną na Litwę, do sióstr i matki, ale prędko wrócił znowu do Francyi, postanowiwszy osiąść w Paryżu, aby schorzałego już ojca otaczać synowskiém staraniem i miłością. Z obowiązku tego wywiązał się najszczytniej, z zupełném wylaniem starając się zaspokoić nietylko potrzeby, ale i zachcenia jego, a po śmierci ojca, przyjmując na siebie i starając się uczynić zadość wszelkim jego zobowiązaniom. Zawsze był człowiekiem głębokich uczuć rodzinnych i cichej cnoty, w prostocie spełniającym obywatelskie posługi, dzielącym się najchętniej z drugimi bez najmniejszego rozgłosu, najczęściej nawet w tajemnicy przed ludźmi. W sztuce, którą bardzo poważnie pojmował, z upodobania religijne obierał przedmioty, zostawił jednak kilka pomysłów do obrazów narodowej także treści, których żałował że wykonać nie mógł, między niemi : Matkę Polkę, ślub Jadwigi i Jagiełły, a także projekt illustracyj do *Pana Tadeusza* Wieś niezmiernie lubił, i już urządził sobie mieszkanie z pracownią w Melun

około Paryża, gdzie marzył że pośród rodziny, otoczony naturą, będzie mógł pracować, kiedy wróciwszy z ostatniej do kraju podróży w 1866 roku, która dłużej nad zamiar trwała, zapadł nagle na zdrowiu i już do sił nie wrócił. Umarł w Paryżu, dnia 31 stycznia 1868 roku, spoczywa obok ojca na cmentarzu Montmorency. Do główniejszych utworów jego pendzla należą: *Wnętrze luterskiego kościoła w Petersburgu*, (w galeryi hr. Benkendorffa), *Chłopiec przyprowadzający ślepego do wody święconej*, *Kosz z fruktami i kwiatami*, (u p. Żylwietra), *Syxtusowi V pasącemu trzodę, wróżka przepowiada że będzie papieżem*, (u jła Dubelta), *Spowiedź młodej Litwinki*, (w gal. Ermitażu w Petersburgu; replika tego obrazu u p. Kuzniecowa), *Syn marnotrawny*, (u jła Dubelta), *Obrządek wielkanocny*, (w gabinecie cesarskim w Petersburgu), *Komunia umierającéj*, (grupa z tegoż obrazu w galeryi Raczyńskiego w Berlinie), *Madonna del Carmen*, (u p. Coloma w Ameryce), *Wnętrze Alhambry*, (u cesarza w Petersburgu), *Sala sprawiedliwości w Alhambrze*, (w Anglii), *Sala dwóch sióstr w Alhambrze*, (u p. Magazyńskiego), *Dziewczyna czytająca list od kochanka*, (u jła Dubelta), *Junonie przynoszą małego Herkulesa*, *Pielgrzymi przybywający do Rzymu*, (u p. Narbutta, replika u p. Dłużniewskiego), *Głowa Chrystusa Pana*, (u p. Szadurskiego), *S. Antoni. Ś, Kazimierz*, *Ukrzyżowanie*, (w kościele OO. Dominikanów w Petersburgu, replika u p. Pietkiewicza), *Ś. Dominik przyjmujący różaniec od Najświętszej Panny*, (w kościele OO. Dominikanów w Petersburgu, replika u p. Pietkiewicza), *Chrystus na górze Oliwnej*, *Mnich modlący się*, portrety księży metropolitów: *Dmóchowskiego*, *Hołowińskiego i Żylińskiego*, i biskupów: *Borowskiego i Wołonczewskiego*, (w rzymsko-katolickiej Akademii w Petersburgu), *Ś. Kazimierz* w szkole polskiej na Batignolles. Prócz tego wiele portretów i kilka kopij z Rafaela, Ribery, Sebastiana del Piombo. Z tych ostatnich najwięcej cenione: *Ś. Cecylia* Rafaela, znajdująca się w akademi sztuk pięknych w Petersburgu i *Madonna* Rafaela, znana pod imieniem *pięknej ogrodniczki*, której oryginał jest w Luwrze.

GÓRSKI Kasper, rodem z okolic Warszawy, po wybuchu listopadowego powstania, zaciągnął się do wojska i odbył jako żołnierz całą kampanię. Wyszedłszy za granicę, dostał się do Francyi i trudnił się introligatorstwem. Umarł w Beaumont-Rogé, w czerwcu 1868 roku.

HEBDA Stanisław urodził się d. 4 września 1808 r. w obwodzie Wadowickim, w okolicach Krakowa, z matki Petroneli z Płacheckich i ojca Karola. Nauki pobierał w Krakowie, aplikacyę urzędową rozpoczął na komorze celnej w Mysłowicach, wkrótce jednak przeniósł się do Komissyi Skarbu. Obdarzony umysłem ciekawym i pilnym, Hebda w początkach już swojego urzędowania zwracał na siebie uwagę przełożonych; umiejętności też i biegłości swojej, a nie żadnym innym względom zawdzięczał podnoszenie się na coraz wyższe stopnie urzędu. W 1856 r. mianowany naczelnikiem sekcyi buchalteryi w wydziale kontroli komissyi skarbu, pozostał na tym urzędzie do połowy 1863 roku, pełniąc swój obowiązek zawsze gorliwie, sumiennie i ściśle. Wypadki 1863 r. zastały go jak i głównego kassyera Stanisława Janowskiego przy straży skarbu publicznego. Powstał Rząd Narodowy, który kierując ówczesnemi usiłowaniami narodu, w dobrowolném uznaniu całego kraju i w chętném posłuszeństwie wszystkich legalność swą znalazł. Wystąpił on jako mający prawo do majątku publicznego, będącego własnością nie rządu mo-

skiewskiego ale samego kraju, i zażądał wydania sobie tych funduszów. Tak zapatrując się na skarb ich straży poruczony, Hebda i Janowski nie zawahali się, o jedno troszczyli się tylko, żeby ich za to żadne nie spotkało wynagrodzenie, żeby zawsze mogli pozostać ludźmi czystymi, których niepodobna było kupić, ale którzy temu co uznali za obowiązek, gotowi byli przynieść wszystko w ofierze. Każdy z nich miał już pozycyę, zdobytą długiém pracowitém życiem; Janowskiemu brakowało półtora roku do zupełnej 12,000 zł. wynoszącej emerytury, Hebda w bardzo krótkim też czasie miał otrzymać podobnąż 9,000 ną emeryturę; mieli prócz tego własne majątki, z których należący do Janowskiego był znaczny, dochodził bowiem miliona, co więcej, mieli obydwa rodziny. W obec tego wszystkiego, chodziło im o to tylko, aby skarbu publicznego nie oddali w żadne ręce prywatne, ale tylko i jedynie Rządowi Narodowemu, aby go do kassy narodowej, w zupełności przelali i sami dla siebie nic za to nie dostali. Gdy im to zapewnione zostało, i Rząd od siebie wyznaczył delegata dla przyjęcia skarbu, oddali go narodowej władzy, a sami poszli na tułactwo. Summy wynosiły 24 miliony złotych polskich, z których cztery miliony było w monecie, a dwadzieścia w papierach Towarzystwa kredytowego. Należeli do tego jeszcze woźni : Bieliński, Mateusz Tyszkowski i Koltunowski, którzy wszyscy osoby swoje w ofierze przynieśli; ostatni z nich, nie mogąc ujść za granicę, a wiedząc co go od rządu rossyjskiego czeka, lękając się, aby pod śledztwem kogo jeszcze nie wydał, odebrał sobie życie, żyły w ciepłej otworzywszy wannie. Hebda z Janowskim zabrawszy z sobą rodziny, zdołali dostać się do Paryża i tu w niedostatku, bez skargi i szemrania, pędzili dalej cichy swój żywot. Hebda był kontrolerem, a później i archiwistą utworzonej tu Komissyi długu narodowego. Żona jego, Joanna z Ligockich i córka dzieliły los jego, a nikt w tej rodzinie nie poskarżył się, nikt nie żałował poświęcenia, a także w prostocie serca nie szukał nawet chluby z tyle zaszczytnego ubóstwa. Codzień w południe można było widzieć w bibliotece szkoły batignolskiej szczupłą postawę i siwą głowę Hebdy pochyloną nad książkami, lub gazetami, które czytać lubił. Zajmował go każdy objaw polskiego życia, a przejęty zasadami 1861-63 r., które się na polu równouprawnienia najdobitniej wyraziły, był rzec można bratem dla każdego; należał do liczby tych, którzy sercem obejmują wszystkich, pomimo różnic społecznych, politycznych i religijnych. Patrząc na jego pogodne oblicze i słysząc skromne jego słowo, rokowano mu długie jeszcze życie; tymczasem pod uśmiechem krył się ból, w sercu rozwijały się skutki nostalgii. Choroba ta rzuciła go na łoże, z którego już nie powstał. Umarł 10 kwietnia 1868 r. a liczny orszak współpielgrzymów jaki odprowadzał jego zwłoki na cmentarz Montmartre, był tylko słabém świadectwem powszechnego szacunku jakiego używał.

HOFFMANN Karol, urodzony w województwie Augustowskiém 1814 roku; straciwszy w młodym wieku rodziców, za poradą stryja swego, Jana Hoffmanna, ówczas pułkownika wojsk polskich, wszedł do szkoły podchorążych, a ukończywszy ją, jako porucznik piechoty liniowej odbył kampanią 1831 r. i krzyżem *virtuti militari* ozdobiony został. Po upadku powstania wraz z bratem Teofilem także wojskowym (zmarłym w Brukselii 1858 r.) wyszedł za granicę, a dostawszy się do południowej Francyi, w Marsylii osiadł. Tam w 1836 r. rozpoczął służbę przy inżynierze Montricher, kopiącym wtenczas kanał marsylski. Poznawszy jego uczciwość, Montricher zrobił go podskarbim całej administracyi kanału. Jest ogólnym

we Francyi zwyczajem, że każdy kassyer obejmując swój obowiązek summę pewną i zazwyczaj dość znaczną, jako kaucyą składa. Hoffmann nic nie posiadał, Montricher jednak powierzył mu kassę liczącą setki tysięcy. Gdy dokończywszy kanału, otoczony powszechném poważaniem umierał, zapytał go przyjaciel a wówczas prefekt Marsylii, czy nie miałby jakich poleceń? « Jeżeliś mój przyjaciel, powiedział, zostaw Hoffmanna podskarbim. » Stało się jak żądał Montricher, i ubogi emigrant jeszcze przez lat piętnaście miał w ręku fundusze całej administracyi. Dopiero kiedy w 1864 r. zapragnął emerytury, postrzeżono ze zdziwieniem, że jedyną z jego strony kaucyą, było sumienie. Nikomu pierwéj przez myśl nie przeszło zapytać o to, tak powszechnie znaną była nieskazitelność jego charakteru, tak szanowaną jego cicha cnota. Przez lat blizko trzydzieści był jedynym w całej Francyi kassyerem bez kaucyi, dzięki tylko poszanowaniu jakie zdobył wśród obcej społeczności. Umarł bogobojnie w Marsylii d. 16 września 1868 r. spoczywa na tamecznym cmentarzu.

JANOWSKI Apolinary, urodził się 1802 r. na Wołyniu, w powiecie Włodzimirskim; dziad jego był szambelanem Stanisława Augusta i Tykocińskim starostą, rodzicom została tylko wieś Kołpytówka, w której Apolinary przyszedł na świat. Zaciągnąwszy się wcześnie (1818 r.) do wojska rossyjskiego, służył w pułku wołyńskim piechoty liniowej i w 1829 awansowany był na chorążego. Gdy wybuchło listopadowe powstanie czekał tylko sposobności połączenia się z rodakami i w bitwie pod Grochowem, d. 25 lutego 1831 przeszedł do bratnich szeregów. Zapisany do legii litewsko-ruskiej z nią odbył kampanię i na stopień podporucznika podniesiony został. Dostawszy się na wychodźtwo, ożenił się we Francyi, a przez ostatnich lat kilkanaście pełnił skromny obowiązek odźwiernego przy szkole batignolskiej, pilnując w niej polskich dzieci. Postawę żołnierską zachował do końca, a za uczciwość swoją był szanowany. Umarł nagle d. 16 października 1868 r. Spoczywa na cmentarzu Montmartre.

JURJEWICZ Antoni, urodził się na Ukrainie w powiecie Wasilkowskim. Uczęszczał na wydział filologiczny w Kijowskim uniwersytecie, w tych latach poprzedzających powstanie 1863 roku, kiedy w młodzieży tamecznej, rozbudzone życie najsilniejszém biło tętnem i kiedy ta w braku doświadczonych i powszechnie poważanych przywódzców, sama niestety gotowała się wystąpić czynnie i dalszy kierunek sprawy narodowej we własne ująć dłonie. Jurjewicz wśród kolegów uzyskał wpływ przeważny; tak widocznie górować musiał nad innymi charakterem, że choć bardzo jeszcze młody, bo zaledwo dwadzieścia wiosen liczył, już był duszą wszystkich tam prac młodzieńczych, a kiedy zawiązano stosunki z Komitetem Centralnym w Warszawie i powstał tajny Zarząd Rusi, *Wydziałem* tamtych prowincyj nazywany, on stałym był jego członkiem, i ilekroć sam dobrowolnie usuwał się, ustępując miejsca starszym i bardziej doświadczonym, zawsze rwało się wszystko i on znowu na swe stanowisko powracać musiał. Posiadał nieograniczone zaufanie, miłość i szacunek kolegów, a miał też w duszy dziwne skarby poświęcenia i energii. Nadszedł dzień 22gi stycznia, wydano w Warszawie hasło powstania. Ukraina miała w niém wziąść udział. Wydział tameczny, jak później sam świadczył Jurjewicz, rachował w tej prowincyi zaledwo na 2400 ludzi mających stanąć pod bronią i dla tego ociągano się z wybuchem, ale nareszcie młodzież

ufna, że własném ciepłem massy całe rozgrzeje i poświęceniem za sobą pociągnie, postanowiła wyruszyć. Wybrano na to noc z 8go na 9ty maja 1863 roku. Chciano z Kijowa udać się w lasy Radomyślskiego powiatu, dla połączenia się z powstańcami; ale między młodzieżą znalazło się jeszcze grono, które inną obrało drogę. Nie myśląc o zasłonie lasów, postanowili po szerokich równinach Ukrainy, od sioła do sioła roznosić ludowi tak zwaną *złotą hramotę*, zawierającą w sobie równouprawnienie i akt uwłaszczenia. Jurjewicz był naturalnie w tej liczbie. Na dwóch wozach, mając pomiędzy swoimi trzech jeżdzców, ci *utrapieńcy* jak sami siebie przezwali, szczęśliwie ominęli straże i na popasie za wsią Pleseckiem obrali Jurjewicza swym wodzem. Rozpoczęła się krótka, bo zaledwo dni kilka trwająca, dziwna, niesłychana, w oczach rozsądku szalona, ofiarnością swoją święta epopea, w której młodzieńcy oddali krew swoją na okup lepszej dla narodu całego przyszłości. Wiedząc o gotujących się wypadkach i lękając się, aby lud poruszyć się nie dał, rząd moskiewski przez swoich wysłańców wmawiał mu, że powstanie wywołała szlachta dla przywrócenia napowrót pańszczyzny; wojska były w pobliżu, lud czuł nad sobą całą potęgę rządu, a garstki powstańców nie dawały mu żadnej rękojmi siły; młodzieńcy wiedzieli że zginą, szli też na ofiarę, ze świadomością zupełną. W Motowidłówce nad Słuhną przeczytali zgromadzonej ludności hramotę i egzemplarz jej zostawili; za tą wsią spotkawszy konne gromady okolicznych włościan, przemówili do nich i znaleźli jeżeli nie zupełne zrozumienie, to przynajmniej przychylność; dalej w Fastówce już obojętność, choć i tam hramoty wysłuchano i przyjęto ją. Tu miał się z nimi spotkać oddział powstańców z okolic Białocerkwi, ale ta nadzieja zawiodła, bo oddział był już rozbity; ruszyli więc dalej sami. Mosty na drogach były pozrywane, przekopane groble; dostali się do miasteczka Fastowa, a przeszedłszy je, musieli zwrócić się w stronę Radomyślskiego powiatu, bo wozy połamane służyć im dalej nie mogły, a piesza wędrówka wycieńczała siły. Tak przybyli do wsi Sołowjówki sławnej z hajdamackiego usposobienia mieszkańców. Otoczyła zaraz naszą garstkę ludność miejscowa, i uzbrojona przez Moskali po kosyniersku milicya. Młodzieńcy, z których jeden zaledwo 15 lat liczył, a wielu ze znużenia stojąc zasypiało, tłumaczyli ludowi cel powstania, czytali przyniesioną hramotę, ale już żadnego nie znajdowali posłuchu; czuli, że nieprzyjazny żywioł ich otacza. Coraz bardziej się tłum wzmagał i rosło niebezpieczeństwo; ale byli uzbrojeni i nikt rzucić się na nich nie ośmielał. Jeden odezwał się wtenczas, że można przebić się przez tłum i tym sposobem ocalić. « Nie, odrzekł Jurjewicz, my zginiemy, ale tradycya po nas zostanie, » i aby dowieść ludowi, że tylko z Moskwą za jego wolność chcą walczyć, a kropli krwi bratniej nawet w obronie własnej nie przeleją, młodzieńcy złożyli broń na wozie, a sami z rewolwerami tylko weszli do chaty, gdzie mieli czekać na przybycie Moskali. Wysłańcy rządowi tymczasem namawiali lud, aby się na powstańców rzucił; jeden z nich wystrzelił; na wywołanych przez to z chaty młodzieńców, rzucili się włościanie; żaden z nich się nie bronił, jedenastu pod razami w mękach skonało, dziesięciu na pół umarłych, pokaleczonych, wyrwali z rąk ich kozacy; był między nimi i nasz Jurjewicz. Przywieziony zrazu do Żytomierza, potém do Kijowa, i osadzony w więzieniu, po kilkomiesięczném śledztwie, gdy innych na Sybir wysyłano, on jako przywódzca, na śmierć osądzonym został.

Nim przyszło do wykonania wyroku, Jurjewicz, któremu młodość powróciła siły, pomimo strasznego poranienia, postanowił wydobyć się na wolność, a nie

mając innego sposobu, umyślił z kilku towarzyszami urządzić przekop z więzienia. Koledzy jego mieli komunikacye z przyjaciołmi w mieście, ci pomagali i dostarczyli narzędzi. Schowany pod podłogą, kiedy straż więzienna myślała że uciekł, pracował on wraz z innymi nad przekopem, którym ujść spodziewał się. Nic jego wytrwałości złamać nie potrafiło, i po sześciu miesiącach spędzonych pod ziemią, miał się wydobyć na świat Boży. Niebezpieczeństwo było wielkie do końca; wyjście przekopu wypadło w miejscu, około którego stał szyldwach; przed samym końcem roboty, pies jakiś zwietrzył pracującego pod ziemią człowieka, i sam to miejsce rozkopywać zaczął, ale szczęśliwie zapobieżono wszystkiemu; przechowany przez pierwszych dni kilka w Kijowie, dostał się później do Konstantynopola, zkąd przybył nareszcie do Paryża.

Znalazłszy się na wychodźtwie, utrzymywał się zrazu z przepisywania w biurze kolei żelaznej; gdy otrzymał stały choć szczupły zasiłek, przeniósł się do Brukselli, gdzie uczęszczał na kursa uniwersyteckie historyi i filozofii, chcąc dokończyć przerwane w Kijowie nauki. Pisywał artykuły do rozmaitych pism emigracyjnych; w 1865 r. był stałym korespondentem wydawanej przez Agatona Gillera w Bendlikonie *Ojczyzny*, i w odcinku jej umieścił obszerniejszą nieco pracę p. t. *Kilka mogił ukraińskich*. Oddany nauce, która mozolniej szła teraz, bo z powodu ran w głowę pod Sołowjówką otrzymanych, osłabła mu pamięć, prowadził życie odosobnione, mało kogo widując; dni uroczyste i świąteczne, w zupełnej samotności przepędzał; wpływ jednak na współtowarzyszów wychodztwa zawsze wywierał. Jego staraniem powstało w Brukselli między młodzieżą Towarzystwo wzajemnej pomocy, którego przez czas jakiś był prezesem, a później jednym z najgorliwszych członków. Praca i twarde życie jakie prowadził, zaledwo mając środki na opędzenie najgwałtowniejszych potrzeb, wycieńczyły do reszty nadwerężone już bardzo siły; postrzegł, że naukom dalej poświęcać się nie może, wrócił do Paryża z zamiarem szukania zajęcia, któreby mu środki do życia zapewniło. Nie umiejący prosić nikogo za sobą, znaleźć go nie potrafił, a tymczasem rozwinęła się choroba; nie dobrze wyleczone rany wymagały operacyi; w skutek niej umarł d. 15 marca 1868 roku. Spoczywa w Paryżu, na cmentarzu la Chapelle, ale imię jego pozostanie przywiązaném do tej mogiły pod Sołowjówką, która wymowniej od wszelkich aktów pisanych, bo głosem krwi ofiarnej, przemawiać będzie do ukraińskiego ludu.

KARPIŃSKI Feliks, rodem z Litwy, po powstaniu 1831 roku dostawszy się za granicę, pierwsze lata wychodźtwa spędził we Francyi; w 1848 r. na wieść o zaszłych w Austryi wypadkach pośpieszył do Krakowa, ale ze zmianą tam stosunków, przez władze austryackie odesłany do Afryki, osiadł w Algierze, gdzie się ożenił i jako białoskórnik z profesyi pracował w fabryce skór, zarabiając tym sposobem na życie. Umarł w Algierze dnia 28 września 1868 roku.

KASZYC Józef, pochodził z zamożnej litewskiej rodziny. Szczegóły o niej z drugiej połowy XVIII wieku, spisane według opowiadań majora Kopcia, dajemy tutaj, jako przyczynek do smutnego obrazu życia i obyczajów naszych w epoce rozbiorowej, w której coraz bardziej rozpatrywać się dzisiaj zaczynamy; służyć też one mogą za wstęp do żywota naszego ś. p. Józefa i tak postawione, powinny być dla nas otuchą, wskazując jak wśród ciężkich prób i narodowej pokuty uszlachetniają się i te rodziny nasze, które zawiniły dawniej. Sam Kopeć był charakterystyczną

postacią owych czasów; starszy brat jenerała znanego z bitwy maciejowickiej i z długiego do Kamczatki wygnania, był przez lat wiele dworzaninem Kaszyców; gdzie dosłużył się stopnia majora, nikt o tém wprawdzie nie wiedział, ale tak go tytułowała szlachta, dowodził zaś długi czas nadworną kompanią husarzy i dragonów u Kaszyców, a rozstawszy się z nimi osiadł w Nowogródzkiém, w małej wioszczynie którą nazwał *Kochaniem*, i tam przyjmował i raczył braci szlachtę. Na bramie jego dworku napis : « Przechodniu', ktobyś nie był zajdź do Kochania » świadczył wymownie o otwartém dla gości sercu gospodarza, a pokryta szramami łysina i otaczające potężny jego nos blizny wskazywały, że za młodu ochoczy bywał do korda. Wesoły i uprzejmy, gdy mu kto z przyjaciół wskazując na łeb pokiereszowany ośmielił się zrobić uwagę, że nie zawsze szczęśliwie wychodził z walki, zwykł był odpowiadać : « jak sobie chcę, dobrze nam z tém, » i stało się to jego przysłowiem. Był kroniką żyjącą miejscowych rodzin i całego województwa.

Otóż według słów jego, rodzina Kaszyców w połowie XVIII wieku składała się z dwóch braci : starszy Józef, towarzysz, a później rotmistrz w Piatyhorskiej brygadzie, wielu urzędami w obywatelstwie zaszczycony, poseł na kilku niefortunnych owego czasu sejmach, starosta Czudziański, dziedzic na Jatrze, Żelaźnicy, Babiej-Górze, Gemianach, Pagajzie, Porochowie, Masimowie, Starej-Myszy, Starzynkach, Horyniu i Wierzejszczyznie, w Inflantach, na Rusi i w województwie Nowogródzkiém położonych, i młodszy Fabian, podstarości Orszański, dziedzic Ciechowy w Słuckiém, Zabłocia, Pyszny, Smerca, w Inflantach, szambelan na dworze Augusta III, zaszczycány jego łaską. Pan starosta czudziański, z pierwszej żony Ewy Bohdanowiczówny, miał dwoch synów : Kazimierza i Michała, ale w podeszłym już wieku zawarł powtórne śluby z Katarzyną z Kościelska księżniczką Puzynianką, i w 1776 r. doczekał się jeszcze nowego potomka, Januarego. Najstarszy syn Kazimierz, burzliwego z natury charakteru, mało sposobny do nauk, o które wtenczas niewiele dbano, bawił się jedynie ujeżdżaniem dzikich koni i łowami, a młoda macocha uzyskawszy zupełny wpływ nad umysłem starosty, mniej dla pasierbów życzliwa, korzystała z ciągłego junactwa Kazimierza, aby mu serce ojcowskie odebrać, a przez to znaczniejszy spadek własnemu zapewnić dziecku. Umyślił starosta ożenić nareszcie hulaszczego syna, ale gdy temu upatrzona przez ojca partya nie bardzo się podobała, i związków tych sobie nie życzył, już dla samego stateczniejszego żywota jakiby pociągały za sobą, nieposłuszeństwo takie do reszty go zniecierpliwiło, i stał się dla syna zupełnie obojętnym. Ten, widząc to, nie opowiedziawszy się ojcu, tajemnie ruszył na Ukrainę, która oddawna była polem dla awanturniczych i pełnych fantazyi umysłów. Przybywszy tam, poznał się z niedostatnim szlachcicem Buczyńskim, we wsi Zdżitowie i pokochał się w jego córce Antoninie. Jako staroście, dobrze był widziany od panny, ale szlachcic niedowierzający opowiadaniom Kazimierza, nim na ślub zezwolił, chciał się sam pierwej przekonać o stanie jego fortuny, i niedługo myśląc, dosiadłszy konia, w towarzystwie jednego tylko kozaka, udał się w Nowogródzkie; dowiedziawszy się na miejscu że młody konkurent mniej mu był nawet o majątku ojca opowiadał niż było w istocie, pędem wrócił na Ukrainę i żądanego błogosławieństwa córce swej udzielił. Po zawartym ślubie, przyszło Kazimierzowi starać się o przebłaganie ojca i uzyskanie od niego jakiejkolwiek pomocy. List szedł za listem, z prośbą aby starosta choć cząstkę matczynego wiana raczył synowi przeznaczyć; ale wszystkie one zostały bez odpowiedzi, a wkrótce nadeszła wiadomość

o śmierci starosty, który brata swojego Fabiana naznaczył opiekunem małoletnich synów, testamentem zaś całe swe mienie Januaremu przekazał; najmniejszych nie zostało śladów posagu pierwszej jego żony. Na wieść o śmierci ojca, Kazimierz z żoną przyjechał w Nowogródzkie dopominać się należącego mu się spadku, a dowiedziawszy się że mu nic prócz procesu nie pozostało, powierzył swą sprawę trybunałom i sądom. Walka była nierówną, bo z jednej strony stawał możny starosta, mający wziętość w obywatelstwie, z drugiej, mało komu znany awanturnik, przybywający z Ukrainy, a staraniem macochy już za gorszego niźli był w istocie, okrzyczany. Pomimo to jednak, wypadł wyrok, nakazujący równy pomiędzy trzech synów podział majątku zmarłego starosty. Ale w owych czasach rozprzężenia wszystkiego, wyrok nie był jeszcze wygraną; trzeba go było wykonać, a władzy do tego nie miano w kraju żadnej, sądy zostawiały to stronom, które zazwyczaj uciekały się jeszcze do zajazdów.Odważny i hulaszczy Kazimierz, mający sprawiedliwość za sobą, łatwo znajdował stronników między liczną zaściankową szlachtą nowogródzką,i z jej pomocą zajeżdżał kolejno to jednę to drugą majętność pod zarządem stryja, opiekuna jego braci, zostającą, a odpierany często przez zbrojne sługi i pachołków jatrzańskiego dworu, rok cały prowadził te tłumne utarczki, rozmaitém przeplatane szczęściem. Zniecierpliwiony nareszcie stryj, widząc że się rozwiązania sprawy nie doczeka na drodze codziennych ubijatyk, uciekł się do fortelu; oświadczył synowcowi, że się przychyla ku zgodzie, i dzień 9 stycznia 1781 roku, na zjazd z nim w Nowogródku przeznacza. Wezwanie to znalazło Kazimierza w Połonce; nic domyślając się żadnego podstępu, uszczęśliwiony z obrotu sprawy, spisał z żoną dokument na przeżycie, i pełen najlepszej otuchy, stanął jeszcze przed terminem, bo 4 stycznia w Nowogródku. Pan starosta smorecki przybył też na dzień naznaczony, ale jakie były jego zamiary, tego nikt ani wtenczas, ani potém nie wiedział; w rodzaju manifestu jaki później w tej sprawie wydał, oświadczał, że chciał pojmanego Kazimierza do króla zawieść i prosić go o danie mu satysfakcyi, za wyrządzone przez synowca zniewagi. Dosyć, że zaledwie Kazimierz wszedł do mieszkania stryja i z rozczuleniem witać go zaczął, otoczony przez sługi starosty utrzymujące że na życie jego nastawał, związanym przez nich został, i w takim stanie, w zamkniętym powozie wywieziony natychmiast z Nowogródka. Straż nad więźniem powierzył p. Fabian dworzaninowi swojemu Józefowi Kołpysze, dwóm Siemioradzkim, kamerdynerowi Kozłowskiemu i Maxymowi kucharzowi. Sam we dwie godziny później z resztą dworu wyruszył; na końcu licznych jego pojazdów szła i kolaska Kazimierza, na ten raz pusta. W Nowogródku rozpuszczono pogłoskę, że się stryj z synowcem pojednał, i że ten ostatni na polowanie do dóbr jego na Białorusi leżących pojechał. Tymczasem Kazimierz w zamkniętym powozie, z ustami zakneblowanemi do Korelicz wieziony, w drodze udusił się; napół pijani słudzy, gdy przypomniawszy sobie więźnia, do powozu nareszcie zajrzeli, znaleźli już trupa. Nadjechał starosta, i wytłumaczył im, że oni jedni za to morderstwo odpowiadać będą przed sądem, że więc ich interesem jest ukryć je najstaranniej. Za jego radą, powóz zwrócił się ku Niemnowi, a ciało pod Mikołajewem rzucono do rzeki. Ranną wiosną, woda wyrzuciła na brzeg trupa ze złotą na palcu obrączką, którą rybacy w sąsiedniej karczmie żydowi za wódkę sprzedali. Żona Kazimierza oszukana zrazu wieścią o zgodzie męża jej ze stryjem i wspólnym ich na Białoruś wyjeździe, nie doczekawszy się ani jego powrotu ani żadnej o nim wieści, gdy opinia publiczna oskarżała starostę o morder-

stwo synowca a w topielcu widziała jego ofiarę, pozwała Fabiana Kaszyca przed trybunał, ale dowodów przekonywających nie znaleziono, karczmarz w Mikołajewie oświadczył, że jakiś pan przejeżdżający kupił u niego pozostałą po topielcu obrączkę, a ciało pogrzebane znikło z miejscowego cmentarza. Wdowa widząc że sprawiedliwości nie otrzyma, wróciła na Ukrainę, do ojca. Sprawa staraniem starosty ucichła zupełnie, a ten, chcąc usunąć z przed oczu Nowogródzian wszystko coby ją przypominać im mogło, młodszego brata Kazimierza, Michała, będącego wtenczas w szkołach tamecznych, wysłał do Puczyn, majętności w błotach pińskich położonej, gdzie łatwo mógł być zapomniany przez wszystkich. Nie długo jednak cieszył się tak uzyskanym spokojem. Opinia ogólna nie mogła się uciszyć, i znalazł się głos wymowny, który odezwał się za sprawiedliwością. Zjechał do Grodna na reassumpcyą trybunału, jenerał ziem podolskich, książe Adam Czartoryski, a sprawa Kaszyca na nowo przed sąd wniesioną została. Znany dobrze Czartoryskiemu z Puław jeszcze, Franciszek Karpiński, napisał wiersz : *Głos zabitego do sądu*, jeden z najpiękniejszych jakie wyszły z jego pióra. Wiersz ten, siedzącym na namowie sędziom, przez deputata kowieńskiego Kossakowskiego rozdany, wstrząsnął sumieniem tych nawet, którzy winowajcy bezkarność byli przyrzekli. Zabrano się do najściślejszego przejrzenia sprawy, a pociągnięci do odpowiedzialności dworzanie starosty, wszystko przed sądem wyznali. Fabian Kaszyc skazanym został na kilka lat wieży *in fundo*. Nie czekał jednak wyroku, i wiedząc że sprawa źle się skończy, wcześnie wyniósł się za granicę, gdzie lat kilka przepędził, aż póki mu kanclerz Joachim Chreptowicz któremu 20,000 czerwonych złotych pożyczył, nie wyrobił listu żelaznego od króla. Wtenczas powrócił; ogólne nieszczęścia krajowe zatarły pamięć zbrodni, i żył spokojnie w Ciechowie aż do śmierci, która 1807 r. nastąpiła.

Ulubiony tymczasem synowiec jego January, w 1788 r., mając lat jedenaście oddany pod opiekę jenerała Jasińskiego, i zaliczony do korpusu kadetów, w 1794 r. pomimo młodocianego wieku, otrzymał rangę pułkownika w pułku lekkiej jazdy litewskiej. Stawszy się po dojściu do pełnoletności dziedzicem całej ojcowskiej fortuny, osiadł on w Jatrze (w Nowogródzkiém) i tam prowadził życie jak nazywał militarne, ale właściwie rozpustne, jakie w tych strasznych czasach, zaraz po upadku Ojczyzny, było niestety w modzie. Miał dwie nadworne kompanie husarzy i dragonów, któremi dowodził wspomniany wyżej major Kopeć, i które kolejno zaciągając wartę we dworze, towarzyszyły pułkownikowi we wszystkich jego wycieczkach; bawił się często ich musztrą, najwięcej jednak czasu poświęcał swoim sułtankom, które po rozmaitych folwarkach do Jatry należących poosadzawszy, codzień poszóstną karetę po jednę z nich posyłał; resztę godzin bezrządnego życia zajmowały mu karty i uczty z dostatniejszymi sąsiadami. Przyrodni brat jego Michał, o którym mówiliśmy że wysłanym był przez stryja do Puczyn, ożenił się tymczasem z Różą Kieniewiczówną, a sprzedawszy pińskie folwarki swoje za stokilkadziesiąt tysięcy złotych jenerałowi Ciechanowieckiemu i wielkiemu na Litwie prawnikowi Michałowi Radziszewskiemu, umarł w 1797 r. zostawiając małoletnich dwóch synów, Jana i naszego Józefa. January starszego synowca sprowadził do Jatry, młodszego Józefa powierzył Dominikanom nowogródzkim. Pobyt u stryja nie wyszedł na dobre młodemu Janowi; biorąc przykład z jego życia, sam podobne zaczął prowadzić, a polubiwszy karty, jednej nocy wszystko co mu się po ojcu dostało przegrał kasztelanowi Rdultowskiemu, i z rozpaczy zaciągnąwszy się na

szeregowca do wojska moskiewskiego, w kilka miesięcy później od własnego konia zabitym został. January za poradą towarzyszy pomyślił w końcu o żonie i poślubił pannę Niezabitowskę, której matka *secundo voto* wyszła za jenerała Zabiellę; gdy zaś ta, nie mogąc znieść codziennych zniewag i upokorzenia, w parę miesięcy po ślubie pomięszania zmysłów dostała, a w rok później umarła, wrócił do dawnego życia, i przeniósł je z sobą do Ciechowy, która mu się po śmierci stryja Fabiana 1807 roku dostała. Tam do reszty zużywszy w rozpuście siły, w 1810 roku do Wilna odwiezionym został, dla szukania ratunku u tamecznych lekarzy. Towarzyszył mu w tej podróży stały zdrożnego życia powiernik, Wincenty Eudziuchiewicz: ten dowiedziawszy się że dla chorego żadnego już nie było ratunku, umyślił z położenia swojego skorzystać, i nietylko gotowe pieniądze zabrać, ale jeszcze testament umierającego na swoję korzyść zfałszować. Na nieszczęście znalazł pomocników w ludziach rozmaitych, i ogólne mających poszanowanie, którzy widząc własną w tém korzyść, bo i dla nich w takim sposobem utworzonym testamencie, rozmaite zapewniano legata, nie wahali się do tak niecnej roboty przyłożyć ręki. Umarł January, a Józefowi który był jedynym prawnym jego dziedzicem dostawała się tylko część spadku.

Młody Józef, urodzony w Żółkieniach, w Pińszczyznie, 1795 roku był wtenczas jakeśmy widzieli u księży Dominikanów w Nowogródku. Chociaż niepełnoletni, za poradą przyjaciół przyjeżdża do Wilna, staje przed sądem i żąda dla siebie opiekunów. Jeden z nich Franciszek Pilecki w imieniu małoletniego pozywa mniemanych sukcesorów o skasowanie testamentu, i drogą ugody uzyskuje od nich 450,000 złotych; a ugoda ta, według prawa, po dojściu Józefa do pełnoletności mogła być obaloną, gdyby ją za krzywdzącą dla siebie uznał. Dziedzic takich przodków, miał w swojej rodzinie rozpocząć ten żywot pokuty, poświęcenia i pracy, jakim pokolenia całe powołane są okupić swawolę ostatnich czasów i rozprzężenie Rzeczypospolitej.

W 1811 r. wysłany do uniwersytetu wileńskiego, uczęszczać zaczął na wydział matematyczny, ale już po roku tych nauk, za wejściem wojsk francuzkich do Wilna, porzucił je, i jako ochotnik zaciągnął się do 17go pułku ułanów polskich. Pułk ten następnie otrzymał numer 19ty, a dowodził nim Konstanty-Dunin Rajecki, należał zaś do dywizyi jenerała Lallemand, 13go korpusu pod marszałkiem d'Eckmühl, mającym wtenczas główną kwaterę w Hamburgu; ułani stali w Lubece. Podporucznik Kaszyc wysłany w nocy na rekonesans w okolice miasteczka Schoenberg z dwoma tylko ułanami, napotkał Schilla, któremu także dano dwóch huzarów zwanych *toedtenkoepfe* bo się poddawać nie mieli. Wszczęła się walka; ułani napadli na huzarów, Kaszyc na Schilla; ten uderzony pałaszem w kaszkiet który mu się na oczy nasunął, poddał się, a gdy rozwidniało, wielką była jego konfuzya, że starego żołnierza, który dwadzieścia lat przesłużył, dziecko do niewoli wzięło. Drugi raz, w odwrocie armii francuzkiej z Lubeki do Danii, udało się Kaszycowi z dwudziestu zaledwo ułanami rozbić oddział nieprzyjacielski, wziąść do niewoli pięćdziesięciu żołnierzy, i zabrać przeszło dwieście koni. Za obadwa te wypadki wymienione w rozkazie dziennym, przedstawionym został do krzyża legii honorowej.

Po upadku dopiéro Napoleona wrócił do kraju, a urządziwszy domowe interesa, wyjechał na lat trzy za granicę, chcąc ten czas poświęcić na dokończenie przerwanych nauk, aby wykształciwszy umysł stać się pożytecznym krajowi. Za powrotem

do Jatry, d. 26 stycznia 1821 r. poślubił Zofię Rajecką córkę byłego niedawno pułkownika swego, i zajął się czynnie gospodarstwem. W 1827 r. powołany z wyboru współobywateli na urząd sędziego, w lat trzy później wybrany został prawie ednogłośnie marszałkiem szlachty nowogródzkiej.

Kiedy nadeszło powstanie 1831 r., Kaszyc pomimo wieści o przegranej pod Szawlami i odwrocie jenerała Dembińskiego ku Warszawie, nie zapomniał, że powinnością jego było okazać się gotowym do ofiary; przygotowywał też powstanie. W puszczy koszelewskiej, z folwarku Radzinki, obranego na główną kwaterę, datowana odezwa (22 lipca 1831 r.) powoływała wszystkich do wystąpienia orężnie, przepisywała liczbę ludzi jaką miał każdy dostarczyć, żywność i pieniądze jakie złożyć wszyscy byli obowiązani. Kapitan wojsk napoleońskich, dawny legionista, Mikołaj Mierzejewski wybranym był na wodza nowogródzkiego powstania; Franciszek Mickiewicz, rejent ziemstwa nowogródzkiego, brat Adama, naznaczony tymczasowym rządcą miasta, « jako z cnót, uczciwości, przenikliwego rozsądku patryotyzmu znany,» jak wyrażał się marszałek, miał tę odezwę w mieście samém ogłosić. Kaszyc uzbroił jak mógł włościan i dworzan swoich w Jatrze i z nimi uderzył na oddział moskiewski stojący w okolicach Nowogródka, w miasteczku Bielicy, zabrał tysiąc pięćset niewolnika i tém powodzeniem ośmielony, szedł do Nowogródka. Moskale przerażeni niespodzianym napadem ustąpili, a Kaszyc dowiedziawszy się o przyjściu jenerała Dembińskiego do Zdzięcioła, tam się z nim połączył i towarzyszył mu do Warszawy. Raz jeszcze nad Bugiem złożył dowody waleczności swojej, zabierając czterech oficerów i trzydziestu moskiewskich żołnierzy.

Naczelny wódz Skrzynecki mianował go podpułkownikiem jazdy nowogródzkiej dał krzyż złoty *virtuti militari*, a obecni w stolicy obywatele województwa nowogródzkiego obrali go posłem. Kaszyc zdał dowództwo oddziału Mierzejewskiemu, i do upadku Warszawy brał udział w czynnościach sejmowych; potém udał się z innymi do Modlina i przyłączony do sztabu jenerała Dembińskiego z nim przeszedł granicę pruską i udał się do Francyi.

W pierwszych latach wychodźtwa należał do małej liczby tych reprezentantów, którzy doradzali zebranie sejmu za granicą, skoro trzydziestu trzech posłów w jedném miejscu było zgromadzonych, jak do tego upoważniała ich ustawa sejmowa, nie dla tego aby teorye polityczne z takim zapałem przez wychodźtwo rozbierane, na posiedzeniach sejmowych roztrząsać, ale ażeby przed Europą protestować głośno przeciw wszystkim gwałtom cesarza Mikołaja, dokonywanym w Polsce. Jeżeli mamy przyjąć za zasadę podział wychodźtwa 1831 r. na stronnictwa, to Kaszyc należał do umiarkowanych, ale nie do obojętnych. On i Izydor Sobański powtarzali bezustannie, że niezgody emigracyjne ustaną skoro nastąpi zbliżenie, skoro się z sobą poznają broniący dzisiaj zawzięcie swych politycznych uprzedzeń, i im też głównie zawdzięczać należy założenie klubu polskiego przy ulicy Godot Mauroy. Kto owe czasy pamięta, ten przyzna, że od tej chwili poczęły zwolna ustawać swary i kłótnie i wychodźtwo paryzkie porozumiewając się z sobą w przyjacielskiém gronie, łatwiej już odtąd przychodziło do uznania swych potrzeb i znalezienia środków na utrzymanie poczętych tworzyć się zakładów.

Przez długie lata emigracyjne, zawsze i wszędzie Kaszyc był gotów wedle możności swojej przykładać się do ofiar publicznych, i na lat cztéry przed zgonem, w testamencie swoim, przeznaczając co mógł na zakłady i dla biednych współbraci.

wyraził to samo uczucie, odzywając się do synów w tych słowach : « Nie wątpię, że usprawiedliwionym będę przed wami, kiedy zgodnie z moją powinnością i przekonaniem, rozporządzę częścią mego mienia na rzecz emigracyi. » Chciał też przyczynić się ze swej strony do wystawienia w Nowogródku pomników dwóm znakomitym tego województwa mężom : Jerzemu Białopiotrowiczowi, kanclerzowi litewskiemu i Adamowi Mickiewiczowi. Opłatę swoję do Towarzystwa Historyczno-Literackiego zapewnił złożeniem wieczystej renty odpowiedniej każdorocznej składce.

Po kilkoletnich cierpieniach, umarł w Niccy d. 16 stycznia 1868 r.; zwłoki jego przeniesione zostały na cmentarz Montmartre, w Paryżu.

Z trzech synów i córki gdy umierał, jednego tylko w życiu zostawił najstarszego Konstantego, żonatego z Julią Niesiołowską. Średni z nich Karol, jako członek komitetu włościańskiego w Mińsku w 1858-59 r. zacnością charakteru i trzeźwym na rzeczy poglądem, zyskał powszechne dla siebie uznanie. E. J.

KISIELEWSKI Marcin Teodor, syn Antoniego i Franciszki z domu Malinowskiej, Kisielewskich, urodził się d. 9 listopada 1802 r. we wsi Rembielinie w województwie płockiém; nauki pobierał w szkołach wojewódzkich, w 1824 zaś roku wszedł do wojska polskiego, i jako ochotnik w stopniu kadeta do 3go pułku strzelców pieszych zapisanym został. W rok później awansowany na podoficera, po wybuchnięciu listopadowego powstania, przeniesiony jako podporucznik, do 13go pułku piechoty liniowej (d. 24 stycznia 1831 r.) odbył w tym pułku całą kampanię 1831 roku; znajdował się w bitwach : pod Liwem, Węgrowem, Sokołowem, Grodziskiem, Pragą i Warszawą. Kilka razy ranny, dnia 14 czerwca otrzymał za waleczność krzyż *virtuti militari*, 30 lipca podniesiony na stopień porucznika, został pułkowym adjutantem; w stopniu kapitana wyszedł wraz z innymi po skończonej kampanii za granicę, i dostał się do Francyi, gdzie się z nim połączyła żona jego, Marya z Malinowskich, wdowa po Tomaszu Pieniążku, którą był w Warszawie, d. 1 stycznia 1831 r. poślubił. Podczas pobytu swego za granicą, starał się pracą zarobić na utrzymanie życia, zajęty przez pewien czas w zarządzie kolei żelaznej orleańskiej, w 1855 roku wybranym był na porucznika, a w 1859 na kapitana gwardyi narodowej paryskiej; pełnił też chętnie rożne bezpłatne obowiązki w rozmaitych zakładach dobroczynnych. Umarł w Paryżu d. 7 lipca 1868 roku.

KLIMIEC Maciej, urodzony w Warce około Warszawy, d. 24 lutego 1812 r.; po wybuchu listopadowego powstania zaciągnął się jako ochotnik do pułku Dzieci Warszawskich, i w nim odbył całą kampanię 1831 roku. Dostawszy się na emigracyą, przebywał zrazu w zakładzie Avignon, później w Cahors i Agen, a naostatek w Moissac (depart. Tarny i Garony) uczciwą pracą zarabiając na życie. Umarł zparaliżowany w tamecznym szpitalu, d. 30 kwietnia 1868 roku.

KOŁOMYJSKI Stanisław ksiądz, urodził się w Augustowskiém 1801 r. W 1831, pełnił obowiązki kapelana w powstaniu Kowelskiém, a później w legii Wołyńskiej. Umarł w Londynie, d. 4 marca 1868 roku.

KOŃCZA Medard, syn Medarda i Pauliny z Białłozorów, urodził się w powiecie Wilkomierskim, dzisiejszej gubernii Kowieńskiej, gdzie ojciec jego był długi czas mar-

szalkiem. Nauki pobierał zrazu w instytucie szlacheckim w Wilnie, później w szkole inżynierów w Petersburgu, a nareszcie w szkole agronomicznej w Horyhorkach (gub. Mohylewskiej). W powstaniu 1863 r. na Żmudzi odznaczył się przedsiębierczością; dostawszy się po jego upadku za granicę, czas jakiś przebył w Szwajcaryi, a nareszcie przeniósł się do Paryża; tu umarł z suchot w domu zdrowia, dnia 23 listopada 1868 roku, licząc zaledwo 30 lat życia. Spoczywa na cmentarzu Montmartre.

KORZENIOWSKI Józef, Onufry, Nałęcz. W miejscu wiadomości biograficznej o tym znakomitym niegdyś artylerzyście, a później o tym pielgrzymie polskim, który swą pobożnością i miłosierdziem budował mieszkańców nieśmiertelnego miasta, czytelnicy z przyjemnością zapewne znajdą tutaj mowę powiedzianą o nim przez O. Piotra Semenenkę, w kościele ś. Klaudyusza w Rzymie, w tydzień po śmierci zmarłego. Jakkolwiek mowa ta przechodzi rozmiary zwykłych w naszym zbiorze wspomnień pośmiertnych, tyle jednak ma zalet pod względem myśli, formy i szczegółów historycznych dotąd prawie nieznanych, że nie wahamy się dać ją tutaj w całości :

« Każdy choćby pojedyńczy człowiek, jest całym światem; a jego choć osobne i krótkie życie, jest całą historyą. Przypadek zdaje się nim miotać, ale go prowadzi Bóg, a to co w jego życiu zdaje się być ślepą losów igraszką, jest w istocie mądrą grą Opatrzności. To ona, ta mądrość Wszechmocnego, która igra na tym świata okręgu, *ludens in orbe terrarum* (Prov. VIII), to ona, która przed samém obliczem Bożém, odprawia tę grę swoję każdego czasu : *ludens coram eo omni tempore* (ib.); a Bóg każdego czasu ma w niej swoje niewymowne Boskie upodobanie. A wździ dla czego ? Jaki téj gry Boskiej powód i przyczyna ? Jaki cel i koniec ? Godzien pod wszelkim względem Boskiéj tej zabawy. On sam go nam obwiescza : « *Deliciæ meæ esse cum filiis hominum* (ib.). » Roskosz moja być z synami ludzkimi ! To jest ostatnie słowo zagadki życia naszego, ta Jego roskosz z nami, roskosz Boża ze wszystkimi synami ludzkimi razem, roskosz z każdym z nich w szczególności.

« I dla tego, jak rzekłem z początku, każdy człowiek z osobna jest całym światem, a jego życie, choć zda się szczupłe, wiotche i krótkie, niemniéj jednak jest całą i pełną historyą. I z nim bowiem igra ten sam Bóg i Jego mądrość, i z nim także tej Bożej zabawy pierwszym dowodem i ostatnim końcem, jest ta sama roskosz Wszechmocnego.

« Przetoż uroczyste to widowisko kiedy człowiek umrze, kiedy się skończy jeden taki świat osobny, kiedy się zamknie jedna taka osobna historya. Uroczyste mówię widowisko ! Zbiegają się na nie wszystkie inne światy, wszystkie jasne i niebieskie zastępy, wszystkie ciemne i piekielne potęgi, stają dokoła jak widzowie; bo oto Najwyższy zstępuje, aby zobaczyć i przekonać się jak się ta jedna gra Jego skończyła; jak jéj odpowiedziały : ten człowiek, ten świat, ta historya jedna cała.

« Lecz i my także, Najmilsi, coś podobnego tu na ziemi czynimy. Nie wytłumaczoném może poczuciem, mimowolnie nas może pędzącém, i my pośpieszamy ile razy wypadek podobny się zdarzy, na to samo widowisko, i patrzymy na nie choć z daleka, choć przez zasłonę, choć jakby w jakiémś niewyraźném zwierciedle, ale na nie jednak patrzymy; i koło nas wtedy rozchodzi się szmer jakiś po-

wszechnego osądzenia, niby echo przytłumione owego pozagrobowego i pozaświatowego wyroku, o którym tu jasno nic wiedzieć nie możemy, a jednakże go przeczuwamy. Widać że wszystkiemi światami rządzi taki sam zakon; i że co się dzieje w jednym, to się odtętnia w drugim. A tych spólnych zakonów snać takie jest powiązanie, że nawet milczenie staje się niepodobném, już głuchego szmeru nie dosyć; znajduje się głośny sędzia, otwiera usta i wydaje sąd; wprawdzie łaskawy, przyjazny, pochwalny nawet, jako przystało między współwinowajcami i współskazanymi, sąd jednak; sąd i wyrok prawdziwy, mimo przemilczanéj kary, mimo wygłoszonej nagrody. Co sędzia przemilczy, tego słuchacze dopełnią. A choćby sądzony nie potrzebował takiego przemilczenia, i takiego dopełnienia nie doznał, zawsze jednak i tu na ziemi spełni się nad nim ten wyrok apostoła : « Postano- « wiono jest ludziom raz umrzeć, a potém sąd. (Hebr. IX, 27) »

« Najmilsi moi ! spoglądam na was, spoglądam na siebie, spoglądam na ten grobowy przybór, i już wiém, wiemy wszyscy co nas tu sprowadziło. Z pośrodka nas, jeden z synów ludzkich, nasz towarzysz, przyjaciel, brat, porwany z ziemi, przeniósł się do wieczności; z nim skończył się jeden świat, którym był on sam; skończyła się jedna historya, ta jego. I już wiemy co tu czynić mamy. To sądy ludzkie, ślad jakiś i cień sądów Bożych. Jesteśmy na sądach. Wyście mimowolni może, ale konieczni widzowie, słuchacze, świadkowie zatwierdziciele wyroków; ja także mimowolny, ale w tym razie niemniej konieczny ich woźny i głosiciel. Sądy mówię, ale z pociechą dodam : ani dla was, ani dla mnie nie straszne. Jakkolwiek do nich przystępujemy z miłością, będą takie żeby nas nie przeraziła i sama sprawiedliwość. Na szczęście nie będę ja miał nic do przemilczenia, bo i winy same śmiało objawić można kiedy się przemienią na większe zasługi; a wy nie z mniejszą pociechą, nie będziecie mieli nic do dopełnienia, bo ten który nam zabraknął, jeszcze za życia swego wszystkie takie pośmiertne możebne dotatki z góry przemazał. A więc z obu stron bezpiecznie i w imię Boże przystępujemy do sprawy; czeka nas wzajemnie nie zgorszenie żadne, ale nauka, pociecha, pokrzepienie, zbudowanie.

« Co żeby tak było, a proszę o to Boga, przed zaczęciem jeden wam mój zamiar odsłonię. Wspomniałem wam o grze mądrości i miłości Bożej w tym wielkim świecie i w tych mniejszych światach ludzkich. Zamiarem moim tedy, Boże daj by nie zuchwałym! zamiarem moim w téj potrzebie będzie odgadnąć myśl Bożą, i tę ,jak nazwałem, grę Bożą w tym właśnie człowieku, którego nam Bóg zabrał.

« Tylko wtedy gdy się do tego odgadnięcia przybliżę, i wykażę w człowieku nie ludzkie ale Boże sprawy, wtedy tylko odejdę spokojny; albowiem wtedy dopiero i Bogu dam chwałę, i zmarłemu co mu się należy, i wam, najmilsi, to, którem się przyrzec ośmielił, chrześciańskie zbudowanie.

* * *

« Onufry Antoni ze chrztu świętego, a Józef z bierzmowania, Nałęcz Korzeniowski, urodził się w czerwcu 1807 r. na Podolu w miasteczku Winnicy, z ojca Dyonizego Korzeniowskiego, Sędziego Ziemskiego Winnickiego, i z matki Tekli z domu Moczulskiej.

« Tu zaraz na wstępie, dla mających opowiadać cały żywot naszego zmarłego, nie są dla nas zgoła obojętne pierwsze wrażenia działające na duszę jego młodocianą, wrażenia od których jak od pierwszego popędu, zwykle cały dalszy ruch i

kierunek życia zależy. Wiemy na szczęście że były pomyślne, że dom rodzicielski Onufrego był gruntownie chrześciański, gdzie do starej polskiej cnoty, przydawano starą żywą wiarę i chrześciański obyczaj. Wiemy też z drugiej strony, że ta sama Opatrzność która tak u progu życia zabezpieczała pierwsze kroki naszego młodzianka, czuwała dalej nad jego duszą; i już zawczasu dotknęła jej zkąd inąd miłosierną ręką, by w niej zbawienne ziarno na przyszłość złożyć, tę tajemnego przeznaczenia siłę, znowu u wstępu zabezpieczającą nie już tylko pierwsze kroki, ale cały dalszy żywot i jego błogosławiony koniec. Tém opiekuńczém zrządzeniem Opatrzności, było oddanie młodziutkiego Onufrego do szkół niedawno założonych w Romanowie przez twórcę tej mieściny, senatora Ilińskiego, a powierzonych przezeń OO. Jezuitom. Działo się to na kilka miesięcy ledwie przed ciosem, który ostatecznie rugował towarzystwo Jezusowe z krajów pod berłem rossyjskiém zostających; ale te sześć miesięcy przepędzonych pod tych mistrzów pobożnych okiem i wodzą, były iście dla naszego Onufrego jakoby podwaliną wykopaną na cały dalszy gmach żywota. Może się tam później napruszyć śmiecia, może nasypać niepotrzebnego rumowiska; ale to wszystko uniesie wicher następnych doświadczeń, wymiecie burza ciężkich prób żywota; co naleciało precz pójdzie, a jak plac będzie czysty, pokaże się na nowo dawna podwalina, i rozpocznie się na niej już trwała budowa.

« W braku szkół Romanowskich, młody Onufry pobiera dalsze nauki w gimnazyum Winnickiém, tém gniazdku umysłowém z którego wyszło niejedno orlę, tam się chował Bohdan Zaleski, tam Michał Grabowski, Mianowski i inni. Bystrość pojęcia i gorliwość w pracy przesuwają lotem błyskawicy przez sale szkolne naszego ucznia, i już w piętnastym czy szesnastym roku życia znajduje się w Warszawie, gotów już przekroczyć ten próg, który rozgranicza przysposobienie się do życia od życia samego. Takim krokiem stanowczym jest wybór żywota. Onufry wybiera : będzie żołnierzem.

« Co go spowodowało? Patrzcie jakie dojrzałe myśli w tej młodziutkiej głowie. Już mu serce dawno kazało poświęcić się Ojczyznie, ono tém tylko żyje; ale serce choć jest dobrym pobudzicielem, nie przeto jeszcze jest doskonałym doradcą. Święta to rzecz służyć Ojczyznie; ale mądra wtedy dopiero będzie, gdy ją poprowadzi zdrowy rozum i dobra rada; że jeszcze tu nie wspomnę o tej wyższej mądrości, która od Boga pochodzi. Nasz Onufry, choć o tej ostatniej w tej chwili nie pamięta, tedy po ludzku tém więcej zapewne myśli jakby owych najrozumniejszych środków użyć by zadość uczynić tym swoim najgorętszym pragnieniom. Ojczyzna musi być swobodną, wielką, szczęśliwą, a on musi być sprawcą, jednym przynajmniej ze sprawców, jej wielkości i szczęścia.

« Człowieku! który chcesz jedne góry obalać, a drugie dźwigać, jeżeli nie masz Boga za sobą, jeżeliś bez Chrystusa i bez tej jego wiary która góry przenosi, cóż ty masz w tych ludzkich sposobach, czémbyś mógł dzieła zamierzonego dokonać? Zaiste ci mówię : nie masz nic zgoła! Ale ty mi nie wierzysz; ty mniemasz mimo wszystko że dziełu podołasz, że masz sposób, masz podporę, masz potęgę; i już zgóry patrząc z uśmiechem na przeszkody spotkać cię mające, pokazujesz mi co zacz ona, ta twoja potęga : to siła materyalna rozumnie użyta.

« Tak sądzi niechybnie każdy człowiek na samym sobie oparty. Azaliż dzisiaj nie tak samo sądzi świat cały? I nie według tego-li postępuje? Przebaczmy tedy młodzieniaszkowi że onego czasu i on tak samo się łudził; raczej to mu poczytaj-

my jako zasługę, że gdy świat starym będąc w ten błąd wpada, on się go dopuścił, będąc jeszcze młodym.

Rachuba naszego niedoświadczeńca była prędko przeprowadzona. Wojsko jest siłą, a więc trzeba być żołnierzem; lecz wojska samego ostatnią siłą jest ciężka broń działowa, a więc trzeba być artylerzystą. I Onufry zaciągnął się do broni artyleryi.

« Z całym zapałem gorącego serca, z całą siłą swego niepospolitego talentu, ale co większa, z całą mocą swej niezłomnej woli, a więc z żelazną wytrwałością, zabiera się do rozpoczętego zawodu. Pierwszy jego okres musiał koniecznie znowu być szkołą. I tego też pragnie nasz młody żołnierz; albowiem już słyszeliśmy że za siłą i wyżej nad samą siłę stawiał rozumne jej użycie, a więc rozum i umiejętność. Nasz Onufry przez całe lat siedm, które przedzielają tę pierwszą jego chwilę służby wojskowej od powstania 1830 r. można powiedzieć że ciągle się uczył; już powstanie wybuchło, a on jest w szkole bombardyerów. Oficerem jeszcze nie jest; nie dla tego żeby już dawno na to nie był zasłużył; jest inna przyczyna, a czemuż nie mielibyśmy jej powiedzieć? naraził sobie całe grono oficerów, kiedy niepomyślnym przypadkiem stracone zapiski kieszonkowe dały im poznać zbyt swobodne, zbyt może dowcipne, a w każdym razie zanadto zdaje się prawdziwe sądy jego o nich. Musiał wżdy za to odpokutować; ale dla ludzi jego rodzaju wszystko zamienia się w lepsze. Nasz Onufry okrom większego umiarkowania jakie ztąd odnosi w korzyści, uczy się być tém zdolniejszym później oficerem; lepiej zadanie wypełnia, kto się do niego dłużej przygotowuje, tak że nie tylko mógł przez kilka miesięcy naszej wojny dójść do stopnia kapitana i pierś ozdobić krzyżem; ale niechybnie, gdyby wojna była drugie tyle potrwała, byłby jeszcze prędzej doszedł najwyższych w wojsku stopni.

« Lecz my wracamy do chwili powstania 1830 roku.

« W ilu to ziomków naszych życiu owa epoka 1830 r. jest chwilą stanowczą, chwilą przesilenia; całe niemal jedno pokolenie synów Polski cechuje tą daną swoje istnienie! U naszego Onufrego to się tu jeszcze w zwyż nadto spotyka, że w jego życiu ta chwila zbiega się z chwilą, w której bierze koniec jego wiek młodzieńczy, a rozpoczyna się męzki. Młody on jeszcze wprawdzie, zaledwie dwadzieścia i trzy wiosny widział; ale mu nie czas być dalej młodzieńcem; czeka go więcej niż męzkie zadanie do spełnienia, tu się ważą losy narodu : tu trzeba od każdego dzielnej prawicy i doświadczonego rozumu. Trzeba? więc jest. I nasz młodzieniec staje do dzieła dojrzałym mężem.

« Idźcie raczej za mną słuchacze! Ja wam pokażę czyny, a wy mi potém powiecie czy to są czyny pospolitego człowieka.

« Powstanie 1830 r. uderzyło jak piorun z pogodnego nieba. Zatrzęsły się podwaliny przynajmniej dwóch narodów : naszego chcącego się podnieść do góry; moskiewskiego, już, już przelęknionego czy nie runie do przepaści? Prawda, nie była to godzina naznaczona przez Boga. To przecież dobrze widzi, kto jeno patrzeć umie i chce, że nam Bóg z początku błogosławił. Dał siły, dał zasoby, dał nawet ludzi; dał krom tego, co daleko cenniejsze, dał zapał, dał wolę, dał pewną zgodę i jedność, pewien nawet rozum; dał wzwyż tego wszystkiego, i postawił na czele męża wiary, który się nie wstydził kłaniać Bogu, i wyznawać publicznie Chrystusa. Bez zwłoki dał i tryumfy : Wawer, Dęby, Iganie, spadały jak gromy jedne po drugich; zdawało się, cios jeden jeszcze, cios ostatni, a zaśpiewamy

hymn dziękczynny. Sam nieprzyjaciel głośno wołał uciekając : że z nami Bóg, że nad naszymi zastępami świeci jasna postać Przenajświętszej Panny! Nie masz wątpliwości, Bóg nam błogosławił! Nie moja rzecz odsłaniać przed wami drugą stronę karty, i czytać odwrotnie tam zapisane przyczyny naszego dalszego niepowodzenia i niebłogosławieństwa. Komu z nas Bóg otworzył oczy i napełnił światłem wiary, ten dobrze wie o nich; i dawno za nie, tak jak zacny nasz nieboszczyk, przejednywa Boga. Jeśli wspomniałem tu o tej początkowej opiece Bożej nad nami, tedy dla tego, aby z nią powiązać wypadki, o których mam mówić; głównie zaś dla tego aby wystawiwszy to opatrzne zdarzenie, że się znaleźli ludzie potrzebni i dorośli do wielkości zadania, okazać właśnie w tém świetle czyny naszego zmarłego, i tém samém dowieść że on między nimi nie ostatnie zajmuje miejsce.

« Jeśli powstanie nasze uderzyło niespodzianie jak grom, ta jego niespodzianość nie tylko nieprzyjaciół, ale i nas samych również podchwyciła. Nic nie było przygotowanego do tak nierównej walki. Szczególniej też nie było dostatecznej artyleryi, a mianowicie ciężkiej, pozycyjnej. Z powiększeniem liczby wojska, potrzeba było koniecznie i tę odpowiednio powiększyć; a taka praca i wymagała wielkiej znajomości ze względu na rzecz, i wielkiej pracy, gorliwości i mocy wytrwania ze względu na okoliczności i na ostateczny brak czasu. Albowiem nieprzyjaciel nie dawał się czekać, i już zalewał granice kraju. Powierzono organizacyą tej broni pułkownikowi Dobrzańskiemu; ale ten od lat kilkunastu nie pełniący już służby frontowej, nieobeznany zresztą z obecnymi żywiołami wojska, sam czuł się mniej zdatnym do tak ogromnej pracy, i oglądając się na wsze strony by znaleźć pomocnika, rychło odkrył naszego Onufrego, świeżo mianowanego oficerem, i przyzwał go do swego boku jako adjutanta brygady. Pięknie i skromnie wspomina o tej ważnej w swém życiu chwili on sam, we wspomnieniach jakie zostawił. « Podjąłem « się, prawi, tego obowiązku, bo wymagał nadzwyczajnej pracy, a czułem że mu « odpowiedzieć mogę! » Od tej chwili Korzeniowski jest duszą tej roboty, on myśli o wszystkiém, wszystko urządza, wszystko czyni; i nie upłynęło kilka tygodni, a on pięć ciężkich bateryi, każda po dział ośm, wyprawił na Pragę jedną po drugiej; i ta nowa artylerya, kilku tygodni dzieło, nie ustępowała w niczém starej, której utworzenie kosztowało lat kilkanaście. Tak więc jeśli pod Grochowem przeciw trzystu przeszło działom Dybicza mogliśmy z naszej strony wystawić choć sto dwadzieścia, tedy już widzimy jak w znacznej części było to zasługą Korzeniowskiego.

« Po dokonaniu tego pięknego i nie małego dzieła, Korzeniowski odetchnął, ale ani chwili nie spoczął. Trzeba ratować ojczyznę : nie trza czasu tracić! To mu jedno w głowie, to jedno w sercu. Lecz jeśli ratować, tedy rozumnie; i jeśli pobić nieprzyjaciół, tedy ostatecznie. A więc na tyły mu się rzucić, koniecznie na tyły! Ta druga myśl teraz równoważy się z pierwszą, i on sam nam powiada:«Zaledwie « ostatnią z tych bateryj wyprawiłem na Pragę, poszedłem do Naczelnego Wodza, « z prośbą... » — A jaką? Aby pójść na Wołyń i jako objaśnienie niesie z sobą cały plan tej wyprawy. Szczegóły muszę pominąć. Uradzona już była wyprawa Dwernickiego; ale do tego korpusu nie miano zgoła artyleryi, a bez niej połowa skutku była zgóry stracona, może wszystko na szwank narażone. Zkąd wziąść artyleryę? « Jutro rusza korpus, mówi przychodzącemu Korzeniowskiemu przed wejściem na « radę wojenną jenerał Prądzyński, ile ci czasu potrzeba, aby twoje sześć dział

« zorganizować? » — « Do jutra niepodobna, rzeknie nieustraszony organizator, ale « pojutrze wszystko będzie.» A tu tymczasem były tylko działa gołe, reszty nieużytych z parku; lecz przy nich ani ludzi, ani koni, ani co najważniejsza oficerów. — « Zgoda, odparł Prądzyński, pisz sobie sam rozkazy które ci potrzebne! » W czterdziestu ośmiu godzinach baterya stanęła, podczas drogi douczano się musztry, pod samym Stoczkiem dopędzono Dwernickiego; i kiedy nazajutrz z rana nasza jazda nie wiedząc jeszcze że ma za sobą własną artyleryę, mimo całej waleczności, wahała się czy ma co poczynać na widok licznej artyleryi Geismara, znagła odzywające się działa z naszej strony, jakby elektryczném uderzeniem obudziły odwagę i zapał. Z wesołemi okrzykami idzie pierwsze natarcie, boczném bo dogodniejszém zajściem, na prawe skrzydło nieprzyjaciela; wtedy pułk jazdy przeciwnej, aby natarcie przyjąć, ku nacierającym szeregom czołem się obraca, i naszej artyleryi bok zdaleka podaje. W tejże chwili Korzeniowski, na wszystko baczny, przestaje odpowiadać artyleryi nieprzyjacielskiej, choć trzykroć liczniejszej i sypiącej koło niego kulami jak gradem, a obróciwszy działa ku jeździe przeciwnej, najszczęśliwiej wymierzonym ogniem wzdłuż linii frontowej szeregi jej ryje. Niebawem wszystko się tam mięsza; tuż nasi uderzają zwartym zastępem; nieprzyjaciel na łeb pierzcha i wpada na swą własną artyleryę; ta już i uciekać nie w stanie, nasza jazda na kark im wszystkim wsiadła. I koniec wnet wszystkiemu; bo tymczasem Dwernicki resztą swej jazdy podobném natarciem sam na lewe skrzydło uderza i podobnież przeważnie je łamie, a ono znowu na własną z tej strony artyleryę wpada i z sobą ją porywa. Popłoch powszechnym się staje. Plac bitwy, dwanaście dział i innej zdobyczy mnóstwo zostają w ręku naszém.

« Było to świetne zwycięztwo, to pod Stoczkiem, tém bardziej że to była pierwsza bitwa w całej tej wojnie. Cześć tego zwycięztwa przywiązana została, i słusznie, do imienia Dwernickiego, niech mu się urzędowie należy; azaliż jednak za wiele bym powiedział, gdybym... Lecz nie powiem; wam raczej samym, lepszym sędziom, zostawiam wyrzec nie tylko w jakim stopniu Korzeniowski do tego zwycięztwa się przyczynił, ale czy nie jemu się należy sama możebność tej bitwy, a tém samém i zwycięztwa.

« Lecz chcecieli lepiej poznać człowieka, i bystrego a trafnego dowódzcę? Oto wraca z pogoni Jenerał; oszukany fałszywemi wieściami, że z tyłu stoi dwudziestotysięczny korpus, nie ściga więc dalej i każe trzymać wszystko w porządku do odwrotu. Korzeniowski temu nie wierzy, ale co pocznie? Śród powszechnego tedy wesela, gdy wszyscy się ściskają i winszują sobie, on co czyni? Niech nam sam powie : « Niezmiernie mi się, prawi, serce ścisnęło widząc wypuszczone z ręki « owoce pięknego zwycięztwa, i siadłszy na lawecie działa gorzkiemi płakałem « łzami! » Ten jeden rys niech starczy za wiele! I powiedzcie mi, najdrożsi! czy nie znamy już teraz naszego człowieka?

« Idźmy tedy dalej. Mogę odtąd być krótszym i to mi na rękę, bo krótszym być muszę. Korzeniowski z dział zabranych, jedne odsyła do Warszawy, te które sam kulami poorał i niezdatnemi do boju uczynił, tak się spisywała improwizowana przez niego artylerya! drugie w liczbie sześciu, zdrowe i całe, do służby doraźnej przyrządza, i w mig, z konia że tak powiem, niezsiadając, nową organizuje bateryę, ten niezmordowany, nieustanny rzekłbym, nasz artyleryi organizator. Od tej chwili dalszy zawód Korzeniowskiego połączony jest ściśle z korpusem Dwernickiego i losy ich wspólne.

« Ale już nie wolno mi dalej ciągnąć mego opowiadania, noc by mię zaskoczyła i chociaż pewien jestem abyście mnie jeszcze słuchali, są jednak granice których przekroczyć nie trza. A szkoda, iście szkoda! Wytoczylibyśmy sobie przed oczy, aby z upodobaniem nań patrzeć, szereg cały czynów prawdziwie dzielnych, mądrych, rozumnych, silnych; powiem właściwe słowo, bohatérskich. Jeden atoli lub drugi z tych czynów muszę tu wymienić dla samego powiązania tej mowy z tém co później nastąpi.

« Pod Boremlem był dzień stanowczy, jeden z tych dni krytycznych, w których się sprawa przesila, którego wypadek gdyby był inny, szala byłaby się przeważnie na stronę przeciwną nachyliła, na pomyślną dla nas stronę. A tak mało brakowało! Już od rana chodzono z nieprzyjacielem w zapasy z obochwiejném szczęściem; jazda nasza przypominała sobie swoje świetne chwile, ale i nieprzyjaciel w jazdę także potężny, brał nieraz odwet. Szczególniej pułk księcia Oranii nie tylko odparł ale nawet przeparł naszych i zwracając się w inną stronę stał się jakoby jądrem siły nacierającej nieprzyjaciela, i już się formował na przeciwległej wyżynie z innemi oddziałami w wielką massę kawaleryi, mającą uczynić stanowczy napad. Korzeniowski swym trafnym poglądem upatruje pomyślną chwilę, nie mogąc odnieść się do Jenerała, bierze na siebie swój zamach, uprasza podpułkownika Terleckiego, dowodzącego dwoma dywizyonami ułanów przy działach stojącymi, by zasłaniając z przodu działa, uczynił udane natarcie; już jazda posuwa się naprzód, za nią cztery działa i ich rycerski dowódzca, już przebywają wyżynę, z tej strony naprzeciwko tamtej leżącą; z wyżyny jazda pędem się puszcza i zatrzymuje się u dołu, gdy tymczasem działa nasze w pędzie na wzgórzu utkwione, już się obróciły ku owej całej massie kawaleryi, i po nad głowami naszych ułanów miotają pociski; już śmierć po szeregach nieprzyjacielskich obiega. Rzadkim przykładem, w przeciągu kilkunastu minut wystrzelono siedmdziesiąt dwa nabojów kartaczowych; nieprzyjaciel był tak blizko, że nie już konie, ale każdego człowieka spadającego widać było dokładnie, i było też słychać doskonale, po chwili wahania się jednak ze strony nieprzyjaciela. « Wtył, galopem! » Uciekli, a jakby śniegiem popruszone, zaświeciły wzgórza od białych koni na placu leżących. Można było, trzeba było korzystać. Ale wtedy już niebo same zdawało się przeciw nam oświadczać. Powstaje wicher straszliwy, i nam w oczy; po nim ulewa ogromna, bitwa zostaje przerwana. Kiedy słońce na nowo zajaśniało, nieprzyjaciel, z burzy choć sobie pomyślnej, tyle tylko skorzystał, że stanął skromnie zdaleka; naszemu atoli dowódzcy serca zabrakło uderzyć. Nie narzekajmy! Bóg nie chciał aby je miał wtenczas, inne były Jego wyroki; a naszemu rycerzowi to jedno i teraz pozostało co po bitwie pod Stoczkiem. Odszedł i gorzko zapłakał.

« Wżdy znowu o tym drugim czynie co powiem, który dorównywa pewnie najśmielszym, a zarazem najprzezorniejszym jakich kiedykolwiek w wojnach dokonano. Korpusowi zabrakło amunicyi; na to, zkąd jej dostać? już i rady nie ma. Ale nie : Korzeniowski ma radę, i nie tylko radę, ale i wszystko czego potrzeba do jej wykonania. Tu wszelako o nic mniejszego nie idzie, jedno o sprowadzenie amunicyi aż z Zamościa, a sprowadzenie jej kędy? najprostszą drogą, przez Austryą. Może wam dziś jeszcze ta myśl wydaje się niepodobną? Macie słuszność poniekąd, ale u Korzeniowskiego choć niepodobna, stała się ona czynem. Przedziera się przez całą przestrzeń która go od Zamościa rozłączała, stawiając w każdej chwili na sztych osobę swoją i życie, bierze cały potrzebny zapas tak pożądanej amuni-

cyi, organizuje znowu cały tabor przewozowy, z pociągów, koni i ludzi, wchodzi do Austryi i po niesłychanych wysileniach rozumu, przytomności umysłu, woli i jakiegoś arcyrzadkiego hartu moralnego całej istoty, przewozi nareszcie kosztowną zdobycz, całą i bezpieczną, na ten punkt granicy rossyjskiej od strony Austryi, gdzie z drugiej strony miał obozować Dwernicki. Niestety! on już obozował z tej strony, już był złożył broń, a każdy z was niech osądzi co na ten widok działo się w duszy tego człowieka, kiedy za nadludzki swój trud odbierał tak gorzką zapłatę! Tu dopiero nic mu innego nie pozostawało jak ostatecznie załamać ręce i zapłakać, bardziej niż kiedy serdecznemi łzami.

« Lecz czy myślicie że się na łzach skończyło i na załamaniu rąku? Wybaczcie, ale w takim razie jeszcze go nie znacie; nie znacie go jeszcze powtarzam, jeżeliście się od razu niedomyślili co on natychmiast bez namysłu uczynił. Oto cały swój tabór ku Polsce ryczałtem zawraca; Zamość daleko, ale myślą on już w nim stoi, droga trudna i niebezpieczna, ale on już ją całą w swej woli przebiegł na nowo; życie można znowu na utratę stokrotnie narazić, ale czyż ono u niego tyle warte co ta amunicya tak potrzebna Ojczyznie? Więc się ani kęs nie waha, natychmiast prowadzi swój skarb na powrót, los pomyślny jakby się nie chciał dać zwyciężyć takiej szlachetności, prowadzi śmiałka z jego skarbem zdrowo aż do kresu, i pozwala mu go złożyć cało i bezpiecznie na nowo w Zamościu.

« Najmilsi moi, wybaczcie! Ludzkie to tylko czyny, i ludzkie cnoty nawet nie ożywione jeszcze wtedy świętém tchnieniem wiary; a ja jednak kapłan Boży i sędzia uczynków według zakonu Bożego, opowiadam je wam z pewną jakąś pociechą i upodobaniem. Sądzę wszelako że mię rozumiecie. To tak miło spocząć myślą i sercem na tém co piękne, szlachetne, a zarazem rozumne i silne; a jeśli mam całą myśl powiedzieć, tedy tak trzymam : że i w tych już czynach naszego bohatéra była iskra Boża na dnie ukryta; przecież na jego duszy raz już wyciśnięte spoczywało piętno Chrystusowe, i że w każdym razie była to bogata podstawa naturalnych przymiotów, które miała potém łaska z góry uświęcić; a nam przystało byśmy im byli radzi i z serca błogosławili.

« Kilka słów już teraz, nie więcej, o dalszych obrotach Korzeniowskiego do końca naszej wojny. Chociaż dowodził tak znaczną artyleryą, był on dotychczas porucznikiem tylko; miał już prawda i na piersiach Krzyż *virtuti militari*. Przybywa z Zamościa do Warszawy, bo jeszcze ratować można Ojczyznę, on tej nadziei nie złoży nawet kiedy już żadnej nadziei nie będzie, przynajmniej na chwilę obecną. Przybywa, stuka, woła, błaga, ofiarując swoje usługi. Te usługi wszyscy już wiedzą, jakiej są ceny. To też go spotyka pierwsze uznanie, zostaje kapitanem. Lecz nasz dwudziesto-czteroletni kapitan który przez to pół roku przeżył ćwierć wieku, czuje się w całej sile swojej dojrzałości i woła czynu. Znaleziono rychło dla niego czyn odpowiedni. Wojna przybierała rozpaczliwą cechę, postanowiono ogłosić pospolite ruszenie. Powierzają mu tedy, jemu doświadczonemu organizatorowi, organizacyę powszechnego ruszenia w województwie Sandomierskiém. Rusza w stopniu wprawdzie kapitana, ale z daleko obszerniejszemi władzami, i znowu ze zwykłą energią i pośpiechem stawia w prędkim czasie pierwszy batalion nowo zaciężnych. Tymczasem już nadchodziły ostatnie chwile. Po wzięciu Warszawy korpus Różyckiego udawał się w Krakowskie, tam Korzeniowski przyprowadził mu ów batalion, ostatni wysiłek swojej nadzwyczajnej czynności. Ale już nic

nie pozostawało do przedsiębrania, już wszystko było stracone. Wkrótce Różycki na granicy austryackiej broń złożył, wszedł do Galicyi a z nim i luźny przy jego sztabie Korzeniowski. Dziwne zrządzenie! On który nieustannie koło siebie tylu ludzi poruszał, tylu ich że tak powiem do życia powoływał, on który nigdy nie zwątpił, i czuł zapewne jeszcze onej chwili silniej niż kiedy że mógłby nie wiem co podźwignąć i w ruch wprowadzić; kiedy jednak dla sprawy której służył ostatnia godzina wybiła, on także widział sobie wszystko odjęte; i sam bez nikogo, bez przewódcy nad sobą, bez podwładnego pod sobą, sam jeden na końcu się zobaczył, jeszcze przed wyjściem z tej Ojczyzny, do której już nigdy nie miał wrócić.

« Zatrzymajmy się... Teraz przed nami przepaść. Mamy cały ocean do przebycia, cały chaos do przeskoczenia. Mamy się przenieść z życia w ojczyznie do życia na tułactwie. Dzięki Bogu, że biednym wygnańcom miłosierdzie Najwyższe zasłonę wtedy na oczy spuściło, może inaczej byliby się wzdrygnęli na widok tego co ich czekało. Tej ślepej a opatrznej odwadze winno swój początek tułactwo.

« Już się niestety! zaczęło. Czy pójdziemy i tam za naszym nieboszczykiem? Ale tu właśnie czekała na niego Opatrzność, tu i nas ona woła na zbawienne widowisko, i na owe którém wam przyrzekł, chrześciańskie zbudowanie. Miejcie cierpliwość. Dotychczas mówiłem o mnóstwie rzeczy, dla tego byłem przydłuższy; teraz tylko o jednej mam mówić.

« Azali słyszycie, najmilsi, ten wrzask niesforny który nas dzisiaj jeszcze dolatuje z onych pierwszych lat tułactwa? Nie wiem, lepiej-li tam dzisiaj lub gorzej? lecz ja o tamtych czasach mówię. Azali tedy słyszycie to przenajróżnorodniejsze wołanie? Słuchajcie uważnie, nieprawda-li to kiedy wam powiem : to Wieża Babel! Synowie Polscy, jak ongi synowie Noego, nie poradziwszy się Boga, zabierają się do odbudowania niebotycznego gmachu swojej Ojczyzny; ale się im niestety pomięszały języki, i sąsiad nie rozumie już sąsiada, brat brata nierozumie; oni jednak na przekór chcą wciąż budować, więc cóż odnoszą w korzyści? Coraz większe niepodobieństwo porozumienia się, coraz większe zamięszanie; i cała robota na tém się kończy, że już się między sobą i kłócą, i biją, a niedługo będą się między sobą i rznąć i zabijać. Nieszczęśliwy kto w tym tłumie się uwija! Błogosławiony kto z niego zawczasu się wyrwał, lub nigdy doń nie należał! Kto do Boga wrócił, i pod skrzydłami jego przybytków kryje swoje nadzieje i uczy się mądrości.

« Tym szczęśliwym był Korzeniowski. Jego zdrowy rozum wolność pojmował tylko pod władzą, i tylko przy porządku. Wszelkie stawianie pod kwestyę zasad samych, i wszelkie nad niemi sejmikowanie bez końca, było dla niego wstrętne i nieznośne, jak szał i obłąkanie. W demagogicznych zasadach widział czysty nierozúm; a nic dla tej jasnej głowy nad nierozum nie było wstrętniejszego. Dał im przeto zawczasu odprawę, a zarazem uczynił rozbrat z wszelkiém niepłodném i jałowém rozprawianiem. Natomiast jął się pracy. Uczęszczać nawet zaczął do szkoły min, aby uzupełnić teoretyczne swoje wiadomości; niezadługo mógł się umieścić jako dyrektor przy zakładzie wydobywania kruszcu miedzi, potém korzystniej jeszcze na dyrektora przy wielkiej hucie żelaza w Landach niedaleko Bordeaux. Ale w tém wszystkiém zawsze mu chodziło o łzewyżs cele, zawsze na dnie wszystkiego było tymczasem doczesne dobro Ojczyzny, aż póki nie nadeszła

błoga chwila gdzie nad Ojczyzną samą zajaśniał Bóg, a on w Bogu dopiero umieścił jak na dnie i samą Ojczyznę.

« Ta uroczysta chwila przyszła niebawem; bo jego wyższy umysł w szczęśliwém skojarzeniu ze szlachetném sercem nie mógł długo pozostawać bez swego rodzinnego światła, bez Boga, dla którego nareszcie musiał przypomnieć sobie, uczuć się raz przecie że jest stworzonym. Sześć lub siedm lat jednak upłynęło nim ta chwila nadeszła. Było to około roku 1838; Korzeniowski wtedy miał pełnych lat 30. Łaska Boża nawiedziła już była od pewnego czasu tułactwo polskie, na parę lat przedtém stało się kilka głośniejszych nawróceń; już się nawet zawiązało było gronko wspólnie żyjące tych nowo nawróconych, a do tego grona świeżo się przyłączył serdeczny przyjaciel naszego zmarłego, kapitan jak i on artyleryi i od wstąpienia do służby druh nieodstępny (1). Coraz więcej tedy budziła się w tę stronę uwaga Korzeniowskiego, coraz bardziej zaostrzał się wzrok; a doznane z tych wypadków wrażenia dopominały się w głębi duszy o odpowiedź! Korzeniowski przed żadném pytaniem nie cofał się dla tylnych jakichś powodów; w każdej odpowiedzi szedł naprzód bez trwogi aż do końca, i nie oglądał się na następstwa choćby też niewygodne, jeśli słuszne i konieczne. Kiedy kwestya religijna postawiła się przed jego duszą, przyjął ją szczerze, i dał szczerą odpowiedź! Został Chrześcianinem.

« Alboż nim nie był? Zawołają zgodnym chórem ci wszyscy niby chrześcianie, tacy właśnie jakim on był dotychczas, a niestety zbyt liczni; alboż nim nie był? Łatwa odpowiedź : Był takim jak i wy : tego dosyć : był chrześcianinem z imienia, ale nie w rzeczy i istocie. Może tak jak i wy chodził do kościoła; może się nawet modlił, ale nie chodził do spowiedzi i do komunii świętej, nie miał ani życia chrześciańskiego które daje pierwsza, ani zdrowia i siły które daje druga. O takim to mówi Chrystus w Objawieniu Ś. Jana, « Imię masz że żyjesz, aleś umarł. »

« Błogosławmyż Boga na tym grobie brata naszego. I on kiedyś miał imię że żył, ale był umarły. Bóg spójrzał na niego, tchnął nań swą łaską, przemówił do serca, podał rękę, i żywego na nogi postawił. I odtąd on chodził po drogach Jego, a Bóg go karmił swą własną istotą, i stawał się coraz silniejszy, coraz więcej czerpiący ze źródła żywota, coraz pełniejszy światła, ognia, mocy; aż póki go Bóg po raz drugi i ostatni nawiedzając, kiedy już przyszedł do dojrzałości swego przeznaczenia, nie podał mu znowu swej ręki i nie przeniósł do innego żywota, z tego mówię ledwie rozpoczętego na ziemi, do owego skończonego już w niebie choć nie kończącego się nigdy. I tak spełnił w nim co Sam przyrzekł : « Kto wierzy we mnie, choćby umarł żyć będzie! » Patrzcie na ten los szczęśliwy tego brata naszego. Niechże się wam nie zdaje że umarł. On teraz przeciwnie ma się lepiej, niż wprzódy z nim było : wprzódy miał imię tylko że żył, ale teraz ma imię tylko że umarł : on wtedy był umarły, ale dzisiaj on żyje i żyje na wieki! Błogosławiony Bóg który to dziwo uczynił!

« Ale się zapominam. Muszę przeciez choć w kilku słowach wystawić obraz jakikolwiek dzieła Bożego w tym bracie naszym, dzieła dopełniającego się stanowczo w dalszym żywocie odkąd prawdziwie żyć zaczął.

«Moi najdrożsi! Czy chcecie wiedzieć w czém to zaszła główna zmiana w duszy

(1) Karol Kaczanowski, obecnie kapłan i członek Zgromodzenia Zmartwychwstania Pańskiego które z owych wyszło początków.

naszego nieboszczyka, odkąd Bogu tę duszę oddał? i jaki ztąd na zewnątrz okazał się znak oczywisty tej cudownej przemiany? Jużci najgłębsza zmiana w tém była, że tam stanęła miłość Boża, jako pierwszy i najwyższy zakon żywota, że tam stanął Chrystus, jako początek i koniec, Alfa i Omega, pierwszy i ostatni całego istnienia i życia. Ale znak, znak na zewnątrz tej cudownej zmiany? Proszę o baczność, najmilsi! wielką wam rzecz wygłoszę. Tym znakiem jest prawdziwa, wielka,, głęboka miłość Kościoła.

« Czyście słyszeli? Miłość Kościoła! A że Kościół znowu koniecznie jednoczy się w swojej głowie, więc miłość tej głowy Kościoła, miłość Papieża! Czyście słyszeli? Kto tej miłości nie ma, kto nie ma w sercu miłości zastępcy Chrystusa na ziemi, kto tego znaku na czole, na ustach, na ręku nie nosi, ten niech sobie daremnie nie tuszy, że ma miłość Boga w sercu, że jest chrześcianinem. Próżno się łudzisz mój bracie! Nie widzisz że nie masz znaku na sobie! Wszedłeś to prawda do izby godowej, ale szaty godowej na siebie nie wziąłeś. Uciekaj czém prędzej bo król idzie; wrzuci cię w ciemności zewnętrzne. Albo raczej wdziej na siebie godową szatę, tę miłość świętą, o której ci mówię, wdziej ją na siebie póki czas, a zasiądziemy razem do uczty weselnej i będziemy biesiadowali z Bogiem samym na ziemi całe życie nasze.

« Tak uczynił nasz miły nieboszczyk, i ta już jest to jedna rzecz o której mi mówić zostaje : ta jego miłość przedziwna dla Kościoła i dla Papieża, znak nieomylny i owoc najwdzięczniejszy jego miłości dla Boga, piętno pierwsze i ostatnie prawdziwego chrześcianina. O tém jedném już mowa.

« Zaczekaj! nagle się odezwie i ten, i tamten. Więc nam nic już nie powiesz o tej przedziwnej miłości bliźniego? tak obfitej, tak przemyślnej, tak bogatej, tak wytrwałej?

« Czy nie wiesz jak on we Francyi jeszcze będąc, dzielił się wszystkiém z potrzebującymi? Jak wśpierał uczących się? Jak opatrznie zajmował się nie mającymi przytułku, schronienia, zarobku? Jak opiekował się wszelką biedą i nędzą?

« Czy nie wiesz jak tu w Rzymie podwoił to wszystko? Jak płacił swoją osobą? Jak chodził do biednych, do chorych, do więźniów? Jak miłośnie zajmował się pielgrzymami? Jak tych pielgrzymów sam oprowadzał, sam wszystkiego uczył? Jak dom jego był dla nich wszystkiém : wypoczynkiem, przytułkiem, gospodą, jeśli potrzeba było, szpitalem nawet, a jeśli inaczej Bóg zdarzył i salą godową? A on tego wszystkiego duszą i życiem? Jak płacąc osobą swoją, płacił zarazem i mieniem? Jak skromnie jeśli nie ubogo sam się nosił, choć mógł inaczej, byle tylko mieć więcej dla bliźniego?

« Czy nie wiesz że to nie było chwilowe, przypadkowo, od humoru zależne; ale stałe, rozmyślne, i z przyjętego obowiązku, i jako cel wyraźny przedsiębrane, a tém samém że to było cnotą prawdziwą i coraz wyżej rosnącą? a więc i powodem słusznym wielbienia i powodem zbudowania?

« Czyż o tém wszystkiém nie wiesz? alboliteż wolisz milczeniem pominąć? Wiemci dobrze o tém wszystkiém, ale i to wiem również, że aby o tém mówić jak rzecz na to zasługuje, tedy nie wolno by mi poprzestać na tej pobieżnej wzmiance. Lękałem się więc dotknąć tego przedmiotu, a teraz dość mi na tém, że o nim sami wiecie. To jedno za wami z obowiązku powtórzę : tak jest iście jak wasz głos twierdzi : to wszystko nie było przechodném tylko jakiémś zachceniem, potrzebą jakąś ślepą, choćby często wracającą, dobrego jak to mówią serca;

nie, to była prawdziwa cnota, równa sobie samej i niezachwiana, cnota której Bóg był początkiem, Bóg był końcem, a wola Boża stateczném i zawsze żywém prawidłem. Ona jedna była zdolna uświęcić całe życie. Jaki piękny owoc duszy oddanej Bogu! Jaki wspaniały dar Boży i z jego strony nagroda. Niechaj przynajmniej jej wzmianka pozostanie na tym nagrobku wyryta!

« Ale mię teraz tém bardziej czeka po pobieżném powitaniu tej miłości bliźniego w nieboszczyku naszym, ona pierwsza miłość o której mówiłem : miłość Kościoła, miłość jego głowy widomej Papieża, zastępcy Chrystusa Pana na ziemi. Cóż powiem? chciałbym w jednym rysie, a przynajmniej w jednym obrazie skréślić cały ten przedmiot, który teraz tak posiadł duszę naszego Korzeniowskiego, i tak ją posiada. Cóż tedy rzekę? Może to jedno słowo. Już widzieliśmy Korzeniowskiego miłość dla Ojczyzny, przypomnijmy jak on o samém życiu nie myślił, owszem szczodrze je na ofiarę dawał, gdzie choćby najmniejszy dla Ojczyzny upatrywał pożytek. A jeżeli pamiętamy, powiedzmy teraz, że w tej wielkiej przemianie która zaszła w jego duszy, miejsce Ojczyzny zastąpił Kościół : nie żeby Ojczyzna co na tém straciła, lub tém mniej z duszy była rugowana, ale że Ojczyzna weszła do Kościoła, a Kościół objął Ojczyznę i przytulił do łona, że jedna i druga skleiły się z sobą nierozłącznym sojuszem, i że odtąd dla tej chrześciańskiej duszy Ojczyzny bez Kościoła nie ma. A wszystko stoi na swojém miejscu : Kościół jest pierwszym, Kościół jest wszystkiém, bez Kościoła Ojczyzny nie ma; ale jest i Ojczyzna, i tém bardziej jest, że Kościół stał się jej nieśmiertelną matką. Tym sposobem Kościół choć Ojczyzny nie rugował, chociaż ją owszem namaścił, uświęcił i uczynił godną wyższej miłości, ale tém samém że na niej swe piętno położył; bez którego ona już nic nie znaczy; tém samém ją zastąpił, stanął na miejscu które ona jedna zajmowała w duszy, i tak wszystko przyprowadził do Bożego porządku. I oto już rozumiemy co się stało w duszy Korzeniowskiego, i co to znaczy ta miłość Kościoła i ta miłość Papieża, która w nim odtąd panuje.

« A jeżeliśmy to zrozumieli, wżdy i to już pojmiemy jakim teraz nowym ogniem pała ta dusza, i jak się znowu chce poświęcić, chce się dać na żertwę; tylko teraz o ile święciej, o ile głębiej i wyżej. Mówię wam zaiste, Najdrożsi, bom czytał w tej duszy, mówię wam zaiste, że ją pożerała chęć ofiary dla Kościoła. Rozwijała się ona stopniowo. Z zajęciem przez Piusa IX stolicy Piotrowej wystąpiła na jaw, i wtedy chrześciańskie ziarno żywota nie dawno zasiane, było już dojrzewało w tej duszy. Onego czasu razem z rozgłosem imienia Piusa IX przebiegła po całym chrześciańskim świecie świetna lepszych czasów zapowiedź, zajaśniały jakieś błogie i wielkie nadzieje. Odbiło się to i w emigracyi naszej, a Korzeniowski jął się do tém czynniejszego jeszcze rozszerzania prawdy, i królestwa Chrystusowego, któremu dotąd już jednak nie mało trudów poświęcił. Zabłysły wnet i dla Polski niejakie widoki; rok 1848 poruszając Francyę zdawał się i gdzie indziej zapowiadać nowy porządek rzeczy. Nasi rzucili się ślepo w ten prąd, i już się im zdawało że są na drugim brzegu. Dziwne to ułudy uniesienia! Czyliż nam dzisiaj z właściwego oddalenia na ową chwilę patrząc, nie wydaje się niewymownie dziwném owo zjawisko, które podówczas każdemu z naszych zdawało się jak najprostszém; to mówię zjawisko, że wnet po rewolucyi lutowej w Paryżu wychodźcy polscy tworzą jednę wielką kolumnę, i bez innych podobieństw okrom ślepej wiary : że się stanie! bez innych zapasów krom chleba powszedniego na dni kilka, ruszają w drogę; gdzie? do Polski, kędy? przez środek Europy; z czém? z samém tylko jedném prawem swojém

i z gołą nadzieją. Szaleni, prawda! Ale jakaż inna sprawa z pomiędzy spraw ludzkich taki dziwny szał obudza? I jakąż inną Ojczyznę prócz Polski jej synowie tak szalenie kochają? Niestety że i tą razą także nie pamiętali o Bogu, nie mieli Go z sobą, i bez Boga nierozumnie w drogę się puścili! Więc też nie doszli, dójść niestety nie mogli!

« Bóg atoli nie zapomniał o swych zabłąkanych dzieciach, nie zapomniał i przysłał im posła od siebie, przysłał prawdziwego Apostoła. Był nim Korzeniowski.

« Trudno opisać z jakim wiary zapałem, ale zarazem z jaką cierpliwością miłości, Korzeniowski spełniał swój urząd missyonarza i Apostoła. Dawał braciom co miał najlepszego, dawał im duszę swoją. Chciał ze swej duszy w nich przelać Boga, Chrystusa, i oną która wszystkiemu pieczęć daje, miłość Kościoła. Nie wiedział co go miało spotkać, a choć może i przewidywał, to go pewno nie wstrzymało. To nic jeszcze, że go z początku przyjmowano śmiechami i pomiataniem, krzycząc na Jezuitę, na papieżnika, jak zwykle bezrozum podobny czyni; przyszło do tego, że się rzucano na niego z gniewem i z wściekłością jak na jakiego nienawistnego wroga. Rzecz niepojęta! Czyż losem prawdy ma już być zawsze, że choć cicha i jasna, i miłości pełna, spotkać musi na końcu zajadłe krzyki na jej zagłuszenie, i rozwarte paszczęki na jej pożarcie? I czy to co się stało z pierwszym jej mistrzem, najsłodszym Zbawicielem naszym, ma być zawsze udziałem i wszystkich uczniów jego? To przynajmniej spotkało naszego Korzeniowskiego, i gdyby nie przywódzca kolumny, zacny podpułkownik Borzęcki, niewiadomo jakich ostateczności nie dopuściliby się byli na tym pośle Bożym do siebie owi nieszczęśliwi Boga odtrąciciele. Stało się czego chcieli, a nasz Korzeniowski wyrzucony z ich obozu opuszczał ich bez goryczy w duszy, powtarzając niezawodnie swego mistrza słowa: Panie przebacz im bo nie wiedzą co czynią!

« Wypadki tymczasem kroczyły naprzód. Rozpoczyna się ruch we Włoszech. Korzeniowski cały szczęśliwy że może coś czynić z Kościołem i dla Kościoła, a gdzie następnie może coś zyska i Polska, opuszcza Francyę. Stara się naprzód coś dla Włoch uczynić, gdzie sam Papież prowadził ruch przeciwko Austryi podniesiony; z Maninem dyktatorem Wenecyi wchodzi w bliższe stosunki, zgoła przyjazne, które i dłużej przetrwają; daje Wenecyanom nacechowane trafnym sądem rady, a mianowicie żeby się z Piemontem nie łączyli, chyba przyjaźnią tylko i sojuszem; atoli wkrótce pośpiesza do Rzymu, i tu już ostatecznie dostaje się na miejsce przeznaczone mu oddawna przez Opatrzność. Z tém przeniesieniem się Korzeniowskiego do Rzymu kończy się drugi, a zaczyna trzeci i ostatni okres jego żywota; i tym sposobem życie jego rozdziela się na trzy niemal równe części, których pierwszej była świadkiem Polska, drugiej Francya, a tej trzeciej będzie miasto wiekuiste.

« Korzeniowski raz w Rzymie, znalazł się jakoby w rodzinnym swoim środku, jakby w Ojczyznie, jakby w domu. Jakże teraz ten ogień święty o którym mówiłem, tu w ognisku samém Kościoła, u stóp Najwyższego Pasterza, na miejscach poświęconych krwią tylu ofiar tegoż ognia Bożego, jakże tu koniecznie tém więcej i już na dobre się zapala, i wszystko inne przetrawia i samowładnie duszę owładywa. Mogę raz jeszcze zatwierdzić, że Korzeniowski odtąd jeden miał tylko przed sobą cel, jedno szczęście, jedno marzenie: jak niegdyś dla Ojczyzny, tak teraz dać swoje życie, swój czas, swoje siły, a choćby i żywot sam dla Kościoła. Pośpieszył za Papieżem do Gaety, i tam miał szczęście więcej się przybliżyc do jego osoby; to też bez zwłoki ofiaruje się na służbę. Płodny swój umysł już obraca ku

wynalezieniu sposobów przywrócenia Papieża, i zabezpieczenia go na przyszłość; już mu się snuje przed myślą wielkie wojsko zakonnych rycerzy chrześciańskich, już całe swe życie widzi poświęcone na bronienie noszącego osobę Chrystusa na ziemi. Dusza jego opływa w radość, bo mu sam Papież przyrzekł, że za powrotem do Rzymu, będzie do służby wziętym. Piękne znowu nadzieje, jak na początku powstania, piękne na przyszłość zapowiedzie. Mimo ośmnastu lat ubiegłych od tamtéj chwili, Korzeniowski uczuwa się równie młodym jak wtedy, i by Bogu odpłacić za tyle szczęścia jakiego doświadcza, a razem pokutą przyśpieszyć tę pożądaną chwilę powrotu do Rzymu, ślubuje Bogu że jak żołnierz na wojnie, nie położy się do łóżka, aż póki razem z Papieżem do Rzymu nie wróci. Nie potrzebuję dodawać, że ślubu święcie dopełnił.

« Niestety! za powrotem przemogły w radach Papieża przedstawienia niektórych ostrożniejszych dostojników, ażeby nie przyjmować oficera źle widzianego u rządu który wszelako chciano oszczędzać. Rada zapewne była słuszna, ale złote nadzieje naszego zmarłego rozwiały się na długo. Nie wiem czy i tu, również jak niegdy, głowy przynajmniej nie spuścił, i jeżeli nie zapłakał, tedy przynajmniej nad swoim losem gorzko nie westchnął.

« Atoli nie dała się odstraszyć nieprzełomna dusza, w niej samej tlejący ów ogień nie pozwalał wyrzekać się myśli przynajmniej oddania się na ofiarę. Tymczasem służył jak mógł, dziwne nawet wynajdywał sposoby, o których nie mam czasu wspominać. A to czyniąc, czekał co do głównej rzeczy, co do czynnego służenia Papieżowi; nakazał sobie cierpliwość i czekał cierpliwie. Czyliż być może aby nareszcie nie nadarzyła się okoliczność?

« I zjawiła się. Nadszedł rok 1860; przybył jenerał Lamoricière, już nadchodziła burza, już w powietrzu wisiały Castelfidardo i Ankona. Było, było wiele do czynienia; pole wyborne i szerokie do ofiary. Płomień w duszy Korzeniowskiego znowu buchnął, nadzieja znowu zajaśniała, jakimś jesiennym, ale tém milszym brzaskiem; bieży, zgłasza się, ofiaruje się, błaga. Czyż go i teraz zawiedzie nadzieja? Jak tonący, i on też ostatniej deski się chwyta. Ale cóż? — Prześladuje go iście jakby los jakiś zawistny, chociaż my wiemy że to zrządzenie Boże; jakaś drobna okoliczność, jakieś więzienie w Ankonie, chociaż niesłuszne, chociaż dla niego i dla jego miłości bliźniego raczej chwalebne, ale to samo więzienie, ale skutki jego, stają mu jakby umyślnie na zawadzie, i znowu okrutnie złamana nadzieja. I znowu trzeba głowę zwiesić, i znowu gorzko westchnąć!

« Ach już teraz pewno inna nadzieja nie zawita. Już życie ku wieczorowi się schyla, i jeśli duch skory jeszcze, ale już ciało mdłe. Lecz nie! Oto się jeszcze śmieje stara a zawsze młoda łudzicielka, jakby chciała jakąś tajemniczą liczbę zawodów do końca odrachować. Tym razem błyska ze wzgórzów Mentany, a nasz rycerz ofiary, choć już nadłamany wiekiem i tyle razy odczarowany, choć mający nowe obowiązki, bo mu Bóg zesłał towarzyszkę życia, godną cnót jego, i nowy przedmiot jego miłości i opieki, mimo to jednak nie umie odepchnąć tego nowego nadziei uśmiechu, i bieży i prosi usilnie, gorąco, zupełnie na prawdę, prosi o tę ostatnią dla siebie łaskę, o tę możność ofiary, o to stwierdzenie czynem swojej miłości dla Chrystusa, dla Kościoła, dla Papieża. Wszystko na darmo! I tym razem tylko zawód!

« Ach! tym razem, już doprawdy ostatnim przed swoim własnym sądem, na widok tak ostatecznie zawiedzionej nadziei lat przeszło dwódziestu, nadziei całego

tego, mówię, swego lepszego i prawdziwego żywota, ach! już nie wiem czy nasz Korzeniowski zwiesił również głowę i gorzko zapłakał, jak dawniej bywało, czy też raczej nie uśmiechnął się słodko i pogodnie, wiedząc że już tu na ziemi więcej dla niego nie będzie zawodów, a pocieszając się tą już niemylną nadzieją, że jeśli w swych niezbadanych wyrokach Bóg mu nie dopuścił na ziemi téj tak pożądanej ofiary w czynie, przyjął jednak tém miłosierniej ofiarę w duchu i w woli, i że czyn niedokonany w tém życiu, ale okupiony tylu pragnieniami i tylu zawodami, ciągłą może boleścią, że ten czyn tu chybiony, tam się już cały ziścił, już żyje i świecić będzie na wieki. Wszakże ta jego ciągła ofiara była ofiarą miłości, a miłość sama szczególnie w najwyższej swej sile, w ofierze, miłość sama jest czynem, i jest nieśmiertelna!

*
* *

« Słowo jedno, ostatnie, o jego zgonie. Umarł jak żył, w służbie miłości, na wyłomie poświęcenia. Ojciec Śty robił wycieczkę do opactwa Trapistów, świeżo założonego przy dawnym za miastem położonym kościele Trzech Fontan. Na bojowisku, które dach tego kościoła przykrywa, ścięty był apostoł Paweł, a jego śta głowa trzy razy od ziemi odskakując, kazała trysnąć trzem źródłom z ziemi. Jak zwykle za Papieżem, pobiegła pobożna drużyna przywiązanych dzieci; było między niemi kilka polskich rodzin. Jesteśmy w środku listopada, nie dziw że wycieczce towarzyszył dzień wilgotny, słotny i wietrzny. Korzeniowski rzadko kiedy nie znajdywał się w podobnych zdarzeniach gdzie można była pozdrowić Papieża, który go zawsze bardzo łaskawie witał, a razem usłużyć swoim rodakom, przedstawiając ich Jego Świętobliwości, i przyczyniając się do obudzenia w ich duszach uczuć szacunku, miłości, podziwienia, jakiemi jego dusza była przejęta dla Ojca wszystkich wiernych. To on sobie poczytywał za obowiązek miłości, należący do jego służby, i święcie go spełniał. Tak było i tym razem, i w tém pełnieniu przezeń swego urzędu, zachwycił go poseł śmierci, śmiertelne przeziębienie. W dni siedm potém, już go nie było.

« Ojciec Śty skoro się tylko dowiedział o chorobie Korzeniowskiego, troskliwie się wypytywał o stan jego zdrowia, jakby on sam był przyczyną jego choroby. Na drugi czy trzeci dzień przysłał swojego lekarza, i odtąd Dr. Viale Prelá nie odstępował naszego chorego aż do jego zgonu. A kiedy już wszelka nadzieja znikła, Ojciec Śty przysłał swoje błogosławieństwo i odpust zupełny na godzinę śmierci. Była to rzecz rozrzewniająca. Nasz umiérający zachowując do ostatniej chwili całą przytomność, nie mógł bez łez wspomnieć o téj dobroci Ojca Śgo dla siebie podczas całej swojej choroby. Czuł się głęboko pocieszonym, sowicie wynagrodzonym. Miłość została wynagrodzoną przez miłość: miłość dziecka, ofiarującego się przez całe lepsze swe życie, została wynagrodzoną przez miłość ojca, płacącego w ostatniej chwili pocałunkiem odwdzięczenia i koroną błogosławieństwa.

« Szczęśliwyś! Z tą koroną na czole, o bracie! wysłużoną u Ojca naszego spólnego na ziemi, poszedłeś do Ojca naszego spólnego w niebie; i już ani wątpić możemy, że nie z trwogą ale z bezpieczeństwem, nie na sądy ale na gody, nie jako obcy i nieznany, ale jako syn najmilszy, prosto na łono Ojca najlepszego. Szczęśliwyś o bracie! i już to szczęście twoje nie spotka walki, nie dozna zawodów, nie uroni łzy żadnej. Przeszła burza i nawałnica tego żywota, już tobie jasny i szczęśliwy świeci dzień wieczności.

« A teraz już nam żegnaj drogi nasz Onufry! A jeśliś już doszedł przed samo oblicze Boże i w jego świetle czytasz tajemnice twego własnego żywota, powiedz nam azaliś przez łaskę Bożą i ty nie należał do liczby tych dusz wybranych, które nietylko za swoje własne odpłacają przewinienia, lecz i za grzechy bliźnich swoich, za grzechy całego narodu, dają godną Bogu odpłatę? Powiedz czyś twoją wiarą nie odpłacił za wielu z nas niewiarę? Twoją nadzieją za odstąpienie wielu z nas od nadziei niebieskich? Twoją skromnością i pokorą, za wielu butę i pychę nieznośną? Twoją trzeźwością, za wielu rozuzdanie? Twoją szczodrobliwością, za wielu łakomstwo? Twojém miłosierdziem, za wielu obojętność i zimno? Twoją cierpliwością i przebaczeniem, za wielu gniewy i bluźnierstwa? Twoją miłością, za wielu z nas egoizm, złość, nienawiść? Ale przedewszystkiém to nam powiedz, czy ta twoja miłość Kościoła i Papieża, nie odpłaciła choć w części jakiej za tę smutną, okropną, boleśną, a tak nierozumną, niewdzięczną, nieszlachetną obojętność i niemiłość znacznej części naszego narodu ku Kościołowi, ku Ojcu Ś̈temu? Powiedz, czy Bóg dobry tak pięknej łaski miłości ku swej oblubienicy na ziemi, ku swemu zastępcy a głowie tegoż Kościoła, nie dał tobie na to, aby między nami choć w jednej duszy więcej, widział to co Mu się najbardziej podoba, co go najwięcej cieszy, czego najwięcej pragnie dzisiaj szczególnie; i tą miłością twoją nie zrównoważył jakkolwiek naszych rachunków, ze swoją sprawiedliwością? Powiedz czy nie w tém leży tajemnica dla czego cię nie dopuścił do ofiary w czynie; azali nie w tém mówię, abyś ty się za cały naród upokarzał żeś niegodzien tej ofiary, niegodzien tego czynu? I nie dlatego li to pragnienie w tobie się wzmagało, aby to odtrącenie Boże tém było boleśniejsze, a ty bolał za cały naród; i to upokorzenie było tém głębsze, a ty się wstydził za naród cały? Powiedz, prosimy cię! Bo jeśli tak jest, a my to zrozumiemy, tedy za łaską Bożą skruszymy się serdecznie, skruszymy się razem z tobą, z tobą się zawstydzimy, i nasze żale do twoich przyłączym, czekając aż nam Bóg da taką jak i twoja miłość, i będziemy mogli naszą miłość do twojej przyłączyć miłości, a szczęśliwsi od ciebie, któryś do czynu nie doszedł, może to zyskamy, że nam będzie dano samą ofiarę złożyć i spełnić sam czyn. A wtedy będziemy wiedzieli, żeś ty go nam wysłużył.

« Więc już nam żegnaj, drogi bracie! Albo li też do widzenia! A nim się zerwie ta wątła powłoka która nas przedziela, i w istocie zobaczyć się napowrót daném nam będzie, my tu przynajmniej bliżsi twoi, koło twego grobowca zgromadzeni, pamiętni na przykład jakiś nam zostawił, podnosim ręce i święcie świadczymy się: że kochamy i będziemy kochali Chrystusa, kochali Kościół, kochali zastępcę Chrystusowego na ziemi. Ta miłość będzie życiem naszém, ta miłość także będzie naszym znakiem, po niej będziemy się poznawali żeśmy bracia, po niej, żeśmy synowie jednego Ojca, żeśmy dzieci jednéj Matki. Tą Matką naszą jest Kościół święty. Świat cały, świat ten ziemski, ludzki, ciemny, piekielny, świat sroży się na nią, na tę Matkę naszą, zaprzysiągł się że ją zabije, i nie chce spocząć aż nie dokona. Ale my jej dzieci, z tém większą otaczamy ją miłością, tém bliżej skupiamy się koło niej, tém mocniej jej się trzymamy, tém czulej ją pieścimy. O Matko! tyś Matką naszą! Przysięgamy ci razem z tym synem twoim a naszym bratem, przysięgamy ci na twoje wnętrzności matczyne, w których Bóg złożył sam siebie i wszystkie skarby swoje dla nas, przysięgamyć że cię nie odstąpim, nigdy nie odstąpim; i albo ty żyć będziesz, albo my razem z tobą pomrzemy; rozumie się: aby razem z tobą zmartwychwstać! — Amen. »

KOTYŃSKI Lucyan urodził się 1808 r. w Sandomierzu; powstanie listopadowe znalazło go na ławkach uniwersyteckich we Lwowie; na wieść o niém pośpieszył do narodowych szeregów, i w ciągu kampanii 1831 r. otrzymał stopień porucznika. Razem z innymi udawszy się za granicę, pierwsze miesiące wychodztwa spędził w Niemczech, a w sierpniu 1832 dostał się do Francyi, gdzie mu na mieszkanie wyznaczono zrazu Chateauroux, później Bellac a nareszcie Poitiers. W tém starém uniwersyteckiém mieście dokończył nauk, i w 1838 r. otrzymał posadę nauczyciela języka niemieckiego przy liceum w La Rochelle. Oddanego cichym obowiązkom swego zawodu, dochodziły kolejno wieści o rewolucyach 1848 roku w Berlinie i Wiedniu; wychodźtwo nasze tłumnie wybierało się do kraju, wierząc że chwila walk stanowczych i odrodzenia Ojczyzny nadeszła. Kotyński bez wahania porzucił zdobyte pracą i zapewnione już stanowisko, i razem z innymi podążył. Uwięziony w Galicyi, kilka miesięcy w twardém więzieniu austryackiém spędził, po czém z wielu współbraćmi wsadzony został w Tryeście na okręt, który go do Ameryki miał zawieźć. Burza na morzu śródziemném przypędziła ten statek ku brzegom francuzkim; znajdujący się na nim Polacy zmusili wtenczas kapitana aby ich tam wysadził, ale nie chciano ich przyjąć; odwiezieni byli do Algieru. Pozbawiony wszelkich środków, Kotyński dla utrzymania życia musiał tłuc na drogach kamienie. Ale wieść o tém doszła do La Rochelle, gdzie licznych umiał sobie zjednać przyjaciół. Profesorowie liceum zanieśli prośbę do rządu aby mu powrót do ich miasta dył dozwolony, a gdy to nastąpiło, władze uniwersyteckie w uznaniu zasług, poruczyły mu znowu zajmowaną dawniej katedrę. Osiadł więc napowrót w La Rochelle, gdzie szlachetnością charakteru i uczuć, powszechny sobie zaskarbił szacunek, jednając dla imienia polskiego poszanowanie. Umarł nagle, d. 27 grudnia 1867 roku. We trzy dni potém, licznie zebrana ludność, z gronem profesorów i wyższych urzędników, odprowadzała zwłoki zmarłego na cmentarz a p. Serraud inspektor akademii której Kotyński był członkiem, w rzewnej mowie żegnał go w imieniu kilku już pokoleń uczniów, oddając cześć cichej jego cnocie i obywatelskim uczuciom. Zmarły zostawił 12,000 franków, które złożone u notaryusza Condamy, czekają na zgłoszenie się krewnych, bo testamentu żadnego nie znaleziono.

KRASIŃSKI Aloizy, urodził się w Warszawie 1814 roku, lecz wychowanie odbierał w Galicyi, i tam za czynny udział w propagandzie demokratycznej i w nieszczęśliwym ruchu 1846 roku uwięziony, skazanym został na ciężkie kilkonastoletnie więzienie. Wypadki 1848 roku uwolniły go. Dostawszy się na wolność pośpieszył do Węgier, gdzie się do legionu polskiego zaciągnął i w artyleryi dosłużył się stopnia podporucznika. Podczas kampanii krymskiej, służył w pułku kozaków sułtańskich, poczém dostał się do Anglii, gdzie oddawał się pracy dla utrzymania życia, a szacunek współtowarzyszy wygnania zjednać dla siebie potrafił. Umarł w Londynie na suchoty d. 22 lutego 1868 r. pochowany na cmentarzu Highgate.

KRAUSE Jan, lat około pięćdziesięciu mający, umarł temu lat cztery w Montpellier w szpitalu. Rodzice jego mieli pensyą młodzieży we Lwowie. Sposobiąc się także do zawodu nauczycielskiego, w roku 1831 porwany wraz z innymi patryotyczném uczuciem, udał się do Królestwa, i wszedł do pułku galicyjskiego legii Nadwiślańskiej. Po skończonej wojnie, wróciwszy do Galicyi, oddał się powtórnie

zawodowi nauczycielskiemu, pomagając rodzicom. Poważany i lubiony wskutek miłego i towarzyskiego usposobienia, naukom się oddający, powołany został w r. 1848, wyborem na posła Jarosławskiego, na Sejm austryacki. Przebył na nim cały czas tak w Wiedniu jak i w Kromieryżu, należąc do koła posłów polskich, którzy pod przewodnictwem Smolki tak piękną rolę odgrywali, i tak zaszczytną kartę w dziejach naszych zdobyli. Krause nie był mowcą, ale pracował dużo w komisyach, szczególniéj w téj co się zajmowała rozporządzeniami wychowania publicznego, należąc do ułożenia ustaw ówczesnych w tym tak ważnym przedmiocie. Nadto, miał nie mały wpływ na kolegów sejmowych stanu włościańskiego z Galicyi, którzy w głosowaniu nieraz słuchali jego dobrych rad.

Po upadku Sejmu austryackiego, szukał Krause témczasowo schronienia w Saksonii, zkąd, dowiedziawszy się jaki los spotkał kilku z młodszych jego kolegów sejmowych, których reakcya austryacka w szeregi na prostych żołnierzy wtrącała, nie chcąc temu losowi podpaść, udał się na mieszkanie do tyle zawsze dla nas gościnnej Szwajcaryi. Osiadł w Genewie, gdzie przy pomocy rodaków tamże mieszkających, z usposobieniem i wykształceniem jakie posiadał, znalazł stosowne utrzymanie w udzielaniu nauki języka niemieckiego. Mianowany następnie profesorem tegoż języka w gimnazyum, otrzymał naturalizacyę genewską, przez co został zarazem obywatelem szwajcarskim.

Praca nadwątliła zdrowie jego, mocne cierpienia w sercu przymusiły go do zaprzestania jej, a gdy otworzyła mu się sposobność udania się w strony rodzinne, otrzymawszy miejsce mniej mozolnej pracy wymagające, a z usposobieniem jego stosowne, w Małéj-Rossyi, udał się przez Warszawę, Galicyę pomijając, za Kijów, jako Szwajcar, do jednego z bogatych tam obywateli, na bibliotekarza. Parę lat tam zaledwie przebywszy, przybył wprost do Montpellier, podobno w zupełnie złym stanie zdrowia, i tam życie zakończył. M. H. N.

LEWANDOWSKI Józef rodem z Płocka, w 1831 roku podoficer w 7ym pułku ulanów, dostawszy się z wychodźtwem do Francyi, umarł d. 9 marca 1868 roku w Villeneuve (Lot et Garonne), licząc 55 lat wieku.

LISZEWSKI Ignacy, syn Benjamina i Maryi z Zakrzewskich, urodził się w Warszawie, d. 31 lipca 1806 r. Dnia 1 stycznia 1822 wstąpił jako ochotnik do pułku grenadyerów; 10 czerwca 1827 podniesiony na podporucznika w tymże pułku, 26 marca 1831 na porucznika do drugiego pułku piechoty liniowej, a 30 lipca 1831 na kapitana do szesnastego pułku piechoty liniowej. Miał udział w bitwach : pod Grochowem, Iganiami, Kuflewem, Ostrołęką i Warszawą. W 1833 r. należał do oddziału, który pod dowództwem pułkownika Ludwika Oborskiego opuścił nagle Francyą w celu poparcia zamierzonego powstania w Niemczech i w Polsce. W 1834 był w oddziale polskim, który poparł wkroczenie wychodźców włoskich do Sabaudyi. Zawsze gotów do poświęcenia krwi za sprawę Ojczyzny, był jednym z pierwszych, którzy wyruszyli w 1848 do Polski. Przez ostatnich lat kilkanaście był konduktorem dróg i mostów w Nancy, gdzie zakończył swą pielgrzymkę w szpitalu, d. 9 sierpnia 1868 r. zostawiając po sobie imię gorliwego obrońcy Ojczyzny. J. B.

LUBLINER Ozeasz Ludwik, urodził się w Warszawie, d. 14 sierpnia 1809 roku; z rodziców starozakonnych; zrazu uczył się tylko Talmudu, jak większa część młodzieży jego wyznania w kraju, ale gdy dorósł lat piętnastu, ojciec jego Samuel zapisał go do gimnazyum księży Pijarów, do którego pilnie uczęszczał i gdzie tak zwany examen dojrzałości (*maturitatis*) w 1830 r. złożył, przed samém prawie listopadowém powstaniem. Czynny w samym jego początku, zaciągnął się zaraz do gwardyi honorowej, a po jej rozwiązaniu (1 maja 1831 r.) wszedł jako prosty żołnierz do grenadyerów (9go pułku piechoty liniowej), chociaż jako starozakonny mógł opłatą trzynastu złotych podatku uwolnić się od służby wojskowej. Za odznaczenie się w bitwie pod Paprotnicą (d. 15 sierpnia) podniesiony na podchorążego, bił się walecznie podczas obrony Warszawy, (6 i 7 września) i dwa razy ranny, do szpitala odniesionym został. Współtowarzysze, chociaż nieobecnego w Modlinie przedstawili za okazane męztwo do srebrnego krzyża wojskowego, który mu też przyznanym został. Wyleczywszy się z ran wrócił do rodzicielskiego domu z zamiarem prowadzenia dalej przerwanych w czasie powstania nauk, ale oskarżony o udział w niém i w skutek tego uwięziony, za pomocą pieniędzy potrafił wydostać się chwilowo na wolność i korzystając z tego przekradł się do Krakowa, gdzie się zaraz na uniwersytet zapisał. Zaledwo dwa miesiące tam spędził, gdy rząd moskiewski od wolnej jeszcze wtenczas Rzeczypospolitej zażądał wydalenia młodego emigranta. Lubliner udał się wtenczas do Belgii (w maju 1832 r.) gdzie wszedłszy do uniwersytetu w Louvain, stopień doktora prawa otrzymał, (d. 3 sierpnia 1835), w skutek czego został adwokatem przy sądzie apelacyjnym brukselskim. Zjednawszy sobie w tym zawodzie poważanie i wziętość, w funduszu żony którą wtenczas pojął znalazł środki zaspokojenia potrzeb życia, a przez to możność oddania się pracom naukowym i politycznemu piśmiennictwu. W dziennikach belgijskich starał się wyświecać sprawę polską i domierzane przez Moskwę gwałty i niesprawiedliwości, a poświęcał temu obszerniejsze prace; nie mniej zajęty też był losem współwyznawców swoich w Polsce, w których chciał rozwijać gorące dla wspólnej ojczyzny uczucia jakiemi sam był ożywiony i temu przedmiotowi nie jednę pracę poświęcił. Należał od 1842 r. do końca życia do Towarzystwa Demokratycznego, a od 1862 r. był członkiem « Zbratnienia polskiego wszystkich wyznań » będąc jednym z jego założycieli. Mieszkający w Brukselli Lelewel był często uprzejmie w jego domu przyjmowanym gościem. Lubliner umarł w Brukselli, z raka na ustach, d. 25 lutego 1868 r. pochowany tamże na izraelskim cmentarzu. Pisma jego ogłoszone drukiem w Brukselli są następujące : *Des juifs en Pologne, examen de leur condition civile et politique*, 1839 ; *Essai critique sur la nouvelle loi sur le mariage en Pologne, promulguée en* 1836, 1840 ; *Concordance entre le code civil du royaume de Pologne et le code civil français, relativement à l'état des personnes*, 1846 ; *Analyse raisonnée sur le nouveau code pénal russo-polonais, promulgué en* 1847; (umieszczona w *Revue des Revues*, 1850 r. tom XIIIty); *Des diverses amnisties russes octroyées aux Polonais par l'empereur Nicolas* I *et Alexandre II*, 1857 ; *De l'abolition du servage en Russie* 1858 ; *Obrona żydów zamieszkałych krajach polskich* 1858 ; *Napaść p. Lesznowskiego na Polaków wyznania mojżeszowego*, 1859 ; *Des confiscations des biens des Polonais sous le règne de l'empereur Nicolas I*, 1860. Zostawił prócz tego w rękopismie : *Historya Żydów w Polsce* we francuzkim języku, będącą dopełnieniem rozszerzonego znacznie dzieła jego z 1839 r. o *Żydach w Polsce* i doprowadzoną do 1860 ; i *Fragments sur la juris-*

prudence; prócz tego następujące rozprawy o dogmatach Kościoła katolickiego: *Exposé général du dogme chrétien sur le motif et le but de l'incarnation du fils de Dieu*, *Naissance de Jésus*, *Généalogie de Jésus*, *Mère de Dieu Vierge*.

ŁAGIEWSKI Damazy, rodem z Kaliskiego, w 1846 r. ścigany za tajne stowarzyszenia patryotyczne, opuścić musiał kraj; internowany zrazu w Magdeburgu, dostał się później do Francyi, ale prędko ztamtąd do Florencyi na wieść o wybuchłej tam rewolucyi pośpieszył; wysłany z Florencyi do Paryża dla werbowania wychodźców naszych do mającego się formować legionu, gdy rząd francuzki tej wyprawie przeszkodził, udał się z wielu innymi w Badeńskie, gdzie służył pod dowództwem jenerała Mierosławskiego w stopniu porucznika. Na wieść o powstaniu 1863 r. pośpieszył do kraju i jako prosty żołnierz zaciągnął się do drugiego batalionu, pod rozkazami Langiewicza. W potyczce pod Grochowiskami dnia 18 marca odcięty od tyralierów i przez Moskali otoczony, dostawszy pięć pchnięć bagnetem, zostawiony był na pobojowisku między zabitymi. Po kilku godzinach odzyskał jednak przytomność, i udało mu się jeszcze dostać do Krakowa, gdzie przyjęty do szpitala ś. Ducha, pozostał w nim lecząc się z ran, aż do ogłoszenia w Galicyi stanu oblężenia. Zmuszony wtenczas opuścić Kraków, udał się do Paryża, gdzie pomimo złamanego zupełnie zdrowia i odnawiających się ciągle ran, pracował aż do śmierci w biurze ministeryalném, jako numerator akcyj, zarabiając tym sposobem na życie. Umarł w Paryżu, d. 9 października 1868 r.

ŁAGUNA Józef, urodzony 1835 r. na Podolu, spędziwszy całą młodość na Ukrainie przywiązał się do niej namiętnie; z ducha, nawyknień, upodobań i mowy stał się nawet prawdziwém dzieckiem tej bujnej a tęsknej ziemi. W 1863 r. gdy wybuchło powstanie na Rusi zaciągnął się do oddziału Platona Krzyżanowskiego; w potyczce między Bułhajami a Piczymami, w powiecie Lipowieckim, (d. 3 maja) zraniony w skutek upadku zabitego pod nim konia, został na placu; szczęśliwie uniknąwszy rąk nieprzyjacielskich, dostał się później do Mołdawii, gdzie mozolną pracą na kawałek chleba zarabiał. Sprowadzony w 1865 roku przez brata swego Mikołaja do Paryża, i dla poratowania zdrowia kosztem rządu francuzkiego wysłany do Amélie-les-bains, w Pyreneach, umarł tam z suchot, d. 15 września 1866 r.

ŁUKOMSKI Ludwik rodem z Radomia, należał do powstania 1863 roku; okryty ranami dostał się za granicę, i przybywszy do Francyi udał się do Pau, szukając w cieplejszym klimacie ratunku dla sił nadwątlonych. Umarł tamże dnia 3 sierpnia 1868 roku.

ŁUNIEWSKI Gabryel, był synem oddawna osiadłej w miasteczku Biały na Podlasiu rodziny; nauki odbył w Biały, a potém w Marymoncie, sposobiąc się na agronoma. Ożeniwszy się z siostrą Józefa Kraszewskiego Anną, która wkrótce umarła zostawiwszy mu syna, trzymał dzierżawą na Wołyniu a potém nabył wioskę Holeszów. Bystrym umysłem z natury obdarzony, własną pracą starał się wynagrodzić niedostatek tego wykształcenia, jakie w ówczesnych zakładach naukowych było udziałem całej młodzieży naszej, i czynny brał udział w ruchu umysłowym,

jaki się budził w kraju, wszystkie też społeczne i ekonomiczne kwestye podejmowane wtenczas zajmowały go żywo. Dotknięty ciężką piersiową chorobą, i zmuszony szukać południowego klimatu, sprzedał swą wioskę i do Włoch wyjechał. Tam zaledwo trochę wzmocnionego na zdrowiu, doszła go w Rzymie wiadomość o powstaniu 1863 roku. Pomimo ostrzeżeń lekarzy, utrzymujących że podróż do kraju mogła dla niego stać się śmiertelną, z wiosną wyjechał do Krakowa, a ztamtąd nawet do Warszawy, gdzie nabraną przez kilkoletni pobyt we Włoszech znajomością stosunków rzymskich, starał się służyć Rządowi Narodowemu. Zapewnił był sobie w wiecznem mieście stałych korespondentów, i wiadomości ztamtąd udzielał. Wypracowany przez niego we wrześniu memoryał o konieczności utworzenia w Rzymie politycznej agentury, która świadcząc przed Stolicą Apostolską o katolickich uczuciach władzy kierującej ówczesnemi usiłowaniami narodu, dostarczałaby jej zarazem wiadomości o domierzanych przez Moskwę gwałtach i prześladowaniu Kościoła, dobrze przyjętym został. Gdy zmiany w samym składzie Rządu Narodowego zaszłe, wykonanie tej myśli odroczyły, a ściągnięta uwaga policyi zmusiła go opuścić Warszawę, wrócił do Krakowa, gdzie zaledwo w listopadzie odebrał nominacyą na agenta politycznego w Rzymie, (z d. 29 października). Miał złożyć Ojcu świętemu adres dziękczynny Rządu Narodowego za ogłoszone uroczyste za Polskę nabożeństwo, i stać się przed nim tłumaczem uczuć i cierpień narodu. Pośpieszył do Rzymu, dokąd przybył d. 14 grudnia 1863 r. Trudności położenia były ogromne, bo officyalnie uznanym być nie mógł, a i prywatnego stanowiska odpowiedniego nowym obowiązkom swoim nie posiadał; zmuszony do wielkiej oględności, przepisanej mu nawet w instrukcyi Rządu Narodowego, aby Moskwie broni przeciw sobie nie podał, musiał ograniczyć się nielicznemi stosunkami dawnemi, które rozszerzyć się starał. Dzięki niezmordowanej gorliwości swojej i wielkiej rozwadze, a także życzliwemu dla nas współczuciu Stolicy Świętej, zdołał jej nieraz dostarczyć wiadomości o domierzanych w kraju gwałtach i prześladowaniu, w czém mu dopomagano z Paryża; układał sam memoryały, dla pokazania prawdziwego ducha Moskwy, tłumaczył pisma przez nią dla ludu wiejskiego przeznaczone, a Kościołowi najbardziej nieprzyjazne; co mógł czynił aby i naród walczący i jego nieprzyjaciela dać poznać istotnie. Przełożył też prośbę o kanonizacyą błogosławionego Józafata Kuncewicza i pierwsze kroki poczynił w tej sprawie, którą już wtenczas z polecenia Ojca Świętego zajmowano się w Rzymie. Rząd Narodowy spodziewał się zrazu dostarczyć funduszów na opędzenie kosztów niezbędnych przy ogłoszeniu dekretu kanonizacyi, ale wkrótce ujrzał się w zupełnej niemożności dokonania tego; jednocześnie z coraz wyraźniejszém upadaniem powstania i wszelkie wiadomości z kraju rzadziej dochodzić agenta rzymskiego zaczęły; przez czas jakiś dostarczał mu ich jeszcze Paryż, ale i to niedługo już trwało; missya jego miała się skończyć. W skutek ogłoszonego w Galicyi stanu oblężenia, duchowni nasi zmuszeni do opuszczenia kraju, licznie do Rzymu przybywać zaczęli. Łuniewski w miarę możności swojej zajął się wtenczas ich potrzebami, a jako agent Rządu Narodowego starał się o zaprowadzenie między nimi jedności i pewnego nawet porządku. Zbyt świeże jeszcze są te wszystkie wypadki, aby szczegółowo tutaj opowiadane być miały; agentura rzymska zresztą bardzo mało na losy powstania wpłynąć mogła; Łuniewskiemu brakło niezawodnie wielu warunków, z samego położenia towarzyskiego wypływających, a w Rzzmie koniecznych, dla spełniania missyi, jaką mu poruczono, to jednak

pewna, że raz do pełnienia tych obowiązków powołany, oddał im wszystkie swe siły, pomimo zupełnie zniszczonego zdrowia niczém znużyć się nie dał, a we wszystkiém co przedsiębrał tylko dobro sprawy miał na celu. Gdy w lipcu 1864 r. Jan Kurzyna jako pełnomocny reprezentant ówczesnej władzy narodowej zażądał od niego uznania i posłuszeństwa, złożył swój mandat i odtąd za zupełnie prywatnego uważał się człowieka.

Zdrowie tymczasem pogorszyło się bardzo; nieszczęścia krajowe pozbawiły go w znacznej części dotychczasowych środków utrzymania, musiał coraz więcej rzeczy niezbędnych nawet sobie odmawiać. Spokój ducha jednak zawsze jednaki zachowywał; « przyzwyczaiłem się do oszczędności o jakiej nie miałem wyobrażenia » pisał do jednego z przyjaciół, a pomimo to dzielił się chętnie ostatkiem z potrzebującymi, a dla bliższych był zawsze wylanym, i wobec ich potrzeb lub żądań zupełnie o sobie zapominającym. Zmuszony mieszkać na południu, zimę w Rzymie, Florencyi lub Pizie przepędzał, lato na wyspie Elbie; tam, ratując kanonika Lubowickiego którego wysoko poważał, a który nagle niebezpiecznej dostał był choroby, sam zapadł ostatecznie i już się podźwignąć nie mógł. Przyjechał jeszcze do Pizy, ale czuł że chwile jego były policzone. Zawsze głęboko i szczerze religijny, spokojnie i w pewném rozpromienieniu nawet garnął się do wieczności; wcześnie wszystkiemi opatrzony sakramentami, do ostatniej chwili zupełnie przytomny i rozpogodzony, żegnał przyjaciół wyrażając nadzieję, że i po za grobem ich i Ojczyzny kochać nie przestanie i zgasł cicho, d. 13 kwietnia 1868 r. o godzinie 7mej po południu, budując swym zgonem obecnych, którzy powtarzali, że sprawiedliwy tylko taką śmiercią umiera. Rodacy skromną marmurową tablicę na jego pamiątkę w ścianach Pizańskiego *Campo-Santo* umieścili.

MACIEJOWSKI Stanisław, rodem z Warszawy, osiadłszy jako emigrant w Londynie, utrzymywał się z dawania lekcyj muzyki. Umarł d. 5 marca 1868 r. licząc 65 lat wieku.

MILKIEWICZ Edward, urodzony w Wilnie 1810 r. umarł w Genewie w maju 1868 r. Odbywał nauki w r. 1831 na uniwersytecie wileńskim. Wiadomo że młodzież na niego uczęszczająca, w liczbie 800, opuściła miasto, dla połączenia się z powstaniem litewskiém. Za przybyciem jenerała Chłapowskiego na Litwę w maju, oddział tak zwany Akademików, został przyłączonym do tegoż korpusu, tworząc oddzielny batalion, oddany pod dowództwo wypróbowanego ze zdatności oficera Aleksandra Stryjeńskiego, który pochodząc ze szkoły aplikacyjnej w Warszawie, odbywał już kampanię turecką z Chrzanowskim. Było mu poleconém, młodzież tę usposobić na oficerów, do mających się tworzyć nowych batalionów na Litwie. Gdy po nieszczęsnej pod Ostrołęką walce jenerał Giełgud, przybywszy na Litwę, po objęciu ogólnego dowództwa, szedł na zdobycie Wilna, batalionowi temu Akademików, który w kilku tygodniach został wyćwiczony jak stary żołnierz, przeznaczoném było odegrać ważną rolę ,wejścia wstępnym bojem do Wilna! Lecz niestety! trzeba było z Ponar ustąpić!... W kilkanaście dni później, batalion ten, po odbytej lustracyi przez Giełguda został rozwiązany, i każdy z tej akademickiej młodzieży stosownie do usposobienia i woli, dostał przeznaczenie w wojsku tam się znajdującém.

Milkiewicz wstąpił do bateryi konnej Czetwertyńskiego, w stopniu podporucznika, w korpusie jenerała Rolanda. Korpus ten chroniący się do Prus, ciągle był ścigany przez Moskwę. W utarczkach nieraz Milkiewicz okazywał się dzielnym i zdolnym oficerem. W r. 1832 przybył na wychodźtwo do Besançon, zkąd w r. 1834 wraz z 400 rodakami wkroczył do Szwajcaryi, kiedy zapowiedziana rewolucya w Niemczech spełzła na niczém. Osiadłszy w dolinie Saint-Imiers, w Kantonie Berneńkim, gdzie uzyskał naturalizacyę, oddał się Milkiewicz zegarmistrzostwu. Tam poślubił córkę jednego z domów Szwajcaskich, które szczególniej się odznaczały przychylnością dla rodaków naszych, pannę Belrichard. W kilka lat owdowiawszy z czworgiem małych dzieci, przeniósł się do Genewy, aby szukać stosowniejszego i bardziej odpowiadającego zdolnościom jego zatrudnienia. Nie mało utalentowany muzyk, oczytany dużo, nadto w towarzystwie nadzwyczajnie miły, przyjemny, a nawet wesoły, pomimo bardzo smutnego materyalnego położenia, powszechnie lubiony, zajmował się dawaniem lekcyi, to języka polskiego, to muzyki, nie opuszczając jednak pracy w zegarmistrzostwie, jednej z najprzykrejszych i najżmudniejszych, wyrabiania małych kółek do zegarków cylindrowych, w czém doszed do wielkiej zręczności.

W czasie ostatnich nieszczęsnych w kraju naszym wypadków, w Genewie odbyło się w pałacu wyborom poświęconym, wielkie zebranie ludowe, współczucie dla polskiej sprawy objawiające, złożone po największej części z pracujących w zegarmistrzostwie, tam także *ouvrierami* zwanych. Milkiewicz wszedłszy na trybunę, aby w imieniu Polaków podziękowanie oświadczyć, doznał prawdziwej owacyi od swych współtowarzyszów pracy!

Ciężką w końcu chorobą złożony, toczącym go wewnątrz skirem, miał przynajmniej tę pociechę, że dzieci jego stosownie wychowane: córki zajmując już z chlubą miejsca nauczycielek w kraju, a syn w domu handlowym w Anglii, mają los w części zapewniony!

Śmierć jego powszechny żal między rodakami w Genewie wzbudziła. Licznie też zgromadzeni odprowadzili go do ostatniego na cmentarz mieszkania, a szczególnym trafem, ten sam Aleksander Stryjeński, co pod Wilnem prowadził ów legion Akademicki, w którym Milkiewicz się znajdował, teraz osiadłszy w Genewie, gdzie jest inżynierem kantonalnym, i gdzie dziś równie zaszczytnie cyrklem włada jak niegdyś orężem, przewodniczył także rodakom odprowadzającym na wieczny spoczynek zwłoki Milkiewicza!

M. H. N.

OLCZAKOWSKI Jan, rodem z Warszawy, powstaniec z 1863 roku, dostawszy się za granicę osiadł we Włoszech, i tam w Turynie umarł na suchoty, dnia 13 lipca 1868 roku, licząc 25 lat wieku.

OLSZEWSKI Antoni Julian, syn Ignacego i Magdaleny z Zawadzkich, urodził się dnia 5 marca 1800 r. w Liwie, w powiecie Siedleckim. Zaciągnąwszy się 1 maja 1828 r. do 4go pułku konnych strzelców wojska polskiego, odbył w tym pułku całą kampanię 1831 roku, podczas której pełnił też obowiązki adjutanta polowego przy jenerałach Klickim i Łubieńskim. Powstanie listopadowe znalazło go podporucznikiem. Miał udział w bitwach: pod Dębem, Wawrem i Grochowem

(18, 16 i 25 lutego), pod Wawrem i Dębem (29 marca), pod Kałuszynem i Boimiem (30 marca), pod Nurem, Ostrołęką, Łysobykami i Raciążem. Ozdóbiony krzyżem złotym *virtuti militari*, dosłużył się stopnia kapitana; odrzucił zaś ofiarowany sobie (d. 6 czerwca) stopień majora w rezerwach, aby pozostać na linii bojowej; w czynnej też służbie wytrwał do końca. Wszedł do Prus z główną armią, a dostawszy się na wychodźtwo sumiennie na utrzymanie życia zarabiał. Gotów biedz zawsze na każdy poszczęk broni ojczystej, w 1845 r. był w Krakowie; w 1856 od 1 kwietnia do 31 lipca służył jako major w dywizyi kozaków sułtańskich; w 1863, pomimo podeszłego wieku, chciał udać się do szeregów powstańczych i zaledwo rady przyjaciół wstrzymać starca zdolały. Umarł w Auxerre, dnia 20 marca 1868 r.; spoczywa na tamecznym cmentarzu w pobliżu Maurycego Mochnackiego, pod skromnym kamiennym pomnikiem.

PETRYKOWICZ Szymon, podoficer w kampanii 1831 roku, osiadły po wyjściu za granicę w Orleanie, umarł w tém mieście d. 31 grudnia 1868 r. licząc lat 66.

PŁOSZCZYŃSKI Napoleon, rodem z Biały Podlaskiej, w 1831 r. służył w 4tym pułku strzelców konnych i otrzymał stopień porucznika. Dostawszy się na emigracyą, przez lat przeszło dwadzieścia był nauczycielem rysunków przy uniwersytecie londyńskin. Umarł w New-Cross około Londynu, d. 26 maja 1868 roku.

POTOCKI (hr. Aleksander Piławita), urodził się w Tulczynie, 9 maja 1798 r. umarł w Dreznie 24 sierpnia 1868 roku.

Ojcem jego był Stanisław Szczęsny Potocki, chorąży w. koronny, starosta bełzki; poseł na sejmy, wojewoda lwowsko-ruski, jenerał artyleryi koronnej, marszałek konfederacyi koronnej targowickiej; matką jego była Zofia Czelicze-Wittowa, rodem Greczynka.

Szczęsny Potocki miał za pierwszą żonę, Gertrudę Komorowską, drugą Amelię Mniszchównę i z niej było jedenaścioro dzieci. Z trzeciej żony było pięcioro dzieci. Owoż z tego trzeciego małżeństwa urodził się był *Aleksander*, tak jak z drugiego, był *Włodzimierz*. Obaj ci bracia znaleźli się w zupełnie podobném położeniu względem ojca, względem Polski i względem Moskwy, i dla tego tu się o nich mówi.

Za panowania Stanisława Augusta trzy były główne konfederacye : Barska w r. 1768, Warszawska w r. 1788 i Targowicka w r. 1792.

Pierwsza była protegowana i zachęcana przez Austryą, która zdradziła konfederatów, i pierwsza w r. 1770 najechała ziemie polskie, i najwięcej ich zagarnęła w pierwszym podziale, między trzech zaborców.

Druga była protegowana i zachęcana przez Prusy, które zdradziły konfederatów, i pierwsze w początku 1793 r. najechały ziemie polskie, i najwięcej ich zagarnęły w drugim podziale 1793 r. między dwóch zaborców.

Trzecia była protegowana i zachęcana przez Moskwę, która zdradziła konfederatów i w r. 1793 najechała ziemie polskie i najwięcej ich zagarnęła w trzecim podziale, między trzech zaborców.

W konfederacyi barskiej było siedmiu Potockich, oszukiwanych przez Austryą.

W konfederacyi warszawskiej, było pięciu Potockich oszukiwanych przez Prusy. W konfederacyi targowickiej był jeden Potocki, oszukiwany przez Moskwę.

Ponieważ drugi podział Polski wywołał powstanie narodowe 1794 r. którego nieudanie się sprowadziło trzeci podział i upadek polityczny zupełny, a więc narzekania na Szczęsnego musiały być głośniejsze, nawet ze strony innych Potockich, aby mniej ich obwiniano o zawody jakich doznali w dwóch poprzednich konfederacyach. Zresztą nadużycia i zbrodnie jakich dopuszczali się Targowiczanie, gdy zawsze zasłaniali się imieniem Szczęsnego; a więc przypłacał on za wszystko swoją reputacyą.

W tak ogólném nieszczęściu, pod jakiém upadała Polska przez cały wiek XVIII; gdy pomimo najróżnorodniejszych prób i usiłowań, nigdzie nie udało się oswobodzić ojczyzny, a więc nie można *usprawiedliwiać* lub *chwalić* znakomitszych aktorów tego dramatu, ale głównie *wyjaśniać*, jeśli oni działali w dobrej wierze, i stawiać ich za przykład, jak ich następcy mają unikać sideł obcych. Nagana zaś lub przekleństwo dosięgać powinny tych, co rozmyślnie zdradzali sprawę publiczną.

Szczęsny Potocki czuł głęboko skutki swej arystokratycznej dumy i swej dobrodusznej wiary w przyrzeczenia Katarzyny II. Porównywał on, jak pięknie był zaczął, w r. 1772, swój żywot publiczny i gospodarczy, a jak go szpetnie zwichnął w r. 1792 i dla tego to w r. 1805 na łożu śmiertelném, otoczony liczną dziatwą, zobowiązał był syna swego *Włodzimierza*, aby ten, przy pierwszej szczęśliwej zręczności dopełnił polskiej powinności, i tym sposobem, jeżeliby nie potrafił zupełnie zmyć z ojca plamy targowickiej, to przynajmniej przekonać Polaków, iż nie był *zdrajcą* za jakiego powszechnie go mianowano. Jakoż *Włodzimierz* z początku musiał był wejść w służbę moskiewską i był pułkownikiem w gwardyi. Ale gdy w r. 1807 powstało Księstwo Warszawskie, udał się do niego i swoim kosztem wystawił bateryą artyleryi konnej, i z nią okrył się chwałą w kampanii 1809 roku. Car Aleksander I raz gromił i sekwestrował jego majątki, drugi raz przyrzekał swą łaskę i amnestyą, ale Włodzimierz odmawiał wszystkiego i wczesną śmiercią, przed otwarciem kampanii 1812 r. umarł w Krakowie, pozostawszy wiernym ojczyznie *usque ad finem!*

Zupełnie tą drogą przechodził *Aleksander*. Był on świadkiem zalecenia danego przez Szczęsnego Włodzimierzowi. Miał wtenczas lat siedm wieku, ale słowa ojcowskie utkwiły w umyśle dziecięcia. Jak Włodzimierz, musiał i on wejść w służbę moskiewską. Odbył kampanię przeciw Turkom i Persom; wszędzie się odznaczał, obsypywany chrestami, był pułkownikiem w gwardyi; ale w r. 1829 mógł opuścić służbę.

Gdy wybuchło powstanie listopadowe 1830 roku, Aleksander Potocki znajdował się we Włoszech, i tam swoim kosztem utrzymywał artystów polskich, którzy pomagali mu do przygotowania opisu podróży, a którego skutki miały być zastosowane do Polski. Lecz powstanie to zajęło zupełnie jego umysł. Po złożeniu ofiar na ołtarzu ojczyzny sam został dowódzcą 5° pułku strzelców konnych, i walczył przeciw Moskwie tak dzielnie, jak brat jego Włodzimierz, przeciw Austryi.

Smutny koniec powstania wywołał tułactwo, a z niém Aleksander Potocki przebywał już to w Niemczech, już to we Francyi, już to we Włoszech. Posiadacz Zofiówki i ogromnej Humańszczyzny, obejmującej 30,000 dusz męzkich, tracił więcej niżeli który inny z bogatych posiadaczy na tułactwie. Car Mikołaj I ofiarowywał mu po trzykroć amnestyą i zwrot jego majątku, ale wszystko odparł mó-

wiąc : « iż mając na swej duszy zalecenie ojcowskie i przykład braterski, więcej mu przystało niż komu innemu, dać nowy przykład z siebie. » i zacny Aleksander Potocki wytrwał w najszczytniejszej swej polskości *usque ad finem* !

Pozbawiony majątku przez konfiskatę mikołajowską, znalazłby się w biedzie, ale komisarz jego uratował całoroczny przychód; a jaka musiała być wartość majątku jego, gdy mógł mieć 40,000 franków rocznej intraty z tego jednego rocznego przychodu? Z jaką skromnością używał tego funduszu dla siebie, a z jakiém miłosierdziem i obfitością dla ubogich tułaczy i na rozmaite zakłady, wszystkim wiadomo. Do tych, którzy z tego korzystali, należy ogłosić, raz jako dowód wdzięczności, a powtóre aby żywot patryotyzmu i dobroczynności Aleksandra Potockiego, mógł służyć za wzór dla tych, co mogliby a nie chcieli, lub nie umieli go naśladować.

Pogrzeb jego odbył się na cmentarzu Drezdeńskim, d. 28 sierpnia, przy liczném zgromadzeniu Polaków i obcych. Dwie mowy były powiedziane, po polsku i po francuzku. Sam sobie zostawił napis, mający być wyrytym na kamieniu pogrobowym : *Aleksander Potocki, tułacz polski, umarł* 1868 *r. przebywszy siedmdziesiąt lat życia swego w cierpieniach.* »
Le. Ch.

RYBAKOWSKI Floryan, rodem z Polesia, powstaniec z 1831 r. służył w jeździe; na wychodźtwie dostał się do Anglii, i w Londynie w szpitalu ubogich umarł, dnia 24 grudnia 1867 r. w 58ym roku życia.

SADOWSKI Franciszek, rodem z Wołynia, powstaniec z 1831 r. po upadku sprawy dostawszy się za granicę, osiadł we Włoszech i przez kilkanaście ostatnich lat życia pełnił w Genui skromny obowiązek odźwiernego na stacyi kolei żelaznej. Umarł tam d. 18 sierpnia 1868 r. zostawiając rodzinę w zupełném ubóstwie.

SIEDLIKOWSKI Wincenty, rodem z Podlaskiego, oficer artyleryi przed listopadowém powstaniem, odbył kampanią 1831 r. i wraz z innymi wyszedłszy za granicę, dostał się do Francyi, gdzie uczciwie na utrzymanie swoje i rodziny pracował. Był stałym członkiem Towarzystwa Demokratycznego polskiego. Po stracie żony i córki dostawszy pomięszania umysłu, umarł w szpitalu w Evreux, w październiku 1868.

SIENKIEWICZ Aleksander rodem z Wilna, służył w 4tym pułku strzelców; dostawszy się na wychodźtwo, osiadł we Francyi, i utrzymywał się z mechaniki; umarł nagle d. 16 sierpnia 1868 r, w Chateau d'eau (dep. Charente inférieure), zostawiwszy żonę i dwie zamężne córki. Jak był szanowanym przez miejscową ludność, dowiódł tego pogrzeb jego, któremu towarzyszył liczny orszak mieszkańców, z burmistrzem na czele, wśród oznak szczerego żalu i poważania.

SIERPIŃSKI Błażej, urodził się pod Warszawą, we wsi Wiązowice, w 1800 r. mając lat 26 wszedł do wojska, i zapisany do sławnego później 4go pułku piechoty liniowej, odbył z nim całą kampanię 1831 roku. Wszedłszy z resztą wojska naszego do Prus, odesłanym został wraz z innymi do twierdzy Grudziąż, gdzie przez dwa lata trzymany, gdy ani groźbą, ani obietnicami nie dał się skłonić do powrotu, wsadzony na okręt, dostał się w 1833 roku do Portsmuth, i odtąd w Anglii pozostał. Osiadłszy w Londynie przez lat przeszło 27 pracował tam w fabryce

cynku, doznając ze strony przełożonych swoich największego zaufania, na które pilnością i sumiennem pełnieniem obowiązków zasłużył. Umarł dnia 17 września 1868 r. w szpitalu niemieckim, zostawując żonę i troje dzieci

STARZYŃSKI Stanisław żołnierz od lat najmłodszych, w 16tym roku życia jako ochotnik zaciągnął się do pułku grenadyerów wojska polskiego; listopadowe powstanie znalazło go w tymże pułku podporucznikiem; przeniesiony do 5go pułku piechoty, w nim odbył całą kampanię 1831 roku i ozdobiony krzyżem zasługi wojskowej, stopniami aż na majora posuniętym został. Wyszedłszy z innymi za granicę dostał się do Francyi i osiadł w mieście Orleanie. Tam starając się pracą zarobić na życie, póki mu zdrowie służyło, zastępował miejsce kapitana na statku parowym odbywającym podróże po Loarze, między Orleanem i miastem Névers; później używanym był jako dozorca przy czyszczeniu tej rzeki. Zacném i nieskazitelném swém życiem zasłużył na ogólny szacunek nie tylko zamieszkałych w Orleanie rodaków ale też i Francuzów. Z przyjacielem swym Cypryanem Czajewskim umówił się, że kto z nich pierwszy umrze, tego pogrzebem zajmie się pozostały; gdy po śmierci Starzyńskiego przyjaciel do oddania mu ostatniej zabierał się posługi, uwiadomiony o zgonie zacnego majora jenerał Savares, wysłał oficerów i żołnierzy orleańskiego garnizonu, aby żałobnemu towarzyszyli orszakowi i cześć jeszcze zwłokom dawnego wojaka oddali. Pogrzeb odbył się wśród napływu licznie zebranej miejscowej ludności, dnia 25 maja 1868 roku. Starzyński umierając liczył lat 71.

SWIĄTKOWSKI Ludwik, urodzony d. 25 sierpnia 1839 r. ukończywszy gimnazyum realne w Warszawie w r. 1859 słuchał wykładu nauk kameralnych w Berlinie i w Paryżu, poczém zarządzał swym majątkiem ziemskim Pogroszew w okolicach Warszawy. W powstaniu 1863 r. brał czynny udział tak w organizacyi jako też częściowo i w obozie Langiewicza. Dotrwawszy do końca, opuścił kraj, a zaskoczony, nie ze swej winy, utratą całego majątku, rozpoczął na nowo studya w szzkole politechnicznej w Carlsruhe. Niezmordowaną pracą zwrócił prędko uwagę profesorów i po dwuletnich studyach otrzymał miejsce asystenta chemii przy tejże szkole. Kilka samodzielnych prac umieścił wtenczas w Rocznikach Liebiga. Następnie uzyskał posadę asystenta przy laboratoryum profesora St. Claire Dévilla w Paryżu, a w końcu korzystne miejsce chemika przy fabryce cukru w Douai.

Ale nie danem mu było cieszyć się owocami mozolnych i długoletnich zabiegów. Praca w laboratoryum, wśród powietrza napełnionego szkodliwemi gazami, podkopała jego zdrowie i po ciężkiej chorobie umarł w Douai dnia 10 września 1868 r. w wieku lat 29. Mimo licznych niepowodzeń, sieroctwa, tęsknoty za krajem i niedostatku, nikt nie słyszał z ust jego skargi, nikt nie był świadkiem, ani jednej z tych chwil goryczy, w których cierpienie zagłusza wiarę, a słowa chłodnego zwątpienia wyrywają się z piersi.

Pracował bez ustanku i znosił cierpienia tułactwa z niezłomną wolą i tym spokojem ducha, jakie nadaje tylko silna wiara i niczém niewzruszona nadzieja.

W. S.

SWIĘCICKI Józef, Gabryel, Michał, urodził się d. 8 Marca 1799 r, w powiecie Opoczyńskim, w majętności Dłużniewicach, z ojca Jana Kantego Swięcickiego i

matki Aldegondy z domu de Boussaint Laurens. Strona ta wtenczas należała do Austryi. Chłopak od dzieciństwa miał pociąg do wojskowego zawodu, i zaraz po utworzeniu Królestwa Kongresowego, zaledwo 16 lat licząc zaciągnął się jako ochotnik do 3go pułku piechoty liniowej (21 października 1815 r.) po kilku miesiącach przeniesiony do szkoły podchorążych, w 1817 r. został już oficerem, i wszedł do 4go pułku piechoty w którym miał zostać do końca. Był to jak wiadomo ulubiony pułk w. ks. Konstantego, najlepiej też wyćwiczony ze wszystkich, a Swięcicki znajomością służby i ścisłém jej wypełnianiem jeszcze się między kolegami odznaczał; posyłanym był na instruktora do rozmaitych pułków i ozdobiony za to krzyżem ś. Stanisława, niewiele przed listopadowém powstaniem, w nagrodę za 23 takich instrukcyj przedstawionym był na kapitana do pułku grenadyerów gwardyi; był wtenczas instruktorem szkoły podoficerów artyleryi polskiej i litewskiego korpusu. Zostawił w rękopiśmie obszerny *Pamiętnik*, historyi 4go pułku głównie poświęcony, nie odznaczający się formą, bo Swięcicki nie był pisarzem lecz przedewszystkiém żołnierzem, ale przepełniony duchem który ożywiał ten pułk bohaterski i dla tego ciekawy. Z tego pamiętnika wyjmujemy tu szczegóły do samego Swięcickiego odnoszące się.

Nie należał on do spisku, ale mówi że wiedział o istnieniu jego w wojsku; 29 listopada, przez porucznika Lubowidzkiego uwiadomiony od rana, że dzień ten na wybuch był przeznaczonym, uważnie przypatrywał się wszystkiemu. U wdrożonego do ścisłości i porządku żołnierza, zwykłe zajęcia żadnej nie uległy zmianie; obecny paradzie na placu saskim, bo 2gi batalion 4go pułku zaciągał w dniu tym wartę, chodził jak zwykle z posyłkami od pułku grenadyerów do W. Księcia, nawet młodzież ze szkoły artyleryi na codzienną musztrę zgromadził. Wbrew jednak zwyczajowi, po jej ukończeniu zapowiedział swym podoficerom, że się z nimi jeszcze wieczorem zobaczy; o czwartej już był w koszarach Sapieżyńskich, gdzie z kapitanem Damazym Dobrogojskim kazał kompaniom swego batalionu gotować się do wystąpienia, a gdy nadszedł wieczór i ruch miał się rozpocząć, wpadł jeszcze do mieszkania powiedzieć żonie, « że to dzień rewolucyi i wolności » pożegnał ją i dwoje dzieci i pobiegł do koszar. Przybył w chwili, gdy porucznik Lubowidzki chciał swoją kompanię prowadzić, dowódzca 4go pułku Bogusławski nie puszczał go; obydwa przemawiali do żołnierza, który do wielkiej przywykły karności, stał jeszcze niepewny wobec tych sprzecznych rozkazów. « Więc się tu będziemy aresztować, a arsenał w niebezpieczeństwie » zawołał Swięcicki. Na te słowa wszyscy dowódzcy kompanij jednozgodnie skomenderowali « na ramię broń, marsz! » pułkownika odepchnięto, pułk ruszył; w ulicy Zakromczyskiej dowództwo oddano najstarszemu z obecnych oficerów Swięcickiemu, ten go do arsenału poprowadził, w marszu rozdawano ładunki, nabijano broń; na ulicy Wołowej, Swięcicki kazał podwoić kroku i potrafił uprzedzić pułk gwardyi wołyńskiej i arsenał zająć; przybywszy na miejsce zdał dowództwo starszemu od siebie kapitanowi Roślakowskiemu, którego zaraz zastąpił podpułkownik Dietrich. Swięcickiemu poruczono formowanie kolumn z uzbrojonej naprędce ludności miejskiej; wysyłano go z patrolami; 30 listopada stał on na czele batalionu przy kościele księży Pijarów, kiedy pułkownik Bogusławski potrzykroć przysyłał od siebie porucznika Szumowieckiego z oświadczeniem, że się chce z pułkiem swoim połączyć; odprawiano go z niczém; nareszcie przybył pułkownik Szymanowski i przemówił za Bogusławskim. « Przebaczamy mu, zawołali oficerowie i jeśli przystępuje do nas ze stałém postanowieniem walczenia za wol-

ność, przyjmujemy najchętniej.» Swięcicki wysłał po niego honorową eskortę, przybyłego witano okrzykami : « Wiwat wolność! Wiwat nawrócenie pułkownika Bogusławskiego! » Pułkownik wykonał przed żołnierzami przysięgę na wolność, i do końca kampanii dzielnemu pułkowi dowodził. Podobneż przebaczenie ze strony pułku spotkało zaraz i podpułkownika Czajkowskiego, któremu Swięcicki dowództwo batalionu oddał. Sam ciągle był na służbie; od 29 listopada do 3go grudnia, jak powiada, « na chwilę nie przysiadł, i nie usnął.» Wzywany do klubu patryotycznego nie zapisał się, widząc « że tam nie było porządku a tylko zrzucanie jednych i wznoszenie drugich na stół, aby mówili, a zatém tylko czas napróżno tracony bez korzyści. » Żołnierz przywykły do karności i ścisłych rozkazów nie cierpiał tłumnych obrad, ucieszył się z dyktatury Chłopickiego. Pułk 4ty wszedł do brygady, którą dowodził Skrzynecki.

Dnia 21 grudnia, Święcicki z kompanią swoją wysłany do Zakroczymia, dowiedziawszy się że w Modlinie sypano wały, odezwał się do żołnierza, że póki stoją na kwaterach, wartoby przyłożyć się do tej pracy; wniosek przyjęto z zapałem. Nazajutrz, kompania cała, po wysłuchaniu mszy śtej, bo Święcicki koniecznie na to nalegał, z rydlami na plecach zamiast karabinów, w szyku wojskowym wchodziła do Modlina; towarzyszył jej na prośbę kapitana, ksiądz Ostrzykowski z krzyżem w ręku. Owczesny komendant twierdzy, jenerał Mycielski, z radością przyjął niespodziewanych robotników i uraczyć kazał. Powtarzało się to ciągle, aż póki kompanii opuścić Zakroczymia nie przyszło. Dnia 1go lutego, po wysłuchaném znowu uroczystém nabożeństwie, wyprowadził ją Święcicki. « Mogę się nazwać najszczęśliwszym, pisze w swym pamiętniku, bo zawsze żołnierze niezmiernie mnie lubili i kochali, » a węzeł ten miał się jeszcze silniej zawiązać w ogniu. Pod Zakrzewem (14 lutego) Święcicki pierwszy raz był w boju. Nastąpiły zaraz potém pamiętne dni pod Dobrem (17go lutego) Okuniewem, Grochowem (19go lutego). Święcicki ze swoją kompanią był wszędzie; w sławnej Olszynie, gdy postawiony na boku, usiadł na kępie przed frontem swojej kolumny, naliczył 32 kule które u stóp jego upadły; tam pierwszy raz prowadził żołnierza na bagnety; 20go lutego kompania przeprowadzona na drugą linię bojową, pierwszy raz po dniach siedmiu mogła ugotować strawę, a nowe sypała bateryę; 23go pułkowi rozdano chorągwie z napisem, *za naszą i waszą wolność* : mieli żołnierze rzucać je przy starciu w nieprzyjacielskie szeregi, aby i tam wiedziano za co się biją Polacy. Dzień 25ty lutego przebył Święcicki w ogniu, postawiony w assekuracyi bateryi Nieszokocia; 26go wszedł do Warszawy, i zajął obóz w Powązkach. W tych dniach kilku, bohatérski pułk 4ty stracił 1,200 ludzi. Święcicki mianowany dowódzcą batalionu, miał sobie przyznany krzyż złoty *virtuti militari* za waleczność; ale pułk 4ty żadnych dekoracyj przyjmować nie chciał, powtarzając, że bije się nie dla takich nagród, ale za Ojczyznę i wolność; kilka razy odmawiali ich oficerowie i żołnierze; musiał Wódz Naczelny pod zagrożeniem odpowiedzialności za nieposłuszeństwo, nakazać im przyjęcie tych znaków honorowych.

Miesiąc przeszedł Święcickiemu w Warszawie; nastąpiły nowe walki : pod Wawrem, Dębem Wielkim, Iganiami, nie licząc mniejszych utarczek, pod Domaniewicami i wsią Gołąbek koło Siedlec. Podniesiony (d. 13 czerwca 1831 r.) na stopień majora, Święcicki pod Kuflewem zachorował niebezpiecznie na cholerę i do Warszawy odwiezionym być musiał. Zaledwo po kilku tygodniach, i już po ostrołęckiej bitwie, mógł objąć napowrót dowództwo batalionu. Szerzyła się wtenczas

w wojsku nieufność ku Naczelnemu Wodzowi, ale Święcicki do niechętnych nigdy nie należał; gdy Skrzynecki z delegacyą sejmową obóz objeżdżał, dla przekonania się jak jest widzianym w pułkach, Święcicki chcąc jaką zewnętrzną oznaką okazać mu ufność, wszystkie baraki swoich żołnierzy ustroił kwiatami. Zrosł się też był ze swym pułkiem całą duszą. Znając jego dzielność, Skrzynecki chciał go posłać w Kaliskie dla organizowania partyzantki; dawał mu 500 ludzi i oficerów; Święcicki wolał na podrzędniejszém pozostać stanowisku, byle się z 4tym pułkiem nie rozstawać. Posłany był ze swym batalionem i szwadronem jazdy przy dwóch działach do Szymanowa, zkąd do Bolimowa przeprowadzony. Dnia 2go września ostatni raz widział żonę i dzieci; 5go posłany do Parysowa, gdzie mu powierzono bateryą, po wzięciu Woli gdy mu się cofnąć kazano, nie mając sposobu uprowadzenia dział, płacząc, razem z kapitanem Stolcmanem zagwoździć je kazał, i pociągnął ku Marymontskim rogatkom; po drodze znaleźli dwa lekkie działa porzucone, żołnierze sami zaprzęgli się do nich, bo koni nie było; ale już ustępowano z Warszawy. Święcicki odebrał rozkaz udania się na Pragę; raniutko przechodził mimo własnego mieszkania : wszystko tam jeszcze spało, zajść nie było podobna « popatrzył, zapłakał i poszedł » prowadząc swój batalion; 9go przeszedłszy Modlin, stanął w Zakroczymiu. Jenerał Rybiński mianowany Wodzem Naczelnym, przeznaczył dla pułku 4go krzyż kawalerski *virtuti militari*, a korpus oficerów przyznał go Święcickiemu.

Walka właściwie już była skończoną, i Święcicki miał tylko pułk za granicę odprowadzić; podniesiony na stopień podpułkownika (24go września) objął dowództwo nad pułkiem w chwili kiedy jenerał Bogusławski pożegnał go, postanowiwszy w kraju pozostać. Dnia 4go października 1831 roku, pod wsią Dzierżnem z niewymownym żalem przeszedł granicę; pułk był w komplecie, jak pod Warszawą. W dziesięć dni później, przeniesiony do Marienburga, otrzymał zwierzchnictwo nad oficerami pieszej brygady; wezwany wkrótce potém przez władze pruskie, aby całemu pułkowi amnestyą Mikołaja oświadczył i razem z nim wracał do kraju, przesłał im następującą deklaracyę : « Stosownie do rozkazu wyższej władzy mam zaszczyt odpowiedzieć, że żaden z wyższych oficerów jakoteż z niższych, oraz podoficerów i żołnierzy z pułku 4go piechoty liniowej, nie okazał chęci powrotu do kraju zamordowanej Ojczyzny, każdy bowiem powodowany uczuciem honoru, przez powrót do kraju nie chce się poddać pod jarzmo niewoli. Wtenczas jedynie ten powrót nastąpić może, gdy cesarz Mikołaj, za rękojmią Najjaśniejszego Króla pruskiego, tak dla nas zostających w królestwie pruskiém, dla braci zostających w państwie austryackiém, jako też dla pozostających w niewoli rossyjskiej, Litwinów, Podolan, Wołynian i Ukrainy, zgoła dla wszystkich bez wyjątku, ogólną ogłosi amnestyą, z zachowaniem wszelkich praw i prerogatyw, stopni nateraz przez nas posiadanych, oraz nadaniem wolności i przywróceniem konstytucyi i swobód wolnego narodu. Tegenhoff dnia 17 listopada 1831 roku. » Odpowiedź ta rozumie się najgorzej została przyjętą: pomimo to Święcicki nie przestał zagrzewać żołnierzy, aby się obietnicami uwieść nie dali, trwając w postanowieniu iść dalej na Zachód. Bem wtenczas znaczną część naszego żołnierza spodziewał się we Francyi umieścić; 5 grudnia 1831 roku wybrał Święcickiego na dowódzcę udać się tam mającej brygady. Nie przyszło to do skutku; 31 stycznia następnego roku, kazano Święcickiemu wyjechać z Marienburga za granicę; gdy się dowiedziano że z drogi jeszcze pisał do pułku zachęcając żołnierzy aby

nie przyjmowali amnestyi, posłano za nim pogoń, każąc go aresztować, ale szczęśliwie uniknął tego niebezpieczeństwa i dostał się do Saksonii, zkąd wkrótce przeniósł się do Francyi. Gdy myśl wznowienia walki z Moskwą nie opuszczała wychodźców, wysłany w 1832 roku jako emisaryusz w Krakowskie i do Galicyi, przebył tam lat parę, poczém wraz z resztą współtowarzyszy zmuszony opuścić te strony, udał się do Anglii, gdzie w 1835 roku wspomniany wyżej Pamiętnik napisał. Z Anglii przeniósł się do Francyi i osiadł w Paryżu. W kwietniu 1848 roku, Rząd tymczasowy Wenecyi i Lombardyi życzył mieć legię polską; w skutek zawartej z komissarzami jego konwencyi, Święcicki w stopniu pułkownika miał tą legią dowodzić, gdy zaś nie przyszła do skutku, prowadził pod okiem jenerała Rybińskiego jako ostatniego Naczelnego Wodza, kontrolę dawnej służby wojskowej, i był przez długie lata stróżem tych aktów z kraju wywiezionych. Smutny stan zdrowia zmusił go do szukania przytułku w Domu ś. Kazimierza, przeznaczonym dla weteranów naszych; tam ostatnie trzy lata życia spędził, ujmując przełożone nad domem Siostry Miłosierdzia szczerą pobożnością swoją. Umarł dnia 24 grudnia 1868 roku, budując przytomnych spokojem, pogodą i religijném podniesieniem prawdziwie chrześciańskiego zgonu.

SZEGRZDOWICZ Józef, rodem ze Żmudzi, miał udział w powstaniu 1831 roku, i po upadku sprawy dostał się z innymi za granicę. Na wychodźtwie należał do Zjednoczenia, później do Towarzystwa demokratycznego, nareszcie do Stowarzyszenia podatkowego, i ochoczo podejmował wszelkie dla braci i sprawy ogólnej ciężary. Umarł w Agen (depart. Lot et Garonne) d. 8 grudnia 1867 roku, licząc 67 lat wieku.

SZULCZEWSKI Feliks, urodził się w Kutnie, d. 18 maja 1813 r. Pierwiastkowe nauki odbywał w korpusie kadetów w Kaliszu, i wyszedłszy ztamtąd w stopniu oficera do 13go pułku liniowego, odbył kampanię 1831 r. przeciw Moskwie. Dostawszy się wraz z innymi po upadku sprawy za granicę, przybył do Francyi, a osiadłszy w Paryżu, po zdaniu examenu, otrzymał posadę konduktora 1szej klassy w Zarządzie dróg i mostów. Spełniając ten obowiązek, bardzo często zastępował inżyniera; zacnością i ścisłem wykonywaniem swoich obowiązków, zjednał sobie szacunek przełożonych, a w ciągu trzydziestu siedmiu lat spędzonych na wychodźtwie, nie uchylając się od żadnej ofiary publicznej, zaskarbił miłość i poważanie rodaków. Członek Towarzystwa historyczno-literackiego, był także od samego początku członkiem Towarzystwa podatku narodowego, i dobrowolną opłatę swoją z regularnością zegarka co roku wnosił. Dotknięty nagle zapaleniem mózgu, po trzech dniach choroby, w domu zdrowia przy ulicy Faubourg St. Dénis, umarł d. 6 grudnia 1868 r. Spoczywa na cmentarzu Montmartre.

TABEŃSKI Cypryan, syn właściciela ziemskiego z powiatu Lidzkiego, odbył nauki szkolne w gimnazyum w Grodnie, a następnie ukończył wydział fizyczno-matematyczny na uniwersytecie w Moskwie. Powróciwszy do kraju brał czynny udział w pracach narodowych, do których szerokie naówczas odkrywało się pole. Wybuch ostatniego powstania zastał go w powiecie Kobryńskim, gdzie był jednym

z pierwszych żołnierzy Traugutta, po rozbiciu którego połączył się z oddziałem Wróblewskiego i dzielił jego losy aż do dnia 30 lipca 1863 r., kiedy w bitwie pod wsią Wielkie-Bojary w powiecie Wołkowyskim, kula karabinowa zgruchotała mu prawe ramię. Zmuszony odbywać kuracyę wśród ciągłych niebezpieczeństw i tułania się po chatach i dworach okolicznych, długi czas nie mógł się zdecydować na opuszczenie ziemi rodzinnej, do której całém sercem był przywiązany. Na emigracyą udał się dopiero w 1865 r. i przybył do Paryża. W trzydziestym roku życia, nie mając zupełnej władzy w prawej ręce, postanowił wziąść się do nauki, zaczynając na nowo od początków i wszedł do Szkoły Montparnasse.

Pobyt jednak w Paryżu z wielu względów był dlań uciążliwy; brak środków materyalnych mocno się uczuć dawał, zdrowie nie służyło, wyobrażenia jakie był sobie utworzył o Francyi i stanowisku emigracyi, ciężkiego na każdym kroku doznawały zawodu. Zachęcony radą kilku przyjaciół, udał się Tabeński do Szwajcaryi przed Wielkanocą 1867 r. i wkrótce wszedł do szkoły politechnicznej w Zurichu. W listach do przyjaciół w Paryżu wyrażał jak najlepszą otuchę, wychwalał zdrowe powietrze i piękność Szwajcaryi, oraz wynosił sympatyę jej mieszkańców i młodzieży szkolnej dla sprawy polskiej. Na długi czas przed jego śmiercią, koledzy Tabeńskiego nie widzieli go smutnym ani zamyślonym. Dnia 24 października 1868 r. w parę godzin po rozstaniu się, w najweselszém usposobieniu, z kilkoma z nich, odebrał on sobie życie wystrzałem z rewolweru na górze Uetliberg pod Zurichem. Przyczyną rozpaczy i samobójstwa była, jak się wyraził w zostawionych listach do przyjaciół, tęsknota za krajem i dwiema na Syberyą zesłanemi siostrami, a przytém słabe w skutek odnawiającej się rany zdrowie, które mu odbierało nadzieję być jeszcze użytecznym na świecie.

Na trzeci dzień pochowano ciało Tabeńskiego na cmentarzu protestanckim. Wszyscy uczniowie i profesorowie szkoły politechnicznej byli na pogrzebie, a dyrektor Szkoły przemówił po-niemiecku z wielką dla zmarłego i rodaków jego życzliwością i kilka dzienników szwajcarskich umieściło pełne współczucia artykuły.

J. S.

TESTORI Józef rodem z Wołynia, powstaniec z 1831 roku, dostawszy się z innymi za granicę, osiadł we Francyi, w miasteczku Corbeil (depart. Seine et Oise); był stałym członkiem Towarzystwa demokratycznego. Umarł w Corbeil, w grudniu 1868 roku, licząc 61 lat wieku.

WALEWSKI hr. Colonna, Aleksander, Floryan, Józef, urodził się w Walewicach (w Ziemi Gostyńskiej) d. 4 maja 1810 r. Matka jego Marya z domu Łączyńska, po śmierci pierwszego męża hr. Colonny Walewskiego wyszła powtórnie za hr. Ornano i umarła w 1817 r. Przy urodzeniu swojém miał Aleksander Walewski przeznaczony sobie przez Napoleona I majorat we Francyi, przynoszący 12,000 fr. dochodu, i oparty na lasach rządowych, (w departamencie de la Haute-Saône). Piérwsze lata spędził w Paryżu, a po śmierci matki odwieziony do Genewy, odbywał tam nauki do 1824 r. w którym do Warszawy przyjechał. W. książe Konstanty przyjął go najłaskawiej, namawiając aby wszedł do wojska rossyjskiego i obiecując mu stopień swego adjutanta; gdy stanowczo odmówił, oddanym został

pod dozór policyi i zabroniono mu wydalać się z Kongresowego Królestwa. Dostawszy tajemnym sposobem pasport za pieniądze, udał się do Petersburga, a gdy tam uwiadomiona o jego pobycie policya odebrała rozkaz aresztowania go i odesłania do Warszawy, ostrzeżony o tém, potrafił omylić jej czujność, i na parowym statku dostać się do Londynu, zkąd do Paryża się udał. Zaledwo stanał w tém mieście, Pozzo di Borgo domagał się, aby rządowi rossyjskiemu wydanym został, ale ówczesne namiestnictwo p. Villèle odmówiło stanowczo, i pozostał w stolicy francuzkiej, aż do listopadowego powstania. Na wieść o niém, młody Walewski, opatrzony wiadomościami które się mogły przydać Rządowi Narodowemu, pośpieszył do Polski, ale zaledwo dostał się do Prus, aresztowany i osadzony w Głogowie, wysłany był ztamtąd w towarzystwie żandarmów do Petersburga; na jednej ze stacyj pocztowych, podczas gdy przeprzęgano konie, zdołał ujść jednak szczęśliwie, zrzekłszy się pojazdu i rzeczy, a w małej łódce przepłynąwszy krą wtenczas pokrytą Odrę, dostał się do Księstwa Poznańskiego, gdzie krewni i przyjaciele dostarczyli mu środków dojechania do Warszawy. Przybywszy tam, zaciągnął się zaraz do wojska, i jako adjutant Naczelnego Wodza miał udział w trzydniowej bitwie pod Grochowem, gdzie krzyżem *virtuti militari* ozdobiony został. We dwadzieścia kilka lat potém, kiedy zajmując najwyższe stanowisko we Francyi prezydował na kongresie paryzkim, zapytany która z licznych dekoracyj jakie posiadał, najwięcej mu zrobiła przyjemności, powiedział, że ten wojskowy krzyż polski. W dalszym ciągu kampanii mianowany był kapitanem.

Nie długo jednak pozostał w szeregach; Rząd Narodowy chcąc z jego stosunków za granicą i z dobrej woli skorzystać, wysłał go prędko w missyi politycznej. Podróż ta pełną była przygód. Rząd pruski utrudniał wszelkie z naszej strony komunikacye z zagranicą i Walewski pod własném imieniem Niemiec przejechać nie mógł; udał się przeto do dyrektora teatru francuzkiego w Warszawie p. Hervey a gdy ten zgodził się odbyć z nim tę podróż, wyjechał z nim razem pod imieniem niejakiego Saint-Albin artysty dramatycznego, grającego zazwyczaj role zakochanych. We Wrocławiu poznany przez policyanta Polaka, odprowadzonym został z towarzyszem podróży do komisarza policyi, któremu Hervey był dobrze znajomy, ale przed którym Walewski długo tłumaczyć się musiał, dowodząc że jest rzeczywiście aktorem; nie chciano mu wierzyć na słowo, żądając żeby na miejskim teatrze dał reprezentacyę; już zaczął uczyć się roli, gdy po trzech dniach aresztu policya mniemanemu aktorowi wyjechać pozwoliła, przyznając się do omyłki. Opuściwszy Wrocław, napisał do pruskiego ministra spraw wewnętrznych, prosząc aby mu do Paryża odesłać kazał powóz jego i rzeczy zostawione w Prusach, wtenczas kiedy go do Petersburga wieziono. Wypadek ten narobił wtenczas hałasu w Berlinie, a Walewski dopiął swego, bo komisarz policyi we Wrocławiu stracił miejsce. Nowa przygoda czekała podróżnych w Wejmarze. Zaledwo tam stanęli, Książe wejmarski dowiedziawszy się o artystach francuzkich jadących z Warszawy przysłał adjutanta prosząc aby na jego teatrze kilka reprezentacyj dać chcieli. Przyrzekli wszystko, ale cichaczem opuścili zaraz miasto, lękając się aby Saint-Albin poznanym znowu nie był. W Metz Walewski wrócił do swego nazwiska i bezpiecznie podróży dokonał.

Jenerał Kniaziewicz i kasztelan Ludwik Plater byli już wtenczas w Paryżu, jako pełnomocnicy rządu polskiego; Walewski tam stanął 13 marca 1831 r. a w kilka dni później, za ich naradą, udał się do Londynu, gdzie posłem francuzkim był

wtenczas książe Talleyrand. Francya na żaden krok stanowczy w naszej sprawie odważyć się nie chciała, Sebastiani (7 maja) doradzał, żeby Polacy sami układali się z Mikołajem; gdy jednakże Talleyrand przyjaźniej od innych mężów stanu o Polsce się odzywał i wyrażał się nawet, że opinia za nami tak była rozbudzoną we Francyi, iż ministerstwo któreby tę sprawę opuściło musiałoby upaść, w Anglii zaś która przedewszystkiém chciała pokoju, wierzono że od utrzymania się ministerstwa Perrier zależy pokój świata, Walewski w początku maja pisał, że horyzont zaczyna się rozjaśniać, i że wszystko w Anglii rozstrzygać się będzie. Konferencya londyńska układała wtenczas zasadnicze punkta dla Belgii i oświadczano wysłannikom naszym, że przed załatwieniem tej sprawy mowy o Polsce być nie może; mieli więc starać się ze swej strony, aby kongres belgijski przyjął ośmnaście ułożonych w Londynie punktów. Walewski na to nalegał; pracował zaś nad tém w Brukselli Roman hr. Załuski, i wysłana ztamtąd po przyjęciu tych punktów deputacya do króla Leopolda, oświadczyła w Londynie, że współczucie dla losów Polski znacznie się do tego przyczyniło. Zdawało się, że już pomyślniejsza dla nas musi nadejść chwila. Ks. Talleyrand podał wtenczas (20 czerwca) rządowi angielskiemu notę o wspólném z Francyą zajęciu się sprawą polską, w celu wstrzymania krwi rozlewu i zapewnienia Polsce egzystencyi politycznej i narodowej. To jeszcze podnosiło nadzieje. Walewski jednak, opierając się na częstych z lordem Palmerstonem rozmowach, nie łudził się zbytecznie i pisał do Warszawy, że Anglia nic dla nas nie uczyni, póki Rossya stanowczo pokonaną nie będzie, i że głównie od naszego oręża dalsze losy zależą; myślał nawet, że tymczasem powinien starać się jedynie o to, aby Anglia dopominała się u Prus i Austryi o rzeczywistą względem nas neutralność. Nota lorda Palmerstona z dnia 22 lipca, oświadczała Francyi, że ponieważ przyjacielskie wstawienie się Anglii za Polską byłoby przez cesarza Mikołaja odrzucone, ona zaś tego wstawienia się siłą poprzećby nie mogła i nie chce, a wojna prowadzona w Polsce spokojności innych państw nie zagraża, więc nie chce mięszaniem się do tej sprawy naruszać przyjacielskich z Rossyą stosunków. Rząd angielski dodawał tylko, że posłowi swojemu w Petersburgu zalecił oświadczyć, iż życzy aby zapewniona Polsce odrębność polityczna w każdym razie zachowaną była. Walewski zaraz o tém missyę paryzką i Rząd uwiadomił. Zaraz nadeszła druga od niego wiadomość, że Prusy zrzuciły maskę i oświadczyły otwarcie panu Flahaut, że nie są wcale neutralne, ale tylko nieczynne, że obojętnymi świadkami walki w Polsce być nie mogą, bo cesarz Mikołaj jest dobrym i wiernym sprzymierzeńcem, a Polacy tylko buntownikami, że ich zwycięztwo pociągnęłoby domaganie się od Prus dawnych polskich prowincyj, a zaprowadziłoby w Europie rząd oparty na zasadzie wszechwładztwa ludu. Lord Palmerston oświadczył był wtenczas Walewskiemu, że napisał do Berlina, iż nie rozumie stanu pośredniego między neutralnością i czynném wystąpieniem, i żąda ścisłego przestrzegania tej zasady, a wysłannikowi polskiemu zdało się to pomyślnym dla nas zwrotem w polityce rządu angielskiego; spodziewał się, że do otrzymania rzeczywistej neutralności przyjdzie. Nie długo jednak i to trwało. Prusy oficyalnie zaprzeczyły udzielanej Rossyi pomocy i poprzestano na tém; Walewski 12 sierpnia pisał, że nie ma najmniejszego już złudzenia, że Anglia *nic nie zrobi* póki Moskwa stanowczo zwyciężoną nie będzie. « Od czasu jak tu jestem, dodawał, użyłem wszystkich środków aby wpływać na umysły, przekonania, słabości nawet ludzi stojących u steru; obszerne rozmowy, listy, memoryały, wpływy osobiste i uboczne,

opinia publiczna, dzienniki, wszystko to było użyte; prasa cała gorąco ujęła się za naszą sprawę, ale nic więcej otrzymać mi się nie udało, a myślę że nie było można; jedne tylko wypadki mogą zmienić zachowanie się Anglii. » Trwał jednak dalej w usiłowaniach swoich, korzystając z każdej zręczności służenia sprawie, a ucho mając wytężone ku Polsce, zkąd czekał wiadomości o wielkiém zwycięztwie, które jedno mogło i na usposobienie gabinetów zachodnich wpłynąć. Przybył do Londynu Julian Niemcewicz; odtąd krzątali się wspólnie, ale nic więcej otrzymać nie mogli. Ministeryum pisma do króla angielskiego od polskiego Rządu przyjąć nie chciało. Rychło zamiast wiadomości o zwycięztwach przyszły wieści o klęsce; Warszawa była w ręku nieprzyjaciela, a wojska nasze weszły do Prus i Austryi. Missya Walewskiego skończyła się. W pierwszych latach wychodźtwa brał on jeszcze udział w pracach jego około sprawy narodowej; był czynnym członkiem zawiązanego w Paryżu Towarzystwa Literackiego, zajmował się legionem polskim, formującym się w Portugalii pod dowództwem Bema i starał się wyjednać dla niego opiekę rządu francuzkiego. W 1832 r. otrzymał prawo obywatelstwa we Francyi, a całe późniejsze jego życie właściwie i nawet wyłącznie należy już do Francyi.

Pięć lat spędził w wojsku francuzkiém, zrazu przy marszałku Gérard, dowodzącym armią północną, a później w Algierze; i wziął dymissyę w stopniu kapitana. Podczas tej służby, posłany przez jenerała Desmichels do obozu Abd-el-Kadera, wywiązał się zaszczytnie z poruczonej sobie missyi, a zebrane tam spostrzeżenia ogłosił w pisemku p. t. *Un mot sur la question d'Afrique*, wydaném w 1837 roku. Nabywszy później dziennik *le Messager des Chambres*, kierował nim przez lat kilka, popierając zasady ówczesnych swoich przyjaciół politycznych, p. p. Thiersa, Hipolita Passy i Dufaura. W 1840 r. za ministerstwa Thiersa, posłanym był w missyi politycznej do Mehmeda-Ali do Egiptu. Wróciwszy ztamtąd gdy Guizot przyszedł do władzy, ożenił się wkrótce po raz drugi we Florencyi z panną Ricci, córką księżniczki z domu Poniatowskiej. (Pierwszą żoną hr. Walewskiego, którą stracił po dwóch latach pożycia, była Karolina hr. Sandwich z familii lordów Montagu). W 1846 r. jako ambassador francuzki udał się do Buenos-Ayres z missyą pojednawczą między tą rzecząpospolitą a Montevideo, i odtąd stałe zajął już stanowisko w ciele dyplomatyczném francuzkiém. Rok 1847 spędził w Anglii, starając się w myśl ministerstwa Guizota ożywić znowu ochłodłe nieco stosunki Anglii z Francyą; w nagrodę oddanych tam usług, wigilią prawie rewolucyi 1848 r. mianowany został nadzwyczajnym i pełnomocnym ministrem przy Elektorze Heskim w Kasselu. Z upadkiem rządów Ludwika Filipa usunął się na kilka miesięcy z Paryża; gdy książe Ludwik Napoleon Bonaparte wrócił do Francyi i został prezydentem rzeczypospolitej, hr. Walewski znowu do życia publicznego powołany, spełniał kolejno poselstwa: we Florencyi (1849), w Neapolu (1850) nareszcie w Anglii 1851 r.; tam otrzymał pierwsze w Europie uznanie cesarstwa francuzkiego i Napoleona III za którém poszło uznanie całej Europy. Wypadki na Wschodzie sprowadziły ścisły związek Francyi z Anglią, później traktat 12 marca 1854 między Francyą, Anglią i Turcyą; nareszcie konwencyę londyńską 10 kwietnia 1854, po której nastąpiła wojna krymska. Hr. Walewski konwencyę tę z lordem Clarendon podpisał: (przystąpiły do niej, Austrya traktatem zawartym w Wiedniu, d. 2 grudnia 1854 i Sardynia 15 marca 1855). Dnia zaś 8 maja 1855 zostawszy ministrem spraw zagranicznych, przewodniczył kongresowi paryzkiemu (od 25 lutego do 16 kwietnia

1856 roku), a po kampanii włoskiej, wypracował warunki traktatu w Zurich (10 listopada 1859). W 1860 złożył tekę spraw zagranicznych. W wigilią pierwszych reform wprowadzonych przez cesarza do konstytucyi 1852 r. (d. 23 listopada 1860) hr. Walewski objął Ministerstwo Stanu, i na tém stanowisku pozostał lat trzy; po śmierci księcia Morny wybrany deputowanym z departamentu Landes i mianowany prezesem Izby prawodawczej (1855), kierował jej obradami w 1866 i 1867ym r. Umarł nagle w Strasburgu d 27 września 1868 roku.

WIERCIŃSKI Berthold urodzony na Wołyniu we wsi Łazuczynek, służył w artyleryi u rakietników; w kampanii 1831 r. za okazane męztwo ozdobiony krzyżem *virtuti militari*, podniesionym był na stopień podporucznika; w 1848 r, pod wodzą jenerała Mierosławskiego miał udział w wyprawie sycylijskiej. Większą część czasu spędzonego na wychodźtwie przeżył w Anglii, gdzie rodacy serdeczne jego dla nich wylanie, szczerym szacunkiem odwdzięczali. Umarł w Boulogne-sur-mer, d. 22 marca 1868 roku, licząc wieku lat 56.

WILKOWOJSKI Lucyan, rodem z Grodzieńskiego, uczęszczał na wydział medyczny w uniwersytecie moskiewskim. Z wybuchem powstania 1863 roku powrócił na Litwę, i zaciągnął się do oddziału Borzyma; po objęciu dowództwa nad tym oddziałem przez Barancewicza, pełnił do końca obowiązki jego adjutanta. Dostawszy się później do Galicyi należał do wyprawy ztamtąd Komorowskiego. Umarł w Perpignan, w końcu marca 1868 roku i tamże pochowany.

WOŁŁOWICZ Antoni syn Stanisława i Dominiki z Tyszkiewiczów, Wołłowiczów, urodził się na Litwie 1796 r. Wcześnie wszedłszy do wojska, zapisany do gwardyi honorowej litewskiej, z armią Napoleona I w 1812 r. wszedł do Moskwy; w nieszczęśliwym ztamtąd odwrocie dotknięty w Wilnie ciężką gorączką, dalej już iść nie mógł i w kraju pozostał. W 1831 r. poszedł do powstania i w stopniu kapitana odbył całą kampanię, a z jej końcem razem z innymi dostał się na wychodźtwo i przez lat dwadzieścia kilka prace jego i tęsknotę podzielał. Po wstąpieniu na tron Aleksandra II udał się na Litwę dla urządzenia interesów familijnych, ale stęskniony za towarzyszami, których losy przez lat tyle były mu wspólne, i do których sercem był się przywiązał, postanowił do nich powrócić i po ostatnich w kraju wypadkach znowu do Paryża przyjechał i tu już wśród przerzedzonych przyjaciół życia swego dokonał. Przed śmiercią nie zapomniał o żadnym zakładzie dobroczynnym tułactwa, i w miarę swojej możności każdemu z nich coś zapewnił. Umarł w Paryżu, d. 20 marca 1868 r. spoczywa na cmentarzu Montmartre.

ZALESKA Zofia Bohdanowa, z domu Rosengardtówna, urodziła się w Warszawie, d. 12 maja 1824 roku, z ojca Józefa i matki także Józefy, z domu Bańkowskiej. W 1842 r. przybywszy do Paryża, dla studyowania muzyki pod Fryderykiem Chopenem, przez Klementynę Hoffmanową ukochana, poznała całe to grono wychodźtwa naszego, które jej było najbliższém i już wśród niego pozostała, a przeznaczoném jej było stać się koroną życia piewcy naszego, Bohdana Zaleskiego. Dziewosłę-

bił na małżeństwo między nimi serdeczny obojga przyjaciel, Stefan Witwicki. Zofia poślubiona Bohdanowi d. 28 listopada 1846 r., przez lat dwadzieścia dwa była nieodstępną towarzyszką jego, wspólniczką uczuć i ciężkiej po ojczyźnie żałoby, pomocą w codziennych życia zachodach, a najlepszém często natchnieniem. Pierwsze miesiące po ślubie spędzili oboje na południu Francyi w Hyéres; zwiedzili następnie Rzym i przyzostali w nim dłużej, a później osiedli z nierozłącznym druhem i bratem Bohdana, Józefem Zaleskim, w Fontainebleau, gdzie nieraz u nich gościł Adam Mickiewicz, szczerze miłujący ich wszystkich. Sześcioro dał im Bóg dziatek, z których dwoje, z niewymownym żalem matki, malutkiemi do siebie powołał. Dla wychowania pozostałych, w końcu 1859 r. przenieśli się wszyscy do Paryża. Nie do nas należy uchylać zasłonę, którą Bóg otoczył ciche a święte królestwo niewiasty, zwane rodziną i domem, może kiedyś, dla zbudowania ludzi, osierocony dzisiaj małżonek opowiedzieć zechce, czém była ś. p. Zofia jako żona i matka, jako nawet gospodyni, w pełném trudów i trosk wszelakich życiu polskiej tułaczej rodziny; w duszach przyjaciół zostawiła niezatartą pamięć wielkiego serca, bystrego umysłu, czynnego dla każdej niedoli współczucia i gorącej miłości Ojczyzny .W skutek manifestacyi krajowych 1861 roku wyrzucona z kraju młodzież, jej głównie staraniu i zachodom zawdzięczała opędzenie najgwałtowniejszych potrzeb, a nieraz cały los przyszły. Ciągła praca, i ta codzienna, ręczna około domu i dzieci, i ta najwyższa jak mówił Mickiewicz, która jest wytężeniem myśli i czucia, była godłem jej życia, ona też wcześnie wyczerpała jej siły. Pragnęła żyć jeszcze, aby los dzieci widzieć ustalonym, ale gdy ujrzała, że ją Bóg powołuje do siebie, spokojnie i pogodnie poddała się jego woli. Opatrzona świętemi sakramentami Kościoła, zgasła w St. Etienne, d. 23 lutego 1868 r. wracając z południowej Francyi, dokąd się była udała, dla zdrowia córki. Spoczywa w Paryżu, na cmentarzu Montmartre, we wspólnym grobie z najwierniejszym przyjacielem rodziny, świątobliwym Józefem Zaleskim.

ZALESKI Konstanty syn Michała Zaleskiego, starosty Szwentowskiego i Krystyny z domu Swiniarskiej, urodził się 1803 r. w Wielonie, majętności rodziców, położonej nad Niemnem. Początkowe wychowanie pobierał w domu, i zwyczajem dostatniejszych u nas rodzin, wcześnie w obcych ćwiczony językach, kilka ich w młodości już dokładnie posiadał. Odbył szkoły w Wilnie, wszedłszy zaś w 1820 r. do tamecznego uniwersytetu, należał z całym doborem młodzieży krajowej do stowarzyszenia Filaretow, a razem z innymi uwięziony i pociągnięty do odpowiedzialności, w 1821 r. de Petersburga wysłanym został. Tam zamięszany w wypadkach które towarzyszyły wstąpieniu na tron Mikołaja, i na prostego żołnierza skazany, odbywał w armii moskiewskiej w pułku huzarów Czaplica turecką kampanię, w której przez zwierzchników swoich jako tłumacz był używany. Po wybuchu listopadowego powstania, opuścił skrycie nieprzyjacielskie szeregi i potrafił dostać się do Warszawy. Zaciągnąwszy się do jazdy poznańskiej, wkrótce jako emisaryusz wysłanym był na Żmudź, gdzie się przygotowywało powstanie; zwiastował tam rodakom rychłe nadejście wojska narodowego pod wodzą jenerałów Chłapowskiego i Gielguda. Po upadku powstania dostał się wraz z innymi za granicę, i zaraz przybył do Francyi. Jako jeden z najgorliwszych stronników utworzonego pod prezydencyą Lelewela komitetu, wysłanym był przez ten komitet z missyą pełnomocnika

do Strasburga; zadaniem tam było jego przyjmować przybywających rodaków, rozdzielać pomiędzy nich w miarę potrzeb zebrane na ten cel fundusze i wskazywać im miejsca pobytu dla wychodźców naszych przez rząd francuzki wyznaczone. Wywiązywał się z tego gorliwie, jak świadczył francuzko-polski komitet, pod predencyą jenerała Lafayette; ale stosunki jego ze stronnictwem nieprzyjaznem wówczas rządowi, spowodowały rozkaz ministerstwa (w kwietniu 1832) nakazujący mu wraz z wielu innymi opuszczenie Francyi w przeciągu 24 godzin. Wyjechał ze Strasburga do sąsiednich Niemiec; w Szwajcaryi połączył się z oddziałem wychodźców śpieszących pod dowództwem pułkownika Oborskiego do kraju gdzie się był udał Zaliwski i był sekretarzem utworzonego wówczas komitetu; należał później do niefortunnej wyprawy sabaudzkiej pod wodzą jenerała Ramorino (1833 r.) po czém udał się do Anglii; wróciwszy ztamtąd pomimo zakazu do Paryża, dwa miesiące spędził w więzieniu i był zmuszonym przenieść się później na mieszkanie do Brukselli. Gorliwy wyznawca zasad demokratycznych, w 1840 r. był jednym z głównych redaktorów *Orła białego* i czynny miał udział we wszystkich stronnictwa ludowego zachodach i pracach, które poprzedziły wypadki 1848 roku. Po wybuchu rewolucyi w Wiedniu, udał się do Krakowa. Idea jedności słowiańskiej zaczynała wtenczas zaprzątać umysły; szukano w niej siły przeciw wpływowi germanizmu; utworzony w Pradze komitet tymczasowy wzywał Słowian, aby posłów na sejm do czeskiej stolicy przysłali. Konstanty Zaleski wybrany przez tak zwany ogół krakowski udał się do Pragi, i został sekretarzem sekcyi polskiej, ale po kilku posiedzeniach i urządzonej pod gołém niebem uroczystości publicznej, Rząd austryacki sejmujących Słowian wypędził; papiery sekcyi polskiej dostały się w jego ręce, i Konstanty Pragę niezwłocznie opuścić musiał. Pojechał wtenczas do Krakowa, zkąd jeszcze do Lwowa się udał; ale wkrótce, ze zmianą rzeczy w Austryi, zbolały przeniósł się do Francyi, gdzie rząd nowy pobytu mu nie wzbraniał. Z sejmu pragskiego zostały mu bliższe z niektórymi Słowianami stosunki, szczególniej z publicystą czeskim Friczem, a gorące do końca życia przejęcie się ideą federacyi słowiańskiej. Długo jeszcze potém pracował nad odezwami i manifestami w tym kierunku, należał zaś do końca do Towarzystwa demokratycznego i jego zapatrywanie się na sprawy świata w znacznej części podzielał. Tymczasem coraz bardziej na zdrowiu zapadać zaczął; w 1852 r. pierwszy raz dotknięty paraliżem, w 1855 straciwszy zupełnie władzę w nogach, do domu zdrowia przenieść się musiał. Odtąd, życie jego było nieustającém cierpieniem. W tych latach szczególniej, łączyły go serdeczne stosunki z Ludwikiem Królikowskim, autorem *Polski Chrystusowej* i z Janem Czyńskim, znanym z pism wielu. Jakkolwiek chorobą złamany, lubił zajmować się kwestyami religijnemi i filozoficznemi, bardzo go też ujęła myśl założonego przez wspomnianych przyjaciół stowarzyszenia, pod nazwą *Zbratnienia wszystkich wyznań*, do którego się chętnie zapisał. Rzeczy ojczyste zajmowały go żywo do końca, przechował w sercu gorącą miłość dla pozostałej w kraju rodziny, a sam pomimo ciężkiej choroby odmawiając sobie nieraz koniecznych nawet wygód, niejednemu z młodszej na tułactwie braci w cichości pomagał. Prawdziwy łazarz kilkonastoletni, przed zgonem jeszcze dużo cierpiał, i ostatnie wyrazy jakie wymówił, były: « kończy się więc ta krwawa tragedya. » Umarł w Paryżu, opatrzony sakramentami, dnia 17 sierpnia 1868 roku. Spoczywa na cmentarzu Montmartre.

ZALESKI Teodor, urodził się w Warszawie 1814 roku i skończywszy tam pierwiastkowe nauki, wszedł do szkoły politechnicznej, w której go zastało listopadowe powstanie. Chociaż szesnastoletni zaledwo, zaciągnął się zaraz do batalionu saperów i z nim odbył kampanię 1831 roku; miał udział w bitwach pod Grochowem i Wawrem, a podniesiony na stopień podporucznika, krzyżem złotym *virtuti militari* za waleczność ozdobionym został. Odkomenderowany później do twierdzy Modlina, przebywał tam aż do oddania jej w ręce nieprzyjacielskie, po czém, gdy walka na ten raz była skończoną, przybył do Warszawy z zamiarem kończenia rozpoczętych dawniej nauk. Ostrzeżony przez przyjaciół, że do pułków moskiewskich w głąb' Rossyi miał być odesłany, za ich pomocą zdołał uciec za granicę i dostał się do Francyi. Tu w Poitiers uczęszczał na kursa przygotowawczej szkoły medycznej, a później udał się do Montpellier i w tamecznej akademii, 1840 roku, stopień doktora medycyny otrzymał. Ożeniwszy się z córką zacnej francuzkiej rodziny, w 1842 r. osiadł jako lekarz w małém miasteczku Sauve, departamentu Gard, i tam do końca życia pozostał. Biegłość w sztuce lekarskiej i chirurgii zjednała mu wielką w okolicy wziętość, a wyprobowana zacność i nieskazitelny charakter, ogólny tam szacunek. Bardzo często na sędziego i rozjemcę w sporach familijnych był powoływany, przez obywateli zaś miejscowych, jednogłośnie prawie radzcą obwodowym i municypalnym obrany został; rząd ze swej strony mianował go także pierwszym zastępcą sędziego pokoju. Straciwszy w 1866 r. piętnastoletnią córkę, w skutek tej boleści znacznie na zdrowiu podupadł, a d. 27 listopada 1868 r. po kilkogodzinnej zaledwo chorobie Bogu ducha oddał; żałowany powszechnie, i przez całą miejscową i okoliczną ludność do grobu odprowadzony, spoczywa na cmentarzu miasteczka Sauve.

ZAMOYSKI hr. Władysław, jenerał. patrz str. 311.

ZIELINSKI Józef, rodem z Warszawy, służył w sławnym 4tym pułku liniowym w nim odbył kampanię 1831 roku. Umarł nagle w Bordeaux, w lipcu 1868 roku, licząc 54 lat życia.

Redaktor : Bronisław Zaleski.

BIBLIOGRAFIA

ROK 1868.

A) *Dzieła polskie wydane we Francyi.*

Biblioteka ludowa polska. Paryż, księgarnia Luxemburgska, in 32.
Serya druga. Tomik 38. Śpiewy narodowe (z muzyką).
Tomik 39. Królowie polscy (z popiersiami).
Serya trzecia. T. 41. Kraszewski J. I. Świat i ziemia.
T. 42. Kraszewski J. I. O pracy.
T. 43-50 Pamiętniki jpana Seweryna Soplicy, Cześnika parnawskiego.
T. 51-52. Fredro Maksymilian. Przysłowia narodowe.
T. 53. Garczyński Stefan. Dzieje Wacława.
T. 54. Gorecki Antoni. Pieśni i bajki.
T. 55. Kiliński Jan. Pamiętniki.
T. 56. Ostrowski Krystyn. Lichwiarz, komedya w 3ch aktach miarowym wierszem podług Szekspira, (Kupiec Wenecki).

Giller Agaton. Historya powstania narodu polskiego w 1861-64 r. tom IIgi. (Wstęp. Powstanie i pisma o niém). Paryż, księgarnia Luxemburgska, in-18, str. 484.

Giller Agaton. Polska w walce, zbiór wspomnień i pamiętników z dziejów naszego wyjarzmienia. Paryż, księgarnia Luxemburgska, in-18, str. 293.

Kalinka Waleryan. Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta. Tom Iszy in-8. str. CCL i 403. Paryż i Poznań, nakładem J. K. Żupańskiego.

Mickiewicz Adam. Dzieła. Wydanie zupełne, przez dzieci autora dokonane. Paryż, księgarnia Luxemburgska, IVry tomy in-8. z trzema portretami; in-18, z jednym portretem. str. 414, 475, 354 i 370.

Mickiewicz Adam. Piérwsze wieki historyi polskiej; dzieło pośmiertne. Paryż, księgarnia Luxemburgska, in-8, str. XXXIV i 119.

Mierosławski Ludwik. Powstanie narodu polskiego w r. 1830-31, od epoki na

której opowiadanie swoje zakończył Maurycy Mochnacki. Tom Vty, Paryż, księgarnia Luxemburgska, in-18. str. XX i 783.

Niewęgłowski G. H. Geometrya, wydanie drugie, całkiem przerobione. Część 1sza, geometrya płaska. Paryż, księgarnia Królikowskiego, in-8, str. VIII i 436.

Ostrowski Krystyn. Macocha, dramat w 5ciu aktach, podług Balzaka, pięciomiarem jambo-rymowym przerobiony. Paryż, księgarnia Luxemburgska, in-12, str. 194.

Perraud ks. Adolf, Oratoryanin. Głos pogrzebowy po jenerale Zamoyskim, (przekład z francuzkiego). Paryż, księgarnia Królikowskiego, in-18.

Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, rok 1867my. Paryż, księgarnia Luxemburgska, in-8, str. LXII i 412.

Rocznik Towarzystwa paryzkiego lekarzy polskich. Tom IIIci, zeszyt Iszy. Sprawozdanie. Paryż, księgarnia Luxemburgska, in-8, str. 56.

Rzewuski (hr. Henryk). Próbki historyczne; dzieło pośmiertne, z przedmową Bolesławity. Paryż, księgarnia Luxemburgska, in-18, str. XL i 183.

Zaleski (Bronisław). Zniesienie poddaństwa na Litwie, (przedruk z Rocznika Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu). Paryż, księgarnia Luxemburgska, in-8, str. 60.

B) *Pisma Polaków wydane w języku francuzkim.*

Association des anciens élèves de l'École polonaise. Procès-verbal de l'assemblée semestrielle du 5 avril 1868. Quatrième année. Br. in-8. Paris, impr. A. Chaix, str. 16.

Bielawski (G.-M.). Histoire de la comté d'Auvergne et de sa capitale, Vic-le-Comte. Clermont-Ferrand, in-8, str. 382.

Bratkowski (Stanislas). Littérature épistolaire des femmes en Pologne au dixneuvième siècle. *Etude littéraire*, lue en conférence à Paris le 17 décembre 1867. Br. in-8, str. 36. Paris, libr. du Luxembourg.

Compte-rendu de la fête de l'inauguratien du monument de Rapperswyl. Br. in-8. Zürich. Schulthip. IX, 86 str.

Duchiński (François de Kiev). *Concours annuel*, fondé par M. Duchiński à la Société d'Ethnographie de Paris, sous le titre : *Concours Nestor-Viquesnel*. (Extrait des actes de la *Société d'Ethnographie*). Paris, chez Amyot.

Gałęzowski (Xavier, Dr en méd.). Diagnostic des maladies des yeux par la chromatoscopie rétinienne, précédé d'une étude physique et physiologique des couleurs, avec 31 fig., une échelle chromatique comprenant 44 teintes et 5 échelles typographiques tirées en noir et en couleur. Paris, chez J.-B. Baillère et fils; in-8. IV et 271 pages.

Habich (Edouard). Sur le mouvement d'une figure placée dans son plan. (*Les Mondes*, revue des sciences. Paris, tome XVI.)

— Sur un système particulier de coordonnées; sur les tranformations en général

sur les caustiques. (*Annali di matematica pura ed applicata*. Milano, tome II, série II.)

— Sur la théorie des surfaces réciproques, anallagmatiques, caustiques, etc.; sur une certaine famille des surfaces; sur les conchoïdes. (*L'Institut*. Paris. *Bulletin de la Société philomatique*.)

KAZIMIRSKI (Mahomet). Le Koran, traduction nouvelle, faite sur les textes arabes. Nouvelle édition, entièrement revue et corrigée, accompagnée de notes. Paris, Charpentier, in-18.

KLACZKO (Julian). Les préliminaires de Sadova. (*Revue des Deux-Mondes*, livraisons du 15 septembre et 1er octobre 1868.)

Lettre au Congrès de la Paix, à Genève. Alliance républicaine universelle. Département polonais : « Ognisko Re polskie. » Br. in-8. Bâle, impr. de la République, 4 pages.

MALCZEWSKI (A.). *Maria*, poëme d'Ukraine, traduit du polonais par S. M. (Manget). In-12. Nérac, impr. L. Durey. 92 str.

MALINOWSKI (Jacques). Casimir Ier, roi de Pologne, moine de Cluny au onzième siècle, étude historique. Br. in-8, ornée du tableau généalogique de Casimir Ier. Mâcon, impr. d'Emile Protat. IV i 60 str.

MESSAGE POLONAIS AUX PARLEMENTS D'EUROPE, (wydany z powodu setnej rocznicy Konfederacyi Barskiej, zawiera Memorandum ogłoszone w Paryżu w 1770 roku, pod tytułem : *Manifeste de la République confédérée de Pologne, du 15 novembre* 1769.) 1 tom in-4. et in-18. Paris, libr. du Luxembourg, VIII i 242 str.

MICKIEWICZ (Adam). Les premiers siècles de l'histoire de Pologne. Traduit du polonais par les fils de l'auteur, sur un manuscrit inédit. Libr. du Luxembourg, in-18, XV et 176 str.

OSIECKI (Théophile). Actualités... Considérations sur les réformes introduites dans l'empire austro-hongrois; de la nouvelle Russie (ancienne Pologne), et des devoirs des Polonais en présence de cette transformation. — Le Panslavisme progressant. — Une confession. Turin-Florence; in-8. Str. 85.

PLATER (Comte Ladislas). Circulaire publiée au nom des fondateurs du monument de Rapperswil. Zürich.

POZNAŃSKI (Dr F.-S.). *L'industrie, l'hygiène et le choix des professions*. (Mémoire lu à l'Académie de Médecine.) Br. in-16. Paris, impr. Jules Bonaventure. Str. 16.

— *De l'impaludisme du docteur Duboué*. Br. in-12. Paris, impr. Bonaventure, str. 93.

Protestation des Polonais contre la russification dans le Kolokol. (Signé : au nom des Polonais réfugiés à Genève, « Le Comité. ») Br. in-8. Genève, Pfeffer et Puky. Str. 4.

RACIBORSKI (Dr Adam). Traité de la menstruation, ses rapports avec l'ovulation, la fécondation, l'hygiène; de la puberté et de l'âge critique, son rôle dans les différentes maladies, ses troubles, et leurs traitements. In-8. Paris, J.-B. Baillère fils; avec 2 pl. chromolit. Str. XXIV i 631.

Sowiński (Albert). Notice biographique sur G. Buchmann, pianiste. Angers, in-18 Str. 20.

— Histoire de Mozart, sa vie et son œuvre, d'après la grande biographie de Nissen, traduite de l'allemand. In-8. Paris. Str. XXIII i 448.

Stański (Dr Gaétan). Quelques observations sur les faits de la contagion de la fièvre puerpérale (communiquées à la Société médicale des Hôpitaux de Paris). (*Gaz. des hôp. civ. et mil.*).

Stański (Dr Gaétan). Réflexions sur la fièvre puerpérale, à propos d'une communication de M. Empis à la Société médicale des Hôpitaux. (*Abeille médicale* le 17 février).

Stański (Dr Gaétan). De la varicelle devant la Société médicale des Hôpitaux de Paris. (*Abeille médicale*, le 23 mars.)

Stecki (Henri). Le spiritisme dans la Bible, essai sur la psychologie des anciens Hébreux. Paris, libr. Internationale. In-18, str. 143.

Swierszcz (Boleslas). Napoléon III et les compensations territoriales de la France, traduit du polonais, par Edmond Callier. In-8. Lib. de Merzbach à Posen, et Muquard à Bruxelles. Str. 148.

Trembicka (Mme). Les Matinées, ou Conversations instructives et amusantes d'un père de famille. 3e édition, in-18, Limoges et Isle, Imp. et libr. E. Ardant et Thibaut. Str. 144.

Wiszniewski (prince Adam). La banque de Saint-Georges; recherches sur l'histoire et l'origine des banques. Paris, Agence générale de librairie, in-8.

Wołowski (Louis). De l'impuissance du change sur le marché monétaire. Paris. Imp. Claye. (Extrait de la *Revue des Deux-Mondes*). In-8, str. 31.

Wołowski (Louis). Le travail des enfants dans les manufactures. Paris. Libr. Hachette. In-18, str. 51.

Wołowski (Louis). Quelques notes sur la question monétaire. Paris. Libr. Hennesyer. In-8, str. 40.

Wołowski (Louis). De la monnaie. Paris, Dupont. In-8, str. 14.

Wołowski (Louis). Notions générales d'économie politique. In-18, Paris, Hachette, str. 69.

Wołowski (Louis). Les résultats du traité de commerce de 1860. Br. in-16, Paris Chaix et Ce. str. 59.

Wołowski (Louis). La liberté commerciale et les résultats du traité de commerce de 1860. Paris. Guillaumin et Ce. In-8, str. VIII, 472.

Wołowski (Louis). L'or et l'argent, question monétaire. Mémoire lu, le 7 octobre 1868, à la séance des cinq Académies de l'Institut de France. Paris. Chez Hennessyer. In-8, str. 32.

Zaleski (Bronislas). Chefs-d'œuvre de Jacob Ruysdael. Notice et eaux fortes, avec le catalogue détaillé des peintures et estampes du maître. Paris, libr. du Luxembourg, in-fol., str. 24.

ZALIWSKI-MIKORSKI. Travaux de laboratoire sur la pesanteur et l'électricité. Paris, Leiter, in-8, str. 19.

ŹURKOWSKI (Docteur). Nouvelles observations sur l'emploi de l'eau thermale sulfureuse de Schinznach, dans les affections des voies respiratoires. Paris, Baillère

C) *Pisma zagraniczne będące w związku z Polską.*

ANDRÉOLI. De Pologne en Sibérie, journal de captivité. (*Revue moderne.*)

ANGE (Lazare). Exposition de la philosophie absolue de *Wronski*, précédé d'un historique sur de nouveaux incidents relatifs aux manuscrits de Wronski, déposés à la Bibliothèque impériale. Paris, Gauthier-Villars, in-8, maj.

AUER (Le R. P. Marie-Bernard). Les Martyrs de l'Europe au dix-neuvième siècle Discours prononcé à Paris dans l'église de Saint-Thomas-d'Aquin, le 8 décembre 1867. Br. in-8, Paris, 1868. 32 pages. E. Maillet.

— La Pologne devant l'histoire et devant Dieu. Discours prononcé à Paris dans l'église de la Madeleine, le 22 mars 1867. Br. in-8, 30 pages. Paris, 1868. E. Maillet.

BÉRENGIER (Le R. P. dom Théophile). Les Martyrs uniates en Pologne. Récits des dernières persécutions russes, publiés d'après des documents originaux. 1 vol. in-18. Paris. 1868. 179 pages, et XXII pages de préface. Victor Bolmé.

CARO (docteur Jacob. prof. an der. Univ. Iéna). Geschichte Polens. Tom. 3ci. (1386-1430.) Gotha, bei Perthes, in-8, str. 657.

CORREA (J.-H). Historia de Polonia, Lisboa.

DEGUERRY (M. l'abbé). Sermon prononcé dans l'église de la Madeleine à l'occasion du centième anniversaire de la confédération de Bar. Br. in-8. Paris, 1868 15 pages. Librairie du Luxembourg.

DELAMARRE (Casimir). Un pluriel pour un singuler, et le panslavisme est détruit dans son principe. Lettre à MM. les Ministres et Commissaires du Gouvernement chargés de la défense du budget, et à MM. les Députés au Corps législatif. Br. in-8. Paris, 1868. 15 pages. E. Dentu.

Eglise (l') de Pologne, exposé avec pièces à l'appui de ce qu'a fait le souverain pontife Pie IX, pour porter remède aux maux que souffre l'Eglise catholique en Pologne, précédé d'une introduction du *R. P. Lescœur*, de l'Oratoire polonais. Ouvrage publié par les soins de la Société historique et littéraire. Paris, libr. Palmé, in-8, str. CXV i 247.

France (la), la Pologne et le prince Napoléon Bonaparte. Br. in-8. Bruxelles, 1868. Maquarst.

HÉRICAULT (Charles d'). Les Récits d'un vieux gentilhomme polonais. (Extrait du *Correspondant* du 10 octobre 1868, Douniol. Br. in-8. . Paris.

KINKEL. La Renaissance de la Pologne envisagée comme la force de l'Allemagne. Br. in-8. Zurich, 1868, 44 pages.

LAURIER. Le cri du cœur et la liberté. A la Pologne. Poitiers, imp. Bernard, in-8, str. 16.

LÉGER (Louis). Cyrille et Méthode. Etude historique sur la conversion des Slaves au christianisme. Paris, libr. Franck, in-8, str. XXXV i 227.

LÉGER De Nestore, rerum Russicarum scriptore Lut. Pasisorum. in-8. Franck. str. 39.

LESCŒUR (R. P.). La Souveraineté moscovite et la Pologne catholique, discours prononcé en l'église de la Madeleine le Jeudi-Saint, 9 avril 1868. Paris, Victor Palmé, in-8, str. 40.

MÉGRET (S.). Kosciuszko ou la Pologne en 1794, drame en 4 actes et en vers, représenté pour la première fois sur le théâtre français de Bordeaux, le 2 avril 1868. Paris, Michel Lévy, in-8, str. 98.

MONTALEMBERT (Charles, comte de). Le comte Ladislas Zamoyski. Paris, in-18, Drugie wydanie, str. 35.

NOIR (Louis). Les martyrs de la Pologne. Paris, bureaux du *Siècle*, in-4, str. 424.

PERRAUD (le R. P. Adolphe). Eloge funèbre du général comte Ladislas Zamoyski, prononcé dans l'église de l'Oratoire, le 30 janvier 1868. Paris, Douniol, in-8, str. 40.—Deuxième édition augmentée de plusieurs lettres inédites du général. in-8. str. 60.

PROÏART (Abbé). Vie de Marie Leszczyńska, Limoges, Ardaut. in-8, str. 120.

RATCH (B.). La question polonaise dans la Russie occidentale. Matériaux pour servir à l'histoire de l'insurrection de 1863. Traduit du Russe par le comte Jaroński et M. L. Hernoche-Zbrojewski. Paris, E. Maillet; in-8, str. 318.

Vie de Marie Leszczyńska, princesse de Pologne, reine de France, d'après l'abbé Proïart, par ***. Lille, imp. et libr. Leport. Paris, libr. Mollié, in-12. str. 239. z ryciną.

Vie de Saint-Stanislas Kostka, de la compagnie de Jésus. Limoges, Ardaut, in-18, str. 120.

VIQUESNEL (Auguste). Coup d'œil sur quelques points de l'histoire des Slaves et de leurs voisins les Turcs et les Finnois, publié sous les auspices du ministère de l'instruction publique. Paris, chez Artus Bertrand, in-4.

Za przedmiot do ustanowianego przez p. Franciszka Duchińskiego Kijowianina, dorocznego konkursu, pod nazwaniem *konkursu Nestora i Vikenela* (Concours Nestor-Viquesnel) wyznaczone były w ubiegłym roku: Przedstawienie formuły wykładu historyi ludów mówiących językami słowiańskiemi, według dzisiejszego stanu krytyki.

(*Présenter les formules d'enseignement de l'histoire ancienne et moderne des peuples parlant les langues slaves, d'après l'état de la critique de nos jours*).

(Actes de la Société d'Ethnographie — 2me série — Tome 2me. Paris, chez Amyot).

Na rok bieżący 1869, zadanie tego konkursu jest następujące : Początki, rozwój i charakter narodowości polskiej.» (*Origines, développement et caractère de la nationalité polonaise.*)

Rozprawy o stosunkach Słowian z Moskalami, znajdują się w : *Bulletin de la Société d'anthropologie de Paris*, za miesiące ; wrzesień, październik, listopad i grudzień 1868 roku.

KONIEC.

SPIS RZECZY